

„Honor. Słowo, dźwięk, symbol. Odwróciłem się od rzeki i wyciągnąłem słownik. Wyjaśnienie tego słowa zajmowało prawie stronę. Mówi się „człowiek honoru”, ale honor oznacza też wysoką godność lub pozycję w zawodzie. Honory można oddawać znaczniejszym osobom, wtedy oznacza to tyle, co szacunek. Honor to również rozróżnienie między dobrem a złem. Trzymanie się reguł i zasad uznawanych za słuszne. Czyli prawość. No cóż, moja licencja była zagrożona, a honor nietknięty. Myślałem o tych wszystkich ludziach słynnych ze swej uczciwości. W większości świętych, ćwiartowanych lub palonych żywcem. To nie była krzepiąca myśl.”

Bohaterem „Kary śmierci” jest prawnik Charley Sloan. W życiu bywał już na wozie i pod wozem. Jego wielką karierę zniszczył alkohol, ale Charley zdołał się wyzwolić z nałogu i teraz wraca do gry. Ostatnio musiał bronić Doktora Śmierć, oskarżonego o pomaganie śmiertelnie chorym opuścić ten padół. Sloan jako obrońca pracował rzetelnie, ale trudno powiedzieć, by czuł do swego klienta sympatię. Teraz jednak sam los wyciąga do prawnika rękę ofiarowując mu sprawę, w której może nie tylko wykonywać przyzwoicie zawód, ale też naprawdę komuś pomóc. Od jego obrony zależy czyjeś życie. Po przeciwnej stronie stoi wielka korporacja i wielkie pieniądze. Jednak, by dojść do celu, trzeba przebrnąć przez wielkie morze korupcji, w której unurzani są także ci, których zawsze szan

przed podstawowym wyborem, czy przekroczyć linię, która niekiedy dzieli nas od przestępstwa. Czy będzie musiał wybrać kłamstwo?

Coughlin pisze z ironicznym humorem, a jednocześnie potrafi trzymać nas przez cały czas w napięciu. W swych powieściach dorównuje każdemu mistrzowi gatunku.

Dorota Grupińska

Charley Sloan jest takim bohaterem, jakim chciałby zostać każdy z nas. Ma swoje słabości, ale przez to lubimy go jeszcze bardziej. Potrafi sprostać wyborom, przed którymi nie chcielibyśmy stawać.

USA Today

Znakomity kryminał. Playboy

Książki Williama J. Coughlina otrzymują zawsze od czytelników maksymalne oceny, przy jego nazwisku niezmiennie pojawia się 5 gwiazdek. Chyba nie ma dla autora lepszej rekomendacji.

William J. Coughlin

Kara śmierci

Książka ta jest powieścią, a więc utworem fikcyjnym. Opisane w niej postacie, miejsca i wydarzenia są produktem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do przedstawicieli świata rzeczywistego - czy to żywych, czy już zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

inTekiedy lubię moich klientów, ale nie zawsze. Próbuję przekonać samego siebie, że sympatia lub jej brak nie wpływa na moją pracę. Czasami jednak ogarniają mnie wątpliwości. Miles Stewart, doktor medycyny, którego właśnie broniłem w okręgowym sądzie hrabstwa Wayne, nie był moim faworytem. Znajdowaliśmy się w sali rozpraw budynku miejskiego, rządowym wieżowcu, z którego roztaczał się widok na całe Detroit. Mieszkańcy tego miasta znani są z umiłowania wszelkich sportów, zwłaszcza takich, w których zawodnicy mają ze sobą kontakt cielesny, a już w szczególności bijatyk. Tutaj walki uliczne traktuje się na równi z igrzyskami olimpijskimi. Jest to rodzaj sportu, przy którym liczenie punktów nie następuje trudności. Po prostu dodaje się liczbę martwych ciał, cięć lub miejsc, w których utkwily kule, ale prawdziwym zwycięzcą jest ten, kto zostaje na placu boju. Ostatnimi czasy w Detroit nie było takich wielu.

Stewart odłożył czytane pismo medyczne i podszedł do krzesła, na którym siedziałem. Jego kroki odbiły się echem w prawie pustym pokoju.

- Coś długo ich nie ma - powiedział. - Przypuszczam, że to dobry znak.

- Nigdy nie wiadomo - odparłem. - Sędziowie niekiedy lubią potraktować poważnie przypadek morderstwa. Nawet w Detroit. To był długi proces, a zastanawiają się dopiero drugi dzień. Choć rzeczywiście zgodnie z obiegową opinią, im dłużej sędziowie debatują, tym lepiej dla oskarżonego.

- Trudno mi było myśleć o sobie jako o oskarżonym.

Patrzyłem na niego przez moment, doszukując się jakichkolwiek oznak wrażliwości. W ciągu całego procesu pozostał zimny jak sople lodu, wręcz obojętny. Chociaż udało mi się uchronić go przed zeznawaniem, sędziowie i tak mu się przyglądali. I potrafili dostrzec arogancję.

b

Doktor Stewart był mężczyzną wysokim, mającym ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, atletycznej budowy. Dobiegał sześćdziesiątki, a wyglądał na czterdziestolatka. W jego rudej czuprynie, wymodelowanej jak u prezentera telewizyjnego, nie dało się zauważyć ani jednego pasma siwizny. Gładka skóra pozbawiona była śladu zmarszczek. Można by uznać tę twarz za miłą, gdyby nie oczy. Niczym dwa zielone kamyczki emanowały wyłącznie chłodem. Rzadko nimi mrugał. Wszystko to przywodziło na myśl gada.

- Nadal sądzi pan, że zostanę skazany? - Uśmiechnął się, raczej wielko-pańsko niż przyjacielsko, jak zawsze zresztą.

- Zobaczymy. Może nam się uda. Tego nigdy wcześniej nie wiadomo.

- A jeśli nie, jeśli nie będziemy mieli szczęścia, co wtedy?

- Wszystko jest przygotowane, doktorze. To sprawa z pierwszych stron gazet, więc wyrok wywoła sporo szumu, niezależnie od tego, jak będzie brzmiał. Jeśli przysięgli uzgodnią werdykt „winny”, zostanie pan aresztowany, z całym tym cyrkiem i kajdankami dla uciechy dziennikarzy. Przesiedzi pan godzinę w biurze obok, po czym nastąpi zwolnienie. Sędzia zgodził się wypuścić pana za kaucją.

- Czy coś takiego często się zdarza? -Co?

- Że obie strony grają jak w orkiestrze na użytek motłochu. - W jego głosie czaiło się szyderstwo. Gadzie oczy wpatrywały się we mnie w oczekiwaniu na reakcję. - A może tak właśnie działa prawo?

Musiałem wziąć się w garść. W naszych stosunkach adwokat - klient nieraz powstawały sytuacje wymagające powściągliwości i opanowania. Wyraźnie bawiło go prowokowanie mnie do gniewnych uwag. Odetchnąłem głęboko i dopiero po chwili odpowiedziałem wyważonym tonem:

- Nie mam pojęcia, czy w medycynie obowiązują te same zasady, ale prawo skłania się ku kompromisowi, zarówno prawdziwemu, jak i na pokaz. Pracowałem nad tą ugoda, aby oszczędzić panu nocy w sądzie. Prokurator doskonale wie, że i tak wyjdzie pan za kaucją i złoży apelację, choćby bardzo energicznie się sprzeciwiał. Jedyne, czego chce, to chwili triumfu przed okiem kamery, w momencie, gdy zostanie pan uznany za winnego. Przyznaję, że to dla pozoru, lecz w ten sposób wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza pan.

- Cóż za troskliwość! - mruknął, tracąc zainteresowanie dla tematu. Odwrócił się w drugą stronę. Prawie pustą salę przenikała atmosfera zgniętej nudy. Kilku dziennikarzy siedziało, rozmawiając ze sobą. Woźny już dawno przegrał walkę z morzącym go snem - ciężkie powieki opadły mu na oczy, głowa obwisła.

Mój klient podszedł do okna i spojrzał w dół na miasto.

Prasa ochrzciła go mianem Doktor Śmierć. Teraz na jego twarz padało światło z zewnątrz, zaostarzając cienie. Nagle niezwykle oczy wydały się jeszcze bardziej niesamowite niż zazwyczaj, przez co ogólny wyraz stał się prawdziwie złowieszczy. Tak oświetlano w starych horrorach niktzemników w chwili poprzedzającej ich wpicie się w gardła ofiar. W tym obliczu nie sposób było dopatrzeć się śladu ludzkich uczuć. Prokurator nazwał mojego klienta katem. Tak właśnie teraz wyglądał. Mimo pewnej dozy przypochlebnego wdzięku, który z przymilnym uśmiechem przywoływał, kiedy tylko mu to odpowiadało, Miles Stewart nie spodobał mi się już przy pierwszym spotkaniu. A odruch niechęci zwiększał się z każdym dniem.

Stawiane mu zarzuty pod względem prawnym nie były zbyt mocne, przypominały raczej sieć poszlak i podejrzeń. Ale sędzia celowo pozwolił prokuratorowi przedstawić dowody nie do przyjęcia. Sędzia Gallagher nie lubił lekarzy, a już zwłaszcza oskarżonych o mordowanie swoich pacjentów, i kierował się własną etyką w rozgrywaniu sprawy. Proces wzbudził zainteresowanie w całym kraju i sędzia - zgodnie z prawem czy też nie - chciał przekazać wszem i wobec wiadomość. Ostrzeżenie adresowane do wszystkich lekarzy. Publiczne oskarżenie, bardzo publiczne. Był to ten

typ sprawy, o jakiej marzą pismaki z brukowców, ponieważ pozwalała im wyprodukować tak cudowny tytuł jak: „Potentat podpisuje kontrakt na własną śmierć”.

Chodziło o potentata Francisa X. Milliarda, finansowego czarodzieja, który pożarł połowę fabryk Ameryki. Milliard, ojciec trzech dorosłych synów, rozwiódł się ze swoją elegancką żoną, by dać upust innym upodobaniom. Ale najwyraźniej zabawiał się z niezbyt odpowiednim partnerem, skoro zaraził się AIDS, chociaż ludzie kreujący jego wizerunek publiczny zaprzeczali temu do ostatniej chwili.

Mimo niesłychanego majątku Milliard nie mógł kupić lekarstwa, które zdołałoby go uratować przed śmiertelną chorobą, zabijającą powoli, lecz nieubłaganie. Bo nie można go kupić za żadne pieniądze. Zdaniem prokuratora majątek Milliarda wystarczył jednak na opłacenie usług doktora Milesa Stewarta, który dostarczył mu zastrzyk szczęścia - bezbolesne wyjście z beznadziejnej sytuacji. Zwolennicy prawa do dysponowania własną śmiercią towarzyszyli procesowi doktora Stewarta, nazywając go aniołem. Druga strona robiła wszystko, by uzyskać werdykt skazujący. Do sali prawie wbiegł urzędnik sądowy, który towarzyszył obradom ławy. Jego podniecony szept miał moc krzyku:

- Uzgodnili werdykt!

Nuda wyparowała w jednej chwili.

NAKrt ZMIĘKLI

W ciągu kilku minut wszystkie krzesła były zajęte. Przysięgli wchodzili do pomieszczenia powoli, jakby w poczuciu winy lub oczekując kłopotów. Wyglądali uroczyście, wręcz żałobnie. Niemal niechętnie ustawili się w krąg wokół sędziego.

- Czy uzgodniliście werdykt? - Urzędnik sądowy zadał im formalne pytanie. -A jeśli tak, kto przemówi w waszym imieniu?

- Uzgodniliśmy i ja przedstawię nasze stanowisko - odpowiedziała mu okrągłutka, niska kobieta, z zawodu programistka. Jej słowom towarzyszyło dziwne drżenie. Po chwili dodała nienaturalnie niskim głosem: - Uznaliśmy, że oskarżony jest winny morderstwa drugiego stopnia.

Żaden prawnik nie lubi przegrywać w sądzie, ale ja oczekiwałem dokładnie takiego werdyktu.

Podczas procesu sędzia Gallagher popełnił więcej błędów niż ślepa maszynistka. Złożę apelację w sądzie wyższej instancji i tam wygram. Zostanie wydany kolejny werdykt, tym razem sprawiedliwy.

Na razie jednak przed ławą przysięgłych przegraliśmy i musiałem stawić czoło dziennikarzom oczekującym nas w korytarzu. Oni również nie czuli do mojego klienta sympatii, pytania były więc wyjątkowo zjadliwe.

Po tej próbie ogniowej upewniłem się, czy dotrzymano wcześniejszych ustaleń. Wszystko grało i Doktor Śmierć, zapłaciwszy kaucję, wydostał się na wolność, jak najdalej od wścibskich oczu kamer.

Cała sprawa zabrała mi więcej czasu, niż się spodziewałem, i gdy wreszcie dobiegła końca, czułem się jak przekreślony przez wyzymaczkę. Kiedyś uzupełniłbym zapas energii w najbliższym barze.

Dziś te czasy wydawały się bardzo odległe. Zająłem się zbieraniem papierów - czekała mnie jeszcze godzinna droga do Pickeral Point.

Pickeral Point to niewielkie miasteczko w stanie Michigan, około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od Detroit. Położone nad rzeką. Przeniosłem się tam z powodu kłopotów.

Teraz są już one poza mną, przynajmniej mam taką nadzieję, lecz nadal mieszkam w Pickeral Point. Tam również znajduje się moje biuro, chociaż jeżdżę nieraz do sądu w Detroit.

- Cześć, Charley!

Myślałem, że jestem w sali sądowej sam. Odwróciłem się, by sprawdzić, kto przyszedł. W pierwszej chwili nie poznałem go. Nie widzieliśmy się sześć, może siedem lat.

- To ja, Mickey Monk. - Uśmiechnął się, demonstrując znajomy, krzywy uśmiech. Był to czarowny uśmiech chłopca z chóru kościelnego, uśmiech, jaki powinien gościć na świeżej, niewinnej twarzy. Ale oblicze, na które spoglądałem, nie było ani świeże, ani niewinne. Widziałem nabrzmiałe policzki

r\AKM :>IVUŁKL-I

i skórę, której barwa do złudzenia przypominała kolor tego, co wykładają obłożone lodem na targu

rybnym. Pod oczami jak bławatki wisały wory. Tylko oczy i uśmiech wydawały się zdrowe. -Jak leci, Mickey? Kopę lat.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego była ciepła i spocona. -Jezu, słyszałem, że ława ugotowała jaja doktorka na twardo. Nie najlepiej.

- W apelacyjnym poradzimy sobie.

- Masz tam wtyczkę? Roześmiałem się.

- Nie potrzebuję wtyczki. Sprawa broni się sama.

Przyjrzałem mu się uważnie. Mickey, też adwokat, i ja byliśmy dawniej kumplami od butelki, barowymi braćmi. Obaj w podobnym wieku, wpadaliśmy na siebie w tych samych lokalach. Od czasu, kiedy ostatnio go widziałem, przytył, i to sporo. Jego ubranie, drogie, lecz wygniecione, opinało uda i brzuch.

- Skoczmy na jednego, Charley? Potrząsnąłem głową.

-Już nie piję. Przytaknął powoli.

- Słyszałem. Trudno było? Wiesz, rzucić?

- Zależy, jak definiujesz słowo „trudno”. Czemu pytasz? Jesteś zainteresowany?

Roześmiał się, obwisłe policzki zatrzęsły się z wysiłku.

- Do diabła, nie. Gdybym przestał pić, załamałaby się gospodarka całej Szkocji. Chodź ze mną, a napiję się tylko ja.

- Staram się unikać barów.

- Daj spokój, Charley, przecież odzyskałeś licencję. Rozluźnij się, musisz trochę użyć życia. Jeden kieliszek cię nie zabije.

- Pasuję, Mickey. Ale dzięki za zaproszenie.

Przejechał mięsistą dłonią przez przerzedzone blond włosy.

- Muszę ci się przyznać, że nie przypadkiem tędy przechodziłem. Słyszałem, że tu jesteś, i wpadłem sprawdzić.

- No, więc mnie znalazłeś. O co chodzi?

- Lepiej mi się mówi, kiedy mam w ręce kieliszek.

Wciąż jeszcze pamiętałem to pragnienie, które teraz widziałem w jego oczach. Moje oczy też tak kiedyś wyglądały - wyrażały pragnienie graniczące z bólem. W tamtych czasach przerwa między kolejnymi drinkami nigdy nie trwała długo.

i u

- Dobra, gdzie chcesz iść? Twarz mu pojaśniała.

- Oczywiście do Mulrooneya.

Bar Mulrooneya, jeden z najstarszych w mieście, był siłą tradycji wodopojem świątka prawniczego.

Przypuszczałem, że znajduję się w jakichś jego rejestrach za liczbę spędzonych tam trzydniówek.

- Wszędzie, tylko nie do Mulrooneya - odparłem. Wyglądał na zawiedzionego.

- No dobra, tu niedaleko jest całkiem miły bar w hotelu Westin.

- Chodźmy.

Chociaż mieliśmy przejść tylko kawałek, zauważyłem, że trudno mu utrzymać pewny chód, a twarz pokryła się lśniącem potem. Po drodze Mickey opowiedział mi pokrótce, co się z nim działo przez ten czas, kiedy się nie widzieliśmy. Jego druga żona wystąpiła o rozwód, a dzieci bez przerwy popadały w tarapaty. Pracował w śródmieściu Detroit razem z trzema innymi adwokatami specjalizującymi się w sprawach o odszkodowania. Interesy szły raz lepiej, raz gorzej. Przeważnie gorzej.

Ja z kolei napomknąłem mu o moim jednoosobowym biurze nad agencją ubezpieczeniową, z oknami wychodzącymi na rzekę St. Clair. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Wspomniałem też o swojej córce, chociaż przemilczałem, że miała problemy z alkoholem, podobnie jak jej starszek. Z dumą natomiast perorowałem, że jest jedną z najlepszych studentek na uniwersytecie i zamierza skończyć podyplomowe studia prawnicze. Monk pamiętał moją trzecią żonę, która rozwiodła się ze mną już wiele lat temu. Wypowiedział na jej temat parę niemiłych komentarzy. Nie oponowałem, ponieważ były prawdziwe. Zanim doszliśmy do baru, byliśmy na bieżąco, jeśli chodzi o nasze życie osobiste.

Mickey zamówił podwójną szkocką, wyprostował się i przełknął ją jednym haustem, a potem natychmiast poprosił o następną. Bywa, że przyglądanie się pijącym ludziom wzbudza we mnie niepokój. Tym razem tak nie było. Sączyłem moją colę i czekałem, żeby wreszcie wydusił, czego ode mnie chce.

- Czy osobiście zajmiesz się apelacją Doktora Śmierć? - zapytał. - To znaczy, czy zamierzasz sam przygotować materiały, a następnie przedstawić je w sądzie?

Skinąłem głową.

Drugi drink zabrał mu trochę więcej czasu.

- Pamiętam, że miałeś przyjaciół w apelacyjnym, nieprawdaż?

- Tak, ale to bez znaczenia. Tutaj też znalazłem kilku sędziów. Podobnie jak ty.

- Ty znasz ich lepiej - wtrącił szybko.

- O co chodzi, Mickey?

-Wiesz, czym się zajmuję, prawda? -Jasne.

- Wyciągam od różnych firm odszkodowania dla biedaków, którzy ulegli wypadkom - mówił, wpatrując się w kostki lodu na dnie szklanki. - Kiedyś byłem całkiem niezły, a przynajmniej tak o sobie myślałem. Robiłem niemałe pieniądze. Teraz nie jest już tak łatwo, Charley. Niczyja w tym wina. Ciężko jednak uczciwie zarobić parę groszy. Zwłaszcza komuś takiemu jak ja, kto głównie zajmuje się drobnicą. Ilość, nie jakość pokrywa dzisiaj moje wydatki, rozumiesz?

- Więc?

- Wreszcie złapałem coś dobrego, naprawdę dobrego. Duża forsa, kapujesz? Tyle, że w sądzie apelacyjnym. Zdarzało mi się już tam stawać, ale niezbyt często i nigdy w naprawdę poważnej sprawie. Nie jestem pewien, czy chciałbym teraz popróbować swoich sił.

-To miasto pełne jest specjalistów od apelacji, Mickey. Wynajmij kogoś, kto ci pomoże.

Wzruszył ramionami i zamówił następnego drinka.

- Znam tych chłopców. Nadają się tylko do papierków, niczego więcej. Potrzebuję kogoś, kto ma tam wtyczkę.

-Ja nie mam, jeśli o to ci chodzi. I o ile wiem, nikt nie ma. Roześmiał się, lecz nie zabrzmiało to wesoło, raczej szyderczo.

- Odsunąłeś się od centrum wydarzeń, Charley. Sporo się zmieniło.

- Na przykład?

- Chodzą słuchy, że kilku sędziów jest przekupnych.

- Którzy?

- Nie wiem. To tylko pogłoski, ale przypuszczam, że nie takie znowu bezpodstawne. Znasz powiedzenie, nie ma dymu bez ognia.

- Ludzie zawsze gadają, o każdym sędzim.

- A co powiesz o Newarku z sądu okręgowego? Uważasz, że to plotki? Roześmiałem się.

- Cokolwiek się o nim mówi, nadal zasiada w sądzie. Z tego, co wiem, kilka razy podważano jego decyzję, lecz nigdy nie zakwestionowano wyroku.

Mickey rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie może podsłuchać tego, co ma mi do powiedzenia.

Potem zniżył głos prawie do szeptu:

- Wiem, jak on to robi. -Tak?

- Pamiętasz Sida Williamsa?

Mignęło mi wspomnienie marnego adwokacyny o wylupiastych oczach i najgorszej w świecie peruce. Sida zawsze spotykało się w sądzie okręgowym. Nie miał swojego biura, więc umawiał się z klientami na korytarzu.

- Owszem.

-Jest partnerem sędziego Newarka.

- Daj spokój! Newark nie zadawałby się z takim śliskim gościem jak

Sid.

- Tak sądzisz? Pewnie właśnie dlatego dobrze im się pracuje. - Pociągnął drinka. - Naprawdę nie napijesz się nawet jednego, Charley?

- Nie. Mów dalej. Opowiedz mi o Sidzie i Newarku.

Monk zaprezentował swój chłopięcy uśmiech w całej okazałości, a potem zachichotał.

-Wyobraź sobie, że prowadzisz sprawę kryminalną przed sędzią Newar-kiem. Załóżmy, że twój klient jest oskarżony o posiadanie i sprzedaż narkotyków. Był wcześniej karany i są przeciw niemu solidne dowody. Czeką go dobre dwadzieścia lat. Prokurator z pewnością nie wystąpi o mniej, więc twój człowiek ma się czego bać. Co robisz?

- Próbuję. Kiwnął głową.

-Jasne, ale rezygnujesz z ławy przysięgłych, czyli że Newark podejmuje ostateczną decyzję. Zanim jednak wykonasz taki ruch, odnajdujesz Sida Williamsa. Nie rozmawiasz z nim o tym, co teraz robisz, nie wspominasz ani słowem. Tylko zatrudniasz go do swojej następnej sprawy. Nieważne, jakiej. Może być cywilna, karna, dowolnie. Płacisz mu cztery tysiące, a potem stajesz przed Newarkiem.

-I wygrywasz.

- O nie, przegrywasz. Tyle, że sędzia uznaje twój klienta za winnego znacznie mniejszego przestępstwa. Wsadza go nawet do więzienia, lecz zaledwie na sześć miesięcy. Nikt nie może narzekać. Prokurator i policja nie mają specjalnych powodów do radości, ale są usatysfakcjonowani. Handlarz narkotyków jest wprost wniebowzięty. Dostajesz od niego cztery tysiące plus nagrodę. Ty robisz za bohatera, sędzia wygląda na ucziwego i po całym interesie nie został żaden ślad. Nawet gdyby ktoś chciał zrobić z tego aferę, nic nie znajdzie. Ty i Sid nigdy przecież nie rozmawialiście o sprawie.

- Śliskie.

KARA ŚMIERCI

Mickey kiwnął głową.

-Jak cienki lód. Z tego, co słyszałem, trzecią część pieniędzy bierze Sid, reszta trafia do kieszeni sędziego. Oczywiście gotówką. Nie wiem, w jaki sposób odbywa się przekazywanie pieniędzy, ale pewnie równie czysto.

-Jeśli ty o tym wiesz, Mickey, idę o zakład, że inni też, więc cóż to za sekret. Taki układ byłby zbyt niebezpieczny.

- Daj spokój, to nie tajemnica poliszynela, tylko po prostu przypadkiem trafiłem na pewną informację. Prowadziłem przed Newarkiem sprawę włamywacza. Jeden z adwokatów, który często staje w okręgowym, poradził mi, co mam zrobić. Zapłaciłem Sidowi, tak jak powiedział, i mój człowiek dostał trzy miesiące. Jezu, tyle razy już siedział, że lista jego wyroków ciągnęłaby się stąd aż na Florydę. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się cieszył jak on, kiedy usłyszał werdykt.

- Nie chcę mieć z tym nic do czynienia, Mickey, a nawet nie chcę o tym rozmawiać.

- Bądź realistą. To także część życia. Tak czy siak, podoba ci się czy nie, ja muszę zrobić wszystko dla mojego klienta. Takie rzeczy po prostu się zdarzają.

- Również w sądzie apelacyjnym?

- Krążą słuchy. Nic konkretnego, lecz wszystko jest możliwe. -Jeśli ci o to chodzi, nie jestem Sidem Williamsem. Spojrzał, jakbym go uderzył.

-Jezu, Charley, przecież wiem. Ale masz w tym sądzie kumpli. Myślałem, że coś słyszałeś. Zresztą nie dlatego postanowiłem z tobą pogadać.

- A dlaczego?

- Przyszło mi do głowy, że mógłbyś poprowadzić dla mnie tę dużą sprawę.

- O co w niej chodzi?

- Odpowiedzialność za stan techniczny pojazdu. Przed sądem staje Ford, chociaż chodzi o samochód wyprodukowany przez inną firmę, którą Ford kupił z dobrodziejstwem inwentarza. W każdym razie mój klient jedzie tym swoim krążownikiem do domu, kiedy nagle cholerna maszyna przyspiesza jak jakaś rakieta i facet wali w drzewo. W rezultacie zamienia się w worek z pogruchotanymi kośćmi, nie wyłączając kręgosłupa. Oczywiście jest sparaliżowany. Jedyne chyba, czym może jeszcze ruszać, to usta.

- Czy Ford zaproponował odszkodowanie?

- Roześmiali mi się w twarz.

- Takie sprawy nie są łatwe do wygrania.

KARA ŚMIERCI

Kiwnął głową.

- Nie musisz mi mówić. Nikt inny nawet by nie tknął tej cholernej roboty. Chryste, gościowi naprawdę się dostało. Był hydraulikiem i całkiem dobrze mu się wiodło. Ma trzydzieści pięć lat, mógł jeszcze trochę popracować.
- Szkody liczą się tylko wtedy, jeśli wykażesz, że winny jest producent. To brzmi jak stara bajeczka, Mickey, ale odszkodowanie jest tym mniejsze, im firma bardziej wiarygodna.
- Dokopałem się też do innych wypadków związanych z tym samym modelem. Za każdym razem chodziło o nagłe, niekontrolowane przyspieszenie. Żaden jednak z tych wypadków nie był tak tragiczny jak mojego klienta. Firma zorientowała się, że produkt nie jest bezpieczny, ale nic z tym nie zrobiono. Naprawdę napracowałem się nad tą pieprzoną sprawą. I wsadziłem w nią trochę grosza.
- Wygląda na to, że wpadłeś po uszy. Westchnął.
- Powiem ci więcej: zapożyczyłem się, żeby opłacić ekspertyzy, testy i inne tego typu rzeczy. W sumie jestem do tyłu czterdzieści kawałków. I to nie swoich.
- A klient ma pieniądze?
- Skądże! Jest w jeszcze gorszej sytuacji niż ja. Żyje z rodziną na zasiłku. Mieszkają z krewniakami żony.

Potrząsnąłem głową ze współczuciem. Każdy prawnik ryzykuje od czasu do czasu, ale to, na co porwał się Mickey, było równe samobójstwu. Z której strony by na to spojrzeć, nie zachował się rozsądnie.

- I chcesz, żebym poprowadził ci tę sprawę w sądzie apelacyjnym? Uśmiechnął się.
- Tak.
- A może jeszcze chciałbyś, żebym ci pokrył część wydatków? Udał całkowite zaskoczenie.
- Wiesz, to niezły pomysł. Zrobiłbyś to?
- Oczywiście, że nie.

Mickey dał kelnerowi znak ręką, że życzy sobie następnego drinka. Teraz jego picie przestało być mi obojętne. Szkocka wyglądała tak zachęcająco.

- Oto moja propozycja, Charley. Ty zajmiesz się apelacją, do której nawet przygotowałem już materiały. Ja załatwiłem cały proces i wszystko sprawdziłem. Nie włożysz w to ani grosza. Z tego, co dostaniemy, weźmiesz dwadzieścia procent. Myślę, że to uczciwy układ.
- Dwadzieścia procent niczego to niewiele.

K.AKA SMIhKCI

15

- Niekoniecznie. Ta sprawa może się okazać żyją złota.
 - Niepoprawny marzyciel, co, Mickey? Dlaczego sądzisz, że wygrasz apelację, jeśli przegrałeś w sądzie pierwszej instancji?
 - Nie przegrałem - odparł, tym razem bez uśmiechu.
 - Co to znaczy?
 - Ława przyznała mojemu klientowi prawie pięć milionów. -Jezu!
 - To Ford założył apelację.
 - Dogadaj się z nimi. Potrząsnął głową.
 - Wciąż uważają, że uda im się wygrać. Zaproponowali grosze. Przedsiębiorstwo, które kupili, już nie produkuje tych samochodów, więc nie boją się antyreklamy. Są bardzo pewni siebie. Nic nie psuje ich dobrego samopoczucia.
- Uśmiechnął się jakby w zadumie.
- Mam w tej sprawie jedną trzecią. Jeśli więc apelacyjny podtrzyma werdykt, moje honorarium wyniesie trochę więcej niż półtora miliona. Dwadzieścia procent od tego, Charley, piechotą nie chodzi. No więc?
 - Dlaczego sam tego nie poprowadzisz? Stawałeś już przecież przed apelacyjnym.
 - Zbyttno się denerwuję. Za bardzo mi na tej sprawie zależy. Jeśli przegram, jestem splukany, i to dokumentnie. Boże, boję się, że mógłbym się przed sądem rozplakać albo coś podobnego.

Potrzebuję kogoś, kto by zachował zimną krew. Co ty na to?

Widziałem w jego oczach strach. Postawił na jedną kartę wszystko: pieniądze, przyszłość, honor. Sprawa wcale nie wyglądała dobrze. Sąd apelacyjny rozważa tego typu przypadki niezwykle skrupulatnie. A jednak powiedzcie mu „nie” byłoby jak wyrzucić na ulicę szczeniaka.

- Dobra, Mickey, biorę ją.

- Wypijmy na szczęście, Charley.

- Ja już nie. Muszę iść. - Dałem mu swoją wizytówkę. - Przyślij mi akta.

Klepnąłem go po ramieniu i ruszyłem w stronę drzwi.

- Dzięki - szepnął, ale nie byłem pewny, czy mówi do mnie, czy do Boga.

Niektórzy mężczyźni spieszą do domów, gdzie czekają na nich kochające żony. Niekiedy nie są to tak bardzo kochające żony. Bywają też mężczyźni,

KAKA 1>MIhKU

którzy spieszą, choć z pewną ostrożnością, do cudzych żon. Ponieważ mnie żadna z tych sytuacji obecnie nie dotyczyła, udałem się do biura w Pickeral Point. Nie musiałem się spieszyć.

Od czasu, gdy wynająłem biuro od firmy specjalizującej się w ubezpieczeniach morskich, przemaszerował przez nie pluton sekretarek. Na pewien czas zatrudniłem nawet w tym charakterze moją własną córkę, Lisę, zanim wyjechała na studia.

Praca, którą wykonuję, jest bardzo prosta. Jako adwokat bronię swoich klientów przed sądem głównie w sprawach karnych, więc papierkowej roboty jest naprawdę tyle, co kot napłakał, przynajmniej w porównaniu z niektórymi kancelariami. Lubię też myśleć, że nietrudno ze mną wytrzymać. Przyznaję, co prawda, że niektórzy moi klienci potrafiliby wystraszyć na śmierć samego Drakulę, ale zazwyczaj, kiedy przychodzą do mojego biura, zachowują się bez zarzutu. Mordercy, złodzieje i bandyci, gdy nie są w robocie, potrafią zachowywać się równie grzecznie i kulturalnie jak inni ludzie.

Mildred Fenton, która ostatnio pełni u mnie funkcję sekretarki, ma wiele zalet. Jest efektywna, zorganizowana i inteligentna, chociaż zupełnie pozbawiona poczucia humoru. Nigdy się nie spóźniła, zawsze też wychodzi punktualnie o piątej. Nie przepada za pogawędkami. Przez telefon rozmawia uprzejmie, lecz chłodno. Od dwudziestu lat żyje z tym samym mężem. Jak wielu ludzi długo pozostających w niezmiennym związku, państwo Fenton upodobnili się do siebie. Są wysocy, sztywni i bez wyrazu. Mildred nie maluje się, a swoje włosy ściąga do tyłu w prosty węzeł. Nawet marynarz, który przez bardzo długi czas przebywał na morzu, nie uznałby jej za atrakcyjną. Uważam, że to jeszcze jedna zaleta mojej sekretarki, ponieważ jej obecność nie wywołuje we mnie żadnych pożądliwych myśli. Poza tym pani Fenton nie pali, nie pije - to też jej liczę na plus - no i nie ma dzieci. Podejrzewam, że nie aprobeuje także paru innych rzeczy.

Przyjaciele nazywają ją Milly. Dla mnie pozostaje panią Fenton. Obojgu nam odpowiada ta formalna zależność.

Przyjechałem do biura kilka minut po piątej, więc mojej pracownicy już nie zastałem. Jak zwykle jednak pozostawiła mi starannie wystukane na maszynie informacje, niczym kartkę z pamiętnika, w którym zapisuje się wszystkie kolejne wydarzenia dnia, wraz z wiadomościami telefonicznymi. Poczta, ułożona starannie w stosik, czekała na moim nieuporządkowanym biurku. W odróżnieniu bowiem od pani Fenton lubię na biurku bałagan.

KARA ŚMIERCI

17

Mój gabinet nie sprawia może wrażenia odziedziczonego po znakomitym, od dawna nieżyjącym adwokacie, ale ma coś, czego brakuje większości nowoczesnych, eleganckich kancelarii: wspaniały widok. Siadam w fotelu i obracam się w stronę wielkiego okna. Szeroka w tym miejscu rzeka St. Clair jest uosobieniem spokoju. Na drugim brzegu widać już Kanadę, która wydaje się innym światem, choć oddalonym tylko o niecały kilometr. Rzeka jest jednym z ważniejszych połączeń między Wielkimi Jeziorami. Chicago, Detroit, Cleveland, nawet Toronto to dogodne porty przyjmujące statki z różnych krajów świata.

Patrzyłem, jak nadpływa wielki statek oceaniczny. Kiedy był na wysokości mojego okna, wydawało mi się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć jego szarego kadłuba. Przypominał majestatycznie

prześlizgującą się metalową górę.

Statek płynął pod banderą Szwecji, a ponieważ zmierzał na północ, założyłem, że kieruje się w stronę jezior Huron i Michigan, w drodze do Chicago. Było coś ostatecznego i niepokonanego w jego dążeniu do celu. Nic nie zdoła go zatrzymać, pomyślałem, podobnie jak przeznaczenia.

Przyglądałem mu się, aż zniknął. Jak zwykle, gdy patrzyłem na statki, poczułem radość ogarniającego mnie spokoju. Potem odwróciłem się z powrotem do biurka i zaatakowałem pocztę. Pani Fenton otwierała każdą kopertę, rozdzielając listy na dwie części: zawierające czek - tych zawsze było niewiele, oraz z rachunkami - te w zdecydowanej większości. Czeki nie opiewały na znaczne sumy. Rachunki zresztą również nie.

Dostałem list od klienta, który przebywał w więzieniu Jackson, największym zakładzie karnym Michigan. Dużo nieważnych informacji. Widocznie sprawy stały całkiem dobrze. Fakt, że za kratkami spędzi jeszcze sześć czy siedem lat, nie wydawał się go zbyt martwić. Otrzymywałem od niego wiadomości dość regularnie. Pewnie nie miał do kogo pisać, oprócz adwokata, któremu udało się uzyskać za morderstwo wyrok skazujący tylko drugiego stopnia, co dawało przynajmniej jakąś nadzieję na wolność. Był wdzięczny. W podobnej sytuacji nie zdarza się to często. Do żony nie pisał, ponieważ ją zabił, pokrajał na kawałki i zakopał w różnych miejscach swego gospodarstwa. Jak zwykle jego list był bardzo pogodny.

Zadzwonił telefon. Pani Fenton włączyła automatyczną sekretarkę, więc nie podniosłem słuchawki. Z pozostawionych na biurku notatek wiedziałem, że przez cały dzień usiłowali dopaść nas dziennikarze polujący na jakąś nową informację o Doktorze Śmierć. Podejrzywałem, że to kolejny pismak, a nie miałem ochoty rozmawiać o tej sprawie.

KARA ŚMIERCI

Po trzech sygnałach automat się włączył i odezwał się nagrany na taśmę metaliczny głos.

Rozpoznałem go w jednej chwili. Słuchałem go przez ostatni tydzień.

- Mówi Miles Stewart. - Nawet teraz głos brzmiał lodowato i arogancko. - Jestem u siebie w mieszkaniu, ale proszę tu nie dzwonić, ponieważ nie odbieram telefonów. Bez przerwy naprzykrzają mi się dziennikarze. Odezwę się do pana za godzinę. Zaraz...

Złapałem słuchawkę.

- Jestem tutaj - odezwałem się. - O co chodzi?

- A więc pan również nie odbiera telefonów. - Stwierdził to tak, jakby odkrył coś, czego powinienem się wstydzić, na przykład, że ćпам i uprawiam seks ze zwierzętami.

- Właśnie wszedłem.

Odpowiedział mi pełen niedowierzania chichot.

- Oczywiście.

- Czego pan chce? - rzuciłem i w jednej chwili pożałowałem swego tonu. W ten sposób dowiedział się, że wyprowadził mnie z równowagi.

Tym razem chichot zabrzmiał wprost triumfalnie.

- Strasznie jesteśmy przewrażliwieni. No cóż, chyba to nic dziwnego, skoro przegra! pan sprawę. Drugi raz nie dałem się złapać.

- Czego pan sobie życzy, doktorze? - Próbowałem być grzeczny, a zarazem chłodny.

Kiedy się odezwał, w jego głosie usłyszałem zawód.

- Dwie sprawy - oznajmił. - Po pierwsze, wyszedłem za kaucją. Czy muszę zostać tutaj, to znaczy w swoim miejscu zamieszkania?

- Zgodnie z ustaleniami może pan jeździć po kraju, ale nie wolno panu przekraczać granicy. To jedyne ograniczenie. Gdyby zamierzał pan opuścić stan, proszę tylko zawiadomić sąd, dokąd się pan udaje. Dlaczego pan pyta?

- Dostałem zaproszenie, by spędzić weekend na północy.

- Niezły pomysł, wyrwałby się pan na krótko, trochę powędkował czy coś w tym rodzaju.

- Wędkowanie to zajęcie dla idiotów - skwitował. - Chodzi o wizytę towarzyską. Zaprosiła mnie pani Cynthia Wilcoks. Ma posiadłość jeziorem Huron. W wiejskim stylu, ale wewnątrz bardzo eleganckie. Tak mi przynajmniej mówiono. Przyśle po mnie samochód.

- Wilcoks, jak wdowa po Poindexterze Wilcoksie?

KARA ŚMIERCI

19

Odparł po chwili przerwy:

- Przyjaciółka rodziny.
- Bogata przyjaciółka - stwierdziłem. - Bardzo bogata.
- Tak, każdy to wie, prawda?

Pomyślałem o powodach, dla których nazywają go Doktor Śmierć.

- Był pan już tam kiedyś? -Nie.
- Czy pani Wilcoks nie jest przypadkiem chora? Odpowiedział mi cichy śmieszek.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Proszę posłuchać, będę z panem szczerzy. Jeśli akurat tak się składa, że jest ona w tej chwili w stanie agonalnym i podczas pańskiej wizyty umrze w czasie snu, żadna apelacja już panu nie pomoże. Udowodni pan wszystko to, co domniemywał prokurator. Jasne?

Jego chichot zabrzmiał jak zgrzyt paznokciem po szkle.

- Oświadczył pan przed ławą, że jestem niewinny.
- Powiedziałem, że prokurator niczego nie udowodnił. To duża różnica. Jeśli sytuacja się powtórzy, nikt panu nie pomoże.

Wreszcie przybrał poważny ton:

- A skoro już jesteśmy przy apelacji, kiedy sprawa stanie ponownie?
- To zależy od wielu rzeczy. Może za kilka tygodni. Najwyżej kilka miesięcy.
- No, niech pan powie wprost. Rok? Dwa lata?
- Doktorze, nie mogę niczego obiecać, ale teraz oceniam, że od chwili, gdy skończymy tę rozmowę, do zakończenia całej sprawy minie mniej niż rok. Może nawet pół roku.

Myślałem, że już nie odpowie, lecz wreszcie się odezwał:

- Prawnicy nie utrzymaliby się na sali operacyjnej nawet pięciu minut. Sześć miesięcy? Brak wam precyzji. Jak można tak pracować?

Nie chciałem się z nim kłócić. Zbyt wielką sprawiało mu to radość.

- Gdyby zdecydował się pan pozostać u pani Wilcoks dłużej niż tydzień, proszę dać mi znać. No i oczywiście zawiadomić sąd o miejscu swego pobytu.

Nagle zrozumiałem, że mówię do siebie. Doktor Śmierć odłożył słuchawkę.

ona leżała na łóżku, jej blond włosy rozsypały się wokół głowy niby złota sieć. Paliła papierosa z religijnym niemal skupieniem. Oczy wbiła w sufit mojej sypialni. Skromnie podciągnęła prześcieradło aż do samej brody. Spowijało ją ciepłe światło lampki stojącej koło łóżka. Była bardzo piękna, tym rodzajem piękności, który się widuje na ekranie lub w telewizji. Pełne wargi, wysokie kości policzkowe, zdecydowany kształt brody, oczy tak ciemnoniebieskie, że aż nierealne. Jej ciało nie ustępowało twarzy - ciało trzydziesto-jednoletniej kobiety, którego mogła pozazdrościć niejedna nastolatka.

Kiedyś królowała w porannej telewizji w Dallas, potem w Cleveland i jeszcze kilku miejscach, ale to już należało do przeszłości. Kolejno spadała coraz niżej po szczeblach kariery. Upodobanie do wódki bardzo przyspieszało ten zjazd. Obecnie pracowała w Detroit w niewielkiej stacji radiowej, nadającej głównie muzykę jazzową.

Nasz związek był typowym romansiem anonimowych alkoholików. Wydobywający się z nałogu najlepiej czują się w towarzystwie podobnych sobie. Pozostają w nas wszelkie ludzkie potrzeby, ale przytłumione nie kończą się walką z wewnętrznym demonem. Jeśli twoja przyjaciółka ma te same problemy, nie trzeba wszystkiego bez przerwy tłumaczyć. Związki takie, w najlepszym razie, są czasowe.

- Kochasz mnie, Charley?
- Oczywiście.

Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od sufitu.

- Trudne pytanie, łatwa odpowiedź.
- Wcale nie taka łatwa. Bez zastanowienia mogę wymienić co najmniej kilka kobiet, którym bym tego nie powiedział.

Z/

Przekręciła się na bok, odłożyła papierosa i jeszcze staranniej zawinęła w prześcieradła.

- Czy pamiętasz audycję, którą robiłam w zeszłym miesiącu w Tampa? -Jasne, wróciłaś pięknie opalona.

- Myślałam, że im się nie podobało. -No i?

- Zadzwonili. -Ico?

Spojrzała na mnie przenikliwie.

-Jak to jest z nami, Charley? Z tobą i ze mną. Czy to tylko przelotny romans, czy mamy przed sobą przyszłość?

Nigdy wcześniej o to nie pytała, ale wiedziałam, że podobne myśli musiały jej chodzić po głowie.

Mnie zresztą też, chociaż byliśmy ze sobą dopiero kilka miesięcy.

-Jeszcze chyba za wcześnie na takie oceny, nie sądzisz? - zapytałam. -Dlaczego o tym mówimy?

Czy ma to jakiś związek z Tampa?

- Owszem, Tampa ma z tym jakiś związek. Wydaje mi się jednak, że drugorzędny.

- W takim razie, co jest pierwszorzędne?

- Zobowiązanie.

- Za jakiś czas, może...

Roześmiała się cicho. Zabrzmiało to jakoś smutno. -Już mi odpowiedziałeś - westchnęła. - Nie jesteś gotowy, Charley, być może nigdy nie będziesz. Przynajmniej nie ze mną.

- Trzy razy przegrałem, Marylou. Moja przeszłość rodzinna nie jest wzorowa. Trzy żony, trzy rozwody, jedno dziecko. I każde z nas było alkoholikiem, nawet moja córka, Lisa. Małżeństwo ze mną to jak kupiony w ostatniej chwili bilet na „Titanica”.

Znowu westchnęła.

- To mnie nie martwi, Charley. Nie w tym problem. -A w czym?

-Jesteś romantykiem - odparła po długiej chwili. -Co?

- Nie zauważyłeś? To cecha większości alkoholików.

- Nie łapię.

Wyciągnęła następnego papierosa z paczki na stoliku koło łóżka. Zapaliła go i przyglądała się, jak dym unosi się pod sufit.

r\is.n śmierci

- To prawda, Charley. W każdym razie w twoim wypadku. Patrzysz na świat oczami romantyka.

Chciałbyś, żeby sprawy wyglądały tak, jak powinny wyglądać. I starasz się pchnąć je we właściwym kierunku, chociaż zazwyczaj to się nie udaje. W tym cały problem, Charley.

-Jestem prawnikiem, Marylou. A prawnicy muszą patrzeć na świat realnie.

Uśmiechnęła się.

- Może tak widzicie fakty, ale nic ponadto. Gdybyś żył w dawnych czasach, Charley, jeździłbyś z tarczą i lancą, szukając smoków.

- A może wiatraków?

- Romantycy nie dostrzegają między nimi różnicy.

- Co chciałaś mi powiedzieć w związku z twoim wyjazdem do Tampa? Pozwól mi choć przez chwilę być realistą.

- Zaproponowali mi prowadzenie porannego programu. Stacja afiliowana jest przy sieci krajowej, więc to mogłoby stać się okazją do wskoczenia wyżej. Moja duża szansa, Charley. Może ostatnia.

-Jakie oferują ci warunki?

- Kontrakt na dwa lata. I pieniądze też dobre, na początek mniej więcej trzy razy więcej, niż zarabiam teraz.

- Mam przejrzeć kontrakt? Odezwała się po chwili milczenia: -Już się zgodziłam. Poczulem ból w dole brzucha.

- Kiedy wyjeżdżasz?

Tym razem cisza wydała mi się jeszcze dłuższa.

-Jutro.

-Jutro!

- Sublokatorka prześle mi moje rzeczy, kiedy tylko znajdę coś na stałe. -Jezu!
- Dla nas obojga to było miłe interludium, ale wiedzieliśmy przecież, że nie będzie trwało wiecznie.
- Może ty wiedziałaś.

Zaciągnęła się głęboko, a potem powoli wydmuchała dym.

- Oboje wiedzieliśmy - odparła, nie patrząc na mnie. Przyglądałem się jej, kiedy wstawiała i się ubierała. Była tak piękna, że aż chciało mi się płakać. Podeszła do łóżka i pocałowała mnie delikatnie w policzek.
- Powiedzmy, że zaproponowałbym ci małżeństwo - rzekłem. - Czy to by cokolwiek zmieniło?
- Nie zaproponowałbyś.
- Dlaczego nie?
- Zbyt wiele wiatraków dookoła. Dlatego. I wyszła.

Przed budynkiem wydziału prawa stoi strażniczka - czarna kobieta o srogim spojrzeniu, potężna i z gruba ciosana. Zbadała mnie i moją aluminiową kartę, jakby była agentem pilnującym granic, a ja szpiegiem próbującym wdrzeć się na terytorium jej kraju. Uparła się, żebym pokazał też dodatkowy dowód potwierdzający moją tożsamość - prawo jazdy ze zdjęciem, na którym wyglądam wyjątkowo szpetnie, oraz kartę przynależności do klubu. Chociaż to zrobiłem, nadal nie miała ochoty mnie wpuścić.

Wreszcie ustąpiła z drogi, jakby wbrew własnemu przekonaniu. Wkroczyłem wraz z grupą poważnie wyglądających studentów, którzy z zapalem dyskutowali nad jakimiś niejasnymi aspektami prawa spadkowego. Niektórzy zerkali na mnie, być może zastanawiając się, czy czasem nie jestem kimś ważnym. Najwyraźniej jednak nie byłem, bo po jednym spojrzeniu nie zaszczycali mnie już następnym.

Odłączyłem się od nich w sklepionej sali, obecnie nazywanej atrium. Jest to wysoka, przeszklona, wysoce artystyczna konstrukcja.

Kiedyś mieściła się tutaj klinika dentystyczna. Za moich studenckich czasów wydziały stomatologii i prawa zajmowały ten sam budynek. Miałem wrażenie, że jeszcze teraz słyszę tu przebrzmiałe echa dawnych krzyków biednych pacjentów, na których ćwiczili przyszli adepci. W tamtych odległych czasach, żeby dostać się na zajęcia, musieliśmy przejść przez klinikę. Panował w niej nastrój bardziej dickensowski niż dentystyczny.

Wydział stomatologii, obecnie wchodzący w skład konkurencyjnego uniwersytetu miasta Detroit, już całe lata temu przeniesiono do odpowiedniejszych pomieszczeń. Zastanawiam się, czy nadal proponuje darmowe usługi.

Uniwersytet imienia Świętego Benedykta ufundowali na przełomie wieków benedyktyni, rzucając wyzwanie jezuitom i ich uniwersytetowi. Jezuita jednak zwyciężyli, powoli, lecz nieubłaganie zagarniając jeden po drugim wszystkie benedyktyńskie wydziały, oprócz prawa, które także wkrótce ulegnie, poddając się ekonomicznym realiom. Prowadzono już nawet rozmowy na temat połączenia dwóch katolickich wydziałów prawniczych położonych

0 niecały kilometr od siebie, na terenie niebezpiecznie podupadającego śródmieścia Detroit.

Ale na razie był to wciąż „Święty Benedykt” - rodzaj statku flagowego dla tysięcy jego absolwentów. Dawniej uchodził on za wydział dla pracujących studentów, głównie katolików, synów i córek imigrantów, spełniających marzenia swych rodziców. Stanowił pierwszy stopień ku czemuś lepszemu.

Trzeba też przyznać, że chłopcy i dziewczęta, którzy ukończyli Świętego Benedykta, radzą sobie całkiem nieźle. Połowa sędziów stanu Michigan wywodzi się z jego murów.

Absolwentem szkoły jest również słynny Jacques Mease, który wdarł się do świata finansjery i zbił fortunę w wysokości miliarda dolarów. On to zapłacił za nowe atrium, które nosiło jego imię aż do dnia, kiedy wpadł, był sądzony i został skazany. Wtedy zdjęto mosiężną tablicę. Mease odsiedział nie więcej niż rok, ponieważ zapłacił astronomiczną grzywnę.

Wypuszczono biedaczka zjedną tylko setką milionów w kieszeni. Podobno -jak donoszą gazety - mieszka teraz w swej posiadłości na własnej wyspie na Karaibach, niewątpliwie zagryzany przez wyrzuty sumienia. W każdym razie na pewno nie jest już zainteresowany dotacjami na rzecz swojej dawnej uczelni.

Zanim jednak złoty strumyczek przestał płynąć, znacznie zasilił fundusze znakomicie wyposażonej biblioteki prawniczej w Świętym Benedykcie, a ona właśnie była powodem, dla którego przyjechałem z Pickeral Point. Apelacja Doktora Śmierć musiała być starannie przygotowana, co oznaczało wiele godzin szperania w bibliotece, w poszukiwaniu argumentów, które przedłożę sądowi najpierw w formie pisemnej, a potem werbalnie.

Większość prawników w pewnym momencie swej praktyki przeżywa przerażające doświadczenie związane z terminami ustanowionymi przez przepisy proceduralne. Każdy lubi odsuwać sprawę do załatwienia na później, ale prawnicy uczynili z tego wręcz religię. Dopóki raz się nie spóźnią. Od tej chwili przeobrażają się w gorliwych pracusiów.

Mnie zdarzyło się nie zdążyć. Więcej niż raz. Odtąd patrzę w kalendarz jak na monitor pokazujący bicie serca podczas reanimacji. Doktor Śmierć

I ja bylibyśmy skończeni, gdybym nie zdążył na czas z apelacją. Musiałem się spieszyć.

W dodatku czekało na mnie sporo czytania na temat odszkodowań. Mickey Monk przygotował akta zadziwiająco dobrze, ale mimo to, zanim

r\rvr\r\ jiviici\v~i

ZO

stanę przed trójką sędziów, muszę zapoznać się z każdym faktem i szczegółem, który może się przydać w sprawie.

Być sędzią w sądzie apelacyjnym to prawdziwa nuda. Kiedy więc trafi się ktoś nieprzygotowany, kogo da się rozerwać na strzepy, sędziowie traktują to jako rodzaj terapii. Rzucają się niczym stado lwów na kulejącą antylopę. Co jest całkiem w porządku, jeśli tylko nie jest się antylopą.

Wszystkie biblioteki uniwersyteckie wyglądają mniej więcej podobnie. Dostać się tam można, przechodząc wzdłuż długiego kontuaru okupowanego przez pogrążonych w pracy studentów, którzy albo się uczą, albo pracują na swe niewielkie pensje. Książki prawnicze ustawione są na niekończących się regałach jak żołnierze na paradzie. Każda półka jest starannie opisana, tak by łatwo było znaleźć to, czego się szuka, dzięki indeksom stanowym, sądowym i tytułowym.

Rzędy długich stołów służą za pulpity na książki. Tutaj nigdy nic się nie zmienia. Studenci wpatrują się w karty otwartych ksiąg, a zdziwienie lub zmieszanie, które maluje się na ich twarzach, łamie linie brwi w mars wiecznej frustracji. Nikt nie rozmawia i raczej przemyka się, niż chodzi. Zupełnie jak w kościele.

Machnąłem moją aluminiową kartą, która stanowiła bilet do księgozbioru. Za ten przywilej trzeba było co pół roku wносить opłatę, ale zwracała się ona z nawiązką.

Kiedy położyłem teczkę na końcu długiego stołu i zająłem miejsce, czyniąc zeń moją tymczasową kwaterę główną, nikt nawet nie podniósł głowy. Miałem właśnie ruszyć między półki w poszukiwaniu tomów dotyczących spraw o odszkodowania, kiedy zauważyłem młodą kobietę.

Patrzyła, a właściwie można by powiedzieć, wpatrywała się we mnie.

Większość studentów ubiera się skromnie. Do biblioteki wpadają zazwyczaj przed lub po pracy, w której zarabiają na swe studia. Ale ona była wręcz wystrojona w znakomicie skrojony elegancki kostium, kobiecy odpowiednik drogiego garnituru. Jej uroda nie wymagała makijażu. Jasnobrązowe włosy zostały ostrzyżone przez kogoś, kto zna się na swej robocie i prawdopodobnie za tę umiejętność każe sobie słono płacić. Nawet z tej odległości widziałem, że oczy ma intensywnie niebieskie.

Posłałem jej uśmiech. Nie odpowiedziała mi tym samym. Zawahała się, a po chwili ruszyła w moją stronę. Musiała prawdopodobnie sporo grać w tenisa albo uprawiać jakiś inny sport, bo poruszała się z wdziękiem osoby, dla której ruch jest czymś naturalnym.

Z bliska okazała się nawet jeszcze ładniejsza niż z daleka.

i\ni\r\ jiviici\v^i

- Czy pan Sloan? - zapytała. - Charles Sloan? -Tak.

Dwóch studentów uniosło głowy z irytacją, ale gdy ją zobaczyli, szybko zagłębili się powrotem w swoich książkach.

- Czy mógłby pan wyjść ze mną na chwilę na korytarz?

Skinąłem głową i ruszyłem za nią do drzwi wzdłuż długiego bibliotecznego stołu.

- Pan mnie nie pamięta - powiedziała. - Oczywiście nie ma najmniejszego powodu, żeby mnie pan pamiętał. Jestem Caitlin Palmer.

Ponieważ nadal nic mi to nie mówiło, dodała:

- Córka sędziego Palmera.

Moja twarz musiała wyrażać autentyczne zdziwienie, bo pozwoliła sobie na słaby uśmiech.

- Ostatnio widział mnie pan jakieś dwadzieścia lat temu. Miałam wtedy z dziesięć lat. Ojciec podejmował kolację pana i pańską żonę.

- Nazywano panią Cat. - Teraz sobie przypomniałem dobrze ułożoną dziewczynkę, która wykazywała dużą bystrość, ale miała problemy z cerą i nadwagą. Od tego czasu niewątpliwie wiele się zmieniło.

- Studiujecie tutaj? - zapytałem.

- Niezupełnie. Jestem wicedziekanem.

- Nie wiedziałem.

- To mój pierwszy rok. Czuję się, jakbym wróciła do domu. Ojciec często mnie tutaj zabierał.

- Pamiętam. Jak on się teraz miewa? Nie widziałem go kawał czasu, pewnie z rok, a może i dwa lata.

- Nic się nie zmienił. W jego życiu liczy się wyłącznie sąd i ta jego cholerna łajba. - Przyjrzała mi się. - Pan się zmienił, panie Sloan. Wygląda pan starzej, lecz bardziej dystyngowanie.

- Proszę zwracać się do mnie Charley, tak jak wszyscy. Zastanawiałem się, co miała na myśli, używając określenia „bardziej

dystyngowanie". Od dawna nie noszę już eleganckich, szytych na miarę garniturów i złotego rolexa. Nie przytyłem ani nie schudłem. Mam po prostu przeciętną wagę. Wzrost także mam przeciętny, a właściwie wszystko we mnie jest przeciętne. Przybyło mi tylko zmarszczek, zwłaszcza wokół oczu. Może chodziło o siwe smugi w moich przeciętnie brązowych włosach, tuż nad zupełnie przeciętnymi uszami? Z jej spojrzenia jednak trudno było coś wyczytać.

- Co cię tu sprowadza, Charley?

NAK.A 3IVI1EKI_1

27

- Muszę przygotować się do apelacji.

- Doktor Śmierć? Uśmiechnąłem się.

- Między innymi.

- Wiem co się z tobą działo przez te lata. Cieszę się, że los znów ci sprzyja.

- Dzięki. A co u ciebie? Czy nadal nazywają cię Cat? Teraz prawie się uśmiechnęła.

- Tak, ale nie tutaj.

- No dobrze, dziękuję Palmer, proszę mi opowiedzieć o sobie. Uśmiech powrócił, lecz jakby na próbę.

- Właściwie nie ma o czym mówić. Jestem córeczką tatusia, jedynym jego dzieckiem, o czym zapewne wiesz. Musiałam wybrać studia prawnicze, czy mi się to podobało, czy nie. Na szczęście podobało się. Skończyłam Yale, jakiś czas pracowałam w sądzie federalnym, a potem przez rok w nowojorskiej firmie prawniczej. Stwierdziłam, że nie nadaję się do prywatnej praktyki, więc wstąpiłam na ścieżkę nauczania. Pierwsze kroki jako wykładowca stawiałam w Chicago, a kiedy dostałam propozycję stąd, czym prędzej z niej skorzystałam. Oto moja historia w pigułce.

- Mężatka? Dzieci?

- Nie, a ty? Dzieci, o ile pamiętam, miałaś.

- Tak, córkę. Studiujecie na uniwersytecie w Pensylwanii.

- Pamiętam twoją żonę - powiedziała. - Uważałam, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Przyprowadziłaś ją do nas na kolację.

- To była moja pierwsza żona. Potem przewinęły się jeszcze dwie. Uśmiechnęła się szerzej.

- Zostałeś mormonem?

- Nie. Za każdym razem dostawałem rozwód.

- A teraz?

- Raz jeszcze samotny biały żagiel. Po chwili milczenia zmieniła temat.

- Myślisz, że powiesz ci się apelacja w sprawie Doktora Śmierci?
- Zazwyczaj nie zakładam się, lecz tym razem gotów jestem postawić na to duże pieniądze.
- Tak? - Uniosła brwi w wyrazie zdumienia. - Dlaczego?
- Sędzia Gallagher osobiście zaangażował się w tę sprawę. Pozwala! na wszystko, z wyjątkiem obarczenia mego klienta winą za zamordowanie Lin-

Z<3

colna. Chociaż może gdyby prokurator poprosił, na to również by się zgodził. Włączył na przykład do materiału dowodowego zeznanie kobiety, która jakoby słyszała, że mój klient postanowił zamordować z litości. Powtarzała plotkę, nic więcej, a on nie miał nic przeciwko temu.

- Oczywiście zgłosiłeś sprzeciw?

- O tak, ale to wszystko wyglądało bardziej na lincz niż proces. - Jeśli sprawa zostanie przydzielona mojemu ojcu, czy on zrezygnuje z jej prowadzenia?

- Ponieważ mnie zna? Nie. Twój ojciec zna większość prawników w tym stanie... dziękuję Palmer. Na jej twarz powrócił ten sam słaby uśmiech.

- Możesz mówić do mnie Cat, jeśli chcesz, tylko nie w obecności studentów.

- Przypuszczam, że utrzymujesz ich w ciągłym przerażeniu.

- Przerażeniu? Nie. Ale nieco dystansu nie zawadzi, Charley, zwłaszcza, jeśli większość studiujących jest w moim wieku, a nawet starsza. W tej pracy potrzebna jest odrobina szacunku.

- Czy mogę postawić ci kawę? Zapewne ciągle jeszcze stoi tu gdzieś automat?

Potrząsnęła głową.

- Mam milion spraw do załatwienia. Oprócz innych obowiązków wykładam prawo karne.

Poprzedni profesor odszedł od nas w pierwszym tygodniu semestru.

- To zajęcia, które prowadził kiedyś twój ojciec. Był moim wykładowcą.

- Ty również kiedyś wykladałeś prawo karne. Pamiętam.

- Wieki temu. W czasie choroby twojego ojca.

- Podobało ci się?

- Uczenie? Uczciwie mówiąc, nie bardzo. A tobie się podoba?

- O, tak - skinęła głową i spojrzała na zegarek. - No, muszę już lecieć. Cieszę się, że cię spotkałam, Charley.

- Kiedy wrócisz do domu, przypomnij mnie swemu ojcu.

- Nie mieszkam już w domu. Ale od czasu do czasu dostaję zaproszenie na łódkę. Pozdrowię go od ciebie.

Odwróciła się i odeszła. Z przyjemnością patrzyłem za nią. Nie była już małą, niezgrabną dziewczynką.

Kiedy wróciłem do biblioteki, wydało mi się, że studenci zerkają na mnie z szacunkiem.

Zastanawiałem się, czy Cat Palmer, spokojna dziewczynka,

KARA ŚMIERCI

korą pamiętałem, wyrosła na tyrana. Jeśli tak, to była najładniejszym tyranem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Jej ojciec, sędzia Frank Palmer, był moim wykładowcą prawa karnego. Zainteresował się mną i nawet zorganizował mi praktykę u swojego przyjaciela. A później, kiedy groziło mi skreślenie z rejestru adwokatów, uratował mnie przed odebraniem licencji. Pozbawiono mnie na rok prawa wykonywania zawodu, ale bez jego cichej pomocy już nigdy nie wróciłbym do praktyki adwokackiej.

Tak wiele dla mnie zrobił, że poczułem się niewdzięczny i nic niewart, ponieważ pożądliwie myślałem o jego córce. Pewnie był to odruch naturalny, lecz jednak wyraz niewdzięczności.

Zacząłem przeglądać sprawy o odszkodowania. Czytałem, ale myślami byłem gdzie indziej.

Ktoś, kto wydobywa się z alkoholizmu, jest równie samotny jak wszyscy inni, tylko dla niego jest to trudniejsze. Dopiero kiedy przestaje się pić, człowiek dostrzega, jak wielkie obszary współczesnego życia towarzyskiego zbudowane są na alkoholu.

Bary i knajpy stają się drugim domem, substytutem dawnych prywatnych klubów dla bogaczy,

miejszem, gdzie można spotkać przyjaciół, zmi-treżyć trochę czasu i nieco się pośmiać. Nawet krótka wizyta rodzinna prosi się o szklaneczkę piwa czy jakąś inną wysokoprocentową formę powitania. Piwo w parku czy piersiówka na meczu futbolowym są wręcz uniwersalne; to płynna więź, która rozjaśnia w głowach i ogrzewa serca jak plemienny rytuał.

I nie ma w tym nic złego, przynajmniej dopóty, dopóki nad tym panujesz.

Dla ludzi takich jak ja, to znaczy tych, którzy nie potrafili nad tym zapanować, kiedy wreszcie rzucają nałóg, świat staje się zamkniętym kręgiem. Uczą się więc kompensacji. Otaczają ludźmi z takimi samymi problemami, przyjaźnie zawierają na spotkaniach anonimowych alkoholików, gdzie nikt ich nie namawia, żeby się napili, bo każdy ma ten sam problem. Nie spotykają się już w barach. Teraz, kiedy Marylou odeszła, samotność ciążyła mi jeszcze dokuczliwiej.

Jednym z miejsc, do których dość często zachodziłem, jest przystań Goldmana, położona niecałe dwa kilometry od mojego biura w Pickeral Point.

KARA ŚMIERCI

Herb Goldman należy do tych ludzi, który nie wyglądają na bogatych, a jednak nimi są. Ale jego przystań to całkiem inna bajka. Wygląda na zaniedbaną i bynajmniej nie są to pozory. Herb uważa, że drewno nie jest stare, dopóki nie rozpada się pod stopami. Wejście na jego łódź to zawsze przygoda, czasami dość ryzykowna. U Herba cumuje prawie sto łodzi, lecz żadna lina nie jest dłuższa niż dziewięć metrów. Miejsce śmierdzi benzyną, smarem i rzeką. Dla żeglarzy jednak te wyziewy są miłsze niż najlepsze perfumy. Sam Herb też śmierdzi benzyną i smarem. Nosi znoszony kombinezon aż sztywny od tysięcy plam oleju i łuszczącej się farby. Wygląda znacznie starzej niż na swoje pięćdziesiąt lat. Jego włosy, a przynajmniej to, co z nich pozostało - białe kępki za uszami i z tyłu głowy, przypominają poranny szron. Skóra Herba, spalona na ciemny brąz przez pięćdziesiąt letnich słońc, jest jak ściągnięta z aligatora. Z ciemną twarzą, spłaszczonym szerokim nosem i głęboko osadzonymi oczami Herb niewiele się różni od małpy. Zrobił sobie dolną szczękę, ale rzadko jej używa, właściwie tylko do jedzenia. Zazwyczaj zęby wystają mu z kieszeni koszuli, kiedyś trzymał je z tyłu w spodniach, lecz pewnego dnia poślizgnął się i upadł, i w rezultacie ugryzł sam siebie w tyłek. Od tamtego czasu trzyma je z przodu. Jego olbrzymie dłonie są gruzłowate i mają kolor oleju silnikowego. Spogląda na świat mrocznymi, żółtymi oczami, których nigdy nie opuszcza podejrzliwość.

Dla kogoś, kto go nie zna, Herb wygląda jak portowy łazik, jeden z tych facetów, co to cały czas włóczy się w pobliżu łodzi i przyjmują każdą robotę, której już nikt nie chce. Ale Herb jest bardzo bogaty, a siedzi na czymś, co może przynieść jeszcze większą forszę.

Wielu spogląda głodnym wzrokiem na jego piękną przystań, widząc, że mogłaby to być złota żyła, gdyby wybudować w tym miejscu luksusowe osiedle. Lecz Herb nie potrzebuje tych pieniędzy. To czarodziej od silników i wszystkiego, co pływa i jest napędzane benzyną. Właściciele łodzi zabierają go nieraz na dalekie morze, żeby postawił diagnozę, co dolega ich pięknym jachtom. I płacą za jego usługi całkiem słono.

Herbowi udało się nie stracić pieniędzy, które zgromadził przez lata. I to czyni go zupełnie nietypowym eks-pijakiem. Większość z nas, w tym również ja, zachowuje się zupełnie inaczej. Wprowadziłem mojego chryslera na wysypany żużlem parking Herba. Czasami ludzie skarżą się, że taka nawierzchnia szkodzi oponom ich samochodów. Wtedy Herb proponuje, żeby zabrali swe łodzie na jakąś inną przystań. Niewielu to robi.

Mój chrysler jest nowy i całkiem wyraźnie słyszę rozzwierający odgłos, kiedy koła powoli toczą się po ostrym żużlu. Staralem się namówić Herba,

KARA ŚMIERCI

żeby przynajmniej wylał parking tanim asfaltem. Ale żaden asfalt nie wydał mu się dość tani. Poszedłem go poszukać.

Był początek maja, więc większości łodzi jeszcze nie zwodowano. Kilkoro ludzi pracowało przy kadłubach. Zajrzałem do dużego hangaru, który służył za magazyn, znalazłem w suchym doku tylko dużą motorówkę z otwartym silnikiem, lecz ani śladu Herba. Nie było go również w jego zagraconym biurze, toteż ruszyłem w stronę prawie opustoszałej kei.

Herb stał na końcu krótkiego pomostu. Sprawdzał wystającym z buta paluchem stan przegniłych,

brudnych od smarów desek.

- Cześć, Herb. Co się stało?

Odwrócił się, spoglądając jeszcze bardziej ponuro niż zwykle.

- Pijacy - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało. Wróciliśmy na brzeg.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - powiedział. - To się wydarzyło zaledwie kilka godzin temu.

-Co?

Zignorował pytanie. Podążyłem za nim do biura. Wyciągnął z chłodziarki puszkę wody sodowej.

- Napijesz się? -Jasne.

Sięgnął po jeszcze jedną i rzucił mi ją.

Pociągnął długi łyk z puszki i przetarł usta wierzchem dłoni.

- Zjawili się tu jakoś tak koło południa. -Kto?

- Pijacy. Kobieta i mężczyzna. Na starym wexlerze. Dziesięciometrowym. Znasz tę łódź?

-Nie.

- Boże, ci od Wexlera to potrafili robić lodzie. Wypadli z interesu już dobre dwadzieścia lat temu, bo nie zgodzili się na włókno szklane, ale kiedyś byli najlepsi. Ta łódź to był właśnie wexler: dziesięć metrów, ręczna robota, wszystko z najlepszych gatunków drewna. Niektóre z takich łajb warte są dzisiaj fortunę. Ta akurat nie była w najlepszym stanie, zauważyłem to na pierwszy rzut oka. Cholerny grzech mieć taką łódź i o nią nie dbać.

Znów pociągnął z puszki długi łyk.

- Tak czy siak, przyplłynęli tu i zacumowali. Myślałem, że chcą paliwa, więc wyszedłem, żeby im pokazać, przy którym doku jest dystrybutor. Ale oni rozglądali się tylko za barem. Pewnie liczyli, że dostaną tutaj coś do

KARA ŚMIERCI

picia. Powiedziałem, że najbliżej jest O'Hara, kawałek w stronę miasta. Poszli tam zataczając się. Westchnął.

- Nie było ich parę godzin. Pracowałem w hangarze, lecz przypadkowo widziałem, jak wrócili. A raczej ich usłyszałem. Wrzeszczeli na siebie, obrzucali takimi słowami, jakich nawet ja nigdy nie słyszałem. Obawiałem się, że mogą być kłopoty, więc znów wyszedłem. Klęli przez całą drogę. Potrząsnął głową.

-Jezu, Charley, ten dupek przekreślił kluczyk, nie włączając dmuchawy. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, żeby ich ostrzec. Walnęło, jak raca na Czwartego Lipca. W tych starych łodziach opary benzyny nie mają ujścia. Cholerne szczęście, że dok był pusty, bo inaczej wysadziliby w powietrze wszystko na odległość stu metrów.

- Zginęli? - zapytałem. Herb potrząsnął głową.

- Skądże! Bóg opiekuje się pijakami, inaczej nas też by tu dziś nie było, no nie?

Skończył pić i jak mistrz drużyny koszykówki trafił puszką do kosza na śmieci.

- Kobieta wylądowała w rzece jakieś osiemdziesiąt metrów od łodzi, on w wodzie między dwoma pomostami. Oboje wyglądali na zdrowo przypieczonych, ale lekarz stwierdził, że oparzenia nie są poważne. Pieprzona łódź już nie istnieje, zostały z niej same wykałaczk.

Westchnął.

- Kiedy zabierał ich ambulans, odgrazali się, że podadzą mnie do sądu. - Spojrzał na mnie swoimi pochmurnymi żółtymi ślepiami. - Mogą?

- Każdy, kto uiszcí odpowiednią opłatę, może skarżyć, kogo zechce - odparłem. - Pytanie brzmi, czy mogą cię oskubać?

- A mogą?

- Czy ktoś oprócz ciebie widział, jak on wtacza silnik bez dmuchawy? Skinął głową.

- Stary Snodgrass. Siedzi tutaj częściej niż ja. Tak szlifuje kadłub, że jest już niewiele grubszy od kartki papieru. To jego hobby. Podejrzewam, że nienawidzi wodować łodzi. Tak naprawdę najbardziej lubi przy niej pracować. Mówi, że widział to samo, co ja.

- Nie dawałeś im paliwa ani nie wykonałeś żadnej usługi?

- Tylko pozwoliłem zacumować.

- Czy byli tak pijani, że nie powinni obsługiwać łodzi?

K.AKA bMlhKU

33

- Nie. Byli zawiani, to pewne, ale nie na tyle, żeby nie móc prowadzić samochodu czy łodzi.

Przynajmniej mnie się tak wydawało.

- Co powiedzą ludzie od O'Hary?

- Dzwoniłem do nich. Ich zdaniem goście wyglądali zupełnie w porządku. Oczywiście potwierdzą, że pili. Oni również nie chcą być oskarżeni. Dlaczego pytasz?

- Jedyny sposób, żeby wyciągnąć od ciebie pieniądze, to udowodnić, że miałeś coś dla nich wykonać, a dopuściłeś się zaniedbania, albo, że zrobiłeś coś, czego nie powinienes, i co wywołało eksplozję.

- Facet sam wywołał eksplozję. Nawet małpa by wiedziała, że najpierw trzeba włączyć dmuchawę, żeby się pozbyć oparów gazu, zanim przekręci się kluczyk.

- Jeśli wszystko jest naprawdę tak, jak opisałeś, nie ma się o co martwić.

- Sądzisz, że bym kłamał?

- Daj spokój, wszyscy trochę ubarwiamy, aby się przedstawić w korzystnym świetle, tak robię, Herb. Ty też. My, prawnicy, dobrze o tym wiemy, więc nie bierzemy niczego na wiarę.

- Nic dziwnego, że wszyscy was nienawidzą.

- Właśnie. Kochają nas tylko ci, którzy nas potrzebują.

- Ten typ był naprawdę rozwścieczony. Wydaje mi się, że złożył pozew, nawet, jeśli nie ma szans na wygrana. Miałeś kiedyś łódź, Charley?

Uśmiechnąłem się.

- Miałem kiedyś sporo rzeczy, nim je przepięłem. Rollsa, nawet własny samolot. Ale nigdy łodzi.

Czemu pytasz?

- Bo to jest coś zupełnie innego. Dla niektórych staje się przedmiotem kultu, celem ich życia.

Przypuszczam, że działa jak narkotyk.

- Albo jak alkohol? Skinął głową.

- Właśnie. Nie potrafią myśleć o niczym innym. Obawiam się, że ten wexler, chociaż o niego nie za bardzo dbał, mógł być czymś takim dla tego faceta. I cała ta cholerna kupa drewna wybuchła z nim w środku. Nie ma znaczenia, że to była jego wina i że miał dość szczęścia, by wyjść z tego z paroma zaledwie oparzeniami, ani to, że jego żona przez kilka tygodni będzie wyglądała jak orzeszek. Ważne jest, że piękny, ręcznie wydłubany wexler zniknął. Zrobi z tego niezłą awanturę.

- Niech robi. Nie masz się czym martwić.

- Zobaczymy. Jeśli coś mocno kochasz, nieważne, co: kobietę, łódź, możesz dostać fioła.

J4

NAKA SMIfcKU

Skończyłem wodę i rzuciłem puszkę w kierunku kosza. Nie trafiłem. Podszedłem więc i włożyłem ją do śmieci. - Już idziesz?

- Mam parę rzeczy do zrobienia.

- Dobra. Jesteś mi winien sześćdziesiąt pięć centów za picie.

- Miło z twojej strony. Co z honorarium za poradę prawną?

- Daj spokój, to mogę dostać za darmo w każdym barze w mieście. Zawsze trafi się pijany prawnik, albo i dwóch, chętnych do popisów. A woda sodowa ma swoją wartość.

- Wpisz na mój rachunek.

Uśmiechnął się, pokazując braki w uzębieniu.

- Niech tam, staje się miękki. Można powiedzieć, że jesteśmy kwita. Wyszedłem. To nie była pierwsza puszka z wodą sodową, na którą zapracowałem. Czasami honorarium za moje porady bywało jeszcze skromniejsze.

Na zewnątrz wciągnąłem powietrze, w którym nadal czuć było odór palonego drewna, wspomnienie eksplozji. Dobrze pasował do innych zapachów.

Zobaczyłem mężczyznę pracującego przy sandałowym kadłubie starej łodzi, postawionej na drewnianych koziolkach. Domyśliłem się, że to Snod-grass. Pomachałem mu, ale był tak skupiony, że nawet mnie nie zauważył.

Dotykał drewna z miłością, nie seksualną, nic w tym sensie; z takim uczuciem musiał zapewne Michał Anioł malować swe najsłynniejsze freski. Każde mażnięcie pędzlem było pieszczotą. Zastanawiałem się, co mógłby zrobić Snodgrass dla przedmiotu swej miłości. Zachwyt na jego twarzy wskazywał, że pewnie wszystko.

Z jakiegoś powodu poczułem się jeszcze bardziej samotny niż uprzednio.

Gdy wróciłem do domu, na automatycznej sekretarce migała czerwona lampka. Każde mrugnięcie w serii oznaczało jeden telefon i pozostawioną wiadomość. Znajdowałem się w takim nastroju, że był mi miły nawet głos nagrany na taśmę.

Napełniłem wysoką szklanę lodem i bezalkoholowym piwem. Usiadłem koło telefonu i wcisnąłem guzik odtwarzania.

Najpierw odezwał się mój agent ubezpieczeniowy, przypominając, że czas uiszczyć składkę. Prosił też, bym wpadł do niego pogadać o zmianie ubezpieczenia. Niewielka szansa. I tak już mnie namówił na więcej, niż kiedykolwiek będę potrzebował.

KAKA ŚMIERCI

Następny telefon był od pani Emily Proder, która tydzień temu poślizgnęła się w miejscowym supermarkecie i uszkodziła nadgarstek. Było to najbardziej ekscytujące przeżycie, jakiego doświadczyła w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. Skarżyłem sklep z jej powództwa. Codziennie tłumaczyłem, że minie parę miesięcy, może nawet lat, zanim dojdzie do rozstrzygnięcia sprawy. Mimo to dzwoniła dzień w dzień. Jeśli nie zastała mnie w biurze, próbowała w domu. Była jednym z powodów, dla których rozważałem możliwość ponownego zastrzeżenia swego domowego numeru. Dla głodującego prawnika każda szansa zdobycia klienta jest dobra, dlatego stara się ułatwić ze sobą kontakt. Adwokat, który odniósł sukces, zawsze ma zastrzeżony numer prywatny. Powoli wdrapywałem się znowu po drabinie sukcesu, należało więc od nowa przemyśleć sprawę telefonu.

Trzecia wiadomość była zupełnie inna.

- Panie Sloan, nazywam się Rebecca Harris. Wydaje mi się, że pan mnie zna. Jestem kelnerką w miejscowej gospodzie. Nazywają mnie Becky. -W tym momencie zamilkła. W jej głosie brzmiało napięcie, co zdarza się dość często ludziom, którym wypadło zadzwonić do adwokata po godzinach jego urzędowania. - Chciałabym się z panem spotkać - dodała jeszcze i podała swój numer telefonu. Zapisałem go na kartce notatnika, który jak zwykle leżał przy aparacie.

Wszystkie kelnerki w gospodzie wyglądały dla mnie tak samo. Harry Sims, który je zatrudnił, lubił starsze blondynki niegdyś piękne, a dziś -choć wciąż ładne - przypominające stare samochody: zużyte, lecz dobrze utrzymane. Były dla klientów miłe, ale się nie spoufały - widać takie obowiązywały zasady w tym przybytku, przynajmniej tak to oceniłem po kilku razach, kiedy wpadłem tam na posiłek.

Zastanawiałem się, która z nich mogła być Becky. Jeśli dobrze się domyślałem, powinna nią być ta wysoka kobieta, która nawet w stroju kelnerki emanowała energią życiową. Ciężka taca nie wydawała się ponad jej siły. Dziewczyna, o której myślałem, wyglądała na twardą i związywała blond włosy w koński ogon.

Jak większość eks-alkoholików czułem słabość do kelnerek. To właśnie one, wraz z barmanami, zaspokajały nasze potrzeby towarzyskie, stanowiły jakby przedłużenie rodziny. Kelnerki mają do czynienia ze wszelkimi przedstawicielami rodzaju ludzkiego, dobrymi i złymi, i - generalnie rzecz biorąc - są dla pijaków tolerancyjne. Co jest bardzo mile, jeśli akurat tak się składa, że sam do nich należysz.

36

KARA ŚMIĘKU

Wykręciłem numer, który zostawiła Becky. Usłyszałem kilka sygnałów, a potem włączyła się automatyczna sekretarka. Głos był ten sam, ale tym razem nie brzmiało w nim zatroskanie, raczej werwa.

Odezwałem się do słuchawki:

- Pani Harris, tu Charles Sloan. Jeśli nie uda się pani zastać mnie dziś wieczorem, będę w biurze jutro rano. Tam z pewnością zdoła się pani ze mną skontaktować. Dziękuję.

Odwiesiłem słuchawkę.

Uśmiechnąłem się. Niech twoja maszyna zadzwoni do mojej maszyny i ustali spotkanie. Przyszło nam żyć we wspaniałych czasach. Popijałem bezalkoholowe piwo, udając, że to drink.

Kiedy wróciłem do biura, pani Fenton, moja sekretarka, już tam była. Każdego dnia zjawiała się punktualnie o dziewiątej. Jeśli przychodziłem po niej, uważała zapewne, że się spóźniam, chociaż to ja byłem szefem. Nigdy nic nie mówiła, lecz na jej twarzy malował się wyrzut.

- Umówiłam pana na spotkanie. Z Rebeccą Harris. Będzie tu za kilka minut.

- Powiedziała, o co chodzi? Pani Fenton zmarszczyła brwi.

- Nigdy o to nie pytam. Powinien pan już wiedzieć.

- Czasami mówią bez pytania.

- Ale nie ona.

Ku swemu niezadowoleniu stwierdziłem, że pani Fenton znowu wysprzątała mi biurko. Wszystko było poukładane w równe stosiki. Problem w tym, że nie wiedziałem, co jest w którym.

Rozmawiałem już z nią na ten temat i prosiłem, żeby powściągnęła swoje gospodarskie zapędy, przynajmniej, jeśli chodzi o teren mojego biurka, ale nic to nie dało.

Wyciągnąłem na wierzch zeszyt z żółtymi kartkami, żeby móc robić notatki, kiedy zjawi się Rebecca Harris.

Kiedy wielkie korporacje mają problemy prawne, zazwyczaj szukają porady w wielkich firmach prawniczych, które specjalizują się w wielkich sprawach i wielkich pieniądzach. U mnie zjawiają się ludzie, kiedy zostaną pobici albo chcą się rozwieść, albo nie mogą poradzić sobie z podatkami i obawiają się bankructwa. Także poszkodowani w wypadkach lub niesłusznie - przynajmniej w ich mniemaniu - wylani z pracy. Przychodzą też tacy, którzy postanowili sporządzić testament albo podważyć ostatnią wolę zmarłego krewnego. Istnieje tyle powodów, ilu ludzi. Wielu, jeśli nie KAKASMIbRCI

większość, zjawia się, gdyż jakiś policjant czy nawet prokurator zarzucił im czyn, za który grozi więzienie. Strach, gniew lub chciwość - albo wszystkie te trzy powody naraz - to główne przyczyny składania wizyt takiemu jak ja adwokatowi.

Zastanawiałem się, co też sprowadza do mnie Rebeccę Harris. Nie musiałem głowić się nad tym zbyt długo, pani Fenton bowiem wprowadziła gościa do mojego gabinetu i zamknęła za sobą dyskretnie drzwi.

Rozpoznałem ją, chociaż wyglądała zupełnie inaczej niż w stroju służbowym - czarnej, przypominającej uniform sukience, takiej, jakie noszą wszystkie kelnerki w gospodzie. Teraz miała na sobie dobrze skrojone spodnie i czarny sweter. Szyję spowijał jedwabny szal. Przez rękę przewiesiła czarny płaszcz przeciwdeszczowy. To była ta, o której myślałem - z włosami ściągniętymi do tyłu.

Uścisk jej dłoni był mocny. Wskazałem fotel po drugiej stronie biurka.

- Czy pan mnie pamięta? - zapytała.

- Tak. Miło cię znowu widzieć. Mogę ci mówić Becky? Skinęła głową.

- W czym mógłbym ci pomóc, Becky?

- Nie jestem nawet pewna, czy to możliwe.

- Opowiedz mi, jaki masz problem, i zobaczymy.

- Czuję się, no... zakłopotana.

Starąłem się przybrać uspokajający wyraz twarzy.

- Żadne twoje słowo nie wyjdzie poza te cztery ściany. Rozluźnij się i po prostu mów.

Przyglądała mi się przez chwilę uważnie, jakby się wahała, w końcu oznajmiła:

- Zostałam zgwałcona. - W jej głosie nie słychać było jakiegóż specjalnej emocji.

- Czy zgłosiłaś to na policję? - Tak. Do biura miejscowego szeryfa. -I?

- Zapewnili, że przeprowadzą śledztwo.

- Becky, chyba lepiej będzie, jeśli zaczniesz od samego początku.

- Chciałabym zapalić, jeśli nie będzie to panu przeszkadzało.

- Proszę.

Wyciągnęła papierosa z torebki i zapaliła go, po czym wydmuchała duży obłok białego dymu.

Zauważyłem, że jej dłoń lekko drży.

- Próbuję rzucić - rzekła - ale teraz jestem za bardzo zdenerwowana.

KARA ŚMIERCI

-Jasne. No więc słucham.

- Czy zna pan Howarda Wordleya?

- Handel samochodami? Skinęła głową.

- To on.

Nie roześmiałem się, choć obraz Howarda Wordleya w roli gwałciciela wydał mi się niesłychanie komiczny. Wordley był właścicielem „Wspaniałego świata samochodów” i importował najbardziej luksusowe marki europejskie oraz kilka japońskich, ale tylko te z najwyższej półki. Spotkałem go kilkakrotnie w czasie miejscowych imprez towarzyskich. Według mojej oceny zbliżał się do siedemdziesiątki i był tęgim, niskim człowieczkiem o wyglądzie zadziornego kogucika, z małymi oczkami jak paciorki, oczkami drapieży. Przypominał kulę na nóżkach, z wierzchu pokrytą krótkimi siwymi włosami, ostrzyżonymi na sposób wojskowy. Becky przewyższała go o dobre kilka centymetrów.

Zaciągnęła się mocno papierosem i kontynuowała:

-To się zdarzyło przedwczoraj w nocy.

- Gdzie?

- Na parkingu za gospodą.

- W twoim samochodzie? Potrząsnęła głową.

- Nie, w jego.

- Mów dalej.

- Miał mnie odwieźć do domu. Kiedy wsiedliśmy do jego auta, zażądał seksu. Nie zgodziłam się.

Wtedy zrobił się nieprzyjemny, więc postanowiłam wysiąść. Podał mi sukienkę i uderzył mnie.

- To niezbyt postawny mężczyzna - zauważyłem cicho. Nie wydawała się urażona.

- Owszem, ale zaskakująco silny.

- Co dalej?

- Staralam mu się wyrwać, lecz ścisnął mnie za gardło. Nie mogłam złapać tchu. Zemdlałam.

Przypuszczam, że tylko na chwilę. Kiedy się ocknęłam, właśnie to robił, właściwie już kończył, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Przytaknąłem.

- Czy poszłaś od razu na policję?

- Nie. Powiedział, że nic nie wskóram. Uważał, że to zabawne. Pozwolił mi wysiąść i jedna z dziewcząt odwiozła mnie do domu.

KARA ŚMIĘKU

- I wtedy zadzwoniłaś na policję? Potrząsnęła głową.

- Nie, dopiero wczoraj, jak się obudziłam. Przyszli do mnie do domu, zabrali do szpitala. To było takie krępujące. Wręcz poniżające.

- Czy rozmawiali z Wordleyem?

- Nie wiem. Twierdzili, że będą.

-Jak to się stało, że w ogóle znalazłaś się w jego samochodzie? Wzruszyła ramionami.

- Często odwoził mnie po pracy.

- Był twoim przyjacielem? Zaciągnęła się papierosem.

- Mam czterdzieści osiem lat - oznajmiła wreszcie. - Trzykrotnie byłam mężatką. Nic mi z tego nie pozostało: ani pieniądze, ani dzieci. Pewnie pan wie, że tutaj, w Pickeral Point, nie ma zbyt wielu facetów do wzięcia, przynajmniej nie dla samotnej kobiety w moim wieku.

Zdusiła papierosa.

- Howard jest żonaty. Nigdy nie ukrywał, że nie zamierza porzucić żony. Był, jak by to powiedzieć, po prostu kimś, z kim się spędza czas.

- Czy sypiałaś z nim? Powoli skinęła głową. -Tak.

- Często?

- Spotykaliśmy się od jakichś trzech miesięcy. I spaliśmy ze sobą. - Zawiesiła na chwilę głos. - Z

początku zabierał mnie do takiego miejsca tuż za portem Huron. Jest tam mały hotelik nabrzeżny i restauracja. To było sympatyczne. Kolacja, parę drinków, potem motel.

-I?

Westchnęła.

- Później kolacja i drinki się skończyły. Motel również. Po prostu chciał, żebym od czasu do czasu obsłużyła go na parkingu.

- Robiłaś to?

Odwróciła głowę i przytaknęła.

- Ale tym razem się nie zgodziłaś?

- Wydaje mi się, że miałam do tego prawo.

- Miałaś.

- Nie jestem pewna - dodała.

- Czego ode mnie oczekujesz, Becky? Żebym pozwał Wordleya?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

KARA ŚMIERCI

- W takim razie czego?

Wyglądała, jakby zbierało jej się na płacz, ale zdołała się opanować.

- Chodzi mi tylko o sprawiedliwość - raczej wyszeptała, niż powiedziała. - Howard jest tutaj ważnym człowiekiem, liczy się. Nie chcę, by myślał, że wszystko mu ujdzie na sucho.

- Ludzie z biura szeryfa są profesjonalistami. Nie powinnaś się martwić. Jeśli na coś trafią, niełatwo rezygnują. Ale taki zarzut jak ten bardzo trudno udowodnić. Nie wystarczą słowa jednej osoby przeciwko słowom drugiej. Jeśli nie ma nic więcej, nie ma przestępstwa.

-Jeśli na przykład czego nie ma?

- Becky, bez świadka, który słyszał krzyki, albo dowodu, że atakujący posłużył się bronią, nie dowiedziesz gwałtu. Chyba że byłyby jakieś obrażenia.

- Takie jak te? - Gwałtownym ruchem ściągnęła z szyi jedwabny szalik, odsłaniając skórę barwy indygo, jak zepsute mięso, z żółtawoczerwonymi pręgami. Szyja wyglądała na spuchniętą. Jakby ktoś próbował oderwać jej głowę.

-O Jezu!

- Mówiłam, że on jest silny. Lekarze twierdzą, że miałam dużo szczęścia. Mógł złamać mi kark. Albo zmiażdżyć żebra. Moja klatka piersiowa jest czar-nofioletowa. Zrobili mi w szpitalu prześwietlenie. Nic nie jest złamane, tyle że nie mogę bez bólu odwrócić głowy ani nawet odetchnąć.

- Z kim rozmawiałas w biurze szeryfa?

- Z detektywem Maguire i jakąś kobietą. Wydaje mi się, że ona też jest detektywem. Nazywa się Gillis.

- Znam ich. Są bardzo kompetentni. Sue Gillis zajmuje się przestępstwami na tle seksualnym. Jesteś w dobrych rękach. Nie potrzebujesz mnie.

- Zadzwoił do mnie adwokat Howarda i zażądał, żebym wycofała oskarżenie.

-Jak się nazywa ten prawnik?

- Victor Trembly. Zna go pan?

Trembly specjalizował się w sprawach karnych, miał biuro w Port Huron i gorszą reputację od mojej. Zasłużenie.

- Znam.

- Boję się.

- Nie ma powodu, Becky. Sąd wszystkim się zajmie.

- Prawdę mówiąc, nie ufam sądowi. Uśmiechnąłem się.

4/

KARA ŚMIERCI

- Czasami nie zawadzi odrobina nieufności, ale w tym wypadku jesteś zupełnie bezpieczna. Tutaj ludzie są uczciwi, a sądy stanowią prawdziwy fundament naszej praworządności. Gdyby fundament był przegniły, cały budynek by się zawalił.

To było bardzo dobre zdanie i prawie w nie wierzyłem.

- Coś ci powiem, Becky. Zadzwoń do Sue Gillis i zorientuję się, czy są jakieś problemy. Choć nie sądzę, aby były. Gdyby Trembly zadzwonił znowu, odeślij go do policjantów albo do mnie.

- Ile jestem winna? - zapytała. - Nie mam za wiele pieniędzy.

- Telefon na policję wykonam gratis. Jeśli będzie coś więcej do zrobienia, zastanowimy się. W porządku?

Starannie zawiązała szalik wokół szyi i wstała.

- Jestem panu bardzo wdzięczna. Już sama rozmowa podniosła mnie na duchu.

Odprowadziłem ją do drzwi.

- Nie masz się czym martwić - zapewniłem. Chciałem uwierzyć, że się nie mylę.

Niewiele osiągnąłem tego dnia. Podyktowałem kilka listów i spotkałem się z klientem, którego przywiodły do mnie problemy z dorastającym synem. Bardziej potrzebował kuratora społecznego niż prawnika, więc podałem mu numer telefonu osoby, z którą powinien się skontaktować.

Obiecałem Becky Harris, że sprawdzę, co się dzieje w jej sprawie. Powiedziałem tak głównie dlatego, żeby poczuła się lepiej, ale trzeba było dotrzymać słowa.

Połączyłem się z biurem szeryfa i poprosiłem Sue Gillis. Sue była ładną, drobną kobietką, wyglądającą bardzo młodo, chociaż dobiegała czterdziestki. Bardziej przypominała prymuskę szkolną niż niezwykle doświadczoną policjantkę. Weszła w dorosłe życie z dyplomem wykwalifikowanej pielęgniarki, ale zmieniła zawód i zaczęła pracować w policji - najpierw w drogówce, na ulicach Pontiac w stanie Michigan. Do Pickeral Point przybyła już jako detektyw. Była spokojna i bardzo sprytna. Jej niewinny wygląd niejednego zmylił. A już z pewnością pewnego faceta, który próbował obrabować miejscowy sklep, kiedy ona robiła w nim zakupy. Nie rzucił broni, więc odstrzeliła mu mózg, który rozprysnął się po całej podłodze.

Od tego czasu nikt nie kpi sobie z Sue Gillis.

KARA ŚMIERCI

Spotkaliśmy się przy kilku sprawach - ona jako oficer śledczy, ja jako adwokat broniący ludzi oskarżonych o przestępstwa na tle seksualnym. Chętnie się śmiała, ale potrafiła się czegoś ucześcić niczym rzep psiego ogona.

- Słucham, Gillis - odezwał się głos w słuchawce.

- Tu Charley Sloan. Jak się miewasz, Sue?

- Świetnie. O co chodzi, Charley?

- Dzwonię w związku ze sprawą na tle seksualnym.

- Która? Dzisiaj był dość ciężki dzień. Dwoje molestowanych dzieci i ekshibicjonista.

- Nic z tych rzeczy. To sprawa Howarda Wordleya.

- Wydawało mi się, że reprezentuje go Trembly.

- Zgadza się. Moją klientką jest ofiara.

- Rebecca Harris?

- Czyżby było więcej poszkodowanych? Parsknęła śmiechem.

- Nie dzisiaj. Jak jesteś w to zaangażowany?

- Raczej nieformalnie. Becky Harris przyszła do mnie. Boi się, że Wordley może się z tego wywinąć.

- Śledztwo w toku - odparła szybko, jakby zbyt szybko.

- Daj spokój, Sue. W czym problem? Widziałaś jej szyję? Chwila ciszy.

- Tak. Zrobiliśmy zdjęcia. Lekarze twierdzą, że o mały włos nie zginęła.

- Więc?

- Nie powinnam o tym z tobą rozmawiać, Charley. Robiło się coraz ciekawiej.

- Dlaczego nie?

- Obowiązują pewne zasady.

- Posłuchaj, pogadajmy niesłużbowo. Znasz mnie przecież, Sue, teraz już nie dam się zbyć.

- Co ona ci powiedziała?

- Rozmawiamy nieoficjalnie? - Jasne.

- Nic zagłębiałem się w to za bardzo, Sue. Wiem tylko, że zaczęła się spotykać z Wordleyem parę

miesiący temu. Jeździli do motelu na chwilę słodkiej miłości do czasu, aż Wordley uznał, że nie będzie marnował czasu ani pieniędzy, i zażądał, by obsługiwała go na parkingu. Najwyraźniej nie opierała się aż do tej nocy, kiedy nie zaspokojony kochanek chwycił ją za gardło i wymusił swoje.

KARA ŚMIERCI

- Mniej więcej to samo i mnie opowiedziała - stwierdziła Gillis. -No i?

- Wordley złożył oświadczenie. Był z nim Trembly. Twierdzi, że jej płacił. -Akurat!

Roześmiała się znowu.

- Wiesz przecież, że to się zdarza. Nie każdy jest tak przystojny jak ty, Charley.

- Nie będę się spierał na ten temat, Sue, ale najwyraźniej Wordley kłamie.

- Dlaczego?

- Ponieważ mieli romans.

- On zaprzecza. Podobno od początku płacił za to, co dostawał.

- W takim razie dlaczego ją dusił?

- Mówi, że już po wszystkim dał jej dwadzieścia dolarów, lecz ona zażądała więcej. Nie zgodził się i wtedy dostała szału. Musiał się bronić.

- No cóż, przypuszczam, że mógłby jeszcze sporo naopowiadać. Prawdopodobnie Trembly wysmażył dla niego tę historyjkę. To do niego podobne.

- Może.

- Sue, ta kobieta jest zdrowo poturbowana. A on przyznał, że miał z nią stosunek. Obrażenia świadczą na jej korzyść. W czym więc problem?

Odparła po chwili cicho:

- Becky Harris była w przeszłości skazana za nagabywanie i molestowanie. -Co?!

Westchnęła.

- W Cleveland, jakieś dziesięć lat temu.

- Pytałaś ją o to?

- Zadzwoiłam do niej, gdy trafiliśmy po odciskach palców na akta. Przyznała, że miała w Cleveland kłopoty z policją. Nie od razu, ale potwierdziła nasze informacje.

- A niech to!

Znowu parsknęła śmiechem.

- Teraz więc widzisz, że to wcale nie takie proste, co?

- Skazano ją, kiedy niektórych sędziów jeszcze nie było na świecie. A poza tym życie seksualne tej kobiety w przeszłości nie ma związku ze sprawą.

- Charley, ma, jeśli przyjąć, że chodziło o obronę. Wordley twierdzi, że ona zaczęła bójkę. Żeby wzmocnić swoją pozycję, będzie też utrzymywał, że płacił jej za usługi. Ponieważ ona wniosła skargę, będzie musiała zeznawać. Sąd oddali jej zarzuty w mgnieniu oka, dobrze o tym wiesz.

- A gdybyśmy tak odrzucili gwałt i zostali przy samej napaści?

KARA ŚMIERCI

- Ta sama historia, ta sama obrona. Może by się i przyznał, chociaż wątpię. W tych okolicznościach Trembly wybije mu to z głowy.

- Sue, on o mało nie zabił tej kobiety. Nie możesz pozwolić, żeby uszło mu to płazem.

- Charley, gdyby on był twoim klientem, sam byś gardłował, że nie ma podstaw, by wnieść oskarżenie.

Trafiła w samo sedno.

- Co więc mam jej powiedzieć?

- Prawdę. Jak się pewnie domyślasz, dokładnie sprawdzamy pana Howarda Wordleya. Jeśli coś takiego już mu się zdarzało, to zupełnie zmieni postać rzeczy. Powiadomimy ją, co zdecydował prokurator.

- Kiedy?

- Za tydzień, może szybciej. Chcę powęszyć w motelu i jeszcze zbadać kilka drobiazgów, zanim udam się z tym do prokuratora.

-Jakie zajmiesz stanowisko? Westchnęła.

- Nie mogę zapomnieć widoku szyi tej kobiety, więc chociaż wątpię, by udało nam go przyszpilić,

zarekomenduję śledztwo. Gdyby jeszcze chwilę ją dusił, mielibyśmy sprawę o morderstwo.

- Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

- To dziwne uczucie mieć cię po swojej stronie, Charley. Czuję się nieco zdezorientowana.

Zadzwoń, kiedy będę coś wiedziała.

- Dzięki, Sue. Odłożyłem słuchawkę.

W hrabstwie Kerry nastąpiła ostatnio zmiana na stanowisku prokuratora. Poprzedni, Mark Evola, skorzystał z okazji i objął stanowisko sędziego okręgowego. Ponieważ ja pokonałem go w sprawie o morderstwo Harwella, wierzył, że tym samym zniszczyłem jego szanse na wyższy urząd. Obecnie był jednym z trzech sędziów hrabstwa. Zamierzał jednak startować w wyborach jesiennych, więc zawsze, gdy się spotykaliśmy, obdarzał mnie uśmiechem. Ale jego oczy nigdy się nie śmiały. Kiedyś spróbuje mnie trafić. Wiedziałem o tym. A on wiedział, że ja wiem. To była tylko kwestia czasu.

Nowy prokurator, który zajął stołek po Evoli, również przymierza się do jesiennych wyborów. Do tego czasu musiał uważać na każdy krok i na pewno nie zrobi nic kontrowersyjnego. Takiego na przykład jak oskarżenie o gwałt głównego importera samochodów w mieście.

KARA SM1HRC1

Becky nie miała najmniejszej szansy.

Kilka minut po trzeciej zadzwonił Mickey Monk. Najwyraźniej był pod dobrą datą.

- Znam już termin sprawy. Jezu, nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko. - Był bardzo spięty, jego głos łamał się na granicy krzyku. Trudno ocenić, w jakim stopniu przyczynił się do tego alkohol, a w jakim zdenerwowanie.

- Kiedy, Mickey?

- Dwudziestego piątego maja. Cholernie szybko.

- Mamy trzy tygodnie. To mnóstwo czasu. Czym się martwisz?

- Charley, wiesz, że wszystko włożyłem w tę sprawę. Jeśli nie wygram, czeka mnie grób, mogiła.

Moi kredytodawcy stają się nerwowi.

- Wyluzuj się, Mickey. To będzie nasz najlepszy strzał.

- Czytałeś o tych facetach czekających na pluton egzekucyjny?

- No i co?

- Wiem, jak się czuli.

- To niezupełnie to samo, Mickey.

- Może dla ciebie nie, ale dla mnie tak. Myślę, że szybka śmierć byłaby lepsza niż to, co mnie spotka w razie przegranej.

Po chwili milczenia odezwał się już spokojniejszym głosem:

- Chyba powinieneś zobaczyć się z moim klientem.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się ważne, byś ujrzał tego biednego skurczybyka na własne oczy. To może ci pomóc w sądzie.

- Czy mógłbyś go przywieźć do mojego biura?

- Nie, Charley. To bardziej roślina niż człowiek. Wyznacz dzień, a zawiozę cię do niego.

- Sądzę, że to niepotrzebne.

- Może dla ciebie, ale nie dla tego faceta. Jego przyszłość także zależy od wyniku sprawy.

Opowiadać o kimś, kogo zna się z akt, to zupełnie co innego, niż go zobaczyć i poznać problem, że tak powiem, z pierwszej ręki.

- Mickey, jestem dość zajęty.

- Wszyscy jesteśmy zajęci, lecz to ważne. Proszę cię o przysługę, Charley.

Westchnąłem.

- No dobrze. Kiedy chcesz jechać?

K.AKA SM1fcRCI

- Pasuje ci najbliższy poniedziałek?

Przerzuciłem kartki stojącego na biurku kalendarza. Zaplanowałem na poniedziałek kilka spraw, ale nic takiego, czego nie dałoby się przełożyć. Mickey najwyraźniej kiego się trzymał. Mogłem

sobie pozwolić na stratę dnia choćby tylko po to, by okazać sympatię innemu prawnikowi.

- Dobrze - powiedziałem.

- Przyjadę po ciebie.

Wiedziałem, że Mickey nie potrafi już egzystować bez alkoholu. Uznałem więc, że bezpieczniej, chociaż mniej wygodnie będzie, jeśli poprowadzę samochód sam.

- To ja wpadnę po ciebie. O której?

- Dziesiąta ci odpowiada? To z godzinę drogi ode mnie. Spotkamy się z facetem, a potem zjemy razem lunch. Spędzimy przyjemny dzień. Jak za dawnych czasów.

- W takim razie o dziesiątej - rzekłem i odłożyłem słuchawkę. Miałem złe przeczucia w związku z tą historią, lecz właściwie nie wiedziałem, dlaczego. Zaznaczyłem godzinę w kalendarzu.

Resztę dnia spędziłem na przygotowywaniu spraw, które następnego dnia czekały mnie w sądzie okręgowym. Nic wstrząsającego. Występowałem o czasowe obniżenie alimentów. Mój klient zbiedniał i znajdował się w prawdziwie rozpaczliwej sytuacji. Groziło, że niedługo będzie musiał nocować w samochodzie. Sędzia prowadzący sprawę sam był dwukrotnie rozwiedziony, więc jeśli nawet na nic innego, mogłem przynajmniej liczyć na jego współczucie i zrozumienie.

Druga sprawa dotyczyła zmniejszenia kaucji. Klient, który miał ją zapłacić, był cichym i miłym człowieczkiem, dopóki nie wstąpił do jakiegoś baru.

Niewiele było trzeba, żeby go zdenerwować - niekiedy wystarczyła prośba o przesunięcie popielniczki. I choć taki mały, mężczyzna ten regularnie uszkadzał sprzęty i ciała. Już po raz trzeci stawał przed sądem. Tym razem za rozbicie jednego nosa i zniszczenie trzech stołków barowych. Bez paliwa był łagodnym i rodzinnym człowiekiem, z zawodu księgowym. Pod wpływem alkoholu zmieniał się w istny huragan. Kaucję ustali! ten sam sędzia, który ostatnio wypuścił go warunkowo. Teraz zażądał stu tysięcy dolarów. Pozostanie w areszcie groziło mojemu klientowi utratą pracy. Ucierpiałaby na tym jego rodzina - żona i dzieci.

Mogłem tylko złożyć grzeczną prośbę, chociaż wiedziałem, że mój człowiek ma tyle szans na wyjście z więzienia, ile ja na główną wygraną w loterii. Cierpliwość sędziego już dawno się wyczerpała.

48

KARA SMIłhKU

Przygotowanie do obu spraw ograniczało się do sprawdzenia, czy wszystkie papiery są w porządku, i przypomnienia sobie tego, co zamierzałem powiedzieć.

Potem planowałem zjeść kolację w mojej ulubionej restauracji, a następnie pojechać do oddalonego o godzinę drogi Detroit na cotygodniowe spotkanie członków mojego klubu. Tak nazywaliśmy czwartkowe zebrania anonimowych alkoholików w podziemiach kościoła pod wezwaniem świętego TadeuszaJudy.

Właściwie nie różniły się one od zebrań w innych klubach. Mieliśmy coś w rodzaju rytuału - zazwyczaj czytaliśmy fragment Dwunastu kroków. Znaliśmy się wszyscy i mniej lub bardziej darzyliśmy sympatią. I wszystkich nas łączyło jedno - jak pozostać trzeźwym. Od innych klubów odróżniał nas tylko brak składek.

Pani Fenton, jak zwykle, wymknęła się cichaczem dokładnie o piątej. Telefon zadzwonił w chwili, gdy zamykała za sobą drzwi. Słyszałem jeszcze jej kroki na schodach. Nie cofnęła się jednak, więc po czwartym dzwonku podniosłem słuchawkę.

- Charley Sloan - powiedziałem.

- Będzie rozmawiał Victor Trembly, proszę zaczekać - zażądał oficjalny damski głos.

Czekałem, słuchając włączonej melodyjki. W chwili, kiedy wreszcie postanowiłem się rozłączyć, odezwał się:

- Charley, jak leci? - Powitanie było równie entuzjastyczne, co nieszczerze.

- Nigdy lepiej, Victorze. W czym mogę ci pomóc?

- Dowiedziałem się od policji, że masz jakieś związki z Rebeccą Harris.

- Takie same jak ty z Howardem Wordleyem. Reprezentuję panią Harris.

- W jakim celu?

- Pytasz mnie, czemu ludzie wynajmują adwokata, Victorze? Żeby wytrząsnąć z kogoś innego całe

gównu. Może to jest powód. A dlaczego cię to interesuje?

Nawet jego śmiech brzmiał arogancko.

- Charley, ta dziwka jest naciągaczką, kłamliwą naciągaczką. Nigdy dotąd nie reprezentowałeś kurew. Co cię naszło?

- Tę reprezentuję, kimkolwiek jest. Przypominam ci, że to ty do mnie zadzwoniłeś, o co więc chodzi?

- Chcę, żeby ta kobieta wycofała oskarżenie przeciwko mojemu klientowi.

KAKA ŚMIERCI

- Kto by nie chciał? Przystępstwo na tle seksualnym czy gwałt nie wygląda dobrze nawet w naszych wyzwolonych czasach. Wordley o mały włos jej nie zabił, wiesz chyba o tym? Nikt nie zamierza niczego wycofywać, Victorze.

- Czy myślisz o wytoczeniu sprawy cywilnej o odszkodowanie?

- Może. Dlaczego pytasz?

- Ona kłamie i potrafimy to udowodnić, ale wolę, żeby mój klient przez to nie przechodził, więc się dogadajmy.

- Victorze, czyżbyś chciał utrudniać działanie aparatu sprawiedliwości? Tak się o tobie mówi, lecz nigdy w to nie wierzyłem. Wstyd, Victorze, naprawdę wstyd.

Roześmiał się, ale zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie.

- Posłuchaj, Charley, obaj jesteście adwokatami i próbujemy rozwiązać problem prawny. Nikt nie zamierza jej przekupić. Nic z tych rzeczy. Będę postępował zgodnie z prawem.

- Z tego, co wiem, Victorze, jej nie interesują pieniądze.

- Daj spokój, przecież jest kobietą, prawda? - Chrząknął znacząco. - Tak naprawdę tylko pieniądze je interesują.

-Widzę, że jesteś szczęśliwie żonaty, Victorze.

- W stanie permanentnej euforii - westchnął. - Posłuchaj, nie proponuję ci nic nielegalnego.

Porozmawiaj z nią. Jeśli nosi się z zamiarem wniesienia skargi o odszkodowanie, możemy się porozumieć.

- A gdyby wchodziło w rachubę tylko postępowanie karne?

- Na to nie ma szans, bo brała pieniądze. Pogadaj z nią, Charley. Jeśli będzie rozsądna, dobrze na tym wyjdzie.

- Zdefiniuj rozsądek. Prychnął niesympatycznie.

- Zadzwon do mnie, jak się z nią porozumiesz, Charley. Może wtedy uzgodnimy definicję.

Przerwał rozmowę. W słuchawce zapanowała cisza. Żadnej muzyczki. Poczulem, że muszę wziąć prysznic.

Żądanie pieniędzy równałoby się szantażowi, o czym Trembly doskonale wiedział. Byłby to znakomity powód zarówno do sprawy karnej, jak i cywilnej. Czułem się urażony, że zastawiono na mnie tak nędzną pułapkę.

Miałem ochotę na drinka. Jak to miło, że czekało mnie spotkanie anonimowych alkoholików. Gdzie każdy miał ochotę na drinka.

w

poniedziałek, zgodnie z obietnicą, zabrałem Mickeya Monka spod drzwi jego biura. Usadawił się wygodnie na przednim siedzeniu i rozejrzał. -Jezu, Charley, niezły wóz, ale to nie to samo, co twój dawny rolls. Włączyłem się w ruch na niezłe zatłoczonej szosie, kierując się w stronę autostrady.

-Jak wszystko inne, mój jeszcze nie tak bardzo stary rolls został wessa-ny. Wóda i eks-żony zadziałały razem jak pierwszorzędny odkurzacz. Mickey chrząknął.

-Ja miałem szczęście z moją byłą. Uczepiła się konowała, którego wreszcie poślubiła. Znacznie bardziej zależało jej na rozwodzie niż na mnie. Nie poprosiła nawet o centa. Obecna, druga pani Monk, ma duszę pirata. Ale to właśnie trzyma mnie w małżeństwie. Gdybym dał jej najmniejszy powód do rozwodu, zostawiłaby mi tylko gołe jaja i hipotekę. Hej, widzę, że wiesz, jak jechać.

- Na Ann Arbor. Sam mi powiedziałeś.

- Zajmie nam to z godzinę, zależy od prędkości. - Westchnął. - Dla mnie to czysty odpoczynek. Mogę sobie po prostu siedzieć i podziwiać widoki.

Czułem w jego oddechu alkohol. Mickey szybko szedł na dno. Ludzie, którzy muszą zaczynać dzień od kielicha, zastępującego im rozrusznik serca, choćby nie wiem jak się usprawiedliwiali, są już w poważnych tarapatkach.

Znam to z doświadczenia.

Przez pierwszą część drogi Mickey nie przestawał mówić; wyraźnie się denerwował. Mój udział w rozmowie ograniczał się do kiwania głową i rzucania od czasu do czasu potwierdzającego „aha”. Kiedy mijaliśmy rozrastające się lotnisko Metropolitan, zaczął tracić werwę. Wreszcie zamilkł kompletnie.

KARA ŚMIERCI

Zerknąłem, żeby sprawdzić, czy czasem nie usnął, ale nie. Wpatrywał się w mijany równinny krajobraz, żując dolną wargę. Jeśli Mickey nie opanuje się, zanim zakończymy sprawę, zupełnie straci ten fragment ciała.

Opuściliśmy międzystanową i wjechaliśmy na opuszczoną drogę prowadzącą przez uniwersyteckie miasteczko Ann Arbor.

- To tutaj, ta niewielka farma po lewej - powiedział Mickey, wskazując ręką.

Był to po prostu mały domek i kilka nędznych grządek. Za budynkiem stała przyczepa samochodowa. Zauważyłem, że między domem a przyczepą biegnie trakcja elektryczna.

Wjechałem na zniszczony podjazd i zaparkowałem za rdzewiejącym łazikiem.

- W tym domu mieszkają rodzice jego żony - wyjaśnił Mickey. - On w przyczepie.

- A co z żoną i dziećmi? Przecież przyczepa jest za mała, żeby się pomieścili.

- W domu, z rodzicami.

- Trochę tłoczno.

- Zgadza się.

Z zarośli wypadł piesek i ruszył w naszą stronę. Zatrzymał się o kilka kroków od samochodu i zaczął ujadać. Nie miał ochoty na żadną awanturę, nawet się jej trochę obawiał, ale wiedział, że szczekanie jest jego obowiązkiem. Widać było, że to tylko na pokaz, nie wkładał w robotę serca. Kiedy tylko wysiedliśmy, uspokoił się. Powoli podszedł do nas, udając nieufność, lecz zarazem entuzjastycznie wywijając ogonem. Mickey wydal z siebie jakieś uspokajające dźwięki i psiak natychmiast nadstawił się do pieszczoł.

Nikt inny nie wyszedł nam na spotkanie. Obeszliśmy dom, kierując się od razu do przyczepy.

- Uprzedziłeś telefonicznie, że przyjeżdżamy?

- Wiedzą.

Przyczepa stała jakieś czterdzieści kroków za domem. Prowadziła do niej wyłożona drewnianymi płytami dróżka, a do drzwi wiodła niefachowo wykonana, również drewniana rampa. Przyczepa była starego typu - metalowa, z zaokrąglonymi rogami dla zmniejszenia oporu powietrza.

Wyglądała jak rekwizyt z jakiegoś niskobudżetowego filmu science fiction - wyszczerbiona kapsuła kosmiczna lub spodek, którym przybyli na Ziemię obcy. Zastanawiałem się, czy zdołamy się wewnątrz wszyscy pomieścić.

oz

K.AKA bMIfcKU

Kiedy zaczęliśmy wchodzić po rampie, drzwi przyczepy się otworzyły.

Stała w nich chuda kobieta ubrana w tanią sukienkę. Jej patykowate nogi wystawały z dużych sportowych butów, takich do kostek, jakie reklamują w telewizji byli koszykarze. Nie była ani brzydka, ani ładna. Po prostu nijaka. Miała bardzo krótko, tuż przy skórze obcięte włosy i nosiła okulary. Grube szkła wydawały się powiększać jej oczy.

Patrzyła na nas twardym wzrokiem, prawie wrogo.

- Cześć, Mildred - powiedział, podchodząc do niej, Mickey. - To jest Charley Sloan.

Zlustrowała mnie od góry do dołu. Takim spojrzeniem kobiety oceniają na targu, czy ryba jest świeża.

Nie wyciągnęła ręki, tylko kiwnęła głową i odstała od drzwi.

- Wejdźcie - rzekła tonem wskazującym, że będziemy zaledwie tolerowani, nic ponadto.

Nie byłem przygotowany na panujący wewnątrz odór.

- Przydałoby się sprzątanie - usprawiedliwiła się Mildred - ale po prostu nie miałam czasu. Kiedy weszliśmy do środka, przyczepa się zachybotała. Potrwało z dobrą minutę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do panującego w niej mroku. Chyba bym wolał, żeby tak się nie stało. Prawie całe wnętrze zajmował specjalny fotel na kółkach. Ręce mężczyzny przymocowane były do jego boków bandażami, podobnie patykowate nogi, oparte na mocno odsuniętym stopniu. Głowa również trzymała się na swoim miejscu tylko dzięki bandażom. Migoczące światło telewizorka ustawionego na półce naprzeciwko rzucało niesamowite refleksy na jego twarz. Zauważyłem, że obraz jest nieostry. Głos był ustawiony tak cicho, że z trudem można było dosłyszeć tylko co poniektóre słowa.

- Jak się masz, Will? - zapytał Mickey, zupełnie nieświadom niestosowności takiego powitania. - To jest pan Sloan. Wystąpi w twojej sprawie w sądzie apelacyjnym.

- Witam - powiedział McHugh, spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło. Widziałem zdjęcia i kasetę wideo, którymi Mickey posłużył się w czasie procesu, ale mimo to nie byłem przygotowany na tak straszliwą rzeczywistość. Mężczyzna wyglądał jak szkielet-kości policzkowe prawie przebijały jego naciągniętą skórę twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby miał dziewięćdziesiąt.

KARA ŚMIERCI

a nie trzydzieści pięć lat. Był nieuczestny, a ten, kto go golił, pozostawił na brodzie nietkniętą kępki.

- Jezu, Will - odezwała się jego żona nieprzyjemnie zawodzącym głosem. - Znowu się zsikałeś. - Przesadnie mocno pociągnęła nosem.

- Nie wiem, Milly - odpad cicho, głosem stłumionym oceanem nieszczęścia. - Nic nie czuję, wiesz przecież.

- Długo tutaj będziecie? - zapytała Mildred Mickeya.

- Nie sądzę.

- W takim razie przebiorę go później. - Odwróciła się i wyszła.

- Przepraszam - rzekł Will McHugh. - Nie mam nad niczym kontroli. Ona zmienia mi pieluchy kilka razy dziennie. - Znowu spróbował się uśmiechnąć, jakby chcąc obrócić wszystko w żart, i znów mu się nie udało.

- Nie przejmuj się, Will - powiedział Mickey, usuwając jakieś rzeczy z wyściełanej ławeczki. Usiadł, a ja obok niego. Oczy McHugh'a podążyły za nami. Ławka była bardzo mała. Wszystko w tej przyczepie było małe. Zrobiło mi się nieprzyjemnie gorąco. W tym momencie zauważyłem lśnienie elektrycznego grzejnika tuż za fotelem inwalidzkim.

- Pan Monk twierdzi, że jest pan specjalistą od takich apelacji - zwrócił się do mnie Will. Mówił dziwnie przyciszonym głosem.

- Zajmuję się takimi sprawami - potwierdziłem.

- Czy wygramy?

- Mamy spore szanse. - Gdy wypowiadałem te słowa, ujrzałem w oczach Mickeya Mońka panikę.

- Tylko szansę, mój Boże. - Oczy McHugh'a w jednej chwili napełniły się łzami.

- Duże szanse - dodałem szybko, żeby podnieść na duchu tak jego, jak i siebie. - Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat wypadku. Czytałem pańskie zeznanie złożone w czasie śledztwa, ale muszę poznać jeszcze parę szczegółów. - Właściwie wcale nie musiałem, lecz o czymś przecież trzeba było rozmawiać.

- Dobrze - zgodził się łagodnie.

- Czy przed wypadkiem miał pan jakieś kłopoty ze swoim pojazdem? To było jak rozmowa z dwojgiem pozbawionych ciała oczu. Will nie mógł ani skinąć głową, ani wykonać jakiegokolwiek gestu. Do komunikacji służyły mu tylko oczy i głos.

- Jeździłem nim dopiero z miesiąc czy dwa. Nie zauważyłem nic niepokojącego. Nic, co byłoby można uznać za ostrzeżenie. Pracował bez zarzutu.

- Czy tylko pan nim jeździł?

KARA ŚMIERCI

Westchnął.

- Tak. Moja żona prowadzi, ale ten samochód był dla niej za duży. Bala się. - Zamilkł na chwilę. - Ja też powinienem być.

- Nie wiedział pan, że z tym modelem bywają problemy, że niekiedy nagle przyspiesza?

- Nie, do diabła. Nikt mnie nie uprzedził.

- I takie przyspieszenie nigdy wcześniej się panu nie przydarzyło?

- Nigdy. Wyszedłem z baru, jak pan zapewne już wie. Wypiłem kilka piw, ale nie byłem pijany. Oni twierdzą, że tak, lecz to nieprawda. Świadczą o tym badania krwi, które zrobiono mi w szpitalu.

- Zgadza się. Proszę mówić dalej.

Kiedy przypominał sobie to, co się stało, jego oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń.

- Nie jechałem wcale szybko, naprawdę. Sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Nagle samochód sam przyspieszył. To było tak, jakby ktoś przycisnął pedał gazu do dechy. Jak w koszmarze nocnym. Straciłem kontrolę. Wcisnąłem hamulec, ale to nic nie dało, przeraziłem się, że zaraz przeokołkuje. Nie przyszło mi do głowy, żeby wyciągnąć kluczyk ze stacyjki. -

Zamilkł, po czym odezwał się już spokojniejszym głosem. - Co było potem, nie pamiętam.

Ocknąłem się dopiero w szpitalu. -W kącie oka uformowała się łza i spłynęła po jego wymizerowanej twarzy. - To wszystko.

Chciałem wyjść z tej gorącej, śmierdzącej przyczepy.

- W porządku - oznajmiłem. - Cieszę się, że mogłem porozmawiać z panem chwilę, zanim stanę przed sądem. Żeby bardziej wczuć się w sprawę, rozumie pan. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wygrać.

Jego oczy powróciły do telewizora.

- Te pieniądze to właściwie nie dla mnie - rzekł bardzo cicho. - Raczej dla mojej żony. Cóż to dla niej za życie. Mając pieniądze, będzie mogła umieścić mnie w jakimś miłym miejscu. Nie w domu starców, nie chciałbym iść do takiego, ale w przyjemnym domu, gdzie byłiby tacy ludzie jak ja. I gdzie by się mną zajęto.

- Żona nie chce pana nigdzie odesłać - powiedział Mickey. - Kocha pana.

- To kara boska, która spadła na mnie - mówił Will, jakby zwracając się do telewizora. -

Zamierzałem tego dnia popełnić grzech. Zostałem straszliwie ukarany, lecz pewnie słusznie mi się należało. Ale moja żona nie miała z tym nic wspólnego. To nie w porządku. Gdyby dostała pieniądze, mogłaby znaleźć dla siebie i dzieci jakieś spokojne, ładne miejsce.

KARA ŚMIERCI

Zamilkł tym razem na dłużej.

- Teraz musi robić wszystko sama, karmić mnie, myć, przebierać. Co to dla niej za życie. Wiem, że nienawidzi mnie za to, co zrobiłem. Nie mam do niej żalu.

- Nie martw się, Will - wtrącił Mickey. - My się będziemy martwili za ciebie.

- Nieraz przychodzi pielęgniarka z opieki społecznej, która robi to, czego Milly nie potrafi. Ale cała reszta...

Monk podniósł się i poklepał Willa McHugh'a po nodze, zapominając, że ten nie może poczuć dotknięcia.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił.

- On ma rację - dodałem, czując się jak oszust. Miałem wybór między okrutną prawdą a miłosierdziem. Wybrałem miłosierdzie. - Wygram tę sprawę - dorzuciłem jeszcze. - Obiecuję to panu.

Nie jestem pewien, czy mnie usłyszał. Jego uwaga była całkowicie skoncentrowana na zamglonym ekranie telewizora. Jakby uciekał w migający obraz - jedyne miejsce, do którego mógł teraz uciec. Powietrze na zewnątrz wydało się chłodną ambrozją. Łykałem je łapczywie. Mildred McHugh wyszła z domu i przyglądała się nam.

-Już skończyliście? - zapytała Mickeya.

-Tak.

- Dobrze. Teraz mogę go przebrać. On nic nie czuje, ale mnie się robi jakoś lepiej. Chcecie jeszcze coś?

Mickey potrząsnął głową. -Nie.

- Kiedy odbędzie się ta rozprawa apelacyjna?
- Za parę tygodni.
- Czy musimy tam być?
- Nie - odparł Mickey. - Tylko prawnicy.
- Tym lepiej - skinęła głową. - Przewieźć go nie byłoby łatwo. Spojrzała na mnie przez swe grube szkła.
- Jeśli nie uda się panu wygrać, zabiję się. - To nie był żart. W jej głosie słychać było jedynie rezygnację. Po prostu nas informowała. Ruszyła w stronę przyczepy.
- Poszedłem za Mickeyem do samochodu.
- Jedźmy - powiedział. - Przydałby mi się jeden głębszy.
- Mnie też. Dlatego właśnie zatrzymamy się na jednego. - Wycofałem się z podjazdu. - Mickey, dlaczego, u diabła, uparłeś się, żeby mnie tu przywieźć? To stracony czas.

Ob

KAKA SMIEKU

- Nie, wcale nie stracony - zachnął się. - Kiedy staniesz przed sądem i zaczniesz przemawiać do tych nadętych typów w czarnych togach, przypomnisz sobie tę wizytę. Przypomnisz sobie tego biednego skurczybyka i dlatego twoje przemówienie będzie lepsze.
- Nic nie odparłem, tylko przycisnąłem pedał gazu. Monk nie odzywał się przez dłuższą chwilę, potem odwrócił się i spojrzał na mnie.
- Pamiętasz film „Mucha”? - Tak.
- Will McHugh kojarzy mi się z nim. Wpadł we własną sieć i woła: „Pomóżcie mi, pomóżcie!” Tak właśnie o nim myślę.
- W filmie pomogli bohaterowi, zabijając muchę, nie wiem, czy sobie przypominasz?

Mickey przytaknął.

- Miłosierdzie może się wyrażać na wiele sposobów - rzekł cicho. Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, po czym odezwał się znowu:
- Boże, mam nadzieję, że wygramy tę sprawę.
- Mickey umierał, a przynajmniej twierdził, że umiera, więc ulitowałem się nad nim i zatrzymałem na lunch w restauracji tuż za lotniskiem. Wziąłem kanapkę z wołowiną i kawę. Monk zamówił sandwicza z szynką, którego nawet nie tknął, i cztery manhattany. Przy czwartym zaczął wyglądać jak dawny Mickey. Może nie do końca radosny, ale już nie w depresji.

Rozmawialiśmy o sprawie.

- Czy wiesz, na kogo trafisz? - zapytał.
- Dowiem się dopiero w przyszłym tygodniu. Pociągnął ze szklanki.
- Tu leży pies pogrzebany, Charley. Nie możesz jakoś wpłynąć, żeby nam przydzielili odpowiedniego sędziego?

Potrząsnąłem głową.

- Już lepsi ode mnie tego próbowali. Bez powodzenia. Tak mi przynajmniej wiadomo. - Jesteś pewien?

- Czasami sędziowie dostają sprawę, na której im zależy. Nie powinno tak być, lecz się zdarza. Kwestia przypadku. Ale jeśli nikt nie jest zainteresowany, nie ma o czym mówić. To ich wewnętrzny problem.

- Może jednak któryś z twoich przyjaciół zechciałby się nad nami ulitować i coś dla nas zrobić?

KARA ŚMIERCI

Parsknąłem śmiechem.

- Nie mam takich przyjaciół, Mickey. Poza tym nikt, kogo znam, nie zrobiłby czegoś podobnego. Samo ryzyko i nic w zamian.

- Mówiłem ci już, co słyszałem na temat tego „w zamian”.

- Tak, mówiłeś. Ale z tego, co ja wiem, wynika, że wszystkie decyzje podejmowane są na samej górze. Ci sędziowie od apelacji kręcą się wokół siebie niczym ryby w wiadrze. Jeden drugiego obserwuje jak jastrząb. Nie mogą sobie pozwolić na żadne przewalki. Są wśród nich liberałowie, konserwatyści i przedstawiciele innych partii. A każdy jest bardzo drażliwy na punkcie etyki

sędziowskiej. Nikt nie załatwia interesów własnych, przynajmniej nie otwarcie. Zbyt wiele oczu. Poza tym dałoby się może urobić jednego sędziego, lecz nie trzech.

- Nie byłbym taki pewien.

- Kiedy się dowiem, kogo mamy, zadzwonię do ciebie. Skinął głową, a potem się odwrócił.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli nie przyjdę na rozprawę?

- Nie. Dlaczego?

- Ta cholerna sprawa wyciąga ze mnie wszystkie soki. Jest dla mnie zbyt ważna, żebym mógł przestać o niej myśleć. Nie zniósłbym siedzenia i słuchania pytań, którymi będą w ciebie strzelać. Wolę pozostać z boku, chyba, że naprawdę mnie potrzebujesz.

- Cała rozprawa potrwa najwyżej godzinę, Mickey.

- Godzina może się wydać wiekiem, jeśli ktoś trzyma cię za jaja, Charley. Mnie trzymają. Jestem ci potrzebny?

Potrząsnąłem głową.

- Nie. Napisałeś pozew. Zrobiłeś swoją robotę, Mickey.

- Dobrze. - Skończył drinka. - Obiecałeś Willowi McHughowi, że wygramy. Czy naprawdę tak myślisz?

- Nie. Mamy duże szanse, to wszystko. Gdybyś się chciał założyć, powiedziałbym, że pół na pół.

- Cholera.

- Nie zgadzasz się ze mną?

- Problem w tym, że się zgadzam.

Mickey pierwszy ruszył do samochodu. Szedł wolno, ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach, jakby nie był pewien stawianych kroków. Przypominał starego człowieka, który nie ma dokąd pójść, ale wie, że gdy tylko stanie - umrze.

Nagle niepewność, jaką czułem od początku w związku z tą sprawą, stała się przeświadczeniem - nieokreślonym, lecz złowieszczym. Jak w sta-

58

KARA ŚMIERCI

rych opowieściach o przeklętych żeglarzach, przez chwilę wydało mi się, że wsiadłem na statek śmierci.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie gorąco, jakbym się zbudził z na wpół zapamiętanego koszmaru.

Chciałbym zejść z tego statku, ale podpisałem kontrakt.

Mickey czekał na mnie w samochodzie, wpatrując się w coś, co tylko on potrafił dostrzec.

Zastanawiałem się, czy nie myśli o tym samym, co ja. Włączyłem silnik i ruszyliśmy w stronę Detroit.

Zostałem zaproszony na spotkanie z prokuratorem. Trafniej byłoby powiedzieć: wezwany. Jego nowa sekretarka, której nie znałem i która wyglądała tak zasadniczo, że wołałem od razu zejść jej z drogi, poinformowała mnie lodowato, że tematem rozmowy będzie moja klientka, Rebecca Harris.

Prokurator również był nowy. Sędzia Collins osunął się martwy na stół podczas wyjątkowo nudnego procesu. Wszystkich to zaskoczyło, a najbardziej chyba samego Collinsa. W Michigan, kiedy sędzia składa rezygnację, zostaje skazany lub umiera, gubernator wyznacza kogoś, kto ma dokończyć kadencję.

Nowy sędzia musi potem wygrać wybory, ale to już jest w zasadzie formalność, i w ten sposób, bez żadnych skandali, otrzymuje się pracę praktycznie na całe życie.

Jeszcze zanim karawan odwiózł sędziego Collinsa, miejscowi prawnicy rzucili się na wakujące stanowisko, jak horda wygłodzonych kundli na ochłap mięsa. Kiedy opadł kurz, łup trzymał mój stary oponent z sali sądowej, prokurator stanowy Mark Evola. Gubernator wyznaczył właśnie jego.

W związku z tym zwolniło się stanowisko prokuratora. Wyboru, zgodnie z prawem, dokonuje trzech sędziów okręgowych. Tyle, że każdy z nich miał innego kandydata i nie mogli się pogodzić.

Opóźnianie wyboru stawało się już skandalem politycznym, więc wreszcie postanowili zrezygnować ze swoich faworytów i wskazali na czwartego prawnika, niezbyt przez nich lubianego, który mógł przynajmniej grać stołek do czasu, aż ktoś odpowiedniejszy przebiję go w czasie wyborów.

Ich wybraniec, P. Daniel Parkman, miejscowy adwokat zajmujący się głównie sprawami

spadkowymi, nie znał się ani na prawie karnym, ani na polityce i był równie bezbronny jak kaczką ze złamanym skrzydłem wsadzona do zagrody pełnej lisów. Prawnicy już się ustawiali w kolejce, by go odstrzelić, co oczywiście nie uszło jego uwagi. Dlatego też poruszał się tak ostrożnie jak krótkowidz na polu minowym.

KARA ŚMIERCI

Spotkałem Parkmana kilka razy towarzysko. Jego poprzednik należał do tych polityków, którzy poklepują wyborców po plecach i nigdy nie spotykają się z przeciwnikami. Natomiast Parkman - niski, zadziorny, spoglądający spode łba - bardziej wyglądał na gderliwego właściciela lombardu niż kogoś ubiegającego się o urząd. Jak na stanowisko, które objął, był całkiem młody - niedawno ukończył trzydziestkę, ale postarzały go przerzedzona czupryna i wydatny brzuch. Nosił poszarpane wąsy, które przypominały ślad po kakao nad górną wargą.

Kiedy przyszedłem do biura prokuratora, czekała już na mnie Sue Gillis. Wyglądająca jak zawodniczka przed meczem drużyny szkolnej. Nie mieliśmy szansy zamienić choćby jednego słowa, bo natychmiast zaprowadzono nas przed oblicze Parkmana.

Samo biuro niewiele się zmieniło, tyle, że ściany sprawiały wrażenie dziwnie gołych. Wcześniej wisiły tu liczne zdjęcia Evoli w towarzystwie różnych polityków.

Parkman, siedzący za dużym biurkiem, nie wstał, tylko machnięciem ręki wskazał nam dwa krzesła. Zmarszczył się. Może przeleciała mu przez głowę myśl, że nasze głosy już są dla niego stracone.

Zanim usiadłem, uścisnąłem jego prawicę. Najwyraźniej jednak fizyczny kontakt z innym człowiekiem nie sprawiał mu przyjemności.

- Jakie są pańskie powiązania z panią Harris? - zapytał ponuro.

- To moja klientka.

Skinał powoli głową, jakbym powiedział coś zastanawiającego lub głębokiego, a on nie wiedział, do której kategorii to zaliczyć. Potem odezwał się znowu:

- Wierzę, iż nie trzeba panu przypominać, Sloan, że biuro prokuratora nie jest miejscem do ściągania prywatnych należności.

- Zamierza pan zmienić zawód? Jeszcze bardziej się nachmurzył.

- Wie pan, o co mi chodzi.

- Obawiam się, że nie.

- Pańska klientka i pan chcecie wykorzystać to biuro, żeby wycisnąć z Howarda Wordleya pieniądze.

- Czyżby? A kto tak twierdzi?

- Victor Trembly.

Zerknąłem na Sue Gillis. Cokolwiek myślała, ukrywała to za fasadą grzecznego ucennicy. Ale wydało mi się, że dostrzegam w jej oczach rozbawienie.

60

KARA ŚMIERCI

ktfi.

Przeniosłem wzrok na Parkmana.

- Powiem bez ogródek: to kłamstwo. Trembly jest obrońcą Wordleya, %y postanowił przyjąć taktykę uprzedzającą.

- Nie ma czego bronić - oświadczył Parkman. - Nikogo nie oskarżyliśmy ° Przepięstwo. Jak na razie.

- Czy widział pan szyję Rebecki Harris? Skinął głową.

- Oglądałem zdjęcia.

- W rzeczywistości wygląda to jeszcze gorzej. Lekarze, którzy się nią zaJfnowali, twierdzą, że o włos uniknęła śmierci. Chyba nie sądzi pan, że satVia się tak urządziła?

- Była notowana za nierząd - zachnął się. - Bóg jeden wie, na co ją stać

- Trembly dzwonił do mnie - poinformowałem. - Chciał porozmawiać 0 Ewentualnej ugodzie.

Przyszło mi do głowy, że może szykować właśnie coś takiego, więc odmówiłem. Facet ma opinię śliskiego.

- Podobnie jak pan. - W uśmiechu Parkmana nie było wesołości. - Sędzia ^ła ostrzegł mnie, żebym na pana uważał.

- Jest wciąż wkurzony, że zniszczyłem jego szanse na karierę polityczną, załatwiłem go na sali sądowej.

- Nie musi pan być wulgarny - oznajmił Parkman, wskazując wymownie Pa^cem na Sue Gillis. - Przypuszczam, że pańska klientka wniesie powódz- b cywilne?

- Możliwe. Jak dotychczas stawia na sprawę karną. Przynajmniej próbu-^e' Czy zarządzi pan śledztwo w tej sprawie?

Wzruszył ramionami.

- Była notowana jako prostytutka. Wersja wydarzeń przedstawiona przez P^ła Wordleya jest bardzo prawdopodobna. To mogła być samoobrona. Nie za*^wierzam pchnąć tej sprawy, dopóki nie mam mocniejszych dowodów.

Usiadłem wygodniej i przyjrzałem mu się uważnie.

- Podziwiam pańską odwagę. Niewielu ludzi na obieralnych stanowiskach ^kazałoby się takimi nerwami. Gdy tylko ta sprawa trafi na łamy gazet,

^da kobieta z naszego okręgu będzie żądna pańskiego skalpu. Ale, jak to m(^wią, najwyższą nagrodą jest poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

- O co chodzi z tymi gazetami?

- Jeśli nie dojdzie do oskarżenia, będę zmuszony wystąpić z powódz-cywilnym. Postaram się trzymać to z daleka od dziennikarzy, ale wia-Vno, jacy oni są, zawsze weszą za jakimś smakowitym procesem. Wszystkie

bo

KARA ŚMIERCI

gazety ostatnio zamieniają się w brukowce. Seks, gwałt, bogaty sprzedawca samochodów, sam pan rozumie, że to dla nich żer. Dreszcz mnie przechodzi, kiedy sobie pomyślę, iż zdjęcia szyi tej kobiety trafią do kolorowych magazynów. Na pełną stronę. Boże, naprawdę nie znoszę takiej taniej sensacji.

- Nie ośmielilibyście się zrobić czegoś takiego - rzekł. - Ta kobieta jest dziwką.

- Ach, jedno małe oskarżenie, dawno, dawno temu i bardzo daleko stąd. Pomyłka. Uznano ją za winną, ponieważ nie potrafiła się bronić. Ofiara. Podobnie jak teraz.

Zbladł.

- Oczywiście, gdyby okazał się pan tchórzem i nakazał wszczęcie dochodzenia, unikniemy całej tej złej prasy. Ale ja wiem, że pan nie wybiera najprostszej drogi. Moimi bohaterami zawsze byli politycy, którzy działali sprawiedliwie, nawet jeśli groziło to utratą stanowiska.

- Wcale nie powiedziałem, że nie zamierzam podpisać nakazu. - Tak?

- Po prostu nie jestem pewien, jak sformułować zarzut. Skinąłem głową, jakbym się z nim całkowicie zgadzał.

- Kiedy się pan zdecyduje? Próbował wykrzesać uśmiech.

- Och, na to potrzeba trochę czasu. Tydzień, może dwa tygodnie.

- W takim razie lepiej będzie, jeśli podejmę działania cywilne. Nie chciałbym, żeby te sińce zbladły, zanim fotoreporterzy zdążą je sfotografować.

- Jutro - westchnął. - Muszę porozmawiać z moimi ludźmi. Jutro przystąpią do pracy.

- Dobrze. Tylko niech nie traktują Wordleya zbyt pobłaźliwie. I proszę dać mi znać. Jeśli oskarżenie będzie wystarczająco poważne, poradzę klientce, by na razie nie wносиła sprawy cywilnej.

Wyglądał, jakby miał zamiar zaraz się rozplakać.

- To wszystko - oznajmił.

- Miłego dnia - rzuciłem mu na do widzenia.

Sue Gillis wyszła razem ze mną.

- To było okrutne, Charley. Ten biedny skurczybyk boi się własnego cienia. Czyżbyś w młodości był postrachem szkoły?

- Kopalem tylko młodszych. A zwłaszcza kalekich. Nie lubię zbędnego ryzyka.

KARA ŚMIERCI

Roześmiała się i machając mi dłonią na pożegnanie, oddaliła się. Kiedy wróciłem do biura, pani Fenton poinformowała mnie, że dzwoniła Becky Harris.

Chciałem jej przekazać wieści i może podtrzymać nieco na duchu, więc natychmiast wykręciłem jej numer.

Podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Cześć, Becky. Tu Charley Sloan. Jak ci się wiedzie?

- Bardzo dobrze, znacznie lepiej - odparła pogodnym głosem.

- To świetnie. Dopiero co wróciłem ze spotkania z prokuratorem, Becky. Jutro...

- O tym właśnie zamierzałam z panem porozmawiać.

- W porządku. W takim razie posłuchaj. Jutro zostanie podpisany nakaz aresztowania Wordleya.

- Och, nie! -Nie?

- Czy nie można tego powstrzymać? Odbyłam z Howardem długą rozmowę. Był taki słodki.

- Słodki?

- Wtedy działał pod wpływem bardzo silnego stresu. Kiedy mi wytłumaczył, wszystko zrozumiałam.

- To, że o mały włos cię nie zamordował?

- Nie było tak źle. W każdym razie teraz Howard czuje się strasznie winny. Chce mi to wynagrodzić. Może nawet zostawi dla mnie żonę. Napomknął, że zaczyna o tym myśleć.

Westchnąłem.

- Czy zaproponował ci pieniądze?

- Nie - w jej głosie zabrzmiało oburzenie. - Kupił mi piękny pierścionek z brylantem, naprawdę dużym. Nie powiedział tego wprost, ale mam wrażenie, jakby to był pierścionek zaręczynowy.

- A co z szybkim seksem na parkingu? Wrócisz do tego?

- Howard wszystko mi wyjaśnił. Miał problemy w pracy, poważne kłopoty. Teraz już rozumiem. Będzie dobrze.

- W takim razie, co z oskarżeniem?

- Nie chcę wnosić żadnego oskarżenia. Czy mógłby się pan tym zająć?

- Becky, po rozmowie, którą właśnie przeprowadziłem, nie wiem czy by mi uwierzyli. Coś ci poradzę. Zadzwoń do Sue Gillis. Pamiętasz ją?

- Tak.

- Zadzwoń i powiedz, że nie chcesz śledztwa.

KAKA SMIBKU

- Dobrze. - Po chwili zapytała: - Ile jestem winna?

Pomyślałem o wrogu, którego właśnie zyskałem sobie w najwyższym urzędzie stanowym. Ile to było warte? I aż niedobrze mi się robiło na myśl, że Victor Trembly śmieje się ze mnie do rozpuku.

- Nic, Becky. Nie jesteś mi nic winna, potraktuję to jako nauczkę.

- Dla mnie?

- Nie. Dla mnie.

I odłożyłem słuchawkę.

Większość z nas żyje zgodnie z rutyną, niektórzy trochę bardziej, inni trochę mniej. Nie jestem wyjątkiem. Z przyzwyczajenia lubiłem moje czwartkowe popołudnia z biblioteczką prawniczej Świętego Benedykta. Sprawa McHugh'a zbliżała się szybkimi krokami, musiałem więc przygotować się do odpowiedzi na każde pytanie, jakie sędziowie mogli mi zadać. W dodatku, chociaż pozew był już gotowy, nie mogłem zapomnieć o Stewarcie. Prawie codziennie sądy w całym kraju wydawały orzeczenia w sprawach bardzo podobnych do jego. Niektóre umacniały naszą pozycję, inne wręcz przeciwnie. Musiałem poznać je wszystkie - te pierwsze, aby wykorzystać niektóre sformułowania, te drugie zaś - by wiedzieć, przed czym przyjdzie mi się bronić. Wkrótce powinienem otrzymać odpowiedź prokuratora. Mając już ją, zamierzałem jak najszybciej wystosować odpowiedź, żeby nie przedłużać sprawy i nie odwlekać terminu rozprawy w sądzie apelacyjnym.

Tak więc co czwartek, chyba że coś mi wypadło tego dnia w sądzie, jechałem do Detroit,

pracowałem po południu w bibliotece, a po szybkiej kolacji gnatem na cotygodniowe spotkanie naszego klubu w podziemiach kościoła świętego Tadeusza Judy. To był raczej ustabilizowany tryb życia i czwartek szybko stał się moim ulubionym dniem.

Siedziałem właśnie w uczelnianej bibliotece, czytając akta sprawy, która odbyła się w Dakocie Północnej i prawie w stu procentach odpowiadała sprawie McHugha. Było to całkiem nowe orzeczenie. Po części uderzało w nas, ale pewne fragmenty mogły okazać się pomocne. Do rzeczywistości przywiódło mnie silne klepięcie w ramię. Prawie na granicy bólu.

Odwróciłem się i spojrzałem w górę.

- Charley Sloan. Co za mita niespodzianka! - Słowa wydawały się odbijać echem w ciszy biblioteki.

- Witam, sędzio.

Jego palce coraz mocniej wbijały się w moje ciało.

KARA ŚMIERCI

Studenci spojrzeli na nas z wyraźną dezaprobatą.

- Masz minutkę, Charley? - zapytał.

Zaznaczyłem stronę akt przypadku północnodakotańskiego i wyszedłem za nim z biblioteki.

Choć ubrany w szyty na miarę garnitur, a nie w togę, i tak wyglądał jak senator rzymski.

Przynajmniej w moich oczach. Wysoki, szeroki w barach, miał zdrowy wygląd futbolisty. Wszystko w nim było duże i muskularne. Śnieżnobiałe włosy, zaczesane gładko do tyłu, tworzyły hełm, który załamywał się dopiero w miejscu zetknięcia z kołnierzykiem kosztownej koszuli. Rysy rumianej twarzy przypominały do złudzenia twarze wybite na monetach rzymskich. Chociaż miał już prawie sześćdziesiątkę, zachowywał się jak młodzieniec, tyle tylko, że nie szedł, lecz kroczył.

Sędzia Jeffrey Mallow.

Tytułowano go tak już tylko grzecznościowo. Zrezygnował z pracy w sądzie apelacyjnym na rzecz prywatnej praktyki adwokackiej. Żeby co nieco zarobić, jak od czasu do czasu powtarzał prasie. Ale jego obecna kariera była raczej burzliwa.

- Kawy, Charley?

Objął moje plecy potężnym ramieniem i poprowadził w stronę sal wykładowych, gdzie na korytarzu stała maszyna z napojami.

- Niech to diabli, lubię to miejsce, a ty? - Jego dudniący głos rozbrzmiewał nienaturalnie głośno w cichych korytarzach. - Ale wreszcie poddadzą się cholernym jezuitom i zamkną budynek na cztery spusty. Może nawet, zanim skończy się ten rok akademicki. Serce mi krwawi na samą myśl o tym. Złapał mnie jeszcze mocniej, jakby bał się, że mogę mu uciec. Dorównać mu kroku było prawie niemożliwe, ale nie miałem wyjścia.

- To miejsce jest spełnieniem marzeń naszych ojców, prawda? - Pytanie było retoryczne. - Co ja i ty byśmy zrobili, gdyby go nie było?

Nic na to nie odpowiedziałem, głównie dlatego, że nie dano mi szansy.

- Czy byłeś jednym z moich studentów, Charley?

- Nie. Wykładał pan procedurę, kiedy skończyłem już studia.

Skinał głową i poprowadził mnie do sali klubowej. Kilkoro zebranych tam studentów podniosło na nasz widok głowy, prawdopodobnie zastanawiając się, kim jesteśmy i co tutaj robimy.

Wpuścił mnie.

- Jaką pijasz, Charley? Z mlekiem? Cukrem?

- Czarną.

Skinał głową i wyczarował z maszyny dwa kubki parującego płynu.

KARA ŚMIERCI

65

- Powiedz mi, co słyhać - zabrzmiało to jak polecenie, nie zwrot grzecznościowy. Wybrał stolik z dala od innych ludzi.

- Jak się czujesz znowu w kieracie, Charley?

Mówił do mnie, jakbyśmy byli kupcami. A nie byliśmy. Mallow zajmował stanowisko głównego sędziego sądu apelacyjnego, kiedy ja pracowałem dla sędziego O'Dowda. Wtedy mnie ignorował.

Nigdy też nie okazywał mi zainteresowania, gdy już stawałem w sądzie apelacyjnym jako adwokat.

Poza tym spotykaliśmy się tylko na zjazdach wychowanków Świętego Benedykta. Zanim straciłem twarz, byłem aktywnym członkiem tej społeczności. Wtedy to kilka razy rozmawialiśmy ze sobą czy raczej, żeby być bardziej precyzyjnym, ja słuchałem jego.

W każdym razie nie byliśmy kumplami. Teraz zastanawiałem się, czego może ode mnie chcieć.

Przypuszczałem, że chodzi o wrobienie w jakieś finansowe zobowiązania wobec uczelni.

Upiłem trochę kawy, która pozostawiła na języku smak metalu, i czekałem. On swojej nie tknął, tylko wpatrywał się we mnie tak, jakby właśnie zamierzał ogłosić wyrok.

Wreszcie się odezwał:

- Śledziłem twoją karierę od... - urwał na chwilę - od kiedy cię zawieszono. Najwyraźniej zaczynasz wpływać na czyste wody.

Czułem, że muszę wtrącić coś o swojej nie najlepszej sytuacji materialnej, żeby żądanie subwencji nie okazało się zbyt wysokie.

- Brałem udział w kilku sprawach, które trafiły na pierwsze strony gazet, ale jeśli chodzi o profity, był to bardziej dym niż ogień. W sumie jednak jakoś sobie radzę. Wystarcza mi na życie, to wszystko.

Uśmiechnął się, jakby nie wierzył ani jednemu mojemu słowu.

- Ten gościu, Doktor Śmierć, musiał ci chyba zapłacić parę groszy. Mógł wylądować w więzieniu do końca życia. A on ma pieniądze. Mam nadzieję, Charley, że dostałeś swoją działkę.

- To rzeczywiście było niezłe honorarium. Wyrównało koszt innych spraw, które albo prowadziłem za darmo, albo nie za takie pieniądze, jakich się spodziewałem.

- Za darmo?

- Zdarza się.

- Słyszałem, że stajesz na rozprawie apelacyjnej w bardzo apetycznej sprawie o odszkodowanie - oznajmił, wpatrując się uważnie w swój kubek z kawą, lecz nadal nie podnosząc go do ust.

Skinąłem głową.

66

KARA ŚMIERCI

- Uszkodzenia ciała są bardzo duże. Młody mężczyzna został sparaliżowany do końca życia. Znosi się na sporą sprawę.

- Ile zasądzono poszkodowanemu? Zdaje się, że z pięć milionów dolarów?

- Tak. - Zastanawiałem się, skąd wiedział, że przejąłem tę sprawę. Moje pazwisko nie pojawiło się jeszcze w gazetach, tylko na wniosku apelacyjnym, i to jako współobrońcy.

- Przypuszczam, że honorarium wynosi co najmniej jedną trzecią tej sumy? Znowu skinąłem głową. Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

- No cóż, Charley, jeśli wygrasz, będziesz milionerem. Możesz zacząć już myśleć o emeryturze.

Tym razem potrząsnąłem głową.

- To nie jest moja sprawa. Ja tylko występuję na rozprawie apelacyjnej. I dostanę zapłatę wyłącznie za to.

- Ciekaw jestem, ile. Odpowiedziałem niechętnie:

- Procent od honorarium adwokata, jeśli będzie odszkodowanie. Dwadzieścia.

Teraz on pokiwał ze zrozumieniem głową. Widziałem, jak przelicza w myślach.

- Może nie dość, żeby odejść na emeryturę, ale znacząca sumka. - Jeśli wygramy.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Żaden problem. Wszystko inne idzie dobrze? Założyłem, że pyta, czy nadal udaje mi się nie pić. -

Tak - odparłem.

- Jestem z ciebie dumny, Charley. Wszyscy jesteście.

- Dzięki. A jak tam u pana, sędzio? - To był delikatny temat. Ostatnio jego nazwisko często się pojawiało w prasie, lecz nigdy nie pisano o nim pochlebnie.

- Drobne kłopoty. Jak prawdopodobnie wiesz, już nie pracuję w kancelarii Brookins Stanley.

Cholerne gazety rozpisują się o tym, jakby chodziło o wojnę w jakiejś republice bananowej. Moi poprzedni partnerzy skarżą mnie, ale nigdy nie uda im się wygrać.

Skrzywił się.

- No i jest jeszcze ta sprawa wniesiona przez wdowę po facecie, który pracował dla mnie na farmie i wpadł pod zniwiarkę. Pomyśleć by można, że dziennikarze nie mają lepszych tematów. To zresztą następny proces, którego

KARA ŚMIERCI

67

na pewno nie przegram. Ta kobieta nie ma cienia szansy. Gość sam był winien swej śmierci. Powództwo powinno zostać oddalone. I niewątpliwie pewnego dnia tak się właśnie stanie. Już nawet nie mam tej przeklętej farmy.

- A co pan teraz robi?

Po raz pierwszy upił łyk kawy. Wyglądało, jakby chciał uniknąć odpowiedzi. Zapatrzył się w kubek.

- Boże, ależ to jest wstrętne. Najwyraźniej niezbyt często czyszczą tę maszynę. - Odstawił kubek na stół. - Teraz jestem wolnym strzelcem - powiedział cicho. - Dzielę biuro z Thomasem Slatmorem.

Znasz go?

Skinąłem głową. Znałem. Thomas Slatmore miał fatalną reputację wycirusa sądowego. Wywinał się o włos z kilku niezbyt przyjemnych oskarżeń o korupcję. Byłem zdziwiony i prawdopodobnie można to było dostrzec na mojej twarzy.

- Thomas nie jest taki zły - zapewnił Mallow. - Prawdę mówiąc, czarujący z niego gość, tyle tylko, że przyciąga złą prasę. Nie jesteśmy partnerami, po prostu dzielimy biuro. Nienajgorszy układ.

Zastanawiałem się, czy to rzeczywiście prawda.

- Często wpadasz do starej budy, Charley?

- Nie bardzo. Teraz przeglądam sprawy o odszkodowania za wypadki. Ostatnio bywam tu co czwartek.

Podniósł się.

-Ja sam zachodzę dość regularnie. Pewnie jeszcze kiedyś natkniemy się na siebie.

Nie podał mi ręki, tylko po prostu uśmiechnął się do mnie.

- Często o tobie rozmawiamy, Frank Palmer i ja. Bardzo go zawsze interesuje, co u ciebie słychać.

- Czuję się zaszczycony.

- Z tego, co mi wiadomo, on będzie wśród sędziów przydzielonych do twojej sprawy.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Mallow odwrócił się i szybkim krokiem opuścił salę klubową. Zastanawiałem się, czy obecność Palmera w składzie sędziowskim wyjdzie mi na dobre, czy wręcz przeciwnie. Ale przede wszystkim dręczyło mnie, skąd sędzia Jeffrey Mallow wie tak dużo o sprawie, w której miałem występować. Przyszło mi do głowy, że może usiłował wepchnąć się do niej albo nawet ją przejąć.

Kawa już całkiem wystygła, lecz i tak ją dopiłem. W ustach pozostał mi absmak. Jak zresztą ostatnio dość często.

T

1 o syn poprosił, żebym go reprezentował, chociaż w rozmowie telefonicznej fiłs nie wyrażał się zbyt entuzjastycznie o pere.

Udałem się do więzienia i po zwykłym w takich wypadkach sprawdzeniu przez dwóch kolejnych, identycznie znudzonych strażników - ach, jak oni kochają biurokrację, która dodaje im znaczenia! - zostałem wreszcie dopuszczony przed oblicze mojego nowego klienta, oddzielonego ode mnie szklaną szybą z zamontowanym mikrofonem.

Znałem go. Każdy w Pickeral Point go znał. Bez uniformu trudno go jednak było rozpoznać.

Zazwyczaj bowiem nosił ciemny garnitur bez jednej zmarszczki, równie nieskazitelną białą koszulę i stonowany krawat - mundurek bankiera, leżący na nim jak ulał, jako że istotnie był bankierem.

Ale teraz, kiedy siedział naprzeciwko mnie w pokoju widzeń, wcale nie wyglądał na bankiera.

Wygnieciona biała koszula była poplamiona, a krawat mu zabrano. Mimo wszystko trzymał się prosto, jakby kij połknął. Wysoki, ciężkiej budowy mężczyzna po sześćdziesiątce pasował do tego miejsca jak hamburger do wegetariańskiej restauracji.

Doskonale utrzymane siwe włosy już nie prezentowały się korzystnie. Nieuczesane, sterczały wokół czaszki niczym wiecheć, który miał przypadkowe spotkanie z elektryczną maszynką,

wskutek czego mężczyzna przypominał posiwiąłą wersję King Konga.

Mięsistą szczękę pokrywał jednodniowy, również siwy zarost. Jedyne, co pozostało z bankiera, to wyraz twarzy: pełen godności i nieco podejrzliwy. Ale zawsze zimny wyraz oczu już się zmienił - tak patrzyły ofiary wypadku budzące się na pogotowiu. Pod jednym okiem widniało niewielkie zsinienie, a na dolnej wardze małe rozcięcie.

KARA ŚMIERCI

Vincent Villar był wiceprezesem niewielkiego banku w Pickeral Point, a jednocześnie kierownikiem działu kredytów. Właśnie dzięki kredytom, udzielanym pod zastaw domów i przedsiębiorstw naszej nadrzecznej społeczności, prowincjonalny bank stał się w ostatnich latach prawdziwą potęgą finansową.

Pierwszy raz spotkałem Villara, kiedy sprowadziłem się tutaj, zaraz po odzyskaniu licencji prawniczej. Chciałem zaciągnąć niewielki kredyt bez gwarancji, ponieważ nie miałem nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Jego usta pełne były współczucia, w odróżnieniu od oczu. Grzecznie acz stanowczo odrzucił moją prośbę. Nie czułem się dotknięty. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, zrobiłbym to samo, gdybym to ja był na jego miejscu, a on na moim. W pewien sposób ta zamiana miejsc właśnie nastąpiła.

- Pański syn prosił mnie, bym pana reprezentował, panie Villar.

- Nie chcę adwokata. - To był ten sam rzeczowy ton, którym odtrącał tysiące potencjalnych dłużników. - Jestem winny i nie zamierzam się tego wypierać.

- Publiczne obnażanie się jest wykroczeniem, ale czasami udaje się sprawę zatuszować. Niczego nie obiecuję, bywa jednak, że w razie wyrażenia zgody na leczenie można zawrzeć porozumienie i po całej historii nie zostaje nawet ślad w aktach.

- Wiem.

- Czy coś takiego zdarzyło się już panu wcześniej?

- Tak - odparł z zimną stanowczością w głosie, jakby zamykając temat po wsze czasy. - Doceniam, że pofatygował się pan tutaj, panie Sloan, ale nie potrzebuję pańskich usług. Proszę przysłać mi rachunek, zapłacę za pański stracony czas.

- Dziś rano stanie pan przed sędzią, panie Villar. W ten sposób sprawa wypłynie na światło dzienne. Nie sądzę, żeby pan tego pragnął. Proszę pozwolić mi porozmawiać z policją i prokuratorem. Może udami się coś osiągnąć.

-Nie.

To był prosty, zawarty w jednym słowie wyrok kończący naszą rozmowę. Podniósł się nieco sztywno, jakby go coś bolało, i strażnik odprowadził go do celi.

Jedną z zalet Pickeral Point jest to, że wszystkie urzędy położone są blisko siebie. Prawnikowi bardzo ułatwia to życie. Poszedłem do biura szeryfa, rozglądając się za Sue Gillis.

70

KARA ŚMIERCI

Kiedy wszedłem do pokoju, rozmawiała właśnie przez telefon, lecz na mój widok machnęła ręką w stronę krzesła po drugiej stronie biurka.

Rozmowa była najwyraźniej oficjalna, Sue bowiem przemawiała, jakby była urzędniczką ministerstwa strachu. Głos wydobywający się z jej ust prymuski brzmiał wręcz niestosownie.

Nawet koński ogon nabrał urzędowego wyglądu. Słowa były grzeczne, ale w tonie wyczuwało się chłód. Najwyraźniej świadek nie kwapił się do złożenia zeznań. Gdy detektyw Gillis zakończyła rozmowę, odniosłem wrażenie, że opór rozmówcy należał już do przeszłości.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do mnie.

- Ranny dziś z ciebie ptaszek, Charley. Co się stało?

- Zajmujesz się sprawą Vincenta Villara? Jej uśmiech poszerzył się.

- Tak. Publiczne obnażanie się. Właśnie zamierzałam udać się do aresztu i przedstawić mu jego prawa oraz obowiązki. Czy to twój klient?

- Niezupełnie. Chciałem się podjąć jego obrony na prośbę syna, poszedłem więc do więzienia, żeby się z nim zobaczyć, ale Villar twierdzi, że nie życzy sobie adwokata, i postanowił przyznać się do winy.

-To milutko z jego strony. Gdyby więcej było takich przestępców jak on, świat stałby się lepszym miejscem.

- Opowiedz mi o nim, Sue. -Jest winny, jeśli o to ci chodzi.

- Czy mogłabyś dorzucić kilka szczegółów? Zachichotała.

- To brzmi jak farsa, ale jest najprawdziwszą prawdą. Czy znasz park Kerry?

Skinąłem głową. Określenie „park” było nieco naciągane, chodziło bowiem o zachwaszczony kawałek terenu z kilkoma krzakami i paroma zardzewiałymi ławkami.

- Otóż dwie młode damy wybrały się tam o zmierzchu, żeby pobiegać, gdy nagle z krzaków wyskoczył wprost na nie jakiś mężczyzna, później zidentyfikowany jako Villar. Miał na sobie jedynie koszulę, gogle i buty. Był też, jak to zazwyczaj określamy w sądzie, w pełnej gotowości. Nie odezwał się, pozwalając, by mówiła za niego bardzo wymowna część jego ciała. Tak się jednak pechowo dla naszego pana Villara złożyło, że owe dwie młode kobiety, obie zresztą bardzo ładne, są nauczycielkami wychowania fizycznego w miejscowej szkole średniej. Poza tym, jak przypuszczam, każda z nich widziała już raz czy dwa razy to coś, co on chciał im pokazać, i to znacznie dokładniej. W każdym razie wcale się nie przestraszyły i, co więcej, nagły widok jego na-

KARA ŚMIERCI

/ i

gości nie zrobił na nich spodziewanego wrażenia. Skoczyły na biednego Villa-ra i nieźle mu przyłożyły. Użyły jego gogli jako zaimprovizowanych kajdanek i poprowadziły go, bez portek, na ulicę, gdzie zatrzymały wóz patrolowy.

- Zakładam, że były oburzone. Potrząsnęła głową.

- Nie bardzo. Wydaje mi się, że bawiło je odgrywanie roli aktywnych feministek. Poza tym są przecież nauczycielkami, więc nie chcą, żeby dzieci chodzące do parku narażone były na oglądanie takiego chwosta.

- Pewnie zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Sue Gillis uśmiechnęła się smutno.

- Obawiam się, że nie, Charley. Już wcześniej mieliśmy doniesienia o facecie w parku. Opis pana Villara pasuje jak ulał. Gogle również. Przypuszczam, że twój gość co parę miesięcy czuł potrzebę przewietrzenia swojego ptaszka.

- Wiesz, jacy są ekshibicjoniści, Sue. Większość z nich jest taka sama. Nie są niebezpieczni, tylko po prostu chorzy.

- Zgadza się, lecz to nie umniejsza szoku, jaki przeżywają małe dziewczynki w parku, nieprawdaż?

- Czy był już karany?

- W aktach nic nie ma, ale przyznał mi się, że raz już go złapano. W Chicago. Został wypuszczony pod warunkiem, że podda się leczeniu.

-1 poddał się?

- Tak twierdzi. Może to zrobił, a może nie. W każdym razie od kilku miesięcy jest dość aktywny, niezależnie od tego, czy przeszedł terapię.

-Jeśli leczenie może mu pomóc, to nie należy zamykać go w więzieniu. Jedna jej brew powędrowała w górę.

- Więzieniu? Charley, daj spokój. Jesteś za mądry, żeby tak mówić. Jeśli nie był karany, wyjdzie warunkowo za kaucją. Nie musi się obawiać więzienia, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Więzienie jest niczym w porównaniu z tym, co go czeka. Jest tu bankierem. Wyrok załatwi go na dobre. Wyleją go z pracy. To niewielka społeczność. Nawet, jeśli pójdzie do sklepu, będzie czuł wlepione w siebie spojrzenia i słyszał szept. Ludzie zmuszą go, żeby wyniósł się z miasta. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A czego byś chciał, mecenasie? Może powinniśmy wręczyć mu z powrotem gogle i dołożyć jeszcze mapę z zaznaczonymi szkołami?

- A co byś powiedziała na wstrzymanie oskarżenia do czasu, aż podda się leczeniu?

72

KARA ŚMIERCI

- Nauczycielkom może się to nie spodobać, sędziemu również.

- Porozmawiam z nauczycielkami i z sędzią. Jeśli się nie zgodzą, trudno.

Co ty na to?

-Jak zdefiniujesz leczenie, Charley?

- Najpierw szpital, potem to, co zalecą lekarze. W porządku?

- Decyzja nie należy do mnie.

- Zaczniemy od świadków. Westchnęła.

- Na świecie byłoby znacznie milej bez bandy prawników.

- Nie, nie byłoby. Tak ci się tylko zdaje.

- Chodź, Charley - podniosła się - zobaczymy, co się da zrobić.

Z nauczycielkami poszło mi całkiem łatwo. Przypuszczam, że czuły się trochę winne, ponieważ pobiły biednego, starego bankiera, niezależnie od tego, czy był zbrodniarzem, czy nie. W każdym razie wyraźnie odetchnęły z ulgą, a nawet odniosły się entuzjastycznie do propozycji kompromisu. Kłopoty zaczęły się przy sędzim. Wysoki sąd w osobie Thomasa J. Mulherna sprawia! wrażenie udęczonego wyjątkowo paskudnym kacem. Nie było to zresztą w jego wypadku czymś niezwykłym, ale tym razem sytuacja wglądała wyjątkowo źle, pragnął więc podzielić się z kimś swoim bólem.

Lubię Tommy'ego Mulherna, on mnie zresztą też, lecz przyszło mi rozmawiać bardziej z jego dolegliwością niż z nim samym, więc sprawy przybrały nie najlepszy obrót.

W końcu jednak wyraził zgodę, by rzecz całą odłożyć na sześć miesięcy, pod warunkiem, że Villar podda się intensywnej, poważnej terapii.

Zorganizowanie jej zajęło mi niewiele czasu. Zadzwoiłem do mego przyjaciela i kumpla od odrzuconego kieliszka, doktora Roberta J. Williamsa, dyplomowanego psychiatry, i wyjaśniłem mu sytuację. Szczęśliwie Bob Williams jest szefem oddziału psychiatrycznego jednego z miejscowych szpitali i użył wpływów, by załatwić Wilarowi natychmiastowe przyjęcie.

Wszystko szło jak po maśle, ale największy problem jeszcze mnie czekał. Okazał się nim mój oporny klient.

Kiedy Vincent Villar wyszedł z więzienia, nadal miał nieuczesane włosy. Zwrócono mu wszystko, co do niego należało, oprócz gogli. Odprowadziłem go do głównego holu, gdzie oczekiwał już na nas jego syn.

KARA ŚMIERCI

/J

Młody Villar, księgowy w jednej z detroickich firm, był kopią ojca, tyle tylko, że miał czarne włosy i szczupłą talię. Ale cechowały go ta sama rezerwa i ten sam chłód w oczach. Prawdę mówiąc, w źrenicach syna kryło się coś jeszcze. Trudno mi było powiedzieć, co - gniew czy nienawiść?

- Czy teraz stanę przed sądem? - zapytał Villar.

- Sprawę odroczonego na sześć miesięcy - wyjaśniłem. - Sąd zalecił, aby zbadali pana lekarze. Jeśli uznają, że można panu pomóc, umorzą postępowanie.

Głowa bankiera podskoczyła, jakby dostał nagły cios w brzuch.

- Nie chcę. Przyznam się do winy i wreszcie będę to miał za sobą raz na zawsze.

- Pan Sloan stara ci się pomóc - odezwał się jego syn przez zaciśnięte zęby. Villar zwrócił płonący wzrok najpierw na niego, potem na mnie.

- Nie macie prawa w to ingerować! - krzyknął.

- Zabierzemy teraz pana do szpitala, żeby mogli z panem porozmawiać lekarze - odezwałem się. - Proszę mi wierzyć, tak będzie najlepiej.

Odkoczył ode mnie, rzucając na boki oszalałe spojrzenia.

- Nie. Zrobię to, co muszę zrobić.

- O Jezus! - wybuchnął syn. - Czy nie zrobiłeś już dość? Mama wypłakuje sobie oczy. Co, na litość boską, się z tobą dzieje?

- Odejdź ode mnie! - wrzasnął bankier i pognął w stronę drzwi. Strażnik w szklanej budce spojrzał pytająco, czy nie potrzebuję pomocy.

Potrząsnąłem głową.

Wybiegiem za nim na parking. Jego syn zosta! gdzieś za nami.

- Rozumiem, jak się pan czuje - powiedziałem, zrównawszy się z nim -ale za kilka dni będzie pan zadowolony...

Zaczął uciekać. W pierwszej chwili wyglądało to śmiesznie - siwy grubas śmigający między zaparkowanymi samochodami, poruszający się niezgrabnie, lecz zaskakująco szybko.

Ruszyłem za nim. Z tyłu dobiegały mnie pełne dezaprobaty krzyki jego syna. Kobieta cofająca mazdę na moment zablokowała mi drogę. Villar przyspieszył, przemykając pomiędzy samochodami jak sprinter. Czuję się idiotycznie, próbując go złapać, i pewnie dlatego nie wkładałem w pogoń całego serca. Zresztą trudno by mnie nazwać typem sportowca.

Moje nogi, nieprzyzwyczajone do takich ćwiczeń, zaczęły ciężać ołowiem. Obejrzałem się. Młody Villar pozostał daleko za nami. Biegi, lecz niezbyt szybko.

To przypominało nocny koszmar. Nagle zrozumiałem, co mój klient zamierza zrobić, i nie było żadnego sposobu, by go powstrzymać.

74

KARA ŚMIERCI

Na Riever Street, głównej arterii miasta, pojazdy nie powinny jechać zbyt szybko, ale zazwyczaj wszyscy lekceważą ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, przynajmniej w dni robocze. Samochody osobowe i ciężarówki śmigają osiemdziesiątką, jeśli nie szybciej. Wielka chłodnia zbliżała się zatrważająco prędko. Villar wybiegi przed nią.

Jego syn krzyknął. Ja chyba też.

Zdawało mi się, że przestały istnieć dźwięki - wszystko działo się jak na starym niemym filmie, puszczone w zwolnionym tempie.

Kierowca zobaczył go i próbował zahamować, jednocześnie zjeżdżając na bok. Villar wpatrywał się w szoferkę, rozkładając ręce, gotów do ukrzyżowania. Miał otwarte usta, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, nie spuszczał wzroku z samochodu.

A Potem nagle dźwięki powróciły. Zaskrzeczały hamulce ciężarówki, wielki pojazd zatrząsł się konwulsyjnie.

To był dobry kierowca, nawet bardzo dobry: samochód prawie się zatrzymał, zanim uderzył w Vincenta Villara. Bankier odbił się od maski, poleciał do tyłu i usiadł ciężko na chodniku.

Kierowca wyskoczył z szoferki, wyrzaskując nieprzyzwoitości, cały rozdygotany z gniewu i strachu. Villar wpatrywał się w niego - najwyraźniej nie był ranny, tylko zdziwiony.

Zebrał się tłum, zjawiała się też policja. Wezwałem ambulans, żeby przewieźć bankiera do szpitala, gdzie już go oczekiwano. Stary człowiek rozplakał się. Syn obejmował go, przemawiając doń cicho, a w jego głosie nie było ani gniewu, ani nienawiści.

Kierowca ciężarówki nadal trząsł się z emocji.

- Co on, do cholery, chciał zrobić? - rzucił wściekle w moim kierunku. - Zabić się, czy co?

Marzyłem, żeby się napić, lecz zamiast tego przeszedłem się brzegiem rzeki. Złapałem za metalową balustradę i czekałem, wpatrując się w wodę, aż pragnienie przejdzie.

Tak bardzo skoncentrowałem się na czarnej wodzie, że uświadomiłem sobie jej obecność dopiero, kiedy się odezwała.

- Czy czasem nie zamierzasz skoczyć?

Koło mnie stała Sue Gillis i także wpatrywała się w wodę.

- Nie, w tej chwili nie mam ochoty na pływanie.

- Widziałam z okna biura, co się stało - oznajmiła. - Jak na starszego dżentelmena, Villar jest całkiem zwawy. Nic miałaś najmniejszej szansy go dogonić.

- Wreszcie go dopadłem.

KARA ŚMIERCI

Uśmiechnęła się.

- Poradzę ci coś, Charley. Jeśli nie chcesz zrezygnować z pracy, nie rób tego.

- Dzięki za wsparcie. Umiesz obudzić w starym człowieku młodzieniaszka.

- Nie jesteś stary. - Przyglądała się uważnie wodzie. - Tak naprawdę to moja wina. Powinnam była przewidzieć, że coś takiego mu przyjdzie do głowy. - Spojrzała na mnie. - To się często zdarza: potrzeba natychmiastowej kary, żeby zniszczyć istotę, której się nie potrafi kontrolować. Każdy, kto

pracuje w policji, zwłaszcza strażnicy, znają ten syndrom. Nie mam pojęcia, czemu tym razem o tym nie pomyślałam.

- No cóż, w każdym razie nie udało mu się. Jedyne, co osiągnął, to obity tyłek.
- Żal mi takich ludzi jak Villar, którzy nie umieją sobie pomóc. Łatwo zrozumieć, dlaczego ktoś ma samobójcze myśli. Uczucie wstydu bywa zabójcze. Może nie trwa wiecznie, ale jest na tyle silne, że autodestrukcja wydaje się jedynym wyjściem.

Patrzyłem na nią.

- Mówisz bardziej jak pracownik opieki społecznej niż policjantka. Uśmiechnęła się.
- Może. Oczywiście nigdy nie pozwalałam, żeby współczucie przeszkadzało mi w pracy, mecenasie.
- W takim razie, w jakiej roli jesteś tutaj? Jako społeczniczka czy jako policjantka?
- Spełniłeś dzisiaj dobry uczynek, Charley. Naprawdę próbowałeś uratować tego starego człowieka. To zrobiło na mnie wrażenie. Uznałam, że ktoś powinien ci o tym powiedzieć.
- Jak już wspominałaś, tempo mojego biegu pozostawiało sporo do życzenia, ale dzięki za dobre słowo. Były czasy, kiedy porywałem się na jeszcze większe czyny. Jeśli masz czas, postawię ci lunch i zanudzę na śmierć głupimi opowieściami o dawnej chwale.
- Chcesz mnie zabrać na lunch?
- To chyba nie najgorszy pomysł. Co ty na to? Zawahała się.
- No cóż, muszę przecież coś jeść. Proponuję jednak, żeby każde z nas zapłaciło za siebie, wtedy nikt nie będzie mnie podejrzewał o przyjęcie łapówki.
- Jezu, jeśli policjanta można przekupić kanapką, w takim razie nic nie osiągnąłem w życiu. Albo ja płacę, albo nie idziemy!

76

KARA ŚMIERCI

- Muszę wrócić do biura po torebkę. Gdzie się spotkamy?
- Może w gospodzie?
- Będę za pięć minut.

To nie była zmiana Becky Harris, z czego się ucieszyłem. Jej widok nie sprawiłby nam przyjemności. Kelnerka podająca do stołu wyglądała jednak jak klon Becky - dobiegała pięćdziesiątki, była jeszcze przystojna, ale jej twarz znaczyły gorzkie linie doświadczenia. Czekaając na Sue Gillis, zamówiłem mrożoną herbatę.

Umówiliśmy się na zwyczajny posiłek spożyty wspólnie przez adwokata i policjantkę, okazja do nieformalnej rozmowy o sprawach zawodowych, można powiedzieć - lunch w interesach, nic więcej. A mimo to czułem się jak przyszczaty nastolatek na pierwszej randce, i uczucie to mnie zadziwiało.

Weszła rażnym krokiem, z każdego jej ruchu przebijała młodzięczość, jakby była studentką, nie dojrzałą kobietą. Poważnie się zląkłem, że na mojej twarzy mogą się pojawić dawno zapomniane pryszcze.

- Przepraszam, że tyle czasu mi to zajęło, Charley - rzekła siadając - ale musiałam załatwić jeszcze parę spraw. Co to jest?

- Mrożona herbata.

- Wygląda nieźle.

- Trudno ją porównać do burbona, ale ujdzie. - Jak rozumiem, nie pijesz. Skinąłem głową.

- Chodzą o mnie obrzydliwe plotki, że przez alkohol o mało nie zrujnowałem swojej kariery, swojego życia et cetera. Te obrzydliwe plotki są najprawdziwszą prawdą, Sue. Ale teraz jestem kimś, kogo my, byli alkoholicy, nazywamy ozdrowieńcem. Chodzę na spotkania i, tfu, żeby nie zapeszyć, dzień po dniu udaje mi się przeżyć bez picia.

- Nie brzmi to wesoło.

- Nie przesadzaj. Na początku jest ciężko, później wpada się w rytm. Tyle tylko, że przez cały czas trzeba być czujnym. Jeden drink dzieli mnie od zagłady.

- Boże, Charley, ależ z ciebie gawędziarz. Założę się, że nie masz problemu z kobietami.

- Każdy dźwiga swój garb.

Sięgnęła po kartę i zaczęła ją uważnie przeglądać.

- Ciekawość to ulica dwukierunkowa, Sue. Od dłuższego czasu nasze zawodowe ścieżki się krzyżują: tu mamy gwałciciela, tam podglądacza,

KARA ŚMIERCI

i zawsze wszyscy mówią do ciebie „pani Gillis”. Zakładam więc, że istnieje jakiś pan Gillis. Odłożyła jadłospis na stół.

- Istniał.

-To znaczy, że się rozwiodłaś? Potrząsnęła głową. -Jestem wdową. -Jakieś dzieci? -Nie.

- Kiedy owdowiałaś?

- Ależ jesteś wścibski.

- Daj spokój, nie po to wpędziłem się w koszty stawiając ci sałatkę z kurczaka, żeby nie dowiedzieć się wszystkiego.

Jedna mała brew powędrowała w górę niczym szlaban kolejowy.

- Stawiasz warunki.

- Próbuję cię zmusić do mówienia. Westchnęła teatralnie.

- Niech będzie. - Zamilkła, wyjęła z koszyka bułkę, przełamała ją na pół, lecz nie jadła. -

Uprzedzam jednak, że to bardzo nudne.

- Zanudź mnie. Marzę o tym.

- Byłam pielęgniarką. Skończyłam Marcy i zaczęłam pracować w Pontiac General. Spotkałam cudownego mężczyznę, inżyniera, dwa lata ode mnie starszego. Pracował dla General Motors. Był prawie za idealny, żeby istnieć naprawdę. Spotkaliśmy się w barze dla samotnych i w trzy miesiące później wzięliśmy ślub. Moi rodzice szaleli z radości, jego zresztą też. Już im się marzyły wnuki. Mówiąc ugniatała w palcach bułkę, patrząc gdzieś na rzekę za oknem.

- To było zupełnie jak w kinie, przynajmniej dla mnie. Jadaliśmy kolacje przy świecach i w ogóle byliśmy szalenie romantyczni. Robiliśmy wszystko, co robią ludzie, zanim życie wpechnie ich w rutynę nudy.

Wciąż wpatrywała się w rzekę nie widzącym wzrokiem.

- Pewnego dnia wyszedł spod prysznica i powiedział mi, że ma pod pachą mały guzek.

Przerwała na chwilę, po czym podjęła temat:

- Stwierdziłam, że to nic takiego, a ponieważ byłam pielęgniarką, uspokoił się. Na wszelki jednak wypadek uznałam, że lepiej to zbadać.

- I?

- To nie było nic takiego, to był rak. W jednej chwili trafiliśmy w środek koszmaru, z operacjami, bólem, leczeniem i całą związaną z tym brzydota

78

KARA ŚMIERCI

życia. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, co było rodzajem błogosławieństwa. Sześć miesięcy od guzka do śmierci.

Upiła łyk mrożonej herbaty, którą właśnie przyniosła jej kelnerka.

- Potem już nie mogłam pracować w szpitalu. Zdecydowałam się zostać policjantką i wylądowałam tutaj.

-Jezu,tak mi przykro.

- Że tu wylądowałam?

- Nie. Wiesz, co mam na myśli.

- Życie jest śmieszne. Nie zabawne, lecz właśnie śmieszne. Bycie policjantką w jakiś sposób mi pomaga. Po prostu widzisz, co przynosi życie. Raz jesteś pod wozem, raz na wozie, ale tak naprawdę nie masz żadnej kontroli, to ono cię niesie, dokąd chce.

- Fatalistka.

- Powiedzmy. Większość policjantów ma taką filozofię życiową.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienie. Sue poprosiła o okonia, ja o specjalność zakładu - pstrąga z rusztu. Ponieważ rzeka płynęła tuż obok, ryby w naturalny sposób stały się daniem firmowym gospody.

- Dobrze - oznajmiła. - Usłyszałeś historię mojego życia. Teraz kolej na twoją, inaczej byłoby nie

fair.

- Prawdopodobnie większość z niej znasz, bo to tajemnica poliszynela. Uśmiechnęła się.
- Wolałabym usłyszeć twoją wersję. Skończyłem swoją mrożoną herbatę i zacząłem:
- Dzięki ciężkiej pracy ukończyłem prawo na Świętym Benedykcie w Detroit. Potem byłem asesorem w sądzie apelacyjnym, a następnie otrzymałem stanowisko zastępcy prokuratora w Wayne County. Zajmowałem się głównie przestępcami z Detroit.
- Byłeś w tym dobry? - W jej oczach tańczyły iskierki rozbawienia. Udałem niezadowolenie.
- Droga pani, byłem tak dobry, że wystarczyło mi postawić kogoś przed sądem, a oskarżony natychmiast przyznawał się do winy.
- Może byłeś po prostu tak nudny, że podsądni chcieli mieć wszystko jak najszybciej z głowy. Wzięłeś to pod uwagę?
- Na to rzeczywiście nie wpadłem. W każdym razie zostawiłem prokuraturę i otworzyłem własną kancelarię adwokacką. Mam nadzieję, że ta informacja zrobi na tobie odpowiednie wrażenie: wynajmowałem całe piętro w Buhl Building, zatrudniałem tuzin partnerów i pluton pomocników, robiłem ogromne pieniądze.

KAKA ŚMIERCI

- Żonaty?
- Kilkakrotnie, a dokładnie trzy razy. Jedno dziecko, córka, obecnie studentka na uniwersytecie w Pensylwanii.
- Co więc się stało? W jaki sposób wylądowałeś na naszym spokojnym brzegu? Sięgnąłem po butelkę, również przełamałem ją na pół i także nie jadłem.
- Alkoholu spróbowałem już jako czternastolatek. W naszym domu wszędzie można się było potknąć o butelkę. Mamusia i tatuś, Panie, świeć nad ich duszami, byli alkoholikami z prawdziwego zdarzenia. Dorosłszy potrafiłem wlać w siebie naprawdę dużo, ale po pewnym czasie, nie wiem nawet, w którym momencie, mój poziom tolerancji na alkohol obniżył się. Stałem się klasycznym pijackiem. Piłem bez względu na to, czy miałem pieniądze, czy nie. Po drodze trafiłem do wielu miejsc, w tym także do szpitala.

Słuchała w milczeniu.

- Próbowałem różnych sposobów wyrwania się z nałogu i wreszcie załapałem się na anonimowych alkoholików. Zdążyłem już jednak stracić wszystko: pieniądze, żonę, nawet dziecko. Na dwa lata pozbawiono mnie prawa do praktyki adwokackiej. Zająłem się handlem nieruchomościami, ale nie byłem w tym najlepszy. Kiedy odzyskałem licencję, przeprowadziłem się tutaj i zacząłem chwytac groszowe sprawy, żeby tylko przeżyć.

- Aż do procesu Hartwella - odpowiedziała. - Tak. Po nim przyszłość nieco się przejaśniła.

- Dziewczyny, Charley?

- Kilka. Ostatnia właśnie wykonała skok prosto do Tampa.
- Zatem, a jest to fakt wielkiej wagi dla wszystkich kobiet, wliczając w to również mnie, jesteś wolnym mężczyzną.
- Tak sędzę.

Kelnerka przyniosła nasze dania.

Dziobałem swoje, pogrążony w myślach o przeszłości, a może trochę także o przyszłości.

Zauważyłem, że i Sue bardziej przesuwają rybę po talerzu, niż ją je.

- Lubisz muzykę country? Skinąłem głową.

- W przyszłą sobotę w Pine Knob jest koncert Merle Haggard. Dostałam dwa bilety. Miałbyś ochotę się wybrać?

- Jasne. Nawet wielką.

- Wiesz, gdzie mieszkam? - Nie.

KARA ŚMIERCI

Wyrwała kartkę z notesu, napisała adres i wręczyła mi.

- Przyjedź po mnie o siódmej, dobrze? Stąd do Pine Knob jedzie się około godziny.

- Wiem.

Znów podeszła kelnerka. Spojrzała na nasze talerze, potem na nas.

- Nie jesteście dzisiaj, państwo, głodni? Oboje kiwnęliśmy głowami.
- Podać kawę, a może deser?
- Dla mnie tylko kawa - rzekła Sue. Przyłączyłem się do zamówienia i kelnerka odeszła. Zapanowało niezręczne milczenie. Każde z nas znalazło na rzece punkt, w który mogło się wpatrywać. Wreszcie zapytałem:
- Jak miał na imię twój mąż? Bardzo długo nie odpowiadała.
- Charley - szepnęła wreszcie.

7

Zbliżał się termin rozprawy w procesie o odszkodowanie i mój związany z nią niepokój narastał. Nie potrafiłem wyrzucić z pamięci Willa McHugh'a, przykutego na wieki do fotela inwalidzkiego, prześladowało mnie wspomnienie błagania w jego oczach.

Każdy prawnik zna zasadę, że adwokat nie powinien angażować się emocjonalnie w prowadzoną sprawę, przynajmniej nie na tyle, by utrudniało to trzeźwą ocenę sytuacji. Starłem się więc nie myśleć, co stanie się z Willem McHugh'em w razie przegranej. Ale z każdym dniem przychodziło mi to trudniej.

Znowu siedziałem u Świętego Benedykta, obłożony taką stertą prawniczych ksiąg, że można by z nich zbudować niezły fort. W każdej wertowałem sprawy dotyczące odszkodowań. Mój notes był już prawie całkowicie zapisany i właściwie straciłem poczucie czasu.

- Byłam ciekawa, kto też skrył się za tymi wszystkimi książkami. Podniosłem wzrok i ujrzałem Caitlin Palmer. Uśmiechała się do mnie.
- Masz ochotę na przerwę? - zapytała. - Chyba dobrze by ci zrobiła. Skinąłem głową i ruszyłem za nią do holu.

- Kawy, Charley?
- Niezła propozycja.

Idąc w stronę studenckiego barku, rozmawialiśmy o niczym. Wyjąłem z automatu dwa parujące kubki i przyniosłem je do stolika, przy którym już siedziała.

Tym razem wyglądała bardziej kobieco. Kostium zastąpiła piękna jedwabna bluzka i, zgodnie z obowiązującą modą, zdecydowanie obcisła i podkreślająca krągłości jej ciała spódnica.

KARA ŚMIERCI

Wypiłem łyk kawy. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Na przykład kawa u Świętego Benedykta. Zawsze była fatalna.

Caitlin nawet jej nie spróbowała. Znowu uśmiechnęła się do mnie.

- Zaprosiłam parę osób na sobotę wieczór, Charley. Takie tam nieformalne spotkanie. Po prostu kilkoro wykładowców z wydziału. Miałbyś ochotę przyjść?

- Jasne.

- Pożyczyłam od ojca łódź. Co prawda nie możemy wypłynąć, na tyle mi nie ufa. Ale jest zacumowana w jachtklubie, a to zupełnie przyzwoite miejsce na przyjęcie.

- Cat - rzekłem - twój ojciec wchodzi w skład zespołu sędziów w sprawie, o której ci mówiłem. Myślę, że to nie najlepszy pomysł, byśmy się teraz właśnie, on i ja, spotykali towarzysko. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nie przejmuj się, Charley. Tatusz wybiera się w tym czasie do Reno na jakąś konferencję sędziów. Ma tam wykład. Jeśli więc chciałeś się wykręcić, to ci się nie udało.

- Ale i tak nie będzie to wyglądało najlepiej. On może uważać... Wyprostowała się.

- Charley, jestem dorosłą kobietą. Urządzam przyjęcie na łodzi mego ojca. Nie sądzę, by nawet najwięksi plotkarze mogli się do tego przyczepić. Powiedz, proszę, że przyjdiesz.

- Czy mogę przyprowadzić kogoś do pary? Przez jej twarz przemknął uśmiešek.

- Miałam raczej nadzieję, że będziesz moją parą. - Och?

- Jakiś problem? Jest ktoś, Charley?

- Na razie nie. - Pomyślałem o Sue Gillis, ale trudno było uznać jeden wspólny lunch za wiążący. Podniosła się.

- W takim razie wszystko ustalone. Spotykamy się w Źródlanym Jachtklubie. Podam strażnikowi twoje nazwisko, więc wejdiesz bez kłopotów. Łódź nazywa się „Sirocco II”, niezbyt oryginalnie,

lecz tata nigdy nie miał wybujałej wyobraźni. A zatem o siódmej w niedzielę?

- Dobrze. Z przyjemnością. Zostawiła mnie samego. Myślałem o niej.

KARA ŚMIERCI

I o jej ojcu.

Nagle pożałowałem, że tak szybko się zgodziłem.

Zjawiłem się w biurze bardzo wcześnie, co niezwykle zdziwiło moją sekretarkę. Był piątek, ruchliwy dzień w naszym okręgu, i miałem do załatwienia kilka spraw w sądzie. Zgarnąłem akta, które mogły mi się przydać, i właśnie zamierzałem wyjść, kiedy zjawił się Doktor Śmierć we własnej osobie. Miles Stewart przyszedł niezapowiedziany. Jak zwykle tchnął arogancją.

- Zgodnie ze zwyczajem klienci uprzedzają o swoim przybyciu - oznajmiłem, kiedy pani Fenton wprowadziła go do mego gabinetu.

- Byłem w sąsiedztwie - stwierdził, jakby żadne dodatkowe wyjaśnienie nie było konieczne.

- Idę właśnie do sądu - poinformowałem go spokojnie, pamiętając, jak bardzo cieszyło go wyprowadzanie mnie z równowagi. - Czego pan sobie życzy?

- Jak wygląda moja apelacja?

- Nic się nie zmieniło. Sprawa jest w toku, wszystkie dokumenty zostały już złożone. Czekam na odpowiedź prokuratora. Kiedy ją otrzymam, będziemy gotowi do rozprawy. Potem, w zależności od wolnych terminów, sąd wyznaczy datę.

Zmarszczy! brwi.

- Rozmawiałem z paroma osobami. Dobrze poinformowanymi osobami. Uważają, że to idzie za wolno.

- Prawnikami?

Uśmiechnął się, nie ukrywając wyższości.

- Owszem.

- Świetnie. Niech więc się zajmą pańską sprawą. Teraz już muszę wyjść.

- Powinien pan ćwiczyć cnotę cierpliwości. - Jego oczy zaśniły. - Przecież nie powiedziałem, że jestem z pana niezadowolony.

- Tak to zabrzmiało.

- Źle mnie pan zrozumiał. Mimo wyroku nadal mam do pana zaufanie. - Jak miło. Naprawdę muszę iść.

- A tak przy okazji: nikt nie umarł.

- Słucham?

- Niepokoiło pana, czy w czasie mojego pobytu na północy ktoś nie opuścił tego padoku. Nikomu nic się nie stało.

84

KARA ŚMIERCI

- Dobrze. Proszę mi wybaczyć. - Włożyłem akta do teczki.

- Otrzymałem kolejne zaproszenie.

- Dokąd?

- Do Key West.

- Czy czasem nie ma tam ciężko chorego potentata przemysłowego? - Jadę odwiedzić starego przyjaciela. A ponieważ najwyraźniej bardzo się panu śpieszy, zostawię numer telefonu tej pańskiej czarownicy.

- Do widzenia, doktorze.

Zbiegając po schodach, zastanawiałem się, jaki był prawdziwy powód tej nieoczekiwanej wizyty. Za wszystkim, co robił, zawsze się coś kryło.

Ale miałem inne sprawy na głowie. Doktor Śmierć musiał trochę poczekać, aż nadejdzie jego kolej. Na Piękną Wyspę zawitała wiosna. Samochody powoli przejeżdżały mostem, jedynym połączeniem między miastem a parkiem na wyspie. Jechały sznurem, zderzak za zderzakiem. W niektórych siedziały całe rodziny, w innych sama rozgorączkowana młodzież. Wszyscy kierowali się w stronę wyspy, uciekając w leśny chłód z ponurej rzeczywistości Detroit.

Tuż przy wjeździe na most stał zaparkowany pojazd policyjny, milcząco przypominając, że na

wyspę przemieszcza się również część z ponurej rzeczywistości.

Piękna Wyspa była kiedyś klejnotem w koronie Detroit. Szeroka na około dwa kilometry, siedziała na rzece niczym zielona łódź, mając po jednej stronie miasto, po drugiej Kanadę. Władze miejskie wykupiły ten teren na park i wynajęły Fredericka Lawa Olmsteada, człowieka, który zaprojektował Central Park w Nowym Jorku, żeby urządził tutaj coś w tym samym stylu.

Wykonał wspaniałą robotę, stwarzając miejsce odpoczynku z sadzawkami, strumieniami, zagajnikami, terenami zabaw, a wszystko to o kilkaset metrów od wiszącego mostu.

Ale w miarę upływu czasu z parkiem stało się to samo, co z piękną kobietą, która siedzi w zadymionym kącie baru. Z daleka wygląda olśniewająco, tak jak niegdyś, lecz kiedy podchodzisz bliżej, dostrzegasz zniszczenia. Nie postarzała się ładnie i nie potrafi już zadbać o siebie tak jak dawniej. Nadal kusi, zwłaszcza gdy nałoży makijaż, ale tak naprawdę jej uroda to już pieśń przeszłości. Z wyspą było podobnie. Ławkom przydałoby się malowanie, dróżkom nowe krawężniki, trawie strzyżenie. Dawne stajnie zamknięto na cztery spusty. Biedacy z miasta rozkradli, co się dało, i po niegdysiejszym

IŚAKA bMIfcKU

splendorze pozostało tylko wspomnienie. Nawet niewielkie stado jeleni, zebrzące o kawałek pączka, nie urzekło swoim widokiem.

Ale bieda nie przedostała się przez mostek prowadzący na teren Źródlanego Jachtklubu. W tej strzeżonej enklawie nadal rosły pieniądze i wszystko było równie piękne i lśniące jak w latach dwudziestych, kiedy przystań dopiero powstawała.

Na Pięknej Wyspie miały swoją siedzibę trzy kluby żeglarskie. Najstarszy, położony najbliżej mostu, należał do miasta i był obecnie nie mniej zniszczony niż wyspa. Następny, kawałek dalej, Jachtklub Miasta Detroit, pozostawał wciąż niezłe utrzymany, lecz jego przyszłość rysowała się niepewnie. Przypominał elegancki brytyjski klub krykieta w Kenii tuż przed opuszczeniem tego kraju przez jej królewską wysokość. Ciągle jeszcze dochodziły stamtąd dźwięki muzyki i pito tam schłodzony dżin, lecz słyhać też było grzmoty nadciągającej nawałnicy i służba nic zachowywała się już tak grzecznie jak niegdyś.

Tylko Źródłany Jachtklub trzymał się jako bastion starych wartości: pieniędzy, przywilejów i władzy. Dzisiaj jednak „Źródło”, jak go nazywali mieszkańcy Detroit, nie odgradza! się od Żydów i Murzynów. Jeśli tylko mieli pieniądze, oczywiście odpowiednio duże, witani byli jak równi.

W zamierzchłej przeszłości, gdy jeszcze ja miałem pieniądze, rzecz jasna te duże pieniądze, też należałem do „Źródła” i nie widziałem nic złego w przywilejach i władzy. Ale kiedy okazało się, że nie jestem w stanie zapłacić rachunków, zostałem z klubu bezceremonialnie wyrzucony. W tamtych czasach niewiele było miejsc, z których by mnie prędzej czy później nie wyrzucono.

Przejeżdżając mostkiem w stronę ładnej małej wartowni, miałem nadzieję, że nikt mnie tutaj nie pamięta.

Choć Berlin nie jest już podzielony, „Źródło” nadal ma swoją żelazną kurtynę, i to ze strażnikami. Faceci ci bynajmniej nie kryli pistoletów i wyraźnie dawali do zrozumienia, że w razie potrzeby chętnie ich użyją.

Jeden wyszedł mi na spotkanie. Podniosłem szybę w samochodzie. Ilustrował mnie, jakbym był mu winien sporo pieniędzy.

-Jestem gościem panny Caitlin Palmer - poinformowałem, stając się nadać głosowi w miarę przyjacielskie brzmienie.

Odezwał się po dobrej minucie, tak że już się zastanawiałem, czy w ogóle mnie usłyszał.

- Nazwisko.

- Charles Sloan - rzuciłem z nadzieją, że nie mają tu listy starych dłużników.

KAKA SMlhKU

Przejrzał papiery. Robił to bardzo wolno i metodycznie, jakby ewentualna pomyłka groziła katastrofą.

Wreszcie znalazł moje nazwisko. Spojrzał na mnie i zmusił usta do wyćwiczonego uśmiechu, całkowicie formalnego, bez odrobiny ciepła.

- Witamy, panie Sloan - powiedział. - Proszę jechać tą dróżką, zobaczy pan strzałkę wskazującą

parking dla gości. Panna Palmer zaprasza na pokład „Sirocco II”. To ostatnia łódź w głównym doku. Wszystko jest oznaczone. Z pewnością pan nie zabłądzi.

Skinąłem głową ze zrozumieniem, opuściłem szybę i ruszyłem wysadzaną żywopłotem pamiętną dróżką.

Główny budynek klubowy - ze względu na żółtą sztukaterię i ciemne drewno - wyglądał jak siedziba angielskiego lorda z epoki Tudorów. Wnętrze też było w tym stylu. Nawet jadalnia. Obok budynku znajdował się ogromnych rozmiarów bar, kryty basen o olimpijskich wymiarach, klubowe pomieszczenia przeznaczone do różnych ćwiczeń fizycznych, przeważnie związanych z żeglarstwem, biblioteka oraz salon, gdzie z powodzeniem pomieściłoby się pięćset osób, z paleniskiem, na którym z łatwością można by upiec kilka krów naraz. Klubowicze przesiadywali głównie w barze.

Nie wybiła jeszcze ósma, ale ponieważ była to niedziela, parkingi już się zapełniły. Samochody członków klubu odstawiała na wyznaczone miejsca obsługa. Zwykli śmiertelnicy, tacy jak ja, musieli radzić sobie sami.

Znalazłem miejsce między dużym mercedesem i małą toyotą. Właściciel mercedesa mógł pewnego dnia liczyć na kartę członkowską, ale kierowca toyoty nie miał na nią najmniejszej szansy.

Poszedłem ścieżką prowadzącą do basenu i doków.

W odróżnieniu od reszty wyspy miejsce to było równie dobrze utrzymane jak okręt marynarki wojennej oczekujący inspekcji. Przypomniałem sobie wieczory, gdy doskonale się w tym klubie bawiłem. Kilku jednak wieczorów, gdy bawiłem się nie mniej dobrze, nigdy nie zdołałem sobie przypomnieć.

Miałem nadzieję, że nie natknę się na nikogo, kogo znałem w tamtych czasach.

Do sztucznego portu przylegały cztery doki. Nie wszystkie łodzie już zwodowano. Było jeszcze wcześniej, a niektóre, jak pamiętałem, zabierano na zimę na Florydę lub Karaiby. Największe jachty cumowały w głównym doku.

Teren był utrzymany nienagannie, nabrzeże oświetlały stylowe lampy, tak że miejsce to mogło konkurować z Wenecją. Było ładnie. Rozlegało się skrzywienie lin i do uszu dobiegał charakterystyczny dźwięk, jaki wydają łodzie. Pachniało rzeką. Nad głowami kołowały mewy.

K.AKA SM1ŁKC1

O1

Na drugim brzegu, na którym rozpościerało się Detroit, znajdowały się inne porty, więc widok naprawdę robił wrażenie. Tylko mieszkaniac miasta wiedział, że w powodzi świateł kryją się tereny odpowiadające najgorszym slumsom Trzeciego Świata, równie obmierzłe i niebezpieczne. Ale kiedy spoglądało się w tamtą stronę ze „Źródła”, nie myślało się o takich sprawach.

Z głównego budynku dochodziły dźwięki muzyki.

Nagle poczułem taką potrzebę drinka, że przyspieszyłem kroku, by jak najszybciej znaleźć się przy wielkiej łodzi zacumowanej na końcu doku. Po drodze mijałem chłopców pokładowych - studentów wynajmowanych zarówno dla ich umiejętności, jak i wyglądu.

„Sirocco II” był naprawdę ogromny, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie - typ jachtu wyścigowego, z tych, jakie ogląda się na filmach albo podczas relacji dziennikarskich o nieprzyzwoicie bogatych szejkach czy handlarzach bronią.

Kilka osób, ubranych niedbale, choć w stroje najlepszej jakości, stało na pokładzie większym niż przeciętne mieszkanie. Wszyscy sęczyli drinki.

- Charley!

Cat Palmer ruszyła ku mnie po kładce. Miała na sobie biały marynarski strój, tyle tylko że żaden marynarz tak by nie wyglądał. W każdym razie na pewno nie tak świeżo i czystutko. Rozpuściła włosy, co dało efekt wręcz erotyczny.

Ujrzała to w moich oczach.

- Podoba ci się? - zapytała cicho.

- Komu by się nie podobało?

- Chodź, przedstawię cię gościom. - Spojrzała na moje buty. Wiedziałem, o czym myśli.

Podniosłem stopę, żeby pokazać jej podeszwę.

- Odpowiednie na pokład - powiedziałem. - Kiedyś należałem do tego klubu. Wiem, jacy wrażliwi są żeglarze, jeśli chodzi o ślady obuwia.

Roześmiała się.

-A zwłaszcza mój ojciec. Chodź.

To była typowa zbieranina wykładowców szkoły prawniczej - profesorów, którzy studentom wydawali się pomniejszych bóstwami i taką też przybierali pozę. Niezależnie od pici czuli niezachwianą pewność stabilności swojego świata i własnej w nim pozycji. Ich żony i mężowie byli tylko odrobinę bardziej strawni.

Niektórzy z nich wiedzieli, kim jestem - ich wzrok mówił, że znają mnie zarówno od złej, jak i dobrej strony. Jeden przypomniał, że stawał przeciw-

88

KARA SMIĘTKU

ko mnie w sądzie kilka lat temu. Nie pamiętałem ani jego twarzy, ani sprawy, ale postanowiłem unikać go, ponieważ najwyraźniej miał ochotę na nieformalny rewanz.

Sięgnąłem po sok pomarańczowy, a Cat zaproponowała, że oprowadzi mnie po jachcie.

Nazywanie go jachtem było tym samym, co używanie słowa „wioska” na określenie Nowego Jorku.

Luksusowe kabiny pod pokładem dorównywały wielkością apartamentom u Ritza. W kabinie nawigacyjnej znajdowało się więcej gadżetów elektronicznych niż w concordzie. Wszystko najlepszej jakości, co było widać na pierwszy rzut oka.

Wydałem z siebie odpowiednią liczbę ochów i achów.

Cat zaprowadziła mnie na rufę. Usiedliśmy na pokładzie, zwieszając nogi na zewnątrz. Wieczór był ciepły, nie za gorący, po prostu przyjemny. Ona popijała wino, ja zająłem się swoim sokiem pomarańczowym.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się innym łodziom, rozkoszując spokojem i muzyką Cole'a Portera.

- Miło tu - odezwałem się. Skinęła głową.

- Właściwie wychowałam się w klubie. Jest jakby moim drugim domem. Dla mojego ojca to oczywiście centrum świata.

Wskazała na niski maszt koło radaru.

- Widzisz to?

- Flagę?

- To znak, że tata jest komandorem klubu. Przypuszczam, że daje mu to więcej satysfakcji niż stanowisko w sądzie. Jest także przewodniczącym zarządu. Można powiedzieć, że praktycznie rządzi tym klubem. - Upiła łyk.

- Oczywiście mają tu kierownika, który zajmuje się codziennymi sprawami, zatrudnia i zwalnia ludzi, ale o każdej decyzji informuje mojego ojca.

- Zachichotała. - Tata powtarza, że to jego królestwo i że czuje się tutaj królem.

- Chyba tak właśnie jest.

- W każdym razie on to kocha. Kiedy odwiedza jakiś inny klub, nieważne, u nas czy na Florydzie, przypomina to wizytę członka rodziny królewskiej. Udaje, że jest ponad to, ale nie jest. Aż się oblizuje na samą o tym myśl.

- Czy pływa swoim jachtem?

- Teraz już niezbyt często, tylko przy specjalnych okazjach, takich jak start zawodów Mackinaca czy inne tego typu wydarzenia. Mógłby sterować sam, ale zatrudnia kapitana. Ma człowieka, który zjawia się na każde zawołanie.

KAKA MYLIŁO SIĘ

- To wszystko musi być dość kosztowne.

- Żebyś wiedział. Ale całe życie mądrze inwestował, a teraz wydaje praktycznie tylko na to. Nie ma chyba w tym nic złego, prawda?

- Myślę, że nie. Ostatecznie to jego pieniądze. Znowu przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

- Lubię cię, Charley - odezwała się cicho.

-Ja też cię lubię. Lubiłem cię już wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką. -Ja nie jestem dzieckiem.

- Zauważyłem.

Uśmiechnęła się i zapatrzyła na rząd zacumowanych łodzi.

- Czasy się zmieniają, Charley. Dorosła kobieta nie musi już, gryząc palce, czekać, aż mężczyzna zaprosi ją na randkę.

- Więc?

- Czy spotkamy się znowu?

Przechyliłem szklanekę do ust, lecz nie było w niej soku. -Jak chłopak i dziewczyna?

- Wolałabym, jak kobieta i mężczyzna. - Patrzyła mi prosto w oczy.

- Cat, wiesz, że czeka mnie bardzo ważna sprawa, w której stoję przed twoim ojcem. Dokładnie rzecz biorąc, w przyszłym tygodniu. Nie wiem, ile czasu zabierze sędziom podjęcie decyzji.

Uważam, że w tych okolicznościach randki z córką jednego z nich nie byłyby dobrze widziane.

- Zdziwiasz mnie. Po tylu latach wciąż nie znasz mojego ojca. Coś takiego nigdy nie wpłynęłoby na jego decyzję.

- Nie jestem taki pewien. Dzieli nas dość znaczna różnica wieku.

- On cię lubi, Charley. Ale to też nie wpłynie na werdykt.

- Może nie, Cat. Inni jednak mogą mieć zastrzeżenia.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że nie powinniśmy się widywać aż do zakończenia tej cholerniej sprawy?

- Właśnie.

Odwróciła wzrok i na krótko zamilkła.

- A potem? - zapytała.

- Czemu nie?

Znów przyglądała się łodziom.

- Zazwyczaj dostaję to, czego pragnę, Charley. Myślę, że to uczciwe ostrzeżenie.

Dołączyliśmy do innych gości. Tak jak podejrzewałem, mój stary oponent uparł się, żeby jeszcze raz przedyskutować ze mną sprawę, przy której starliśmy się w sądzie. Wino mocno uderzyło mu do głowy, jego żona wy-

90

KARA ŚMIERCI

glądała na nieźle przestraszoną. Udało mi się od niego odczepić, a potem pożegnałem się z Cat. Odprowadziła mnie do samochodu i pocałowała na pożegnanie z zaskakującą namiętnością.

- W chwili, gdy ogłoszą werdykt - oznajmiła spokojnie, odsuwając się krok do tyłu - będę przy tobie.

Nie uśmiechała się.

Opuszczałem wyspę z myślą, że ślub z córką bogatego faceta nie jest najgorszą rzeczą, jaka może mnie spotkać w życiu. Zastanawiałem się tylko, co powiedziałby na to ów bogaty człowiek.

w miarę jak zbliżał się termin rozprawy apelacyjnej, Mickey Monk zaczął codziennie do mnie

wydzwaniać. Właściwie nie miał żadnego powodu ani poleceń z ostatniej chwili, nie poganiał mnie również do zwiększonych wysiłków. To było coś w rodzaju modlitwy i to modlitwy pijaczka.

Poziom pochłanianego alkoholu podnosił się u niego alarmująco. Czasami wręcz nie potrafiłem go zrozumieć. A dzwonił zazwyczaj późnym wieczorem.

Próbowałem go uspokoić, nie sądzę jednak, by udało mi się coś osiągnąć.

Oddając sprawiedliwość Mickeyowi, trzeba przyznać, że przede wszystkim martwił się o Willa McHugh'a i o to, co się z nim stanie, jeśli przegramy apelację. Swoje własne rozpaczliwe położenie stawiał na drugim miejscu, choć na dobrą sprawę dystans między pierwszym a drugim nie był zbyt wielki.

Gdybyśmy przegrali, życie McHugh'a zamieniłoby się w absolutny koszmar. Wegetowałby jak bezradne stworzenie zamknięte w rozpadającej się przyczepie, niezdolne nawet do zadania sobie śmierci. Natomiast Mickey Monk stałby się bankrutem. Musiałby zamknąć biuro, a ponieważ najwyraźniej nie zamierzał przestać pić, prawdopodobnie straciłby licencję i w dalszej perspektywie skończył na ulicy.

Tylko mnie nic by się nie stało. O dziwo, myśl ta wcale nie wydawała mi się pocieszająca. Dlatego

staralem się bardziej niż zwykle. Na kilka dni przez wyznaczonym terminem odložylem wszystkie inne sprawy i skoncentrowalem się wyłacznie na poszukiwaniach w bibliotece, żeby umieć odpowiedzieć na każde możliwe pytanie sędziów i w rezultacie ich przekonać.

Czułem się naprawdę przygotowany i powinienem być pewny siebie, ale nie wiem, czy to z powodu nie opuszczającego mnie wspomnienia McHu-

KARA ŚMIERCI

gha, czy też pijackich telefonów Mickeya, z każdym dniem coraz bardziej się niepokoilem.

Zdenerwowany prawnik nikomu się nie przysłuży - ani samemu sobie, ani tym bardziej klientowi.

W popołudnie poprzedzające rozprawę zadzwoniłem do sądu. Czasami bowiem z różnych przyczyn w ostatniej chwili odwołuje się wyznaczony termin. Tak bywa, gdy zachoruje sędzia lub nastąpi coś równie nieprzewidzianego. Sądy, zwłaszcza apelacyjne, nie są skłonne do przesuwania terminów, lecz w wyjątkowych sytuacjach to się zdarza.

W wypadku apelacji McHugh'a nie zdarzyło się. Wszystko toczyło się zgodnie z rozkładem.

Powinno mi być ulgę i gotowość. Ale nie czułem. Znowu pożałowałem, że w ogóle zgodziłem się wziąć tę sprawę, i moja niechęć przerodziła się w lęk.

Wątpiłem, bym mógł uzyskać odroczenie, powołując się na swoje nieokreślone lęki, zdałem się więc na los i jeszcze raz przejrzałem notatki.

Na ten dzień wyznaczono trzy rozprawy. Sprawa McHugh'a była druga z kolei. Pierwsza zaczynała się o dziewiętej. Każda strona miała pół godziny na ustne przedstawienie argumentów. Gdyby więc wszystko poszło zgodnie z planem, pierwsza sprawa powinna potrwać godzinę. Teoretycznie mogłem spokojnie przyjść na dziesiątą. Kiedy jednak ma się do czynienia z prawem, nigdy nie należy oczekiwać, że coś potoczy się ściśle według harmonogramu.

Mogło się nawet zdarzyć, że pierwsza sprawa spadnie z wokandy zupełnie nagle i bez uprzedzenia, w rezultacie tak zwanego porozumienia na schodach sądu. Gdyby coś takiego nastąpiło, sędziowie nie chcieliby siedzieć przez godzinę beczynnie, lecz oczekiwali - co więcej, wymagali - by adwokaci występujący tego dnia, wszyscy jak jeden mąż, zjawili się o dziewiętej, bez względu na kolejność przewidzianych spraw - ot tak tylko, na wszelki wypadek.

Może było to niewygodne dla adwokatów, ale na pewno bardzo wygodne dla sędziów, a ponieważ to ci ostatni ustalali zasady, liczyła się tylko ich wygoda.

Wstałem wcześniej niż zazwyczaj, wziąłem prysznic, wypilem kawę i zjadłem grzanekę, chociaż właściwie wcale nie byłem głodny. W teczce miałem już przyszykowane wszystkie papiery - starannie skatalogowane i ułożone. Ale to, czego potrzebowałem najbardziej, mieściło się w mojej głowie. A to

KARA ŚMIERCI

wydawało się złowieszczo nieuporządkowane. Z doświadczenia wiedziałem wprawdzie, że niezbędna wiedza ujawni się w odpowiedniej chwili, istniała jednak niepokojąca możliwość, że kiedyś mnie zawiedzie.

Odrzuciłem takie myśli, wsiadłem w samochód i skierowałem do Detroit. Niektórzy ludzie wyruszają do boju przy dźwiękach bębnów i muzyki wojskowej, ale ja słuchałem Beach Boysów. Dzięki temu, zanim włączyłem się w poranny śródmiejski korek, czułem się już całkowicie odprężony. Z parkowaniem w Detroit w zasadzie nie ma problemu, raczej z wyborem parkingu. Płaciłem dość dużo za miejsce w garażu, uzyskując prawdopodobieństwo ponownego ujrzenia własnego samochodu. Żadnych gwarancji, po prostu nadzieję.

W Detroit rozprawy apelacyjne odbywają się zazwyczaj w budynku federalnym, nowoczesnym wieżowcu na rogu alei Michigan i Woodward. Miejsce to kiedyś stanowiło serce miasta. Przecinały się tu najważniejsze ulice, było niedaleko rzeki, znajdowały się najelegantsze sklepy.

Dziś rzeka płynie tak jak niegdyś, ale witryny butików - choć budynki wciąż stoją - zabito deskami. Ulice nadal się przecinają, lecz główny strumień ruchu przeniósł się w inne rejony, podobnie jak tłumy ogarnięte pasją zakupów. To, co dawniej było tętniącym pulsem miasta, teraz wygląda jak stratowana ziemia po przemarszu wrogich wojsk. Wszystkich, którzy pamiętają, jak kiedyś to miejsce wyglądało, obecne opuszczenie przejmuje smutkiem, niczym widok ulubionego wuja - dawniej tryskającego humorem, dzisiaj umierającego.

Ale gdy się weszło do budynku federalnego, oznaki zaniedbania zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W środku wszystko lśniło czystością, a strażnicy patrolowali hol. Uśmiechnięci ludzie przemierzali korytarze poganiani celowością własnego działania. Problemy ulicy pozostawały na zewnątrz.

Wsiadłem do windy i pojechałem na dziewiąte piętro. Tam zameldowałem się w sekretariacie, po czym wszedłem do głównej sali rozpraw.

Sala sądowa, ta dostępna dla publiczności, zwykle jest zaprojektowana w sposób nieco teatralny. Szczególnie efektowne są pomieszczenia w starych sądach - wyłożone ciemnym drewnem i przyozdobione lśniąącymi rzeźbami. Ale nawet te nowoczesne, pozbawione wszelkich ozdób sale, też robią wrażenie.

Zawsze mi się wydaje, że projektodawcy podświadomie chcą wykazać publice, iż płacone przez nią podatki nie idą na mamę. Gdyby sędziowie wyglądali jak szewcy, a sale rozpraw mieściły się w piwnicach, trudno byłoby

94

KARA ŚMIERCI

namówić obywateli, by za usługi prawne płacili krocie. Tak więc im ważniejszy sąd, tym większa pompa.

Ta zasada nie dotyczy jednak sądów apelacyjnych, gdzie bywają sami prawnicy. Stawki każdy zna na pamięć, nie ma więc sensu, żeby sala przypominała cyrk.

Pomieszczenie, w którym się teraz znalazłem, było właśnie takie zwyczajne, a przy tym wygodne i bez wyrazu.

Trzy krzesła dla sędziów ustawiono na niewysokim podium, tak że adwokat i prokurator podczas swoich mów patrzyli tylko nieco w górę. W niektórych sądach prawnikowi grozi poważna kontuzja szyi z powodu konieczności zadzierania głowy w stronę siedzących nad nim sędziów. Ale nie tutaj. Przed podium stał zwyczajny drewniany pulpit, taki, jakiego używają politycy, a na nim mikrofon. Na obu krańcach pulpitu umieszczono stoły, po jednym dla każdej strony sporu, tak żeby prawnicy mogli przygotować wszystkie potrzebne im dokumenty lub robić notatki, wysłuchując kłamstw, które ich oponent roztacza przed trzyosobowym składem sędziowskim.

Część sali przeznaczona dla obserwatorów przypomina trochę poczekalnię na lotnisku, chociaż fotele, podobne do kinowych, są szerokie i wygodne, ale nie aż tak, by kogoś utulić do snu. Według niepisanych zasad w sądzie się nie chrapie.

Kiedy wszedłem na salę, spostrzegłem, że adwokaci reprezentujący Forda już na niej są. Z dwoma z nich spotkałem się wcześniej. Byli to pełni zaangażowania młodzi ludzie. W ich oczach czaił się głód, przed którym przestrzegał Szekspir. Trzeciego znalazłem ze słyszenia. Craig Gordon był specjalistą od apelacji, człowiekiem, który prawdopodobnie lepiej znał sędziów niż prawo, ale w tej drugiej dziedzinie też nie wydawał się ignorantem. Nie musiano mi mówić, że to on właśnie będzie występował przeciwko mnie. W tym się przecież specjalizował. Wyglądał na całkowicie spokojnego, jak ambasador przebywający w zaprzyjaźnionym kraju.

Przedstawiłem się Gordonowi. Wymieniliśmy normalne w takich sytuacjach grzeczności niczym obojętni znajomi spotykający się przypadkiem w teatrze. Nie rozmawialiśmy o sprawie, tylko rzuciliśmy kilka uwag na temat pogody i drużyn sportowych. Takie ple-ple o niczym. Oczywiście obaj szacowaliśmy wzajemnie swoje możliwości. Potem uścisnęliśmy sobie dłonie i on dołączył do dwóch szczupłych pomocników po jednej stronie sali, ja zaś zająłem krzesło po drugiej.

Rozejrzałem się za jakąś znajomą twarzą. Zauważyłem dwoje wyjątkowo młodych prawników - bardzo chudego białego mężczyznę z długimi

KARA ŚMIERCI

włosami oraz czarną kobietę o talii dwa razy grubszej niż jego. Oboje mieli posępne miny i zachowywali się dość nerwowo. Pierwsza sprawa na wokandzie była sprawą karną i domyśliłem się, że w niej właśnie będą występować. Zastanawiałem się, które z nich jest oskarżycielem. Poza tym na sali znajdowało się jeszcze tylko dwóch starszych panów o dość ponurych obliczach. Siedzieli razem i rozmawiali obojętnie, jak ludzie czekający na autobus. Znałem ich nazwiska, chociaż nigdy nie występowałem przeciwko żadnemu z nich. Obaj byli partnerami dużych

detroitkich firm adwokackich. Przypuszczałem, że reprezentują dwie strony w sprawie rozpatrywanej tego ranka jako ostatnia - bank przeciw bankowi.

I to wszystko. Nic, co się miało tu dzisiaj rozegrać, nie zainteresowało dziennikarzy na tyle, by pojawił się choć jeden. Obejdzie się więc bez dodatkowych emocji, w gronie nie większym niż tuzin prawników, licząc sędziów.

Ponieważ przez rok pracowałem w tym sądzie, wiedziałem, co się dzieje, mówiąc w przenośni, za kulisami. W tej właśnie chwili sędziowie, już ubrani w togi, przeglądali notatkę ze sprawy. Ten skrót z materiałów dotyczących sprawy pierwszej instancji był najważniejszy i podstawowy dla każdej apelacji. Był czas, kiedy sam go przygotowywałem. Przedstawiał możliwie zwięźle wszystkie fakty, a także wynikające z nich implikacje, również prawne. Na końcu pojawiała się delikatna sugestia co do ostatecznej decyzji.

Dokument ten wpływał na tok rozprawy apelacyjnej, a nawet na sam wyrok.

Niektórzy sędziowie bardzo mocno się na nim opierali i dodatkowe argumenty już właściwie nie oddziaływały na ich postanowienie. Inni traktowali go wyłącznie jako wskazówkę dla własnych przemyśleń. Ci ostatni należeli do ludzi, którzy uczą się przez całe życie i każdy włos dzielą na czworo. Większość jednak mieściła się gdzieś pomiędzy tymi dwoma kategoriami -niektórzy trochę zanadto leniwi, inni zbyt drobiazgowi, lecz wszyscy starali się, by zatriumfowała sprawiedliwość, i wypełniali swe obowiązki najlepiej, jak potrafili.

A jednak to małe sekretne sprawozdanko wprawiało całą maszynę w ruch.

Zazwyczaj sędziowie wymieniali między sobą uwagi na temat tego, co przeczytali. Po rozprawie zbierali się ponownie, by przedyskutować werdykt. Jeśli nie mogli go uzgodnić, przesuwali dyskusję na inny termin. Z reguły, nawet jeśli decyzji nie podjęli zaraz po sprawie, wyznaczali jednego spośród siebie do napisania orzeczenia. Zwykle był to ten sędzia, którego opinia zdawała się przeważać, lub który był szczególnie zainteresowany sprawą.

96

KARA ŚMIERCI

W łatwiejszych przypadkach wyrok zapadał od razu i jeden z sędziów był obowiązany napisać jego sentencję. W przełożeniu na język potoczny znaczyło to, że musiał ją napisać jego asesor, by skład sędziowski mógł bez zwłoki zająć się następną sprawą.

Przypuszczałem, że w tej właśnie chwili sędziowie kończyli czytać notatkę.

W drzwiach pojawił się znudzony woźny, spojrzął na garstkę prawników, jakby mogli oni zamienić się nagle w rozszalały tłum, potem uderzył w stół młotkiem i ogłosił wejście sędziów.

Wszyscy wstaliśmy.

Weszli pojedynczo i każdy stanął przed wyznaczonym mu fotelem. Nie usiedli. Jak zawsze sędzia prowadzący zajął miejsce pośrodku.

Przewodniczącym był Frank Palmer. Rozejrzął się po sali, jego oczy na moment spotkały się z moimi, ale nie pojawił się w nich nawet cień rozpoznania.

Znow rozległo się uderzenie młotka i wszyscy usiedli.

Sędzia Palmer rozpoczął od wygłoszenia litanii obowiązujących zasad. Każda strona ma pół godziny na przedstawienie swoich racji. Od razu na wstępie można zarezerwować sobie część swojego czasu na wykorzystanie go do odparcia argumentów strony przeciwnej. Na dwie minuty przed upływem wyznaczonej godziny mówcy zostanie udzielone ostrzeżenie, a kiedy jego czas minie, mowa zostanie przerwana, nawet w połowie zdania, bez żadnych odstępstw od tej reguły.

Zauważyłem, że do sali weszło kilku asesorów. Zajęli krzesła z przodu. Wiedzieli, że prawdopodobnie czeka ich robota, więc już się szykowali.

Kiedy sędzia Palmer przypominał podstawowe zasady, przyjrzałem się pozostałym sędziom.

Roberta Chenea znałem. Zanim wygrał wybory i trafił wyżej, był zwykłym sędzią okręgowym.

Występowałem przed nim kilkakrotnie. Miał około sześćdziesiątki i chociaż ze względu na aparycję świetnie by się nadawał do roli kata w jakiejś hollywoodzkiej superprodukcji, uchodził za miękkiego. Przez długi okres był adwokatem. Miałem nadzieję, że wciąż jeszcze potrafi spojrzeć na świat oczami człowieka, który widział wielu Willów McHugh.

Trzeciego sędziego znałem z widzenia, ale nigdy nie spotkaliśmy się na sali sądowej. Niski, mocno

zbudowany, o jowialnej twarzy, nie przekroczył czterdziestki, lecz powiększająca się łysina postarzała go. Wcześniej pracował w kancelarii obsługującej firmę ubezpieczeniową i stąd się wzięło - jak mawiano - jego mocno zakorzenione uprzedzenie do ludzi. Podobno prawnicy

KARA ŚMIERCI

związani z ubezpieczeniami szybko je sobie wyrabiają, a może nawet tacy się rodzą. Rzadko stawał po stronie pokrzywdzonych. Nazywał się Phillip Noonan. Był jeszcze drugi Phillip Noonan, w sądzie okręgowym, i prawnicy, którzy uwielbiają wymyślać przezwiska, nazwali tego z okręgu Słodkim No-onanem. Do sędziego apelacyjnego przyłgnęło określenie Podły Noonan. Natomiast Frank Palmer wyglądał, jakby został stworzony do roli sędziego. Był przystojnym mężczyzną o regularnych rysach. Niewiele uchodziło uwagi jego jasnoniebieskich oczu. Mocno opalony, wysoki, o szerokich barach, prawie się nie zmienił od czasu, gdy był moim wykładowcą prawa karnego. Jedyne włosy posiadał mu nieco na skroniach, ale to tylko dodawało uroku. Poza tym wydawał się bez wieku.

Dopiero teraz dostrzegłem, jak bardzo Caitlin jest do niego podobna.

Wywołano pierwszą sprawę z wokandy. Mężczyznę o nazwisku McDo-ugał nakryto w samochodzie z ukradzionym mieniem, zrabowanym z domu położonego o kilka minut drogi od miejsca, w którym zatrzymali go policjanci. W sądzie pierwszej instancji uznano go za winnego. Młody człowiek o długich włosach okazał się adwokatem McDougala. Podejrzałem, że jest obrońcą z urzędu, a sądząc po jego zdenerwowaniu, występuje w sądzie apelacyjnym po raz pierwszy.

Rozłożył swoje notatki na jednym stole, jego oponentka zaś, młoda Murzynka, zrobiła to samo, wykorzystując blat drugiego stołu. Starła się zachowywać tak, jakby tę czynność wykonywała codziennie, ale zauważyłem, że ręce jej się trzęsą. Była bardzo młoda jak na zastępcę prokuratora i domyślałem się, że to również jej debiut w sądzie apelacyjnym.

Mówią, że strach przed nieznanym jest zawsze najgorszy. I mają rację.

Młody człowiek ustawił mikrofon i zaczął do niego mówić, trzymając wargi tuż przy membranie, jakby znajdował się pod wodą, a mikrofon był rurką z tlenem. Wypowiedziane drżącym głosem słowa uderzyły w zebranych jak grzmot. Mężczyzna odskoczył niczym rażony prądem.

- To delikatny instrument - sędzia Palmer uśmiechnął się lekko. - Nie ma potrzeby stawać tak blisko niego. Proszę mówić dalej.

Młodzieniec wziął głęboki oddech i zaczął jeszcze raz:

- Za pozwoleniem Wysokiego Sądu reprezentuję Melvina McDougala, skazanego za posiadanie skradzionego mienia. Twierdzimy, iż...

- Zgodnie ze zwyczajem należy się najpierw przedstawić, panie mecenasie - przerwał mu sędzia Palmer miłym i przyjaznym tonem.

- Och tak, oczywiście. Przepraszam. Nazywam się Melvin Swartz. Reprezentuję, jak już powiedziałem, pana McDougala i jest to nasze...

98

KARA ŚMIERCI

- Czy chce pan zarezerwować część swojego czasu na odparcie oskarżeń, panie Swartz? Oczywiście nie musi pan, ale trzeba to zrobić teraz albo wcale. - Palmer uśmiechnął się.

- Odparcie? - Głos obrońcy wzniósł się aż do górnego C. Sędzia Palmer spoglądał na niego życzliwie, sędzia Chene był rozbawiony, a sędzia Noonan zirytowany.

- Na wypadek gdyby uznał pan, że należy odpowiedzieć pańskiej szanownej oponentce. Lepiej zarezerwować kilka minut, nawet jeśli się ich nie wykorzysta - mówił spokojnym głosem sędzia Palmer.

Usłyszałem, że jeden z młodych prawników od Forda parsknął śmiechem. Spojrzenie Palmera uciszyło go w jednej sekundzie.

- Och, jeśli Wysoki Sąd pozwoli. Nie mam jeszcze doświadczenia - młody człowiek prawie wyszeptał te słowa. - Ile czasu zazwyczaj się rezerwuje?

Sędzia Noonan rozłożył ramiona w geście gniewnej rezygnacji, sędzia Palmer zaś znowu się uśmiechnął.

- Pięć minut, dwie minuty, to zależy.
- Rezerwuję pięć minut. - W głosie młodego człowieka zabrzmiał triumf, jakby zdobył punkt w jakiejś grze.

Sędzia Chene nie krył wesołości.

- Proszę zapisać, że pan Swartz poinformował sąd, iż rezerwuje sobie pięć minut ze swego czasu na końcowe odparcie zarzutów - powiedział Palmer. Jeszcze raz obdarzył młodego człowieka uśmiechem. - Proszę kontynuować.

Każdy prawnik siedzący w tej chwili na sali przypominał sobie zapewne własne pierwsze wystąpienie i ból zakłopotania. Nagle zapanowała kompletna cisza.

Jeszcze raz młody człowiek wyraźnie zebrał się w sobie i rozpoczął:

- Mój klient, pan McDougal, jechał samochodem przyjaciela w kierunku wschodnim ulicą Adair, kiedy nagle, bez żadnego powodu...

- Była trzecia nad ranem, prawda? - zapytał sędzia Noonan.

- Zgadza się, Wysoki Sądzie. Na zwyczajnej ulicy. W każdym razie jechał samochodem...

- Policjanci utrzymują, że jechał bardzo szybko - wtrącił się znowu Noonan.

Młody prawnik potrząsnął głową.

- Oni tak twierdzą, ale pan McDougal stanowczo temu zaprzecza przez cały czas, od momentu aresztowania aż do chwili... - zawahał się.

- Uznania go w sądzie pierwszej instancji za winnego. - Noonan uśmiechnął się niezbyt przyjemnie.

KARA ŚMIERCI

To był zły znak. Z niewiadomego powodu Podty Noonan był w fatalnym nastroju. Liczyłem, że wyładuje się na tym dzieciaku, lecz istniała obawa, że dla nas też jeszcze coś zostanie.

Oczywiście młody adwokat nie miał najmniejszej szansy. Każdy prawnik występował w obronie klienta, który w oczywisty sposób jest winny, i w takiej sytuacji nie pomogłoby mu nawet pojawienie się chórów anielskich wyśpiewujących na jego cześć.

Sędziowie zasypali Swartza gradem nieprzyjemnych pytań. Obrońca zaczął się ostrożnie wycofywać, ale wyraźnie ogień parzył mu pięty. Uśmiechnąłem się. Żeby otrzymać coś z wartościowej stali, trzeba ją długo trzymać w ogniu. Pomyślałem, że pewnego dnia pan Swartz okaże się naprawdę dobry.

Na końcu atakowali go wszyscy trzej, nawet miły sędzia Palmer. Strzelali w niego pytaniami, jakby to on sam był oskarżony.

Sądząc po napastliwym tonie pytań, pan McDougal - którego obrona opierała się na fakcie, że rewizję przeprowadzono nieprawidłowo - mógł się spodziewać bardzo długiego wyroku. Ale z powodu własnej winy, nie zaś błędów popełnionych przez prawnika. Młody adwokat był gotów zrobić wszystko, z wyjątkiem zorganizowania ucieczki z więzienia.

Pożałowałem pani prokurator. Zanim bowiem Swartz skończył swoją mowę, sędziów cała sprawa przestała już interesować. Wiedzieli, co postanowią. A ona przygotowywała się na ten ważny moment w swojej karierze całymi tygodniami, może nawet miesiącami. Prawdopodobnie nie było podobnej sprawy w ciągu ostatnich stu lat, której by nie znała na pamięć. Jej sukienka wyglądała na nową. To miała być jej wielka chwila. Ale nikogo to nie obchodziło i nikt nie zadał jej ani jednego pytania.

Sędzia Palmer przypomniał tylko, że skończył się jej czas. Była prawdziwie wstrząśnięta, młodzieńczy głos stracił początkowy wigor. Natychmiast zamilkła.

- Dziękuję za wysłuchanie mnie - powiedziała szybko i usiadła.

- Panie Swartz, ma pan pięć minut na odpowiedź. Jeśli zechce je pan wykorzystać - oznajmił Palmer.

Adwokat podniósł się i podszedł do pulpitu.

- Pan McDougal, mój klient, nie prosi o nic więcej oprócz tego, co przysługuje każdemu obywatelowi amerykańskiemu - oświadczy! z zaskakującą mocą. - O sprawiedliwość.

Mówiąc to, stał sztywno, jakby kij połknął. I to był koniec sprawy. Sędzia Palmer skinął lekko głową.

KARA ŚMIERCI

- Proszę wstać! - zawołał woźny.

Posłuchaliśmy i sędziowie opuścili salę. Wrócą za kilka minut, po krótkiej naradzie, i wtedy przyjdzie moja kolej. Kiedy mijał mnie Swartz, zapytałem:

- Pierwszy raz?

Spojrzał, lekko się czerwieniąc.

- Widać było?

- Tak. Ale odwalił pan kawał dobrej roboty.

Przez chwilę miałem wrażenie, że rzuci się, by ucałować mą dłoń, lecz tylko kiwnął głową i się oddalił.

Pochwaliłem także jego przeciwniczkę, tęgą czarną dziewczynę.

- Nieźle poszło - rzekłem.

- Wolne żarty! - uśmiechnęła się. - Ale to nic. Wygrałam sprawę, i tylko to się liczy.

Spojrzała na mnie uważnie.

- Pan jest Charley Sloan, prawda?

- Zgadza się.

- Wciąż mówi się o panu w sądzie okręgowym.

- Dobrze czy źle? Uśmiechnęła się zabawnie.

- Różnie. Teraz pan? Skinąłem głową.

- Daj im popalić, Charley. Rozgrzałam ich dla ciebie.

p

I podczas gdy sędziowie się naradzali, mój oponent i ja zajęliśmy miejsca przy stolach tuż obok mównicy.

Craig Gordon, z którym przyszło mi się zmierzyć, był tak gładki, że można by po nim jeździć na łyżwach. Kiedy do niego podszedłem, uśmiechnął się szeroko. Identycznie uśmiechał się Muhammad Ali, pochylając się nad swym przeciwnikiem, leżącym już na deskach.

- Nie powinno to nam zabrać wiele czasu - oświadczył. - Uważam, że sprawa jest dość prosta.

- Zasądzono pięć milionów, a z procentami będzie tego znacznie więcej. Co byś powiedział na propozycję zaoszczędzenia paru milionów?

Jego brwi powędrowały w górę.

- Podzielić różnicę?

- Coś w tym rodzaju.

- Posłuchaj, gdyby to ode mnie zależało, prawdopodobnie poszedłbym na ugodę. Jednakże, Charley

- chyba mogę do ciebie mówić Charley? - nie ja tu podejmuję decyzje. Tych dwóch młodych budrysów tuż za mną dopiero co rozmawiało z naszym potężnym klientem. Ich interesuje tylko wszystko albo nic. - Wzruszył ramionami. - Tak więc obawiam się, że wszelki rozsądny kompromis nie wchodzi w rachubę.

- Rozumiem. W takim razie może wystarczy, jeśli się zgodzimy, że nie będziemy sprawy komplikować.

Parsknął śmiechem.

- Podobasz mi się, Charley. Należysz do tych, co to pokazują przeciwnikowi, że rozwiązało mu się sznurowadło, a kiedy ten się schyli, by je zawiązać, wałą go w łeb. Obiecuję nie utrudniać ci sprawy bardziej niż ty mnie. Uczciwie postawione?

102

KARA ŚMIERCI

Roześmiałem się. Trudno go było nie lubić.

- Uczciwie.

Wróciłem na krzesło przy stole. Starłem się wyrzucić z myśli obraz Willa McHugh'a, ale nie potrafiłem. Zmuszałem się do myślenia wyłącznie o prawnych aspektach sprawy, wciąż jednak słyszałem przerażenie w głosie Mickeya Mońka.

Teraz już wszystko zależało tylko ode mnie.

- Proszę wstać - oznajmił woźny w chwili, gdy otworzyły się drzwi. Na salę weszło trzech sędziów.

- Dzień dobry, panie Gordon - rzekł Palmer, kiedy Craig stanął przy mównicy. - To zawsze przyjemność widzieć pana na tym miejscu.

Oczami wyobraźni ujrzałem nagle Mickeya Mońka, jak przebiega ciemne uliczki w poszukiwaniu butelki. Bezdomny bankrut. Przyszłość Willa McHugha była zbyt okropna, żeby się nad nią choćby zastanawiać. Gordon uśmiechnął się do panów sędziów, oni odpowiedzieli mu serdecznymi uśmiechami.

-Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, chciałbym zarezerwować sobie pięć minut na odparcie zarzutów. - Znowu się uśmiechnął. Oni również.

Często występował w sprawach apelacyjnych i najwyraźniej radził sobie z nimi całkiem dobrze. Zasłużył na szacunek sędziów i odniosłem wrażenie, że naprawdę czekają, co ma im do powiedzenia.

Trudno ich było nazwać sitwą, ale z pewnością Craig Gordon miał przewagę nad kimś takim jak ja.

-Jak wiadomo, mamy tu do czynienia ze sprawą o odszkodowanie. Pragnę zacząć od tego, że zarówno mój klient, jak i ja ogromnie bolejemy nad straszhliwymi obrażeniami, których ofiarą padł powód. Nie podajemy w wątpliwość rozmiarów tych szkód i całym sercem współczujemy zarówno poszkodowanemu, jak i jego rodzinie.

Wszyscy trzej sędziowie pokiwali głowami ze współczuciem.

- Proszę mi też wierzyć, że gdyby mój klient był odpowiedzialny za te szkody, sprawa w ogóle nie znalazłaby się w sądzie. Z radością wynagrodzilibyśmy wszystko, za co można by nas obarczyć winą.

Zamilkł na krótko i znów podjął:

- Rzecz jednak w tym, że nie ma tu naszej winy. My...

- Chwileczkę, panie Gordon - przerwał mu sędzia Chene. - Czy dobrze usłyszałem, że jeśli - założymy to na moment - ustalimy jednak winę pańskiego klienta, nie zakwestionuje pan sumy odszkodowania ustalonej przez sąd pierwszej instancji?

Nagle poczułem gorącą sympatię dla sędziego Chenea.

NrtKrt 5IVIItKLI

(I/J

Gordon zawahał się, po czym skinął głową.

- Wykażę, że mój klient nie odpowiada za wypadek. Suma ustalona przez sąd nie jest kwestionowana.

Sędzia Chene zapisał coś w swych notatkach. Gordon kontynuował mowę. Miał głos rutynowego mówcy i zachowywał się naturalnie.

- Wszystko sprowadza się do drobnego mechanicznego urządzenia. Powód twierdzi, że nieodpowiednio je wykonano i zaprojektowano, w związku z czym samochód uległ nagłemu przyspieszeniu, czyli że za skutki wypadku odpowiada mój klient. Jednakże to nie zostało dowiedzione w czasie procesu i...

- Sąd najwyraźniej uznał, że zostało... - odezwał się cicho sędzia Chene.

Gordon odczekał chwilę, prawie jak kleryk, który ma wygłosić cytat z Pisma Świętego.

- Wszyscy obecni na tej sali: Wysoki Sąd, moi czcigodni koledzy i ja sam, jesteśmy doświadczonymi prawnikami, mamy na swoim koncie setki procesów przed ławą przysięgłych. Ława przysięgłych składa się z ludzi, nie z maszyn. Czasami - i twierdzą, że tu właśnie chodzi o taki przypadek - pozwalają oni, by serce zajęło miejsce rozumu. Oto ujrzeli na sali sądowej człowieka przykutego na całe życie do wózka inwalidzkiego. Na drugiej zaś szali musieli położyć mały, poprawnie zaprojektowany kawałek metalu. Obawiam się, iż pozwolili, by ich osądem pokierowało współczucie. Ale my, panowie, jesteśmy ludźmi służącymi prawu i jako tacy musimy postępować zgodnie z jego paragrafami, niezależnie od okoliczności.

- McHugh przyznał, że wcześniej pił alkohol, czy to się zgadza? - zapyta! nagle ostrym głosem sędzia Noonan.

- Tak właśnie zeznał - zgodził się Gordon. Mówił z wyraźną niechęcią, tak jakby McHugh był jego najbliższym przyjacielem i z przykrością musiał przyznać, że nie jest to człowiek bez skazy. Facet był dobry, naprawdę dobry.

Gordon kontynuował mowę, wielokrotnie przerywaną pytaniami sędziów. Standardowa procedura, dokładnie taka, jakiej oczekiwałem.

Chene spokojnymi pytaniami usiłował się czegoś dowiedzieć na temat kwestionowanego mechanizmu. Noonan zachowywał się, jakby był współpracownikiem Gordona. Zadawał pytania, demonstracyjnie ujawniając, że w jego przekonaniu McHugh był pijany i sam jest winny wszystkiemu, co mu się przydarzyło.

Sędzia Palmer zadał Gordonowi bardzo niewiele pytań. A z tych, które postawił, trudno było wywnioskować, co naprawdę myśli.

104

KARA SMlhKLI

Na koniec adwokat zachował się jak na rasowego prawnika przystało i podparł się werdyktami wydanymi w kilku innych procesach o odszkodowanie. Zakończył tak znakomitym cytatem, że swady pozazdrościłby mu sam Winston Churchill. Wykonał dobrą robotę, był naprawdę kompetentny. Z mojego punktu widzenia zbyt kompetentny.

Craig Gordon podziękował sędziom za uwagę i przyszła kolej na mnie.

Pamiętam bójkę, w której brałem udział kiedyś jako chłopiec i później w barach, ale zawsze ich wspomnienia okazywały się chaotycznym zbiorem obrazów wymierzanych i otrzymywanych ciosów, fragmentami wrażenia bólu i wysiłku, bardziej retrospekcją snu niż prawdziwych zdarzeń. Moje wystąpienia przed sądem były nieco podobne. Zaskakiwały mnie i kończyły się, zanim naprawdę je zacząłem. Potem przypominałem sobie, że nagle zaczynałem podnosić głos, dochodziło do gwałtownej wymiany zdań i chociaż nie były to prawdziwe ciosy, to jednak na pewno ostre słowne potyczki.

Pamiętam, że wydawało mi się, iż sędzia Chene jest po mojej stronie. Prawie pokłócili się z sędzią Noonanem. Oczywiście nie pokłócili się między sobą. Ja byłem tylko piłeczką w rozgrywanym między nimi meczu. Jeden atakował drugiego, zadając mi pytania. Akcja była szybka, emocje silne, choć trzymane na wodzy.

Przypominam sobie, że opisując położenie Willa McHugh, byłem elo-kwentny w stopniu, na jaki tylko mogłem się zdobyć. Mówiłem o pieluchach, utracie resztek godności. Noonan szydził ze mnie, lecz Chene był moim protektorem.

Co dziwniejsze, później nie potrafiłem odtworzyć ani jednego pytania zadanego mi przez mego dawnego mentora, sędziego Palmera. Miałem tylko świadomość, że nie spuszcza ze mnie wzroku, z którego jednak niewiele mogłem wyczytać.

I nagle było po wszystkim.

Gordon wykorzystał swoje pięć minut na gładkie oświadczenie, zdecydowanie kontrastujące z moją namiętą obroną. Jego słowa z pewnością robiły wrażenie.

Ja również zarezerwowałem sobie trochę czasu, na wszelki wypadek.

- Panie Sloan, czy chce pan coś dodać? - zapytał sędzia Palmer. Podniosłem się i powróciłem do mównicy.

Właściwie nie bardzo wiedziałem, co jeszcze dorzucić. Przez chwilę patrzyłem kolejno na każdego z sędziów. Noonan unikał mego wzroku.

- Dziś rano, podczas pierwszej sprawy, jako obrońca występował młody człowiek. Przyznał mi się potem, że była to jego pierwsza rozprawa w sądzie

K.AKA MVIIItKL.I

1U3

apelacyjnym. Z pewnością wszyscy pamiętają, że zachowywał się dość nerwowo. Nie miał takiego doświadczenia jak szanowny pan Gordon czy nawet ja. To był po prostu bardzo młody prawnik, który ze wszystkich sił próbował wyrazić coś, w co szczerze wierzył. Uważam, że zrobił to w sposób perfekcyjny, i dlatego zamierzam zapożyczyć jego słowa i potraktować jak własne. Teraz już nawet Noonan spoglądał na mnie.

- Will McHugh prosi tylko o to, do czego ma prawo każdy Amerykanin. - I po chwili dodałem: - O sprawiedliwość.

Nikt nie bił mi braw, w ogóle nie doczekałem się żadnej reakcji. Po prostu trzej sędziowie podnieśli

się i opuścili salę, by przedyskutować werdykt.

Woźny podniósł młotek i sprawa się zakończyła, przynajmniej dla Willa McHugha.

Zgarnąłem papiery i włożyłem je do teczki.

Zbliżył się do mnie Craig Gordon z wyciągniętą do uścisku dłonią.

- Piękna robota - oświadczył. - Szkoda, że nie przed ławą przysięgłych.

- Dla ławy zalewam się łzami, a niekiedy mdleję.

- Muszę kiedyś przyjść i zobaczyć cię w akcji. To brzmi zachęcająco. Wyszedł w towarzystwie dwóch młodych tygrysów. Dałem im pięć

minut, żeby zdążyli opuścić budynek, po czym ruszyłem w ich ślady.

Zastanawiałem się, co właściwie mam powiedzieć Mickeyowi Monk.

Jedna krótka godzina miała zadecydować o losie tak wielu ludzi: McHugha, jego żony, ich dzieci i biednego Mickeya Mońka. Stałem samotnie w windzie i wydawało mi się, że jazda w dół trwa całą wieczność. Uznałem, że powinienem zadzwonić do Mickeya z holu.

- Charley! - Głęboki głos przetoczył się jak grzmot. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą potężnego niczym góra Jeffreya Mallow, byłego sędziego. Poczułem się, jakbym spotkał niedźwiedzia.

- Co cię tu sprowadza, Charley? Stęskniłeś się za miastem? Potrząsnąłem głową.

- Miałem sprawę.

- Którą? Chyba nie tę o odszkodowanie, o której mi mówiłeś. Skinąłem głową.

- Chodź, Charley, musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Ogromne ramię zgarnęło mnie i prawie poniosło w stronę wyjścia z budynku.

- Postawię ci hot-doga, jakiego nigdy nie dostaniesz w tym swoim zabitym deskami miasteczku.

Czy określenie „wyspawy” z niczym ci się nie kojarzy?

- Z wielką przyjemnością, ale muszę zadzwonić w parę miejsc.

106

KAKA SMiHku

- Nic nie jest ważniejsze od hot-doga, Charley. Nic. Jedzenie to najlepsze lekarstwo. Już Grecy to wiedzieli. I właśnie oni wynaleźli te wyspawy hot-dogi.

Jedyne, co mogłem zrobić, to zawołać policjanta. Ale Jeffrey miał rację -jedyne miejsce, w którym można było dostać prawdziwe wyspawy hot-dogi, była grecka restauracja mieszcząca się po drugiej stronie ulicy i specjalizująca się w przyrządzaniu tylko tego jedynego dania. Na małą skalę była całkiem sławna, i to od pięćdziesięciu lat.

O dziwo, poczułem się głodny.

- Dobrze - zgodziłem się - ale tak raz, dwa.

Pociągnął mnie na drugą stronę alei Michigan i wepchnął w otwarte drzwi restauracji. Mieliśmy ją praktycznie całą dla siebie, ponieważ obiadowy tłum jeszcze się nie zjawił.

- Zajmijmy jakiś stolik - zaproponował Mallow. - Nienawidzę siedzenia przy tym cholernym barze.

Młody grecki kelner podszedł, żeby przyjąć zamówienie. Wyglądał tak, jakby właśnie zstąpił prosto z ekranu telewizora, w którym pokazywano grecką restaurację. Tyle tylko, że to miejsce istniało jeszcze, zanim wynaleziono telewizję.

Mallow zamówił dwa hot-dogi i piwo. Ja poprosiłem o jednego i filiżankę kawy.

Nasz kelner zawołał coś po grecku do kucharza - stojącego nad grillem umieszczonym na widoku - a ten odkrzyknął również po grecku.

- Więc jak ci poszła ta sprawa o odszkodowanie? - zapytał Mallow, kiedy otrzymaliśmy kawę i piwo.

-Trudno powiedzieć. Sędzia Chene jest chyba po mojej stronie. Były sędzia skrzywił się.

- Nie daj się zwieść. Chene po prostu chce, żeby wszyscy uważali go za przyjaciela. Może się uśmiechać i w tej samej sekundzie wymierzyć ci kopniaka w tyłek. Nigdy specjalnie za nim nie przepadałem.

- Noonan nie krył wrogości w stosunku do mojego klienta. Mallow roześmiał się.

- Ten to już się urodził wrogi wszystkiemu. Podły Noonan pasuje do niego jak ulał. Poza tym on zawsze jest przeciwko powodowi. Nic nie może na to poradzić. Po prostu taki jest.

Pociągnął długi łyk piwa prosto z butelki, ignorując szklanę.

- Co powiesz o Franku Palmerze? Też zasiadał w zespole, zgadza się? Jak go oceniasz?

KAKA SMlHKU

107

- Nie rozgryzłem go. I z tego, co wiem, nikt inny też tego nie potrafi. Mallow parsknął śmiechem.

- Nazywaliśmy go Sfinksem.

Kelner wrócił i prawie cisnął przed nas talerze, tak jakby inny sposób podawania wydawał mu się niegrzeczny. Rodzaj greckiego dodatku kulturalnego.

Detroitki wyspowy hot-dog to coś zupełnie wyjątkowego. Długa parówka w słodkiej bułce polana sosem chili i posypana cebulą. A to wszystko pokryte bardzo ostrą musztardą. Coś takiego trudno jeść wykwinnie. Jeden wyspowy wymaga co najmniej dwunastu papierowych serwetek, ale nawet wtedy skóra i ubranie nieźle ucierpi.

Moim zdaniem warto się jednak poświęcić.

Zaatakowaliśmy nasze porcje w milczeniu. Inaczej się nie dało. Jedzenie tego ślizgającego się produktu sztuki kulinarnej wymagało pełnego skupienia.

Wreszcie obaj mieliśmy posiłek za sobą. Między nami leżał stos brudnych serwetek. Popiłem kawę. Była prawie równie dobra jak hot-dogi. Mallow machnął do kelnera, by przyniósł mu kolejne piwo.

- Wal, Charley, co czujesz. Wygrasz?

- Uczciwie mówiąc, nie wiem. Mam nadzieję, ale wie pan przecież, jak to jest. Nigdy się nie ma pewności, aż do ostatniej chwili.

Mallow wypił jednym haustem pół butelki.

- Coś ci powiem. Muszę się pokazać w sądzie dzisiaj po południu. Chcą, żebym popracował dla nich przez jakiś miesiąc czy dwa. Poniucham i dowiem się, co z twoją sprawą.

- Doceniam propozycję, lecz to nie jest konieczne. Uśmiechnął się szeroko.

- Daj spokój, chłopaki od Świętego Benedykta muszą się trzymać razem. - Podniósł się i spojrzał na mnie z góry. - Kiedyś przewodziłem posiedzeniom w apelacyjnym, pamiętasz? Zajrzę i sprawdzę.

- Naprawdę nie ma potrzeby.

Potrząsnął głową, jakby odrzucając mój protest.

- To zwykła grzeczność, Charley. Bez przerwy pomagam tak ludziom. Dam ci znać, kiedy coś będę wiedział.

Zanim zdążyłem zaprotestować, już go nie było. A ja zostałem z rachunkiem.

Wypiłem do końca moją dobrą kawę. Jeffrey Mallow prawdopodobnie zgrywał się przede mną.

Takie przypomnienie, że kiedyś byt ważnym facetem. Jeśli właśnie o to chodziło, było mi go zwyczajnie żal.

108

KARA SMlRCl

Zapłaciłem, a potem poszedłem szukać budki telefonicznej.

Mickey Monk złapał słuchawkę, gdy tylko sekretarka powiedziała mu, kto jest na linii.

-Jezu, dlaczego tak długo to trwało?! - prawie wrzasnął.

Z dobroci serca postanowiłem trochę naciągnąć prawdę. Gdybym przyznał, że Mallow zatrzymał mnie na lunch, uznałby mnie za potwora.

- Pierwsza sprawa trwała nieco dłużej, niż zakładano, a potem sędziowie wyszli na naradę. Tak czy siak, już po wszystkim.

-I co?

-Wszystko zgodnie z planem, Mickey. Po żadnej stronie nie zdarzyło się nic zaskakującego, ani in plus, ani in minus.

- Ale musiałeś przecież wyczuć ich nastroje - zabrzmiało to bardziej jak błaganie niż stwierdzenie.

Na wygraną w tej sprawie postawił całe życie. Wiedziałem, że muszę dobierać bardzo starannie słowa, żeby go nie zmiażdżyć, ale też nie wzbudzić złudnej nadziei.

- Nie wiem na pewno, lecz wydaje mi się, że Chenea przekonałem. Wszystkie pytania, jakie zadał, świadczyły, że jest po naszej stronie.

- Niech Bóg błogosławi tego skurwiela.

- Noonan jednak wypowiadał się, jakby współpracował z adwokatem strony przeciwnej. Chwilami był wprost nieprzyjemny.

- To dupek. Wiadomo. Co z Palmerem?

- Właściwie nie zadawał pytań. Nie zauważyłem nic, co by pozwoliło mi wywnioskować, na czyją korzyść będzie głosował.

Monk parsknął cicho jak człowiek, który poznał nagle sekret.

- Daj spokój, Charley, przecież to swój chłop, pójdzie tam gdzie i my. Na pewno.

Prawie chciałem, żeby się nie mylił, ale wiedziałem, że niestety tak nie jest.

- Nie znasz go, Mickey. Nigdy nie zbacza z wytyczonej ścieżki prawa. Nie stosuje wobec nikogo taryfy ulgowej. Nawet gdyby stawała przed nim jego własna matka, też nie miałoby to najmniejszego znaczenia. Trzyma się ściśle paragrafów. Mówiłem ci o tym od samego początku.

- Tak, tak. Ale nawet sędziowie są ludźmi. Zobaczysz. Jest tyle samo argumentów za naszym stanowiskiem, co i przeciwko niemu. Stanie po naszej stronie. Jestem pewien, że tak będzie.

Westchnąłem. Mickey rozpaczliwie pragnął, aby świat był miłszy od tego, w którym przyszło nam żyć.

- Zadzwońisz do rodziny McHugha, czyja mam to zrobić?

KARA ŚMIERCI

109

- Zadzwońię. Mnie znają lepiej.

- I co zamierzasz im powiedzieć?

- O co ci chodzi?

- Mickey, wciąż stąpamy po kruchym lodzie.

- Może - zachnął się. - Ale cóż, u diabła. Dlaczego nie mieliby choć na krótko się ucieszyć? Czy kogoś to zaboli?

- Jeśli przegramy, wiele osób poniesie konsekwencje. Po chwili milczenia odezwał się cicho, jakby wyparowały z niego wszystkie emocje.

- Może i poniesie, jeśli tak się naprawdę stanie. Ale na razie odrobina nadziei nie zaszkodzi. Niech sobie pofantazjują, co zrobią z pieniędzmi, które będą mogli wydawać. Przynajmniej przez chwilę.

- Co chcesz im powiedzieć? Znowu zamilkł.

- Przekażę Willowi McHughowi, że twoim zdaniem wygrałeś sprawę. -Ale...

- Chrząń to, Charley. Nawet jeśli wszystko potoczy się jak najgorzej, pozwól temu pieprzonemu nieszczęśnikowi pomarzyć choć trochę.

- Kiedy tam zadzwonisz?

- Za jakieś pół godziny. Muszę się do tego przygotować. To będzie telefon po trzech martini.

Właśnie po takiej dawce czuję się naprawdę dobrze. Staję się optymistą. Będę mówił swobodnie i naturalnie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

A po chwili zapytał jeszcze:

- Charley, czy zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy?

- Oczywiście, że tak.

- Niczego więcej nikt nie może żądać.

Nadeszła sobota. Pojechałem po Sue Gillis. Gdyby nie kwiaty, jej mieszkanie można by pomylić z moim - dwie małe sypialnie oraz pomieszczenie będące połączeniem salonu i jadalni z wnęką kuchenną. Budynek, w którym się znajdowało, przylegał do terenu golfowego, więc z balkonu roztaczał się niczym nie zakłócony widok na gładkie trawniki, wysokie drzewa i żywopłoty.

Zupełnie jakby się miało prywatny park tuż pod oknem. Z okien mojego mieszkania widać parking.

Istniały jeszcze inne, zasadnicze różnice między naszymi mieszkaniami. Jej było prawdziwym domem - gustownie umeblowane, ozdobione kwiatami i obrazami, jak gniazdo, które obiecuje prywatność i wygodę. Moje przypominało pomieszczenie hotelowe, było właściwie wyłącznie miejscem do spania.

Sue, w podkoszulku z wydrukowaną podobizną Elvisa i napisem głoszącym, że on wciąż żyje i jest w Kalamazoo, wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle. Nie była w ogóle umalowana, przynajmniej ja tego nie dostrzegłem, a jej koński ogon tańczył jak żywy. Chociaż zbliżała się do czterdziestki,

przypominała tryskającą życiem nastolatkę. Bardziej kojarzyła mi się z moją córką niż z dorosłą kobietą, z którą mam randkę.

Kiedy zlustrowała mnie stojącego w drzwiach, nie byłem pewien, czy spodobało jej się to, co zobaczyła.

- Nie czujesz się najlepiej bez garnituru i krawata, co, Charley? Skinąłem głową.

- Wkładam je, nawet idąc do łóżka. Oszczędzam na piżamach.

Właściwie uważałem, że wyglądam wyjątkowo dobrze. Moje ciemnobrązowe letnie spodnie były bez jednej zmarszczki. Koszula i pulower, także brązowe, choć w jaśniejszym odcieniu, prezentowały się nie najgorzej.

KARA ŚMIERCI

Na nogach miałem tenisówki i skarpety, również brązowe. Ale nawet ktoś o najbujniejszej wyobraźni nie wziąłby mnie za nastolatka.

Sue przygotowała tacę niezwykłych serów i jeszcze bardziej niezwykłych krakersów. Do tego podała ziołową herbatę z lodem. Nie byłem pewien, co pije ona, ale nie wypadało o to pytać.

Drzwi na balkon były otwarte i balsamiczne powietrze uspokajało skuteczniej niż valium. Na samą myśl, że będę musiał stąd wyjść, robiło mi się niedobrze.

- Dostałam miejsca na trawie, innych już nie było - oznajmiła Sue. - Ale często bywam na koncertach w Pine Knob i wolę to, niż siedzieć w pawilonie stłoczona jak sardynka. Przyjemnie jest leżeć na murawie, patrzeć na nocne niebo i słuchać muzyki.

-Jeśli nie pada. Roześmiała się.

- Sądzisz, że powinnam zabrać parasolkę, Charley? Czy jesteś jednym z tych?

- Z jakich?

- Zasadniczych ludzi. U których wszystko musi być zaplanowane, każda możliwość przewidziana, harmonogram przestrzegany, ubrania powieszzone na ponumerowanych wieszakach. Czy jesteś taki właśnie?

-Jezu, nigdy nie pomyślałem o numerowanych wieszakach. Ależ wspaniały pomysł!

- Spakowałam do kosza małe co nieco - powiedziała. - Możemy posilić się pod gwiazdami, jeśli ci to odpowiada.

Uśmiechnąłem się.

- Francuskie smakołyki?

- Kanapki.

- Pozwól, że cię ostrzeżę. Jestem specjalistą od kanapek. Jako krytyk bywam bezlitosny. Lepiej, żeby okazały się naprawdę dobre. Idziemy?

Pine Knob, na północ od Detroit, to jeden w tych letnich pawilonów na pograniczu miasta i wsi, gdzie występują wielkie gwiazdy, dzięki czemu można sprzedać tysiące całkiem drogich biletów. Samochody zostawiało się na zwykłym polu, które służyło za parking, dalszą drogę wskazywali bileterzy. Wszystko szło w miarę gładko. Dołączyliśmy do grupy i jak armia mrówek ruszyliśmy ku wejściu, mijając kolejne punkty kontroli, gdzie pokazywaliśmy bilety i pozwalaliśmy zaglądać do kosza, w którym mógł przecież kryć się jakiś pistolet, mocny alkohol albo nawet pocisk przeciwpancerny.

Koncert okazał się całkiem dobry. Merle Haggard wprowadził w trans widzów tak, że tańczyli w rytm jego gromkich pieśni o barowych kochan-

m

KARA ŚMIERCI

kach i tęskniących za domem więźniach. I on, i jego zespół byli prawdziwymi profesjonalistami, a co więcej - wydawali się angażować w muzykę równie mocno jak tłum.

Sue zachowywała się jak inni, podskakiwała i tańczyła, poruszając się ze zwinnością przynależną młodości. Ja przyglądałem się jej, najpierw nieco ubawiony, potem już podniecony. Nawet kanapki nie ostudziły mojej podgrzanej wyobraźni. Rzadko zdarzało mi się spoglądać pożądliwie na policjantkę, ale ona była wyjątkiem.

Po koncercie znaleźliśmy samochód, a potem sunęliśmy w rzece tysięcy innych pojazdów, powoli kierujących się z powrotem do miasta.

Sue, której wciąż jeszcze szumiało w głowie od piosenek Haggarda, znalazła stację z muzyką country.

- Dobrze się bawiłeś, Charley? - zapytała, gdy toczyliśmy się powoli w stronę autostrady.

- Jasne.

- Naprawdę? Nie wyglądasz na uszczęśliwionego. Byłeś z lekka rozbawiony, to prawda, lecz nic ponadto.

- Zdecydowanie bardziej niż z lekka, Sue. Podobała mi się muzyka, ale chyba większą przyjemność sprawiło mi patrzenie na ludzi. Niektórzy wyglądali, jakby dopiero co wyszli z buszu, inni zaś, jakby wybierali się na przyjęcie do swego klubu. Fascynująca mieszanka.

- A więc dla ciebie rozrywką było tylko obserwowanie ludzi? Nie chciałeś w jakimś momencie zerwać się i też zatańczyć?

Spojrzałem na nią - uśmiechała się.

- Prawdę mówiąc, Sue, nie zrywam się na równe nogi od dnia, kiedy zwolniono mnie z wojska. To nie w moim stylu.

- Pewnie myślisz, że jestem lekko szurnięta.

- O, to już wiedziałem wcześniej. Wszyscy w Pickeral Point to wiedzą. Roześmiała się.

Dojechaliśmy wreszcie do autostrady i samochody ruszyły w zwykłym samobójczym tempie.

Ale chociaż prędkość jazdy wzrosła, nie wpłynęło to na tempo rozmowy. Nastąpiła niezręczna cisza, a przed nami była jeszcze godzinna podróż do domu. Miałem nadzieję, że nic spędzimy jej w milczeniu. Wreszcie Sue się odezwała:

- Dlaczego zostałeś prawnikiem, Charley? Marzenie z dzieciństwa? Właściwie nigdy nie myślałem, że mógłbym nim zostać. Nie wiedziałem,

kim chcę być. W szkole wybierałem głównie zajęcia z plastyki, lecz tak naprawdę nie miałem sprecyzowanych planów życiowych.

III

Roześmiałem się.

- Będąc w college' u, dorabiałem sobie w fabryce. Wtedy właśnie zrozumiałem, że ciężka fizyczna praca, od której ciało zlewa się potem, niespecjalnie mi odpowiada.

- No i co?

- Zacząłem się na serio zastanawiać, czy nie zostać dentystą.

- Żartujesz! Nie mam nic przeciwko dentystom, ale prawdę mówiąc, ten zawód zupełnie do ciebie nie pasuje.

Minęła nas wielka ciężarówka.

- Mój przyjaciel poszedł na stomatologię. - Zerknąłem na nią z uśmiechem. - Posłuchaj, gdybyś musiała zarabiać na życie kopaniem dołów, myśl o wsadzaniu niewielkiego instrumentu w czyjeś usta i zgarnianiu za to kupy szmalu wydałaby ci się całkiem rozsądna. Mogłem się dostać na stomatologię. Na medycynę nie, ze względu na słaby wzrok, ale tu bym się załapał.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie? Nadal pamiętałem to dokładnie.

- Poszedłem złożyć papiery do Świętego Benedykta. W tamtych czasach prawo i stomatologia mieściły się w tym samym budynku. Spotkałem znajomego, który powiedział mi, że jest na prawie. Twierdził, że to niezłe studia, poradził, żebym też spróbował. Uznałem, że to chyba ciekawsze niż dłubanie w zębach, a praca wygląda na lżejszą. No więc udałem się do dziekanatu prawa i złożyłem papiery.

- Nie było żadnych testów na uzdolnienia czy czegoś w tym rodzaju?

- Nie wtedy. W każdym razie nic, na co nie potrafiłbym odpowiedzieć. Zdaje się, że najbardziej ich interesowało, czy wyskrobię na czesne. Na to miałem, więc mnie przyjęli.

- I tak się zaczęła wielka kariera?

- Nie od razu. Co prawda na pierwszym roku zaliczyłem wszystko w terminie, ale wciąż jeszcze studiowałem ot tak, żeby studiować, bez przekonania. A potem, na drugim roku, zaczęło się prawo karne.

- I połknąłeś bakcyła?

- Właśnie. Myślę, że głównie z powodu wykładowcy. Był i jest sędzią, a poza tym znakomicie

uczył.

- Znam go?

- Być może. Pracuje w sądzie apelacyjnym. Sędzia Frank Palmer.

- Słyszałam to nazwisko albo gdzieś o nim czytałam. Czy wie, jaki miał wpływ na twoje życie?

Skinąłem głową.

114

KARA SMILKU

- Z jakiegoś powodu, naprawdę nie wiem dlaczego, polubił mnie. Na specjalizacji z karnego było ze stu studentów, a on tak jakby wybrał mnie. Załatwił mi aplikację w firmie prawniczej jeszcze w okresie studiów, a potem, kiedy już zrobiłem dyplom, polecił mnie innemu sędziemu apelacyjnemu i przyjęto mnie na asesora.

- Był więc, jak my to nazywamy w policji, twoim rabinem? Skinąłem głową.

- Potem, gdy zacząłem odnosić sukcesy jako adwokat, nasze drogi się rozeszły. W tym czasie równie znakomicie szło mi picie, co mogło wpłynąć na ochłodzenie naszych stosunków. Ale gdy chciano mnie wykluczyć z palestry i poprosiłem go o pomoc, nie odmówił. Dzięki temu odebrano mi licencję tylko na rok.

- Mówisz o nim jak o ulubionym wuju. Często się z nim widzisz?

- Nie. To nigdy nie była znajomość towarzyska. Do dziś właściwie nie wiem, dlaczego mi pomógł. W tym tygodniu stawałem w sądzie apelacyjnym i on przewodniczył rozprawie. Zachowywał się, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali.

- No cóż, wygląda na to, że zawsze możesz liczyć na jego głos. Potrząsnąłem głową.

- Palmer nie jest taki. Jego decyzja będzie oparta wyłącznie na przesłankach prawnych. Żadnej taryfy ulgowej.

Przez moment siedziała bardzo cicho.

- Dziwak.

- Może. Ale gdyby nie on, byłbym teraz sprzedawcą butów albo pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

- Dlaczego butów?

- Kiedy nie mogłem praktykować, tym się właśnie zajmowałem. Nieruchomościami też.

- Obuwie męskie i damskie? -Tak.

Zachichotała.

- Charley, powiedz mi prawdę. Czy zaglądałeś damom pod spódnice? Spojrzałem na nią i odpartem po dłuższej chwili:

- Tylko na wyraźną prośbę, pani oficer.

Oboje wiedzieliśmy, że to się stanie. Byliśmy dorośli, wolni i doświadczeni. Wszystko odbyło się w sposób bardzo nowoczesny. A mimo to czułem się zaskoczony.

KAKA SMILKI

115

Zostałem zaproszony na kawę, przy której trochę jeszcze porozmawialiśmy, a potem, jakby zgodnie ze scenariuszem, wylądowaliśmy w łóżku. Kochaliśmy się nie jak dwoje obcych ludzi, lecz jakbyśmy spędzili ze sobą wiele lat, i to w harmonii i szczęściu.

W niedzielę rano obudził mnie aromat kawy i świeżych bułeczek. Podczas śniadania dalej poznawaliśmy swoje życie i upodobania, a później znowu spokojnie się kochaliśmy. Poczucie humoru Sue Gillis sprawiało, że czułem się świetnie. Cały dzień spędziliśmy w łóżku. Kiedy wreszcie musiałem wrócić do domu, zrobiłem to niechętnie, a własne mieszkanie wydało mi się nieprzyjemnie puste. Otworzyłem piwo bezalkoholowe i usiadłem w ciemnościach. Sącyłem je powoli i rozmyślałem. Zastanawiałem się, czy się właśnie nie zakochuję. Zastanawiałem się, czy w ogóle wiem, co to jest miłość.

W poniedziałek wstałem późno; wciąż nie opuszczały mnie wieczorne myśli. Gdy w końcu przyszedłem do biura, oczekiwała mnie wrząca gniewem pani Fenton. Jak to dobrze, że to ona pracowała dla mnie, a nie odwrotnie, bo ogień w jej oczach wskazywał, iż jako jej podwładny zostałem zwolniony w jednej sekundzie.

- Ominęło pana kilka telefonów - poinformowała mnie niechętnie, wręczając notatki. - Jeden od sędziego. - Oświadczyła to lodowatym tonem sugerującym, że moja nonszalancja wkrótce zakończy tę niewielką karierę, jaką udało mi się zrobić.

Wiadomość była od Jeffreya Mallowa.

- To były sędzia - wyjaśniłem. - Tytuł jest tylko honorowy. Wydawała się zawiedziona.

Druga wiadomość pochodziła od Sue Gillis. Dzwoniła z pracy. Zatelefonowałem do niej.

- To ja - odezwałem się, kiedy podniosła słuchawkę.

- Cześć - odparła. - Pewnie zaskoczy! cię mój telefon.

- Miło. Służbowy? -Nie.

- To dobrze. Zachichotała.

-Jestem zakłopotana. Nie powinnam była dzwonić, ale przez całą noc myślałam tylko o tobie. Czy to ci pochlebia?

- A właściwie z kim rozmawiam? - zapytałem.

116

KARA ŚMIERCI

Usłyszałem, jak gwałtownie bierze oddech, po czym się roześmiała.

- A idźże do diabła, Charley!

- Zanim się tam wybiorę, może zjesz ze mną kolację dziś wieczorem? Nie jestem za szybki?

- Chyba nie. Ale nie mogę. Szeryf wysłała mnie do Lansing, żebym pomogła policji stanowej w sprawie, która może mieć powiązania z nami. Powinnam wrócić w środę.

- W takim razie co powiesz na kolację w środę?

- Dobrze. - Zamilkła. - Będiesz za mną tęsknił?

- A z kim właściwie mówię? Roześmiała się i odłożyła słuchawkę.

Ku własnemu zdziwieniu stwierdziłem, że już mi jej brakuje. Zadzwoiłem pod numer, który zostawił Mallow.

- Slatmore i Mallow - odezwał się nosowy kobiecy głos, wymawiając nazwiska tak jak konduktor zapowiadający kolejną stację.

- Czy mogę mówić z panem Mallowem?

- Sędzią Mallowem - poprawiła mnie. - A kto chce z nim rozmawiać?

- Charley Sloan.

- Dzwoni pan w sprawie zlecenia? - zapytała. - Jest pan klientem? Prawdopodobnie jej zadaniem było spławić wierzycieli i innych kłopotliwych rozmówców.

-Jestem prawnikiem - wyjaśniłem. - Sędzia prosił o telefon.

- Proszę poczekać - odparła tonem wskazującym, że nie wierzy mi ani na jotę.

W słuchawce rozległa się muzyka. Musiałem wysłuchać Johnny ego Ma-thisa, który mówił mi, jakie mam szanse, ale nie dane mu było dokończyć.

-Jeszcze chwilę, proszę - włączyła się kobieta. Nie była to prośba, lecz polecenie.

Wreszcie usłyszałem jego głos:

- Charley! - zagrział w słuchawkę. - Na Boga, wy, prowincjonalni prawnicy, nie zrywacie się z pierwszym słonkiem, co? Jak się masz?

-Jak na poniedziałek, nieźle. O co chodzi, sędzio?

- Tak jak ci mówiłem, zainteresowałem się sprawą, o której rozmawialiśmy. Myślę, że mam coś, co może ci się przydać.

- To znaczy?

- Teraz bardzo się śpieszę. Czy będziesz w najbliższym czasie w Detroit?

- Na jutro rano wyznaczono termin ogłoszenia wyroku w sądzie okręgowym.

KARA ŚMIERCI

- Czyżbyś przegrał? - Rzucił to niby żartobliwie, ale w jego tonie wyczułem nieprzyjemną nutę.

- Chodzi o zmniejszenie winy. Obie strony są zadowolone. Zwłaszcza mój klient. Tak czy siak, będę tam rano.

- Powinniśmy porozmawiać - oznajmił. - Niestety, na lunch już się umówiłem. Rano muszę wysłuchać zeznań w Renesansowym. - Mówił o wielkim kompleksie tuż nad rzeką, który stał się

nowym centrum Detroit. - Coś ci powiem. Kiedy już skończysz w sądzie, spotkajmy się tam w księgarni. Wiesz, tej wielkiej.

- O której?

- Kiedy tylko tam dotrzesz. Może ty będziesz pierwszy, może ja. To nie najgorsze miejsce. Jeśli trudno się umówić na konkretną godzinę, można się przynajmniej trochę pokręcić. No, to do zobaczenia jutro.

- A może jakiś inny dzień byłby wygodniejszy? Zjedlibyśmy razem lunch...

- Nie, Charley. Nie. To nie może czekać. Do zobaczenia jutro. - Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Cjłówny okręgowy sąd Detroit do spraw karnych był niegdyś moim drugim domem, miejscem, gdzie zdobyłem reputację i... majątek. Potem oczywiście straciłem jedno i drugie, ale nawet ze względu na stare czasy nigdy tak naprawdę nie chciałem wrócić do tej fabryki, w której sędziowie odwalają taśmową robotę i gdzie wszystko się dla mnie zaczęło.

Nie było to miejsce wywołujące nostalgię. Tak samo jak termometr wkładany w odbytnicę nie budzi miłych skojarzeń z zaharowaną pielęgniarką.

Ten sąd był czymś w rodzaju termometru zdrowia społeczeństwa. Rejestr wniesionych spraw wskazywał, jak społeczeństwo - nie należące do najłagodniejszych - atakuje samo siebie. W tym miejscu historii pełne okrucieństwa i horroru zdawały się tak zwyczajne, że nie budziły zainteresowania, chyba że zdarzyła się jakaś wyjątkowa podłość. Ustawiłem się w jednej kolejce z prawnikami okazującymi swe pełnomocnictwa. Wszyscy pozostali przechodzili przez bramki z wykrywaczami metali, jak na lotnisku. Ruszyłem do wind w tłumie innych adwokatów, prokuratorów, łazików, morderców i złodziei - typowym porannym tłumie wypełniającym przybytki amerykańskiej sprawiedliwości.

Sędzia, mój stary kumpel z ławy szkolnej, odczytał wyrok z takim pośpiechem, z jakim święty Piotr odprowadzałby ofiary epidemii światowej. Spraw było zbyt wiele, a czasu za mało. Facet, którego bronilem wyszedł za kaucją, chociaż popełnił przestępstwo, za które dwadzieścia lat temu otrzymałby dziesięć lat więzienia. Zanim jeszcze zdążyłem podziękować, sąd zajął się następnym delikwentem.

Detroit jest miejscem, gdzie wynaleziono pracę taśmową. Stare przyzwyczajenia trudno wykorzeńić.

Cała sprawa zajęła tylko kilka minut. Żałowałem, że zgodziłem się na spotkanie z Mallowem. Czekanie na niego wydało mi się czystą stratą czasu.

KAKA SMItKU

Oczywiście niegdyś wyglądałoby to zupełnie inaczej. W jakiejś przytulnej knajpce spotkałbym kilku kumpli, z którymi wypiłbym parę kieliszków jakiegoś wykwinowego trunku. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że czekanie jest stratą czasu.

Ale te dni, przynajmniej miałem taką nadzieję, należały już do przeszłości. Teraz zabijałem czas w znacznie zdrowszy, za to mniej zabawny sposób.

Ruszyłem spacerem na południe. Tę dzielnicę mieszkańcy Detroit nazywają grecką, ponieważ mnóstwo tu greckich restauracji i sklepów, stanowiących jedną z nielicznych, pozostałych jeszcze atrakcji turystycznych starego miasta.

Poranek był całkiem sympatyczny, nie za gorąco, nie za zimno, jak owsianka w bajce o trzech misiach. Po prostu w sam raz. Postanowiłem, że nie będę ruszał samochodu z parkingu w pobliżu kościoła. Na pewno były inne powody tej lokalizacji, ale uznałem, że nigdy nie zaszkodzi wpaść po drodze do świątyni i odmówić krótką modlitwę, by samochód nadal stał tam, gdzie się go zostawiło. Szedłem w stronę Centrum Renesansowego. Była to replika wielkich szklanych wież z Atlanty - mierzyły w niebo jak wyzwanie dla Boga. Na Bogu jednak najwyraźniej nie robiło to żadnego wrażenia, ponieważ cały ten kompleks nie zarabiał na sobie od dnia, w którym go wzniesiono. Ale trzeba przyznać, że wygląda! nieźle. Kiedy się zbliża do wież od strony Jeffersona, to jest tak, jakby się podchodziło do fortu nieprzyjaciela, tyle tylko że na szczycie nie stoją armaty.

Detroit w przeszłości przechodziło wielokrotnie z rąk do rąk. Powiewały już nad nim flagi francuska, angielska i amerykańska. Jak bowiem głosi nasza historia, za każdym razem, kiedy się zbliżał

nieprzyjaciel, miasto po prostu się poddawało.

Ostatnio chodzą słuchy, że burmistrz marzy o kolejnej wrogiej armii, żeby wreszcie pozbyć się kłopotu. Wieże przywodzące na myśl fortece byłyby malowniczym miejscem starcia. Ale trudno uwierzyć, by znalazł się ktoś na tyle naiwny, żeby spróbować.

Ruszyłem w górę pochylnią prowadzącą wśród murów i dotarłem do głównego budynku Centrum. Lubię księgarnie, zawsze je lubiłem. A najbardziej te staroświeckie, w których właściciel sam do ciebie wychodzi i odkłada interesujące cię tytuły. Chociaż takie sklepy wciąż jeszcze istnieją, stają się rzadkością. Nowoczesne sieci sklepów oferują wszystko, co mogłoby wzbudzić twoją ciekawość, ale są bezosobowe.

120

KARA ŚMIERCI

Teraz wręcz z przyjemnością myślałem o godzinie spędzonej wśród książek, lecz Mallow już był na miejscu i czekał na mnie.

- Charley - powiedział, a właściwie wyszeptał, co było zaskakujące, bo zawsze witał się bardzo głośno.

Wyłonił się spomiędzy pólek i złapał mnie za rękę.

- Cieszę się, że udało ci się tu przyjść. Pomyślałem, że jego dłoń jest nieco spocona.

- Te cholerne zeznania zostały odwołane - poinformował, łapiąc mnie za łokieć i popychając w stronę wyjścia na ulicę. - Ale to się zdarza, prawda? Kłopotliwe, lecz trzeba z tym żyć, co?

Było to pytanie retoryczne.

Popychał mnie teraz wzdłuż murów, w dół Jeffersona, koło kościoła Mariackiego, w stronę placu nad rzeką.

- Uwielbiam spacerować, Charley - oznajmił. - Bóg świadkiem, że już właściwie nie mam na to czasu, ale spacerowanie jest jedną z nielicznych przyjemności, jakie się ma w życiu.

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać, sędzio? Uśmiechnął się. Szliśmy w kierunku rzeki.

- O, z wielu powodów, Charley, z wielu. Wskazał dłonią Kanadę na drugim brzegu.

- Pięknie tam, prawda? Często tutaj przychodzę. Spokojne miejsce. Od dłuższej chwili przyglądał się nam jakiś obszarpany mężczyzna.

Wreszcie zdecydował się podejść.

- Czy panowie nie wspomogliby potrzebującego? - Krzywy uśmiech ujawnił braki w uzębieniu.

Sędzia Mallow odpowiedział mu uśmiechem.

- Pieprz się - rzucił towarzyskim tonem.

Myślę, że włóczęga był bardziej zdziwiony niż obrażony. Wzruszył ramionami, coś wymamrotał pod nosem i odszedł. Mallow nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Obcy kraj, tuż za progiem - kontynuował, wskazując na drugi brzeg rzeki, jakby właśnie w tym momencie odkrył Kanadę. - Spokojna granica. Żadnych armat czy żołnierzy, sami przyjaciele.

Milczałem. Domyślałem się, że czeka, aż pójdzie sobie para młodych ludzi opartych o barierkę.

Wreszcie się oddalili.

- Tak jak obiecałem - rzekł bardzo cicho - zajrzałem do akt sprawy McHugha.

- Nie musiał pan.

KARA ŚMIERCI

121

- Wiem. - Odwrócił się i oparł plecami o barierkę. Spojrzał mi prosto w oczy. - Prawdę mówiąc, nie wygląda to dla ciebie najlepiej, Charley.

-Tak?

Przez chwilę milczał.

- Nie jesteś głupi, Charley. Zdajesz sobie sprawę, że jako były sędzia tamtego sądu mam jeszcze spore wpływy.

Słyszałem coś wprost przeciwnego. Mallow był w kłopotach, a od kłopotów inni umykają jak od kosza z jadowitymi węzami. Właściwie nie miał już przyjaciół, ale nie chciał się do tego przyznać, a może nawet oszukiwał siebie, bo prawda była zbyt brutalna.

- Wciąż jeszcze mogę coś załatwić - oświadczył z takim przekonaniem, jakby to nie ulegało

najmniejszej wątpliwości.

- Co mi pan sugeruje?

Przez moment patrzył na mnie uważnie, a potem rozejrzał się dokoła. W pobliżu nic było nikogo.

- Pracowałeś tam kiedyś, Charley. Wiesz, że istnieje coś takiego jak notatka ze sprawy w sądzie pierwszej instancji.

Skinałem głowę.

- Tajne, prawda? Znowu przytaknąłem.

- Tylko sędziowie, którzy zasiadali w składzie, ich asesorzy i ten, kto przygotowywał tę notatkę, mają do niej dostęp. Zgadza się?

-Tak.

Uśmiechnął się.

- Gdyby taki dokument dostał się w ręce kogoś niepowołanego, rezultatem tej niedyskrecji byłoby nie tylko wyrzucenie z pracy, lecz nawet zakaz uprawiania zawodu, prawda? - Nie czekał na odpowiedź. - Gdyby adwokaci mogli położyć łapę na tym małym świstku, wiedzieliby, kiedy pójść na ugodę, a kiedy nie. To podważyłoby celowość apelacji.

- Dobrze, panie sędzio, rozumiem, w czym rzecz. Znam to wszystko równie dobrze jak pan.

Tym razem nie odwzajemni! mi uśmiechu. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnął złożony papier i wręczył mi go.

- Czytaj - polecił. - Ale szybko.

Od rzeki powiał wiatr. Papier trzepotał w mojej dłoni, kiedy go rozwijałem. Była to fotokopia notatki ze sprawy McHugh.

- Interesujące, co? - zapytał.

722

KARA ŚMIERCI

Notatka była standardowa. Sporządzałem je wystarczająco często, by nie mieć wątpliwości, że jest autentyczna. Fakty omówiono pobieżnie, lecz zgodnie z przebiegiem wydarzeń. Następnie wymieniono ważniejsze argumenty stron. W rekomendacji sugerowano odrzucenie werdyktu ławy i podjęcie decyzji na niekorzyść Willa McHugh.

Przeczytałem tekst dwa razy, potem spojrzałem na Mallowa. Wyrwał mi papier z rąk i starannie podarł go na kawałeczki. Wiatr chwycił je i niósł nad rzekę. Przez chwilę jeszcze unosiły się na wodzie, aż wreszcie utonęły.

- Milcząc patrzył na mnie bez mrugnięcia okiem.

- To chyba znaczy, że przegrałem - mruknąłem.

- Mówiłem, że sprawa nie wygląda dobrze.

Pomyślałem o Willu McHugh - prawie czułem na sobie jego nawiedzony wzrok - a potem o biednym Mickeyu Monk.

- Dlaczego mi to pan pokazał?

Nie od razu odpowiedział. Jego rysy nagle stężały.

- Może zdołałbym ci pomóc, Charley.

- O co panu chodzi?

- Chciałbyś wygrać? Mimo tej rekomendacji?

- Sąd nie zawsze postępuje zgodnie z rekomendacją.

- Prawda.

- Panie sędzio, co mi pan sugeruje?

Rozejrzał się wokół, a potem przeniósł wzrok na Kanadę.

- Pięknie tu - rzekł. - Tak spokojnie.

Uśmiechnął się łagodnym, tajemniczym uśmiechem, jakby coś wiedział, ale jeszcze nie był gotów tego wyznać.

- Być może mógłbym ci pomóc - oznajmił wprost. - W tej sprawie chodzi o duże pieniądze i dlatego jest pole do manewru. Cieszę się, że zgodziłeś się na moją pomoc. Zostań tutaj, Charley, i podziwiaj widoki. Skontaktuję się z tobą później.

Odszedł, zanim zdążyłem zareagować. Patrzyłem za nim. Wyglądało na to, że czcigodny Jeffrey

Mallow zabiera się do czegoś, co można by określić mianem wymuszania pieniędzy. Może w mojej sprawie podjęto już decyzję i wygrałem. Przypuśćmy, że Mallow zamierza skorzystać z werdyktu, który został już podjęty. Dałby się pokroić na paseczki, byle tylko zdobyć forszę. Byłoby to czyste złodziejstwo. Nie wiedziałem, czemu, ale ten człowiek wyglądał na zdesperowanego.

Zastanawiałem się, jaki wykona następny krok.

KARA ŚMIERCI

123

Spoglądałem na zmacony nurt rzeki. W tym miejscu było głęboko na jakieś siedem i pół metra, a woda ciemna, z niebezpiecznymi wirami. Niebezpieczne miejsce. A ja niejedno mogłem powiedzieć o niebezpieczeństwach.

Ruszyłem powoli w stronę miejsca, gdzie zaparkowałem samochód. Do Pickeral Point jechałem równie niespiesznie.

Musiałem pomyśleć. Nie byłem nawet pewien, czy tę rozmowę traktować jako wstęp do ubiegania się o łapówkę. Jeffrey Mallow był dziwakiem. Może kradzież notatki miała dowieść, że wciąż ma wpływy w sądzie, gdzie kiedyś był panem i władcą? Mimo pozorów, które starał się stwarzać, robił dość żalotne wrażenie. Człowieka, któremu się nie powiodło. Człowieka, który miał niegdyś władzę i nawet osiągnął pewien poziom sławy, ale wszystko to stracił. Może jedyne, czego chciał, to odzyskać szacunek? Co prawda wspominał o pieniądzach, lecz w nieobowiązujący sposób. Może byt jak ten stary obszarpaniec, którego tak szorstko potraktował, i również prosił o wyciągnięcie w jego stronę przyjaznej dłoni?

Przypomniałem sobie Mickeya Mońka, który mówił, że niektórzy sędziowie są na sprzedaż.

Kolejny raz pożałowałem, że w ogóle usłyszałem o sprawie McHugha. Moja mała łódka wypłynęła na niebezpieczne wody. Adwokat, który nie ujawnił propozycji załatwienia sprawy za łapówkę, może stracić licencję, a nawet pójść do więzienia. Szczególnie adwokat z taką przeszłością jak moja.

Gdy dotarłem do biura, stwierdziłem, że nie mam ochoty na lunch. Nie była to bynajmniej próba przejścia na dietę ani nawet rezultat stresu. Po prostu nie chciało mi się jeść. Pani Fenton, która nie zamierzała przyłączyć się do mojego prywatnego postu, wyszła na lunch o tej samej godzinie co zwykle.

W korespondencji nie znalazłem nic interesującego, nawet żadnego katalogu - nic, co pomogłoby mi oderwać myśli od dziwnej rozmowy z Mallowem.

Patrzyłem, jak potężny frachtowiec płynie w górę rzeki. Nagle usłyszałem, że otwierają się drzwi. Wstałem, by sprawdzić, kto przyszedł.

Był młody, pewnie dwudziestokilkuletni, ubrany w roboczy kombinezon ze znaczkiem Harwella, co oznaczało, że pracuje w miejscowej fabryce produkującej łodzie. Nazwisko Harwella zawsze działało na mnie jak zimny prysznic, mimo że cała sprawa była już dawno za mną.

Niski, potężnie zbudowany, miał dłonie jak bochny chleba. Piaskowego koloru włosy były na tyle długie, że zakrywały wyjątkowo odstające uszy. Co zresztą nic nie pomagało. I tak widziało się tylko uszy.

- Pamięta mnie pan, panie Sloan? Skinąłem głową z uśmiechem.

- To pan prowadził sprawę, kiedy kupowaliśmy dom parę lat temu. Nazywam się Ed Ravell. A moja żona ma na imię Mary.

Pamiętałem ich.

Twarz Eda Ravella była kompletnie bez wyrazu, jak u niewinnego dziecka. Takich twarzy używa się do reklam mydła. Miła, na której nic się nie maluje - no, może uczciwość. Ale za to dobrze wyszorowana.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem i nie umówiłem się panem. Mam teraz przerwę, liczyłem, że znajdzie pan dla mnie kilka minut.

KARA ŚMIERCI

125

-Jasne, Ed. Siadaj.

Zajął miejsce za biurkiem naprzeciwko mnie. Przypomniałem sobie jego żonę. Mieli jedno dziecko, które biegało po całym biurze, a Mary Ravell spodziewała się następnego, co wręcz rzucało się w oczy. Pomyślałem wówczas, że gdyby nie była taka opuchnięta i bardziej o siebie zadbała, można by ją uznać za naprawdę ładną kobietę. Poza tym najwyraźniej to ona rządziła w rodzinie.

- Jak dzieci, Ed? - zapytałem, jakbym był prawnikiem Ravellów od chwili, gdy pierwszy z nich zjawił się w hrabstwie Kerry.

- Świetnie - odparł pospiesznie, chcąc od razu przejść do rzeczy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Ed?

Miał skórę, na której łatwo pojawia się rumieniec. Nagle nabrał wyglądu dojrzałej czereśni.

- Moja żona z kimś się spotyka - wyrzucił z siebie tak szybko, jakby te słowa go raniły.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi.

- Naprawdę?

- No, napomknęła.

Usiadłem wygodniej w swoim rozklekotanym fotelu i przez dobrą minutę przyglądałem się memu gościowi.

- Napomknęła?

- Chcę się rozwieść - oznajmił. - Ile to kosztuje?

- To zależy. W naszym stanie nie ustala się winy przy rozwodach. Jeśli ktoś chce skończyć z małżeństwem, nie ma przeszkód. Znacznie trudniejsza jest sprawa alimentów i przyznania opieki nad dziećmi. Zazwyczaj ludzie o to walczą i wtedy rachunki bywają słone. Czy twoja żona również chce rozwodu?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Sięgnąłem po notatnik, żeby zająć czymś ręce, a potem znowu popatrzyłem na niego.

- Jak do tego doszło, Ed? Opowiedz mi wszystko, co wiesz.

Historia była tak banalna, że aż chciało mi się śmiać. Ale wesołość zamiera, kiedy się widzi człowieka w męce, zwijającego się z bólu.

Ravellowie po wprowadzeniu się do nowego domu zapisali się do klubu brydżowego w sąsiedztwie. Nie było to żadne tam wielkie halo - po prostu kilka par zbierało się w sobotnie wieczory, żeby sobie pograć. Pickeral Point nie dostarcza w weekendy wielu rozrywek.

126

KARA ŚMIERCI

Ed nawet nie zauważył, kiedy jego żona zainteresowała się jednym z graczy. Mężczyznę zupełnie innym niż on sam. Energicznym, otwartym, dowcipnym. Przypuszczam również, że bez tak odstających uszu.

Odniosłem wrażenie, że sam Ravell niczego by nie dostrzegł, musiano go raczej naprowadzić.

Romansująca ze sobą para przestała w pewnym momencie uczestniczyć w grze, a potem Mary wyznała Edowi, że dopuściła się, jak to sama nazwała, daleko idących pieszczot z innym. Dodała, że nigdy nie posunęli się do końca. Mówiła też, że czuje się winna, ma wyrzuty sumienia i rozpaczliwie potrzebuje mężowskiego przebaczenia.

Ed doszedł do wniosku, że romans musiał trwać dobre kilka miesięcy.

W myśli zgodziłem się z nim.

- Dlatego - zakończył - chcę rozwodu.

Potoczyłem ołówkiem po biurku. Moja twarz wyrażała całkowite zwątpienie.

- To się nigdy nie przydarzyło - oznajmiłem.

- Co pan mówi? Przecież się przyznała!

- Ed, kobiety czasami dziwnie się zachowują. Nie są takie jak ty i ja, przecież wiesz.

- Hormony?

Kiwnąłem z przekonaniem głową, jakbym objawiał prawdę życiową.

- Mają inne potrzeby. Moim zdaniem Mary wymyśliła to wszystko, żeby pobudzić twoje zainteresowanie. Już nieraz coś takiego widziałem. Każdy prawnik spotyka się z podobnymi

sytuacjami. Kobiety potrafią wygadywać przedziwne rzeczy, kiedy są zdeterminowane, nie zważając, czy to prawda, czy nie.

-Ale...

- Powiedziałeś przecież, że niczego nie zauważyłeś. Gdyby nie wyznała ci tego wielkiego grzechu, nawet byś jej nie podejrzewał. Zgadza się?

- Tak, ale...

- Żadne „ale”. Masz jakiś problem małżeński, Ed, lecz na pewno nie ten, z którym tu przyszedłeś. Powinieneś udać się z Mary do psychologa w poradni małżeńskiej, wtedy nie będzie musiała chwytać się takich sztuczek, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę.

- Za to trzeba płacić. Skinąłem głową.

- Trzeba. Ale honoraria są różne, zależy od tego, do kogo chodzisz. Podam ci kilka nazwisk. Wystarczy wam pewnie z sześć wizyt za pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu dolarów jedna.

-Jezu!

KAKA SMItKCI

127

- No cóż, psychologowie są tego warci. Przy rozwodzie, nawet jeśli adwokat nie weźmie zbyt dużo, musisz pamiętać, że alimenty dla dwojga dzieci nie będą małe. A trzeba je płacić aż do ich pełnoletności. To byłoby ze sześćdziesiąt tysięcy dolarów, może nawet więcej.

Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. -Jak więc widzisz, niewielka inwestycja teraz zaowocuje utrzymaniem małżeństwa, zwróci się za jakiś czas.

Jego rumieńce ustąpiły miejsca trupiej białości.

- W każdym razie, Ed, pamiętaj, że ona to wszystko wymyśliła, aby pobudzić twoje zainteresowanie.

Napisałem mu dwa nazwiska psychologów - specjalistów od kłopotów małżeńskich, chociaż podejrzewałem, że nie skorzysta z usług żadnego z nich.

Podąłem mu kartkę.

- Są naprawdę dobrzy - zapewniłem.

Nadal był w szoku. Do niektórych ludzi najbardziej przemawiają pieniądze. Ed Ravell był jednym z nich.

- Ile jestem winny? - zapytał z wyraźnym lękiem. Spojrzałem na zegarek.

- Biorę setkę za godzinę - oznajmiłem. - Nam zajęło to jakieś pół godziny, więc pięćdziesiąt dolców wystarczy.

- Kiedyś nie byt pan taki drogi - zauważył. Uśmiechnąłem się.

- Wiesz, jak to jest, Ed. Wszystko drożeje.

- Nie mam aż tyle przy sobie. Odprowadziłem go do drzwi.

- Przyślij mi.

Pani Fenton wróciła, kiedy Ed Ravell schodził właśnie po schodach.

- Kto to był? - zapytała. - Klient?

- Człowiek, który szukał sprawiedliwości, a zamiast tego znalazł nadzieję.

- Słucham?

- Nieważne - rzuciłem i wszedłem do swego gabinetu. Prawie udało mi się nie usłyszeć jej westchnienia.

Mickey Monk zadzwonił, kiedy tylko przekroczyłem próg domu. Był pijany, ale do tego już przywykłem. Mickey upijał się na dwa sposoby. Pierwszy, lepszy, wywoływał pogodną euforię. Bywało jednak i tak, że Monk stawał się ponury jak grób.

128

KARA SMILRU

Tego wieczoru zaprezentował drugi wariant. Pozwoliłem mu poużalać się na żonę, na dzieci, na jakieś nic nie znaczące sprawy, z którymi przychodzili do niego klienci. Kiedy był w takim nastroju, zawsze o tym mówił. Już myślałem, że skończy ten wieczorny raport nieszczęść, gdy nagle zapytał, czy dowiedziałem się czegoś o sprawie McHugha.

Powiedziałem, że nie. Jeślibym tylko napomknął, że Jeffrey Mallow pokazał mi notatkę, Monk

położyłby sprawę i zniszczył siebie wraz ze mną za jednym zamachem.

Zapytałem go, gdzie jest. Dzwonił z baru po zachodniej stronie Detroit. Znałem to miejsce bardzo dobrze, było niezłą mordownią, spelunką, gdzie zapach skwaśniałego alkoholu miesza się z odorem uryny, a niekiedy potrafi śmierdzieć jeszcze czymś gorszym. Raczej nie chodzi się tam z własną mamusią, chyba że rodzicielka, przez przypadek, jest niezłą moczymordą. Zaproponowałem Mickeyowi, żeby zamówił taksówkę i kazał się zawieźć do domu. Poczul się dotknięty moją propozycją i oświadczył, że jest w pełni władz umysłowych. Pożegnałem się z nim lodowato i odwiesiłem słuchawkę.

Potem przez chwilę wieczór zapowiadał się bardzo spokojnie. Obejrzałem wiadomości w telewizji, następnie jakiś reportaż.

I wtedy zadzwoniła moja córka, Lisa. Niewątpliwie z obowiązku. Na uczelni wszystko w porządku, ona pracuje ciężko i spotyka się z jakimś nowym chłopakiem. Ostatnio zrzuciła parę kilo i wyraźnie bawiła ją częsta wymiana narzeczonych. Ale ten, którego wybrała na bieżący miesiąc, sprawiał przynajmniej w połowie wrażenie człowieka, co już stanowiło duży krok do przodu.

Zapytałem, czy potrzebuje pieniędzy. Oświadczyła, że nie, lecz bez przekonania. Po chwili przyznała, że zdarzyło jej się ostatnio kilka nadzwyczajnych wydatków. A nie zarobiła tyle, ile się spodziewała. Trochę po-marudziłem, czego się zresztą po mnie spodziewała, lecz przyrzekłem, że nazajutrz wyślę jej czek.

Powiedziała mi, że mnie kocha, i ja jej powiedziałem, że ją kocham. Na tym skończyliśmy, wypełniwszy wzajemne obowiązki do następnego razu. Obowiązek czy nie, czułem się jednak szczęśliwy, że mogłem z nią pogadać.

Pogasiłem światła i popijając bezalkoholowe piwo, przyglądałem się parkingowi za oknami mego mieszkania. Wiedziałem, że nie usnę tak łatwo. Próbowałem myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o Sue Gillis, lecz nie potrafiłem zapomnieć spotkania z Jeffrey'em Mallowem.

Wciąż widziałem, jak na przewijanym od nowa filmie, kawałeczki papieru unoszone falą, a następnie powoli tonące, jeden po drugim - papierowy ślad, który pojawiał się tylko po to, by zniknąć na zawsze.

KARA ŚMIERCI

129

Im dłużej zastanawiałem się nad tematem tej rozmowy, tym gorzej się czułem. Próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, czego ode mnie chce sędzia Mallow, przypominała rozwiązywanie problemu szachowego. Niezależnie od tego, jaki wykonasz ruch, powstaje nowy problem, nowe zagrożenie.

Doznałem prawdziwej ulgi, kiedy zadzwonił telefon. Nie trzymałem się, żeby zapalić światło - pokój był wystarczająco oświetlony lampami parkingu. Na fosforyzującej tarczy zegarka odczytałem, że jest już po jedenastej.

- Słucham - odezwałem się, przekonany, że to pomyłka.

- Pan Sloan? - zapytał roztrzęsiony kobiecy głos. - Pan Charles Sloan?

- Zgadza się, tu Charles Sloan, słucham.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - powiedziała i rozplakała się. Uznałem, że to jakaś porzucona właśnie żona.

- Po to tutaj jestem. Żeby pomagać. Kto mówi?

Przez chwilę słyszałem tylko szloch i pociąganie nosem, a potem oznajmiła najspokojniej, jak potrafiła:

- Pewnie mnie pan nie pamięta.

- To się okaże.

- Rebecca Harris.

- Becky Harris - powtórzyłem. - Oczywiście, Becky, że cię pamiętam. O co chodzi? - Domyślałem się, że Howard Wordley, były kochanek, znowu jej przyłożył. - O Howarda Wordleya?

- Czy może pan do mnie przyjechać? - zapytała. Głos tak jej się trząsł, że ledwo zrozumiałem, o co chodzi.

- Jest późno, Becky. Prawdę mówiąc, leżę już w łóżku. Spotkajmy się u mnie w biurze wcześniej

rano. - Nagle przypomniałem sobie, jak to wyglądało poprzednim razem. - Czy on cię pobił, Becky? Czy jesteś ranna?

Odpowiedział mi płacz.

- Najlepiej, jak takie sprawy załatwia policja, Becky. Wiem, że zabrzmiałoby to dziwnie, jeśli wziąć pod uwagę twoje wcześniejsze doświadczenia, ale...

- O Boże... - W głosie było tyle bólu, bardziej psychicznego niż fizycznego, lecz mimo wszystko prawdziwego, że przestałem się wahać.

Zapaliłem światło.

- Gdzie mieszkasz, Becky?

Podawała mi adres. Znałem dobrze ten rejon - dzielnica na peryferiach, niezbyt odległa od domów na Złotym Nabrzeżu, jeśli zaś chodzi o poziom ekonomiczny- praktycznie po drugiej stronie Księżyca. Miejsce, gdzie człowiek zatrzymuje się tylko przejazdem, a ci, którzy trafiają tam na stałe, trzymają się życia wyłącznie czubkami palców.

130

KARA ŚMIERCI

- Ubiorę się i zaraz u ciebie będę.

Jedyną odpowiedzią Becky Harris był szloch.

Noc była jasna i pogodna, może nieco zbyt chłodna jak na koniec maja, lecz przyjemna. Gdzieś na rzece odezwał się frachtowiec, jak odległy pociąg. Po chwili zawtórował mu inny duży statek. W ciszy tej spokojnej nocy ich syreny brzmiały niczym wołanie o pomoc. O przyjazną dłoń.

Pickeral Point już spało, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie.

Jadąc główną ulicą minąłem tylko jeden samochód. Chodniki wydawały się kompletnie wyludnione.

Adres, który podała mi Becky, odnalazłem bez trudu. Było to na końcu ciągu bardzo starych i źle utrzymanych domów. Dwa z nich wyglądały na pensjonaty, a trzeci, tuż obok, był wypaloną ruiną. Tym, którzy tutaj mieszkali, nie przelewało się, a odbieranie czeków zasiłku stanowiło ich jedyny kontakt z ludźmi utrzymującymi ster nad własnym życiem.

Im bardziej się zagłębiałem w tę dzielnicę, tym wyraźniej czułem oddech biedy.

Dom Becky był niewielki, jednopiętrowy i zdecydowanie odsunięty od ulicy. Wyróżniał się porządnym wyglądem, co dało się zauważyć nawet po ciemku. Miał od frontu małą werandę. W środku paliło się światło, ale nie widać było żadnego ruchu. Zatrzymałem chryslera koło nierównego chodnika.

Wiekowy samochód, starszy niż te, którymi ja zwykłem jeździć, stał zaparkowany koło werandy. Widziałem go w świetle padającym z okien sąsiedniego domu.

Po drugiej stronie werandy, schowany nieco głębiej, tak jakby próbował się ukryć, parkował wielki, nowy mercedes. Przez moment oświetliłem go światłami swego samochodu. Lśniący szary metalik wyglądał tu dziwnie obscenicznie i nie na miejscu. Szybko zgasilem światła.

Wszedłem na starą werandę. Drewno skrzypiało przy każdym kroku. Lekko zastukałem w drzwi.

- Pan Sloan? - doszedł mnie szept.

- Tak - odparłem też szeptem i w tej samej chwili pomyślałem, że zachowuję się jakoś śmiesznie.

Pojawiła się przede mną - światło padało od tyłu, tak że nie widziałem zbyt wyraźnie jej twarzy.

Była ładnie ubrana, w ciemne spodnie i długi modny sweter. Otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. Rzuciła mi się na szyję i zawisła jak topielica na ratowniku. Jej ciałem wstrząsały krótkie, nieustanne spazmy.

KARA ŚMIERCI

131

- No już - rzekłem, próbując ją uspokoić. - Wszystko będzie dobrze. Spojrzałem ponad jej ramieniem w stronę niewielkiego salonu. Mieściły

się tam jedynie kanapa i fotel oddzielony od niej stolikiem do kawy. Żaden mebel nie pasował do drugiego. Z boku stał kolorowy telewizor. I już wiedziałem, że nie wszystko będzie w porządku.

Na zniszczonym fotelu siedział Howard Wordley. Sprawiał wrażenie, jakby siadywał w tym miejscu często. Fotel pasował do niego jak stara rękawiczka. Mężczyzna patrzył wprost na mnie. Był

całkowicie ubrany. Każda część jego garderoby wyglądała na kosztowną-od sportowej marynarki poczynając, na lśniących pantoflach kończąc. Jego małe, okrągłe dłonie spoczywały na szczycie potężnego brzucha. Nie powiedział mi dobry wieczór. Nie mógł. Nie żył. Tuż ponad jego prawą brwią widniała niewielka dziura po kuli, a druga trochę poniżej. Krwi nie było zbyt wiele. Ciemna marynarka w niektórych miejscach miała jakby ciemniejsze plamy. Przypuszczałem, że tam również trafiły kule.

Jeśli to było samobójstwo, to niezwykle niezgrabne.

- Pomocy! - Jej głos dochodził jak echo gdzieś z głębi mojej piersi. Trzęsła się jeszcze bardziej niż na początku.

Przeprowadziłem ją do niewielkiej kuchni, byśmy nie musieli oglądać tego straszego widoku, i posadziłem na krześle.

- Posłuchaj! - rzuciłem ostro. - Nie powiem ci, jak masz się tłumaczyć, i nie wymyślę dla ciebie historyjki, którą sprzedasz policji. Zrozumiałaś?

Skinęła głową.

-Jeśli go zastrzeliłaś - mówiłem powoli, żeby każde słowo do niej dotarło - może być kilka linii obrony. Po pierwsze, samoobrona. Jeśli próbował cię zabić albo przynajmniej myślałaś, że próbuje, co - gdyby wziąć pod uwagę twoje wcześniejsze z nim doświadczenia - jest całkiem możliwe. Jeśli więc tak było i zastrzeliłaś go, żeby ratować swoje życie, działałaś w samoobronie. Można też mówić o wypadku. Przez pomyłkę wzięłaś go za złodzieja. Co prawda jest to mało prawdopodobne, zważywszy, że znaliście się dość dobrze, ale mimo wszystko mogłaś pomylić go z włamywaczem i taką linię obrony od biedy też da się uznać za prawnie uzasadnioną. Nie mogę ci powiedzieć, jak się masz tłumaczyć, lecz wolno mi pouczyć cię o twoich prawach. - Tak naprawdę to mówiłem jej właśnie, jak się ma zachować, ale nazywa się to pouczeniem i traktuje jako ochronę przeciw nadużyciom proceduralnym ze strony prowadzących śledztwo.

- Panie Sloan... - przerwała mi.

- Becky, jestem adwokatem, nie współwinnym. Muszę zgłosić, co tu zaszło, i to niezwłocznie. Można sprawdzić, kiedy do mnie dzwoniłaś. I oni to zrobią. Jeśli wyląduję z tobą w więzieniu, żadnemu z nas to nie pomoże.

132

KARA ŚMIERCI

- Panie Sloan, to jakiś koszmar. Nie chciałam tego zrobić.

- Dobrze, przejdźmy przez to jak najszybciej. Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło. Jeśli to była samoobrona, może uda mi się coś zrobić.

Usiłowała zapalić papierosa, lecz dłonie za bardzo jej drżały.

- Ostatnio Howard nabrał zwyczaju zjawiać się tutaj, żeby-jej spojrzenie umknęło w bok - spotkać się ze mną. Tak było, no, po prostu wygodnie. Ale jego wizyty stawały się coraz rzadsze. - Zerknęła na mnie. - Mówił, że ma dużo pracy - zabrzmiało to niezwykle gorzko. - Dziś wieczorem przyszedł bez uprzedzenia. Zazwyczaj zapowiadał się telefonicznie.

- Mów dalej - ponagliłem świadomy upływu czasu.

- Przyszedł, usiadł - kiwnęła głową w stronę salonu - i oświadczył, że wszystko między nami skończone.

- Z powodu jego żony?

Pokręciła powoli głową. Znowu wstrząsnął nią szloch.

- Z powodu kierowniczkę jego działu sprzedaży. To młoda kobieta, wygląda jak tania dziwka.

Zaczął się z nią spotykać.

Popatrzyła na mnie, łzy płynęły strumieniem po jej twarzy.

- Stwierdził, że potrzebuje młodszej.

- I nic więcej już nie pamiętasz - podsunąłem. Pokręciła głową.

- Pamiętam wszystko. Poszłam do sypialni i z nocnego stolika wyciągnęłam pistolet. Mam taki niewielki, dla własnej ochrony, bo w tej okolicy bywa niebezpiecznie. Wzięłam go i strzeliłam.

Najpierw w twarz, potem w brzuch.

- Ile razy?

- Chyba sześć. To jest pistolet sześcioprowadkowy. Naciskałam spust, aż opróżniłam komorę.
- Czy coś powiedział, kiedy cię zobaczy! z pistoletem? Wynikła jakaś szarpanina?
- Nie. Nie miał żadnej szansy. Weszłam i zaczęłam od razu strzelać.
- Ile minęło czasu, zanim do mnie zadzwoniłaś?
- Chyba kilka minut. Zrobiło mi się bardzo smutno. Kochałam go. Nie chciałam go zabić, nie chciałam go nawet zranić. To tylko... - Znowu zaczęła płakać.
- Gdzie jest teraz ten pistolet?
- Sięgnęła ręką do kieszeni spodni. Potrząsnęłam głową.
- Nie. Niech tam zostanie. Kiedy przyjedzie policja, oddaj go im.
- Panie Sloan, co ja mam zrobić? Westchnęłam.

KAKA iMIfcKU

- Po pierwsze, odmawiaj zeznań, jeśli mnie nie będzie przy tobie. To bardzo ważne. Zrozumiałaś? Przytaknęła.
- Wyślą cię na badanie lekarskie. Odmówisz rozmowy o tej sprawie, chyba że w mojej obecności.
- Ale...
- Proszę, Becky. W tych okolicznościach nie bardzo wiem, co mogę dla ciebie zrobić, lecz jeśli jest jakaś furka, skorzystam z niej.
- Dziękuję.
- I nie rozmawiaj z żadną inną więźniarką o tym, co się tutaj wydarzyło. To typowa pułapka - miła koleżanka z celi, pełna współczucia, która potem okazuje się policjantką.
- Skinęła głową, po czym nagle znieruchomiała.

- Panie Sloan, ja nie mam za wiele pieniędzy, a z wartościowych rzeczy tylko ten pierścionek z brylantem, który dał mi Howard.

Znając uczciwość Wordleya, można było od razu założyć, że to zwykłe szkiełko, pewnie nawet nie cyrkonium. -Jakoś z tego wybrniemy - rzekłam.

Wszedłem do salonu. Wordley siedział tak samo swobodnie jak wcześniej. Pospiesznie złapałem za telefon i wykręciłem numer policji.

Przyjechali dość szybko; pierwszy samochód stanął pod domem dosłownie w kilka minut po meldunku. Następnie zjawiał się detektyw z nocnego dyżuru, wyraźnie nie w humorze. Nie ze względu na morderstwo, ale ponieważ ktoś był na tyle nieuprzejmy, że popełnił je podczas jego służby.

Lekarz policyjny, doktor Ernesto Rey, był na jakimś zjeździe, więc policja musiała wypożyczyć patologa z Oakland. Znałem go całkiem nieźle - dobry fachowiec, ostrożny i inteligentny, a także, co gorsza dla takich obrońców jak ja, znakomity jako świadek.

Na końcu przybył Staś Olesky. Jego głęboko osadzone oczy były opuchnięte od snu, a blond włosy nie uczesane. Można by go wziąć raczej za przerośniętego gazeciarza niż za najlepszego prokuratora stanu. Olesky, kiedy był w pełni obudzony, miał w sobie coś złowieszczonego, przywołał na myśl polskiego arystokratę spiskującego przeciwko carowi. W tej chwili jednak wyglądał, jakby najważniejszą sprawą jego życia był powrót do łóżka.

Olesky był dobry, najlepszy w całej ekipie prokuratorów stanowych. Cieszył się też opinią absolutnie uczciwego. Na dodatek był nieludzko pracowity. Znakomity materiał na sędziego, właściwie w każdej robocie wiązanej

134

KARA SMILRCI

z prawem odniósłby sukces, ale on uwielbiał sprawy kryminalne, a już szczególnie dotyczące morderstwa.

Lubiłem go, a jeśli nawet sympatia nie była odwzajemniona, przypuszczam, że przynajmniej mnie szanował. Trudno było powiedzieć, co Staś myśli - wyraz jego świdrujących polskich oczu pozostawał nieprzenikniony.

Odbyliśmy zwyczajowy taniec proceduralny. Próbował namówić mnie, żebym pozwolił mojej klientce złożyć oświadczenie. „Tylko, żeby wyjaśnić kilka drobiazgów” - oznajmił.

Ja na to, że skoro nie ma żadnych dowodów, iż popełniła przestępstwo, powinna zostać zwolniona

za moim poręczeniem. Zachowywaliśmy się jak dwa koguty w kurniku, bijące się nawzajem skrzydłami. To było bez znaczenia, ale wszyscy od nas tego oczekiwali.

Zabrali biedną Becky, po pierwsze dlatego, żeby przeprowadzić próbę azotanową mającą wykazać, czy ktoś strzela! ze znalezionej przy niej broni, następnie zaś, by wziąć odciski jej palców. Dopiero potem zawiozą ją do miejskiego szpitala na oględziny. Gdyby miała jakieś obrażenia, mogłoby to później wpłynąć na przebieg sprawy.

Staś zapewnił mnie, że nikt nie zmusi Becky do zeznawania pod moją nieobecność. Wiedziałem, że mogę mu wierzyć.

Lekarz dość szybko uporał się z oględzinami ciała. Wszystko było jasne jak słońce. Ściągnął lateksowe rękawiczki i uśmiechnął się do mnie.

- Szybki Bill z ciebie. Niegdyś nie zjawiałeś się na scenie wydarzeń przed glinami, Charley.

- To te nowe techniki. Komputery. Potrafią zdziałać cuda. Parsknął śmiechem i spojrzał na Oleskiego.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można by porozmawiać?

Staś uśmiechnął się, a przynajmniej zrobił grymas, który miał uchodzić za uśmiech.

- Mów. Charley i tak wie prawdopodobnie więcej niż my. Lekarz wzruszył ramionami.

- Sześć strzałów, sześć trafień. Na odpuście zdobyłaby pierwszą nagrodę.

- Rodzaju żeńskiego, jak zakładam, użyłeś tylko przez przypadek? - zapytałem.

- Daj spokój, Charley, nie jesteśmy w sądzie. Przyjrzałem się broni. To damska zabaweczka, kaliber dwadzieścia pięć. Sześciopistołowy. Kiedyś nazywano go pistoletem leciwych dam. Może trochę lepszy niż wiatrówka.

- Ale skuteczny - skwitował Oleski. Lekarz skinął głową.

- Tak. Nic nie mogę powiedzieć na pewno, zanim go nie pokroję, przypuszczam jednak, że załatwiło go trafienie tuż nad prawym okiem. Sądząc po kącie, ta mała bryłka przeszła obok oczodołu i trafiła w sam mózg. To tylko domniemanie, które wymaga sprawdzenia.

-A kolejne pięć strzałów oddano dla pewności - wtrącił Staś, wyciągając papierosa.

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie on nie żyje. Rano zrobię sekcję i przefaksuję ci kopię wyniku. Badanie laboratoryjne zajmie trochę więcej czasu. Czy musimy się jakoś specjalnie śpieszyć?

-Jeśli o mnie chodzi, to nie - odparł Staś i spojrzał w moją stronę. Potrząsnąłem głową. Lekarz pomachał nam na do widzenia. Detektywi i ludzie z ekipy technicznej zajęci byli swoją robotą. Staś popchnął mnie w stronę kuchni.

Wreszcie zapalił papierosa i wydmuchał chmurę dymu.

- O co tu chodzi, Charley? Nie ma powodu, żebyś to ukrywał. I tak do rana dowiem się wszystkiego.

Miał rację. Wyciągnąłem krzesło i usiadłem na nim.

- Czy poznałeś ją, Staś?

-Jasne. Pracowała jako kelnerka w gospodzie. Milutka - uśmiechnął się. -I świetnie strzela.

- Howarda Wordleya też pewnie znałeś? Przytaknął.

- Nieźle urządzony gość. A raczej był. Zjawiał się na każdym przyjęciu dobroczynnym czy mityngu politycznym i wszystkim ścisłał dłonie. W ten sposób sprzedał sporo samochodów.

- Lubieś go?

Oleski wzruszył ramionami.

- Daj spokój, w jednej chwili połapał się, że nie stać mnie ani na mercedesa, ani na żadną inną z jego wymyślnych bryczek, więc w jego oczach stałem się nikim. Pewnie dlatego właśnie nie wybuchnąłem łzami, kiedy go zobaczyłem nieżywego.

- Godna podziwu powściągliwość.

Ekipa od ciała zabrała się z towarem i resztą detektywów. Zostali tylko technicy.

- No, Charley. Mów.

- Kilka tygodni temu Becky Harris przysłała do mojego biura, chciała, żebym zajął się skargą, którą złożyła na Wordleya. Twierdziła, że ją zgwałcił.

Jego wzrok przestał być tak senny.

KAKA SMItKU

- Zobaczysz zdjęcia, Staś. Cholerny Wordley prawie oderwał jej głowę. O mały włos jej nie zabił. To nie moje zdanie, lecz lekarza policyjnego.
- Kto zajmował się sprawą?
- Sue Gillis.
- Sue jest bardzo dobra, bardzo kompetentna. Co się stało? Westchnąłem.
- Jak w większości wypadków, nie ma róży bez kolców.
- To znaczy?
- Becky Harris była kochanką Wordleya. Na początku zabiera! ją do Port Huron, stawiał kolację i szli do jakiegoś dobrego motelu na łatwą robotę.
- A potem?
- Potem stary Howard stwierdził, że to, co robi, jest jedynie stratą czasu i pieniędzy, i uparł się, by całą zabawę zastąpić krótkim i ekonomicznym aktem oralnym na parkingu. Czyściutko i szybko.
- Podziwiam zorganizowanych facetów. I co dalej?
- Pewnego wieczoru Becky zrozumiała, że w ich stosunkach zabrakło romantyzmu. I odmówiła usługi.
- I wtedy o mało nie oberwał jej głowy?
- Właśnie.
- Złożyła formalną skargę?
- Tak. Wordley zatrudnił słynnego Victora Tremblyego.
- To zupełnie jak przyznanie się do winy - Oleski uśmiechną! się.
- W każdym razie po konsultacji z Tremblym Wordley zaczął gadać, że Becky jest prostytutką, a on płacił jej za to, co robiła. Dwadzieścia dolarów. Stwierdzi!, że tego wieczoru, kiedy się zdarzy! ów wypadek, zażądała więcej, a gdy odmówił, rzuciła się na niego z nożem i musiał działać w obronie własnej.
- Czy był zraniony? -Nie.
- Nóż znalazł się wśród dowodów rzeczowych? -Nie.
- Więc?
- A tak przy okazji: jakieś dziesięć lat temu Becky aresztowano i uznano za winną zaczepiania i molestowania. W Cleveland. Ona mówi, że to była pomyłka, i ja jej wierzę.

Parsknął śmiechem.

- Pewnie.
- Poszliśmy z Sue na rozmowę z twoim nowym szefem.

!

KAKA 5IVItKLI

- Tym dupkiem?! Jeśli dotrwa do wyborów, to będzie istny cud. I cóż ten mistrz intelektu wam powiedział?
- Mimo zdjęć i całej reszty nie wypisał nakazu aresztowania Wordleya nawet za napastowanie.
- I nie przyłożyłeś mu, Charley?
- Nie było potrzeby. Odmalowałem mu obraz, jak to wszystkie feministki tego regionu maszerują do jego biura, żeby popełnić na nim rytualną kastrację.
- Nigdy by nie znalazły niczego, co dałoby się obciąć, ale mów dalej.
- Wówczas zgodził się na wszczęcie postępowania, przynajmniej o napastowanie.
- I?
- Wordley, za namową Trembly'ego udał się do Becky i przekonał ją, że tak naprawdę to darzy ją prawdziwym uczuciem. Nawet podarował jej pierścionek, dał też do zrozumienia, że wkrótce, co prawda nie sprecyzował kiedy, pozbędzie się obecnej pani Wordley i wtedy oboje pojedą w świetlaną przyszłość jego najnowszym modelem mercedesa.
- Uwierzyła mu?
- Widocznie tak, bo wycofała wszystkie zarzuty.

- Czy rozmawiałeś z nią potem? -Nie.

Olesky przyglądała się zbierającym się do odjazdu technikom. Zostaliśmy sami. Tylko wóz patrolowy i dwóch znudzonych policjantów pozostało na zewnątrz. Ktoś zabrał mercedesa Wordleya. Kilkoro sąsiadów, mimo że pora zrobiła się już naprawdę późna i właściwie było po wszystkim, nadal zaglądało przez ogrodzenie.

-Jak myślisz, Charley, co się tu dzisiaj wydarzyło? Pytam nieoficjalnie.

- To ma być pogawędka dwóch prawników, czy starasz się dowiedzieć, jaką przyjmę linię obrony?

- Po trosze jedno i drugie.

Nic mi to nie szkodziło, bo linii obrony nie miałem żadnej. Może podczas rozmowy coś się wykluje.

- Obaj wiemy, że na nowo pozlepiane związki, zwłaszcza jeśli ich celem jest utrzymanie jednej ze stron z dala od więzienia, nigdy nie są trwale.

Skinął wolno głową.

- Przypuszczam, że sprawy zaczęły się sypać i stary Howard chciał wrócić do jednego szybkiego po pracy.

- 1?

138

KAKA SMlhKU

- Dziś postanowiła zaprotestować, a pamiętając, co się zdarzyło, kiedy ostatnio odmówiła, bała się, że tym razem może naprawdę zginąć. Na wszelki wypadek wsadziła do kieszeni pistolet. I, jak w koszmarze nocnym, to się rzeczywiście zaczęło dziać. Tak samo jak wtedy zagroził jej, a kiedy już podnosił się z fotela, żeby ją zaatakować, wyciągnęła pistolet i strzeliła.

- Czy ona ci to powiedziała?

- Nie, była zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek mówić. To moja własna rekonstrukcja zdarzeń.

Przeszedł do malutkiego salonu. O tym, że coś się tu stało, świadczyło kilka plam krwi na fotelu, obrysowane kredą kształty i miejsca zabezpieczone taśmą policyjną, poza tym wszystko było na swoim miejscu. Oczywiście Wordleya zabrali także.

- Pozwól, że teraz ja ci przedstawię swoją wersję wydarzeń.

- Dawaj.

Wskazał ręką na pokój.

-Żadnych śladów walki: ani noża, ani broni leżącej na podłodze, ani nic w tym rodzaju, musisz przyznać. Podszedł do fotela.

- Wordley, gruby jak beczka, wypełniał sobą cały ten zniszczony fotel. Poza tym, że był martwy, wyglądał według mnie na całkiem zadowolonego i spokojnego. Jego małe stopy nie sięgały nawet podłogi, dyndały w powietrzu. Sam nie jestem zbyt wysoki, więc zwracam uwagę na takie szczegóły. Innymi słowy, Charley, wcale nie sprawiał wrażenia człowieka, który właśnie rzuca się do ataku.

Westchnął i spojrzał na fotel.

- Posłuchaj, Becky Harris jest miłą kobietą, już niezbyt młodą, ale wciąż pełną marzeń, w których spaceruje o zachodzie słońca, trzymając za rękę kochającego ją i dbającego o nią mężczyznę. Nie ma nic złego w takich marzeniach. Jest wiele podobnych kobiet. Mężczyzn zresztą też. Jej problem polega! na tym, że trafiła na Wordleya, który był mistrzem brania. Ona jednak, nawet wiedząc o tym, nie chciała zrezygnować ze swoich marzeń. Takie rzeczy się zdarzają, Charley, obaj mamy z nimi wciąż do czynienia.

Powoli pokręcił głową.

- Nawet po tym, jak zranił ją fizycznie, nie potrafiła odrzucić marzeń. I dlatego wciąż się z nim spotykała, mając nadzieję, że wreszcie się ziszcą.

Spojrzał na fotel, tak jakby Wordley wciąż w nim siedział.

- Moim zdaniem ten mały gnojek powiedział jej dzisiaj „adieu Fruziu”. Przyszedł tutaj, rozsiadł się wygodnie i oświadczył, że już po zabawie.

KAKA bMlhKU

Staś wyglądał, jakby nasłuchiwał jakiegoś wewnętrznego głosu.

- Gdyby dał jej czas, pewnie by to zaakceptowała. Jeśli by skłamał, że wraca do żony albo coś w tym rodzaju, nadkruszyłyby jej marzenia, lecz nie zniszczył ich całkowicie.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Przypuszczam, choć to oczywiście tylko strzał w ciemno, że Wordley znalazł sobie inną laleczkę, i dziś właśnie uszczęśliwi! Becky tą wiadomością. Pewnie chodziło o młodszą babkę.

Niewykluczone, że Becky ją znała. Kobieta w jej wieku, która wciąż potrafi marzyć, może się okazać bardzo niebezpieczna, choćby nie wiem jak miękkie i czułe pozostało jej serce. Zerwanie to jedno, ale zerwanie z powodu młodszej baby bywa iskrą, powodującą wybuch dynamitu.

Znowu popatrzył na fotel.

- I sądzę, że Becky wybuchła. Nie słowami, nie łzami, lecz zwierzęcą furią. Wpadła do sypialni, wyciągnęła pistolet i odstrzeliła jego flirciarskie-go kutasa. Pewnie nawet nie powiedziała przy tym ani słowa. Po prostu naciskała na spust.

Roześmiałem się, starając się zrobić to naturalnie.

-Już czas, byś porzucił zajęcie prokuratora i stanął po naszej stronie stołu. To my wymyślamy historyjki, Staś. Ale szczerze mówiąc, lepiej byłoby, dla ciebie oczywiście, gdybyś wyprodukował coś, co ma lepsze ręce i nogi.

Wzruszył ramionami.

- To tylko moja wersja wydarzeń.

A brzmiała tak, jakby przed chwilą rozmawiał z Becky Harris. Byłem pod wrażeniem. Mam nadzieję, że nie dałem tego po sobie poznać. Wyszliśmy na zewnątrz.

- Ładna noc - stwierdził Staś. - Zaprosiłbym cię na piwo, Charley, wiem jednak, że nie pijesz.

- Co powiesz na kawę? Potrząsnął głową.

- Nie o tej godzinie. Nie mogę potem zasnąć.

Przyglądało się nam dwóch gliniarzy stojących przy wozie patrolowym.

- Czy to ci nie przeszkadza, Staś? -Co?

- Ze widzą, jak rozmawiasz ze stroną przeciwną?

-Jestem uczciwy, Charley. Ludzie to wiedzą. Sędziowie, adwokaci, właściwie każdy. Kiedy się zarobi na taką reputację, jest ona jak tarcza. Mogę

140

KARA ŚMIERCI

robić różne rzeczy, rozmawiać, z kim chcę, chodzić w najdziwniejsze miejsca i nikt tego nie kwestionuje.

-Jesteś pewny?

Uśmiechnął się.

- Cholernie pewny, inaczej bym tego nie robił.

- O co zamierzasz oskarżyć Becky?

-Jeszcze nie wiem. Na razie wygląda to na morderstwo pierwszego stopnia. -Ale...

-Jeśli było tak, jak przypuszczam, i poszła do drugiego pokoju po pistolet, mamy do czynienia z premedytacją. - Uśmiechnął się. - Przynajmniej na początek.

Wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

- Trzymaj swoją tarczę w pogotowiu, Staś.

- Nigdy jej nie opuszczam.

- Powiedz mi, Staś, czyja mam podobną tarczę? Spojrzał na mnie uważnie i odparł:

- Dla mnie, tak. Ale prawdę mówiąc, Charley, biorąc pod uwagę twoją reputację, jestem w mniejszości.

Alarm pożarowy, tonący statek, atak powietrzny. Nie potrafiłem określić dokładnie, co, dopóki się nie obudziłem. Oczywiście dzwonił telefon. Spojrzałem na zegarek. Była punkt ósma.

Przez chwilę leżałem, zastanawiając się, czy cała sprawa mi się nie przysniła. Być może Howard Wordley sprzedawał właśnie najnowszy model BMW jakiejś grubej rybce z Port Huron. Może Becky Harris pracowała na porannej zmianie w gospodzie i podawała w tej chwili całe tony jajek na bekonie. Życie, jak kawa, przesączało się od spodu. Jeśli śniłem, to bardzo realistycznie.

Podniosłem słuchawkę.

- Słucham.
- Charley, tu Sue. Dopiero co przyszedłam do biura. Cóż za koszmar! W raporcie napisano, że byłeś pierwszą osobą, która zjawiała się na miejscu morderstwa.

Najwyraźniej jednak nie był to sen.

- Charley, chcę, żebyś zajęła się tą sprawą. - W jej głosie brzmiał lęk.

- Zajmujesz się przestępstwami na tle seksualnym - odparłem, nagle w petni rozbudzony - nie zabójstwami, więc dlaczego?

KARA ŚMIERCI

141

- To przez tę wcześniejszą historię, kiedy Becky Harris wycofała oskarżenie. Przydzielą mnie Morganowi i Maquire'owi.

Byli to starzy wyjadacze, którzy pracowali kiedyś w wydziale zabójstw w Detroit. Wyglądali jak para miłych dziadków, ale w rzeczywistości z charakteru bardziej przypominali kobry.

-Tej nocy rozmawiałem ze Stasiem Oleskym. Przypuszczam, że on jest oskarżycielem.

-Tak.

- To sami bardzo dobrzy fachowcy, Sue. W czym zatem problem?

- Myślałam, że to jasne.

Zapadła cisza, jaką zwykle nazywa się brzemiennej.

-Jeśli ty go nie dostrzegasz, to widocznie go nie ma - rzuciła ostro. Chociaż wiedziałem, że ją zranię, parszknąłem śmiechem. Nie potrafiłem się powstrzymać.

- Posłuchaj, może to dla ciebie śmieszne...

- Spotykamy się ze sobą, Sue - przerwałem jej. - I dopóki wszyscy wplątani w tę sprawę o tym wiedzą, nie widzę problemu. Czy o to ci chodziło?

- Właśnie o to. Najwyraźniej dla ciebie to nie ma znaczenia, ale dla innych owszem.

- Na przykład, dla kogo?

- Dla moich szefów, dla nowego prokuratora, może nawet dla sędziów. Dla takich tam nic nie znaczących ludzi. Może nawet dla dziennikarzy.

Westchnąłem.

- Poproś, żeby przydzielili do tej sprawy kogoś innego. Powiedz im dokładnie to samo, co powiedziałaś mnie.

- Zrobiłam to - przyznała po dłuższej chwili. -I?

- Uznali, że to niewystarczający powód. Zaproponowali, żebyśmy na czas trwania sprawy przestali się spotykać.

- Naprawdę? Kto wpadł na taki pomysł?

- No cóż, Parkman, nowy szef prokuratury. A ponieważ się nie zgodziłam, zabronił mi rozmawiać z tobą o sprawie, nawet o niej wspominać.

- Czy Olesky też tak sądzi? -Nie.

-Jakie jest jego zdanie?

Usłyszałem coś, co mogło być zapowiedzią śmiechu.

- Uważa, że jedynym dla mnie wyjściem jest pójść do więzienia i zastrzelić tę kobietę. I że nie powinnam się martwić.

742

KARA ŚMIERCI

- Ma rację.

- Ale dziennikarze, Charley, co...

- Dla gazet cała ta sprawa będzie interesująca tylko dzisiaj. Posłuchaj, Wordley był sprzedawcą samochodów z Port Huron, wielką rybą w małym stawie. Zastrzeliła go kochanka. To dobre na kilka akapitów, lecz nie ma w tym żadnej tajemnicy, nie chodzi też o pieniądze, czyli brakuje tego, co zwróciłoby uwagę szerszej publiczności.

- A seks?

- Daj spokój, siedemdziesięcioletni handlarz kupuje od czasu do czasu usługi pięćdziesięcioletniej kelnerki. Jeśli uważasz, że o takim właśnie seksie rozpisują się w gazetach lub mówią w

popołudniowych wiadomościach, to lepiej, że zostałam policjantką, nie dziennikarką. Umarłabyś z głodu.

Przeciągnąłem się i wstałem.

- Czy fakt, że adwokat kelnerki interesuje się jedną z policjantek przydzielonych do sprawy, nie jest kąskiem, na który rzuci się „Washington Post”?

-Jeśli w ten sposób to ujmiesz, z pewnością nie. Znowu popatrzyłem na zegarek. Obliczyłem, że udało mi się przespać raptem cztery godziny. Nie było to dość, ale może zdołam zdrzemnąć się później.

- Poza tym - dodałem - ona go nie zabiła. -Aha!

- Z tego, co wiem, wynika, że pewien sprzedawca mazd, facet w typie orientalnym, którego widziano, jak się kręcił wokół domu Becky, wszedł tylnymi drzwiami, skradł pistolecik i odstrzelił swego największego rywala w interesach.

- Charley, odbiło ci?

- Nie. Ale muszę wymyślić jakąś linię obrony. I nad tym właśnie będę pracował, dopóki nie spotkam się z moją klientką, żeby przedyskutować z nią sprawę. Przypuszczam, że chcecie ją o coś oskarżyć?

Roześmiała się.

- Najpierw musimy postawić ją przed sądem, Charley. Takie jest prawo.

- W takim razie do zobaczenia później, Sue. Czy tymczasem jednak nie wyświadczyłabyś mi pewnej przysługi?

-Jeśli tylko będę mogła.

- Zacznij się rozglądać za podejrzanymi japońskimi sprzedawcami samochodów. To jest ten punkt zaczepiania, którego tak rozpaczliwie poszukujecie.

Roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Ja też odłożyłem. Dziwne, ale wcale nie chciało mi się śmiać.

7

ZJanim pojechałem do sądu, zatrzymałem się na chwilę w biurze. Musieliśmy przejść przez cały rytuał rozpoczęcia sprawy oskarżenia Becky Harris o morderstwo. Nie było szansy, żeby wyciągnąć ją za kaulcją, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wszystko musiało się odbyć jak w japońskim teatrze kabuki. Prokurator, adwokat, sędzia - każdy z nas zna swoją rolę na pamięć i odegrają, nawet gdyby nic z tego nie miało wynikać. Kabuki jest przynajmniej rozrywką.

Pani Fenton, na którą niezwykle działali sędziowie, poinformowała mnie, że Jeffrey Mallow zostawił kolejną wiadomość. Jego sekretarka oświadczyła, że to pilne, i zażądała, żebym zadzwonił, jak tylko się zjawię.

Uznałem, że to nic pilnego.

W sądzie Sue Gillis robiła, co mogła, żeby nie patrzeć na mnie, wskutek czego jeszcze częściej zerkała w moją stronę. Gdyby nie powiedziała wcześniej o naszym związku, każdy by się i tak domyślił. Becky Harris przeszła przez wszystko dokładnie tak milcząco, jak jej zaleciłem.

Przypominała mi jedną z tych starych kamiennych figur stojących nad grobami, wpatrujących się w ziemię i nie wyrażających żadnych emocji. W jej oczach była pustka, jakby zajrzała w przyszłość i nie chciała już więcej tam spoglądać.

Zapytałem Stasia Oleskyego, czy mógłbym z nią porozmawiać przez kilka minut, zanim zabiorą ją z powrotem do więzienia. Sędzia nie miał już do niej żadnych pytań, więc pozwolono nam usiąść przy stole obrony. Jedyną jeszcze obecną na sali osobą był woźny, który siedział na krześle dla świadków. Czytał gazetę i był tak oddalony, że nie mógł nic usłyszeć. Chyba że zaczęlibyśmy krzyzczeć.

„Free Press” zamieściła na trzeciej stronie maleńką wzmiankę o sprawie -nic wielkiego, ponieważ cała sprawa nie była wielka, a poza tym czas składania materiałów do druku pokrył się z godziną śmierci Howarda Wordleya.

144

KARA ŚMIERCI

Zapytałem Becky, czy czegoś nie potrzebuje, i prawdopodobnie było to najgłupsze pytanie, jakie mogłem zadać. Czego potrzebuje kobieta w jej sytuacji oprócz wybaczenia i pomocy w ucieczce?

Poprosiła o przywiezienie jej z domu paru drobiazgów toaletowych. Obiecałem, że to zrobię, i przeszliśmy do sprawy.

- Becky, proszę, zrozum, nie mogę kłamać. Nie mogę wymyślić obrony. Wolno mi tylko opierać się na danych otrzymanych od ciebie. Czy to rozumiesz?

Skinęła głową.

- Wczoraj wieczorem powiedziałas mi, że Howard zamierzał zostawić cię dla młodszej kobiety, kierowniczkę sprzedaży w jego interesie samochodowym. Dlatego poszłaś do sypialni, wzięłaś pistolet, który był już naładowany, wróciłaś do salonu i strzeliłaś do niego sześć razy. Czy to się mniej więcej zgadza?

Znowu skinęła głową.

- Wczoraj wieczorem byłaś w szoku. Każdy byłby. Mogłaś opowiadać mi różne bzdury. Czasami, kiedy ludzie czują się winni i mają wyrzuty sumienia, tak właśnie postępują. W rezultacie mówią nieprawdę, po prostu dlatego, że chcą sami siebie ukarać. Teraz...

- Opowiedziałam to, co się wydarzyło, panie Sloan. Westchnąłem.

- Becky, nie pomagasz mi. Muszę na czymś oprzeć obronę.

- Nie chcę obrony.

- Nie ustalono jeszcze, o jakiego rodzaju zbrodnię będziesz oskarżona. - Wyrecytowałem zwyczajowy wykład o stopniach morderstwa obowiązujących w Michigan i przewidzianych za nie karach: życie za kratkami bez możliwości zwolnienia warunkowego w wypadku morderstwa pierwszego stopnia. Szansa na zwolnienie warunkowe za morderstwo drugiego stopnia. Jakiś określony czas w więzieniu, a potem nawet prawdopodobieństwo warunkowego zwolnienia za zabójstwo w specjalnych okolicznościach.

Potakiwała, ale wydawało mi się, że nie słucha zbyt uważnie. Uznałem, że nie czas jeszcze rozważać ewentualność ugody z oskarżeniem.

- Skąd wzięłaś ten pistolet, Becky? - Pomyślałem, że jeśli zmienię temat, może łatwiej nam się będzie rozmawiało.

- Cleveland - powiedziała. - Wiele lat temu. Dziesięć, może piętnaście.

- Kupiłaś go?

- Nie. Dał mi go mój chłopak. Dla ochrony.

KARA ŚMIERCI

145

- A co z nabojami? Czy to były jeszcze te oryginalne? - Mały pocisk, na dodatek tak wiekowy, przypuszczalnie nie zdołałby przedziurawić, a tym bardziej zabić kogokolwiek.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie dostałam ich z pistoletem.

- W takim razie od kiedy je masz?

- Od paru tygodni.

- Tygodni?! - Takie pytanie zadałby przykładowy prokurator z niedowierzaniem w głosie.

- Howard mi je dał - oznajmiła.

- On kupił ci pudełko naboji?

- Nie. Po prostu przyniósł sześć i naładował mi pistolet. Powiedział, że nie można dowierzać starej amunicji. I dodał, że nie warto trzymać pistoletu, jeśli nie sposób go użyć.

W zupełności się z nim zgadzałem.

- Skąd wziął te naboje? Spojrzała na mnie.

- Od swojej żony.

- Słucham?

- Jego żona ma identyczny pistolet. Też trzyma go w szafce koło łóżka. - Zamilkła. - Oczywiście nie sypiali ze sobą już od lat, ale wiedział, że ona go tam trzyma.

- Wyjął te naboje z jej pistoletu?

- Nie. Miała pudełko z nabojami. Stamtąd je wziął.

Nie wiedziałem, jak uda mi się wykorzystać, jeśli w ogóle, tę informację, ale kiedy ma się tak niewiele, nawet takie nic wydaje się ogromnym potencjałem.

Jeszcze raz ostrzegłem Becky, żeby z nikim nie rozmawiała o sprawie i obiecałem przywieźć to, o co prosiła. Poinformowałem też, jak będzie wyglądać procedura prawna, która doprowadzi wreszcie do rozprawy sądowej.

- Nie chcę stawać przed sądem, przyznaję się do winy - oświadczyła zdecydowanie.

- Wiem - odparłem. - Na razie zajmijmy się bieżącymi sprawami, dobrze?

- Gdzie położą Howarda? - zapytała.

- Słucham?

- Czy wyznaczono już dom pogrzebowy?

146

KARA ŚMIERCI

- Nie wiem, Becky. Nie mam pojęcia, gdzie ani kiedy odbędzie się pogrzeb.

Kiedy na mnie spojrzała, jej oczy były pełne łez.

- Żeby tylko ubrali go w niebieski garnitur. Tak ładnie wyglądał w niebieskim.

Kiedy wróciłem do biura, pani Fenton patrzyła na mnie jeszcze groźniej niż zwykle.

- Sędzia Mallow znowu dzwonił - oznajmiła zgryźliwym tonem. - On sam, nie jego sekretarka.

Powiedział, że sprawa jest bardzo ważnej natury.

-Jeśli zadzwoni ponownie - odparłem - proszę skłamać, że jeszcze nie wróciłem z sądu.

- Ale to podobno ważne.

Zazwyczaj jestem bardzo taktowny, lecz tym razem jej zachowanie sprowokowało mnie do niewielkiego wybuchu. Obejrzałem się i spojrzałem na nią groźnie.

- Czy ma pani kłopoty ze słuchem? - zachnąłem się. - Proszę zrobić tak, jak poleciłem. Zrozumiała mnie pani?

W ciągu tych kilku miesięcy, które spędziliśmy razem, nigdy wcześniej nie podniosłem na nią głosu. Gdybym ją złapał za włosy albo dal prztyczka w nos, zapewne nie zraniłbym jej uczuć bardziej niż w tej chwili. Widziałem to wyraźnie w jej rozszerzonych zdziwieniem źrenicach. Poczułem się jak gnida, lecz niepotrzebnie. Jeśli nawet byłem gnidą, to taką, która nie ma ochoty pakować się dalej w grę, którą proponował Jeffrey Mallow.

Zamknąłem drzwi do swego gabinetu i opadłem na fotel. Przez chwilę miałem nawet zamiar zerwać się i biec z przeprosinami. Mięczakiem człowiek się nie staje, lecz rodzi.

Na moim biurku leżała poczta, ułożona w równe stosiki. Przerzuciłem ją. Były to głównie rachunki i oferty zakupu książek z dziedziny prawa proponowane przez różne konkurujące ze sobą firmy.

Jedna z reklamówek zatrzymała mój wzrok. Proponowała pięciotomowe wydawnictwo, w skórzanej oprawie na temat prawa przestrzeni. Chodziło oczywiście o przestrzeń kosmiczną i sądząc po treści broszury, nie pominięto żadnego aspektu tej dziedziny. Na tysiącach stron omówiono zatem prawo do wody na planetach, na których ona w ogóle występuje, prawo do minerałów, do wierceń i kopalń, a wszystko to poparto wzorami umów i orzeczeniami z procesów, jakie odbyły się na starej Ziemi. Tak więc, jeśli nagle zdecydujemy się skolonizować Marsa, prawnik dysponujący tymi książkami może śmiało wskoczyć do najbliższego wahadłowca, otworzyć biuro i w ciągu jednej doby stać

KARA ŚMIERCI

147

się milionerem. Zestaw książek kosztował jedyne sześćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów, a coroczne uzupełnienia - nie należy ich przeoczyć! - kolejne dwieście.

Wyrzuciłem broszurę, zastanawiając się nie tylko nad tym, kto kupi coś podobnego, ale także, kto strawił czas, żeby zreprodukować i pokazać zapisy ze spraw o stare kopalnie i rancza. Nie sądzę, żeby proponująca te książki spółka znalazła szeroki rynek zbytu dla swego produktu, lecz ostatecznie to jest jej dziedzina, więc może się mylę.

Pośród innych cudeniek znalazłem pocztówkę z Key West. Na zdjęciu widniała czerwona kula, prawdopodobnie słońce opadające w ciemną toń wody, przypuszczalnie Zatoki Meksykańskiej. Na drugiej stronie nie było zbyt wiele, żadnych „żałuj, że cię tu nic ma”, tylko informacja, iż Miles Stewart wraca do Michigan. Ze stempla pocztowego wynikało, że karta szła nieprzeciętnie długo. Doktor Śmierć, jak mogłem wywnioskować, wrócił poprzedniego dnia.

Był on kolejną osobą, z którą nie chciałem rozmawiać, jeśli tylko dałoby się tego uniknąć. Ale nie mogłem wyrzucić go ze swych myśli, a raczej nie tyle jego, ile jego sprawy. Weekendowy „New York Times” przedrukował fragment z „Harvard Law Journal” na temat aranżowanych samobójstw. Napisany był w formie eseju, lecz pomyślałem, że warto go przeczytać na wypadek, gdyby wspominał o nie znanych mi przypadkach. Wcześniej zupełnie mi to wyleciało z głowy i teraz pocztówka pobudziła moją pamięć.

Zadzwoiłem do biblioteki Świętego Benedykta. Właśnie dostali numer, którego potrzebowałem. Poprosiłem studenta, który ze mną rozmawiał, żeby mi go odłożył. Powiedziałem, że przyjadę następnego dnia, w czwartek, dzień moich cotygodniowych spotkań w klubie.

Mój rozmówca był dopiero studentem prawa, ale najwyraźniej szybko się uczył. Idea wykonania czegoś za darmo była mu bez wątpienia wstrętna, więc chociaż zgodził się odłożyć dla mnie artykuł, uczynił to nader niechętnie.

Pojechałem do domu Becky Harris. Wciąż był pod obserwacją. Znudzony policjant z Pickeral Point siedział w samochodzie od frontu. Znałem go, więc nie miałem żadnych problemów z dostaniem się do środka. Wszedł ze mną i towarzyszył mi przez cały czas, kiedy szukałem rzeczy, o które prosiła Becky. Nie wiedziałem, czy wypełnia po prostu rozkazy, czy też zwyczajnie czuje się samotny. Nazywał się Cecil Anderson. Było to potężne chłopisko, które jakoś zdołało uniknąć kłopotów przez trzydzieści lat pracy w tej małej jednostce

148

KARA ŚMIERCI

policji. Bardziej gawędziarz niż policjant. Uwielbiał gadać, toteż kiedy zajmowałem się swoimi sprawami, zalał mnie potokiem słów. Ale był to również porządny człowiek, a plotki, które powtarzał, nie czyniły nikomu krzywdy. Czułem, że po trzydziestu latach nudnej roboty Cecil potrzebuje stymulacji, nawet jeśli miało nią być brzmienie własnego głosu.

- Becky to całkiem fajna babka - mówił. - Niektóre z tych kobiet, które pracują w gospodzie, zaczynają zadzierać nosa. Pewnie im się zdaje, że pada na nie blask od tych wszystkich dzianych facetów, którzy tam przychodzą. Ale Becky taka nie jest. Zawsze znajdzie mile słowo dla każdego.

- Zamilkł na chwilę. - Myślisz, że ma jakąś szansę, żeby z tego wyjść?

- A ty jak uważasz?

Było jasne, że Cecil ma wyrobioną opinię na każdy temat i wyrazi ją nawet gdybym nie chciał słuchać.

- Wiesz na pewno lepiej niż ja, lecz sądząc z tego, co czytałem w gazecie, i z tego, co słyszałem, nie wywinie się tak łatwo. Nigdy jednak nie wiadomo, co? - Uśmiechnął się do mnie. - Wystarczy przypomnieć sobie, co zrobiłeś w sprawie Harwella.

Powoli zaczynałem nienawidzić samego brzmienia tego nazwiska, ale postarałem się to ukryć.

- Znałeś Howarda Wordleya? - zapytałem.

- Pytasz oficjalnie?

- O co ci chodzi?

- O co? Na Boga, Charley, gdyby wpadło ci do głowy, żeby postawić mnie na miejscu dla świadków, kosztowałyby mnie to pracę, pensję i Bóg wie co jeszcze.

- Posłuchaj, Cecil, jeślibyś znał informacje, które mogłyby uratować niewinną osobę, czy nie ujawniłbyś ich?

- Jasne, że tak.

- Więc w czym problem?

- Sztuczki, Charley. Na mieście mówią, że zawsze coś wyciągniesz z rękawa. Nie będę siadał gołym tyłkiem na szlifierce z powodu jakiegoś prawnika, które chce pokazać fiku-miku.

- Nie wytnę ci żadnego numeru, Cecil. Obiecuję.

Uśmiechnął się tak niewinnie i ufnie, że prawie poczułem wyrzuty sumienia, iż go oszukuję.

- No to co z tym Howardem Wordleyem? - dopytywałem się.

- Stary Howard nie był złym gościem. Mieszkam tutaj od trzydziestu lat, więc wiem co nieco. -

Cecil uśmiechnął się. - Dawnymi laty, ale to naprawdę

i\m\m 3iv lidi\i,i

szmat czasu temu, nigdy nie potrafił utrzymać tej cholernej rzeczy w portkach. Nie było takiej damy w mieście, mężatki czy panny, do której Howard by się nie dobierał. - Ściągnął czapkę z głowy i podrapał się po tym, co mu zostało z rudosiwych włosów. - Myślałem, że kiedyś wreszcie się ustatkuje. To przychodzi z wiekiem, prawda? Ale Howardowi najwyraźniej nie „wychłó-dło”. Zawsze próbował. - Ponownie włożył czapkę. - No i pewnie spróbował o jeden raz za dużo, tak przynajmniej mi się wydaje.

- Tak to chyba wyglądało. A co powiesz o pani Wordley? Znasz ją? Skinął głową.

- Naprawdę miła kobitka.

- Wiedziała coś o małym hobby Howarda?

- Musiała wiedzieć, jak sądzę. Mieszkają razem, to znaczy mieszkali. Ale nigdy razem nie wychodzili. Ona należy do tego frymuśnego klubu tutaj, w Brzoskwiniowej Zatoce. On też należał, lecz przypuszczalnie zawarli coś w rodzaju umowy, że to jest jej klub, i on tam nigdy nie przychodził, chyba że go zaprosiła.

Cecil westchnął.

- Kiedy się jest gliniarzem, widzi się tyle dziwnych małżeństw. Mieszkają w tym samym domu, ale każde chodzi swoją drogą. Wielu jest takich ludzi, i bogatych, i biednych.

Zobaczyłem, że rozbłysło mu oko rasowego plotkarza.

- Ona jest z domu Weaver, wiedziałeś?

- Kim są Weaverowie?

- To jedna z rodzin, które założyły nasze miasto. Do jej ojca, starego pana Wearvera, należała połowa hrabstwa. Rozumiem, że większość z tego zostawił córce. Dzięki temu Howard zdobył pieniądze, żeby rozkręcić ten interes z samochodami. Słyszałem, że tak naprawdę to ona jest właścicielką, a on tylko go firmował.

- Bogata kobieta i na dodatek samodzielna finansowo. Zastanawiam się, czemu po prostu nie zostawiła Howarda albo nie przykróciła mu złotych cugli?

- Kobiety są dziwne. Myślę, że ona go kochała. Oczywiście nie wiem na pewno, nie obracaliśmy się przecież w tych samych kręgach. Słyszało się jednak to i owo.

-Jak przyjęła jego śmierć? Czy o tym też słyszałeś?

-Jasne. Ale nie ma tu dużo do opowiadania. Podobno zniosła to dobrze. Jest bardzo smutna i bardzo spokojna, zachowuje się jak prawdziwa dama. Sama wszystko załatwia. Howarda czeka pochówek pierwsza klasa.

IM

- Cecil, czy Wordley miał kiedykolwiek kłopoty z policją?

- Chodzi ci o kłótnie rodzinne, podbite oczy, wrzaski i takie tam sprawy?

- Powinieneś być detektywem.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Gdyby coś takiego było, z pewnością bym wiedział. Zapamiętałbym coś takiego.

Odprowadził mnie do samochodu.

- Czy będziesz widział Becky? - zapytał. Skinąłem głową.

- Powiedz jej cześć od Cecila.

Widziałem się z Becky. Wydawała się jeszcze bardziej przygnębiona niż poprzednim razem.

Zastanawiałem się, czy nie zechce popełnić samobójstwa, ale ludzie szeryfa, którym podlegało więzienie, byli dwa kroki przede mną. Wyznaczono już osobę do pilnowania Becky.

Przy okazji wpadłem do biura prokuratora, żeby się zobaczyć ze Sta-siem Oleskyym.

Miał małeńki pokójek zawalony zakurzonymi książkami i stertami pożółkłych raportów. Opróżnił krzesło stojące najbliżej biurka i zwrócił na mnie swoje polskie oczy.

- Aha! Oglądałem zdjęcia - oznajmił. - Te pokazujące prace ręczne Wordleya na szyi Becky Harris.

- W kolorze? Skinął głową.

- Przynajmniej raz nie przesadziłeś.

- Nigdy nie przesadzam. Tylko się uśmiechnął.

- Odkryliśmy pochodzenie pistoletu. -I ?

- Gwizdnięty podczas włamania. Twoja mała dama była w posiadaniu czegoś, co aż pali się w

rękach.

- Gówno prawda. Potrząsnął głową.

- Niestety. Wszystko się zgadza. Należał do pewnej kobiety w Cleveland. Napadnięto na jej dom jakieś dziesięć lat temu. Opis się zgadza, numer też.

-To i tak już nie ma znaczenia. Ktoś dał jej ten pistolet.

- Ale trefny. Znasz przysięgłych. Boże, jak oni nienawidzą tych trefnych pistoletów.

i\rvl\va jiyiiciw^i

101

- Więc?

-Jestem pod wrażeniem szkód, jakie stary Howard wyrządził twojej damie. Ona jednak załatwiła go ukradzionym pistoletem. Może moglibyśmy się dogadać.

-Jak?

- To tylko moje myśli, a nie żadna propozycja, pamiętaj. Teraz muszę uzgadniać wszystko z tym nowym dupkiem. Wprowadził takie zasady. Ale gwoli rozważenia: jak ci się podoba morderstwo drugiego stopnia?

-Jaki rekomendowany czas?

- Bez rekomendacji. To zostawimy sędziemu. Dziesięć do jednego, że daruje jej życie. Kobieta odsiedzi osiem lat i wyjdzie. Nie tak źle, kiedy się nad tym zastanowić.

Udawałem, że analizuję jego ofertę.

- Skąd wiesz, że to ona go zabiła?

Na szeroką polską twarz Stasia wypełził powolny uśmiech.

-Test azotanowy wykazał, że strzelała z broni. Odciski palców, jej i tylko jej, znajdują się na kolbie i spuście. Gdyby to, co zrobiła, ktoś nagrał na kasetę wideo, mielibyśmy dowód odrobinę tylko bardziej obciążający, ale niewiele.

- Co z nabojami?

- O co ci chodzi?

- Wiesz chyba, o czym mówię, Stasiu? O czymś małym i metalowym, składającym się z prochu i łuski. Podczas wystrzału proch wybucha, a pusta łuska wyrzucana jest na zewnątrz.

- Dzięki za wykład - powiedział kwaśno. - Zawsze intrygowało mnie, jak to działa.

- Zakładam, że znalazłeś jej odciski na łuskach? Chodzi mi o to, że sama załadowała broń i tak dalej.

- Odpieprz się, Charley. -No?

-Jedynymi odciskami na nabojach są odciski Wordleya. Kiedyś musiał dla niej naładować ten pistolet.

-A może tej właśnie nocy? Może próbował ją zabić, lecz coś poszło nie tak? Westchnął.

- Rozumiem, że jeszcze nie chcesz rozmawiać o ugodzie?

- Porozmawiamy, Staś, ale jeszcze nie tym razem.

- Kiedy tylko sobie zażyczysz, Charley. Pamiętaj jednak, że obowiązują mnie teraz inne zasady. Każde moje posunięcie czy decyzję muszę uzgodnić z nowym szefem.

152

- Podobała mi się twoja propozycja czy co to tam było, Staś, lecz jeśli mamy się dogadać, musimy wymyślić coś lepszego.

Roześmiał się.

- Kiedy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, Charley, okaże się, że stary Wordley popełnił samobójstwo.

Uśmiechnął się i po chwili dodał:

- Czy czasem nie taki kit wciskałeś podczas sprawy Harwella? Po wyjściu od Stasia wpadłem do Sue Gillis.

- Charley, to nie wygląda dobrze, kiedy przychodzisz tutaj, żeby mnie zobaczyć.

Ludzie przyglądali się nam, ale pomyślałem, że bardziej bawi ich wyraźne zakłopotanie Sue niż sama sytuacja.

- Co ty na to, żebym tak położył na oczach wszystkich trochę gotówki? Pomyślą, że to jakieś

seksualne przekupstwo.

- Charley, proszę.

- A dzisiaj w nocy włożę ciemne ubranie, posmaruję twarz na brązowo, przeczołgam się po terenie golfowym i wślizgnę przez balkon do twojego mieszkania. Czy wtedy poczujesz się lepiej?

- Wślizgniesz się?

-Jestem w tym całkiem dobry. Brałem lekcje. A może wolisz, żebyśmy zamiast tego poszli na kolację wieczorem? Wybralibyśmy się w jakieś egzotyczne miejsce, na przykład do Mt. Clements, jeśli chcesz, żeby było naprawdę tajemniczo i ustronnie.

- Dziś nie mogę - odparła.

- Każdy je, Sue. Co to znaczy, że nie możesz? Umówiłaś się z kimś innym?

- Powinam powiedzieć, że tak, ale nie o to chodzi. Muszę napisać raport ze sprawy w Lansing. To bardzo ważna robota, Charley, wierz mi. Zjem po prostu jakąś kanapkę w pracy. Przełożmy to na jutrzejszy wieczór, dobrze?

-Jutro będę w Detroit. Zawsze jeżdżę tam w czwartki. Podniosła pytająco brew.

- W czwartkowe wieczory mam spotkania AA. Od lat na nie chodzę. Oczywiście raz mogę opuścić. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, nie. W takim razie piątek?

- Dla mnie w porządku.

- Dla mnie też.

- Mam cię zabrać z domu?

- O siódmej. Uśmiechnąłem się.

- No to jesteśmy umówieni.

Wstałem, żeby wyjść, ale się zatrzymałem.

-A tak przy okazji: czy mogłabyś przynieść akta sprawy Becky? Będzie o czym pogadać.

- W Richmond co niedziela organizują konkurs na największego dupka. Masz wielkie szanse, żeby go wygrać, Charley.

Kiedy wróciłem do biura, pani Fenton już nie było. Na rogu biurka leżała kartka, na której notowała wszystkie telefony. Mallow dzwonił jeszcze trzy razy. Zostawił swój numer domowy. Każda informacja miała adnotację: pilne albo ważne.

Obróciłem się na swym obrotowym fotelu, patrzyłem na rzekę. Przepływał właśnie ogromny statek przewożący rudę - jego majestatyczny dziób ciął wodę, piętząc falę na co najmniej trzy metry.

Jakiś głupiec, który znalazł się zbyt blisko, miotał się na swej łódce, jak surfer w Honolulu.

Podpłynął bliżej rufy wielkiej barki... Gdyby znalazł się jeszcze bliżej, biała woda stałaby się w jednej chwili karminowa. Zastanawiałem się, co popycha ludzi, by igrali ze śmiercią.

Spojrzałem jeszcze raz na wiadomości od Mallowa, a potem wrzuciłem je do kosza.

r

yJzwartek zapowiadał się przyjemnie, co było całkiem miłe, choć dla takich samotnych białych

zagli jak ja przyjemny dzień rokuje niewielkie zyski, i to jest jego druga, mniej zachęcająca strona.

Kiedy zjawiłem się w biurze, pani Fenton nawet nie odpowiedziała na moje dzień dobry. Bez słowa podała mi zanotowane informacje o telefonach, mocno przy tym zaciskając wargi. Jef-frey Mallow okazał się rannym ptaszkiem. Wiadomość od niego była podkreślona, co wskazywało na jej narastający gniew. Uśmiechnąłem się do pani Fenton pogodnie, jednocześnie zastanawiając się, jak długo jeszcze zamierza karać mnie milczeniem.

Zignorowałem telefon Mallowa w nadziei, że wreszcie dotrze do niego, iż nie zamierzam brać udziału w jego intrydze. Na ten dzień zaplanowałem jedynie sfinalizowanie zakupu posiadłości w miejscowości o nazwie Mt. Clements. Reprezentowałem stronę kupującą. Zabrałem akta i ruszyłem w drogę.

Miejscowości w stanie Michigan miewają bardzo ciekawe nazwy, ale Mt. Clements nazwano tak na cześć góry, która nigdy nie istniała. Otóż dawno, dawno temu pewien handlarz futer imieniem Clements przepłynął w kanoe rzekę Clinton i rozbił obóz na wysokim brzegu, dziesięć lub piętnaście metrów od lustra wody. Skupywał futra od Indian i traperów. Przyjeżdża! każdego roku i zawsze zatrzymywał się w tym samym miejscu. Teren jest tutaj tak płaski jak tafla jeziora, ale

Clements miał poczucie humoru i nazwał miejsce swego obozowiska Mt. Clements - Górą Klemensa. Indianie uważali, że to bardzo śmieszne, lecz kartografowie nie wiedzieli, że był to tylko żart, i teren nad rzeką został oficjalnie ochrzczony górą. Z czasem powstało tu całkiem przyzwoitej wielkości miasteczko, ale nadal jest zupełnie płasko.

Zaparkowałem samochód i poszedłem do banku, gdzie miało się odbyć spotkanie. Sprawa wcale nie okazała się prosta. Pod koniec każdy krzyczał

NAKrt S Mit KU

155

na każdego. Nie było takiego punktu, który nie wzbudzałby kontrowersji. Adwokat strony sprzedającej zagroził sądem. Ja nie pozostałem mu dłużny. Adwokat banku poinformował, że pozwie obie strony. Trudno było nazwać ten poranek miłym, zwłaszcza, że sprawa przeciągnęła się aż do wczesnego popołudnia.

Akt sprzedaży i inne papiery zostały wreszcie wypełnione, ale bardziej przypominaliśmy dwie zgorzkniałe armie podpisujące chwilowe zawieszenie broni niż szczęśliwych kontrahentów.

Udało mi się wyjść dopiero przed trzecią. Moi klienci nie odzywali się do nikogo, nawet do mnie, chociaż dostali wszystko, czego chcieli. Całe szczęście, że zapłacili mi z góry.

Gdzieś po drodze kupiłem hamburgera i jakoś się z nim uporałem, a potem pojechałem do Detroit, do Świętego Benedykta.

To było prawie tak, jakby Caitlin Palmer czekała tam na mnie. Podeszła, kiedy tylko pokazałem przepustkę strażnikowi.

-Ja ci poszło, Charley?

-Co?

Uśmiechnęła się.

- Sprawa, w której stawałeś przed moim ojcem. Mówił, że rozprawa już się odbyła. Jak sądzisz, wygrasz?

- Nie wiem. Czy twój ojciec dał coś do zrozumienia? Uśmiech Caitlin zbladł nieco, nie z obrazy, raczej ze zdziwienia.

- Powiedział tylko, że odwaliłeś kawał dobrej roboty. -Jak to się stało, że w ogóle rozmawialiście o mnie? Odezwała się po dłuższej chwili:

- Przyznałam mu się, że cię widziałam.

- Na łodzi?

-Tak. Jestem dorosła, Charley. Poinformowałem go, że zaprosiłam cię sobie do pary.

-Jak zareagował?

- Szczerze? -Tak.

Odwróciła wzrok i mruknęła:

- Stwierdził, że jesteś dla mnie grubo za stary.

- To wszystko?

- Potem wspomniał jeszcze o innych sprawach.

- O piciu i kilku małżeństwach i o tym, że o mały włos nie straciłem licencji? Nadal nie patrzyła na mnie.

156

KAKA WilfcKU

- Coś w tym rodzaju.

- Innymi słowy, nie aprobeuje mojej osoby.

Ku mojemu zaskoczeniu roześmiała się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Powiedzmy, że nie okazał entuzjazmu.

- A potem wyszła moja sprawa?

- Charley, ojciec oceni ją uczciwie, żeby nie wiem, co się działo. On kieruje się wyłącznie paragrafami. Nie musisz się martwić, że coś osobistego może wpłynąć na jego decyzję.

-Alejeśli czuje... Zmarszczyła brwi.

- Dla mnie to ojciec, a dla ciebie sędzia. W jednej i drugiej roli jest tak dobry, jak tylko to możliwe. A jeśli chodzi o moje życie osobiste, sama o nim rozstrzygam.

Zastanawiam się, czy ktoś w ogóle może być aż tak uczciwy.

- Uwierz w to. Co byś powiedział na kolację dziś wieczorem? Uśmiechnąłem się.

- Wydawało mi się, że nie będziemy się spotykać do zakończenia sprawy. Taka była umowa. Szczególnie teraz, Cat.

Jej brwi się uniosły.

- W pewien sposób jesteś jeszcze większym purytaninem niż on, Charley.

- Mimo wszystko...

- Zobaczymy - przerwała mi, odwróciła się i odeszła. Zastanawiałem się, jak nasza znajomość wygląda z punktu widzenia jej

ojca. Próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, co bym zrobił, gdyby moja córka Lisa okazała zainteresowanie facetem, który właśnie wydobywa się z alkoholizmu, który trzy razy spaprał małżeństwo i raz o mało nie stracił licencji. Z mężczyzną, którego jeden jedyny drink dzieli od pójścia na dno. W dodatku o dwadzieścia lat od niej starszym i na domiar złego nie posiadającym nic, co mógłby zapisać w spadku, żyjącym od honorarium do honorarium. Wątpię, żebym się cieszył do szaleństwa. I byłem absolutnie pewien, że sędzia Palmer również się nie cieszy. Biedny Will McHugh.

Znalazłem niewielką pustą wnękę w bibliotece, zaszyłem się w niej i zacząłem studiować esej na temat asystowania przy samobójstwie. Byłem mniej więcej w połowie lektury, gdy coś na kształt góry zasłoniło mi światło. Podniosłem wzrok na rumianą twarz Jeffreya Mallowa. Czerwień była oznaką gniewu.

- A więc tutaj jesteś - wyszeptał. Jego głos brzmiał prawie pogodnie. - Staralem się z tobą skontaktować.

KARA ŚMIERCI

757

Kłamstwo czasami znakomicie służy obronie, ale nie przypuszczałem, by tym razem poskutkowało.

- Chcę z tobą pogadać - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Teraz. Zacząłem się podnosić.

- Zabierz swoje rzeczy - polecił.

Wzruszyłem ramionami, postanowiłem jednak go nie rozdrażniać. Włożyłem artykuł do teczki i zamknąłem ją z trzaskiem.

Tym razem nie było mowy o niedźwiedzich uściskach. Sunął przede mną jak lodolamacz, tak szybko, że ledwo za nim nadażalem. Wyszedł z biblioteki i skierował się prosto do jednej z sal wykładowych. Sprawdził, czy drzwi są otwarte. Były. Gestem zaprosił mnie do środka. Wewnątrz nie paliła się żadna lampa, ale wystarczało światło padające z ulicy, a to dzięki temu, że pobliska stacja benzynowa ulicy świeciła jak księżyc.

- Usiądź! - rozkazał, wskazując ręką krzesło.

Gniew bywa zaraźliwy i odczułem potrzebę odpowiedzi mu tym samym. Na wpół stał, na wpół siedział na podium dwa metry ode mnie.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje, Sloan? Ja nadstawiam karku, żeby ci oddać przysługę, a ty nawet nie potrafisz zachować się na tyle grzeczne, by odpowiedzieć na mój telefon?

- Byłem bardzo zajęty - wydusiłem z siebie.

Prawie całą jego twarz, w tym również oczy, spowijał cień, więc nie mogłem dostrzec, jakie uczucia się na niej malują.

- Poza tym - dodałem - nie oczekiwałem żadnej przysługi.

- Może i nie oczekiwałaś, ale, na Boga, potrzebujesz jej.

- Chodzi o sprawę McHugh'a?

- Właśnie o nią.

- O jakiego typu przysłudze rozmawiamy?

Oparł się o stół, pochylił do przodu tak, że jego twarz zbliżyła się do mojej, wciąż jednak pozostając w cieniu.

- Widziałeś notatkę? - Tak.

- Na dwoje babka wróżyła, lecz wyraźnie w niej sugerowano, żeby sąd przychylił się do racji strony tobie przeciwnej.

- Czytałem przecież.
- W tej sprawie chodzi o duże pieniądze - przypomniał mi Mallow. Jego głos obniżył się prawie do szeptu. - Wielkie pieniądze.
- Więc?
- Pieniądze potrafią przemawiać i to bardzo głośno.

158

KARA ŚMIERCI

- W takim razie przegram, ponieważ Ford ma znacznie więcej pieniędzy niż ja. Jeżeli ma to być aukcja, nawet nie wchodzi. Nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy.
- Ile wynosi całkowite honorarium? Jedną trzecią odszkodowania?
- Zgadza się. To jest sprawa Mickeya Mońka. On ją wygrał. Ja tylko przyłączyłem się do niej przy apelacji. Jeśli nam się uda, dostanę dwadzieścia procent z działki Mońka.

Mallow pozostał milczący.

- To dużo pieniędzy - odezwał się wreszcie. - Gdyby wam się powiodło, Monk zgarnie - niech no policzę - ponad milion i ćwierć.

- Rozmawialiśmy już o tym wcześniej - rzekłem.

-Jeśli się weźmie pod uwagę narosłe w toku procesu procenty, ty będziesz miał z tego trzysta czy nawet czterysta tysięcy. Tak? Nic nie odparłem.

- Dużo pieniędzy - powtórzył cicho.

- I co z tego?

- Powiedzmy, że ktoś przyczyni się do twojej wygranej?

- Czy to jest ta przysługa, którą mi pan proponuje?

Nie potrafiłem odgadnąć, czy się uśmiechnął. Dochodził mnie tylko jego ciężki oddech.

- Ile coś takiego byłoby warte? - zapytał.

- No cóż, na początek, przypuszczalnie pięć lat więzienia, skreślenie z listy adwokackiej i Bóg wie, co jeszcze.

Nie roześmiał się, w ogóle na to nie zareagował.

- Znam prawo, prawdopodobnie znacznie lepiej niż ty. Siedziałem w nim dłużej. Mówię o pieniądzach, a ty dobrze mnie rozumiesz.

- To na nic, nie załatwiam spraw w ten sposób. Teraz już się roześmiał.

- Myślisz, że cię wystawiam, co?

- Nie. Wcale tak nie myślę.

- Uważam, że tego typu przysługa warta byłaby co najmniej połowę twojego honorarium - oświadczył.

- Mojego czy może także i Mońka?

- Tylko twojego. Nie znamy Mońka. Nie ufamy nikomu, kogo dobrze nie znamy. Rozmawiamy bezpośrednio z tobą. Wyłącznie z tobą. Chodzi zatem o dwieście tysięcy, może sto pięćdziesiąt, w każdym razie coś koło tego, jedynie z twojej działki.

- Co kupię tymi pieniędzmi?

KARA ŚMIERCI

159

- Głos - powiedział cicho. - Po prostu jeden mały głos. A przecież tylko tego ci potrzeba.

- W jaką kabałę chcesz mnie wciągnąć, Mallow? - Wiedziałem, że zawsze złości go pomijanie tytułu sędziego.

- Kabałę?

- Oszustwo, naciąganie, przywłaszczenie, hochsztaplerstwo, szachraj-stwo, łapownictwo - wszystkie te określenia funkcjonują w tym samym znaczeniu zarówno na ulicy, jak i w książkach prawniczych.

- Czyżbyś zamierzał złożyć na mnie doniesienie? - Jeśli nie przestaniesz mnie nachodzić, być może.

- Daj spokój, Charley - parsknął Mallow. - Wmaszerujesz do biura federalnego, czy gdzie tam, i oświadczysz, że sędzia Jeffrey Mallow, były prezes sądu apelacyjnego w Michigan, próbuje wyłudzić od ciebie łapówkę. - Roześmiał się głośno. - Oczywiście sprawdzą mnie. Muszą to zrobić,

bo tak nakazuje prawo. I dostaną moje słowo przeciwko twojemu, Charley. Słowo jednego z najważniejszych ludzi w stanie przeciw słowu adwokacyny, który pijąc stoczył się na dno. Tym razem odebraliby ci licencję na zawsze.

Przez chwilę czekał, żeby lepiej dotarło do mnie to, co powiedział.

- Cholernie dobrze wiesz, że mówię prawdę - dorzucił. Rzecz w tym, że miał rację.
- A jeśli zapłacę ci i przegram? Będę w tej samej sytuacji, co teraz. Nikt mi nie uwierzy.
- Nie przegrasz. To ci gwarantuję.
- Sprzedajesz kota w worku.
- Nie, uwierz mi. Dopilnuję, żebyś był zadowolony, zanim wyłożysz choć jednego dolara.
- Kto weźmie pieniądze?
- Myślałem, że to oczywiste.
- Noonan?
- Noonan jest za głupi, żeby ktoś go dopuszczał do takiego interesu.
- Chene?

Mallow pokręcił głową.

- Chene już siedzi w naszym narożniku.
- Na Boga, nie chcesz chyba powiedzieć, że można przekupić Franka Palmera?
- Przekupstwo to takie brzydkie słowo. Proponowałbym, żebyśmy na razie wyrzucili je z naszego słownika.
- Znam Palmera jeszcze z czasów studiów. Jest uczciwy. Nie wierzę ci.

160

KARA ŚMIERCI

Westchnął.

- Charley, każdy kiedyś potrzebuje pomocy. Wszyscy mamy zobowiązania finansowe. Nieraz trzeba zapłacić.
- Wynoś się!

Mallow wsta! i pochylił się nade mną.

- Nie możemy długo czekać na odpowiedź, Charley. Podeszedł do drzwi i przystanął z ręką na klamce. - Przemyśl to. Chodzi o całkiem spore pieniądze. Wszedłeś w to późno, Charley. Inny gość, ten Monk, odwalił całą robotę. Dla ciebie to czysty fuks.

Zanim zdążyłem wymyślić sensowną odpowiedź, już go nie było.

Jesteś dzisiaj wyjątkowo cichy - zauważył Bob Williams, spoglądając na mnie znad filiżanki z kawą. W podziemiach kościoła świętego Tadeusza Judy pozostała już tylko garstka klubowiczów. Williams, podobnie jak ja, walczy z alkoholizmem. Poza tym jest psychiatrą. No i jeszcze kimś, kogo mógłbym chyba nazwać przyjacielem. Pokiwaliśmy na do widzenia ostatnim wychodzącym. To oznaczało, że na nas spadł obowiązek posprzątania - opróżnienia popielniczek, pojemników na fusy po kawie, ustawienia krzeseł i wyłączenia świateł.

-Jakieś problemy? - zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Parę.

Nie uspokoiłem się jeszcze po spotkaniu z Mallowem. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

Czułem się, jakbym został psychicznie zmrożony-mogłem tylko przeżywać raz po raz całe zdarzenie. To było coś w rodzaju szoku, jaki zdarza się zapewne ludziom po ciężkich wypadkach. Na spotkaniu obecny byłem jedynie ciałem. Co z pewnością dało się zauważyć.

-Jesteśmy sami - powiedział Bob. - Chcesz pogadać?

- Za twoją niegodziwą stawkę?

- Zależy. Jeśli to coś naprawdę brudnego, mogę poczekać na honorarium.

- O tym nie mogę mówić nawet z tobą.

Bob Williams jest potężny niczym ochroniarz. Ma po wojskowemu obcięte włosy, a ze swoją twarzą mógłby pozować każdemu malarzowi lub rzeźbiarzowi, który chciałby uwiecznić srogiego Indianina. Jest tylko w części rodowitym Amerykaninem, lecz wygląda jak dziecko Siedzącego Byka. Jego ponura powierzchowność zupełnie nie odpowiada charakterowi. To łagodny mężczyzna,

KARA SMITHKU

okazujący innym dużo uczucia, czasami nawet zbyt dużo. Co zresztą popchnęło go do picia. Skłonność do alkoholu przezwyciężył, ale empatia została.

- Charley, jesteś prawnikiem. Potraktujmy to jako rozmowę lekarza z pacjentem, w ten sposób zamkniesz mi usta.

- Może tak, a może nie. Nie obrażaj się, lecz nie chcę, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Mam swoje powody.

William zmarszczył czoło.

- To problem czysto prawniczy - dodałem szybko, żeby nie poczuł się urażony. - Naprawdę nie mogę o tym pogadać.

- Wpadłeś w tarapaty?

- Kto wie.

- Zrobiłeś coś nie tak, Charley? Roześmiałem się.

- Nie, jest dokładnie na odwrót. Nie zrobiłem nic złego. Przynajmniej jak dotychczas.

Miejsce, w którym siedzieliśmy, nie wygląda przyjemnie. Jedyne światło, jaka się jeszcze paliła, wisiała dokładnie nad nami, oświetlając tylko nas dwóch i dzbanek z kawą. Poza tę plamę światła ogromne podziemia spowijał mrok jak w gęstym lesie.

- Słowo „zły” ma w naszej kulturze wiele odcieni, Charley - odezwał się cicho Bob. - Źle jest przejechać na czerwonym świetle, mimo że nie ma ruchu. Zepchnąć starszą panią ze schodów to też nie najładniejszy postępek. O jakim złu mówisz, Charley?

- Nie zrzuciłem żadnej staruszki ze schodów, więc tego typu występki można śmiało wyeliminować.

- Czy ten twój problem dotyczy zranienia kogoś w dosłownym sensie, czy raczej chodzi o zło w sensie technicznym?

Gdyby Mallow po prostu zaproponował przekupstwo, nikomu by to nie zaszkodziło, pomyślałem. Ford musiałby zapłacić odszkodowanie, ale tak właśnie powinno się stać. Kupienie wyroku pozwoliłoby zwyciężyć sprawiedliwości. W przeciwnym razie los Willa McHugha i Mickeya Mońka był wprost nie do wyobrażenia. I według mnie naprawdę niesprawiedliwy.

- Powiedzmy, że nikomu nie stałaby się poważna krzywda - oświadczyłem. - Jeśli by jednak sprawa wyszła na jaw, populacja więzienna nieco by się zwiększyła.

- Między innymi o twoją osobę? Skinałem głową.

- W takim wypadku odpowiedź jest oczywista. Po co ci takie ryzyko?

KAKA SMITHKU

Zapatrzyłem się w ciemność.

- To nie jest wcale proste.

Williams milczał, czekając na ciąg dalszy.

Nie wierzyłem Mallowowi, ale zastanawiałem się, jak bym postąpił, gdyby to, co powiedział o Palmerze, okazało się jednak prawdą. Wydawało się niemożliwe, nic jednak nie jest do końca niemożliwe. Nieprawdopodobne, lecz nie niemożliwe.

- Jesteś w nastroju do stawiania hipotez? - zapytałem.

- Jasne. No, to zaczynaj.

- Załóżmy, że jesteś komuś wiele dłużny.

- Pieniędzy?

- Nie. Na przykład zawdzięczasz tej osobie życie. Albo karierę.

- Dobrze.

- I ta osoba prosi cię, byś coś dla niej zrobił. Prosta rzecz, lecz grubo nieuczciwą. Tyle, że tak naprawdę nikomu nie zaszkodziś. - A jeśli odmówisz?

- Może się stać krzywda, i to wielka, paru ludziom. Bawił się pustą filiżanką po kawie.

- Jeśli zagadnienie, które rozważamy, nie jest czysto hipotetyczne, masz potężny problem. Jakbyś stawał do życiowego egzaminu z etyki.

-A zakładając, że jest to pytanie egzaminacyjne, co byś odpowiedział?
- Nic - odparł szczerze. - Mam zbyt mało danych, żeby nawet zastanawiać się nad odpowiedzią. Nadal nie chcesz się przede mną otworzyć?
- Mówiłem już, że w tej chwili nie mogę. Siedzieliśmy w milczeniu.
- Najwyraźniej nie umiem ci doradzić, Charley. A takie sprawy są bardzo niebezpieczne dla nas, alkoholików.
- O co ci chodzi? O stres?
- Nie - potrząsnął głową. - O niezdecydowanie. Wierzę, że pamiętasz jeszcze modlitwę o cierpliwość. - Powiedział to ironicznie, ponieważ modlitwa ta jest kamieniem węgielnym filozofii anonimowych alkoholików i każdy z nas zna ją na pamięć.
- Boże - podjął cicho - daj mi cierpliwość, bym umiał znieść to, czego zmienić nie mogę; odwagę, by zmieniać to, co zmienić potrafię, i mądrość, bym zdołał odróżnić jedno od drugiego.
- Nawet nie wiem, czy coś z tego ma zastosowanie do mojej sytuacji. -Zawsze ma, Charley. Użyj tego. To cię uchroni od szukania rozwiązania na dnie butelki.

164

KARA SMIŁKU

Wstał i zabraliśmy się do sprzątnięcia. Potem wyszliśmy i zamknęliśmy pomieszczenie. To również należało do obowiązków osoby, która ostatnia opuszczała miejsce spotkania.

Bob odprowadził mnie do samochodu.

- Gdybym mógł ci w czymś pomóc - rzekł - daj znać.

-Jasne.

-A jeśli jest to problem prawny, spróbuj znaleźć kogoś, kto by ci coś poradził. Jakiegoś sędziego, starego przyjaciela, któremu możesz zaufać. Jeśli się zastanowisz, na pewno ktoś taki przyjdzie ci na myśl.

Skinąłem głową.

-A jeśli nic nie możesz zrobić, zaakceptuj to.

Kiedy przyszedłem do biura w piątek rano, oczekiwałem, że zastanę następną wiadomość od Mallowa, ale okazało się, że nie dzwonił. Pani Fenton zrobiła wyłom w murze milczenia, lecz w jej głosie nadal dźwięczała gorzka nuta pretensji. Zrobiła mi kawę, która przynajmniej była gorąca. O tej samej godzinie, kiedy ja zasiadałem za biurkiem, wystawiono na widok publiczny ciało Howarda Wordleya. Przyjaciele mogli się z nim pożegnać po raz ostatni w kościele P. J. Andersona. Wiedziałem o tym z nekrologu, który ukazał się poprzedniego dnia. Miejsca po kulach starannie zamaskował specjalista od makijażu i publiczność mogła bez nie potrzebnej ekscytacji okazywać swój smutek. Osoba Howarda nie przyciągnęłaby zbyt wielu żałobników. Sprzedawcy samochodów, wyduszający od klientów ostatniego dolara, rzadko bywają aż tak popularni. Tłumy przysły dla pani Claire Wordley. Jak się później dowiedziałem, kościół aż pękał w szwach od różnych delegacji z organizacji charytatywnych, które wspomagała, zakładów, które były jej własnością, oraz członków ekskluzywnych klubów, do których należała. Całą oprawą ceremonii zajęli się ludzie od P. J. Andersona, co oznaczało, że Howard wyruszy w swą ostatnią podróż nie mercedesem, lecz raczej karawanem cadillakiem, ponieważ tylko to mieli na składzie. Być odtransportowanym przez konkurencyjną firmę zakrawało wręcz na ironię. To prawie tak, jak zostać zastrzelonym z pistoletu, który się samemu nabiło.

Nie wziąłem udziału w uroczystościach. Adwokaci reprezentujący osoby odpowiedzialne za fakt, że pogrzeb się w ogóle odbywa, zwykle nie bywają mile widziani. A poza tym i tak nie lubiłem Wordleya.

Popijałem kawę i spoglądałem na rzekę. Pogoda była w sam raz na pogrzeb - ciężkie szare chmury i lekka mżawka. Przy takiej pogodzie często

KARA ŚMIERCI

165

nachodzą człowieka ponure myśli. Miałem za sobą ciężką noc. Spałem niespokojnie, ani przez moment nie zapominając o sprawie Mallowa. Im dłużej

O tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że eks-sędzia mnie okłamał. Kiedy znowu zadzwoni, powtórzę mu to samo co wcześniej, i odrzucę jego ofertę. A jednak cały czas czaiła się ta druga możliwość: że nie kłamał.

Dopiłem kawę i zabrałem się do pracy.

Staś Olesky poinformował mnie, że jego nowy szef podjął wreszcie decyzję, o co oskarżyć Becky: o morderstwo drugiego stopnia. Zawdzięczaliśmy to temu, że Becky milczała jak zaklęta, a oni nie mogli wykazać, jak znalazła się w posiadaniu pistoletu, przyznał Staś.

To już był sukces. Becky, jeśli w ogóle zostanie uznana za winną, może liczyć najwyżej na osiem lat. Nadzieja na uwolnienie po jakimś czasie jest zawsze lepsza niż brak nadziei.

Staś zapytał, który wariant proceduralny wybieram. W stanie Michigan są dwie drogi, by przeprowadzić sprawę sądową. Pierwsza to oskarżenie przed ławą przysięgłych. Druga, popularniejsza, polega na oskarżeniu podczas jawnej rozprawy wstępnej. Prokurator powołuje świadków i ma udowodnić, że przestępstwo zostało popełnione, a jeśli tak, to czy są podstawy sądzić, iż popełniła je osoba podejrzana. Decyzję podejmuje sędzia. Formalne przesłuchanie w sprawie Becky nic nie dawało. Już teraz wiedziałem, pod jakim zarzutem stanie przed sądem, a zależało mi, by uniknęła możliwości przyznania się do winy, dopóki nie znajdę sposobu, żeby osłabić oskarżenie i wystąpić o łagodniejszy wyrok.

- Rezygnuję z rozprawy wstępnej, Staś - powiedziałem. - Napiszę to i podrzucę ci nawet jeszcze dzisiaj.

- Wystarczy w poniedziałek - rzekł. - Posłuchaj, Charley, mój szef uznał, że nie mogę przyjąć koncepcji zabójstwa. I jeśli zostanie zaproponowana ugoda, ustalenie kary mam pozostawić sędziemu. Niczego przed tobą nie ukrywam. Chcę, żebyś to wziął pod uwagę. Czy nadal rezygnujesz z przesłuchania wstępnego?

- Przypuśćmy, że znajdę sposób, aby czyn zakwalifikowano jako zabójstwo?

- Wtedy może zmienić zdanie. Sam powinieneś wiedzieć, że robi to co trzy minuty. Mimo wszystko jednak wątpię, czy ryzykowałby narażenie się na jakąkolwiek krytykę. A mógłby usłyszeć od sędziego kilka niemiłych słów.

- A jeśli uda mi się przekonać sędziego?

- Wątpię - odparł z wahaniem w głosie.

- Dlaczego?

- Sprawa przypadnie Evoli. On jest w kolejce do następnej większej rozprawy. Pamiętaj, że to okres urlopowy. Pozostał sam.

166

KARA ŚMIERCI

- A niech to szlag!

- Szkoda, że nie byłeś dla niego trochę miłszy podczas procesu Harwella.

- Pieprzę go! Roześmiał się.

- Jeśli to lubisz, Charley. Ale co z rozprawą wstępną. Nadal ją odrzucasz?

Nie potrafiłem wymyślić niczego dobrego, co mogłaby przynieść Becky rozprawa wstępna.

- Nadal, Staś.

- Dobrze. Prawdę mówiąc, Charley, nie sądzę, żebyś w tej sprawie miał jakieś szanse. To prawda, że jesteś dobry, jeśli jednak nie zdołasz wyciągnąć z rękawa jednego z twoich słynnych asów, biedna Becky przepadła.

- Czyżbyś się tym martwił, Staś?

- Skądże, Charley. Ja również mam rękawy.

Przez resztę dnia pilnie pracowałem, lecz właściwie było to zabijanie czasu. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, myślałem, że to Mallow. Przygotowywałem się, by rzucić mu w twarz, że ma sobie iść do wszystkich diabłów, ale niepotrzebnie.

Sam nie dzwoniłem, bo mój pierwszy krok mógł potraktować jako zaproszenie do negocjacji. W tym, co planowałem zrobić, nie chciałem żadnej dwuznaczności. Kilka razy przeleciało mi przez głowę, czy nie zadzwonić do samego sędziego Palmera i nie poinformować go, do czego użyto jego nazwiska. Raz nawet wybrałem numer, lecz powstrzymała mnie dręcząca myśl, że może jednak jest

zaplątany w sprawę. Chociaż prawie byłem pewien, że to niemożliwe. Prawie, to było słowo-klucz. Postanowiłem poczekać na ruch Mallowa.

Pani Fenton wyszła do domu jak zwykle punkt piąta. Ja zostałem tak długo, żeby wprost z biura pojechać po Sue Gillis. Przedtem odebrałem kilka telefonów, ale tylko od ludzi, którzy chcieli się umówić na wizytę. Mallow w dalszym ciągu się nie odezwał.

Mój niepokój wzrastał przy każdym dzwonku. Próbowiałem skoncentrować się na modlitwie o cierpliwość, nie bardzo mi jednak wychodziło.

Zabrałem Sue do małej restauracji nad jeziorem St. Clair, która z zewnątrz wygląda wręcz odpychająco - długi barak, w połowie sterczący nad wodą, oparty tylko na zmurszałych starych palach. Obłaząca farba, wypaczone drewno i zardzewiałe rynny tylko pogarszały wrażenie.

KAKA SMiHku

767

Wewnątrz jest trochę lepiej, ale też nie bardzo, ponieważ wystrój stanowią stoliki od sasa do łasa i stare taborety kuchenne.

Turyści, jeśli nawet tu zajrzą, nie decydują się wejść do środka. Miejscowi jednak wiedzą, że jeżeli kucharz nie jest pijany, ryba będzie przyrządzona jak nigdzie na świecie.

Zadzwoiłem, żeby zamówić stolik. Odkonalo się to dwuetapowo. Najpierw spytałem, czy Harry, kucharz, jest pijany. Gdyby był, sala świeciłaby pustkami. Nikt z miejscowych nie przychodzi na kolację, kiedy Harry jest naprany. Dziewczyna, z którą rozmawiałem, przekazywała mi informacje niczym spikerka podająca prognozę pogody. Powiedziała, że w kuchni panuje susza jak na pustyni i stan ten może potrwać przynajmniej do wczesnego popołudnia. Na ósmą został jeszcze jeden stolik, bo ktoś odwołał rezerwację, więc natychmiast złapałem okazję.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, Harry zdążył już trochę w siebie wlać, ale nie na tyle, by nie przygotować dwóch okoni tak, że każdy szef kuchni powstydziliby się swego najlepszego cordon bleu i podał do dymisji.

Knajpa była pełna miejscowych. Wszyscy się tu znali.

Sue też znała kilka osób. Na przykład pewną parę, która prowadziła niezwykle dochodowy zakład terapii seksualnej, dopóki nie została oskarżona

o organizowanie prostytutki. Sue powiedziała, że mężczyzna radzi sobie teraz całkiem nieźle jako sprzedawca łodzi. Towarzysząca mu duża roześmiana blondynka była jego sekretarką. Sue podejrzewała, że terapia, w której ta dama się niegdyś specjalizowała, jest nadal proponowana co poniektórym klientom. Ale przyszedliśmy tu przecież po to, żeby spędzić przyjemnie czas, a nie w sprawach zawodowych, więc wymieniliśmy tylko serdeczne „cześć”.

Facet, któremu pomogłem otrzymać rozwód, zamówił dla nas drinki - martini dla Sue, sok pomarańczowy dla mnie. Był w towarzystwie dwa razy młodszej od siebie kobiety o twardym spojrzeniu. Sposób, w jaki na niego spoglądała, przywołał mi na myśl Beduina oceniającego niezwykle obiecującego wielbłąda. Pomyślałem, że zapowiada się następny rozwód.

Wnieśliśmy szklanki i uśmiechnęliśmy się do siebie. Harry przyszedł z kuchni, żeby się przywitać. Był moim stałym klientem. Stracił prawo jazdy - temu nie mogłem zapobiec z powodu jego licznych wyroków - ale przynajmniej udało mi się trzymać go z dala od więzienia, nie licząc jednej czy dwu nocy za zakłócanie porządku publicznego i obrażanie publicznej moralności.

Teraz Harry pochłaniał w coraz szybszym tempie kolejne szklaneczki

I już było mi żal klientów, którzy przyjdą na kolację później, po to tylko, by odkryć, że jego maestria kulinarna rozplynęła się w alkoholu.

/OS-

KARA ŚMIERCI

Kilka razy namawiałem go, żeby przystąpił do klubu, ale nie był zainteresowany. Podejrzewałem, że pewnego dnia runie w wielki rondel i tam, pomiędzy masłem i cebulami, odda swą duszę soute w ręce wielkiego maitre dnia.

- Coś cię dręczy - odezwała się Sue, kiedy już skończyliśmy jeść i piliśmy kawę.

- Dlaczego tak sądzisz? - Jesteś niezwykle milczący.

- Może wreszcie widzisz prawdziwego mnie, nie pomyślałaś o tym? - Jeśli chodzi ci o sprawę Becky

Harris - odparła - nie mogę o tym rozmawiać, wiesz przecież.

- To nie to.

- Co w takim razie? -Nic.

- Problemy rodzinne? Coś z twoją córką? -Nie.

Podniosła filiżankę z kawą do ust, wciąż nie odrywając ode mnie wzroku.

Uśmiechnąłem się, usiłując przybrać wygląd osoby nie mającej żadnych zmartwień.

Potrząsnęła głową.

-Jeśli odmawiasz udzielenia wyjaśnień, zabiorę cię do siebie i wymuszę je.

- Z rękami na plecach i w kajdankach?

- Wiesz, Charley, czasami poważnie się nad tobą zastanawiam.

Nie użyła ani broni, ani żadnych środków przymusu i kochaliśmy się z ogromną czułością. Prawie zapomniałem o swoich kłopotach, a jej, dzięki Bogu, wyleciało z głowy, że ma je ze mnie wydusić. Sekret pozostał tylko mój.

Spędziłem u Sue noc, ale w sobotę rano musiała iść do pracy, więc po szybkiej kawie wróciłem do własnego mieszkania, któremu należało się sprzątnięcie. Na dworze padało, a powietrze miało w sobie chłód deszczowego dnia.

Na automatycznej sekretarce paliło się czerwone światełko. Zastanawiałem się, czy to aby nie Mallow.

Odebrałem wiadomość. Któryś z moich byłych klientów chciał się rozwieść. Nawet w tle tej krótkiej informacji telefonicznej słychać było krzyk

KARA ŚMIERCI

169

jego żony. Pomyślałem, że zadzwonił do mnie bardziej dla efektu, niż żeby naprawdę poprosić o pomoc prawną. Zapowiedział, że odezwie się jeszcze raz w poniedziałek do pracy.

Kolejny telefon był od starego przyjaciela, sędziego Jasona Bishopa. Organizował spotkanie golfowe absolwentów Świętego Benedykta i pytał, czy jestem zainteresowany. Zostawił mi swój numer telefonu.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy stałem pod prysznicem, przyszło mi na myśl, że sędzia Bishop zna wszystkich bohaterów mojego niewielkiego dramatu, i to całkiem dobrze. Wliczając również mnie. Był jednym z filarów tak zwanej mafii Świętego Benedykta.

Wynikało to nie tylko z jego nazwiska. Wyglądał jak biskup, przynajmniej według hollywoodzkiego wyobrażenia o biskupie. Był okrągły, z resztkami siwych włosów, które tworzyły aureolę wokół głowy. Nosił małe okulary do czytania, które nieustannie zjeżdżały mu na czubek nosa. Jego twarz była zawsze poważna. Od czasu do czasu pozwalał sobie na półśmiesze, chociaż, prawdę mówiąc, miał poczucie humoru. Przejawiał szczególne upodobanie do czarnych garniturów, które jeszcze bardziej upodabniały go do księdza. Brakowało mu tylko tradycyjnych getrów. Nigdy nie podnosił głosu, nawet podczas najbardziej zagorzałego sporu. Ale jego słowa miały niezwykłą moc dzięki sile intelektu, bystremu umysłowi i wszechstronnej wiedzy na temat ludzi, których spotkał na różnych ścieżkach swego życia. Jego łagodne oczy, jasne jak mleczne szkło, zdawały się widzieć więcej niż inne.

Raz posłał mnie do więzienia za obrazę sądu. Rzeczywiście trochę mnie wtedy poniosło.

Siedziałem w celi przez godzinę. To i przeprosiny uzna! za wystarczającą karę.

W ciągu minionych lat, nawet tych najtrudniejszych, stopniowo stawał się moim przyjacielem, a nawet jednym z powierników. W stanie Michigan był równie wielką fiszą polityczną jak wcześniej jego ojciec. O starym Bi-shopie, senatorze, opowiadano legendy. Pozycja jego syna, choć nieco inna, miała podobny ciężar gatunkowy. Nie było wysokiego urzędnika, który by go nie znał, lub którego on by nie znał. Mogli sobie pokpiwać z Biskupa, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wyrażał się o nim bez szacunku.

Był mądrym człowiekiem. Bob Williams sugerował, że bym znalazł kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, komu mógłbym zaufać, komu mógłbym otwarcie opowiedzieć o mojej obecnej sytuacji.

Wyszedłem spod prysznicza i wytarłem się. Zanim zdążyłem zastanowić się po raz drugi, już

wykręcałem numer telefonu Bishopa.

C3statni raz widziałem Bishopa na pogrzebie jego żony, prawie rok temu. Od tamtego czasu przeniósł się z dużego domu w Grosse Pointę do małego apartamentu kilka przecznic dalej. Podał mi swój nowy adres i zaprosił na lunch.

Z Pickeral Point była do niego godzina jazdy. Zazwyczaj w sobotę grywał w golfa, ale plany te zmył deszcz. Bishop stwierdził, że jedyną alternatywą byłoby siedzenie w klubie golfowym i partyjka kart. Golfa lubił, ale kart nie, więc w jego głosie słysząc było zadowolenie, że może zrobić coś innego. Nie zdradziłem się, dlaczego do niego dzwonię.

Droga przeszła mi nie najgorzej. Deszcz nie był na tyle duży, by utrudniać widoczność, chociaż wyprzedzanie wielkich ciężarówek wydawało się ryzykowne. Zastanawiałem się, czy postępuję słusznie. Pod prysznicem myśl o odwiedzeniu Bishopa przyjąłem jak objawienie. Teraz, jadąc w strugach całkiem innej wody, zastanawiałem się, czy naprawdę była to mądra decyzja.

Jason Bishop ukończył Świętego Benedykta razem z Frankiem Palme-rem, tylko rok lub dwa lata przed Jeffreyem Mallowem. Dzięki politycznej pozycji ojca wybrano go do okręgowego sądu apelacyjnego w hrabstwie Wayne, zanim jeszcze zdążył obeschnąć atrament na jego dyplomie. Potem pomógł wielu innym osiągnąć wysoką pozycję polityczną, w tym sporej grupie swoich kolegów ze studiów. Zastanawiałem się, czy rozmowa z nim o Franku Palmerze i Jeffreyu Mallow nie okaże się jednym z najpoważniejszych błędów mojego życia.

Bez wątpienia był dziwakiem. Bez trudu mógł pokonać kolejne szczeble sędziowskiej drabiny, ale odmówił! przyjęcia stanowiska sędziego federalnego, jak również nominacji do najwyższego sądu stanowego. Lubił swoje zajęcie i miejsce, gdzie je wykonywał!. Gdyby władza i wpływy były żywą mamoną, stałby się bardzo bogaty. Ale Bishop żył sobie wygodnie, cał-

m

!

KARA ŚMIERCI

171

kiem zadowolony z pensji sędziego. Najwyraźniej majątek, tak jak ambicja, przedstawiały dla niego niewielką wartość.

Jego apartament mieścił się w jednym z luksusowych domów zbudowanych w latach trzydziestych, podobnych do tych, jakie można spotkać na starych, co bardziej eleganckich ulicach Filadelfii czy Baltimore.

Znalazłem jego numer, zaparkowałem samochód i przebiegłem w deszczu ku frontowemu wejściu. Zanim zdążyłem dobiec, już tam stał, otwierając przede mną drzwi.

Od pasa w górę, w szarym pulowerze z wyłożonym nań białym kołnierzykiem, wyglądał jeszcze bardziej niż zwykle jak biskup. Ale od pasa w dół bynajmniej nie sprawiał wrażenia duchownego. Miał bowiem na sobie spodnie w bardzo jaskrawą kratę - prawdopodobnie taka moda obowiązywała przy golfie. Dominującymi kolorami wydawały się chorobliwa czerwień i zgniła zieleń. Gdyby jakieś zwierzę było podobnie ubarwione, weterynarz musiałby je uśpić.

Jestem mniej więcej średniego wzrostu, a Bishop dobre parę centymetrów niższy ode mnie.

Mocno potrząsnął moją ręką i przeprowadził mnie przez raczej obszerny salon do małej kuchenki - pomieszczenia, w którym najwyraźniej spędzał większość czasu.

- Uratowałeś mnie od losu gorszego niż śmierć, Charley - powiedział swym zaskakująco cichym głosem. - Czekał mnie dzień gry w bezika z durniami, którzy nie rozumieją, w co grają.

Wskazał ręką na kuchenne krzesło.

- Przygotowałem kanapki, a do nich mogą być pikle. Co chcesz do picia? Mam kawę, herbatę, soki, piwo, alkohol, nawet czystą wodę w butelkach. To dzięki uprzejmości mojej córki, która uważa, że w kranach płynie trucizna, a picie tej z butelek jest niezmierną rozkoszą.

- Wystarczy kawa, panie sędzio.

- Nadal się trzymasz, co, Charley? Skinałem głowę.

- Dobrze. Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli napiję się piwa?

- Nic a nic.

Naprawdę postarał się z tymi kanapkami. Najwyraźniej mieszkając samotnie, opanował pewną

wiedzę o kuchni i gotowaniu. Kawa była w jakimś specjalnym gatunku, importowana i faktycznie smaczna.

- Podzwoniłem po starym bractwie od Świętego Benedykta w sprawie spotkania golfowego, Charley. Ale tylko ty odpowiedziałeś od razu. Stałeś się może miłośnikiem tej gry?

\72

KARA ŚMIERCI

-Już nie gram. Szczerze mówiąc, golf zawsze mnie irytował.

-To gra wymyślona przez Boga, by nauczyć człowieka pokory - oświadczył. -Jeśli jednak nie przyjechałeś tu z powodu golfa, Charley, czy mogę zapytać, jakież to ciemne potrzeby obudził w tobie mój telefon?

Patrzyłem, jak powoli popija piwo. Nagle też zapragnąłem się napić.

Odwróciłem wzrok.

- Potrzebuję rady - oznajmiłem.

-Jestem pełen dobrych rad, Charley. - Podniósł się, wylał piwo do zlewu i siadłszy nalał sobie kawy.

- Nie musiał pan tego robić - powiedziałem.

- Wiem. A teraz, Charley, posłuchajmy, w czym tkwi twój problem?

Jego jasnoniebieskie oczy oddziaływały na mnie hipnotyzująco. Zacząłem opornie, ale szybko się uspokoiłem i opowiedziałem mu swoją historię, zaczynając od prośby Mickeya Mońka, a na ostatniej rozmowie z Jeffreyem Mallowem kończąc.

Słuchał mnie tak, jakbyśmy byli w sądzie, od czasu do czasu potakiwał, zadał kilka pytań, poza tym nie okazał żadnej emocji. Wreszcie skończyłem.

Nalał dla nas obu świeżej kawy, potem usiadł i przez dłuższą chwilę przyglądał mi się, zanim rzekł:

- Byłem na ostatnim roku prawa, kiedy Jeff Mallow rozpoczynał studia. Przebyliśmy razem długą drogę.

Serce mi stanęło. Może wybrałem nie tego mądrego człowieka, którego powinienem.

- W tamtych czasach, Charley, po zgłoszeniu akcesu do palestry trzeba było przejść znacznie trudniejszą praktykę niż teraz. Większość prawników zaczepiała się w ubezpieczeniach czy czymś w tym rodzaju, co dawało stały dochód, biegając jednocześnie jak wściekłe psy, żeby złapać jakiegoś klienta. Niektórym się udawało, innym nie. Darwin nie potrzebował podróżować aż na wyspy Galapagos. Wystarczyłoby, żeby obserwował któryś z roczników kończących Świętego Benedykta. Od razu dowiedziałby się, że przeżywają tylko ci najlepiej dostosowani.

Znowu wstał.

- Cygaro, Charley? Potrząsnąłem głową.

-To następne, co rzuciłem.

- Pewnego dnia wyrosną ci białe skrzydła. To mój ostatni występ i trzymam się go, nie słuchając lekarzy ani dzieci. Ale ograniczam się do dwóch dziennie.

KARA ŚMIERCI

173

Wyciągnął cygaro, które było wystarczająco długie, by podnieść ciężarówkę. Jak trzy normalne ułożone jedno za drugim. Przypalił je zapalką, a następnie włączył wywiew nad kuchenką. Chmura dymu została wessana w jednej chwili, lecz cierpki zapach pozostał w małym pomieszczeniu.

Przyglądał się żarzącej końcówce jak badacz jakiemuś dziwolągowi. Zadowolony, zaciągnął się jeszcze raz, wydmuchał dym i dopiero potem zaczął mówić dalej:

-Ja oczywiście miałem szczęście. Ojciec załatwił mi pracę w biurze prokuratora, a potem, kiedy stary sędzia Herbert, przyłapany in flagranti z damą, która nie była jego żoną, podał się do dymisji, poparł moją kandydaturę na jego miejsce.

Uśmiechnął się do wspomnień.

- Staruszek wszystko ukartował. Rzecz jasna nie wrobił Herberta, ale kiedy tylko ta historia się zdarzyła, zobaczył, że jest to szansa pracy na całe życie dla jego syna, więc ją dla niego zdobył.

Roześmiał się.

- Gubernator bardzo potrzebował jego głosu. Naprawdę bardzo. Cynicy mogliby nazwać to łapówką. Nawet wymuszeniem. Tak czy siak, dostałem pracę i trzymam ją już czterdzieści dwa lata.

Z czułością bawił się cygarem.

- Stanowiliśmy bardzo zgraną paczkę, my wszyscy, którym udało się ukończyć Benedykta. Dzięki swojej pozycji mogłem pomóc kilku kolegom i przyjaciołom. Frank Palmer był jednym z nich. Jeff Mallow drugim.

- Panie sędzio, tak mi przykro, że....

Bishop potrząsnął głową, dając mi do zrozumienia, żebym siedział cicho.

- Frank Palmer zosta! wykładowcą prawa karnego. Teraz, kiedy potrzebują kogoś na to stanowisko, szukają odpowiedniej osoby po całym kraju. Kiedyś zajęcie to było nędznie opłacane i raczej uważano je za pracę na pół etatu dla kogoś, kto musi podreperować swój budżet. Frankowi było to potrzebne i dostał tę posadę. Później, jak zresztą dobrze wiesz, skierowano go do sądu apelacyjnego. Miałem z tym coś wspólnego. Niewiele, ale też trochę pomogłem.

Znowu zaciągnął się głęboko. Koniec cygara rozżarzył się dziwnie żywą czerwieńią.

-Jeff Mallow podążał mniej więcej tym samym szlakiem. Musisz coś zrozumieć, Charley. My wszyscy byliśmy chłopakami z Detroit, wielu z nas pochodziło z rodzin robotniczych i nie mieliśmy wielu przyjaciół poza naszą paczką. Trzymaliśmy się razem jak gang. Rozumiesz?

174

KARA SMIhRCI

Skinałem głową. To samo można było powiedzieć o moim roczniku. -Jeff Mallow zawsze był dość zuchwały, lecz dawał się lubić. Czy wiesz, dlaczego przestał być przewodniczącym sądu apelacyjnego?

- Żeby przyłączyć się do spółki Armstead Meade, tak donosiły gazety. Bishop skinął głową.

-To prawda-Armstead Meade, Slocum i Herman, najpotężniejsza i najdroższa firma prawnicza tego stanu. Przyjęli go od razu na wspólnika. Oczywiście wniósł im coś znacznie cenniejszego niż jego sędziowski tytuł.

-Och?

- Otóż udało mu się namówić najsłynniejszego i najbardziej wpływowego z wychowanków naszego uniwersytetu, Jacquesa Mease a, czarodzieja Wall Street, żeby został ich klientem. Interesy Mease a gwarantowały miliony dolarów w honorariach prawniczych, więc Armstead Meade chapnęła Jeffa Mal-lową jak głodny kot tłustą rybę.

Parsknął śmiechem, lecz zabrzmiało to jakoś smutno.

- Niestety dla wszystkich zainteresowanych jakiś miesiąc później federalni dobrali się Measebwi do skóry. Jak ci zapewne wiadomo, wkopał właściwie każdego, oprócz własnej matki. Dostał rok, lecz zatrzymał swoje miliony, a potem prysnął na morza południowe.

-Ale Mallow musiał otrzymać jakieś pieniądze, zanim to się stało - wtrąciłem. - Na przykład jako obrońca Measea? Bishop pokręcił głową.

- Ani grosza. Mease sam ułożył się z federalnymi. Oczywiście po stracie takiego klienta Armstead Meade pokazała Jeffreyowi drzwi tak szybko, że ani się spostrzegł, kiedy znalazł się za nimi. Odtąd zaczęła się dla niego droga w dół po równi pochyłej. Przemawia, jakby był właścicielem całego świata, lecz stoi na skraju bankructwa.

- Dlatego tak rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy? Bishop pokiwał głową i jeszcze raz przypalił cygaro.

-Jeffrey - oznajmił, kiedy chmura dymu zasłoniła mu twarz - zapożyczył się u każdego z nas, u niektórych nawet bardzo znacznie. Pod względem finansowym sięgnął dna.

- Panie sędzio, co powinienem zrobić? Jeśli poinformuję władze, to będzie jego słowo przeciwko mojemu. Niezależnie od tego, czy ma problemy finansowe, czy nie, i tak nikt mi nie uwierzy.

- Możesz zadenuncjować go i nosić urządzenie rejestrujące. Przez jedną długą chwilę myślałem, że Bishop żartuje.

- To by wyeliminowało problem wiarygodności - dodał.

KAKA S Mit KU

175

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie jestem gliną. Mallow to człowiek w rozpaczliwej sytuacji. Próbuje przekupstwa. Boże,

kto wie, czy gdyby mnie coś takiego spotkało, nie spróbowałbym tego samego. Po prostu powiem mu, że nie ubije interesu, i to wszystko. Poza tym prawnicy, którzy denuncjują sędziów, nawet byłych sędziów, nie są potem najlepiej widziani na salach rozpraw. To mogłoby uderzyć bardziej we mnie niż w niego. Zresztą i tak bym czegoś takiego nie zrobił.

- Decyzja należy do ciebie. - Bishop pokiwał wolno głową, a potem odezwał się chyba jeszcze cichszym głosem: - Charley, byłbym ci wdzięczny, gdybyś informował mnie dalej o tej sprawie. - Ostatnie słowo wymówił prawie szeptem, lecz nie było wątpliwości, że jest to polecenie.

- Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Ale biorąc pod uwagę to, czego się od pana dowiedziałem, nie widzę większego problemu. Po prostu każę mu iść do diabła i na tym koniec. Podniosłem się.

- No cóż, dzięki za lunch i radę.

- Odzywaj się, kiedy tylko zechcesz. Zawsze u mnie znajdziesz kawę i współczucie.

Odprowadził mnie do drzwi.

- Daj mi znać, jak tylko usłyszysz coś od jeffreya.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Może.

- Z jakiego, jeśli to nie tajemnica?

- Po prostu jestem ciekaw. Frank Palmer także tkwi po uszy w długach.

Te słowa również wypowiedział niemal szeptem.

Kiedy wracałem do Pickeral Point, każdy bar mrugał, jakby zapraszał mnie do środka. Widziałem samochody zaparkowane przed tymi przybytkami. W środku oczekiwały mnie miły chłodek, półmrok i telewizor nad barem pokazujący rozgrywki baseballowe. Człowiek zapomniałby na krótko o kłopotach. Jeden mały kieliszek i chwila bezmyślnego gapienia się na mecz - to byłby relaks dla umysłu. Nawet potrafiłem wyobrazić sobie smak świeżego, chłodnego piwa.

Takie wizje są niebezpieczne.

W soboty nie ma spotkań anonimowych alkoholików. Mógłbym wrócić do Detroit, ale po drodze jest mnóstwo barów, które musiałbym minąć.

m

KAKA SMITKU

Sue Gillis spędzała tę noc u siostry w Toledo. Bob Williams był na seminarium dla lekarzy.

Miałem alternatywę: albo pójść do biura i patrzeć na deszcz oraz rzekę, albo zaszyć się w domu i podziwiać deszcz i parking. Musiałem z kimś porozmawiać, i to nie z gościem, który siedziałby na sąsiednim stołku w barze. Pojechałem więc na przystań Herba Goldmana.

Mimo deszczu parking, o dziwo, był prawie pełny, chociaż wyglądało na to, że większość łodzi jest zacumowana. Kłusem, żeby za bardzo nie zmoknąć, pogałem do biura Herba. Wcale nie przypominało ono biura, raczej składzik, który wymaga gruntownego sprzątnia.

Goldman siedział w starym fotelu, wpatrując się w okno. Jego przesiąknięte smarem ubranie wyglądało tak samo jak zawsze. Jeśli miał więcej niż jedno, musiały być identyczne. Odwrócił się i podejrzliwie przyjrzał mi się swymi żółtymi ślepiami.

Nie zaproszony wszedłem do środka, znalazłem jakieś w miarę solidnie wyglądające krzesło, oczyściłem je z papierów i usiadłem.

- Widziałeś ich tam? - zapytał Herb.

- Właścicieli łodzi? Skinął głową.

- Siedzą na tych małych, zacumowanych skorupach, popijają piwo albo burbona czy co tam mają i opowiadają sobie, jak świetnie się bawią.

Westchnął.

- Rzecz w tym, że rzeczywiście świetnie się bawią - dodał. Skrzywił się.

- Co cię sprowadza?

- Zaduma nad pijącymi ludźmi. Przytaknął jakby z namysłem.

- Może coś jest w powietrzu. - Wskazał głową na łodzie. - Zazwyczaj mnie to nie drażni, a dzisiaj tak.

Pokiwałem głową, ponieważ byłem w podobnym nastroju.

- Według mnie - powiedział - ty i ja mamy wybór.
- Naprawdę?
- Możemy pójść do salonu O'Hary, urznąć się do nieprzytomności, zniszczyć nasze życie i wylądować na ulicy.
- Brzmi nieźle. A drugie wyjście? Podniósł się.
- Możemy się wybrać na ryby.
- Pada.

KAKA iMItKU

J77

- Silnik w mojej łodzi ma specjalny bieg na deszcz. Większość majątku Herba pochodziła z wody, więc przypuszczałem, że łódź będzie odpowiadała zarówno jego zamożności, jak i pasji. Myliłem się. Wdrapaliśmy się na wielką metalową kryzę, kiepsko połataną, napędzaną zwisającym za burte silnikiem, który wyglądał jak model próbny. Wślizgnąłem się w gumowane ponczo śmierdzące olejem i zdechłymi rybami. Herb zabrał ze sobą kosz narybku i sześć dietetycznych pepsy. Silnik warczał jak w samolocie, ale wypłynęliśmy.

- Umiesz pływać? - zapytał Herb.
- Nie za dobrze.

Rzucił mi kamizelkę ratunkową.

- Włóż to! - polecił. - Słyszałem, że dają medal za każdego zatopionego adwokata, ale mam zbyt mało czasu, żeby chodzić na ceremonię wręczenia.

Padło coraz bardziej, a wiatr wzbudzał fale na rzece. Herb szybko i wprawnie przygotował dwie wędki z błyszczkami. Wędki były jedynym wyposażeniem, o które ktoś zadbał. Choć mocno zużyte, sprawiały wrażenie dobrze oczyszczonej, ukochanej broni. Płynęliśmy powoli wzdłuż brzegu.

- W deszcz ryby zwykle dobrze biorą - poinformował mnie Herb. - Poza tym, co najważniejsze, te dupki pozostają na łądzie.

Zanim jeszcze przebrzmiały ostatnie jego słowa, jakiś dzieciak na czymś wielkim, co bardziej przypominało cygaro niż łódź, w rodzaju tego, co pokazują w Miami Vice, przeleciał kolo nas z rykiem, wznosząc wielką falę. Zaczęło nami rzucać to w górę, to w dół, jak na kolejce górskiej w lunaparku.

- Nie twierdzę, że wszyscy, ale przynajmniej niektórzy - dodał Herb. Deszcz spływał po jego tysej głowie, sprawiając, że małpie rysy wydawały się jeszcze bardziej zwierzęce. Nagle stał się czujny i trzepnął wędką, jak w czasie zawodów rzucania do celu pierścieniami.

- Mam cię! - ryknął.

Wyciągnął wielkiego wąża, który trzepotał teraz u naszych stóp.

- Półtora kilo, lekko licząc. Chcesz go? - zapytał. - Jeśli tak, sam musisz go oczyścić.
- Nie chcę - odparłem.

Delikatnie wziął rybę i wrzucił ją z powrotem do wody.

- Mówią, że można jeść te ryby. Ze wszystkie chemiczne świństwa, które Kanadyjczycy spuszczaali do wody, już zniknęły. Ale jeśli wierzysz, powiem ci zaraz, gdzie mieszka Elvis.

178

KAKA SMItKU

Już miałem poprosić, żebyśmy wrócili, bo wiatr stawał się coraz bardziej przenikliwy, wskutek czego deszcz zdawał się chłodniejszy i bardziej siekący, gdy nagle zobaczyłem coś, co wyglądało jak jacht Franka Palmera. Przeplłynął tak blisko, że mogłem odczytać nazwę na burcie. Była to „Kocia Łapa” z Algonac. Bliźniacza łódź do tej, której właścicielem był sędzia Palmer.

- Widzisz go? - Pokazałem ręką jacht.
- „Kocia Łapa” - rzeki. - Robiłem mu silnik w zeszłym roku. Cholernie piękna łódź.
- Do kogo należy?
- Do faceta, który produkuje gadzety zwiększające bezpieczeństwo jazdy samochodem. Ma trzy fabryki i dość pieniędzy, żeby kupić wszystko, na co mu przyjdzie ochota.

- Ile taka łódź może kosztować, Herb? Spojrzał za nią jeszcze raz.
- To dwudziestometrowy sheridan, robiony ręcznie na Florydzie. Oczywiście wszystko zależy od wyposażenia, silnika i takich tam, ale nie mniej niż milion, może nawet więcej.

- Milion!

Uśmiechnął się, ujawniając szpary tam, gdzie powinny być zęby.

- Nowa oczywiście. Ceny z drugiej ręki spadają na łeb na szyję, jak strome urwisko. Jeśli jesteś zainteresowany, mecenasie, możesz taką dostać za pół miliona, a nawet odrobinę taniej. Zależy, jak bardzo ją pierwszy właściciel zajeździł.

- A ile kosztuje utrzymanie czegoś takiego?

- Charley, jeśli musisz pytać, to znaczy, że cię na nią nie stać, jak powiadaj. P. Morgan. Za samo dokowanie i zachowanie w czystości można by pewnie wykarmić przez rok całą Jugosławię. Spojrzał na mnie krzywo.

- Nie myślisz chyba poważnie o łodziach, co?

- Pytasz, czy chcę kupić?

- Właśnie. -Nie.

Pokiwał głową.

- To dobrze, Charley, uwierz mi na słowo. Łódź to wielka dziura w wodzie; miejsce, gdzie siedzą same dupki.

- A skoro już jesteśmy przy dupkach siedzących w wodzie, może byśmy darowali życie tym rybom?

- Właśnie zaczęliśmy to robić.

KAKA SMItKCI

179

- Jestem przemoczony i przemarznięty. Zaraz rozpęta się burza i tylko patrzeć, jak ten twój kajak zatoni. Poza tym bawię się znakomicie.

- Ciągłe masz ochotę na drinka? - zapytał.

- Najmniejszej.

- To tak jak ja.

Złożyliśmy wędki. Herb zawrócił łódź, włączył stary silnik i popłynęliśmy rzeką w górę, wyrzucając za sobą góry wody. Zanim dotarliśmy do brzegu, do mojej listy skarg dodałem chorobę morską.

- Ale zabawa, co? - Herb uśmiechnął się do mnie szeroko.

Kiedy jechałem do domu, waliły już pioruny. Chociaż nie czułem się najlepiej, uważałem, że czas nie poszedł na marne. Ochota na drinka minęła.

Miałem za sobą kolejną bitwę, rozegraną i wygraną. Będą następne, być może nawet do końca mojego życia, ale każde zwycięstwo dodawało mi trochę siły wewnętrznej, bardzo ważnej siły.

Mimo że byłem przemarznięty, mokry i śmierdziałem jak ściek, poczułem się całkiem nieźle.

W domu natychmiast rozebrałem się do naga i wrzuciłem ubranie do torby na brudy. Buty nadawały się najprawdopodobniej tylko do wyrzucenia, na razie jednak zapakowałem je w gazetę.

Stałem pod prysznicem i puściłem na siebie strumień gorącej wody. Czułem, jak ciepło rozlewa się po całym moim ciele. Było to bardzo przyjemne doznanie. Potem wytarłem się, włożyłem szlafrok i ruszyłem do kuchni, żeby zrobić kawę.

I wtedy to zobaczyłem.

Moja automatyczna sekretarka telefoniczna mrugała raz po raz czerwonym światełkiem, spoglądając na mnie jak oskarżycielskie oko Boga. Natychmiast pomyślałem, że dzwonił Mallow. Ale choć zżerała mnie ciekawość, nie nacisnąłem guzika. Zrobiłem kawę, bardzo mocną, dodałem mleka i cukru.

Usiadłem koło telefonu, spoglądając na mrugającą lampkę, i powoli popijałem gorący napój.

Wreszcie sięgnąłem ręką i wduśłem przycisk. Automat zaskrzeczał i włączyła się taśma.

- Mówi Miles Stewart. Jest sobota, druga po południu - odezwał się znajomy głos, w którym jak zwykle brzmiało szyderstwo. - Będę w domu do szóstej. Proszę do mnie zadzwonić. To ważne.

Nie wiem, czy poczułem ulgę, czy zawód. Zmierzenie się z Mallowem było jedną z tych rzeczy, które chce się mieć za sobą, lecz przez co nie chce

KARA ŚMIERCI

się przechodzić. Z Doktorem Śmiercią dam sobie radę. Jego numer domowy znalazłem na pamięć, więc od razu go wykręciłem.

- Miles Stewart - powiedział, tak jakby się przedstawiał.

- Charley Sloan - odparłem. - Co się stało?

- Gdzie pan jest? - zapytał.

- Jest sobota. Zazwyczaj w ten dzień tygodnia wpadam do zakonu na małą partyjkę szachów. Dlaczego pan dzwonił?

- Znowu wyjeżdżam na kilka dni.

- Dokąd?

- Pointę Aux Flam.

Pointę Aux Flam było kiedyś takim Newport stanu Michigan. Zamożni ludzie wybudowali tam wielkie letnie domy, może nie takie jak pałace w Newport, ale całkiem okazałe wiktoriańskie budowle. Dawni właściciele ciągnęli zyski z kolonii, więc stać ich było na tego typu ekstrawagancje. Przekazywali je, jak diamenty, z pokolenia na pokolenie.

Domy wznosiły się na skarpie, a z każdej posiadłości prowadziły schody na wspaniałą plażę jeziora Huron. Raz zdarzyło mi się oglądać tę miejscowość z wody. Tego widoku nie sposób zapomnieć.

- Czy to podróż dla przyjemności, doktorze, czy też wybiera się pan, by pomóc jakiejś biednej duszy przedostać się na drugi brzeg?

- Czy pan jest pijany? -Nie.

- Tak mi się wydawało - zachnął się. - Wybieram się tam na zaproszenie rodziny Cronin.

- Cronin? Jak tartaki Cronin?

- Właśnie. Chodzi o tę rodzinę. Westchnąłem.

- Proszę posłuchać, chociaż wiem, że się powtarzam. Jeśli pod pańską obecność umrze stary i schorowany członek rodziny Cronin, przechyli to szalę na stronę prokuratora stanowego. Proszę pamiętać, że sędziowie także czytują gazety.

- Poinformuję pana, kiedy wrócę do miasta - odparł chłodno i rozłączył się.

Odłożyłem słuchawkę. Czerwone oko boga spoglądało na mnie nieruchomo, nie błyskało już - po prostu mówiło, że nie ma dla mnie żadnej wiadomości.

Do rozprawy apelacyjnej Stewarta pozostawało jeszcze kilka miesięcy. Nie wyczekiwałem jej, chociaż byłem niemal pewny, że wygram. Nie lu-

KAKA ŚMIERCI

biłem doktora prawie tak bardzo, jak on nie znosił mnie. Nie było to czymś szczególnym w stosunkach adwokat - klient, ale nie czułem się dzięki temu ani trochę lepiej.

Niedziela przyszła i minęła. Kilka razy w ciągu dnia dzwoniłem do Sue Gillis, lecz do północy nie wróciła do domu. Już prawie zrezygnowałem, kiedy się odezwała. Zaproponowałem, że przyjadę do niej, ale nie chciała. Najwyraźniej wizyta u siostry nie była udana.

Kiedy zjawiłem się w poniedziałek rano w biurze, pani Fenton siedziała już przy swoim biurku. Nie było dla mnie żadnej wiadomości. Mallow wciąż nie dzwonił. Moja sekretarka zachowywała się ze zwykłą rezerwą, lecz chłód w jej głosie gdzieś zniknął, co prawdopodobnie oznaczało, że przywróciła mnie do łask.

Pijąc kawę, zacząłem planować rozpoczynający się tydzień. Pracy nie było wstrząsająco dużo, ale dość, żebym się nie nudził. Kilka razy miałem stawić się w sądzie, czekało mnie też załatwienie paru umów kupna-sprzedaży. Tydzień zapowiadał się bardzo zwyczajnie.

I wtedy w drzwiach mojego gabinetu stanęła nie zapowiedziana pani Fenton. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło.

- Mam przyjaciółkę, która zna panią Wordley - oznajmiła. -1?

- Poszła na pogrzeb. Podobno był niezwykle piękny. Wszystko takie gustowne.

Zastanawiałem się, jak ksiądz ominął przyczynę śmierci i sposób, w jaki do niej doszło.

Zastrzelenie przez kochankę trudno ukryć, nawet używając języka biblijnego. Jeśli mu się udało,

musiał być bardzo dobry w swoim fachu.

- Pani Wordley, Claire, podarowała wszystkie kwiaty, a było ich naprawdę dużo, szpitalowi.

- Na oddział alergii?

- Oczywiście, że nie. - Pani Fenton ciągle stała w drzwiach. Najwyraźniej miała mi jeszcze coś do przekazania.

Czekałem.

- Przyjaciółka powiedziała mi, że pani Wordley wyjeżdża na jakiś czas.

- Wziąwszy pod uwagę okoliczności, to całkiem niezły pomysł. Łatwiej odzyska formę.

- Ona jest w zupełnie dobrej formie - oświadczyła sucho pani Fenton. Chyba pani Wordley nie była jej ulubienicą.

- Miło mi to słyszeć.

182

KARA ŚMIERCI

Mars na czole mojej sekretarki pogłębił się.

- My reprezentujemy tę Harris.

- Zgadza się.

- Zdaje się, że zamierzał pan porozmawiać z panią Wordley o osłabieniu oskarżenia. - Jej ton świadczył, że nie aprobeuje takiego rozwiązania.

- Chcę z nią porozmawiać, ale mogę z tym poczekać do jej powrotu. Pani Fenton prawie się uśmiechnęła, co już samo w sobie było

zadziwiające.

- Zdaje się, że nie nastąpi to tak szybko. Podobno ona wybiera się na całe lato do Maine, a potem wyjeżdża do Europy. Jak twierdzi moja przyjaciółka, nie będzie jej prawdopodobnie aż do Gwiazdki.

- A niech to! Kiedy wyjeżdża?

Nie odpowiadała przez długą chwilę, z pewnością dla większego efektu. W jej zmrużonych oczach widziałem złośliwe ogniki. - Jutro - oznajmiła wreszcie.

Telefon pani Howardowej Wordley był zastrzeżony. Zadzwoiłem do punktu sprzedaży samochodów i przedstawiłem się jako jej siostrzeniec z Toronto. Nałgałem, że jadąc na pogrzeb, miałem wypadek samochodowy i znalazłem się w szpitalu. Czuję się jednak w obowiązku złożyć wyrazy współczucia cioci Claire. Mój notes z telefonami zaginął gdzieś w czasie wypadku, tłumaczyłem dziewczynie po drugiej stronie linii, a numeru cioci nie pamiętam z powodu urazu. Mam zmiążdżoną lewą nogę i biodro, i w ogóle jest to pierwszy telefon, jaki zdołałem wykonać. Zbolałym głosem opisywałem coraz okropniejsze szczegóły. Podała mi zastrzeżony numer, nie zadając ani jednego pytania. Małe zwycięstwo, a cieszy.

Zatelefonowałem do domu państwa Wordleyów. Odebrała pokojówka. Zakładając, że zraniony siostrzeniec może drugi raz nie zadziałać, zaryzykowałem i powiedziałem prawdę.

Pokojówka, której głos początkowo brzmiał bardzo przyjaźnie, stała się nagle opryskliwa, lecz zgodziła się zapytać panią Wordley, czy ta wyrazi chęć rozmawiania ze mną. Czekałem tak długo, że już zacząłem podejrzewać, iż zmieniła zdanie.

Wreszcie usłyszałem, że ktoś podnosi słuchawkę.

- Mówi Claire Wordley. - Głos był kulturalny i bez cienia emocji.

- Nazywam się Charley Sloan i reprezentuję Rebecę Harris.

- Wiem, kim pan jest, panie Sloan.

- Pani Wordley, nie ośmieliłbym się zwracać pani głowy w takim momencie, ale podobno wybiera się pani w długą podróż.

KARA ŚMIERCI

183

- Zgadza się.

Starłem się tak formułować zdania, żeby nie sprowokować jej gniewu czy oburzenia.

- W sprawach karnych prokurator często zasięga opinii rodziny w kwestii aktu oskarżenia.

- Rozumiem zatem, że to prokurator powinien ze mną rozmawiać, nie pan - odparła spokojnie.

- W normalnej sytuacji tak, ponieważ jednak zamierza pani wyjechać, przyszło mi do głowy, że ja mógłbym z panią porozmawiać. Domyślam się, co pani czuje, pani Wordley, i przepraszam, że dzwonię w takiej chwili.

- Czytałam o panu - rzekła. - Widziałam też pana w telewizji.

- Proszę posłuchać, jeśli przeszkadza pani moja reputacja, przyprowadzę ze sobą prokuratora, któremu powierzono tę sprawę.

- To nie będzie konieczne. Ile czasu zabierze nam rozmowa? Jestem w trakcie pakowania.

- Dziesięć-dwadzieścia minut, nie więcej. Zamilkła na krótko.

- Możemy się spotkać na lunchu, jeżeli jest pan gotów zjeść go ze mną - zaproponowała.

- Świetnie.

- Czy zna pan klub „Brzoskwiniowa Zatoka”?

- Nigdy tam nie byłem, ale wiem, jak dojechać.

- Proszę być tam w południe, panie Sloan. Podam przy wejściu pańskie nazwisko, żeby nie miał pan żadnych kłopotów z wejściem. Spotkamy się przy grillu. Zamierzałem właśnie wyrazić swoją największą wdzięczność, kiedy zdałem sobie sprawę, że Claire Wordley, wdowa po Howardzie Wordley'u, zdążyła już odłożyć słuchawkę.

„Brzoskwiniowa Zatoka” to słynne miejsce. Budynek zaprojektował sam Robert Trent Jones. Wpisowe, nie ujawniane, jest podobno tak wysokie, że tylko rzeczywiście bogaci ludzie mogą należeć do klubu. Bóg musi kochać bogaczy - tylu ich stworzył. Chodzą słuchy, że stos podań o członkostwo w „Brzoskwiniowej Zatoce” ma wysokość góry i kiedy ktoś wreszcie zostaje przyjęty, jest już za stary, żeby grać w golfa.

Wjazd oddalony był spory kawałek od głównej szosy - prowadziła do niego zwykła polna droga. Kiedy mijiałem małe farmerskie domki, dobrze utrzymane pola, mój chrysler wznosił tumany kurzu. Szyld był niewielki, lecz dobrze widoczny. Wjechałem w aleję, osłoniętą od słońca szpalerem

184

KARA ŚMIERCI

drzew. Kończyła się ona przed niskimi białymi budynkami o dachach w kolorze obranej brzoskwini. Dotarłem na zwirowy podjazd i stanąłem przed krytym strzechą wejściem. Czekał już na mnie niezwykle ugrzeczniiony młody człowiek w blezerze i długich spodniach. Zrazu wziąłem go za gościa, ale okazało się, że to służący. Wziął ode mnie kluczyki i szybko odjechał odstawić samochód. W tej samej chwili pojawił się następny młody, choć nie aż tak bardzo, człowiek, również w blezerze i spodniach, jeszcze bardziej eleganckich.

- Witamy, panie Sloan - powiedział tak ciepło, że każdy, kto by go słyszał, pomyślałby, że jestem właścicielem klubu. Nie miałem pojęcia, skąd w ogóle wiedział, że to ja. - Pani Wordley oczekuje pana przy grillu. Proszę pójść ze mną.

Nie widziałem ani jednego strażnika, choć przypuszczam, że system bezpieczeństwa musiał być równie dobry jak w bazach wojskowych.

Wnętrze budynku okazało się całkiem zwyczajne. Po prostu klub wiejski w starym stylu, jaki był popularny pięćdziesiąt lat temu. Panowały tu cisza i spokój. Nasuwało się skojarzenie ze znoszonymi, ulubionymi kapciami.

To było tak, jakby cofnąć zegar do tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

Grill wyglądał jak grill - wypolerowane drewno, duże stoły, mnóstwo miejsca i dobrze ubrana, pogodna i kompetentna obsługa. Poprowadzono mnie do stołu w głębi, przy którym siedziała bardzo drobna kobieta.

Claire Wordley miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i ważyła z pewnością niecałe pięćdziesiąt kilo. Jej włosy były całkowicie siwe, obcięte na pazia, rysy zaś wyraziste, o mocno zarysowanych kościach policzkowych. Kiedyś musiała być prawdziwą pięknoscią. Z wiekiem stała się przystojna. Należała do tych kobiet, którym od długiego przebywania na słońcu skóra na stałe ściemniała. Nie nosiła okularów, a jej zielone oczy spoglądały bystro. Wargi, choć wąskie, pozbawione były wyrazu surowości.

Eskortujący mnie młody człowiek przysunął mi krzesło.

- Trochę pan przytył od czas procesu Harwella - odezwała się tym samym kulturalnym, spokojnym

głosem. - Wtedy właśnie widziałam pana w telewizji.

- Jadam regularnie. Pozwala mi na to honorarium, które wtedy otrzymałem.

Roześmiała się cicho, pokazując wspaniałe zęby. Trudno było ocenić, czy jej własne, czy wyczarowane przez dentystę. Zastanawiałem się, czy zawsze

KAKA ŚMIERCI

185

tak wyglądają wdowy z „Brzoskwiniowej Zatoki”. Jak spod ziemi wyrósł przed nami młody kelner.

- Coś do picia, panie Sloan? Ja wezmę martini - odezwała się pani Wordley.

- Sok pomarańczowy - rzuciłem.

Zaproponowała, byśmy od razu zamówili coś do jedzenia. Miałem wrażenie, że każda jej sugestia jest tutaj, w „Brzoskwiniowej Zatoce”, rozkazem. Ona zdecydowała się na sałatkę, ja, zgodnie z jej radą, poprosiłem o coś, co nazywano sandwiczem z zawijaszem, czyli o mieszankę różnych mięs, specjalnie przysmażanych.

Kelner musiał osiągać olimpijską prędkość. Zdążył wrócić do naszego stolika, zanim oliwka w martini opadła na dno szklanki.

Pani Wordley upiła mały łyk i odstawiła szklankę.

- Jeszcze raz przepraszam, pani Wordley, że zwróciłem się do pani tuż po pogrzebie. Gdyby nie pani wyjazd...

Powstrzymała mnie gestem dłoni.

- Rozumiem tę konieczność. Ale przejdźmy przez to jak najszybciej.

- Oczywiście.

- Proszę mówić, panie Sloan.

- Reprezentuję Rebeccę Harris. -Już pan o tym wspomniał.

- W związku ze śmiercią pani męża została ona oskarżona o morderstwo drugiego stopnia.

- Czy można podać w wątpliwość, że to ona strzelała? -Nie.

- Przypuszczam, że chodziło o obronę własną?

- Taka będzie linia obrony - westchnąłem.

- Pan rzeczywiście czuje się niezręcznie, rozmawiając ze mną.

- To prawda. Wiem, że czas jest zupełnie nie po temu, a cała sprawa dość delikatna.

Znowu sięgnęła po martini.

- Postaram się ułatwić ją panu. Byłam żoną Howarda ponad czterdzieści lat. Jak wiele małżeństw, i nasze przechodziło liczne burze. Przez ostatnie piętnaście lat było małżeństwem jedynie z nazwy.

Nie rozpadło się tylko dlatego, że w moich kręgach nie uznaje się rozwodów. Dobrze znałam

Howarda i jego słabostki. Ale nie istniał żaden powód, by się rozwodzić. I tak cały majątek należał do mnie. Zostaliśmy razem dla pozorów, wyłącznie.

Jej zielone oczy napotkały moje.

186

KARA ŚMIERCI

- Ale jednak był moim mężem. Został zamordowany i uważam, że sprawiedliwości powinno stać się zadość.

Przez chwilę bawiła się szklanką z martini.

- Policja poinformowała mnie o romansie Howarda z pana klientką. Nie żyłam w niewiedzy.

Wiedziałam, co ich łączyło.

- O gwałcie też pani wiedziała? Jej brwi lekko się uniosły. -Jakim gwałcie?

Tak zwięźle i delikatnie, jak tylko potrafiłem, zrelacjonowałem jej minione wydarzenia.

- Czy ma pan te fotografie, na których widać, co jej zrobiono? - spytała.

- Są w mojej teczce.

- Mogę je zobaczyć?

- Nie są zbyt ładne, pani Wordley.

- Proszę je pokazać - powiedziała cicho i jednocześnie stanowczo. Wyciągnąłem zdjęcia z teczki i wręczyłem jej. Oglądała jedno po drugim,

nie okazując żadnych emocji, nawet kiedy z uwagą przypatrywała się obrażeniom na szyi. Potem

zwróciła mi je.

- A więc kiedy dojdzie do procesu, każdy zobaczy te fotografie?

- Będą podstawą obrony.

- Co w praktyce oznacza skazanie tej kobiety? - zadawała pytania takim tonem, jakby zwracała się w sklepie do sprzedawcy, wypytując o interesujący ją przedmiot.

- Jeśli sąd uznają za winną morderstwa drugiego stopnia, dostanie najprawdopodobniej dożywocie. Ale praktycznie oznacza to siedem, osiem lat.

Zielone oczy uważnie wpatrywały się we mnie.

- W czasie procesu całe miasto będzie szumieć, prawda? Wszystkie brudy wyjdą na jaw. I - dodała - zostaną opublikowane zdjęcia tej kobiety. Z pewnością nie przysłuży się to dobremu imieniu Howarda. A szczerze mówiąc, również i mnie.

Skończyła martini.

- Przypuszczam, że musi być jakaś alternatywa, inaczej by tu pana nie było.

- Zamierzam zaproponować, by oskarżono ją tylko o zabójstwo. W takim wypadku najwyższa kara wynosi piętnaście lat. Ale prokurator nie weźmie takiej sugestii pod uwagę, jeśli pani nie poprze wniosku.

KARA ŚMIERCI

187

Podano jedzenie, lecz żadne z nas nawet go nie tknęło.

- Powiem otwarcie, pani Wordley. Jeśli wniosek o zabójstwo zostanie przyjęty, postaram się o warunkowe zwolnienie.

Potrząsnęła głową.

- Może nie byłam zbyt oddana Howardowi, lecz uważam, że warunkowe zwolnienie nie wchodzi w rachubę. Oczywiście, jeśli mam tu coś do powiedzenia.

- Ma pani.

Gestem ręki zamówiła następne martini.

- Jestem za tym, żeby ta kobieta spędziła jakiś czas w więzieniu. - Jak długo?

- Czy rzeczywiście mogą ustalić wyrok?

- Nie, lecz sędzia weźmie pod uwagę pani życzenie. Zastanowiła się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że nie powinno to być krócej niż sześć miesięcy. Sądzę, że nasza społeczność uznałaby to za wystarczającą karę. To oraz dodatkowo zobowiązanie, że ta Harris nie pojawi się więcej w Pickeral Point. Czy ma jakąś rodzinę?

- Nie. Jestem pewien, że z tym nie będzie żadnego problemu. Skinęła głową.

- W takim razie, co teraz?

- Powiadomię pana Oleskyego, prokuratora przydzielonego do tej sprawy, że nie ma pani nic przeciwko oskarżeniu o zabójstwo, pod warunkiem, że Becky Harris odsiedzi co najmniej sześć miesięcy i nigdy nie wróci do Pickeral Point. Zapewne będzie chciał z panią porozmawiać, być może nawet otrzymać to na piśmie.

- Ale żadnych gwarancji nie mamy, prawda?

- Nie. Nie będę pani oszukiwał, pani Wordley. Sędzia również musi wyrazić zgodę zarówno na oskarżenie, jak i na wyrok.

- Nawet nie spróbował pan jedzenia - zauważyła.

- Właściwie nie jestem głodny. Skinęła głową.

- Ile ona panu płaci?

- Becky?

- O ile wiem, była kelnerką. Z pewnością nie ma zbyt wiele pieniędzy. - Jedyne, co ma, to pierścionek, który dał jej pani mąż.

- Howard podarował jej kosztowny pierścionek?

- Tak myślała. Okazało się, że to cyrkonია.

188

KARA ŚMIERCI

Uśmiechnęła się.

- I to będzie pańskie honorarium? Nie jest pan zbyt drogi, panie Sloan.
- Może. Ale proszę na to spojrzeć z innej strony: zabieram jej wszystko, co posiada.
Parsknęła śmiechem.
-Jeśli kiedyś kogoś zastrzelę, niezwłocznie zadzwonię do pana, panie Sloan. Podoba mi się ktoś, kto pracuje za cyrkonie.

K,

Jedy wróciłem do biura, uczucie zadowolenia przyćmiła nieprzyjemna świadomość, że wymusiłem coś na Claire Wordley. Zgodziła się nie oponować przeciwko zmniejszeniu ciężaru gatunkowego przestępstwa, ale tylko dlatego, by zapobiec ujawnieniu usiłowania gwałtu i opublikowaniu zdjęć. Nie było to wymuszenie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie padły żadne groźby, nikt nie podniósł głosu. Oboje okazaliśmy się niezwykle cywilizowani. Mimo że tak gładko poszło, wolałbym zwycięstwo, które nie zostawia gorzkiego smaku w ustach. Od Mallowa nadal nie było wiadomości.

Zadzwoiłem do Stasia Olesky'ego i powiedziałem, na co zgodziła się wdowa Wordley.

-Jesteś zadziwiającym człowiekiem, Charley. - Parsknął śmiechem. -Jak tego dokonałeś?

Przyłożyłeś jej pistolet do głowy, czy pokazałeś własne fotografie z młodości przedstawiające cię w trakcie jakiegoś wyjątkowo obrzydliwego aktu seksualnego?

- Zdjęcia - odparłem. - Pistolety to nie moja specjalność. Rzecz w tym, że ona jutro wyjeżdża i nie będzie jej do końca roku. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zadzwonił do niej po potwierdzenie tego, czego się ode mnie dowiedziałeś.

Westchnął.

- Posłuchaj, co zrobię. Wezmę stenotypistkę i pojedę tam zaraz. Dla osoby, której teraz podlegam, nie liczy się nic, co nie jest na piśmie.

- Doceniam to, Staś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Przynajmniej wyrwę się z biura. Oczywiście za tobą dopiero pierwsza praca, panie Herkulesie. Jestem skłonny założyć się, i to o każde pieniądze, że nie uda ci się przekonać sędziego Evoli. Nie, żebym ci źle życzył, Charley, ale on tylko czeka, by się dobrać do twoich czterech liter, i zdaje się, że wreszcie nadarza mu się okazja.

190

KARA ŚMIERCI

-Jestem specjalistą od magii i czarów, Staś. Jeszcze cię zadziwię.

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Tak czy siak, pędzę zająć się panią Wordley, choćby po to, żeby potem zobaczyć, jak potem załatwi cię Evola.

- Nie bój się. „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”.

Roześmiał się.

- Gówno prawda. Ale i tak życzę ci powodzenia.

Dzień zbliżał się już ku końcowi, kiedy zadzwonił Mickey Monk. Wydawał się całkiem trzeźwy. - Jak leci, Charley?

- Nieźle. A tobie?

- Bywało lepiej. Najwyraźniej nic nowego się nie wydarzyło, co? -Ano nic. - Nie śmiałem mu nawet wspomnieć o propozycji Mallowa.

Takiej informacji nie wolno mu było zawierzyć.

- Myślałem, że może doszły cię jakieś słuchy lub podjęto już decyzję. Chodzi mi o to, że masz tam kumpli.

-Jeszcze nic.

Przez chwilę milczał.

- Pokładam nadzieję w Bogu, że teraz nie potrwa to już długo. - Po kolejnej pauzie dodał: - Bank przysłał dziś zawiadomienie, że zabierają mi dom.

-Jezu!

-To na razie tylko papier. Mam czas, żeby spłacić hipotekę. Jeśli dopisze mi szczęście, wygramy, zanim coś się naprawdę stanie.

- Ile jesteś im winien?

- To duży dom, Charley. - Roześmiał się. - I jeszcze większa hipoteka. Nawet gdybym go teraz sprzedał, to - biorąc pod uwagę ceny, które ostatnio w mojej okolicy spadły - i tak będę im jeszcze coś winien. Teraz zalegam trzy miesiące z płatnościami, trochę ponad sześć tysięcy.

- To rzeczywiście duży dom.

- Moja żona ma kosztowne upodobania.

Pomyślałem o swoim rachunku w banku. Mimo łożenia na wykształcenie córki udało mi się odłożyć ponad trzydzieści tysięcy. Po sprawie Harwella parę razy trafiło mi się spore honorarium, chociaż, z wyjątkiem Śmierci, raczej dość dawno.

- Mogę pożyczyć ci te sześć tysięcy, Mickey - powiedziałem.

KAKA bMitKU

191

- Doceniam to, Charley, ale jeśli przegramy, będę niewypłacalny.

- Gdybyś potrzebował, oferta jest nadal aktualna. Parsknął śmiechem.

- Jestem graczem, Charley, postawiłem wszystko na jedną kartę, którą jest sprawa McHugha.

Asekurowanie się teraz mogłoby przynieść mi pecha, więc nie zrobię tego, zwłaszcza że jesteśmy tak blisko celu. Niech wszystko toczy się swoim torem. Zdajmy się na los szczęścia.

Ciekawe, co by powiedział, słysząc, że szczęście niewiele ma z tym wspólnego. Że szczęście lub jego brak zależy od byłego sędziego, który zszedł na drogę oszustwa. Zapewne nie wahałby się ani chwili. Złapałby sposobność, nawet gdyby to miała być pułapka. Postawiłby swoje życie, tak jak postawił już tyle innych rzeczy.

- Jeśli coś usłyszę, dam ci znać - obiecałem.

- Cała sprawa jest w twoich zdolnych rękach, Charley. Wierzę w ciebie. Mickey Monk odłożył słuchawkę, pozostawiając mnie z toną wyrzutów sumienia.

Zadzwonił już po wyjściu pani Fenton.

Sięgnąłem po telefon, zanim zdążyła się włączyć sekretarka. Z jakiegoś dziwnego powodu tym razem wcale się nie spodziewałem, że to on. Podejrzywałem, że już położył na mnie krzyżyk.

- Cześć, Charley. To był Mallow.

- Cieszę się, że dzwonisz - odparłem. - To wszystko zaszło zdecydowanie za daleko. Nie jestem zainteresowany kupnem tego, co proponujesz.

- Daj spokój, Charley, nie tak szybko. - Roześmiał się. - Skąd w ogóle wiesz, czy dzwonię w tej sprawie?

- A nie?

To również go rozbawiło.

- No, w pewien sposób jednak tak.

- Mówię ci, nie jestem zainteresowany. - Nastąpiły pewne zmiany, Charley.

- Przypuszczam, że cena poszła w górę. To wydało mu się jeszcze zabawniejsze.

- Mój Boże, ależ z ciebie cynik. Musisz wyrobić w sobie pogodniejszy stosunek do świata. Inaczej nabawisz się wrzodów żołądka.

Po chwili dodał cichszym głosem:

192

KARA SMItKCI

- Jak wiesz, upłynęło trochę czasu. I jak już powiedziałem, zaszły pewne zmiany. Zmiany, nawiasem mówiąc, na twoją korzyść. Prowadziliśmy z moim przyjacielem poważne dyskusje na ten temat.

- A może tak ja bym zadzwonił do twojego przyjaciela? Założę się, że nie ma bladego pojęcia o tym, co starasz się tutaj namotać.

- Ja nic nie staram się namotać, Charley.

- Do diabła z tobą! Rozpytałem się tu i ówdzie. Tkwisz po uszy w długach, których nie możesz spłacić. Jeśli myślisz, że jestem taki dureń i dobrowolnie ci się podłożę, to się grubo mylisz.

Odpowiedział po dłuższej przerwie:

- To rozsądnie z twojej strony, że wszystko sprawdzasz, Charley, przynajmniej dopóty, dopóki robisz to dyskretnie. A najwyraźniej tak właśnie postępujesz. I prawdą jest, że mam kłopoty

finansowe. Każdemu z nas przytrafia się to od czasu do czasu. - Po chwili dodał: - O ile sobie przypominam, tobie również się przydarzyło, i to wcale nie tak dawno.

- Owszem. Tylko, że ja sprzedawałem buty i mieszkania, żeby z tego wybrnąć. Nigdy nie próbowałem wymuszenia.

Roześmiał się znowu i to naprawdę mnie zdziwiło.

- Charley, zupełnie zatraciłeś swoje poczucie humoru. Wierz mi, to jest czysty interes, nic więcej.

- Przejeżdż się do więzienia w Jackson. Pełno tam facetów, którzy próbowali tego typu interesów.

Nie wiem, jak wyrazić się jaśniej, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

- Rozumiem - rzeki cicho. - Proszę jednak, wyświadczyć mi tę grzeczność i porozmawiaj ze mną w cztery oczy.

-To nie zmieni mojej decyzji.

- Może nie, lecz wydaje mi się, że jesteś nam to winien. Jeśli nie mnie, to przynajmniej mojemu przyjacielowi.

- Tobie nic nie jestem winien.

- Najprawdopodobniej masz rację. Przypuszczam jednak, że nie odnosi się to do mojego przyjaciela, prawda?

-Jak się ode mnie nie odczepisz, sam do niego zadzwonię i poproszę, żeby się z tobą rozprawił.

- Skoro tak sobie życzysz, zadzwoń. - Mówił jak człowiek pewny siebie. Zbyt pewny siebie. -

Proszę tylko o spotkanie, żeby jeszcze raz przedyskutować sprawę. Potem, jeśli nadal nie zmienisz zdania, rozejdziemy się.

-To nie...

- Podam ci miejsce i czas. - I rozłączył się.

KAKA SMItKCI

193

Siedziałem, wpatrując się w telefon. Postanowiłem, że jeśli zadzwoni ponownie, nie zgodzę się na spotkanie. Co mógł mi zrobić? Nic.

Jakby obudzony tą myślą, w moim umyśle pojawił się obraz Willa McHugh'a, przywiązanego do okropnego fotela, uwięzionego w równie okropnej przyczepie.

Wywiązując się z zobowiązania, zadzwoniłem do sędziego Bishop'a, do sądu. Zakończył właśnie jedną rozprawę i przygotowywał się do następnej, był więc u siebie w gabinecie i sam odebrał telefon.

- Dzień dobry, Charley. Rozumiem, że sprawa posunęła się do przodu? - Nawet przez telefon jego cichy głos brzmiał jak rozkaz.

- Mallow zadzwonił. Nie chciałbym panu przeszkadzać, sędzio, ale prosił pan, żeby go informować.

- Nie przeszkadzasz mi, Charley. Co ci powiedział?

- Ze zaszły pewne zmiany. Chce się ze mną spotkać w cztery oczy. Kiedy odmówiłem, przypomniał mi, że jestem to winny sędziemu Palmerowi.

- Czy wymienił nazwisko Palmera?

- Nie. Mówił tylko „mój przyjaciel”, lecz obaj wiedzieliśmy, o kim mowa.

- Co ty na to?

- Zagroziłem, że zadzwonię do Palmera. -A on?

- Że nie ma nic przeciwko temu.

- Czy był zmieszany?

- Nie wydaje mi się.

- Kiedy ma się odbyć to spotkanie? - zapytał po chwili sędzia.

- Da mi dopiero znać.

- Nie dzwoni do Palmera - poradził Bishop.

- Dlaczego?

-Tak mi podpowiada intuicja, Charley. Zobaczymy, co będzie dalej.

- Nie zamierzam spotkać się z Mallowem. Znow zapadła cisza.

- Powiadom mnie, kiedy ponownie się z tobą skontaktuje.

- Sprawa zaszła już za daleko.

Teraz jego głos brzmiał jeszcze ciszej, lecz dobrotliwiej niż poprzednio: -Ja bym się z nim spotkał, Charley. Tylko dobrze to rozegraj. Nigdy nie wiadomo, dokąd może nas to zaprowadzić.

194

KARA ŚMIERCI

-A jeżeli do sędziego Palmera? Nie chcę brać udziału w niczym, co mogłoby go dotknąć.

- Rozumiem. Ale jak na razie chodzi tu tylko o zaspokojenie ciekawości, nieprawdaż? Zrób mi tę grzeczność, Charley. Potraktuj to jako przysługę.

- Właśnie Mallow cały czas powtarza , że to tylko przysługa.

- Zobaczymy. - Usłyszałem, że ktoś coś do niego mówi. - Muszę już iść, Charley. Informuj mnie. Nie miałem czasu, żeby się zastanowić, o co Bishopowi chodziło, bo pani Fenton powiadomiła mnie przez interkom, że przyszło dwóch nie umówionych gości. Ewentualnych klientów. Poprosiłem, żeby ich wpuściła.

Byli to ojciec i syn, co rzucało się na pierwszy rzut oka. Ojca znałem. Był właścicielem lokalnej stacji radiowej i paru innych firm w naszym mieście. Podczas negocjowania kontraktu reprezentowałem jego głównego asa, disc jockeya, który używał ksywki „Szczur Rzeczny”. Negocjacje były bardzo przyjacielskie.

- Miło mi znowu pana widzieć, panie Denton - powiedziałem. Podaliśmy sobie ręce.

- To mój syn, Peter.

Sidney Denton był mężczyzną około pięćdziesiątki, o potężnym ciele w połowie złożonym z mięśni, a w połowie z tłuszczu. Jego białą skórę blondyna pokrywały piegi.

Syn był wierną kopią ojca, tyle że młodszą. Ocenilem go na niewiele ponad dwadzieścia lat.

Obaj mężczyźni w ten sam mięsisty, silny sposób ściskali dłoń na powitanie.

- Proszę, usiądźcie panowie - rzekłem. - A teraz, czym mogę służyć? Sidney Denton uśmiechnął się.

Był to jeden z tych szerokich uśmiechów

na użytek publiczny, uśmiech pewnego siebie biznesmena, który albo chce coś ci sprzedać, albo kupić od ciebie, ale zawsze sam robi przy tym dobry interes.

- Peter ma kłopoty - oznajmił. - Chcę, żeby pan go reprezentował.

- Cóż to za kłopoty? - Spojrzałem na chłopaka, który wyglądał na równie pewnego siebie jak jego ojciec.

- Szцениacka rozróżba - odpowiedział Denton senior. - Peter jest na pierwszym roku uniwersytetu w Michigan. Przyjechał na weekend do domu z kilkoma kumplami i trochę narozrabiali. Wypili za dużo, wie pan, jak to chłopcy w tym wieku.

- Proszę mówić dalej.

KARA ŚMIERCI

195

- Właśnie wyszliśmy z więzienia. Złożyłem kaucję za Petera.

- Kaucję? O co został oskarżony?

- To wszystko pomyłka - zapewnił ojciec.

- Możliwe, ale o co jest oskarżony?

- Napad z bronią w rękę - wyrzucił z siebie Peter.

Ojciec spojrzał na niego, jakby nie pochwała! tego doboru słów.

- Opowiedz, co się stało - zwróciłem się do chłopaka.

- No więc oni... - zaczął jego ojciec. Podniosłem dłoń, żeby go powstrzymać.

- Wolałbym usłyszeć to od pańskiego syna. Denton zmarszczył brwi.

Peter wzruszył ramionami. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jeśli już coś, to najwyżej znudzenie.

-Ja, Chris Baker i Norris Child przyjechaliśmy tutaj na weekend. Mieszkaliśmy w domu moich rodziców. Nad rzeką. Pojechaliśmy w sobotę do Port Huron i przez jakiś czas łąziliśmy po tym dużym domu towarowym. Nie mieliśmy nic do roboty. Kiedy wróciliśmy do domu, okazało się, że moi rodzice wyszli na jakieś przyjęcie. Zaczęliśmy pić piwo, no wie pan, sami też chcieliśmy się zabawić.

- Nie lubię, jak Peter pije, a potem prowadzi, więc pozwalam mu pić w domu. A ponieważ często

bywają u nas goście, barek jest dobrze zaopatrzony.

- Zaczęliście od piwa, a co było dalej? - zapytał Petera.

- Rozmawialiśmy na temat przestępstw. O włamaniach, napadach, takich tam. -I?

- Chris Baker stwierdził, że jestem zbyt miękki, żeby zrobić coś takiego. Norris zgodził się z nim. Przyczepili się do mnie. Jak już mówiłem, cały czas piliśmy.

- Proszę dalej.

- Wreszcie założyliśmy się o pieniądze. Wyciągnąłem jeden z pistoletów mojego ojca.

- Zbieram broń i jestem myśliwym - wtrącił Denton starszy jakby w samoobronie.

- Pojechaliśmy na stację benzynową. Nic więcej o tej porze nie było otwarte. Oni czekali w samochodzie, a ja poszedłem z pistoletem. Nastraszyłem obsługę, tak jak zapowiedziałem, zabrałem pieniądze z kasy i wróciłem do samochodu.

- Policja aresztowała ich, nim zdołali ujechać kilometr - dodał ojciec. Usiadłem wygodnie w fotelu.

196

KARA ŚMIERCI

- Czy poinformowano cię, że nie musisz składać żadnych oświadczeń? Dokładnie tak jak w kinie.

- Czy złożyłeś jakieś oświadczenie? Wzruszył ramionami.

- To było tylko dla zgrywu, by udowodnić, że potrafię, no i żeby wygrać zakład. Powiedziałem o tym policji, ale to nic nie dało. Cliff i Norris spie-trali się i paplali jeden przez drugiego. Mówili wszystko, co tamci chcieli wiedzieć.

- Czy ich także oskarżono? Młody Denton kiwnął głową.

- Na początku tak. Potem gliniarze zwolnili ich za obietnicę, że będą zeznawali przeciwko mnie. I to się nazywają przyjaciele!

- Czy pracownik stacji benzynowej zidentyfikuje cię?

- Jasne. Znam go. Chodziliśmy razem do ogólniaka. Najpierw myślał, że to żart, dopiero kiedy strzeliłem w sufit, przeraził się naprawdę. Pokiwałem głową.

- Nie wątpię.

- To był tylko żart - znów wtrącił ojciec. - Nie potrzebowali pieniędzy. Taka tam rozróżba młodych chłopców. Żaden napad.

- Czy ten pracownik stacji coś powiedział, gdy strzeliłeś? Peter nie potrafił powstrzymać półuśmiechu.

- Błagał, żebym do niego nie strzelał. Zawsze byt z niego mięczak. Nawet w szkole.

- Czy wcześniej byłeś kiedyś zatrzymywany, Peter? Znowu wzruszył ramionami, ten gest zaczął mnie irytować.

- Parę razy za zbyt szybką jazdę. Raz za bójkę.

- Bójka?

- W czasie meczu. Wyszedłem na warunkowe i tyle.

- Czy nadal jesteś na zwolnieniu warunkowym? Denton starszy odchrząknął.

- Jest. Kończy mu się w przyszłym miesiącu. Ale tę ostatnią sprawę da się chyba łatwo wyjaśnić, przecież zrobili to tylko dla zabawy. Oczywiście posunęli się zdecydowanie za daleko, Peter o tym wie. Może uda się panu uzyskać jakiś możliwy wyrok. Kaucja, zwolnienie warunkowe, służba publiczna, Peter jest na wszystko gotowy. Rozumie, że zrobił o jeden krok za daleko.

Spojrzałem w oczy ojca i zobaczyłem w nich błaganie. Pragnął usłyszeć jakieś słowa pociechy, coś, co pozwoliłoby mu uwierzyć, że jego dziecku nic się nie stanie, w każdym razie nic poważnego.

KAKA SMIEKU

- Jeśli pozwolicie, panowie, wyjaśnię, w jakiej sytuacji znalazł się Peter. Jest oskarżony o napad z bronią w rękę. W Michigan można za to dostać nawet dożywocie. Przypuszczam też, że oskarżono go o nielegalne posiadanie broni?

Peter kiwnął głową.

- Coś takiego mówili.

- Tylko za to samo grożą dwa lata więzienia, bez możliwości wcześniejszego zwolnienia, chyba że udałoby się wypracować jakiś układ z sędzią i prokuratorem. Ale jeśli nie, w rachubę wchodzi bite dwa lata. Z zastrzeżeniem z góry, że wyroku nie dotyczy żadna amnestia. Dwa lata, ani dnia mniej.

Sidney Denton pobladł. Na twarzy Petera nadal nie malowała się żadna emocja.

- Nawet jeśli wszystko odbyło się tak, jak Peter powiedział, i chodziło o zakład, wciąż pozostaje kradzież z bronią w rękę i napaść na pracownika stacji. Użyto pistoletu, oddano z niego strzał i zabrano pieniądze.

Spojrzałem na chłopca.

- Bierzesz narkotyki, Pete? -Nie.

Jego ojciec zmarszczył brwi.

- Palił coś w ogólniaku i miał pewne kłopoty, ale, o ile wiem, teraz już nic nie bierze.

- Czy policjanci, którzy cię aresztowali, zrobili test na zawartość alkoholu we krwi?

Skinął głową.

- Wykazał, że byłeś pijany? Półśmieszek wrócił na jego twarz.

- Wykazał, że piłem, lecz nie przekroczyłem limitu - oznajmił chłopak z głupią dumą.

- Gdybyś był pijany, mogłoby to posłużyć do twojej obrony. Nie najlepszej, ale zawsze.

Przynajmniej dałoby się powiedzieć, że nie potrafiłeś jasno rozumować. - Zamilkłem na chwilę. -

Czy jesteś pewien, że nie byłeś na haju po czymś jeszcze? Może wzięłeś wcześniej trochę koki?

- Piwo, człowieku, to wszystko, co piliśmy. Sidney Denton zbladł jeszcze bardziej.

- Co może pan zrobić dla mego syna?

Usiadłem głębiej i zacząłem dobrać słowa, żeby go zbytnio nie zranić.

m

KARA ŚMIERCI

-Jeśli stało się tak, jak opisał Peter, nie bardzo jest co zrobić. Zaplanował napad z bronią w rękę i dokonał go. Użył naładowanej broni i wystrzelił z niej, choćby tylko dla postrachu. Jego dwóch kumpli będzie zeznawało przeciwko niemu. Oświadczą, że nawet im do głowy nie przyszło, iż może on poważnie potraktować ich zgrywy. Peter złożył oświadczenie na policji już po tym, jak przypomniano mu jego prawa. Innymi słowy, jest czysta sprawa o napad i do tego jeszcze oskarżenie o użycie nielegalnie posiadanej broni.

- Ale to był tylko wybryk. Sędzia musi to wziąć pod uwagę. Skinąłem głową.

- Weźmie. Poza tym Peter jest studentem, chłopcem z dobrej rodziny i to także sąd weźmie pod uwagę. Zarazem jednak Peter jest również na warunkowym zwolnieniu. To kolejne przestępstwo - niedotrzymanie warunków zwolnienia. Na początek zatem mamy napad połączony z kradzieżą, nielegalne posiadanie broni i niedotrzymanie warunków zwolnienia warunkowego.

- Do czego pan zmierza? - zapytał ojciec.

- Przypuszczam, ale nie jestem pewien, że w najlepszym razie, gdyby udało się osłabić zarzuty, Petera czekają co najmniej dwa lata więzienia.

- Gówno prawda - wyrzucił z siebie chłopak. - Czytałem o mordercach wychodzących na warunkowe.

Skinąłem głową, myśląc o Becky Harris. Właśnie to usiłowałem dla niej załatwić.

- Czasami tak się zdarza. Zazwyczaj w Detroit, gdzie zabijanie stało się rodzajem hobby. My jednak jesteśmy w Pickeral Point i w tych stronach sprawy wyglądają nieco inaczej.

- Znam tutaj wszystkich sędziów - oznajmił Sidney Denton. - Oni mnie również. Mnie i moją rodzinę. Na pewno da się coś zrobić.

- Może. Sześć miesięcy w więzieniu, resztę w zakładzie o zaostrozonym rygorze. Wszystko zależy od sędziego i od szczęścia.

- A co z procesem przed ławą przysięgłych? - zapytał Peter. - Dlatego właśnie przyszliśmy do pana. Mówi się, że pan potrafi wyciągnąć każdego.

- Gdyby tak było rzeczywiście, bardzo bym się cieszył, a ty musiałbyś trochę poczekać w kolejce. Zrobię, co w mojej mocy, tyle tylko mogę obiecać. Wątpię, żeby przysięgłych rozbawi! studencik strzelający na stacji benzynowej. Masz więcej szans, jeśli trafisz do odpowiedniego sędziego i uda się wypracować układ.

- Zwolnienie warunkowe? - zapytał Denton starszy.

- Wszystko jest możliwe, ale obawiam się, że nie tym razem.

KAKA ŚMIĘTKU

jyy

- Twierdziłeś, że ten facet jest dobry! - Chłopak nie krył pretensji do ojca. - A to przecież pieprzony duppek! Uśmiechnąłem się.

- Świetnie wypadnie przed ławą przysięgłych - zwróciłem się do Dento-na seniora. - Coś wam powiem. Poradźcie się kogoś jeszcze.

Ojciec skinął głową.

- A potem, jeśli będziecie chcieli wrócić, zrobię dla Petera wszystko, co zdołam.

- Ile jestem winien? - zapytał Sidney Denton. W jego głosie czaiła się rozpacz.

- Uzgodnimy honorarium, jeśli zdecydujecie się wrócić.

Chłopak uśmiechnął się głupio, wstał i ruszył do drzwi. Był taki sam jak jego ojciec - pół mięśni, pół tłuszczu, lecz nie dość mięśni, by obroniły go przed tym, co go czekało.

Peter Denton miał zdobyć wykształcenie, jakiego nie otrzymuje się na uniwersytecie. Bardziej żał mi było jego ojca. Grom sprawiedliwości czasami spada na nieodpowiednią osobę.

Q

LJue Gillis przygotowała kolację u siebie w domu: makaron z włoskim sosem, w oliwie i ziołach, tak, że talerz mienił się zielenią i czerwienią. Kiedy spojrzałem na wazę, pomyślałem, że zjem tylko trochę, nie chcąc sprawić jej zawodu. Moim codziennym posiłkiem były przecież hamburgery. Gdy jednak spróbowałem potrawy, odczułem rozkosz, jaka zwykle kojarzy się z seksem. Pochłonałem olbrzymią porcję. Ku jej najwyższemu rozbawieniu nie byłem już w stanie zjeść deseru.

- Niewielu jest dobrych kucharzy wśród policjantów - stwierdziłem, popijając kawę.

- Mam sporo uzdolnień, Charley. Jeszcze za mało mnie znasz. Do swojej kawy dodała brandy.

Wlała ją tak, żebym nie widział, ale były alkoholik ma węch lepszy niż pies myśliwski, przynajmniej jeśli chodzi o trunki. Nic nie powiedziałem.

- I jak, Charley, rozwiązałeś swój tajemniczy problem? - zapytała. - Jeszcze mi się nie udało.

- Chcesz o tym pogadać?

- Chciałbym, ale nie mogę, Sue. Zwłaszcza z przedstawicielką prawa.

- Stajesz się przestępcą.

- Usiłuję nim nie być. Zmarszczyła brwi.

- Aż tak poważna sprawa?

- Nie, niezupełnie, lecz dość delikatna. Kiedy będę mógł, wszystko ci opowiem. To trochę tak jak z historią Becky Harris. Tobie też nie wolno o tym rozmawiać, prawda?

Skrzywiła się zabawnie.

KAKA SMItKCi

201

- Tego się ode mnie oczekuje. Wiem od Stasia Olesky'ego, że namówiłeś panią Wordley, by zgodziła się na łagodniejsze oskarżenie. Jak tego dokonałeś?

- Przespałem się z nią.

- Charley, nie podobają mi się tego typu dowcipy.

- No dobrze, nie spałem. Ale pozwoliłem jej sądzić, że się prześpię. Starsze kobiety są pod tym względem dziwaczne. Uwierzą we wszystko.

- Staś uważa, że nie przekonasz Evoli.

- Pewnie nie. Jedyne, co mogę, to próbować.

Upiła łyk kawy. Po wyrazie zaciekawienia w oczach widziałem, że myśli, o czym innym.

- Charley, ile razy byłeś żonaty?

- Już ci mówiłem: trzy. Za każdym razem okazywało się to wyjątkowym doświadczeniem, czymś w rodzaju udziału w katastrofie samolotu lub pobytu w obozie jenieckim.

Nie uśmiechnęła się.

- Aż tak było źle?

Westchnąłem żalując, że nie wypada mi odpiąć guzika od spodni - byłem strasznie najedzony.

- Pod niektórymi względami nawet gorzej. Alkoholicy potrafią robić takie rzeczy, od których zemdlałby oficer gestapo. Szczerze mówiąc, to nie była gra do jednej bramki. Opracowałem swój własny zestaw okrucieństw.

- Wątpię.
- Kiedy widzisz mnie trzeźwego. Pijany jestem całkiem inny.
- Zakładam więc, że już nigdy się nie ożenisz?

Doszliśmy zatem do sedna. Kiedyś zawsze pada to pytanie. Nawet ja pytam o to, tyle tylko, że samego siebie. A ponieważ od siebie nie otrzymałem nigdy jasnej odpowiedzi, nie potrafię również udzielić jej innym.

- Dlaczego chcesz wiedzieć, Sue? Prosisz mnie o rękę?
- Nie - odwróciła wzrok. - Pewne doświadczenia wpływają na to jak postrzegamy życie.
- Zazwyczaj.
- Moje małżeństwo - rzekła cicho - chociaż trwało tak krótko, było bardzo pięknym doświadczeniem. Nigdy nie wierzyłam, że dwoje ludzi może być tak blisko ze sobą, jak my byliśmy. To było naprawdę nasze wspólne życie.

Milczałem.

202

KARA ŚMIERCI

-Tego brak mi najbardziej - dzielenia się z kimś. Żyje mi się nieźle, Charley. Lubię swoją pracę, mam mnóstwo przyjaciół, nie siedzę w czterech ścianach i nie cierpię na nudę. Ale brak mi kogoś, z kim mogłabym to życie dzielić.

- I dlatego chciałabyś któregoś dnia wyjść znowu za mąż? Skinęła głową.
- Tak, ale musiałyby to być równie wyjątkowe jak za pierwszym razem.
- To nie będzie łatwe. W życiu nigdy nie daje się niczego wiernie powtórzyć, zwłaszcza minionych przeżyć. Wszystko jest w jakiś sposób kompromisem.
- Nie czujesz się czasem samotny, Charley? Nie mówię o seksie ani nawet o przyjaźni. Chodzi mi o to, czy nie pragniesz być blisko kogoś, tak blisko... - urwała.
- Rozumiem, co masz na myśli, Sue, naprawdę. Czasami czuję się bardzo samotny, może nawet bardziej niż większość ludzi. Ale nie nadaję się do małżeństwa.
- Sporo się zmieniło, Charley. Ty się zmieniłeś.
- Jestem trzeźwy. To największa zmiana. - Spojrzałem na nią. Dziewczęca radość znikła z jej oczu. Czało się w nich coś innego: pragnienie, którego wcześniej nie zauważyłem.
- Sue, trzeźwość na stałe to moje zadanie numer jeden. Nie tak dawno odstawiłem butelkę. Nie wiem, czy pozostało mi dość sił na małżeństwo.
- Nawet z kimś, kogo kochasz?
- Nawet z kimś, kto mnie kocha.
- Więc małżeństwo nie wchodzi w rachubę? Potrząsnąłem głową.
- Nigdy nie mów „nigdy”. W każdym razie w tej chwili nie jestem w stanie wziąć na siebie ryzyka.

Po chwili odezwała się znowu:

- Przynajmniej jesteś uczciwy, Charley.
- Czasami.

Uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech. -Jeszcze kawy? -Jasne.

Potem siedzieliśmy i po prostu rozmawialiśmy. O rodzinie, przyjaciółach, szkole. Łatwo przechodziliśmy od tematu do tematu. Ale do sprawy małżeństwa już nie wróciliśmy.

Kiedy ten wieczór się zaczynał, miałem cielesne myśli i oczekiwania. Teraz jakoś się ulotniły.

KARA ŚMIERCI

203

Pocałowałem ją na dobranoc. To był pośpieszny pocałunek. Odjechałem do domu. Czułem się samotny.

We wtorek rano występowałem w sprawie o prowadzenie po pijanemu. Nic nadzwyczajnego, żadnych obrażeń czy szkód, po prostu mój klient został zatrzymany przy prędkości sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy jechał pod prąd ulicą o godzinie, kiedy zamykają wszystkie bary. Przegrałem, co nikogo nie zaskoczyło, w tym również mojego klienta. Od razu przyznałby się do winy, ale nie chciał dawać satysfakcji policji. Zapłacił sporą grzywnę i czekało go kilka najbliższych weekendów w miejscowym więzieniu. Powinien dostać więcej, lecz pomogło, że miał

pracę i rodzinę. Prawo jazdy stało się wspomnieniem. Próbowałem uzyskać dla niego prawo ograniczone, takie, które pozwoliłoby mu tylko na jazdę do pracy i z powrotem, sędzia jednak pokręcił przecząco głową.

Mój klient wyglądał na zadowolonego. Staralem się zainteresować go ruchem anonimowych alkoholików czy innym sposobem zwalczania nałogu, ale powiedział mi obojętnie - co jest typową reakcją - że nie ma żadnych problemów. Zmarnowałem poranek, lecz honorarium dostałem z góry i to osłodziło mi nieco gorzkość porażki.

Po drodze zjadłem szybkiego hamburgera i pojechałem do biura. Pani Fenton jak zwykle wręczyła mi spisane informacje. Mallow nie dzwonił. Były inne telefony, na które powinienem odpowiedzieć, ale nie czułem się na siłach, żeby robić cokolwiek.

Obróciłem się w fotelu i zapatrzyłem na rzekę. Dzień był pogodny i słoneczny. Łodzie, podobne do żuków wodnych, tłoczyły się na wodzie. Jak samochody na autostradzie. W górę rzeki płynął duży frachtowiec, szary i zużyty. Wyglądał, jakby zjawił się z drugiej strony Ziemi, co było zapewne prawdą.

Zabrzączał interkom. Podniosłem słuchawkę. Odezwała się pani Fenton:

- Szeryf chce z panem rozmawiać. Mówi, że nazywa się Miller.
- Jeśli to szeryf, z pewnością nie kłamie - odparłem. - Proszę go połączyć.
- W słuchawce rozległ się trzask.
- Charles Sloan, słucham - przedstawiłem się.
- Panie Sloan, tu szeryf Miller. Cork Miller. Szeryf z hrabstwa Harbor Beach.
- Na górze, na samym końcu Kciuka, zgadza się?
- Kciuka Michigan - uzupełnił. - Tak to nazywa departament reklamy naszego okręgu.

204

KARA ŚMIERCI

- Czym mogę służyć, szeryfie?
- Mam tu gościa, który chce z panem pogadać. To ten jedyny przysługujący mu oficjalny telefon. - Parsknął śmiechem. - W dodatku międzymiastowy. Proszę poczekać. Facet jest tutaj.
- Proszę natychmiast przyjechać! - W głosie mężczyzny brzmiała histeria. - Chcą mnie wsadzić do więzienia.

Poznałem ten głos, ale nie mogłem sobie darować przyjemności, by nie zapytać:

- Kto mówi?
- Doktor Miles Stewart! - wrzasnął.
- A czemuż to, doktorze, chcą pana zamknąć?
- Oskarżają mnie o morderstwo! Nagle moje rozbawienie zniknęło.
- Proszę posłuchać - powiedziałem. - I to bardzo uważnie. Radzę panu nie rozmawiać ani z policjantem, ani z prokuratorem, ani w ogóle z nikim. Przyjadę najszybciej, jak się da. To mniej więcej trzy godziny drogi. - Spojrzałem na swój nowy zegarek. Był taki, jaki noszą nurkowie. Prezent od klienta. - Powinienem tam być około piątej.
- Nie może pan do kogoś zadzwonić i wyciągnąć mnie za kaucją?
- Nie, dopóki sędzia nie ustali, z jakim typem przestępstwa mamy do czynienia.
- To oburzające!
- Z pewnością. Proszę zapytać szeryfa Millera, czy mógłbym jeszcze zamienić z nim parę słów.
- Chce z panem rozmawiać! - rzucił poirytowany Stewart. Doktorek z pewnością nie pozyska sobie przyjaciół, jeśli nadal będzie się zachowywał tak arogancko.
- Tu Miller.
- Szeryfie, będę reprezentował doktora Stewarta. Postaram się być u was mniej więcej za trzy godziny. Poinstruowałem swego klienta, żeby powstrzymał się od jakichkolwiek oświadczeń, dopóki się nie zjawię.
- To żaden problem, panie Sloan. My tu nie robimy nikomu na złość. Był pan kiedyś w naszym więzieniu?
- Nie.
- Jeśli porównywać ze standardami miejskimi, nie jest ono duże. Dopilnuję jednak, żeby pański

człowiek otrzymał osobną celę. Tyle przynajmniej możemy zrobić dla uczczenia sprawy.

-Jakiej sprawy?

KARA ŚMIERCI

205

- To przecież Doktor Śmierć! Wszyscy tutaj o nim czytaliśmy. Jego sprawa to wydarzenie w naszym okręgu.

- A kogo waszym zdaniem zamordował?

- Pewnie zgodnie z zasadami nie powinienem teraz panu tego mówić, ale przecież i tak się pan dowie. Podobno pański klient ukołysał do snu starego Seana Cronina. - Parsknął śmiechem. - Do długiego snu.

Szeryf najwyraźniej był z zamiłowania gadułą.

- A w jaki niby sposób miałyby to zrobić? - zapytałem.

- Zastrzyk, tak jak załatwiają w Teksasie tych, co stoją nad grobem. Jedna chwila i już cię nie ma. Żadnego bólu, żadnego cierpienia. Tak się przynajmniej uważa. Z tego, co czytałem, wynika, że pana człowiek bawi się w to nałogowo.

Roześmiał się.

-Jezu, naprawdę mógł sobie darować! Stary Sean miał ponad osiemdziesiątkę na karku i był chory na wszystko, na co tylko się da. Kiepskie serce, tak samo płuca, nerki w jeszcze gorszym stanie, słowem - wrak.

- Czy twierdzi się, że Cronin poprosił o zastrzyk? - W każdym z poprzednich przypadków tak właśnie było.

- O, nie. To nie w stylu naszego staruszka. Prawdopodobnie załatwiła to jedna z córek. - Zamilkł. - No cóż, historia jest długa, a jeśli wszystko panu opowiem, prokurator obedrze mnie ze skóry. Faktem jest, że Cronin nie żyje. Prokurator i druga córka Cronina utrzymują, że postarał się o to pański człowiek.

- Będę tak szybko, jak tylko zdołam.

- Proszę się nie martwić o doktora. Nasze więzienie nie jest może zbyt duże, lecz czyste. Jeśli pensjonariusze mają pieniądze, pozwalamy im zamawiać jedzenie z miasta, z restauracji. Naprawdę świetne żarcie. My możemy zaproponować tylko sandwicze.

- Dzięki.

- A tak przy okazji: jadąc tu, niech się pan zanadto nie śpieszy - powiedział ze śmiechem. - W naszym hrabstwie rzadko zdarzają się morderstwa, ale za to jesteśmy strasznie cięci na tych, co przekraczają dozwoloną prędkość.

Droga była dwupasmowa, lecz niezła. Samochodów niewiele. Broken Axe, czyli Złamana Siekiera, w stanie Michigan to małe, sympatyczne miasteczko. Jakby czas się tu zatrzymał - nic się w nim nie zmieniło

206

KARA ŚMIERCI

od pięćdziesięciu lat. W centrum są zaledwie dwie ulice na krzyż, ale to najwyraźniej wystarcza okolicznym farmerom.

Sąd i więzienie też należą do relikwów przeszłości. Dwa zwykłe budynki z piaskowca - nikt by się nie dziwił, gdyby w drzwiach pojawił się nagle sam Abe Lincoln.

Ponad więzieniem, w lekkim wietrze, szumiały ogromne dęby. Panował spokój, którym dało się wprost oddychać. Wziąłem głęboki wdech i wszedłem do gmachu więzienia.

Drewniana podłoga wyglądała na zniszczoną, ale poza tym wszystko utrzymane było w porządku. Nad otwartymi drzwiami wisiała tabliczka z napisem: BIURO.

Wkroczyłem do środka. Znajdował się tam kontuar, a nad nim wisiały instrukcje, gdzie i na co można otrzymać zezwolenie. Potężna kobieta spojrzała na mnie znad komputera. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- W czym mogę panu pomóc?

- Szukam szeryfa Millera. Nazywam się Sloan. Uśmiech poszerzył się.

- Och, przyjechał pan w sprawie Doktora Śmierci! - Odwróciła się i wrzasnęła w stronę innych

drzwi, także otwartych: - Cork, adwokat doktorka już jest!

Szeryf wyglądał jak wyjęty z reklamy piwa - takiej, która pokazuje towarzystwo starszych gości znakomicie bawiących się w miejscowym barze. Opowiadających sobie dowcipy i zaśmiewających się w głos. Jego mundur był czysty, lecz nie wyprasowany. Przy czarnym skórzanym pasie zwiisał największy pistolet, jaki kiedykolwiek widziałem.

Szeryf miał może czterdziestkę, a może trochę więcej. Jak na swoje metr osiemdziesiąt wzrostu ważył pewnie o dobre dwadzieścia kilo za dużo. Krótco, po wojskowemu przystrzyżone włosy zdradzały nierówną czaszkę. Kiedy się uśmiechał, jego płaska twarz rozciągała się i jakby wylewała z kołnierzyka. Wyglądał na człowieka, który łatwo się śmieje.

Wyszedł do mnie i uściśnął tak, jakbyśmy byli rodzonymi braćmi, którzy spotykają się po długiej rozłące.

- Miło mi pana widzieć, panie Sloan - powiedział.

- Wolałbym, Charley. Wszyscy tak do mnie mówią.

- Świetnie. My tutaj też nie jesteśmy formalistami. Gdyby ktoś zwrócił się do mnie inaczej niż Cork, pomyślałbym, że jest na mnie ciężko obrażony. Chciałbyś zobaczyć się ze swoim klientem?

- Najpierw wolałbym spotkać się z prokuratorem, który prowadzi tę sprawę - odparłem.

KAKA ŚMIERCI

207

- Mamy tu tylko jednego. To dziura. Nie byłoby nas stać na dwóch etatowych prokuratorów. Nazywa się Eddie Rand. Młody gość, wybrany zaraz po skończeniu studiów. Ale trzeba przyznać, że ciężko pracuje. Spodoba ci się. Chodźmy.

Wyprowadził mnie z budynku więziennego i przeszliśmy kilka kroków do sądu.

- Tutaj mieszczą się wszystkie miejscowe urzędy.

Weszliśmy do pokoju z napisem na drzwiach: PROKURATOR. Młody mężczyzna w spłowiełych dżinsach i flanelowej koszuli siedział z nogami na biurku i rozmawiał przez telefon. Włosy, w odróżnieniu od szeryfa, nosił aż do ramion. Kościsty, długonogi, o kwadratowej twarzy, był jak wspomnienie lat sześćdziesiątych.

Nie przerywając rozmowy, skinął nam głową na powitanie.

- Muszę kończyć - rzucił do słuchawki. - Zdaje się, że mam tu gościa, który szuka sprawiedliwości. A może czegoś innego. Zobaczymy się później, skarbie.

Podniósł się leniwie i wyciągnął do mnie dłoń.

- Pan Charles Sloan zapewne?

- Mów do niego, Charley - wtrącił się szeryf. - A ten tutaj to główny urzędnik sił porządkowych naszego hrabstwa, Edward M. Rand.

Rand gruchnął śmiechem.

- A jak by ci się podobało, gdybym temu tu obecnemu Charley'owi wyjawiał twoje prawdziwe nazwisko, Cork?

Szeryf zaśmiał się rubasznie.

- Nie ośmielisz się, Eddie. W każdym razie nie teraz, kiedy noszę ten pistolet.

- Racja. Co byś powiedział na kawę, Charley?

- Nie pogardziłbym. Eddie spojrzał na szeryfa.

- Cork, zadzwoń do tego swojego więzienia, żeby nam przynieśli trzy filiżanki kawy. - Odwrócił się do mnie. - Kiepskie więzienie, ale kawę robią najlepszą w całym stanie. A teraz, Charley, co mogę dla ciebie zrobić?

- Na początek może byś wypuścił! mojego klienta na wolność? Eddie, chociaż wyglądał na nastolatka, zachowywał się jak dorosły.

- Gdyby to zależało tylko ode mnie, Charley, nie byłoby sprawy. Do diabła, trzymanie tego gościa tutaj oznacza, że muszę go oskarżyć o morderstwo. To kupa roboty, jak za te nędzne grosze, które mi płacą. Nie mówiąc już o tym, że będę miał mniej czasu na to, co w moim życiu najważniejsze,

208

KARA ŚMIERCI

czyli na łowienie ryb i uwodzenie kobiet. Ale - uśmiechnął się - jeśli go wypuszczę, pošlę mnie na

zieloną trawkę, a tutaj niełatwo znaleźć inną robotę. Nie mógłbyś poprosić o coś łatwiejszego?

- Opowiedz mi zatem o sprawie. Nie rozmawiałem jeszcze z klientem i nie wiem nic oprócz tego, że ktoś, kto nazywał się Sean Cronin, opuścił już ten padół.

Potężna kobieta z biura szeryfa przyniosła nam kawę. Już po pierwszym łyku przekonałem się, że pochwały nie były przesadzone. Smakowała znakomicie.

Eddie Rand wrócił na swoje miejsce i znowu położył długie nogi na biurku.

- Powiem ci tyle, ile mogę, czy to będzie w porządku?

- Niech będzie.

Szeryf przyniósł dwa krzesła, usiedliśmy.

- Pointę Aux Flam jest małą osadą, w której mieszkają bardzo wielcy ludzie. Ludzie bogaci od wielu pokoleń. Spędzają wakacje na Florydzie, a lato tutaj, pomiędzy takimi szaraczkami jak my. Większość z nich jest dość sędziwa i w ogóle niewielu ich już zostało. - Upił łyk kawy. - Jednym z nich był Sean Cronin, stary baron tartaków. Na emeryturze, ale bogaty jak Krezus. Jego dwie córki mógłbyś pewnie nazwać starymi pannami. Nigdy nie wyszły za mąż, co nie jest bardzo zaskakujące, ponieważ nie są to najpiękniejsze przedstawicielki rodzaju żeńskiego, jakie chodziły po ziemi. Donna i Doreen.

- Bliźniaczki?

- Obie równie brzydkie, lecz jedna o rok starsza od drugiej. Rand uśmiechnął się.

- Te dwie kobiety, teraz już dźwigające szósty krzyżyk, rywalizowały o wszystko, w tym także o to, która lepiej zaopiekuje się tatusiem. Staruszek dawno powinien był znaleźć się pod fachową opieką, ale to zakończyłoby współzawodnictwo.

- Najwyraźniej sporo wiesz na temat rodziny - zauważyłem.

- Tutaj robi się tylko trzy rzeczy: łowi ryby, pieprzy i plotkuje. Wędkowanie nie sprawia już takiej przyjemności jak niegdyś, jeszcze gorzej z tym drugim, więc głównym źródłem rozrywki pozostają plotki. Wszyscy wiemy wszystko o wszystkich.

- Tak czy siak, Charley, Doreen uznała, że już czas skrócić cierpienia tatusia. Potrafi czytać, podobnie zresztą jak i reszta nas tutaj, więc zakontraktowała twojego klienta. Ale, tak przy okazji, Donna się z nią nie zgodziła.

KARA ŚMIERCI

209

Doreen zapłaciła doktorkowi za usługi dwieście tysięcy dolarów. Czekałem. Przyjechał więc i Sean Cronin, jak by tu powiedzieć, zszedł był.

- Autopsja?

Ujrzałem w jego wzroku błysk triumfu.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślałem, że nasz miejscowy lekarz może się okazać nie dość kompetentny, dlatego posiałem po doktora Andersona do Lansing. Znasz go?

- Clyde Anderson był najlepszym patologiemi w całym stanie.

- Wysłaliśmy ciało statkiem do Bay City i tam zrobiono sekcję zwłok. Czekamy na raport.

- W takim razie nie ma jeszcze żadnej sprawy.

- No cóż, nie zdążyłem ci wspomnieć o jednym szczególe. Otóż panna Donna była świadkiem tego, jak doktor Stewart wszedł do pokoju jej tatusia, zrobił mu zastrzyk, a potem siedział tam i patrzył, jak staruszek umiera. Niezłe, co?

- O co go oskarżacie?

- Występowałeś już w takiej sprawie w Detroit. Co to było? Morderstwo drugiego stopnia?

- Założyliśmy apelację.

- Tak. Ale tam nie było świadków, Charley. Tutaj to co innego. Po prostu jeden facet wchodzi do pokoju drugiego faceta i go zabija. Bynajmniej nie na jego prośbę. Nie było żadnego powodu. W dodatku w obecności świadka. Oskarżymy go o morderstwo pierwszego stopnia.

- Nie utrzymacie się.

- Posłuchaj, jestem jeszcze młody. Nie mamy tu zbyt wiele morderstw, więc chcę się nauczyć na tej sprawie, ile tylko się da.

- Czy teraz mogę zobaczyć się z moim klientem?

-Jasne. Nie ma żadnych przeciwwskazań. Cork, zabierz Charleya do więzienia. Niech sobie pogadają do woli.

Szeryf zaprowadził mnie z powrotem do więzienia.

- Widzisz, mówiłem ci, że to miły gość. - Uśmiechnął się. - Wiedziałem, że go polubisz. I on ciebie też polubił. Na Boga, zapowiada się niezła zabawa.

Wpuszczono mnie do jego celi. Żadnych strażników ani kamer. Szeryf po prostu zamknął za mną drzwi i powiedział, że mam krzyknąć, kiedy będę już chciał wyjść.

210

KARA ŚMIERCI

Na mój widok doktor Miles Stewart zerwał się na równe nogi. Włożył marynarkę. Usiłował wyglądać jak najporządniej, chociaż brakowało mu krawata. Nie miał też paska ani sznurowadeł.

- Sporo czasu to panu zajęło - zwrócił się do mnie ostro.

- Czy gdzieś się pan wybiera?

Zatrzymał się i wlepił we mnie wściekle spojrzenie.

- Na zewnątrz, oto gdzie się wybieram. Zakładam, że załatwił pan zwolnienie za kaucją?

- Nie będzie żadnej kaucji. Za parę minut staniemy przed sędzią okręgowym i prokurator oskarży pana o morderstwo pierwszego stopnia. W takich sytuacjach nie zwalnia się za kaucją.

- Chyba nie mówi pan poważnie?

- Obawiam się, że niestety tak - oznajmiłem i usiadłem na pryczy. Okazała się twarda i gruzłowata.

- No cóż, nie powie mi pan chyba, że go nie ostrzegąłem, prawda? Tym razem wpadł pan w kłopoty po same uszy, doktorze. Ale proszę mi lepiej opowiedzieć swoją wersję. Zanim staniemy przed sędzią.

- Może raczej lepiej będzie, jak wezmę sobie innego adwokata.

-To rzeczywiście niezły pomysł. Czasami najlepsi są miejscowi. Znają każdego, kogo trzeba. Jeśli pan sobie życzy, mogę się rozpytać, kto by się nadał. Przez chwilę stał, wydymając usta, wreszcie potrząsnął głową.

- Teraz już za późno. Jest pan moim adwokatem i nic na to nie poradzę.

- Właściwie wcale nie jestem pańskim adwokatem. Reprezentowałem pana tylko w sprawie o zabicie Francisa X. Milliarda. Zapłacił mi pan dwadzieścia tysięcy dolarów za obronę, wliczając w to apelację. Reprezentowałem pana w tamtej sprawie, teraz to zupełnie co innego.

- Do czego pan zmierza?

- Do tego, że jeśli chce pan, bym występował jako jego obrońca w sprawie o zamordowanie Seana Cronina, żądam dodatkowego honorarium. Tym razem będzie to trzydzieści tysięcy dolarów. A za apelację, jeśli okaże się konieczna, zapłaci pan ekstra.

-To bandyckie zwyczaje!

- Może pan wziąć miejscowego prawnika, który prawdopodobnie wykona tę pracę za mniejsze pieniądze. Wybór należy do pana.

Miałem nadzieję, że rozgniewam go na tyle, by zdecydował się na kogoś innego, chociaż pieniędzmi mógł kupić moją tolerancję dla swej nieznośnej arogancji.

KARA ŚMIERCI

211

Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

- Wie pan wszystko na temat innych spraw. Ktoś nowy może nie być tak dobrze przygotowany jak pan.

- Oczywiście, że w pewien sposób można to nazwać kontynuacją. Ale jeśli martwi pana, że czuję się urażony, gdyby moje miejsce zajął ktoś inny, proszę o tym zapomnieć. Przypuszczam, że zdołałbym to przeżyć.

Jego usta rozciągnęły się w gniewną wąską linię.

- W porządku, zatrudniam pana. Tym razem jednak lepiej by było, gdyby pan wygrał.

Uśmiechnąłem się. Postawienie go w niezręcznej sytuacji sprawiło mi dużą przyjemność.

- Wyniku nie gwarantuję, tylko moje wysiłki.

- Bandyta - mruknął, siadając koło mnie.

- No dobrze, a teraz... chciałbym wysłuchać pańskiej wersji wydarzeń, doktorze.
- Cała sprawa jest po prostu oburzająca. Jak już panu mówiłem, przyjechałem tutaj jako gość rodziny Cronin. Powiadomiłem pana o tym, Pamięta pan? -Tak.
- Posiadłość Croninów, oni nazywają to działką, jest naprawdę elegancka. Mają wspaniały widok na jezioro Huron. A gospodarze także okazali się sympatyczni.
- Szczególnie Sean? Przypuszczam, że wspólnie wybraliście się polować na kaczki albo łowić ryby, albo...
- Kiedy przyjechałem, był już podłączony do aparatury podtrzymującej życie - wtrącił jakby w samoobronie. - Ten człowiek już właściwie nie żył. Oczywiście zbadałem go. Mimo wszystko jestem przecież lekarzem. Stan był niemal krytyczny. Liczył już sobie osiemdziesiąt osiem lat i cały organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa.
- Czy był przytomny? Odpowiedział dopiero po chwili.
- To zależy, co pan przez to rozumie. Był całkiem elokwentny, rozmawiał ze mną. Ale brał mnie za kogoś innego, za jakąś postać z przeszłości, i cała nasza rozmowa nie miała sensu.
- Innymi słowy sklerotyk. Skrzywił się.
- Pewnie tak to może określić prawnik.
- Jedna z córek widziała podobno, jak zrobił pan zastrzyk Seanowi Croninowi. Czy to prawda?

212

KARA ŚMIERCI

Uśmiechnął się tym swoim nieznośnie irytującym uśmiechem, który trudno było odróżnić od grymasu.

- To, że zrobiłem mu zastrzyk, czy że mnie widziała?
- A zrobił mu pan zastrzyk? -Nie.
- Dlaczego zatem ona twierdzi, że widziała, jak pan to robił?
- Nie mam pojęcia.
- Kto zaprosił pana do domu Croninów?
- Panna Doreen Cronin. Bardzo miła kobieta. Skinałem głowę.
- Zdaniem tutejszej policji zapłaciła panu dwieście tysięcy dolarów, żeby ułatwić pan zejście starszemu panu.
- To śmieszne!
- Może nie być takie śmieszne, kiedy pokażą w sądzie czek. Czy on istnieje?
- Zrealizowałem go. Wysłałem do mojego banku. Ale to były pieniądze na badania naukowe. Darowizna dla mojej fundacji.
- Jakiej fundacji?
- Fundacji Milesa Stewarta. Wszystko jak najbardziej legalne i zarejestrowane, gdyby to pana interesowało.
- Ile osób zatrudnia fundacja?
- Na razie tylko mnie.
- Zakładam, że Croninowie to starzy przyjaciele rodziny? Uniósł brwi.
- Nie musi pan być taki sarkastyczny. Spotkałem ich teraz po raz pierwszy.
- Dlaczego pana zaprosili?
- Gwoli ścisłości, zaprosiła mnie panna Doreen. Słyszała o moich osiągnięciach naukowych.
- W to nie wątpię. Zmarszczył brwi.
- Może pan sobie myśleć, co się panu żywnie podoba.
- Myślę, że został pan wynajęty, by przyjechać tutaj i skrócić życie staremu Croninowi. Jak pan to zrobił? Narkotyki? Uduszenie?

Uśmiechnął się lodowato.

- Nikt nie będzie w stanie wykazać, że spowodowałem śmierć. Ani w tym wypadku, ani w żadnym innym.

- Tym razem jest świadek.

K.AKA SMIfcKU

Z/J

- Panna Donna?
- Tak mi powiedziano.
- Jest taką samą sklerotyczką jak jej ojciec. Bez trudu zdyskredytuje ją pan jako świadka.
- Zobaczymy.

Podniosłem się i zawołałem na szeryfa. Cork Miller przydreptał z tym samym szerokim uśmiechem na ustach.

- Czy doktor Stewart miał ze sobą książeczkę czekową, kiedy przyjmowaliście go do tego zaciszego hoteliku?

- O, tak - przytaknął Miller. - Portfel, książeczkę, wszystko. Był spakowany i gotowy do drogi, kiedy Donna Cronin po nas zadzwoniła.

- Czy nie sprawiłoby ci kłopotu, gdybyś przyniósł czek? Doktor życzy sobie wynająć adwokata.

- Jasne, Charley. - Miller ryknął śmiechem. - Za minutę będę z powrotem. Stewart spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Zwraca się do pana „Charley”.

- Wszędzie, gdzie się zjawię, mam mnóstwo przyjaciół.

Kiedy doktor bez specjalnego entuzjazmu wręczył mi czek, Cork Miller zaprowadził mnie z powrotem do budynku sądu.

- Tutejszy sędzia okręgowy to dobry chłopak - powiedział. - Myślę, że go polubisz.

Najwyraźniej Cork Miller nie znał niemiłych ani złych ludzi. Jak na szeryfa nie był zbyt typowy.

- Najpierw był prokuratorem, a potem wybrano go na stanowisko sędziego. Wszyscy tutaj wprost za nim przepadają. Ma znakomite poczucie humoru i jest duszą towarzystwa. No wiesz, żadne wesele ani pogrzeb nie odbędą się bez niego. Sądzę, że obok mojej przemijającej osoby Rudy Hathaway jest najbardziej popularną postacią w tym hrabstwie.

- Rudyard K. Hathaway?

- Tak właśnie się nazywa. Ale my wszyscy mówimy do niego Rudy. Znasz go?

- Skinąłem głową z uśmiechem.

- Studiowaliśmy razem.

- A niech mnie. Świat jest mały, co?

Rudyard Kipling Hathaway był jednym z moich kumpli w czasie studiów. Studenci prawa pracują zazwyczaj w grupach, gdyż dzięki temu łatwiej jest się

214

KAKA SMIŁKLI

przedzierać się przez chaszcze przepisów. W naszej czteroosobowej paczce najmniej pomocny, za to najbardziej rozrywkowy był Rudy Hathaway.

Jego ojciec, bogaty farmer i hodowca krów, nazwał go tak na cześć swego ulubionego pisarza. Ale Rudy w niczym nie przypominał oryginału. Jeśli już coś, to wiewiórkę. Miał zawsze rozwichrzone rude włosy i wystające przednie zęby. Śmiał się piskliwie i zaraźliwie, jak karabin maszynowy przechodzący mutację. A rozbawić go było bardzo łatwo.

Należał do tych przyjaciół, z którymi obiecuje się utrzymywać kontakt, ale nigdy się to nie udaje.

Po dyplomie wyjechał na Kciuk Michigan i rozpoczął tam praktykę.

Spotkałem go raz, jakieś dziesięć lat temu, na stanowym zjeździe adwokatów. Upiliśmy się wtedy pokazowo i o mały włos nie wylądowalibyśmy w więzieniu. Potem raz otrzymałem od niego kartę na gwiazdkę, lecz nigdy więcej już się nie spotkaliśmy, chociaż to sobie obiecywaliśmy.

Zastanawiałem się, czy się zmienił.

Cork Miller wkroczył przede mną do pokoju sędziego i ogłosił moje wejście niczym konferansjer zapowiadający pojawienie się na scenie komika.

- Ktoś z twojej przeszłości, Rudy - oznajmił, zanim zdążyłem wejść w drzwi. - Oto jedyny i niepowtarzalny, słynny Charley Sloan!

Siedział za biurkiem w tozde i wyglądał prawdziwie po sędziowsku. Niewiele się zmienił. Rude włosy nieco posiwiały, i to właściwie wszystko.

- No cóż, Charley - odezwał się, spoglądając na mnie z powagą, wręcz namaszczaniem. - Wiele tu o

tobie słyszeliśmy. Przekonasz się, że kieruję sądem z prawdziwego zdarzenia. Żadnych tam bzdur. Jestem surowy, lecz sprawiedliwy. I pozwól, że jedną sprawę od razu postawię jasno: jeśli tylko spróbujesz tutaj tych swoich sztuczek, wyślę cię prosto do więzienia. - Spojrzał na mnie płomiennym wzrokiem. - Mam nadzieję, że zrozumiałeś, prawda?

Ale zanim zdążyłem nawet zastanowić się nad odpowiedzią, rozległ się jego pamiętny śmiech.

- Powinieneś sprawdzić jego spodnie, Cork - powiedział. - Na pewno narobił ze strachu. -

Uśmiechnął się szeroko, pokazując swoje wiewiórcze zęby. - Na Boga, dobrze znowu cię widzieć, Charley. Wyglądasz świetnie, zamożnie i w ogóle.

- Ty też.

Wstał, podkasując togę.

- To wszystko na pokaz. - Wskazał na siebie. - Chyba przydałoby się oddać ją do prania. Nieco zakurzona. - Potrząsnął moją dłońią. - Siadaj, Charley. Co byś powiedział na drinka?

N.AK.A iMltKLI

-Już nie piję, Rudy. Skinął głową.

- Coś takiego słyszałem, lecz nie wierzyłem. Ja też nie. -AA?

Roześmiał się.

- Nie, pieprzone wrzody. Ale brak mi tego.

- Mnie też.

- Cork, sprowadź naszego demonicznego prokuratora, mamy tu małą sprawę do załatwienia.

Kiedy szeryf wyszedł, pokrótce opowiedzieliśmy sobie, co zaszło w naszym życiu w ciągu ostatnich kilku lat.

- No, a potem zostałem wybrany na sędziego - zakończył Rudy. - Ten dzieciak, Eddie Rand, zastąpił mnie na stanowisku prokuratora. A tak przy okazji: dobry z niego prawnik. Bałbym się, że będzie polował na moją obecną posadę, lecz za bardzo dba o zwiększanie miejscowej populacji, poza tym mówi się, że podczas weekendów pali nie tylko papierosy. Coś takiego tutejsi ludzie mogą tolerować u prokuratora, ale nie u sędziego. Nie jest rywalem, więc współpracuje nam się znakomicie.

Westchnął.

- No cóż, zamierzam oskarżyć twojego klienta, Charley, o morderstwo pierwszego stopnia, tak że kaucja nie wchodzi w rachubę. Sądzę, że zażadasz wyników autopsji?

-Jasne - uśmiechnąłem się.

- Proponuję rozprawę za dziewięć dni. W następny czwartek. Wystarczy ci czasu? Nie sądzą, żeby Eddie sprzeciwił się, gdybyś chciał się lepiej przygotować.

- Dziewięć dni wystarczy.

Po chwili uśmiechnął się wręcz smutno.

- Pewnie trzeba to wyjaśnić. Kocham cię jak brata, Charley, wiesz o tym. Ale nie zastosuję taryfy ulgowej. Nie mam zwyczaju załatwiać w ten sposób interesów.

- Cholerna szkoda - odparłem.

Jego śmiech brzmiał tak, jakby echo niosło go dalej. Cork Miller wrócił z młodym prokuratorem.

- Kiedy pierwszy raz spotkałem tego żółtodzioba - oznajmił sędzia Hathaway, obejmując ramiona Randyego - myślałem, że to handlarz narkotyków. Wygląda na takiego, co?

Nie czekał na odpowiedź.

2/6

K.AKA SIYllfcKU

- No to przejdźmy do interesów. Doktor Śmierć został postawiony w stan oskarżenia, nie ma mowy o kaucji i czekamy na wynik sekcji zwłok.

- Zakładam, że proces odbędzie się tutaj - powiedziałem. Jego uśmiech poszerzył się.

- Tak.. Czasami się na to zgadzamy. Jeśli ludzie naprawdę ładnie poproszą.

7

ZJanim ruszyłem w drogę powrotną, zatrzymałem się przed jedyną księgarnią w miasteczku i kupiłem pół tuzina książek - pięć medycznych i Biblię, żeby Miles Stewart nie zanudził się na śmierć. Wiedziałem, że Biblia go zirytuje, i dlatego nie mogłem się od tego powstrzymać.

Dostarczyłem je do więzienia.

Na Corku Millerze Pismo Święte zrobiło kolosalne wrażenie. Obiecał przypilnować, żeby doktor otrzymał książki. Pomyślałem, że może stary Cork zechce sam odwiedzić Stewarta w celi, nastawiony na miłą religijną pogawędkę, co zirytuje mojego klienta, maniakalnie zainteresowanego tylko własną osobą. Ta perspektywa od razu poprawiła mi humor.

Kiedy wracałem, ruch prawie zamarł, więc nic nie przeszkadzało mi w myśleniu. Rozwahałem, w jaki sposób wybronić doktora tym razem. Teraz oskarżenie miało mocniejsze podstawy. Do rozprawy pozostało mi dziewięć dni. Planowałem, że dzień lub dwa wcześniej spędzę w Broken Axe, aby - znając już raport z sekcji - zasięgnąć dodatkowych informacji. Taki czas na przygotowanie wydawał się zupełnie wystarczający. Ale podczas tej trzygodzinnej jazdy zastanawiałem się głównie nad tym, co zrobię, gdy zadzwoni Mallow. To była długa droga, więc wykombinowałem kilka możliwych odpowiedzi. Żadna z nich nie była dobra. Zanim zdążyłem dojechać do Pickeral Point, zrobiło się już ciemno. Postanowiłem przed powrotem do domu wpaść jeszcze do biura. Klatka schodowa była oświetlona, lecz właściwie niepotrzebnie, bo wielki księżyc w pełni, jak niebiański reflektor pełnej mocy, rozjaśniał wszystko, także rzekę. Otworzyłem drzwi do biura.

Pani Fenton, jak zawsze, zostawiła wszystko w takim porządku, jakby oczekiwała inspekcji. Zignorowałem automatyczną sekretarkę mrugającą ze złością typową dla urzędnika ostrzegającego.

218

KAKA bYUtkU

Poczta leżata ułożona w równy stosik; towarzyszyły jej informacje
0 telefonach.

Wśród korespondencji nie znalazłem żadnych rewelacji: nic nadzwyczajnego ani nawet interesującego. Z telefonami jednak było wprost przeciwnie.

Najwyraźniej dziennikarze dowiedzieli się o aresztowaniu Doktora Śmierci mniej więcej o trzeciej po południu, bo wtedy właśnie zadzwonił pierwszy z nich. Za nim pośpieszyła cała reszta: reporterzy z Detroit, dziennikarze gazet ogólnokrajowych, stacje telewizyjne. I do każdego miałem od-dzwonić. Każdy prosił o wywiad.

Znowu przez kilka dni będę w centrum uwagi. Chciałem się poczuć poirytowany, ale prawdę mówiąc, schlebiali mi to, i zastanawiałem się, czy znów nie za bardzo wystawiam się na pokaz. W dawnych, podlanych alkoholem czasach uwielbiałem tego typu zainteresowanie moją osobą. Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło. Miałem nadzieję, że również i to.

Nacisnąłem guzik, żeby odtworzyć nagrane informacje. Sądząc po wyświetlaczu, nie pozostał wolny ani jeden kawałek taśmy.

Każdą z dwudziestu pięciu wiadomości poprzedzało elektroniczne piśnicie, a potem włączał się głos.

- Cześć, Charley, tu Sherman Martelle z „Free Press”. Dzwoniłem już wcześniej. Chodzi o twojego klienta, Doktora Śmierć. Proszę, odezwij się do mnie, do gazety - wyraźnie podał swój numer - albo do domu - tu następował kolejny, powoli odczytywany numer. - Nie przejmuj się godziną. Kiedy tylko zechcesz. Dzięki.

Pozostałe informacje były podobne w treści, niczym żołnierze na paradzie. Tylko jedna pochodziła od klienta, który miał kłopoty z sąsiadami. Zapiisałem jego numer, żeby zadzwonić rano. Już dochodziłem do końca taśmy, gdy rozległ się znajomy baryton.

- Charley, mówi sędzia Mallow. Mój przyjaciel i ja wierzymy, że uda nam się dogadać. Nie zignoruj tego telefonu. - To było polecenie. - Zadzwon rano do mnie, do biura. Przychodzę zazwyczaj o dziesiątej.

Oczekiwałem tego telefonu, więc nie powinienem być wstrząśnięty, a jednak byłem.

Ostatnią wiadomość zostawił Mickey Monk. Musiał być niezłe ululany

1 najwyraźniej w znakomitym nastroju.

- Cześć, Charley! Stary Doktor Śmierć znowu załatwił ci niezłą robotkę! Jesteśmy na fali, czuję to, stary. Widzę światło w tunelu, jak mi Bóg miły! Szczęście jest po naszej stronie. Wygramy, nic

innego nie może się zdarzyć. Będziemy... - tu wypowiedź się urywała.

KAKA SMItKCI

2/9

To było jak przekaz od mojej świadomości. Jego życie, a także życie McHugh'a, spoczywało w moich rękach.

Usiadłem w fotelu, odwracając go tak, żeby mieć widok na rzekę.

Syrena ze statku zabrzmiała niczym trąby w dzień Sądu Ostatecznego. Przynajmniej mnie się tak zdawało. I w jakimś sensie mój dzień sądu się zbliżał.

Godzinę czy dwie poświęciłem na telefony do tych dziennikarzy, których artykuły mogły się okazać ważne w kampanii reklamowej wokół mojej obrony Doktora Śmierci.

Shermana Martelle'a zastałem w domu.

- Dzięki, że się odezwałeś, Charley - przywitał mnie. Gdzieś w tle usłyszałem telewizor, który nagle ktoś wyłączył.

- Na czym tym razem oprzesz obronę? - zapytał Martelle.

- Na tym samym, co poprzednio. On tego nie zrobił.

- Mówią, że mają świadka, jedną z córek nieboszczyka. Podobno widziała, jak twój klient robił mu zastrzyk, a śmierć nastąpiła wkrótce potem.

- Kim są ci oni, którzy to mówią, Sherman? Roześmiał się.

- Prokurator. Facet nazywa się Rand. Zdaje się, że chce z tego zrobić głośną sprawę. Zapytałem go, ile było u nich morderstw w ostatnim roku. Odparł, że dwa. Jakieś bardzo nieucywilizowane miejsce. Pomyśl sobie, tylko dwa!

- Zapewne nowoczesna kultura dotrze niedługo i do Harbor Beach. A jakąż to substancją posłużył się mój człowiek?

Sherman zachichotał.

- Doktor Stewart nie powiedział ci?

- Powiedział, że nie zrobił nic złego.

- Prokurator twierdzi, że użył potasu. To podziałało na serce, jak naciśnięty w samochodzie pedał hamulca.

- Nie potrafi tego dowieść.

- Jest przekonany, że potrafi. A jak tam twoja sytuacja, Charley? Mam jeszcze czas, żeby nadać wiadomość. To by pomogło osłabić wiadomość od prokuratora.

- Miles Stewart przyjechał tam jako gość rodziny Cronin. Nie zajmował się Seanem Croninem. Nawet go nie dotknął. Staruszek zmarł podczas snu z naturalnych przyczyn. Był bardzo chory. Najwyraźniej jest jakiś konflikt

220

KAKA SMlhKLI

między dwiema córkami, jedynymi spadkobierczyniami. Te dziewczynki, nawiasem mówiąc, dobiegają sześćdziesiątki, Sherman.

- Słodkie berbecie. Wał dalej.

- Jedna z sióstr wykorzystwała sytuację, żeby rozpocząć walkę o całą schedę po starym. Wie, w jakich tarapatkach znalazł się mój klient, i skorzystała z okazji, by dobrać się do swojej kochanej siostry.

Miles Stewart jest niewinny, Sherman, i zamierzam tego dowieść.

- Brzmi nieźle, Charley. Nie uniesie całej sprawy, ale da się zgrabnie opowiedzieć. A tak przy okazji, jak to znosi nasz doktorek?

- Tylko do twojej wiadomości: jest wkurzony jak jasna cholera. A dla gazety: serce mu się kraje, że ktoś go wykorzystał do tak niecnego celu.

- Uwielbiam to, Charley. Oczywiście wiesz, że twój człowiek dostał za usługę dwieście tysięcy dolarów?

- To dotacja na rzecz fundacji, którą założył doktor Stewart.

- Charlie, naprawdę w to wierzysz?

- Oczywiście. Roześmiał się.

- Ci ludzie, którzy mieszkają na Kciuku, Charley, to wszystko starzy farmerzy. Bardzo praktyczni.

Twój standardowy worek z cudami nie robi na nich wrażenia. Jedyne gówno, jakie przełkną, to to, którym nawożą swoje pola. Nie kupią czegoś z drugiej ręki. Ława złożona z tych wieśniaków da wielkiego kopa w twoje miejskie cztery litery.

- Włożę waciak i słomiany kapelusz.
- Chciałbym to zobaczyć.

Pozostałe rozmowy przebiegły podobnie. Nikt nie zachowywał się wrogo, lecz nikt też nie wierzył w niewinność doktora. Ja również.

Problem doktora Milesa Stewarta tak bardzo mnie zajął, że w ogóle zapomniałem o Jeffreyu Mallow i spałem spokojnie. Ale gdy się obudziłem, wiedziałem że muszę coś zrobić w związku z Mallowem i powróciło uczucie zaniepokojenia.

Pani Fenton zainteresowanie prasy sprawiło najwyraźniej więcej zadowolenia niż mnie. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak podekscytowanej, jej zachowanie nie przekraczało przyjętych norm, ale też nie było takie jak zwykle. Co minutę dzwonił telefon.

Nie było co odkładać tego na później, więc wykręciłem numer Mallowa i nawet pytając o niego użyłem dawnego tytułu, by nie wdawać się w kolejną słowną przepychankę z jego sekretarką.

KARA ŚMIERCI

221

- Dzień dobry, Charley - odezwał się prawie natychmiast. - Widzę, że twój stary klient wziął się znowu do roboty.

- Tak twierdzą. Czym mogę panu służyć, sędzio?

- Spotkaniem, Charley. Co robisz dziś wieczorem?

- Jestem dość zajęty. Poza tym poznał pan już moją odpowiedź.

- W takim razie potraktuj to jako grzeczność dla mnie. Należę do fitness klubu w mieście. The Riverside Club. Znasz to miejsce?

- Nie.

- Mały, ale bardzo przyjemny. Sala ćwiczeń, sauna i duży basen. Wewnątrz kompleksu Riverside, tuż koło miejsca, gdzie znajdowała się dawniej fabryka piecyków.

- To strata pańskiego i mojego czasu.

- To zobowiązanie. Tak jak to odbieram. A co ważniejsze, tak to traktuje mój przyjaciel. No to widzimy się o szóstej.

- Proszę posłuchać, to posuwa się już za dale... - urwałem zdając sobie sprawę, że odłożył słuchawkę.

Pozostała część poranka upłynęła mi na rozmowach z mediami. Umówiłem się na kilka telewizyjnych wywiadów, ale nikomu nie pozwoliłem na spotkanie z moim klientem.

Po dwóch minutach w telewizji tłum rozszarpałby doktora Stewarta, niezależnie od tego czy był winny czy też nie. Musiałem wziąć wszystko na siebie, podobnie jak poprzednim razem.

W południe zadzwoniłem do sędziego Bishopa. Właśnie wrócił z posiedzenia. Zrelacjonowałem mu rozmowę z Mallowem.

- Klub Riverside, nie słyszałem o takim. To musi być coś nowego - powiedział.

- Chce popływać i porozmawiać - dodałem.

- No cóż, Charley, to ci w niczym nie zaszkodzi. Tak jak już ci mówiłem, interesuje nas jak długo ma zamiar ciągnąć tę grę. Jestem tego naprawdę ciekaw, nawet jeśli ty nie.

- To nie zmieni mojej odpowiedzi. Już mu to powiedziałem. Przez chwilę milczał.

- To nikomu nie robi krzywdy, prawda, Charley? Spotkaj się z nim, a potem mi powiedz, co się wydarzyło.

- Sędzio, jeśli będę się w to jeszcze przez chwilę bawił, może to tak wyglądać, jakby rozważał zgodę. Za sam udział w planowaniu przestępstwa ludzie też trafiają do więzienia.

Parsknął śmiechem.

222

KARA ŚMIERCI

- Tylko wtedy, gdy zgodzą się zrobić coś nielegalnego. Ty tego nie mówisz, więc nie masz się czym martwić. Czy mam rację? - I rozłączył się.

Przyszło mi do głowy, że ostatnio ludzi rozłączając się podczas rozmów ze mną.

Na lunch nie miałem czasu. Udzieliłem wywiadu telewizji z Detroit. Ponieważ nie podobało im się oświetlenie u mnie w biurze, wyszliśmy nad rzekę.

Kiedy kobieta reporter zadawała głupie pytania na temat Milesa Stewarta zebra! się wokół nas tłumek gapiów. Moje odpowiedzi były zapewne równie nie warte jak jej pytania, ale miałem nadzieję, że w wieczornych wiadomościach przekaz będzie pozytywny i zdecydowany. Wiedziałem też, że cały mój występ potrwa nie dłużej niż siedem sekund. W tak krótkim czasie nie można zrobić ani wiele dobrego ani wiele złego. Czułem się więc dość bezpiecznie.

Po tym jak sobie pojechali wróciłem do biura. Pani Fenton zajęta była nieustannym odbieraniem telefonów, jej głos przypominał doświadczonego bukmachera tuż przed gonitwą.

Zapisywała wiadomości, wybrałem te, które mogły się okazać przydatne, resztę, z tak zwanych tabloidów i podobnych im programów telewizyjnych, po prostu wyrzuciłem do kosza.

Na początku było to nawet zabawne, ale po jakimś czasie poczułem się zmęczony mówieniem o doktorze Milesie Stewardzie i nieboszczyku Seanie Croninie. To było jak puszczenie w kółko tej samej zdartej płyty.

Pani Fenton stanęła w drzwiach biura.

- Mam na linii kogoś, kto twierdzi, że jest pańskim starym przyjacielem. - Jak się nazywa?

- Nie chce podać nazwiska.

- To pewnie ktoś z tych szmatlatwców. Niech pani zostawi wiadomość.

- Próbowałam. Mówi, że nie ma nic wspólnego z prasą. Ale jest dość nieustępliwy.

Popularność zawsze przyciąga świrów, takie jest już życie, jak na razie nam się udawało, ale szczęście nie mogło trwać wiecznie.

- Niech go pani połączy - powiedziałem. - Jakoś sobie z nim poradzę. Wróciła do siebie i telefon zadzwonił.

- Sloan - odezwałem się krótko.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem odezwał się.

- Witaj, Charles. Jakiś czas nie widzieliśmy się. Co tam u ciebie?

To było jak kopnięcie prądem. Znałem ten głos, i to znałem bardzo dobrze.

KARA ŚMIERCI

223

- Widzę, że znowu petno cię w mediach. To musi być bardzo ekscytujące...

- Proszę posłuchać...

- Żadnych nazwisk, Charles. Nie przez telefon. I tak wiesz, z kim rozmawiasz. - Parsknął śmiechem. - Musimy zachować rozwagę.

Moja ręka dygotała. Rozmawiałem z sędzią Palmerem.

- Widzisz się dziś z naszym wspólnym przyjacielem, Charles. Przekazał mi twoje obawy, że działa samodzielnie. Cała sytuacja jest równie kłopotliwa dla mnie jak i dla ciebie. Jednak pamiętasz chyba, że kilka razy w życiu ci pomogłem. Teraz nadszedł czas, żebyś to ty mi pomógł.

- Sędzio...

- Charles, żadnych nazwisk, żadnych tytułów. Wszystko co musi być powiedziane przekaże ci nasz przyjaciel.

-Ale...

- Proszę, spotkaj się z nim. O, i jeszcze jedna sprawa. Bardzo osobista.

- O co chodzi?

- O moją córkę, Charles. Nie obrażaj się, ale ona jest dwa razy od ciebie młodsza. Jeśli coś się między wami zaczyna, lepiej żeby się skończyło. Jest młoda i cały świat stoi przed nią otworem. Lubię cię, Charles, ale nie wydajesz mi się odpowiednim kandydatem na zięcia.

-Ja też tak uważam.

- To dobrze. Nie było to miłe, ale musiałem ci powiedzieć. - Zamilkł. -Do zobaczenia, Charles.

Trzymałem słuchawkę w ręku na długo po tym jak rozmowa się zakończyła. Znałem ten głos równie dobrze jak własny. Nie było możliwości pomyłki.

Chciało mi się płakać.

A co gorsza, miałem ochotę na drinka.

Wybiegłem z biura.

- Gdzie się pan wybiera? - dobiegł mnie głos pani Fenton.

- Na spacer. Na długi spacer

Spacerowałem tak długo, aż wreszcie chęć sięgnięcia po butelkę prawie minęła. Choć niezupełnie. Wiedziałem, że jeśli mnie nie opuści całkowicie, trzeba będzie pójść na jakieś spotkanie anonimowych alkoholików.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem do Detroit. Starłem się skontaktować z sędzią Bishopem, ale wziął wolny dzień, a w domu też nikt nie odpowiadał. Musiałem poradzić sobie sam.

Jechałem autostradą, jedną z tych głównych ulic Detroit, które przynajmniej nie wyglądają, jakby dopiero co skończyła się na nich jakaś bójka.

Na wybrzeżu trochę się ostatnio zmieniało. Stare magazyny i browary zniknęły, zastąpione przez modne hotele i domy mieszkalne, z restauracjami na ostatnich piętrach. W większości były to tereny zamknięte, żeby mieszkańcy nie musieli pamiętać o świątku przestępczym grasującym tuż pod bokiem. Prywatna policja i strzeżone parkingi zapewniały poczucie względnego bezpieczeństwa.

Jak zwykle po południu ruch był bardzo duży, więc jechałem prawym pasem. Kiedyś, właśnie na tym obszarze, tuż przed mostem prowadzącym na Piękną Wyspę, stały dwie potężne fabryki - w jednej wyrabiano opony dla wszystkich detroickich producentów samochodów, w drugiej piec kuchenne, jakie na przełomie wieków znaleźć można było w każdej kuchni jak Stany długie i szerokie. Ale taniej okazało się produkować opony gdzie indziej, piec zaś wyszły z użycia. Fabryki obumarły niczym stare drzewa i przez lata świeciły pustką. Potem nadjechały buldożery, zrównały wielkie stare konstrukcje z ziemią, zostawiając za sobą zwały kawałków cegły. I mnóstwo wspomnień.

Fabryki celowo budowano nad wodą, żeby dostarczać surowce rzeką. Teren rozbiórki uznano więc za najlepszą lokalizację, oczywiście jak na Detroit.

KARA ŚMIERCI

225

Hotel Nadrzeczny, zbudowany dokładnie w tym miejscu, gdzie niegdyś stała fabryka pieców, wyglądał jak góra szkła podtrzymywanego stalowymi dźwigarami. Mógł mieć zaledwie rok czy dwa lata, ale nie był na tyle nowy, by ktoś się jeszcze łudził, że przyciągnie wystarczająco wielu klientów mogących opłacić ogromny w tym miejscu podatek gruntowy. Hotel należał już do banku. Bez kłopotu znalazłem klub sportowy. Był to parterowy budynek na wprost głównego wejścia do hotelu, zbudowany z cegły, z wysokimi oknami sięgającymi prawie dachu. Architekt starał się dopasować go stylem do hotelu, lecz jakoś nie bardzo mu wyszło. Wyglądał na osierocony, odepchnięty na bok przez wstydzącą się go matkę.

Parking hotelowy był strzeżony, tak więc, zostawiając samochód, czułem się w miarę bezpiecznie.

Kiedy wszedłem do środka, ujrzałem mały kontuar, a za nim znudzoną kobietę rozwiązującą krzyżówkę. Łaskawie podniosła na mnie wzrok.

- Nazywam się Sloan, Charles Sloan. Szukam sędziego Jeffreya Mallowa.

Patrzyła na mnie z takim zdziwieniem, jakbym przemawiał do niej w obcym języku.

- Och, tak! - powiedziała wreszcie. - Mówił, że pan przyjdzie. Wskazała mi otwartą księgę.

- Proszę się tutaj wpisać, w rubryce „Goście”.

Wykonałem polecenie. Kobieta zniknęła za kontuarem, po czym pojawiła się z górą ręczników, slipkami i elastyczną opaską na rękę z przyczepionym do niej kluczykiem.

Wręczyła mi to wszystko.

- Sędzia jest w sali klubowej. Proszę przejść tamtymi drzwiami. Oczekuje pana.

- Dzięki.

Minąłem kilka rowerów ćwiczebnych i otworzyłem drzwi, które mi wskazała. Świetlica, zastawiona skórzanymi kanapami, wyglądała jak hol w niewielkim hotelu. Mallow siedział, czytając „Wall Street Journal”.

- Spóźniłeś się - oznajmił swym dudniącym głosem.

- Ruch. Z Pickeral Point jest kawałek drogi.

Moje tłumaczenie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

- Byłeś tu kiedyś? - zapytał.

- Nie, nigdy.

- No to zróbmy wycieczkę krajoznawczą.

226

KARA ŚMIERCI

Nie dał mi wyboru. Poprowadził mnie schodami do sali gimnastycznej. Składała się wyłącznie z chromowanych krążków i linek, wskutek czego kojarzyła się z kosmiczną salą tortur.

- Mają tutaj każdą maszynę, jaką tylko człowiek wymyślił. Możesz sobie wyhodować mięśnie na każdym kawałeczku ciała, poza kogucikiem, a przypuszczam, że i dla niego coś wykombinuję. Chodźmy dalej.

Mallow ubrany był w granatową marynarkę i szare spodnie. Szedłem za nim, niosąc ręczniki i spodenki.

- Teraz pokażę ci, dlaczego jestem członkiem właśnie tego klubu - rzekł, wprowadzając mnie do lśniących białą łazienek z prysznicami. - Patrz. - Pchnął drzwi i w tej samej chwili owiała mnie woń cedrów. Para, lecz pachnąca lasem.

- To najlepsza sauna w tym mieście. W odróżnieniu od ciebie, Charley, ja nadal piję. Kiedy zdarzy mi się trochę przesadzić, przychodzę tu się wypocić. Potem robię kilka basenów i jestem jak nowo narodzony.

Przeszliśmy przez kolejne drzwi.

- Tutaj są szafki. Skorzystaj z tej, która ma taki sam numer jak twój klucz. - Otworzył zamasyście swoją i zaczął się rozbierać. Nie śpieszył się, ale też nie tracił czasu; patrząc na niego miało się wrażenie celowości każdego ruchu.

Znalazłem przydzieloną mi szafkę i zrobiłem to samo. Kiedy się rozbierałem, czułem na sobie jego wzrok. Bez ubrania Mallow wydawał się jeszcze większy - składał się głównie z tłuszczu i włosów. Jego uda były grube, baryłkowate, łydki pomarszczone. Stał całkiem nagi.

Wyskoczyłem z szortów.

- Odwróć się, Charley! - zażądał. - Co?

- Odwróć się. Chcę popatrzeć.

- Czyżby zaczęli pana interesować chłopcy, sędzio? Parsknął śmiechem.

- Nie. Po prostu sprawdzam, czy nie masz przy sobie jakiegoś urządzonego. Ale widzę, że jesteś czysty. Teraz ty spójrz.

Powoli obrócił się, a potem włożył czarne kąpielówki. Poszedłem w jego ślady.

- Nie zdejmujesz zegarka? - zapytał. Podniosłem rękę, pokazując mu swój czasomierz.

- Z wyposażenia dla nurków - wyjaśniłem. - Można z nim schodzić pod wodę do dziewięćdziesięciu metrów.

KARA ŚMIERCI

227

Przyjrzał się.

- Tani.

- Nie wiem. Prezent od klienta. Nie pytałem, ile zapłacił. Uśmiechnął się.

- Góra półtorej setki. - Podetknął mi pod nos własny nadgarstek. - Oto, czego potrzebujesz, Charley. Rolex Submariner. Działa nawet na głębokości trzystu metrów.

- Rzadko schodzę tak głęboko - odparłem.

Roześmiał się. Znów był tym samym, co niegdyś, pewnym siebie sędzią.

- Chodźmy, pokażę ci basen.

Przeszedłem za nim przez kolejne drzwi. Basen miał wymiary olimpijskie. Dużą część pomieszczenia zajmowało jakuzzi. Przez ogromne okna rozpościerał się widok na hotel.

- Dlaczego oprócz nas nikogo tu nie ma? - zapytałem.

- Ponieważ cały ten kompleks nigdy nie stał się szczególnie modny. Od czasu do czasu pojawia się ktoś z hotelu, niekiedy wpada jeden z młodszych członków, ale zazwyczaj ma się to miejsce

wyłącznie dla siebie.

Ruszy! w stronę basenu.

-Jeśli chcesz się zapisać, teraz jest najlepszy moment. Obniżyli wpisowe prawie do zera. Jesteś zainteresowany?

- Dla mnie to za daleko.

Wskoczy! do basenu. Z tej strony woda sięgała mu ledwie powyżej pasa.

- Zupa - oświadczył. - No, chodź.

Miałem nadzieję, że jest właśnie tak, jak powiedział. Było.

- Moglibyśmy skorzystać z jakuzzi, ale woda bąbuje i trudno usłyszeć, co się mówi. Pasuje ci?

Skinąłem głową.

- Zrobimy rundkę lub dwie.

- Niech pan pływa. Ja nie jestem specjalnym miłośnikiem tego sportu.

Jak wolisz.

Mimo potężnej budowy porusza! się w wodzie szybko, mocno uderzając ramionami o jej powierzchnię. Zrobi! cztery baseny i się zatrzyma!.. Otrząsnął włosy i wytarł twarz.

- Mówię ci, człowiek czuje się jak milion dolarów.

Staliśmy ramię w ramię. Oparł się o brzeg basenu tak, że widać mu było tylko głowę. Uśmiechnął się do mnie.

- Frank zadzwonił do ciebie, co? -Tak.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Widzisz, a sądziłeś, że cię nabieram. Dziwię się, że mi nie ufałeś, Charley. Przynajmniej teraz już wiesz, że to większa sprawa.

Skinąłem głową. -Tak.

- Zdziwiony, prawda?

- Tak - powtórzyłem. Roześmiał się.

- Życie jest pełne niespodzianek, Charley. Oto układ.

- Nie chcę żadnego układu.

- Możesz przynajmniej z grzeczności wysłuchać.

- Dobrze.

- Przedyskutowaliśmy to z Frankiem bardzo dokładnie. Twoje honorarium wyniesie, zgodnie z tym, co powiedziałaś, około trzystu tysięcy. Frank stwierdził, że to, co ci zaproponowałem na początku, nie było uczciwe, bo przecież musisz jeszcze zapłacić podatek od całej sumy.

- O wszystkim pomyślał.

KAKA SMItKU

229

- Nie bądź taki prymusik, Charley. Tylko posłuchaj. -Jego głos zdawał się odbijać echem od wody. - Frank obliczył, że po odtruceniu podatku dostaniesz około dwustu tysięcy. Podzielimy się. Ty weźmiesz sto i my sto.

- Sędzio... Potrząsnął głową.

- Czekaj, jeszcze nie skończyłem. To mnóstwo forsy, obaj z Frankiem zdajemy sobie z tego sprawę. Dlatego teraz chcemy tylko pięćdziesiąt w gotówce, a resztę, kiedy zapadnie wyrok. Ufamy ci, a takie postawienie sprawy jest całkiem fair.

- To przekupstwo. Znowu się uśmiechnął.

-Ja patrzę na to jak na premię ubezpieczeniową. Powoli pokręciłem głową.

- Nie wchodzę w to. Wycofuję się i rozmawiajcie sobie bezpośrednio z Mickeyem Monk. - Nie chciałem mieć Mickeya ani McHugha na sumieniu.

- Nie ma mowy, Charley. Albo ty, albo nikt. Ufamy ci, zarówno Frank, jak i ja. Już ci mówiłem: Monk nie ma w tym żadnego udziału. Monk nie jest jednym z nas, Charley, nie jest od Świętego Benedykta. My pomagamy tylko sobie wzajemnie. Poza tym Monk jest pleciugą i pijakiem.

Interesy robimy tylko z dyskretnymi ludźmi.

- Więc nie jestem pierwszy? Rzuci! na mnie okiem.

- Zycie nie jest łatwe. Nie, nie jesteś pierwszy.

- Złapią was. Kiedyś. Wie pan o tym, prawda?
- Nie. Jesteśmy bardzo ostrożni. Mamy zbyt wiele do stracenia. - Zanurkował pod wodę, potem wynurzył się prychając. - A ty wiele do zyskania. Za te pieniądze dostaniesz możliwość napisania rekomendacji. Sam osobiście. Oczywiście Frank przekaże ją własnymi słowami, lecz ty będziesz jej autorem. Chene zagłosuje tak jak Frank, więc werdykt zapadnie dwa do jednego. Lepiej, żebyś spojrzął na to od tej właśnie strony.

- Nadal nie wchodzę.

Zamarł, wpatrując się w przeciwległy brzeg basenu.

- Sporo zawdzięczasz Frankowi Palmerowi, Charley. Swoją pracę w sądzie. Uratowanie twojej pieprzonej licencji. Ile byś zapłacił za to wszystko, co otrzymałeś od niego przez minione lata? Znacznie więcej niż głupie sto tysięcy, sam wiesz.

- Może, ale...

- Teraz on potrzebuje pomocy. Ja zresztą też. Posłuchaj, przecież nie stanie się nic złego. Ford ma głębokie i pełne kieszenie. Nikomu nie wyrządzimy krzywdy.

230

KAKA SMITKU

- Dlaczego sędziego Palmer potrzebuje pieniędzy? Widziałem jego łódź. Mallow roześmiał się. Znowu wydało mi się, że dźwięk odbija się od powierzchni wody.

- Właśnie łódź to część jego problemów.

- Dlaczego? Westchnął.

- To długa historia i właściwie wcale nie twój interes, ale ci opowiem. Pamiętasz słynnego Jacquesa Measea, tego pieprzonego finansistę?

- Jasne.

- No cóż, Frank i ja popełniliśmy błąd, zbliżając się zanadto do tego skurczybyka. Ja nie wsadziłem w jego interesy pieniędzy, lecz Palmer tak. Zarobi! na tym, i to całkiem sporo, przynajmniej na papierze.

Wydawało się, że Mallow patrzy na coś, co tylko on może zobaczyć.

- Frank to sprytny gość, ale wtedy okazał się nie dość sprytny, przeholował, można powiedzieć. Muszę przyznać, że na początku wszystko wyglądało bardzo zachęcająco. Za zarobione pieniądze, których nigdy tak naprawdę nie zobaczył, kupił łódź i cały związek z nią styl życia. Zawsze zresztą kocha! przesiadywanie w jachtklubie.

Westchnął.

- Frank był taki sam jak my wszyscy. Startował z samego dołu. Ten cały klub i czapkowanie naprawdę zrobiły na nim wrażenie. Fakt, że jest komandorem, stał się dla niego znacznie ważniejszy niż to, że jest sędzią. I musiał mieć tę wielką łajbę. Przeszedł długą drogę, wreszcie jednak dopiął swego.

- Kiedy Mease się potknął, Franka nie mogli o nic oskarżyć, ale też nie dostał złamanego centa. Hipoteka obciążająca łódź była większa niż jej wartość. - Spojrzął na mnie. - Komandorzy nie bankrutują, Charley. To sprawa dumy. Frank jakoś wypłynie na spokojne wody. Za trzy lata przejdzie na emeryturę. Wiem, co zamierza wtedy zrobić. Jeśli tylko mu się uda, oczyści hipotekę łodzi, kupi kawałek ziemi na Florydzie i zamieszka tam jak jakiś żeglujący król, zadzierający nosa w eleganckich klubach, z flagą komandora i całym tym blichtrzem. Jedyne, czego będzie potrzebował, to emerytura i parę dolarów ekstra.

- To tłumaczy jego. A pan?

Podniósł się i zawisł nade mną niczym góra.

- Myślę, że słyszałeś, co się ze mną stało. Zostawiłem sąd, żeby się przyłączyć do kancelarii, gdzie miałem reprezentować Measea. Firma wyrzuciła mnie w tej samej sekundzie, kiedy on się skończył. Poza tym zdarzyło mi się parę wpadek. Także potrzebuję pieniędzy, Charley. Prawdę mówiąc, bardzo.

Spojrzał na mnie.

- Ani ja, ani Frank nie zrobilibyśmy czegoś takiego, gdyby nie była to dla nas absolutna konieczność.

- Zastanawiałem się, co Caitlin Palmer pomyślałaby o swoim ojcu, wiedząc, że wymusza pieniądze za pozytywny werdykt sprawy.

- Charley, spójrz na to od innej strony. Prawdopodobnie wyciągniesz od tego Śmierci całe pięćdziesiąt tysięcy. Jezu, pieprzona sprawa, ale gość jest nadziany. I jeszcze raz powtarzam: nikomu przecież nie stanie się krzywda, no nie?

- Gdybym się zdecydował, co wcale nie znaczy, że to zrobię, kiedy potrzebowalibyście pieniędzy? Roześmiał się, a dźwięk rozszedł się po całym pomieszczeniu, które jeszcze raz wydało mi się dziwnym miejscem na spotkanie.

-Jezu, czy ty w ogóle nie słuchasz? Jesteśmy w prawdziwych opałach, Charley. Pieniądze są nam potrzebne na wczoraj!

Pomyślałem o Willu McHugh. Ujrzałem go siedzącego przed zamazanym ekranem telewizora. Nie wiedziałem, gdzie w tej chwili może być Mickey Monk, ale mogłem się założyć, że w jakimś barze, na swej drodze do piekła. Monk i McHugh. Obaj postawili na mnie.

- A tak na wypadek, gdybyś nie uświadamia! sobie, na czym stoisz, Charley. To nie bief. Frank kazat ci to przekazać. Jak nie zapłacisz, przegrasz sprawę.

- Ładne podejście do sprawiedliwości.

- I jeszcze - dodał Mallow - na wypadek, gdybyś chciał z tym do kogoś pójść, pamiętaj: to będzie twoje słowo przeciwko mojemu. Pomyślą, że coś kręcisz. A już Frank i ja dopilnujemy, żeby byli o tym przekonani. Jasne?

- Całkowicie.

- I tak możemy to zrobić, jeśli się nie zgodzisz. Życie nie jest łatwe. Musimy się jakoś bronić. Zaprañałem porozmawiać z Bishopem albo z kimś innym. Naprawdę sporo zawdzięczałem sędziemu Palmerowi. Poza tym, jak Mallow kilka razy podkreślił, nikomu przecież nie stanie się krzywda.

Może z wyjątkiem mnie. Już nigdy nie mógłbym być adwokatem od spraw kryminalnych. Sam stałbym się kryminalistą.

- Dam panu znać - powiedziałem i podciągnąłem się na brzeg basenu.

- Do zobaczenia, Charley. Ja jeszcze trochę popływam.

Wróciłem do szatni. Wziąłem prysznic i włożyłem ubranie. Ale czułem się nieświeżo.

p

JL otrzeba drinka wróciła z pełną siłą. Staralem się o tym nie myśleć. Pojechałem do sędziiego Bishopa, nie zatrzymując się nawet, żeby zadzwonić. Większość płatnych telefonów ulokowana jest w miejscach, gdzie podają drinki. Nie chciałem dodatkowej pokusy.

Nie zastałem go w domu. Światła pozostawił zapalone, ale to był jedyny ślad życia. Kiedy nacisnąłem dzwonek, odpowiedziało mi tylko puste echo.

Potrzebowałem tego spotkania, jak rzucana sztormem łódka potrzebuje przystani. Większość anonimowych alkoholików zna miejsca i czas różnych spotkań. Ja również nie musiałem nawet sprawdzać, by wiedzieć, że kilka ulic od miejsca, gdzie właśnie przebywałem, w Grosse Pointe, odbywało się jedno z nich. Co prawda byłem trochę spóźniony, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Cieszyłem się, że mam dokąd pójść. Wiedziałem, że zawsze będę mile widziany.

Poszedłem, ale nie włączyłem się w rozmowę. Jeśli się nie chce, to nie trzeba. Siedziałem obok dobrze ubranego, wyraźnie nietrzeźwego mężczyzny. Nikt nie spoglądał na niego z niechęcią, każdy z nas przez to przechodził. Bardzo starał się uważać. Zauważyłem to, boja się nie starałem. Już samo uczestnictwo w spotkaniu AA przynosi spokój wewnętrzny nawet, gdy jest się myślami całkiem gdzie indziej. Odnalazłem teraz ten spokój i upajałem się nim, lecz moje myśli wciąż wypełniali Mallow i Palmer oraz problem, czy zdołam wymknąć się z pułapki, z której nie ma ucieczki.

Pijany mężczyzna podniósł się i wygłosił mowę. Bardzo sympatyczną, chociaż logika nie była jej najmocniejszą stroną. Nikt się nie roześmiał. Zbyt przypominało to spoglądanie w lustro.

Wyszedłem, zanim spotkanie formalnie dobiegło końca. W jednym z ostatnich rzędów spostrzegłem znajomego prawnika. Skinęliśmy sobie

KAKA bMItKU

głową, wymieniając uśmiechy, jakbyśmy byli członkami jakiegoś eleganckiego klubu dla wybrańców. Bo AA jest klubem wybrańców. Musisz być pijakiem, żeby się do niego dostać. Podjechałem do domu Bishopa, żeby sprawdzić, czy już wrócił, a ponieważ wciąż go nie było, powoli zawróciłem w kierunku Pickeral Point.

Kiedy znalazłem się w domu, pomyślałem, że warto by zadzwonić do Sue Gillis. Ale wiedziałem, że chcę ją tylko wykorzystać, by przebrnąć przez chandrę, a to nie byłoby w porządku. Zasługiwała na coś więcej. Nie mogłem opowiedzieć jej o swoich problemach. Mimo wszystko była policjantką. Mój problem polegał na tym, że w każdej chwili mogłem stać się kryminalistą. O czymś takim nie rozmawia się z oficerem policji, zresztą właściwie z nikim, może oprócz mądrego prawnika, kogoś takiego jak sędzia Bishop.

Zdobycie żądanych pieniędzy nie było trudne. Miałem zaoszczędzone trzydzieści tysięcy plus następne trzydzieści, które otrzymałem od Doktora Dobijaki. Wystarczyło pójść do banku. Siedziałem w mieszkaniu, popijałem colę i oglądałem stare filmy w telewizji. Trafiłem akurat na jakiś kryminał. Wszystko tam było jasne jak kryształ. Czarno-białe, zarówno jeśli chodzi o kolor taśmy, jak i treść. Sierżant Joe Friday potrafił odróżnić dobro od zła, nie istniało nic pośredniego ani dla niego, ani dla tych, którzy pisali scenariusz. Zresztą dla publiczności, która niegdyś oglądała ten film, także nie.

Kilka razy w życiu zdarzyło mi się pójść na skróty, jeśli chodzi o ścieżki prawa. Każdemu prawnikowi, który staje w sądzie, czasami to się zdarza. Ale istniało coś, co można nazwać linią etyczną, niekiedy niezbyt widoczną, lecz zawsze obecną, i tej nie przekroczyłem nigdy. Nikogo nie przekupiłem ani nie namawiałem, by wydał niesprawiedliwy wyrok. Nie akceptowałem prokuratorów i sędziów, którzy tak postępowali, i czułem do nich wyłącznie odrazę.

Teraz zastanawiałem się, czy to kręgosłup moralny, czy raczej instynkt przetrwania kilkakrotnie w przeszłości powstrzymały mnie, gdy mogłem bardzo łatwo przekroczyć tę granicę.

Prawo chroni samo siebie. Korupcja, jak rak, jest wycinana, kiedy tylko trafi się na jej ślad. I podobnie jak rak niekiedy trzeba ją wypalić bardzo głęboko. Sędzia lub prokurator czy adwokat, który bierze lub daje łapówkę, w razie wpadki zawsze odsiaduje wyrok. Wobec przedstawiciela prawa nie stosuje się zwolnienia warunkowego ani ugody o złagodzenie wyroku. Za coś takiego, czego ode mnie żądano, idzie się prosto do więzienia.

KAKA MYllfcKCI

Gdy pracowałem w sądzie i obrońca starał się wzbudzić w ławie przysięgłych współczucie, zawsze powtarzałem: oskarżonego nie wiesz, że kradł konie, wiesz, że go kradł, żeby inni nie kradli koni. W czasach Dzikiego Zachodu, mówiłem ławie, ludzkie życie zależało od koni. Gdyby wypuszczano się koniokradów na wolność, inni bardzo szybko poszliby w ich ślady. Nie wolno było okazać łaski. Obowiązywało twarde prawo, lecz jednak prawo.

Sąd powinien być bez skazy, dlatego wieszanie zarezerwowano dla koniokradów, ale na przekupnych sędziów czekają więzienia. I nie ma litości, żeby łatwy pieniądz nie kusił innych. Ci, którzy pisali scenariusz oglądanego przeze mnie kryminału, dobrze to rozumieli. Wszystko było białe lub czarne. Żałowałem, że rzuciłem sprzedawanie butów.

Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że sędzia Bishop może być z wizytą u przyjaciółki. A powinno. Strasznie się zmieszał, kiedy powiedziałem mu, że wpadłem do niego poprzedniego wieczoru, ale go nie zastałem. Chociaż wyglądał jak biskup, był przecież wdowcem i takim samym człowiekiem jak każdy z nas. Na szczęście jego zakłopotanie nie trwało długo.

- Więc widziałeś się z nim - rzekł. -Tak.

-I?

Najpierw pokrótce streściłem mu przebieg spotkania. Bałem się, że jego telefon w sądzie może być na podsłuchu - coś takiego zdarzało się nieraz, i to czasami z bardzo niewinnych powodów. Potem jednak rozpędziłem się i podałem mu szczegóły. Granica ryzyka codziennie się dla mnie przesuwała.

- Masz poważny problem, Charley - oświadczył, gdy skończyłem.

- Nie musi mi pan tego mówić. Przez chwilę milczał.
- Czy sądzisz, że mogą cię o coś oskarżyć, jeśli im nie ulegniesz? -Tak mi zagroził Mallow. Powiedział, i to z całym przekonaniem, że muszą się bronić. Dodał też, że obaj są w rozpaczliwej sytuacji.
- Na to wygląda - zgodził się sędzia Bishop. - Daj mi trochę czasu na zastanowienie, Charley. Jakiś dzień czy dwa dni.
- Chcą, żebym szybko podjął decyzję.

KAKA ŚMIERCI

235

- Kiedy się odezwą, odwlecż jakoś sprawę. Muszę poważnie się zastanowić, a potem obaj usiądziemy i ją przeniejemy. Dobrze?
 - W porządku. Doceniam pańską pomoc, sędzio, naprawdę.
 - Nie bądź głupi. Trzymaj się. Charley. Wkrótce się odezwę. I nie martw się. Zupełnie tak, jakby radził mi, żebym nie oddychał. Kiedy tylko skończyłem rozmowę z sędzią Bishopem, zadzwonił Staś Olesky.
 - Czym mogę ci służyć, Staś?
 - Kiedy zamierzasz wystąpić do Evoli o złagodzenie oskarżenia dla Becky Harris?
 - Nie wiem. Nie ma przecież pośpiechu. Odchrząknął.
 - To zależy. Posłuchaj, wiesz, że prowadzę większość spraw kryminalnych w naszym okręgu.
 - Jasne i co z tego?
 - No cóż, nasi obywatele stali się ostatnio jakby aktywniejsi, patrzę właśnie na całkiem długi wykaz. Kilka morderstw, parę napadów, od czasu do czasu jakiś gwałt. W niektórych wypadkach będą stawać przed sędzią, w innych nie. Prawdę mówiąc, chcę jak najszybciej te pierwsze mieć za sobą, żeby ułożyć grafik.
 - Jesteś dobrze zorganizowany.
 - Tak. Poza tym mój nowy pryncypał życzy sobie, by wszystkie większe sprawy przeprowadzić tak szybko, jak tylko się da. Wtedy będzie mógł pochwalić się przed wyborcami swoimi osiągnięciami, to znaczy pokazać im długą listę skazanych...
 - Wolę raczej odsunąć perspektywę spotkania z Evolą - powiedziałem. - Nie sądzę, byśmy potrafili się dogadać. Obawiam się, że dla mnie może to być nieco bolesne.
 - Podobnie jak wizyta u dentysty, więc lepiej mieć to z głowy. Myślisz, że z czasem coś się zmieni?
 - Pewnie nie. Czy Evola już się skrada po korytarzach sądu, wypatrując mego nadejścia?
- Staś parsknął śmiechem.
- Tak. Nie chciałbym przegapić waszego spotkania.
 - Tylko proszę, byś mnie dobrze zrozumiał. Wystąpię o potraktowanie śmierci Wordleya jako zabójstwa, żądając kary nie większej niż sześć miesięcy więzienia.

236

KARA ŚMIERCI

- Pod warunkiem, że Harris nigdy tutaj nie wróci. Tak życzyła sobie pani Wordley - dodał Staś.
- To będzie częścią ugody. Czy już omówiłeś to ze swoim szefem? -Tak. Zgodził się, jeżeli oczywiście Evola zaaprobuje każdy szczegół. Mój ważny pryncypał ma zapal bojowy robaka.
- A te potrafią być uciążliwe.
- Właśnie. No i co, Charley? Wybierzesz się do dentysty czy nie?
- Potraktujesz to jako przyjacielską przysługę?
- Mogę.
- Czy zapewni mi to w przyszłości taryfę ulgową?
- Nie, ale poznasz uczucie przyjemności płynące z faktu, że pomogłeś drugiemu człowiekowi.
- Staś, jeśli Evola nie pójdzie mi na rękę, zamierzam stanąć przed ławą.
- Spójrz na to w ten sposób, że on musi podjąć jakąś decyzję. Równie dobrze możesz zanurzyć koniec palca w wodzie i sprawdzić, co się będzie działo.
- Jak myślisz to zorganizować? - zapytałem.

- Mogę zadzwonić i umówić spotkanie. Albo ty to zrób.
- Wolę zdać się na ciebie.
- Będziesz jakiś czas u siebie w biurze? -Tak.
- Zobaczą, co się da zrobić. A potem się odezwę.

Nie zabrało mu to wiele czasu. Zadzwoni! prawie natychmiast.

- Spotka się z nami jutro po południu. Dokładnie o drugiej.
- Mówiłeś z Evolą? -Tak.
- Jak z tobą rozmawiał?

Staś roześmiał się z rozbawieniem.

- Jak tygrys, któremu obiecano, że dostanie tłustą antylopę.
- To wspaniale.
- Do zobaczenia jutro, Charley. Przyszykuj swoją zbroję. Może ci się przydać.

Po lunchu poszedłem do więzienia zobaczyć się z Becky Harris. Siedziała za szybą i próbowała się do mnie uśmiechać. Bardzo się postarzała od naszego ostatniego spotkania.

-Jak leci, Becky?

KARA ŚMIERCI

237

- W porządku.
- Czy dobrze cię traktują?
- Raczej tak.
- Becky, jutro zamierzam spotkać się z sędzią, którego przydzielono do twojej sprawy. Nazywa się Evola.

Skinęła głową.

- Znam go. Kiedyś regularnie przychodził do gospody.
- Wystąpię o łagodniejszy wyrok. -Jestem winna. Nic mi się nie należy.
- Na tym polega moja praca, Becky. Jeśli pozwolisz, zaproponuję, by oskarżono cię o zabójstwo, z zastrzeżeniem, że wyrok nie powinien być większy niż sześć miesięcy.
- Nic mnie to nie obchodzi. Może się pan umawiać, jak tylko chce. -Ale będziesz musiała przyrzec, że nigdy już nie wrócisz do Pickeral Point.

Po raz pierwszy okazała zainteresowanie.

- Dlaczego?
- Taki będzie warunek.
- To zrozumiałam, ale dlaczego?

Zastanawiałem się, jak przedstawić jej sytuację, i uznałem, że najrozsądniej będzie powiedzieć prawdę.

- To życzenie pani Wordley.
- Czy pan z nią rozmawiał?
- Musiałem. Nie mógłbym prosić o mniejszy wymiar kary, gdyby ona się nie zgodziła. Decydujący głos ma sędzia, ale do niej należy pierwsze słowo.
- Czy mnie nienawidzi?
- Nie sądzę. Tak jak mi mówiłaś, to nie było szczęśliwe małżeństwo. Przypuszczam, że po prostu nie chce cię widywać, kiedy zostaniesz zwolniona.

Pokiwała głową, jakby ze zrozumieniem.

- Gdzie pojedziesz, Becky, jeśli uda mi się to załatwić? Przez chwilę się zastanawiała.
- Myślę, że do Cleveland. Tam mieszka moja siostra. Pewnie dostałabym pracę jako kelnerka.

Po raz pierwszy jej twarz nieco się rozjaśniła.

- No cóż, możliwe, że sędzia nie zgodzi się na moją propozycję, więc proszę, nie buduj zamków na lodzie.
- Nadzieja - westchnęła. - Tutaj nie ma na nią miejsca.

238

KARA ŚMIERCI

-Jutro zobaczę się z sędzią. Gdyby, co jest mało prawdopodobne, wyraził zgodę, staniesz przed nim po południu.

Jeszcze raz zdobyła się na wysiłek i prawie udało jej się uśmiechnąć.

- Nie jestem jeszcze z nikim umówiona.

-Jeśli zaaprobuje układ, będzie cię pytał, czy zastrzeżiłaś Howarda Wordleya. Masz wtedy odpowiedzieć, że tak, bez wymigiwania się. Czy zrozumiałaś?

-Tak.

- Dobrze. Zobaczymy, jak sprawy się potoczą. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, wpadnę jutro i cię powiadomię.

Podniosłem się. Spojrzała na mnie oczami zaszczutego zwierzęcia.

- Wiele pan dla mnie zrobił - rzekła. - A ja nie mam czym zapłacić.

- Pierścionek jest sporo wart, Becky. Nie martw się.

- Pewnie to wcale nie jest prawdziwy brylant.

-Jest - skłamałem. - Zostałem sownie wynagrodzony za moją pracę, Becky. Nic się nie martw.

- To duża ulga.

Wróciłem do biura. Pani Fenton wręczyła mi swoje notatki. Sędzia Bishop nie dzwonił. Mallow również nie.

Czekało mnie trochę papierkowej pracy. Nic specjalnego - kilka testamentów i parę spraw majątkowych.

- Oczekuję wiadomości od sędziego Bishopa - poinformowałem panią Fenton. - Gdyby się odezwał, proszę go zaraz połączyć.

Telefon odzywał się kilkakrotnie, lecz byli to albo potencjalni klienci -i z każdym z nich porozmawiałem, albo dziennikarze - z nimi rozmawiałem również, ale tylko z wybranymi; tymi, którzy mogli pomóc w sprawie Milesa Stewarta.

Testamenty nie były zbyt skomplikowane, szybko się z nimi uporałem i oddałem sekretarce, żeby wrzuciła je do komputera, który napisze wszystko w naszym prawniczym żargonie. Po wydrukowaniu tekst będzie wyglądał, jakbym ślęczał nad nim co najmniej trzy miesiące. Dzięki temu mogłem brać zasłużone honorarium.

Sprawy majątkowe okazały się równie banalne - załatwiałem je, bujając myślami gdzie indziej.

Dzień przeszedł dość szybko. Pani Fenton wyszła do domu, a ja zostałem w biurze, siedziałem w swoim fotelu i patrzyłem na rzekę.

KARA ŚMIERCI

239

Telefon zadzwonił jeszcze kilkakrotnie tego popołudnia. Wysłuchiwałem wiadomości nagrywających się na automatyczną sekretarkę, cały czas oczekując, że może odezwie się Bishop. Ale się nie odezwał. Wreszcie zebrałem się, kupiłem w miejscowej kafejce sandwicza i wyruszyłem do Detroit na cotygodniowe czwartkowe spotkanie.

Kusiło mnie, żeby potraktować spotkanie w Grosse Point jako substytut, ale mój statek płynął po wzburzonym morzu i wiedziałem, że poczuję się znacznie lepiej, jeśli pójdę. Zwłaszcza że było to spotkanie z ludźmi, których znałem i lubiłem.

Następnego dnia miałem stawić czoło sędziemu Markowi Evoli. Nie spodziewałem się po tym niczego przyjemnego. Przydałby mi się spory zastrzyk odwagi, a ten mogłem otrzymać jedynie na spotkaniu anonimowych alkoholików.

Nadszedł piątek. Poszedłem do biura. Może gdyby świeciło słońce, czułbym się lepiej. Ale było ciemno, deszczowo i ponuro. Jakaś sprawa w sądzie zmusiłaby mnie do skupienia uwagi, lecz los nie był na tyle łaskaw, by mi ją zesłać. Sędzia Bishop nadal milczał i to coraz bardziej mnie niepokoiło. Czas uciekał i Mallow wkrótce zażąda odpowiedzi.

Nie potrafiłem usiedzieć w biurze, więc wyszedłem, zjadłem szybki lunch, a potem zabiłem trochę czasu, kiwając się nad filiżanką kawy, aż wreszcie trzeba było pójść do sądu.

Piątki w naszym okręgu to dzień przyjmowania wniosków. Rano wrze tam praca jak w ulu. Ale sędziowie starają się przełożyć większość spraw na następny tydzień, tak by wcześniej się wymknąć i już w piątek rozpocząć weekend. Evola musiał sobie poradzić całkiem zgrabnie,

ponieważ kiedy wszedłem do jego biura, okazałem się jedynym klientem.

Siedzący za biurkiem urzędnik podniósł na mnie wzrok.

-Już skończyliśmy na dzisiaj - warknął.

- Zaraz zjawi się Staś Olesky. Jesteśmy umówieni z sędzią.

Zmarszczył czoło. Znał mnie. Był kolejno sekretarzem całej procesji sędziów. Nie wiadomo czemu uznał, że opryskliwość jest najlepszą obroną przed wrogim światem, i doprowadził niegrzeczne zachowanie do formy sztuki, z którą mało co dało się porównać.

- To głupota umawiać się z jakimkolwiek sędzią w piątek - burknął znowu. - Czysta głupota.

- Sędzia wyznaczył termin - uśmiechnąłem się do niego. - Ale ma pan rację, to było głupie.

240

KARA ŚMIERCI

Moja odpowiedź nie spodobała mu się, więc zmarszczył czoło jeszcze bardziej, tak że prawie nie było mu widać oczu. W tym momencie wkroczył Staś, dzierżąc w ręce akta Harris.

- Powiadomię sędziego, że jesteście - rzucił wrogim głosem urzędnik i zniknął w pokojach sędziowskich.

- Włożyłeś zbroję? - zapytał Staś.

- Podwójną - odparłem. Urzędnik wrócił.

- Sędzia przyjmie was. Proszę iść.

Sprawowanie funkcji sędziego nie zmieniło za bardzo Marka Evoli. Miał około czterdziestki, ale wyglądał znacznie młodziej. Jasne włosy i niebieskie oczy nadawały mu wręcz chłopięcy wygląd. Nie podniósł się, kiedy weszliśmy - po prostu siedział za biurkiem w koszuli z podwiniętymi rękawami. Gdyby wstał, górowałby znacznie nad nami, prawdopodobnie jest bowiem najwyższym sędzią w stanie.

Pokój Evoli zdobiły te same fotografie, które wisiały w jego gabinecie, kiedy był jeszcze prokuratorem. Przedstawiały go w roli gracza koszykówki, jako gwiazdę uniwersytetu stanowego w Michigan. Od tamtego czasu niewiele się zmienił, tyle tylko, że zęby, które stracił pod koszem, zastąpił sztucznymi. Inne fotografie przedstawiały go w towarzystwie polityków żyjących i tych, którzy odeszli. Była to ściana uśmiechniętych twarzy.

Sędzia obdarzył ciepłym spojrzeniem Olesky'ego, ujawniając biały garnitur, cud techniki stomatologicznej. Kiedy przeniósł spojrzenie na mnie, uśmiech jeszcze przez chwilę pozostał na jego twarzy, lecz powoli zaczął zniknąć, jakby ktoś przygaszał światło.

- Siadźcie - wskazał na krzesła przed swoim biurkiem. - Czym mogę wam, chłopcy, służyć?

Staś otworzył akta.

- Chodzi o sprawę Becky Harris.

- To już powiedziałeś przez telefon - odparł Evola. - Szczegółowo, proszę. - Jak pan wie - zaczął Staś - Harris została postawiona w stan oskarżenia za morderstwo drugiego stopnia.

- Zgadza się.

- Pan Sloan proponuje, żeby uznać pannę Harris za winną zabójstwa, pod warunkiem, że wyrok nie będzie większy niż sześć miesięcy. I z zastrzeżeniem, że panna Harris po zwolnieniu nie wróci do Pickeral Point.

KARA ŚMIERCI

241

- Co na to wdowa? - zapytał Evola.

- Zgodziła się. Mam to na piśmie.

- Chciałbym zobaczyć.

Staś podał dokument sędziemu, który przez moment studiował go uważnie, po czym oddał prokuratorowi.

- A co na to pański szef i mój następca? - zwrócił się do Oleskiego. - Jeśli pan wyrazi zgodę, on również.

Sędzia spojrział na mnie.

- A pańska klientka?

- Przyjmuje warunki.

- Nie wątpię - mruknął Evola.

Czekaliśmy, podczas gdy on wpatrywał się z uwagą w sufit.

- Becky Harris wielokrotnie obsługiwała mnie w gospodzie. Pamiętam ją jako spokojną i porządną dziewczynę. - Zerknął na Stasia. - Czy była karana?

- Raz aresztowana i skazana. W Cleveland. Złe prowadzenie się, nagabywanie i molestowanie.

- Pomyłka - wyjaśniłem.

- Naprawdę? - Evola obrzucił mnie krytycznym wzrokiem - Ale w papierach zostało.

Skinąłem głową.

- Howarda Wordleya także znałem - ciągnął sędzia. - Zawsze starał się sprzedać mi jakiś wymyślny samochódzik. Mówił do mnie, lecz gapił się na moją żonę. Nie przepadałem za nim. Jednakże zastrzelenie sprzedawcy samochodów to zbrodnia, chociaż niektórzy woleliby mieć na ten temat inne zdanie.

Oleski roześmiał się grzecznościowo. Wypadało śmiać się z dowcipów sędziów.

- Co o tym sądzisz, Staś? Kiedyś dla mnie pracowałeś. Wyłóż mi tak jak wtedy - kawę na ławę.

Oleski skinął głową.

- Proponowałbym przyjęcie propozycji. Niezależnie od tego, jak na to spojrzeć, sprawiedliwości stanie się zadość. Becky Harris już raczej nikogo nie zastrzeli. A długa odsiadka w tych okolicznościach na nic się nikomu nie zda.

Evola skinął głową.

- Powiem wam, co zrobię. Jeśli pańska klientka przyzna się do zabójstwa, wydam wyrok: rok do piętnastu lat. Jeżeli będzie sprawować się bez zarzutu, wypuszczę ją po sześciu miesiącach. Zgoda?

242

KARA ŚMIERCI

- A może dałoby się wysiać ją nie do więzienia, lecz do zakładu o zastrzyżonym rygorze? Jak Staś powiedział, ona nie jest kryminalistką w normalnym rozumieniu tego słowa.

Sędzia znów skinął głową.

- Zgoda. Zarekomenduję, żeby po trzech miesiącach została przeniesiona do więzienia przejściowego. Ostateczna decyzja należy do chłopców z penitencjarnego, ale prawdopodobnie się zgodzą. Zazwyczaj tak się dzieje. Dodam też warunek, że po zwolnieniu nie wolno jej wrócić do Pickeral Point. Wydaje mi się, że to powinno przejść.

Przyglądał mi się przez chwilę.

- No i co, Charley? - Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. - Czy to ci odpowiada?

- Tak.

Skinął głową.

- Dobrze. Staś, pobiegnij i każ szeryfowi przyprowadzić pannę Harris. Powiedz mojemu sekretarzowi, żeby znalazł maszynistkę. Załatwimy sprawę od razu. Spiszemy wszystkie warunki. Przed podpisaniem wyroku będę musiał dostać raport z więzienia, ale to już czysta formalność.

- Dobrze, sędzio. - Staś poderwał się na równe nogi. Ja wstałem również, lecz Evola zatrzymał mnie.

- Kiedy będziesz wychodził, zamknij za sobą drzwi - zwrócił się do Oleskiego.

Przez moment, który dłużył się wprost niemiłosiernie, siedzieliśmy w milczeniu.

- Bałeś się, że dam ci popalić, co, Charley?

- Coś takiego przemknęło mi przez głowę.

- Ze względu na proces Harwella. - Uśmiechnął się, pokazując garnitur swoich nieprzyzwoicie białych zębów. Ale w jego oczach nie było uśmiechu.

- Rozmyślałem wczoraj o tym, Charley, o tobie i o procesie. Wiesz, że gdybym wtedy wygrał, teraz zasiadałbym w Kongresie. A wygrałbym, gdyby nie to zgnile jajo, które mi podłożyłeś.

- To był uczciwy proces.

- Gówno prawda! Wyciągnąłeś z lamusa wszystkie brudne sztuczki, a parę jeszcze wykombinowałeś na miejscu. Gdyby to był uczciwy proces, nie miałbym nic przeciwko przegranej.

- Był uczciwy.

KARA ŚMIERCI

- Tak czy siak, myślałem o tobie. Mówi się, że nasz najmłodszy senator ma raka. Już niewiele pozostało mu czasu. Nie będzie kandydował po raz drugi. Rozumiesz, co to znaczy?

- Poza tym, co mi właśnie pan powiedział, nie.

- To znaczy, że gdybym był teraz w Kongresie, za chwilę znalazłbym się w fotelu senatorskim, Charley. W okamgnieniu. Bóg jeden wie, jak daleko mógłbym zajść.

- Nie może mnie pan winić za...

- Ależ mogę, i nawet cię winię. Czy wiesz, co będę robić dziś wieczorem, Charley?

- Nie mam pojęcia.

- Wybieram się do klubu Kolumbów na piątkową noc smażenia ryb. Bycie sędzią wymaga dobrych kontaktów z ludźmi, Charley. Tak więc spędzam większość wieczorów, ściskając ręce wyborców. Po dzisiejszych rybach jutro czekają mnie dwa polskie wesela.

- I?

- Gdybym został kongresmanem, najprawdopodobniej byłbym dzisiaj w Waszyngtonie na przyjęciu dla ambasadorów, ściskając dłonie rządzących tym światem. Pewna różnica, co?

- I za to wszystko mnie pan obwinia?

- A tak, tak. Sędziowanie to niezła praca. Będę ją wykonywał do końca życia. Żadnych ambasadorów, żadnych królów, za to dużo ryb i krakowiaków. Wszystko przez twoje brudne sztuczki, Charley.

- Jeśli takie są pańskie odczucia, czemu się pan zgodzi! na ustępstwo w tej sprawie?

W jego uśmiechu pojawiło się coś naprawdę niedobrego.

- Zamierzam cię załatwić, Charley, i to na dobre. Ale nie będę się wysila! przy jakimś głupim morderstwie, które nic dla ciebie nie znaczy, poczekam na sprawę, od której będzie zależała twoja pieprzona kariera, i wtedy cię przyspilię. Raz a dobrze.

Uśmiech zniknął i spoglądałem teraz w roziskrzone gniewem niebieskie oczy.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- I tak to wiedziałeś. Po prostu potwierdzam coś, czego każdy idiota by się domyślił. Jestem cierpliwym człowiekiem, Charley, i mogę poczekać. Ale pewnego dnia to się stanie. Odplacisz mi za każdy kęs tłustej ryby, którą muszę jeść do końca moich dni.

KARA ŚMIERCI

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Olesky był już z powrotem. Nie zapukał, tylko po prostu wszedł. Pewnie nie spodziewał się niczego dobrego. Może widział już mnie z rękami na szyi sędziego. Wyraźnie odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że pozostaliśmy na tych samych miejscach, na których nas zostawił.

- Oskarżona jest tutaj - poinformował. - Maszynistka również. Możemy zaczynać.

Evola skinął głową.

- Dobrze. Za chwilę wrócę.

Miałem tylko moment, żeby wytłumaczyć Becky, co znaczy wyrok od roku do piętnastu lat. Sędzia powrócił ubrany w togę. W pokoju nie było nas zbyt wielu: Becky i dwie strażniczki, które ją przyprowadziły, urzędnik, wciąż wyglądający na zagniewanego, maszynistka, Olesky i ja. Evola działał szybko i sprawnie. Pouczy! Becky o jej prawach i wyjaśnił, co się stanie, kiedy zostanie uznana za winną. Potem zapytał ją, czy zastrzeliła Howarda Wordleya. Zatkała cicho i przyznała się do popełnienia zbrodni. Zapadł formalny wyrok. Sędzia zapisał wszystko w księgach, a zalewającą się łzami Becky wyprowadzono z pomieszczenia.

Maszynistka spakowała maszynę. Evola podniósł się i ruszył ku wyjściu. Nagle zatrzymał się i spojrzął na mnie. Jeszcze raz ujrzałem biel zębów, która rozjaśniała twarz sędziego.

- Wierzę, że nie zapomni pan tego, co powiedziałem... - zawiesił głos dla dramatycznego efektu.

- Sędzio, tak mi przykro, ale wszystko wyleciało mi z głowy. Mógłby pan powtórzyć?

Uśmiech zgasł jak lampa po wyciągnięciu sznura z kontaktu i Evola odmaszerował.

- Spotkanie dwóch starych przyjaciół - zauważył Staś.

- Czuję w powietrzu nostalgię. Nie miałbyś ochoty na kawę, panie Olesky?

- Z drożdżówką?
- Z czym tylko zapragniesz.
- Przekupstwo, co?

I nagle wszystko przestało być zabawne.

7

ZJanim wróciłem do biura, musiałem się przejść. Wzdłuż rzeki biegnie bulwar. Jest szeroki, opustoszały i spokojny. Zbudowano go z myślą o turystach, ale miejscowi też lubią tu przychodzić. Niebo było wciąż zachmurzone, w powietrzu czaił się deszcz, więc rozsądni ludzie zostali w domach, oprócz kilku wędkarzy, którzy - oparci o balustradkę - wpatrywali się w przestrzeń. Bo tylko ją mogli widzieć. Czasami, kiedy ogarniało mnie pragnienie drinka, spacerowałem wzdłuż rzeki, żeby je zabić. Dzięki Bogu teraz mnie nie męczyło, ale i tak czułem, że muszę się uspokoić. Starłem się nie myśleć o niczym, tylko szedłem przed siebie. Wreszcie stwierdziłem, że mogę już stawić czoło światu. Wsiadłem do samochodu i wróciłem do biura.

Pani Fenton uniosła brwi w milczącym zapytaniu. Wiedziałem, że bardzo chce wiedzieć, co się wydarzyło w sądzie, ale nie zamierzała dawać mi satysfakcji, zadając pytanie wprost.

- Chyba będzie padać - zauważyłem.

Nie wytrzymała. Z wymuszonym uśmiechem rzuciła szybko:

- Czy w sądzie wszystko poszło dobrze?
- Chodzi pani o sprawę Becky Harris?
- Tak - zabrzmiało to jak smagnięcie biczem.
- Powiedziałbym, że całkiem nieźle.

Teraz już całkiem rozszłoszczona zapytała, nie spuszczając ze mnie wzroku:

- Co postanowiono?
- Z sprawie Becky Harris?
- Oczywiście.

Drażnienie jej było niezłą zabawą, ale nie należy przesadzać.

- Becky uznano za winną zabójstwa. Sędzia wlepił jej rok do piętnastu, co praktycznie oznacza, że znajdzie się na wolności za sześć miesięcy.
- Sześć miesięcy! Claire Wordley dostanie szalu.
- Pani Wordley zaaprobowała wyrok przed wyjazdem.
- Naprawdę?!

- O, tak. Właściwie miała to w nosie. Chyba pani wie, że pojechała do Europy z masażystą?

Nie oglądając się poszedłem do gabinetu. Mogłem sobie doskonale wyobrazić gamę uczuć, jakie przemknęły po jej twarzy-od szoku, poprzez niedowierzanie, po wściekłość na mnie. Chętnie bym to zobaczył, lecz się powstrzymałem.

Poczta i wiadomości czekały jak zwykle, ułożone w równe stosiki. Dzwonili głównie dziennikarze, inni adwokaci i urzędnicy sądowi. Ale dwie informacje lśniły jak neony w ciemną noc. Odezwała się Sue Gillis. A także sędzia Bishop.

Najpierw oddzwoniłem do Bishopa.

Jego sekretarka powiadomiła mnie, że sędzia właśnie kończy sprawę i zaraz przyjdzie, więc czekałem. Musiał iść bardzo wolno, bo zanim usłyszałem jego głos, ramię mi prawie omdlało.

- Cześć, Charley - odezwał się wreszcie swoim charakterystycznie równym głosem. - Przepraszam, że kazałem ci czekać, ale zatrzymał mnie adwokat, któremu musiałem coś podpisać. W piątki jest zawsze bardzo gorąco.

- Pamiętam.

-Jeszcze chwilę, Charley, chcę zamknąć drzwi. Czekałem.

- Charley, zadzwoniłem, ponieważ znalazłem chyba rozwiązanie sprawy, o której rozmawialiśmy.

- To byłoby wspaniale.

- Co jutro robisz? -Jestem wolny.

- Czy moglibyśmy spotkać się u mnie w domu? Na przykład w południe?

- Oczywiście. Ale przecież w soboty grywa pan w golfa. Nie chciałbym pokrzyżować pańskich planów.

- Raz mogę sobie darować. A poza tym i tak deszcz wisi w powietrzu. W takim razie w południe.
- Będę.

Przez chwilę siedziałem bez ruchu, rozkoszując się ulgą, która mnie ogarnęła. Nie wiedziałem, jakie rozwiązanie zamierza zaproponować mi Bishop, ale było to lepsze niż nic. Czułem się, jakby starszy brat obiecał obronić mnie przed bandą łobuziaków w szkole. Przyjemne uczucie.

Potem zadzwoniłem do Sue Gillis.

]

i\rvi\r\ oiviici\i^i

- Gillis - powiedziała swoim policyjnym głosem.

- To ja, Charley.

- Zastanawiałam się, czy zadzwonisz.

- A dlaczego miałbym nie zadzwonić?

- Myślałam, że się przestraszyłeś.

- Czego? Westchnęła.

- Odważyłam się wymówić słowo „małżeństwo”. To jest jak zaklęcie, od którego się znika.

- Nie znikłem. Jestem pewien, że czytałaś o moim ulubionym doktorze. Nagle wpadłem w wir spraw.

-Akurat.

-To prawda. Milczała.

- Może byśmy zjedli razem kolację dziś wieczorem? Poszlibyśmy do gospody. Czy to wystarczyłoby, żeby naprawić stosunki między nami?

- Dzisiaj nie mogę.

- No i kto tu znika?

- Nie o to chodzi, Charley. Koleżanka z pracy ma urodziny i zabieramy ją na kolację.

- W porządku. A co powiesz na jutrzejszy wieczór?

- Nie musisz zapraszać mnie na kolację.

- Wiem. Czy zatem jutrzejszy wieczór ci odpowiada?

- Mam parę spraw do załatwienia - odparła po chwili. - Będę wolna dopiero o siódmej.

- Siódma mi odpowiada. Przyjadę po ciebie...

- Charley, nie musisz...

- Owszem, nie muszę. Ale chcę. Będę u ciebie punktualnie. Tym razem ja pierwszy odłożyłem słuchawkę.

Jadąc do Grosse Pointę, słuchałem taśmy Jimmy'ego Buffeta i gdy dojeżdżałem na miejsce, byłem całkowicie zrelaksowany i spokojny. Czułem się jak pacjent udający się do lekarza, który z pewnością mu pomoże.

Nacisnąłem dzwonek i w tej samej chwili przyszło mi do głowy, że Bishop mógł zapomnieć o spotkaniu i gdzieś wyjechać. Długo trwało, zanim wreszcie otworzył drzwi.

Ubrany był wizytowo, tyle że nie miał krawata. Ciemny garnitur i biała koszula jeszcze bardziej niż zwykle upodabniały go do biskupa.

- Przyjechałeś w samą porę, Charles. Wejdz.

- Dziękuję, panie sędzio.

- Zejdźmy do piwnicy. Planowałem urządzić tam pokój rekreacyjny, ale przerobiłem go na coś w rodzaju biura.

- Dobrze.

- Ruszyłem za nim wąskimi schodami.

Pokój był duży, z kominkiem na samym końcu. Na jego umeblowanie składały się jedynie półki z książkami, kilka krzeseł, biurko i duża sofa. Sofa jednak nie była pusta. Siedziało na niej dwóch mężczyzn. Przyglądali mi się uważnie, kiedy schodziłem w dół. Cały mój spokój w ułamku sekundy prysnął.

- Charley, wydaje mi się, że spotkałeś już Harry'ego Sabina, szefa sekcji kryminalnej w biurze prokuratora generalnego?

Sabin podniósł się i uściśliśmy sobie dłonie. -Ato kapitan Lucas Hagan z policji stanowej.

Hagan podniósł się i również uściśnął moją rękę. Zauważyłem, że żaden z mężczyzn nawet się nie uśmiechnął. Moje serce przyspieszyło biegu.

- Panowie, usiądźcie. - Sędzia Bishop zajął miejsce za biurkiem. Harry Sabin był starym wyjadaczem procesowym i większość szczebli

kariery zawodowej pokonał w biurze prokuratora generalnego. Był niski, potężnie zbudowany i prawie całkiem łysy. Spoglądał na świat zza drucianych okularków. Znałem go. Kilkakrotnie stawałem naprzeciwko niego w sądzie. Mówiło się o nim, że ma nosa do morderców. Szarooki, wpatrywał się w swego przeciwnika bez mrugnięcia i nigdy nie rejterował.

Jeśli chodzi o Lucasa Hagana, to gdyby przebrać go za zakonnicę, z pewnością nikogo nie zwiódłby. Należał do tych ludzi, którzy już w szkole podstawowej wyglądają na policjantów. Był wielki - około metra dziewięćdziesięciu wzrostu - miał krótko ostrzyżone włosy i brązowe oczy bez wyrazu. Przynajmniej tak wyglądały, kiedy patrzył na mnie.

- Jak już wspominałem, poczyniłem pewne kroki, żeby dopomóc ci w obecnych kłopotach, Charley. Wiesz, byłem niegdyś członkiem stanowej komisji sędziowskiej. Rozmawiałem z prokuratorem generalnym i poprosiłem go o pomoc. Pan Sabin i kapitan Hagan właśnie przybyli tu w tym celu. Nikt się nie uśmiechał. A ja zwłaszcza.

- Opowiedziałem tym dżentelmenom wszystko, co od ciebie usłyszałem. Oczywiście jest to relacja z drugiej ręki, toteż będziesz mógł coś skorygować, jeśli zostało źle zrozumiane.

- Panie sędzio, myślałem...

Bishop pozwolił sobie na słaby uśmieszek.

- Sądziłeś, Charles, że spotkamy się tu dziś tylko my dwaj i podam ci jakieś cudowne rozwiązanie dość nieprzyjemnej sprawy?

- Zgadza się.

- No cóż, do takiej konfrontacji musiało jednak kiedyś dojść, prawda? Jeszcze trochę mogliśmy się miotać sami, ale tak czy siak, sprawa trafiłaby w końcu w ręce policji. Nasze małe spotkanie zaoszczędzi tylko czasu i energii.

- Charley - zwrócił się do mnie Harry Sabin - czy masz coś przeciwko temu, że będę nagrywał naszą rozmowę?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Właściwie wolałbym odmówić, ale biorąc pod uwagę okoliczności, uznałem, że byłoby to głupie posunięcie.

- Rób, jak chcesz.

Lucas, policjant, patrzył na mnie tak, jakby podejrzewał, że sypiam z jego żoną. Jego oczy przypominały dwa agaty.

Sabin podał datę, miejsce, wymienił obecne osoby - mówił wprost do mikrofonu. Potem położył magnetofon na oparciu sofy, po mojej stronie.

- Nazywasz się Charles Sloan i jesteś adwokatem - rzeki.

- Czy składam zeznanie pod przysięgą? Potrząsnął głową.

- Nie, to tylko do moich akt. - Po raz pierwszy pozwolił sobie na cień uśmiechu. - Zauważyłeś chyba, Charley, że nie odczytałem ci twoich praw. Nasze spotkanie jest nieformalne. Po prostu lata pracy przyzwyczyły mnie do pewnych standardowych form.

- Nazywam się Charles Sloan - powiedziałem.

- Czy występowałeś jako adwokat w sprawie McHugh przeciw...

- Zostałem zatrudniony tylko do apelacji. Adwokatem prowadzącym sprawę jest Michael Monk. On stawał w sądzie okręgowym, wygrał sprawę, on jest również autorem apelacji.

- Dlaczego sam nie wystąpił na rozprawie apelacyjnej? - zapytał Sabin.

- Podczas procesu Mickey na własny koszt zatrudnił ekspertów, pokrył też wszystkie inne konieczne płatności. Dla niego zbyt wiele teraz zależy od werdyktu, za bardzo się denerwował, więc mnie poprosił o pomoc.

- Zatrudnił cię? Na jakich warunkach?

Spojrzałem na Sabina. Jego szare oczy wpatrywały się we mnie bez mrugnięcia.

250

1\AK.A ^iv1icnv^1

- Mickey prowadził sprawę na zasadzie udziałów. Ustalono, że otrzyma jedną trzecią przyznanej kwoty.

- Werdykt opiewał na pięć milionów, prawda?

- Z procentami może tego być nawet trochę więcej.

- Więc Monk dostanie co najmniej półtora miliona?

Sabin w czasie swej kariery zajmował stanowiska opłacane przez władze stanowe. Urzędnicy nie mają wielu powodów do narzekań, ale z pewnością nie należą do nich zarobki. Dlatego długoletni prawnicy rządowi raczej nie kochają zgarniających wysokie honoraria adwokatów.

- Mickey bardzo długo pracował nad tą sprawą. Jak już powiedziałem, wydał wszystkie swoje oszczędności co do centa i jeszcze się zapożyczył.

- Ajakie honorarium ty uzgodniłeś z Monkiem?

- Dwadzieścia procent tego, co on otrzyma.

- To by było przynajmniej trzysta tysięcy, zgadza się? - Tak.

- Spora kwota - zauważył Sabin.

- Owszem.

- I twoim jedynym zadaniem było wystąpienie w sądzie apelacyjnym?

- Tak się umówiliśmy.

- To nieźła stawka jak za godzinę pracy.

- Podobnie jak Mickey honorarium dostanę tylko w razie wygranej. - Spojrzałem na niego. -

Występowałeś w sądzie, prawda, Harry?

Brwi Sabina powędrowały do góry.

- Setki razy.

- W takim razie wiesz, że godzina przed sądem wymaga tygodni, a nawet miesięcy przygotowań. Musiałem być gotowy na każde przewidywane pytanie.

Uśmiech Sabina trudno było nazwać ciepłym.

- A więc twierdzisz, że ta odrobina pracy, którą sprawa cię kosztowała, warta była uzgodnionego honorarium?

- Tak sędzę.

Sabin skinął głową, lecz bynajmniej nie po to, by przyznać mi rację, po prostu zamierzał zmienić temat.

- Kiedy po raz pierwszy skontaktowałeś się w związku z tą sprawą z Jef-freym Mallowem?

- Nie kontaktowałem się z nim. To on podszedł do mnie w bibliotece Świętego Benedykta.

Wspomniał o sprawie, nie wymieniając nazwisk, po prostu napomknął, że mogą mi się trafić spore pieniądze.

NAKA 5iVILKU

251

- Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

- Prawdę mówiąc, przyszło mi wtedy do głowy, że chce mnie wykolegować. Ostatecznie był kiedyś szefem sądu.

- Złękłeś się, że stracisz smakowity kęsek?

- Może. Chociaż honorarium to nie to samo, co pieniądze w banku. Sprawa McHugh'a należy do tych, w których werdykt może równie dobrze zapaść na korzyść jednej, jak i drugiej strony.

Sabin skinął głową.

- Wiem, przeczytałem akta, zanim tu przyszedłem. Kiedy drugi raz skontaktowałeś się z Mallowem?

Opowiedziałem mu wszystko po kolei, podając fakty tak precyzyjnie, jak tylko potrafiłem. Sabin zadał kilka pytań. Najbardziej interesowała go sekretna notatka, którą Mallow pokazał mi, a później zniszczył. Sędzia Bishop siedział za biurkiem, słuchał, ale nic nie mówił. Potężny policjant również nie zadał żadnego pytania, dopiero gdy doszedłem do spotkania w klubie sportowym, wtrącił się niezbyt przyjaznym tonem:

- Proszę powtórzyć tę rozmowę o zegarkach.

- Ja miałem ten. - Podniosłem w górę nadgarstek i pokazałem zegarek, który dostałem w prezencie. -

Jest wodoodporny. Mallow uznał, że to tani model, i pokazał mi swego rolexa. O parametrach odpowiednich dla nurków.

- I obaj poszliście pływać w zegarkach? - zapytał kapitan Hagan

- Zgadza się.

- Czy pan pływał?

- Nie. Po prostu stałem w wodzie, po tej stronie, gdzie nie jest głęboko. Mallow przepłynął parę długości basenu, a dopiero potem przystąpił do interesów.

- Tak więc nie zamoczył pan zegarka?

- Nie wiem. Nie myślałem o tym.

- A on pływał w tym swoim wymyślnym zegarku?

- Tak. Miał go na ręce przez cały czas.

- I nikogo w pobliżu nie było?

- Nikogo. Jedyną oprócz nas osobą, jaką widziałem w klubie, była kobieta, która dała mi ręczniki.

- Zatem nikogo nie było ani w basenie, ani w jego pobliżu? Jego oskarżycielski ton zaczął mnie irytować.

- Nikogo.

Sabin przejął pałeczkę.

252

KAKA ^MltKU

- Wróćmy do rozmowy telefonicznej. Czy jesteś całkowicie pewien, że to był sędzia Palmer?

-Tak..

- To mógł być ktokolwiek o podobnym głosie. Ktoś, kogo Mallow poprosił o przysługę. Nie przyszło ci to do głowy?

- Znam głos Palmera.

- Robiłeś u niego aplikację w sądzie rewizyjnym?

- Nie. Nie pracowałem z nim, ale to on załatwił mi pracę.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Myślę, że mnie cenił. Byłem jego studentem. Uczył mnie prawa karnego. Dlaczego miał o mnie wysokie mniemanie, naprawdę nie wiem. W każdym razie jestem mu bardzo wdzięczny.

Sabin kiwnął głową.

-Jeśli dobrze zrozumiałem, przejąłeś po nim katedrę? -Tak. Sędzia Palmer dostał zapalenia ptuc.

Zastępowałem go.

- Przez kilka tygodni?

- Przez cały rok. Bardzo poważnie się rozchorował.

- Czy spotykałeś się z nim na gruncie towarzyskim? - indagował Sabin.

- Kilka razy zaprosił mnie na kolację. Poza tym widywałem go tylko na uczelni.

- Czy kiedykolwiek stawałeś w sądzie przed sędzią Palmerem, nie licząc oczywiście sprawy McHugha?

- Parę razy.

- Wygrałeś je? - Powiedział to prawie szeptem, a jednak dało się usłyszeć pewną sugestię, pewną bardzo nieładną sugestię.

- Kilka razy wygrałem, kilka przegrałem. To były głównie apelacje w sprawach karnych. Wtedy zajmowałem się przede wszystkim takimi.

- To było, zanim usunęli cię z izby adwokackiej? - Pytanie zabrzmiało w jego ustach jak oskarżenie.

- Nigdy nie zostałem z niej usunięty - odparłem. - Tylko zawieszony na rok. Ale nie odebrano mi licencji.

- Podjęto jednak przeciwko tobie postępowanie w sądzie koleżeńskim, nieprawdaż? - dopytywał się Sabin.

-Tak.

Uśmiechnął się lodowato.

- Można więc chyba uczciwie powiedzieć, że o mały włos uniknąłeś wyrzucenia?

- Można tak powiedzieć.
- Na szczęście przyjaciele poręczyli za ciebie - dodał Sabin.

KARA ŚMIERCI

253

-Tak. Moim podstawowym problemem był alkohol. Ludzie, którzy mnie znali, wiedzieli o tym. Dostałem rok zawieszenia na doprowadzenie swoich spraw do porządku.

-Jednym z tych ludzi był sędzia Palmer - zauważył Sabin.

- Zgadza się.

-Ja również do nich należałem - wtrącił się Bishop. - I wielu innych sędziów. Mimo kłopotów Charley znany był jako dobry prawnik.

- Poszedłeś na odwykówkę?

- Tak. I od tego czasu należę do anonimowych alkoholików.

- Nie pijesz, nawet jednego? - dociekał Sabin. -Nie.

Raz mi się zdarzyło, lecz nie z własnej woli i dlatego nie uznałem tego za wpadkę.

- Podczas tego roku zawieszenia miałeś bardzo poważne kłopoty finansowe - stwierdził Sabin.

- Udało mi się przepić każdego centa.

- Czy ogłosiłeś bankructwo?

- Nie. Spłaciłem wszystkie długi. Zabrało mi to trochę czasu, ale się udało.

- Co robiłeś przez ten rok kary?

- Przez jakiś czas sprzedawałem buty jako ekspedient w domu towarowym. Potem handlowałem nieruchomościami.

- Zrobiłeś na tym jakieś pieniądze?

- Ledwie się utrzymałem na powierzchni.

- Teraz jednak stanąłeś na nogi.

- Powoli na nich staję. Albo przynajmniej tak mi się wydaje. Pomagam finansowo córce, która studiuje i prowadzę jednoosobowe biuro. Czasami jest krucho, lecz jakoś sobie radzę.

- Pieniądze zatem za bardzo się dla ciebie nie liczą? - zapyta! bez uśmiechu Sabin.

- Liczą. A dla ciebie nie, Harry? Może prokurator generalny obsypuje was złotem?

Harry roześmiał się, lecz nie odpowiedział.

- Mallow twierdzi, że on i Palmer potrzebują pieniędzy - tym razem odezwał się gliniarz. - Czy pan mu wierzy?

- Nie mam powodu mu nie wierzyć - odparłem. - Powtórzyłem tylko to, co mówił.

- Dlaczego sam nie skontaktował się pan z policją, kiedy stało się jasne, że chodzi o przekupstwo?

254

KARA ŚMIERCI

Przez moment się zawahałem.

- To nie jest takie proste. Przede wszystkim moim obowiązkiem jest chronić klienta. Powinienem zrobić wszystko, w granicach legalności, żeby wygrać jego sprawę. Właściwie nie bardzo wiedziałem, co zrobić.

- Więc pomyślał pan, że zapłaci - podsunął Hagan.

- Może i coś takiego przemknęło mi przez głowę, lecz tylko przemknęło.

- Dlaczego? - Wzrok policjanta stał się jeszcze zimniejszy.

- Ponieważ jest to oszustwo. To pierwsza odpowiedź, jaka się narzuca. Ale chodziło też o coś więcej. Może zostałem tak wychowany, a może to kwestia wyznawanych zasad, w każdym razie nie potrafiłem tego zrobić. Pewnie to nie jest tej samej rangi przestępstwo, co wykorzystywanie seksualne dziecka, lecz według mnie niezbyt od niego odległe. Każdy sędzia czy inny prawnik, który tak postępuje, jest zepsuty wewnętrznie. Tak uważam i zawsze uważałem. Proszę posłuchać, zdarzało mi się oddać komuś przysługę i inni też mi pomagali przy różnych sprawach sądowych, ale nigdy za pieniądze. Korupcja jest jak choroba. Zaraża się nią przez kontakt. I wreszcie się przez nią umiera.

Sabin ułożył usta, jakby chciał się zmusić do uśmiechu.

- Ładna mówka, Charley. Nie jesteśmy jednak w sądzie, prawda? I nie ma tu ławy, na której

mógłbyś zrobić dobre wrażenie. Dlaczego więc skontaktowałeś się z sędzią Bishopem, a nie z nami?

- Staralem się coś wymyślić, by nie dawać łapówki, a jednocześnie nie przegrać sprawy.
- I czego się spodziewałeś po sędzim Bishopie?
- Nie wiem. Że jakoś mi pomoże. Twarz Sabina była kamiennie poważna.
- Na przykład? Że zadzwoni do Palmera i każe mu się z tego wycofać?
- Nie miałem nic konkretnego na myśli. Po prostu liczyłem, że sędzia znajdzie jakąś radę. Twarz Bishopa przypominała maskę.
- A gdyby sędzia nas nie powiadomił? - dociekał Sabin. - Czy ty byś to zrobił?
- Chcesz usłyszeć uczciwą odpowiedź?
- Po to tu właśnie jesteśmy.
- Nie wiem, co bym w końcu zrobił. Mallow groził, że jeśli nie przystanę na ich propozycję, oni oskarżą mnie o proponowanie łapówki. Żeby się bronić przed moimi ewentualnymi zarzutami.
- Rozumiem, że w związku z tym rozważałeś możliwość skontaktowania się z nami?
- Gdyby nie było innego wyjścia, tak.

KARA ŚMIERCI

255

Kapitan Hagan poprawił się na sofie.

- Ale nie robi! pan tego, prawda?
 - Nie, nie zrobiłem.
 - W jaki sposób miałaś przekazać te pięćdziesiąt tysięcy? - zapytał znów Sabin.
 - Przypuszczam, że gotówką. Mallow nie wspomniał o szczegółach.
 - No cóż, wprawdzie nie skontaktowałeś się z nami wcześniej, Charley, lecz teraz mówisz, a to też się liczy. - W głosie Sabina zabrzmiała jakby życzliwsza nuta.
 - Zaczniemy od tej chwili. Ustalisz szczegóły z Mallowem. My dostarczymy pieniądze, oczywiście znaczone. I na następne spotkanie pójdziesz z mikrofonem. Sądzę, że teraz już ci ufają. Mallow nie będzie niczego podejrzewał. Może uda ci się tak załatwić sprawę, żeby i Palmer tam był.
 - Nie wezmę żadnego mikrofonu. Brwi Sabina uniosły się lekko.
 - Ach tak. A dlaczego nie?
 - Po pierwsze, nie jestem gliniarzem. Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Zdałem relację z tego, co się wydarzyło. Teraz mogą się tym zająć wasi ludzie.
 - Siedzisz w tym po uszy, Charley.
 - Nie, nie siedzę. Odmówiłem im. Nie jestem współsprawcą. Nie mam z tym nic wspólnego.
 - Bez twojego współdziałania, Charley, nie uda nam się z tego zrobić sprawy. Jesteś prawnikiem, i wiesz o tym.
 - Jeśli tak, to trudno.
 - Możemy uznać, że utrudniasz śledztwo, Charley. Czy pomyślałeś o tym? Sędzia Bishop poprawił się w swym fotelu, przyglądał mi się przez chwilę, a potem zapytał:
 - Dlaczego nie chcesz mieć przy sobie mikrofonu, Charley?
 - Proszę posłuchać, sędzia Palmer kilka razy w życiu mi pomógł. Wpadł w tarapaty i żał mi go. Nie jestem Judaszem. Popełnili błąd, zgłaszając się z tym do mnie. Palmer powinien być znać mnie lepiej. Ale nie zamierzam dać mu judaszowego pocałunku. To bardzo podobne do łapówki, też rodzaj korupcji. Tak postępują kryminaliści, kiedy idą z policją na układ. Nie zgadzam się na żaden mikrofon. Dla mnie to podłość i nie zrobię tego.
- Funkcjonariusze wymienili spojrzenia, po czym Sabin oznajmił:
- Dobrze ci radzę, przemyśl to jeszcze, Charley. W przeciwnym razie postawisz się w ryzykownej sytuacji.

256

KARA ŚMIERCI

- Czy grozi mi niebezpieczeństwo z waszej strony?
- Niewykluczone. Ale to Palmer i Mallow będą cię chcieli powiesić i bez naszej pomocy może im

się udać.

- Podejmę ryzyko. Sabin wydał wargi.

-Ale przecież nie możemy tylko siedzieć z założonymi rękami i się przyglądać. Musimy działać na podstawie informacji, które nam podałeś. A to oznacza, że czeka nas rozmowa z Palmerem i Mallowem.

Chłód przebiegł mi po krzyżu. Wiedziałem, co zaraz usłyszę.

- I jak sądzisz, co powie Mallow? To będą jego słowa przeciwko twoim. On jest byłym sędzią, prawda? Powie, że zaproponowałeś mu łapówkę. I że nie zgłosił tego na policji, bo mu było ciebie, alkoholika, żal. Tak właśnie nam powie, Charley, nieprawdaż?

W oku Sabina pojawił się tęskny błysk.

- A Palmer? Palmer stwierdzi, że nigdy wcześniej nawet nie słyszał o tej sprawie. Ani od ciebie, ani od Mallowa. Przypomni, jak ci pomógł, kiedy tego naprawdę potrzebowałeś. Twoje oskarżenie na pewno bardzo go zrani. Czyż nie mam racji?

Milczałem. Miał rację.

- I wtedy wrócimy do ciebie, Charley.

- Po co? Wypowiadałem się wam ze wszystkiego, co wiem. Dlaczego, na Boga, miałbym w ogóle z czymś takim wyskakiwać? Co bym na tym zyskał?

Wielki policjant wyraźnie nie mógł znaleźć sobie miejsca.

- Widział pan notatkę, z której wynikało, że przegra sprawę - oświadczył.

- Mallow mi ją pokazał, a potem zniszczył.

- To tylko słowa, panie Sloan - zauważył Hagan. - Był pan kiedyś aplikantem w tym sądzie. Istnieje prawdopodobieństwo, że zdobył pan kopię, a potem wymyślił całą tę historię, żeby zmusić sędziów do ogłoszenia pomyślnego dla was werdyktu albo doprowadzić do kolejnej rozprawy.

- To szaleństwo! - zachnąłem się.

- Ma pan reputację nieco szalonego, Sloan, może to pański nowy pomysł?

-Nie.

- W takim razie proszę wziąć mikrofon - rzucił ostro policjant. -Nie.

Sędzia Bishop podniósł rękę i odezwał się swoim cichym głosem:

KAKA iMIItKU

257

- Oni mają słuszość, Charley. Bez twojego współdziałania nie będzie sprawy. Poprosiłeś mnie o radę i właśnie ci jej udzielam. Zgódź się na mikrofon. Jeśli rzeczywiście Mallow i Palmer zrobili to, o co ich oskarżasz, nie zasługują na nic lepszego.

- Przykro mi, panie sędzio. Nie mogę. I nie zrobię tego. Sabin westchnął.

- No cóż, to rzuca całkiem nowe światło na sprawę. Charley, pozwól, że przedstawię ci teraz twoje prawa. Masz prawo milczeć, masz prawo do adwokata, jeśli...

- Czy aresztujecie mnie? - zapytał Sabina. Potrząsnął głową.

- Teraz nie.

-Jeszcze nie - sprostował kapitan Hagan. - Rozumiem, że nie planuje pan żadnego wyjazdu?

- Wybieram się w następny wtorek do Broken Axe. Reprezentuję tam oskarżonego, a rozprawę wyznaczono na czwartek. Powinienem wrócić do biura w piątek. Czy to jest wystarczająca odpowiedź?

- Doktor Śmierć - powiedział Sabin. - Każdy o tym wie. -Wiadomość z pierwszych stron. Jeśli sieje czyta, rzeczywiście powinno się wiedzieć. - Tym razem to ja prawie warknąłem.

- Charley - ponownie zabrał głos sędzia Bishop. - Przemyśl jeszcze to,

0 co prosili ci dżentelmeni. W przeciwnym razie...

Słowo zawisło jak nie wypowiedziany wyrok.

- Przykro mi, panie sędzio, ale nie mogę. Podniosłem się.

-Jestem adwokatem. Otrzymałem propozycję dania łapówki, co zgłosiłem policji. Jeśli to nie jest jakaś nowa zbrodnia i nie zamierzacie mnie aresztować, wychodzę.

-To głupie podejście, Charley - skomentował Sabin - a ty nie jesteś głupi. Współpracuj z nami. W tej chwili jesteśmy jedynymi twoimi przyjaciółmi.

-Już nie żyjesz, Sloan - dodał kapitan Hagan i tym razem na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech. Tak się uśmiecha kat do ofiary. - Odmawia pan mikrofonu, ponieważ nic z tego, co zostało tu opowiedziane, nie jest prawdą. Wysmażył pan śliczną historyjkę, lecz spaliła na panewce.

-Jak to mawiają w sądzie, trzeba tego dowieść.

Po tych słowach opuściłem ich, wdrapałem się wąskimi schodami na górę i wyszedłem na dwór.

Ulica była równie spokojna jak przedtem. Ale nie ja.

Nie wracałem autostradą. Wybrałem wąską drogę wzdłuż brzegu jeziora St. Clair, prowadzącą przez miasteczka, które przycupnęły na samym jego skraju. Nie włączyłem ani magnetofonu, ani radia. Chciałem pomyśleć. Ale okazało się, że nie mogę, ponieważ bez przerwy powracała do mnie, jak odgrywana na taśmie filmowej, scena, która rozegrała się w piwnicy domu Bishopa.

Wiedziałem, że mężczyźni, których tam zostawiłem, nie potrafią zrozumieć mojej decyzji. Od dwudziestu lat broniłem ludzi oskarżanych przez rzekomych przyjaciół. Przyjaciół będących zazwyczaj gorszymi kryminalistami niż moi klienci. Przyjaciół, którzy z chęcią godzili się nosić urzędnika rejestrującego, ponieważ w ten sposób sami mogli uniknąć kary.

Informator. Kiedy słyszałem to słowo, przechodził mnie dreszcz, nie kojarzyło mi się z niczym dobrym.

Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Próbowalem tylko w honorowy sposób uratować mojego klienta. Nie potrafiłem zmusić się i udając przyjaciela sędziego Palmera, stanąć dość blisko, by mikrofon pod moją koszulą wychwycił jego głos. I przez cały czas patrzeć mu w oczy ze świadomością, że człowiek, który tylekroć mi pomógł, zostanie zniszczony wskutek mojej podłości. Ale to, co powiedział Sabin, również było prawdą. Moje słowo nie przeważyło ich twierdzeń. Mogli postawić mnie przed sądem pod zarzutem utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości. Albo złożenia fałszywych zeznań. Uznanie mnie za winnego jednego z tych przestępstw z pewnością skończyłoby się usunięciem z palestry. I to na stałe.

Knajpy z każdym mijanym kilometrem wyglądały coraz bardziej zachęcająco. Kilka burbonów na pewno uspokoiłoby moje nerwy. Uciekłbym w inny, szczęśliwszy świat. Bez policjantów. Bez Palmerów. Bez przeszłości.

KARA ŚMIERCI

259

Docisnąłem pedał gazu i próbowałem nie myśleć o tej drodze ucieczki.

Dotarłem do mojego biura już po południu. Usiadłem i patrzyłem na rzekę. Dzień był dość chmurny, ale właściwie przyjemny, więc na wodę wypłynęła armia turystycznych łodzi, nie zwracających najmniejszej uwagi na przepływające od czasu do czasu potężne statki. Wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią. Wędkarze wpatrywali się w błyszczki, narciarze wodni mknęli za motorówkami, a pasażerowie dużych majestatycznych jachtów popijali drinki i podziwiali widoki. Wszyscy we wspaniałych humorach.

Zazdrościłem tym ludziom, którzy wyglądali na kompletnie pozbawionych zmartwień.

Spoglądałem na nich tak, jak więzień może spoglądać na przechodniów z okienka swej celi. Oni byli wolni, ja nie.

Bishop miał rację. Mallow i Palmer stali się teraz oszustami i cała ich przeszłość przestawała się liczyć. Powiedział, że nie zasłużyli na współczucie. Przekroczyli linię graniczną. Zastanawiałem się nad swoją decyzją. Nie mogłem zrzucić na nikogo winy za sytuację, w jakiej się znalazłem. Sam się w nią wpakowałem, więc honor wymagał, żebym ciągnął to dalej w taki sam sposób.

Honor. Słowo, dźwięk, symbol. Odwróciłem się od rzeki i wyciągnąłem słownik.

„Honor”. Wyjaśnienie znaczenia tego wyrazu zajmowało prawie całą stronę. Mówi się „człowiek honoru”, ale honor oznacza też wysoką godność lub pozycję w zawodzie. Honory można oddawać znaczniejszym osobom. Na przykład Jeffrey'owi Mallow czy Frankowi Palmerowi. Wtedy „honor” znaczy tyle, co „szacunek”.

Honor to również rozróżnienie między dobrem a złem; trzymanie się reguł i zasad uznawanych za słuszne. Czyli prawość. No cóż, moja licencja była zagrożona, ale mój honor nietknięty.

Myślałem o tych wszystkich ludziach z historii słynnych ze swej uczciwości. W większości

świętych, ćwiartowanych lub palonych żywcem. To nie była krzepiąca myśl. Adwokat często występujący w sądzie ma nawyk przewidywania kolejnego ruchu przeciwnika. Próbowałem odgadnąć, jaki będzie następny krok Harry'ego Sabina. Z telefonem do Mallowa wstrzyma się do poniedziałku. Wtedy poprosi o spotkanie. Uda się do jego biura w towarzystwie kapitana policji stanowej. Harry jest przebiegły, nie wyskoczy od razu z tym, co mu powiedziałem. Będzie krążył dookoła, ostrożnie, w nadziei, że zaskoczy Mallowa oskarżeniem. Ale ten będzie już na niego czekać. Nie jest głupi. Wie, że może być tylko jeden powód wizyty kogoś z wydziału kryminalnego biura prokuratora generalnego.

260

KARA ŚMIERCI

Sabin się nie mylił. Mallow zezna, że próbowałem go wciągnąć w intrygę mającą na celu przekupienie sędziego. Nie powiadomił o tym policji, ponieważ wie o moich problemach. Kierowało nim miłosierdzie. Wyraził żal, że tak nisko upadłem.

Prawie mogłem napisać scenariusz.

To najprawdopodobniej wydarzy się w poniedziałek po południu. A do tego czasu Mallow skontaktuje się z Palmerem i przygotują historyjkę w najdrobniejszych szczegółach.

Harry Sabin potraktuje Palmera jako urzędującego sędziego, zwracając się do niego jak do bomby, która w każdej chwili może wybuchnąć. Wie przecież, że w przyszłości przyjdzie mu jeszcze stawać przed nim w sądzie. Dlatego ta rozmowa będzie tylko formalnością. Zakładałem, że odbędzie się ona we wtorek po południu. Obie rozmowy zostaną nagrane. O tym Harry na pewno nie zapomni. Następnie przygotuje pisemny raport dla prokuratora generalnego i poprosi o spotkanie. Oskarżenie o korupcję w sądzie jest bardzo poważne, więc nikt nie będzie tego odkładał. Przypuszczałem, że Harry i policjant spotkają się ze swym szefem w środę. Prokurator generalny jest politykiem wybieralnym i nie podejmie żadnych działań, dopóki bardzo dokładnie wszystkiego nie sprawdzi.

On z kolei poprosi o spotkanie prezesa sądu najwyższego i sądu apelacyjnego. Taka zazwyczaj jest procedura. Biorąc pod uwagę rozkład ich zajęć, w rachubę wchodził czwartek, czyli dzień, kiedy będę bronił Millsa Stewarda w Broken Axe.

Zgodzą się, że moje oskarżenie jest bezpodstawne, i podejmą decyzję, iż sprawę powinna szerzej zbadać rada, która oczywiście uzna Palmera za niewinnego. Ta sama rada złoży wniosek o wykluczenie mnie z palestry.

Zrobią to, aby uniknąć skandalu i antyreklamy. Zakwestionowano przecież praworządność sądu, która jednak okazała się bez zarzutu.

A oszczercą jest człowiek, który był już karany i nawet przez pewien czas pozbawiony licencji adwokata.

Mogą zdecydować, że powództwo w sprawie McHugh'a jeszcze raz rozpatrzy inny skład sędziowski, ale mój klient i tak przegra. W przeciwnym razie sprawa zaczęłaby wyglądać na śmierdzącą. A mnie mogą nawet postawić zarzuty natury kryminalnej, chociażby dla wykazania, że problem potraktowano poważnie.

Przez chwilę rozważałem, czy nie zadzwonić do sędziego Bishopa i nie powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie i zgadzam się na urządzenie rejestrujące umożliwiające oskarżenie Palmera. Ale nie zrobiłem tego. Honor to śmieszna rzecz. Może nawet zgubna.

KARA ŚMIERCI

26/

Po prostu odwróciłem się i zapatrzyłem na rzekę.

Patrzyłem tak na wodę, aż wreszcie popadłem w rodzaj apatii, nie myślałem o niczym. O mało nie zapomniałem o randce z Sue Gillis.

Nie miałem ochoty na kolację, nie miałem ochoty na rozmowę. Ale mimo to pojechałem.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyłem, że jest wystrzałowo ubrana. Włożyła czarną wieczorową sukienkę odsłaniającą długie nogi. Była świeżo od fryzjera. Jak księżniczka gotowa na bal.

Najwyraźniej ja w niczym nie przypominałem księcia.

- Charley, co się stało? Wyglądasz, jakbyś właśnie stracił najlepszego przyjaciela.

Odsunęła się, wpuszczając mnie do środka. Spróbowałem się uśmiechnąć.

- To był trudny dzień.
- Gdybyś był kim innym - oznajmiła - dałabym ci drinka.
- Może masz sok pomarańczowy albo wodę sodową, właściwie wszystko jedno co.
- Siadaj.

Poszła do kuchni i po chwili wróciła z wysoką szklanką soku pomarańczowego i kostkami lodu. Zamknąłem oczy i wypilem, przypominając sobie smak czegoś mocniejszego.

- Co się stało? - zapytała.
- To długa historia. I na dodatek nudna.
- Wypróbuj mnie. Nie uda ci się tak łatwo mnie zanudzić. Potrząsnąłem głową.
- Sądzę, że to by ci zepsuło kolację. Przyjrzała mi się uważnie.
- Wcale nie masz ochoty pójść na kolację, prawda? - Ależ mam. Musimy przecież coś zjeść.
- Nie jestem głodna, Charley.
- Tak tylko mówisz.
- Nie. A jeśli zgłodniejemy, możemy zamówić pizzę.
- Wyszukowałeś się, Sue. A tak przy okazji, wyglądasz świetnie.
- Dzięki. Poczekaj chwilę, dobrze? - Jasne.

Zniknęła w sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Podeszedłem do okna i popatrzyłem na pole golfowe. Zauważyłem w oddali wózek i kilku graczy. Przypomniał mi się Bishop. Zastanawiałem się, czy jest teraz na któryś z pól.

262

KARA ŚMIERCI

Kilka minut później Sue wróciła ubrana w szlafrok. Wieczorowa sukienka najwyraźniej wróciła do szafy.

- Tak będzie mi wygodniej - wyjaśniła.
- Nie musiałaś tego robić, Sue.
- Wiem, że nie musiałam. - Poczekala, aż usiadłem, a potem zajęła miejsce naprzeciwko mnie.
- Więc mów, Charley. Od jakiegoś czasu coś cię dręczy, zgadza się? Skinąłem głową.
- To nie jest coś, za co powinnam cię aresztować, prawda? Roześmiałem się.
- Musiałabyś stanąć w kolejce.
- Boże, Charley, co ty zrobił?

Teraz już mogłem jej powiedzieć. Wkrótce i tak wszystko dostanie się do wiadomości publicznej. Upiłem łyk soku.

- Można by rzec, że starałem się być uczciwy, a to okazało się równie niebezpieczne jak skakanie z samolotu bez spadochronu.
- No, śmiało, Charley.
- Czy pamiętasz sprawę McHugh'a? Ta duża apelacja, w której stawałem przed sądem.

Wspomniałem ci o niej.

- Sparalizowany facet.
- Właśnie. - I co?

Opowiedziałem jej wszystko, zaczynając od pierwszego spotkania z Monkiem. W miarę mówienia poczułem się lepiej. Nie zadawała pytań, tylko kiwała głową. Zdałem sobie sprawę, że jestem jak żołnierz, który po bitwie wyrzuca z siebie całe napięcie. A skoro zacząłem, musiałem ciągnąć aż do końca. Nie próbowała przerywać. Wreszcie opisałem spotkanie w domu Bishopa.

- Nie uprzedził cię, że będzie policja? Potrząsnąłem głową.
- Delikatnie mówiąc, była to duża niespodzianka.
- Ten sędzia Bishop - rzekła. - Opowiedz mi o nim coś więcej. Dlaczego tak bardzo mu ufasz?

Skończyłem sok, więc przyniosła mi następny.

- To trudno wyjaśnić. Mówimy na niego Biskup. Tak wygląda. Stał się kimś w rodzaju guru dla wszystkich, którzy skończyli Świętego Benedykta. Kiedy masz kłopot albo chcesz się poradzić, idziesz do Biskupa. To całkiem oczywiste i naturalne. - Westchnąłem. - Jest jakby dziadkiem nas wszystkich.

KAKA SMItKU

263

- Napomknąłeś, że był na tym samym roku, co sędzia Palmer?
- Tak. A Jeffrey Mallow skończył jakiś rok czy dwa lata po nich. Pokręciła wolno głową. Uniosłem brwi w niemym pytaniu.
- Charley, w jaki sposób mogłeś zdobyć reputację sprytnego adwokata?
- Roześmiałem się.
- Sam sobie często zadaję to pytanie.
- Podprowadzono cię. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?
- O co ci chodzi? Uciekła wzrokiem w bok.
- Jestem policjantką, Charley. I myślę, że na dodatek dobrą.
- Zgadzam się.
- To, co zrobiłeś, przypomina wpuszczenie lisa do zagrody, żeby pilnował kur. Jezu, mówiłeś przecież, że tworzyliście coś na kształt...
- Mafii - dokończyłem. - Tak nas nazywają: mafia od Świętego Benedykta.
- Właśnie. A ty zwróciłeś się do dona ze skargą na jego capos.
- Bishop nie jest skorumpowany.
- Może i nie. Ale dba o swoich ludzi. -Ja jestem jednym z jego ludzi.
- Z młodszego rocznika, Charley. A ci inni są mu równi. To sędziowie, mają władzę.
- Chyba nie rozumiesz, Sue.
- Rozumiem lepiej niż ty. To Bishop nie kazał ci przerywać gry, zgadza się?
- Nie namawiał mnie na układ, chciał tylko zobaczyć, jak daleko się posuną.
- Jasne.
- Daj spokój, Sue, nie jestem taki głupi. Ufam Bishopowi.
- Charley, czy wiesz, dlaczego dzisiaj byli tam policjanci?
- Żeby zacząć sprawę Mallowa i Palmera. Pokręciła głową.
- Nie. -Nie?
- Namawiali cię na nagrywanie rozmów, żeby ci ostatecznie ugotować. Poszedłbyś do Mallowa, a ten zaprzeczyłby, że składa! ci kiedykolwiek jakąkolwiek propozycję. Zastanów się nad tym. W ten sposób udowodniliby ci kłamstwo. Mieliby to na taśmie. Mallow już by na ciebie czekał. Śliczna sprawa skorumpowanego adwokata, który sam się w to wpakował jak prezent

264

KARA ŚMIERCI

- pod choinkę, i to z dużą kolorową kokardą. Aresztowano by cię, postawiono przed sądem i uznano za winnego bez zbędnego rozgłosu, w każdym razie bez wielkiego halo. Po prostu kolejna sprawa przyłapanego adwokacyny. -Ależ to paranoja!
- Naprawdę?
 - Tak myślę. Znam Harry'ego Sabina. Jest szczerzy jak złoto. Nie wzięłby udziału w czymś takim.
 - Nie musiał wiedzieć. -Co?
 - Twój przyjaciel Bishop wysmażył to wszystko, starannie przygotowawszy poszczególne składniki. Człowiek z biura prokuratora generalnego działałby jak każdy prokurator, któremu przydzielono sprawę. Zgodnie z oczekiwaniami. O nie, jedynymi ludźmi w to zamieszany są twoi dobrzy przyjaciele. Biskup, Palmer i Mallow.
 - Biskup nie jest kanciarzem. -To samo mówiłeś o Palmerze. Skinąłem głową.
 - Może się mylę, Charley, lecz moim zdaniem zrobiłeś to samo, co urzędnik, który dokopał się do Watergate i poszedł z tym do Nixona.
 - Boże, obyś się myliła.
 - Też bym tego chciała, Charley. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.
 - Zamówić pizzę? - zapytała.
 - Nie jestem głodny.
- Wstała i usiadła koło mnie. Objęła mnie ramieniem. Poczulem jej świeży, miły zapach.
- Może wszystko się ułoży - powiedziała.

- Może.

- Cuda się zdarzają, Charley. Spojrzałem na nią.

- Naprawdę w to wierzysz?

Nic nie odrzekła. Roześmiałem się.

- No cóż, jeśli cuda się zdarzają, lepiej byłoby, żeby ten zdarzył się przed piątkiem. Bo chyba tylko tyle czasu mi zostało.

Wstała i zaprowadziła mnie do łóżka. Położyliśmy się w ubraniach, nie kochaliśmy się, tylko leżeliśmy przytuleni.

Kiedy umknąłem w sen, moją ostatnią myślą było, że Sue przyniosła mi ukojenie.

(3budziłem się pierwszy. Był niedzielny poranek. Sue leżała koło mnie, oddychała równo i spokojnie. Czułem wdzięczność, że z nią jestem. Samotne życie ma swoje dobre strony, ale kiedy jest się w kłopotach, obecność drugiej osoby podnosi na duchu.

A ja byłem w kłopotach. Starałem się nie myśleć o wydarzeniach ostatnich paru dni, lecz nie potrafiłem. Wracały raz po raz jak wspomnienia z dawno oglądanego filmu.

By umknąć przed tymi myślami, wstałem z łóżka. Wciąż jeszcze byłem w ubraniu. Na palcach poszedłem do kuchni Sue. Znalazłem wszystko, co jest potrzebne do zaparzenia kawy. Jej ekspres był bardzo podobny do mojego, więc szybko się z nim uporałem i wkrótce aromat wypełnił pomieszczenie jak najpiękniejsze perfumy.

Zapach kawy obudził Sue, która w pierwszej chwili zdziwiła się, że widzi mnie w kuchni, a potem dopiero przypomniała sobie, że spędziliśmy razem noc. Nie była jednak rannym ptaszkiem. Jej pogodne usposobienie drzemało aż do drugiej filiżanki kawy. Dopiero wtedy, jak dobra gospodyni, przygotowała nam duże śniadanie - jajka na boczku i mnóstwo grzanek. Ponieważ nie jedliśmy kolacji, teraz byliśmy głodni niczym stado wilków.

- Dzisiaj przyjeżdża moja siostra - oznajmiła. - Zabieram ją na lunch. Jeśli masz ochotę, Charley, czuj się zaproszony.

To była jedna z tych propozycji wynikających bardziej z uprzejmości niż przekonania. Pomyślałem, że wolałaby nie tłumaczyć siostrze, kim jestem.

- Muszę iść - odparłem. - Mam milion spraw do załatwienia w biurze, ale dzięki za zaproszenie.

Skinęła głową. Ta miła, grzeczna wymówka zadowoliła nas oboje. Po śniadaniu, jak stare małżeństwo, przeczytaliśmy gazetę, wymieniając się

266

KARA ŚMIERCI

stronami i komentując co ciekawsze kawałki. Dobrze mi z tym było. Skończyłem gazetę i pocałowałem Sue w policzek.

- Lepiej, żebym już sobie poszedł - rzekłem. - Twoja siostra może się tu zjawić lada chwila.

- Gdybym mogła w czymś pomóc, Charley - odparła, ściskając mnie za rękę - powiedz tylko słowo.

- Jeżeli nie wymyślę nic innego, może kupisz mi bilet do Brazylii.

- Wymyślisz - oświadczyła, ale w jej głosie zabrakło przekonania. Wróciłem do siebie, wziętem prysznic, ogoliłem się i zmieniłem ubranie. Na automatycznej sekretarce błyskało światelko. Przez chwilę udawałem, że tego nie widzę, wreszcie jednak uznałem, że odwlekanie na nic się nie zda. Nacisnąłem guzik i wiadomości ruszyły niczym żołnierze na defiladzie. Żadna z nich nie była ani od Bishopa, ani Palmera, ani w ogóle od nikogo związanego z moją obecną sytuacją. Żadna też nie była pilna. Wszystkie mogły poczekać. W chwili, gdy skończyły się odtwarzać informacje z taśmy i lampka przestała migać, odezwał się dzwonek telefonu.

Zastanawiałem się, czy podnieść słuchawkę, ale wreszcie zdecydowałem się i na to.

- Pan Sloan? - zapytał męski głos. - Tak.

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Nazywam się Ray Panar. Występował pan w moim imieniu, kiedy w zeszłym roku kupowałem dom.

Najpierw nie mogłem go sobie przypomnieć, ale nagle zaskoczyłem: młody facet z pękatą żoną i dwójką straszliwych dzieciaków.

- Pamiętam pana, panie Panar. O co chodzi?

- Potrzebuję pańskiej pomocy.

- W jakiej sprawie?
- Zostałem aresztowany.
- Czy teraz jest pan w więzieniu?
- O nie. Wypuścili mnie zeszłej nocy za kaucję. Zapłaciłem sto dolarów. Rozprawa ma się odbyć jutro rano. Dzwonię do pana ze stacji benzynowej koło mojego domu.
- O co jest pan oskarżony?
- Wstyd mi przyznać.
- Bez tego nic nie mogę zrobić.
- Nagabywanie i molestowanie - wyszepta! po chwili.
- Gdzie pana aresztowano? W męskiej toalecie?

KARA ŚMIERCI

267

- O nie, nie jestem z tych. Policja twierdzi, że namawiałem kobietę w barze, by odbyła ze mną stosunek seksualny.
- Gdyby to było przestępstwo, więzienia wkrótce nikogo już by nie pomieściły.
- Twierdzą, że proponowałem jej pieniądze. Okazało się, że to policjantka.
- Jeśli to prawda, rzeczywiście popełnił pan wykroczenie, panie Panar. Czy był pan kiedykolwiek aresztowany lub skazany?
- Nigdy. W życiu nie zapłaciłem nawet mandatu.
- Za pierwsze wykroczenie dostaje się zazwyczaj grzywnę. Nie ma się czym martwić.
- Jest. Skonfiskowali mi samochód! Powiedziałem żonie, że miałem drobną stłuczkę i dlatego wróciłem bez niego... - Umilkł.
- W porządku. Może by pan przyszedł do mnie do biura po południu?
- Mogę przyjść teraz. Zona myśli, że wyszedłem po papierosy. Wziąłem jej samochód. Boję się być za długo poza domem. I tak jest na mnie wściekła, że wróciłem wczoraj późno.
- Spotkam się z panem za pięć minut w moim biurze. Czy pamięta pan, gdzie ono jest?
- Tak, tuż nad rzeką.
- Za pięć minut - powtórzyłem.

Kiedy przyjechałem, już na mnie czekał. Samochód żony okazał się starożytną, zardzewiałą furgonetką. Mężczyzna był taki, jakim go zapamiętałem: nieduży, niezłe zbudowany, z początkami tysiny, która go postarzała. Przypomniałem sobie, że był rzemieślnikiem, ale chociaż nie najgorzej zarabiał, z trudem starczało mu na utrzymanie dużej rodziny. Kiedy kupował dom, pilnował każdego centa. Teraz miał na sobie wygniecione spodnie i stary golf.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i poprowadziłem go schodami do kancelarii. Usiadł po drugiej stronie biurka. Na jego twarzy malowała się troska.

- Czy mogę zapalić? - odezwał się.
- Jasne - wskazałem na popielniczkę, która stała przed nim. Kiedy zapalał papierosa, zauważyłem, że trzęsą mu się ręce.
- Ile normalnie wynosi honorarium przy tego typu sprawach? - zapytał, nerwowo wydmuchując dym.

268

KARA ŚMIERCI

- To zależy. Jeśli chodzi tylko o wystąpienie przed sędzią i proces, stawka wynosi pięćset dolarów. Gdy trzeba stanąć przed ławą, trochę więcej. Ale zazwyczaj takie sprawy nie trafiają przed ławę. Suma najwyraźniej go oszołomiła.
 - Nie mam przy sobie pięciuset dolarów.
 - No cóż, w sprawach karnych honorarium płaci się zwykle z góry. Czy może pan zdobyć pieniądze do jutra rana?
- Skinał głową.
- Przyjmuje pan czeki? - Jasne.
- Zauważyłem, że mu ulżyło.
- Wtedy będę mógł to jakoś ukryć.

- Zaczniemy od samego początku, panie Panar. Proszę mi opowiedzieć, co się zdarzyło ostatniego wieczoru, nie pomijając żadnych szczegółów, bo mogą mieć znaczenie z prawnego punktu widzenia.

Skinął głową i zaciągnął się mocno.

Cieszyłem się, że zajmę myśli czymś innym niż własne kłopoty. Panar był niezłą odskocznią.

- No więc w ogóle nie powinno było do tego dojść - zaczął. - Chodzi mi o to, że nie zamierzałem czegoś takiego zrobić. Po prostu poszedłem po pracy z kolegami na parę piw.

- Proszę mówić dalej.

- Gdybym tylko wstąpił na chwilę, wszystko byłoby w porządku, ale kiedy reszta już się rozeszła, ja postanowiłem jeszcze się powłóczyć. Wie pan, oderwać się trochę od wszystkiego.

- Gdzie pan poszedł?

- Łaziłem to tu, to tam. Zna pan „Błyszczącą Gospodę”?

To była podupadła stara restauracja, gdzie zatrudniano na weekendy podupadłe tancerki go-go.

Kilka razy zdarzyło mi się reprezentować właściciela, kiedy wszedł w zatarg z prawem.

- Znam - potwierdziłem. Skinął głową, nieco się czerwieniąc.

- Zazwyczaj nie bywam w takich barach, ale jak już powiedziałem, po prostu chciałem się oderwać na krótko od szarzyzny codzienności.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Czy ma pan dzieci, panie Sloan? Małe dzieci?

- Mam dorosłą córkę.

- No więc pamięta pan chyba, jak to jest, kiedy są małe dzieci. Zona ciągle się o coś wścieka.

Zawsze znajdzie się jakiś powód. Oczywiście za-

KARA ŚMIERCI

269

mierzałem wrócić do domu, ale tak bardzo mi się nie spieszyło. Rozumie mnie pan?

Skinąłem głową. Moją córkę po rozwodzie wychowywała jej matka. Pamiętałem tylko dobre chwile związane z moją małą dziewczynką, wiedziałem jednak, że pamięć potrafi być wybiórcza.

- Czy tę policjantkę spotkał pan w „Błyszczącej Gospodzie”? Potrząsnął głową.

- Nie. Tam tylko wypilem kilka piw. Są tam tancerki, wie pan.

- Wiem.

- Wyszedłem i uznałem, że wypiję jeszcze jedno piwko przed powrotem do domu. Kojarzy pan ten barek przy Morad Road, nazywa się „Piaskownica”?

- Przejeżdżałem koło niego kilka razy. Z zewnątrz wygląda nieciekawie.

- I taki właśnie jest. Nigdy wcześniej tam nie zachodziłem. Gości było tyle, co kot napłakał, mimo sobotniego wieczoru.

-Ale wśród nich znalazła się ta policjantka? Skinął głową.

- Trudno było nie zwrócić na nią uwagi. Bardzo ładna, siedziała przy końcu baru i wyglądała raczej seksownie. Właściwie bardzo seksownie. Ja siadłem po drugiej stronie baru i zamówiłem piwo.

- Proszę kontynuować.

Widziałem, że jest coraz bardziej zakłopotany. Policzki pod bokobrodami mu poczerwieniały.

- Uśmiechnęła się do mnie, więc poprosiłem barmana, żeby zaniósł jej piwo. Miałem przy sobie trochę gotówki. Piątek to dzień wypłaty. Skinęła, żebym się do niej przysiadł.

- Kto się pierwszy odezwał? Zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam. Może ona, a może ja. Nie jestem za bardzo doświadczony w tego typu sprawach. - Czerwień stała się jeszcze żywsza. - To był, no cóż, mój pierwszy raz, jeśli rozumie pan, o co chodzi.

- Rozumiem, proszę dalej.

- Powiedziała, że jestem przystojnym facetem i pewnie należę do tych mężczyzn, z którymi żona nie może sobie poradzić.

- Co doprowadziło do stwierdzenia, jak bardzo jest pan męski, czy tak?

- Tak, właśnie tak. Szczerze mówiąc, pochlebiali mi to i naprawdę dobrze się bawiłem. No i wtedy ona zaproponowała, że mi pomoże w moich seksualnych problemach.

KARA ŚMIERCI

- Kto wspomniał o pieniądzach?

Uniósł brwi w zdziwieniu, jakby rozmawiał z samym Sherlockiem Holmesem.

- No cóż, chyba jednak ja. Ona krążyła koło tego. Wreszcie zapytałem, czy to będzie za darmo. -I?

- Roześmiała się i potrząsnęła głową. -Ale nic nie powiedziała?

- Nie. Zapytałem więc, co bym dostał za dwadzieścia dolarów, a ona na to, że nic.

Był już wręcz purpurowy.

- No to chciałem wiedzieć, co otrzymałbym za pięćdziesiąt, i wtedy ona odparła, że pewien akt seksualny.

- Pewien akt seksualny?

Teraz był czerwony jak pomidor.

- No wie pan, seks oralny.

- Tak to nazwała: seks oralny? Pokręcił głową.

- Ona mówiła o dmuchaniu i pokazała na usta. Moja żona nie robi takich rzeczy... - głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Więc zgodził się pan? Skinął głową.

- I co się wówczas stało?

- Oznajmiła, że zrobi to w moim samochodzie. Wyszliśmy na parking. Właśnie miałem wsiadać, kiedy wyciągnęła z torebki plakietkę i oświadczyła, że jestem aresztowany.

Uciekł wzrokiem w bok.

- Dwóch potężnych policjantów w prochowcach wysiadło z innego samochodu. Zakuli mnie w kajdanki. Niedługo potem przyjechał wóz patrolowy i zabrali mnie do więzienia.

- Czy policjantka pojechała z wami?

- Nie. Ona wróciła do baru.

- A co z facetami w prochowcach?

- Zostali w samochodzie. Żartowali sobie z nią.

- Na jaki temat?

- Że ma dobrą noc, coś w tym rodzaju. Że ustaliła rekord. Uważali to za bardzo śmieszne.

- Zakładam, że zapłacił pan kaucję z pieniędzy, które miał przy sobie.

KAKA ŚMIERCI

27/

- Tak. Ale zatrzymali mój samochód. Czy wolno im było to zrobić? Skinąłem głową.

- Tak. Jeśli mógł być wykorzystany do czynu nielegalnego.

- Na stałe?

Jeszcze raz skinąłem głową.

- Niestety.

- O mój Boże. To był prawie nowy chrysler. Jak moja żona się dowie... Nawet go jeszcze nie spłaciłem.

Teraz już nie był czerwony, lecz kredowobiały.

- Czy może mi pan pomóc?

- Zrobię, co będę mógł. Spotkamy się w sądzie jutro o ósmej rano.

- Czy to znajdzie się w gazetach? Mój szef jest bardzo surowym katolikiem. Jeśli ta sprawa się rozniesie, mogę nawet stracić pracę. A gdyby moja żona... - Zamilkł, jakby nawet myśl o tym była zbyt bolesna, by ją wyrazić.

- Najprawdopodobniej dziennikarzy wcale to nie zainteresuje, nie zarąbał pan ostatecznie nikogo siekierą. Proszę się nie martwić rozgłosem. Po prostu spotkajmy się rano u sędziego Mulhema. Do niego trafiają tego typu przypadki.

- Czy odzyskam samochód?

- Zrobię, co w mojej mocy.

Podniósł się i uściśnięli sobie dłonie.

- Nie wiem, co pan sobie o mnie myśli, ale naprawdę nigdy nic takiego wcześniej mi się nie zdarzyło.

- Wierzę panu - zapewniłem. Podszedł do drzwi.

- Moja żona... jeśli ona się dowie... A potem wyszedł.

Zacząłem szukać w prawniczych księgach spraw dotyczących nakłaniania do przestępstwa.

Wspaniale było nie myśleć o łapówkach, korupcji i w końcu własnej karierze.

To ja powinienem zapłacić mu honorarium, uznałem. Moje zaniepokojenie własną osobą znacznie się zmniejszyło, przynajmniej w tej chwili. Martwienie się o kogoś innego jest najlepszą terapią.

Kiedy nadszedł poniedziałkowy poranek, byłem gotów. Ray Panar przyszedł na spotkanie w garniturze i pod krawatem. Wyraźnie nie czuł się w tym stroju dobrze. Pewnie nieczęsto chodził tak ubrany. Na jego twarzy malował

272

KARA ŚMIERCI

się ten nawiedzony wyraz, jaki miewają ludzie na pogrzebach. Niechętnie wręczył mi czek na pięćset dolarów. Jego wzrok podążał za nim aż do momentu, kiedy papier zniknął w moim portfelu. Ruszyliśmy do sali sądowej, gdzie przydował Thomas Mulhern, miejscowy sędzia okręgowy, któremu podlegają sprawy karne. Choć było wcześniej, salę wypełniał tłum po brzegi.

- Czy widzi pan te policjantkę? - zapytał Panara. Skinął głową.

- Siedzi tam, to ta kobieta w brązowym kostiumie. Dzisiaj wygląda zupełnie inaczej.

Rzeczywiście była ładna. Ciemne włosy ściągnęła do tyłu. Nie umalowała się i właściwie makijaż nie był jej potrzebny. Pod dobrze skrojonym kostiumem kryło się niewątpliwie wspaniałe ciało.

Wyglądała jak jedna z tych kobiet, które w reklamach namawiają nas na to czy tamto.

Profesjonalna, a mimo to kojarząca się z seksem.

- Co w niej jest innego?

- Przede wszystkim ubranie. Na Boga, w sobotnią noc nie miała na sobie prawie nic. Króciutką spódniczkę, która podciągała jej się na udach, i przezroczystą bluzkę odsłaniającą czarny stanik. Poza tym była całkiem inaczej uczesana - natapirowane włosy sterczały jak las na głowie.

- Makijaż?

- Jakby ktoś ją pomylił ze sztalugami.

Do sali wszedł Tommy Mulhern. Sąd rozpoczął pracę. Tommy, tęgi mo-czymorda, musiał mieć szczególnie ciężki weekend. Wyglądał straszliwie. Pamiętam czasy, kiedy ja tak wyglądałem w poniedziałki. Gdy obrzucił salę wzrokiem, w jego oczach malował się ból. To nie był najlepszy czas, żeby drażnić Thomasa Mulhema.

Na pierwszy ogień poszli pijacy. Każdy z nich zakłócił czyjś spokój. Mieli ten sam wyraz oczu, co sędzia, ale nie czuł z nimi żadnej więzi. Załatwił ich szybko.

Młody prokurator, nowy chłopak, popełnił błąd, sprzeciwiając się czemuś, co powiedział Mulhern. Sprzeciw był głupi, całkowicie niepotrzebny, i podziałał na sędziego jak płachta na byka.

Widziałem to wyraźnie po zmrużonych oczkach Tommy'ego Mulherna. Zanim ten dzień dobiegnie końca, z młodego prokuratora zostaną strzępy. Oczywiście w ramach nauki, jeśli już niczego innego.

Przyprowadzono po kolei dwie prostytutki, zniszczone kobiety, które pracowały przed domem towarowym. W świetle dziennym wyglądały równie ponętnie jak purchawki. W nocy i po paru drinkach najwyraźniej udawało im się zarobić na życie. Tommy uznał każdą za winną i wlepił im po pięćdziesiąt dolarów lub trzydzieści dni.

KARA ŚMIERCI

273

Następnie na wokandzie znalazła się sprawa Raya Panara.

Podszedłem z moim klientem do stołu. Policjantka stanęła po mojej lewej stronie.

Poinformowałem, że oskarżony nie przyznaje się do winy.

Młody prokurator zadawał pytania policjantce. Oświadczyła, że posyłano ją na wabia do baru, gdzie prostytutka zaczęła przeszkadzać stałym klientom. Zeznała, że mój klient podszedł do niej, postawił jej drinka, a potem zaproponował pięćdziesiąt dolarów za seks oralny w jego samochodzie na

parkingu. Udała się z nim do samochodu, wylegitymowała jako oficer policji i zaarrestowała. Prokurator wyglądał na bardzo zadowolonego.

Policjantka nazywała się Flynn. Carolyn Flynn. Teraz przyszła kolej na mnie.

- Jak długo pracuje pani w departamencie policji Pickeral Point, oficerze Flynn? - zapytałem.

- Sprzeciw! - zerwał się prokurator. - To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Chciałbym usłyszeć odpowiedź - odezwał się cichym głosem sędzia. To był ten rodzaj głosu, jakim na filmach łajdacy mówią: „Przynies no swój pistolet”. Dzieciak jednak nie rozpoznał groźby.

- Od dwóch tygodni - odparła.

- Czy oprócz mojego klienta aresztowała pani innych mężczyzn podczas sobotniej nocy, wewnątrz lub w pobliżu baru „Piaskownica”?

- Sprzeciw. To jest...

- Odrzucony. Proszę odpowiedzieć - warknął Mulhern.

- Tak - przyznała po prostu.

Staliśmy ramię w ramię. Pachniała drogimi perfumami. - Ilu?

- Sprzeciw!

- Spokój! - Gdyby wzrok miał te możliwości, co ogień, prokurator spłonąłby na miejscu. Sędzia spojrzał na policjantkę.

- Ilu? - powtórzył moje pytanie.

Zawahała się przez chwilę, po czym rzekła już ciszej:

- Siedmiu.

- Siedmiu? - powtórzył sędzia z niedowierzaniem. - W jednym małym barze?

- Tak.

- I te wszystkie sprawy czekają mnie dzisiaj rano? Skinęła głową.

- Tak sądzę.

274

KARA ŚMIERCI

- Oficerze Flynn, czy w sobotę wieczorem była pani tak samo ubrana jak dzisiaj? - zapytałem.

- Nie. Ale prawie tak samo. Miałam na sobie spódnicę i bluzkę. Byłam tylko bez żakieta.

Popatrzyłem w udręczone oczy sędziego.

- Wysoki Sądzie, nasza obrona opiera się na zarzucie nakłaniania do przestępstwa. Mogę przedstawić świadków, którzy zeznają, jak ta kobieta była ubrana. Lepiej jednak jest to zobaczyć, niż usłyszeć. Proszę, by Wysoki Sąd polecił oficer Flynn ubrać się tak, jak była ubrana w chwili, kiedy aresztowała mojego klienta.

- Sprzeciw! - rzucił prokurator. - To jest naruszenie... Mulhern spiorunował go wzrokiem.

- Jeszcze jeden sprzeciw, a dołączy pan do tych w celi. Zrozumiano?

Najwidoczniej nikt na studiach nie opowiadał temu młodemu człowiekowi o sędziach takich jak Thomas Mulhern. Nowo nabyta wiedza zrobiła na nim duże wrażenie.

Wysoki Sąd zerknął na zegarek, a potem na policjantkę.

- Daję pani godzinę. Proszę iść do domu czy na posterunek, gdziekolwiek trzyma pani tamto ubranie, i wrócić w tym samym, co miała pani na sobie w barze.

- Nie jestem pewna, czy to ubranie... - zaczęła.

- Godzina! - warknął. - Wtedy rozpatrzemy wszystkie sprawy związane z pani osobą.

Młody prokurator chciał się jeszcze odezwać, ale powstrzymał go instynkt samozachowawczy.

Wyszedł z bardzo surową miną.

Rozpoczęła się sprawa jakiegoś drobnego złodziejzka, więc Panar i ja usiedliśmy znowu wśród widzów.

Rozprawy następowały szybko jedna po drugiej. Mulhern był sprawiedliwym sędzią, może nieco zbyt łagodnym. W takich okolicznościach adwokaci rzadko się wyklócają. Wszystko szło spokojnie do chwili, kiedy usłyszeliśmy ogólne „ach” dochodzące z końca sali.

Flynn nadal nie była umalowana i miała włosy ściągnięte do tyłu, lecz tego się właściwie nie zauważało. Jej spódniczka była tak obcisła, że wyglądała jak szerszy pasek, i zakrywała tylko biodra. Spod niej wyłaniały się nogi tancerki wodewilowej - długie, smukłe, w czarnych rajstopach,

zakończone pantoflami na bardzo wysokich obcasach. Przez materiał bluzki widać było jak przez dym papierosowy pełny biust, który wprost rozsadał cieniutką tkaninę czarnego staniczka.

KARA ŚMIERCI

275

Przeszła przez salę z wysoko uniesioną głową, nie zwracając uwagi na szepty.

- Dobrze - powiedział Mulhern, uznając kolejnego złodzieja za winnego. - Wróćmy do sprawy baru „Piaskownica”. Czy jest pan gotów, panie Sloan?

Skinąłem głową i wraz z moim klientem wystąpiłem do przodu. Znowu stanąłem ramię w ramię z policjantką.

- Czy jesteś zajęta po pracy? - wyszeptalem tak, że tylko ona mogła to usłyszeć.

Zacisnęła wargi w wąską linię.

Miody prokurator patrzył na nią z miłością w oczach. Gdyby do jego otwartych ust wleciał wróbel, nawet by tego nie zauważył.

- Czy to jest ubranie, które miała pani na sobie w sobotnią noc, oficerze Flynn? - zapytałem grzecznie.

-Tak..

- I tak ubrana podeszła pani do mojego klienta i do sześciu innych mężczyzn, jednego po drugim, tamtej nocy?

- Mówiłam już, że pracowałam jako przynęta - zachnęła się, wyraźnie czerwieniejąc.

- I zanim mój klient złożył niestosowną propozycję, rozmawiała z nim pani o seksie, podobnie zresztą jak z tamtymi innymi mężczyznami?

- Rozmawialiśmy o różnych sprawach. Między innymi o seksie. Podniosłem wzrok na sędziego.

- Zazwyczaj, Wysoki Sądzie, z nakłanianiem do przestępstwa mamy do czynienia wtedy, gdy policja rozpoczyna akcję, której rezultatem jest zbrodnia. Chodzi o to, że gdyby policja nie podjęła takich działań, przestępstwo by się nie wydarzyło. Oskarżony nie popełniłby niczego nielegalnego, jeśli by nie został sprowokowany. Większość przypadków dotyczy sytuacji, kiedy oficer policji namawia do czegoś werbalnie, lecz niekiedy słowa nie są potrzebne. Uważam, że sposób, w jaki oficer Flynn jest ubrana, sprowokowałby większość mężczyzn przynajmniej do myślenia o przestępstwie, z którego powodu się tutaj znaleźliśmy.

- Sprzeciw - zaczął prokurator z oczami utkwionymi w seksownej policjantce.

- Adwokat ma prawo do mowy przed sądem! - zachnął się Mulhern. -A może zmieniono konstytucję i nikt mnie o tym nie powiadomił? Zmieniono prawa obrony?

-Ale...

- Panno Flynn, czy pani towi? - zwrócił się do niej sędzia.

276

KARA ŚMIERCI

-Nie.

- Szkoda. To taki wspaniały sport. Zarzuca pani przynętę w nadziei, że ryba podplynie i ją połknie. Niewiele się to różni od tego, co robiła pani w sobotę wieczorem w barze.

Spojrzała na niego ponuro.

- Wędkarz jednak musi być uczciwy. Musi postępować zgodnie z zasadami sportu. Nie wolno mu strzelać do ryby z kuszy ani używać dynamitu. Przynęta musi być odpowiadać przepisom. Czy rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

- Nie, nie rozumiem - rzuciła gniewnie.

- No cóż, w takim razie ujmę to inaczej. Przynętę, której pani użyła, ubierając się w ten sposób, można porównać do dynamitu użytego w celu złowienia płotki. Gdyby papież zajrzał do baru „Piaskownica” sobotniej nocy, niewykluczone, że też znalazłby się tutaj dziś rano. Wprawdzie wątpię, żeby papież włączył się po tego typu miejscach, gdyby jednak tak się zdarzyło, mógłby przynajmniej popełnić grzech cielesny myślą..

- Przecież miałam wyglądać jak prostytutka - zaprotestowała. - Dlatego tak się ubrałam. Na wabia. Mulhern uśmiechnął się.

- Nie, nie na wabia. Bo to sugeruje, że gra była fair. Pani strój jest równy dynamitowi i

prawdopodobnie równie nielegalny. Powinienem uznać panią za winną łowienia bez licencji, ale nie zrobię tego.

Mimo iż bez wątpienia musiał go męczyć potężny kac, widziałem, że nieźle się bawi.

- Ogłaszam, że ta miła młoda oficer doprowadziła, kierując się najlepszymi intencjami, klienta pana Sloana do przestępstwa. To samo dotyczy innych mężczyzn, których aresztowała tamtej nocy.

Odrzucam tę sprawę, podobnie jak i resztę.

- Złożę apelację! - zapisał prokurator. Mulhern znów się uśmiechnął. - To pańskie prawo, młody człowieku. Jednakże bardzo wątpię, żeby ją pan wygrał. Zawsze jednak warto próbować.

Prokurator stracił zainteresowanie rozmową, kiedy tylko policjantka ruszyła do wyjścia. Podążył za nią głodnym wzrokiem.

- Centa za pańskie myśli - dodał sędzia z lekkim uśmiechem. Następne słowa powiedział już o wiele ostrzejszym tonem: - Proszę wywołać kolejną sprawę.

Wyszedłem z moim klientem na zatłoczony korytarz.

- Co się właściwie stało? - zapytał.

KAKA iMIItKU

Z//

- Wygraliśmy. Otrzyma pan pieniądze złożone w ramach kaucji i odzyska samochód.

- Chwała Bogu! Jak mam panu dziękować?

Poklepałem się po kieszeni, w której spoczywał mój portfel. -Już pan to zrobił. Odprowadziłem Panara do drzwi.

- Gdyby policja robiła jakieś kłopoty ze zwrotem, proszę mnie zawiadomić, dobrze?

Skinął głową i wyszedł, zmierzając prosto na posterunek policji.

- Nieźle przedstawienie odegrałeś, Sloan.

Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Victorem Trembly, adwokatem świętej pamięci Howarda Wordleya.

Trembly odwala! większość działki karnej w Port Huron. I wyglądał na to. Jego garnitur był kosztowny i na pokaz. W rogach oprawek okularów lśniły diamenty. Był mniej więcej mojego wzrostu, trochę powyżej średniego, nieco okrągławy. Na palcach obu dłoni nosił pierścionki z brylantami, a złoty rolex błyskał spod mankietu koszuli z monogramem.

Skuliłem się na samo wspomnienie, że były czasy, kiedy ubierałem się bardzo podobnie, może nie aż tak tandetnie, ale również na pokaz. Trembly wygląda jak palant, pomyślałem. Z tego wniosek, że ja też musiałem sprawiać takie wrażenie jeszcze nie tak dawno temu.

- Chętnie bym dał popalić tej malej dziwce - oznajmił Trembly, spoglądając chytrze. - To marzenie adwokata: przypieprzyć gliniarzowi.

- Spróbuj w „Piaskownicy”, Victorze. Uśmiechnął się.

- Przejąłem klienta, którego straciłeś - powiedział. -Jakiego klienta?

- Tego małego Dantona, który strzelał na stacji benzynowej. Rozróżba studencików.

- Wystąpisz o łagodniejszy wyrok?

- Po cóż, na litość boską? Uśmiechnąłem się.

- No cóż, został złapany na miejscu, przyznał się do winy i są świadkowie. Masz zamiar to obejść?

- Coś ty.

- No więc?

- W jaki sposób ty w ogóle zarabiasz na życie, Sloan? Stanę z dzieciakiem przed ławą.

278

NAKA iMIŁKCI

W

_ przegrasz.

y^pniechnął się jeszcze szerzej. _ y/em. |<gje rozumiem.

-rreiTibly poruszył dłońmi tak, żeby w brylantach odbiło się światło. _ Kiedy ława orzeknie jego winę, założymy apelację. _ją też przegrasz. _ vViem o tym.

NaSZa rozmowa zaczęła za bardzo przypominać scenę z wodewilu.

_ Stary Danton jest właścicielem stacji radiowej. Zrobi wszystko, żeby yCjagnać dzieciaka. Zanim chłopak trafi do więzienia Jackson, gdzie straci swoją cnotę, będę już właścicielem tej stacji. „jesteś miłym i dbającym o bliźnich człowiekiem, Victorze. _ jestem też bogaty. Niedobrze, że straciłeś klienta, Sloan. Własna stacja radiowa to prawdziwa radocha.

_ Znasz te okropne dowcipy o adwokatach, Victorze? - zapytałem. - Na rzykład ten: co to jest dwunastu martwych adwokatów? Dobry początek. _ ywielbiam je. Dlaczego pytasz, słyszałeś jakiś?

_ Rozmawiam z jednym - odparłem i odszedłem. _ pieprz się, Sloan. Nigdy nie pozwolę ci się reklamować w moim radiu. Roześmiał się. To nie był miły śmiech.

pomyślałem, że życie jest niesprawiedliwe. Taki nieetyczny, oślizgły typ ak Victor Trembly chodzi sobie spokojnie po świecie, podczas gdy ja tkwię po uszy w kłopotach.

[głowią, że sprawiedliwość jest ślepa. Zastanawiałem się, czy nie jest też przy okazji trochę stuknięta.

fa^S^iTpo p;naniu prawie naszych sił p°rządu-Pani

sCh^T h ^ ^ me by,° WŚród nich żadnej od sępiego Bi-S b.n poi2 ma am Ma"OWa- Z^°dnie *
TMimi p zewidywaniami

wpakuje do wtzTnia " ^ mnie Z 3

rejestrtn r T!™3™' Że nie gziłem sie na noszenie urządzenia rejestrującego, czy było to zgodne z honorem, czy nie Cała spr^a stałaby

m -e aniPn°aSmomie "f" ^ ""^ ^

Z ze zostałemH ?^ern musia%™ tylko znieść oskarżenie i świado-

siebTe Bvlabv tn H 3 Y ^ ty,k0 PFZeZ Franka Pa,mera'leCZ ' Sameg° Me wybór nale al T
Wymia"a " P—ko poc^ciu winy.

me wybór należał już do przeszłości. Teraz było za późno, żeby cokolwiek

^clTnZTlem Z"t0 da'ej P°t0Czy- SPr^a karna oznaczała ^ sSri ' k,eg° " ŚWiat° dzi-ne. jeśli zostaną za^sztowa-pi^SS^ P°d adr"em Pal— ' Mallowa dostaną się na ście pr^iaekitmnie ^ s™kowitym kaskiem- Oczywi-

za nteresow^ POJaW,a,yby * w P«sie doniesienia na ten temat, ale "moż nood7PrZeSUnę'0by " Str°nę k°rUpCJ'- Bo właŚC^ie' CZeg° praktyk* SP°dZ'eWac P° ^wokacie, który już raz stracił P-wo do

Wan^7awoduęAZaHŻyK' Pobawienie mnie prawa do wykony-

na pszymi od snr U ^ ^ TMj ^ ad^ata. W tej chwili praw kryminalnych w całym Detroit nie licząc <"™> "*H

280

is.ak.a :>iviiciv~i

Sylvester Drake i Wally Figer. Na ulicach mówiło się: jeśli jesteś niewinny, bierz Drake a, jeśli zaś winny - Figera. Byłem niewinny, lecz wyglądałem na bardzo, bardzo winnego. Postanowiłem, że jeżeli mnie aresztują, zatrudnię Wallyego Figera.

Gdyby jednak chciano pozbawić mnie prawa do wykonywania zawodu, wybiorę raczej Henry ego Sheridana, który swego czasu był głównym prokuratorem w agencji zajmującej się przyszpilaniem nieuczciwych lub niekompetentnych prawników. Był naprawdę dobry, jak rozszalały, wygłodzony tygrys. Kiedy tylko wyrobi! sobie nazwisko, rzucił tę robotę i przeszedł na drugą stronę stołu - tam gdzie są pieniądze. Pieniądze nieuczciwych lub niekompetentnych prawników.

Tak więc w razie próby zabrania mi licencji moim obrońcą będzie Henry Sheridan. Gdybym nawet nie wygrał, przynajmniej nie pójde na dno jak kamień.

Poniedziałek włókt się w ślimaczym tempie. Spotkałem się z paroma klientami, wykonałem niezbędne telefony i podyktowałem kilka listów. Staralem się przez cały czas być zajęty, żeby nie dopuszczać ponurych myśli. Nie bardzo mi to jednak wychodziło.

Zabrałem Sue Gillis na kolację, a właściwie na hamburgery w miejscowym barze. Starala się, jak mogła, trzymać fason i udawać pogodny nastrój. Historia mojego dzisiejszego wystąpienia w sądzie najwyraźniej miała szansę stać się jedną z policyjnych legend. Wersja, w jakiej Sue mi ją powtórzyła, świadczyła, że już za parę dni biedna policjantka dowie się, iż wystąpiła w barze, co najmniej bez stanika.

Sue zapytała, czy są jakieś wieści. Wiedziałem, o co jej chodzi, i powiedziałem, że nie. Oboje usiłowaliśmy prowadzić rozmowę, lecz między zdaniami zapadały długie i bolesne przerwy. Żadne z nas nie umiało wypełnić tego milczenia.

- Kiedy jedziesz do Broken Axe? - zapytała wreszcie. -Jutro wieczorem.
- We wtorek? Rozprawa odbędzie się dopiero w czwartek, prawda?
- Chcę być tam całą środę. Mam sporo do zrobienia.
- Na przykład?
- Przeczytam oficjalny raport z sekcji. Jeśli coś mi się w nim nie spodoba albo uznam, że przydałyby się dodatkowe informacje, będę musiał skontaktować się z którymś z tutejszych lekarzy lub spotkać z miejscowym.

i\nt\n ;>iviick.u

281

- Dlaczego?
- Ponieważ nie kończyłem medycyny. Sporo się dowiedziałem podczas pierwszego procesu Doktora Śmierć, lecz może będę potrzebował trochę technicznych szczegółów, jeśli jest coś nowego. Poza tym zamierzam zadać parę pytań świadkom oskarżenia.
- A zgodzą się na to?
- Raczej tak. Są bardzo pewni swego. No i muszę pogadać z klientem.
- Sądziłam, że go nie lubisz. Uśmiechnąłem się.
- Bo nie lubię. I on mnie też nie. Ale to nieważne. Wziąłem tę robotę i wykonam ją, jak zdołam najlepiej. Zdziwiłabyś się, jakich ludzi broniłem.
- Chodzi ci o tych, których nie lubiłeś?
- Właściwie do większości czułem sympatię. Wiesz, kiedy złodziej nie wdrapuje się akurat przez okno do twojego mieszkania, potrafi być naprawdę czarującym facetem.
- Ale nie Doktor Śmierć.
- Gdy myślę o naszym dobrym doktorku, określenie „czarujący" jakoś nie przychodzi mi do głowy.
- Wygrasz, Charley?
- Raczej nie. Zdaje się, że tym razem rzeczywiście mogą mu coś udowodnić. Będę się starał, obawiam się jednak, że wreszcie wyląduje przed ławą.
- Morderstwo pierwszego stopnia?
- Liczę się z tym. To, czy uda mi się trochę osłabić oskarżenie, będzie zależało od postawy świadków. Sędzia jest moim starym kumplem ze szkoły, może więc równie dobrze próbować okazać mi życzliwość, jak i udowodnić, że nie jest stronniczy.
- Ze Świętego Benedykta? -Tak.

Zmarszczyła brwi.

- Jak Biskup, Palmer i Mallow?
- Młodszy, lecz tak. Też absolwent jak oni. I jak ja.
- Czy podejrzewasz, że mógłby... -Co?

Mars na jej czole pogłębił się.

- Ramię Biskupa najwyraźniej sięga daleko. Czarne wcale nie musi być czarne, a białe - białe.
- To prawdziwa paranoja.

282

KAKA SMIEKLI

- Naprawdę?
 - Tak sądzę.
 - Sędziowie, podobnie jak policjanci, trzymają się razem, Charley. Ja tylko przypominam, że powinieneś o tym pamiętać i zachować nieco rozwagi.
- Skończyliśmy jeść, a kawę wypiliśmy już u niej w domu. I znowu rozmowa była wymuszona, o seksie też najwyraźniej nie mogło być mowy. Pocałowałem ją na dobranoc i wyszedłem. Kiedy jechałem do siebie, przyszło mi do głowy, że może paranoja jest zaraźliwa. Zacząłem się bowiem zastanawiać, czy przypadkiem Sue nie ma racji. Postanowiłem, że będę ostrożny. Bardzo ostrożny.

We wtorek próbowałem trochę popracować, lecz myślami byłem już gdzie indziej. Kiedy nie rozważałem własnej sytuacji, zastanawiałem się nad najlepszą linią obrony dla Milesa Stewarta. Po lunchu jednak datem sobie spokój. Powiedziałem pani Fenton, że wyjeżdżam i nie będzie mnie aż do piątku. Ale nie wspomniałem, że piątkową noc mogę spędzić w więzieniu, bo ta perspektywa zanadto by ją ucieszyła.

Pojechałem do domu, spakowałem się i ruszyłem do Broken Axe. Na szosie stanowej nie było wielkiego ruchu. Miałem więc znowu czas, żeby pomyśleć, co bynajmniej nie sprawiło mi przyjemności.

Był wtorek. Zgodnie z tym, jak sobie wyobrażałem przebieg spraw, Harry Sabin powinien właśnie rozmawiać z sędzią Frankiem Palmerem. Jeśli Mallow jeszcze mnie nie pogrążył, z pewnością zrobi to Palmer.

Nie mogłem powstrzymać ani zmienić biegu wydarzeń. Śledztwo musiało się toczyć dalej. To ja je zapoczątkowałem i wracało do mnie jak bumerang. Starąłem się skoncentrować na czymś innym, ale nawet taśma Buffeta niewiele tym razem pomogła.

To były trzy długie godziny. Wreszcie jednak dojechałem do małego miasteczka w stanie Michigan. Znajdował się tam jedyny zajazd - „Gospoda pod Złamaną Siekierą”, mieszczący się w budynku z czerwonej cegły, który - sądząc po dacie nad wejściem - liczył już sobie ponad sto lat. To był stary hotel kolejowy. Pociągi dawno przestały tędy przyjeżdżać, lecz zajazd dalej służył innym już klientom. Wyglądał równie zachęcająco jak więzienie.

Jechałem dalej przez to senne miasteczko, aż wreszcie na peryferiach zobaczyłem stary motel. Jak przeniesiony z muzeum. Składał się z mieszkania właścicieli, biura i dziesięciu małych domków, przyklejonych jeden do drugiego niczym królicze nory. Mimo to miejsce wyglądało bardziej zachęcająco niż ceglany budynek w mieście.

KAKA SMihKCI

283

Podświetlony napis głosił, że są wolne pokoje, choć prawdę powiedziawszy, można się byto tego jedynie domyślać, bo większości liter brakowało.

Zaparkowałem i wszedłem do biura. Znajdowały się tam jedynie kontuar i dwa plastikowe krzesła, mocno już zużyte. Z wnętrza dochodził hałas telewizora. Nie było żadnych drzwi, tylko firanka, która zasłaniała pomieszczenie, w którym ktoś najwyraźniej oglądał telewizję. Na kontuarze zobaczyłem jeden z tych śmiesznych starodawnych dzwoneczków, w które trzeba uderzać od góry. Zadzwońnięm dwukrotnie.

W pierwszej chwili nic nie wskazywało na to, że ktoś mnie usłyszał, potem jednak w hałas telewizora wmieszało się szuranie nóg. Widocznie przerwałem właścicielowi oglądanie teleturnieju. Zapewne w Broken Axe niełatwo było o rozrywkę.

Zza zasłonki wyłonił się stary, niski człowieczek. Był w podkoszulku, spodniach i kapciach. Nasunął na nos grube szkła i spojrzał na mnie.

- Czego pan chce?

- Pokoju.

- Pan sam? -Tak.

Zerknął przez okno w stronę samochodu, jakby sprawdzając, czy nie ukrywam gdzieś kobiety.

- Są dwie stawki - poinformował. - Jedyńka dwadzieścia pięć dolarów za noc, pokój z podwójnym łóżkiem - trzydzieści pięć. Jeśli przyprowadzi pan kobietę, stawka rośnie dwukrotnie.

Uśmiechnąłem się.

- Dobrze, ale jestem sam.

-Jedna noc - to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Zostanę tutaj przynajmniej do czwartku. Może nawet spędzę noc z czwartku na piątek. Na razie jeszcze nie wiem.

- Tylko jedna noc - powtórzył. - Na resztę tygodnia wszystkie pokoje są zamówione. Szykuje się nam duży proces i zarezerwowali je dziennikarze.

-Ja też tu jestem z powodu tego wielkiego procesu - wyjaśniłem. - Nazywam się Sloan. Jestem adwokatem doktora Milesa Stewarta.

Oczy starca rozszerzyły się, po czym na jego twarz wypełził szeroki uśmiech. Spoglądałem na resztki uzębienia.

- Adwokat Śmierci?

- No cóż, wolimy, żeby był nazywany bardziej po chrześcijańsku, ale tak.

284

KARA ŚMIERCI

-Jezu, to byłoby naprawdę coś, gdyby pan zamieszkał w moim motelu. -Jego uśmiech zniknął. - Co z tego, kiedy nie mam pokoi.

- Założmy, że popełnił pan błąd - podsunąłem mu. - Linie lotnicze robią to przez cały czas.

Przyjmują zbyt wielu chętnych. Może pan przecież zadzwonić do jednego z tych gości i powiedzieć, że się pan przeliczył, lecz są jeszcze miejsca gdzie indziej. Nie sugerowałbym takiego posunięcia, gdyby nie to, że jeśli nie znajdę pokoju, będzie mi bardzo nie wygodnie dojeżdżać codziennie z Bay City albo licho wie skąd jeszcze.

- To brzmi dość rozsądnie, jeżeli jednak...

- Założmy, że zapłacę panu podwójnie za podwójny pokój. -Jak pan to rozumie?

- Podwójny jest za trzydzieści pięć dolarów, a ja gotów jestem zapłacić panu siedemdziesiąt, i to za trzy noce, nawet jeśli nie zostaną do piątku.

Pieniądze są równie ważne w Broken Axe jak w Nowym Jorku. A może nawet bardziej, dużo bardziej. Zmrużył oczka jak konspirator.

- Z góry?

- Dam panu pieniądze teraz.

- No, nie wiem. Kogo mam wyrzucić?

- Proszę pokazać mi listę.

Podał mi odręcznie nagryzmołoną listę rezerwacji. Były na niej nazwiska i redakcje. Głównie ludzie z telewizji. Kilku dziennikarzy z Detroit. Wśród nich Sherman Martelle z „Free Press”. Lubię Shermana, Jemu pozwolę pozostać.

Ale zobaczyłem również nazwisko Connie Shine z „News”. Ostatnie na liście. Connie, niska i bardzo głośna Irlandka, uważała siebie za ostatnią prawdziwą reporterkę. Większość jej reportaży jest na temat jej samej. Gdyby z języka angielskiego wyeliminować zaimek „ja”, Connie nie byłaby w stanie pisać. A jeśli już się nad tym zastanowić, to także i mówić.

- Ta kobieta - wskazałem mojemu gospodarzowi nazwisko Connie - jest potworną pijaczką i zawsze sprowadza kłopoty. Przyjąć ją pod swój dach, to jak prosić się o nieszczęście. Gdybym był na pana miejscu, właśnie ją bym powiadomił o pomyłce.

- Każdy pijak oznacza kłopoty - oświadczył, nieświadom, że mówi do byłego mistrza w tej dziedzinie - ale pijana baba to już szczyt wszystkiego. Wiem dobrze, bo dwa razy byłem z takimi żonaty.

Uśmiechnął się, jeszcze raz odsłaniając swoją plastikową szczękę.

- Ma pan ten pokój.

KARA ŚMIERCI

285

Zapłaciłem mu kartą kredytową i wpisałem się do księgi gości. Przyglądał mi się z wyraźnym zadowoleniem.

- Coś takiego! Adwokat Śmierci pod moim dachem!

Dostałem ostatni pokój, oznaczony numerem dziesięć. Właściciel motelu wyjaśnił mi, że w ten sposób będę słyszał hałasy tylko od strony jednego sąsiada. Pokój, jak cały motel, wyglądał niczym przeniesiony z muzeum. Część jego uroku stanowił wszechobecny zapach pleśni. Linoleum na podłodze odłaziło po bokach, ściany były całe w plamach, trudnych do zidentyfikowania z powodu starości, meblowanie od sasa do łasa. W malej wnęce łazienkowej znajdował się prysznic w postaci metalowej puszeki z zatyczką oraz popękana muszla klozetowa. W umywalce panoszyły się plamy rdzy. Ale był to dom. Przynajmniej na kilka najbliższych dni.

Łóżko co prawda zapadało się, lecz uznałem je za wystarczająco wygodne. Położyłem się na nim i

zapatrzyłem w sufit.

Z autostrady dobiegał hałas przejeżdżających ciężarówek. Cały budynek dygotał. Z innej strony dochodziły mnie dźwięki muzyki. Nie mogłem rozpoznać melodii, ale saksofon brzmiał rozdzierająco samotnie.

Stare pokoje motelowe fascynują mnie. Rozmyślałem, co też się wydarzyło w tym miejscu przez wszystkie minione lata. Miłość, nienawiść, rozpacz - ten maty pokój był pewnie świadkiem wszelkiego rodzaju dramatów. Te ściany musiały widzieć przeróżne zachowania seksualne. Kobiety zapewne tu ptakaty, mężczyźni bywali przeklinani. W tym łóżku spała przypuszczalnie cała armia pijaków.

I samobójców. Ci zawsze lubowali się w motelach. Może nawet popełniono tutaj morderstwo, chociaż jeśli wziąć pod uwagę spokojny charakter miasteczka, chyba nie. W takim miejscu morderstwo byłoby prawdziwym wydarzeniem, nie kolejnym wypadkiem.

W ten sam sufit musieli się przede mną wpatrywać różni ludzie. Większość prawdopodobnie zastanawiała się, co szykuje im przyszłość.

Nagle wydało mi się, że przez woń pleśni przebija odór strachu. To była moja ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Tej nocy kilkakrotnie budziły mnie sny. Niespokojne sny. Byłem ścigany, ktoś mi groził, znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Za każdym razem, kiedy się budziłem, nie pamiętałem, gdzie jestem. Potem uświadamiałem to sobie, docierało do mnie, że mam prawdziwy powód do niepokoju, i koszmary otrzymywały nową pożywkę.

Ale zasypiałem znowu, więc gdy wreszcie przyszedł poranek, ogłoszony zwiększonym ruchem ciężarówek, które wydawały się przejeżdżać tuż obok mojego pokoju, czułem się wypoczęty.

Ze starego prysznicza udawało mi się uzyskać albo wrzątek, albo lodowato zimną wodę - stanów pośrednich nie było. Zdołałem się jednak jakoś umyć, nie tracąc przy tym skóry.

Ubrawszy się znalazłem w mieście małą restaurację. Na parkingu obok stały ciężarówki, a to zazwyczaj oznacza dobre jedzenie. Kierowcy, ciągle w trasie, szybko przekonują się, gdzie jedzenie jest złe, a gdzie dobre.

Otrzymałem zamówione jajka na bekonie i grzanki w ilościach wystarczających, by wykarmić pluton wojska. Kawa była znakomita, a młoda kelnerka zachowywała się tak, jakby jej życie zależało od tego, czy moja filiżanka będzie wciąż napełniona.

Przy drzwiach kupiłem „Free Press”. Moja sprawa znowu znalazła się na pierwszej stronie, w lewym dolnym rogu. Sherman Martelle opisywał historię Doktora Śmierci i jego zmagania z prawem. Potraktował artykuł jako swego rodzaju podniesienie kurtyny dla tego, co miało nastąpić w sądzie w Broken Axe. Przy okazji poświęcił mi parę przychylnych uwag, chociaż użył określenia „niekiedy kontrowersyjny obrońca”. Uznałem, że oznacza to obrońcę prawdy i sprawiedliwości. Kto inny jednak mógł pomyśleć, że autor unika

KARA ŚMIERCI

287

w ten sposób takich epitetów, jak „przebiegły”, a nawet „kanciarz”. Podobno piękność każdy człowiek widzi inaczej.

Rachunek nie był duży. Ceny tutejsze znacznie różniły się od wielkomiejskich. Zapłaciłem i zostawiłem hojny napiwek mojej niestrudzonej kelnerce.

Wyszedłem z restauracji, odetchnąłem głęboko i zrobiłem pierwszy krok w stronę obrony bardzo słynnego Doktora. Podjechałem pod sąd. Chciałem porozmawiać z prokuratorem i otrzymać kopię raportu z sekcji. Zaparkowałem i ruszyłem ku wejściu, kiedy nagle zastąpił mi drogę bardzo chudy i bardzo niechlujnie wyglądający mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Coś nieprzyjemnego w twarzy nasuwało skojarzenie ze zboczeńcem molestującym dzieci. Kiedy się uśmiechał, wrażenie jeszcze się pogłębiało.

- Oto wielki Charley Sloan - powiedział, wyciągając do mnie kościstą dłoń. Nie był wysoki, a szopa jego rudych włosów przypominała dziki krzak. Miał tak australijski akcent, że krokodyl Dundee mówił przy nim czystą angielszczyzną.

Uścisk jego dłoni był energiczny, ale mocno wilgotny.

- Czym mogę panu służyć?
 - Gdyby mnie pan rozpoznał, wiedziałby od razu, czym może miszować - odparł swoim kangurzym głosem.
 - Obawiam się, że niestety nie rozpoznałem pana. Jeśli go dotknąłem, nie pokazał tego po sobie. - Jestem Reggie O'Malley. Z telewizji.
 - Australijskiej? - Zdziwiłem się, że sława Dobijaki sięgnęła tak daleko.
 - Nie, stary. Z naszej starej, dobrej Ameryki. Jestem z „Kącika Podglądacza”.
- Słyszałem o tym programie, chociaż prawdę mówiąc, nigdy go nie widziałem. Był jednym z tych, które epatują widza gwałtami więziennymi i wykorzystywaniem dzieci. Żaden z nich nie miał raczej szans na prestiżową nagrodę za jakość, lecz oglądalność osiągały naprawdę niezłą. Czytałem gdzieś, że z nich wszystkich „Kącik podglądacza” jest najgorszy.
- Ta sprawa zamieni się w prawdziwy cyrk, Charley - oznajmił. - Prasa wdepcze was, pana i pańskiego klienta, w glebę. Ja mogę wam pomóc.
 - Jak?
 - Proszę pozwolić, by moja kamera podążała za panem krok w krok. Mój program ma zasięg krajowy, ogląda nas sporo ludzi. Zyska pan szansę przedstawienia swojego punktu widzenia. Staniemy po waszej stronie.

288

KARA ŚMIERCI

- Czy zdarzyło się panu kiedyś coś sprzedawać, panie O'Malley? Uśmiechnął się do mnie jeszcze szerzej.
 - Tak właśnie zaczynałem, koleś. I to jest przecież sedno telewizji: sprzedaż.
- Zauważyłem kątem oka, że filmuje nas krzepki kamerzysta posługujący się bardzo profesjonalną kamerą.
- No to proszę iść gdzie indziej i sprzedać co innego. Doceniam propozycję, lecz to, co pan sugeruje, byłoby naruszeniem etyki.
- Jego uśmiech przestał być nagle taki przyjacielski.
- Ho, ho, Charley, a co ci tak nagle zaczęło zależeć na etyce? Słyszałem, że jesteś nawet gorszy niż większość prawników.
 - Dobrego dnia, koleś - rzuciłem, mijając go i kierując się w stronę schodów sądu.
 - Mogę to przedstawić z zupełnie innej strony, Sloan! - wykrzyknął. -Zrobimy z ciebie kompletnego dupka!
- Już zamierzałem powiedzieć, że właśnie sam wykonałem te robotę za niego, ale ugryzłem się w język. Nie wyglądałoby to najlepiej, a odtworzone zabrzmiałyby jeszcze gorzej.
- Pomachałem mu tylko, po czym wykonałem pewien gest ręką. Ciekawe, czy jest on zrozumiały w Australii.
- W taki sposób zaczął się największy show na ziemi. Doktor Śmierć stał się popularny niczym gwiazda rocka. Ja również. Ale może nie tak, jak bym sobie tego życzył.
- Eddie Rand nie zachowywał się tak swobodnie jak przy naszym pierwszym spotkaniu, ale był nie mniej przyjacielski. Pomyślałem nawet, że to reakcja nerwowa przed całym tym cyrkiem. Podał mi raport z sekcji bez cienia wahania.
- Doktor Clyde Andersen był powszechnie znany jako człowiek o szerokich horyzontach myślowych, a przy tym dobry patolog. Przeczytałem uważnie wyniki, szczególną uwagę zwracając na badania krwi. Podczas pierwszego procesu Stewarta przeszedłem niezłe przeszkolenie, co teraz procentowało z nawiązką. Rozumiałem prawie wszystko, również to, dlaczego dokument ten może stanowić filar oskarżenia.
- Nie najlepiej to dla was wygląda - oznajmił Rand.
 - Zobaczmy. Kogo zamierzasz wezwać jutro na świadka?
 - Policjanta, który przyszedł do Croninów, oraz pielęgniarkę, obecną na miejscu, kiedy Stewart popełnił morderstwo.

KARA ŚMIERCI

289

- Czy widziała, jak to robił?
- Nie. Twój człowiek nie jest głupi. Powiedział, że przypilnuje chorego, aby ona mogła pójść przyrządzić kawę. Ale ona zezna, że staruszek żył jeszcze, gdy Stewart wszedł do pokoju, a niedługo potem zmarł. - Prokurator nie potrafił powstrzymać uśmiechu.
- Kogo jeszcze?
- Lekarza, który opiekował się chorym.
- Dlaczego?
- Aby wykazać, w jakim stanie był Sean Cronin przed przyjazdem twojego klienta.
- Kiedy ten lekarz widział pacjenta po raz ostatni?
- Rano w dniu śmierci. To było jeszcze przed przyjazdem Stewarta.
- Kogoś jeszcze?

Cień przemknął po jego twarzy.

- Chyba będę musiał wezwać pannę Donnę. To ona stanęła w drzwiach w chwili, gdy doktorek aplikował mu śmiertelny zastrzyk.

- Chyba?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- To taka miła dama, że aż żal ją w to wszystko mieszać. Ale przypuszczam, że nie będę miał wyjścia.

- I to wszyscy?

- Przynajmniej na etapie rozprawy wstępnej. Potem, w trakcie procesu, może dodam jeszcze kilka osób.

- A zatem zakładasz jutro wygraną?

- Wiem, że nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca, lecz jeśli jutro uda ci się wyciągnąć faceta, Charley, to ogolę głowę i podążę za tobą jako wierny uczeń.

- Zgodzę się tylko pod warunkiem, że szata będzie żółta. Jak nazywa się lekarz?

- Doktor Kim. S.A. Kim. Mówimy na niego Sam. Jest jedynym lekarzem w miasteczku. Maty Koreańczyk, ale wszyscy go kochamy.

- Chciałbym porozmawiać z Donna Cronin. Zmarszczył brwi.

- Musisz?

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem.

- Czy jest jakiś kłopot?

- No, niewielki, lecz tak. Ona może i wygląda jak czołg, ale w rzeczywistości jest nieśmiała i łatwo ją wystraszyć.

290

KARA ŚMIERCI

- W takim razie jedź ze mną. -Jako przyzwoitka?

- Również, przede wszystkim jednak po to, żeby ją uspokoić. Eddie pokiwał powoli głową.

- Czy tak się robi w wielkich miastach? No wiesz, prokurator z obrońcą wspólnie przesłuchują świadka?

- Czasami.

- Dobrze, zadzwonię i uprzedzę ją, że wpadniemy.

Pojechaliśmy samochodem Eddiego Randa. Był to sportowy model che-vroleta, który aż się prosił o ostry wyścig. Dziewczeta lubią takie wozy, zwłaszcza że oprócz kierowcy mieści się w nim tylko jedna osoba.

- Musisz coś zrozumieć, jeśli chodzi o te dziewczynki Cronina - oznajmi! Eddie, kiedy rwaliśmy piaszczystą drogą. - Wszyscy tutaj je lubią, choć trudno by je nazwać ładnymi. - Westchnął. - Mają ciała jak wieloryby, twarze buldogów, ale nie znajdziesz miłszych od nich na całym świecie.

Możesz mi wierzyć. Zawsze wszystkim pomagają, i nie tylko dla pozorów. Pieką ciasta i pasztety na nasze miejscowe mityngi. A same zazwyczaj potem nie przychodzą. Wstydzą się. Jeżeli ktoś zachoruje albo umrze, zawsze przysyłają prezenty. Uważa sieje tutaj za takie pomniejsze święte.

- Co powiesz o ich ojcu?

- Całkowite ich przeciwieństwo. Niedobry skurwiol, którego to miejsce obchodziło tyle, co

zeszłoroczny śnieg. Dziewczynki uwielbiały go. Wystarczyło, że kiwnął palcem, a już biegły. Żal nam ich było.

- Więc na pogrzebie pewnie mało kto się zjawił? Potrząsnął głową.
- Tłumy. Ze względu na Doreen i Donnę, nie dla niego. Wskazał przed siebie dłonią.
- Wjeżdżamy teraz na nasze Złote Wybrzeże.

Widziałem już wielkie wiktoriańskie domy zbudowane na wysokim brzegu. Między poszczególnymi budynkami pozostawiono mnóstwo wolnego miejsca - stały w oddaleniu od siebie niczym eleganckie pałace.

- Większość właścicieli przejeżdża tutaj tylko na lato - wyjaśnił Eddie - ale Croninowie mieszkają przez okrągły rok. Stali się częścią tutejszej społeczności.

- Czy dlatego nie oskarżyłeś Doreen Cronin o morderstwo?

Spojrzał na mnie ostro. Z jego twarzy całkowicie zniknął przyjacielski wyraz.

- Posłuchaj, Sloan, jak na razie zupełnie dobrze nam się układa współpraca. Nie ma żadnego powodu, żeby to wywlekać.

KARA ŚMIERCI

291

-Jeśli sprawy miały się tak, jak je przedstawiasz, to Doreen wynajęła zabójcę swego ojca. I zapłaciła mu za tę przysługę. Jeżeli nie chodzi tu o morderstwo, to nie wiem, jak coś takiego nazwać. Spiskowanie na rzecz morderstwa, współudział w zabójstwie? Można wyciągnąć parę różnych zarzutów.

- I zrobisz to w sądzie?

- Eddie, chyba pamiętasz, że jestem obrońcą. Nie mogę działać selektywnie. Oczywiście, że muszę to wyciągnąć. Jeśli nie w czasie rozprawy wstępnej, to z całą pewnością podczas samego procesu.

Gdybym tego nie zrobił, trudno byłoby mnie nazwać dobrym adwokatem.

Kiedy wprowadził samochód na drogę prowadzącą do drewnianych pałaców, wyglądał na zakłopotanego.

-Jak widzę, to jeden z tych mostów, które będę musiał pokonać.

- Więc nie zamierzasz postawić jej w stan oskarżenia? Uśmiechnął się smutno.

- Żeby tutejsi ludzie mnie zlinczowali?

Wjechał na podjazd do jednego z pałaców, dołączając do sznura już zaparkowanych samochodów.

-Jesteśmy na miejscu. Ciekawe, co się tu dzieje.

Przy drzwiach stał Reggie O'Malley ze swoim kamerzystą. Australijczyk wybijał powolny rytm na drewnianej futrynie. Kamerzysta był gotów w każdej chwili rozpocząć pracę. W pobliżu kręciło się jeszcze kilkoro innych ludzi. Nie rozpoznałem żadnej twarzy, lecz bez wątplenia byli to dziennikarze.

O'Malley zamarł na mój widok.

- Cześć, Sloan, co tutaj porabiasz? - Spojrzał na Eddiego. - A czyż to nie prokurator we własnej osobie? Coś mi tu pachnie korupcją.

- Kto to, u diabła, jest? - zapytał mnie Eddie.

- Prasa, chłopcze. Oczy i uszy republiki. To dopiero wierzchołek góry lodowej. Ale nadciąga cała armia.

Eddie złapał O'Malleya i odciągnął go od drzwi. Zauważyłem, że kamerzysta z uśmiechem utrwała wszystko na taśmie.

Drzwi otworzyła nam zasuszona staruszka. Szybko weszliśmy do środka. Zamknęła zasuwę.

O'Malley wykrzykiwał coś i znowu zaczął wystukiwać swój powolny rytm na futrynie.

- Dzień dobry, pani Legrand - powiedział Eddie.

Kiedy się uśmiechnęła, jej twarz pokryła sieć tysięcy zmarszczek. Przypominała starożytną mumię. Poprowadziła nas przez ogromny dom.

- Kto to jest? - zapytałem szeptem Eddiego.

292

KARA ŚMIERCI

- Pani Legrand, pokojówka.

- Pokojówka?

- Tylko z nazwy. Jest za stara na cokolwiek oprócz podawania herbaty. Do prawdziwej roboty panny Cronin mają jedną z jej wnuczek. Trzymają babcię, żeby dorobiła trochę do emerytury. Legrandowie to liczna rodzina, a o pracę nie jest łatwo. Jej zarobki stanowią pewną pomoc. - Mówił to normalnym głosem, a potem uśmiechnął się. - Nie martw się, Charley. Pani Legrand jest głucha jak pień.

Zaprowadziła nas do saloniku, przez którego okna widziałem ogrom jeziora Huron. Dwie kobiety, obie ubrane w identyczne czarne sukienki, siedziały sztywno na kanapie, która pasowała wiekiem do całego domu. Nie stanowiły najładniejszego widoku - przypominały bardziej dwa niedźwiadki niż istoty płci żeńskiej. Eddie, mówiąc o nich, porównał je do buldogów. Wtedy myślałem, że przesadził. Przedstawił mnie i zajęliśmy dwa krzesła naprzeciwko dam.

- Charley chciałby paniom zadać parę pytań. Panno Donno, wolałbym, żeby pytał tylko panią.

- Hola! - wtrąciłem. Zignorował mnie.

- Może by pani opuściła ten pokój, panno Doreen? W ten sposób skończymy wszystko raz, dwa. Zanim zdążyłem powiedzieć choć słowo, podniosła się i wyszła.

- Kim są ci okropni ludzie? - zaskrzeczał głos, brzmiący tak, jakby wydobywał się z gardła małego, przestraszonego ptaszka. Rozejrzałem się i dopiero po chwili zrozumiałem, że to odezwała się Donna Cronin.

- Po prostu jakieś męty z telewizji - wyjaśni! Eddie. - Zadzwoń do córka, który zaraz ich przepłoszy. Proszę się tym nie martwić, panno Donno. No, teraz twoja kolej, Charley.

Wyglądała na dość zdenerwowaną, nawet bliską łez.

- Tylko parę pytań - rzekłem cicho. - Podobno widziała pani, jak doktor Stewart robił zastrzyk pani ojcu. Czy to prawda?

Odpowiedziała nie od razu.

- Widziałam go ze strzykawką.

- Zacznijmy więc od początku. Proszę opowiedzieć mi własnymi słowami, co pani widziała.

Wyraźnie chroniła siostrę. Stwierdziła, że doktor Stewart był gościem Doreen. Nic nie wiedziała o jakichkolwiek wypłaconych mu pieniądzech. Przyznała, że słyszała coś na temat jego reputacji.

Zapytałem, czy siostra chciała skrócić cierpienia ojca. Odparła, że tak, ale ona, Donna, uznała, że wszystko jest w rękach Boga.

KARA ŚMIERCI

293

Moje pytanie o to, czy Doreen sprowadziła doktora Stewarta właśnie w tym celu, by skrócić cierpienia ojca, pominęła milczeniem. Jak na osobę nieśmiałą, zbyt dobrze wiedziała, co odpowiadać, by jej siostra nie została uznana za winną współudziału w przestępstwie.

Była świadkiem, jak doktor Stewart wchodził do pokoju jej ojca. Zaprzeczyła, że przyglądała mu się z wiadomego powodu. Kiedy go zauważyła, stał do niej plecami, lecz potem się odwrócił! i dostrzegła w jego ręku strzykawkę. Stewart najwyraźniej pomylił ją z siostrą, bo pomachał do niej. Pobiegnęła po Doreen, ale zanim przybyły, Sean Cronin już nie żył. Nie widziała momentu, kiedy lekarz robił zastrzyk. Zadzwoiła po szeryfa, lecz potem była na siebie zła. Zachowywała się tak, jakby teraz tego żałowała.

Nie naciskałem jej więcej. Najwyraźniej mówiła prawdę, z wyjątkiem wszystkiego, co dotyczyło siostry. Nie chciałem się zbytnio odsłaniać, więc skończyłem rozmowę.

Pożegnaliśmy się z nią i podziękowaliśmy za kawę. Eddie zadzwonił po szeryfa Córka Millera i nie minęło dziesięć minut, jak zjawili się dwaj policjanci i zepchnęli dziennikarzy na drogę. Następnie stanęli przy drzwiach domu.

Wsiedliśmy z Randem do samochodu. Gdy odjeżdżaliśmy, Reggie O'Malley splunął za nami. Nie trafił.

JR-eszta środy przeszła szybko. Byłem zajęty. Rozmawiałem ze świadkami oskarżenia, cały czas w towarzystwie prokuratora, który najwyraźniej działał jako mój osobisty ambasador. Oczywiście wiedział, że nie ma nic do stracenia. Jego zdaniem Doktor Śmierć był już skazany. Wystarczyło tylko wykonać rutynowe czynności.

Zjadłem lunch z szeryfem i Eddiem Randem. Cork Miller był kimś w rodzaju wioskowego komedianta, co z pewnością pomogło mu w wyborach. Podczas lunchu ilość jego zdrowego śmiechu dorównywała ilości smacznego jedzenia. Przez chwilę wydawało się, że stoimy po tej samej stronie barykady. Myślę, że było im mnie żal.

Na wieczór zostawiłem sobie spotkanie z moim słynnym klientem. Miasto okupowali już dziennikarze, nie można było nigdzie pójść, by się na nich nie natknąć. Fotografowie uwiecznili moment, kiedy wchodziłem do więzienia. Staralem się wyglądać na pewnego siebie.

Niektórzy z reporterów, mając nadzieje na jakąś ostrą odpowiedź, którą mogliby gdzieś wykorzystać, wykrzykiwali za mną wrogie pytania. Zignorowałem ich.

Kilka dni w areszcie nie osłabiło naturalnych tendencji, jakie wykazywał doktor Miles Stewart.

Przez dziesięć minut siedziałem w celi i wysłuchiwałem jego skarg: na temat otoczenia, systemu prawnego, a nawet mojej osoby. Nie pozostawało mi nic innego, jak dać mu się wygadać.

- Zgarnęli kaucję, którą musiałem złożyć przed apelacją - zzymał się. -Przypuszczam, że wie pan o tym?

-Tak jest zawsze, kiedy apelacja dotyczy jednego morderstwa, a oskarżony zostaje aresztowany za inne.

- Co będzie, jak nie wyciągnie mnie pan stąd jutro? Pójdę do więzienia?

KAKA S Mit KU

- Do czasu, aż odnowię kaucję w sądzie apelacyjnym. To może potrwać dzień lub dwa dni. Zależy.

-Jezu! Co pan wygaduje! Mam spędzić kolejne dni w więzieniu z powodu jakiegoś oszalałego biurokratycznego systemu? To absurdałne. Dopóki nie udowodni mi się winy, jestem niewinny. Uśmiechnąłem się.

- Technicznie rzecz biorąc, uznano pana za winnego morderstwa drugiego stopnia. Wygrana w procesie apelacyjnym nie jest pewna.

- Cholerni prawnicy!

- W każdym razie tym będziemy się martwić później, dobrze? Jeśli skażą pana jutro za morderstwo pierwszego stopnia, cała ta sprawa z kaucją przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Bierze pan pieniądze za to, by do tego nie dopuścić!

- Biorę pieniądze, żeby bronić pana najlepiej, jak potrafię. Zmarszczył się.

- Lepiej byłoby, żeby się pan naprawdę postarał. Bo inaczej zaskarżę pana o zaniedbywanie obowiązków.

Znów się uśmiechnąłem. Mój uśmiech zawsze go irytował.

- Gdyby stało się najgorsze, znajdzie pan w więzieniu dość skazanych prawników, którzy za papierosa pomogą panu napisać skargę.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał i to zamknęło mu usta. Ale tylko na moment.

- Co się wydarzy jutro? - zapytał.

-Już pan przez to przechodził w czasie sprawy Milliarda. Jutro odbędzie się rozprawa wstępna.

Prokurator musi wykazać, że zbrodnia została popełniona i że można domniemywać, iż to pan ją popełnił. Taki jest cel jego wystąpienia. Wezwie świadków. Ja wezmę ich w krzyżowy ogień pytań. Ale pan nie będzie zeznawał. Ani też żaden ze świadków obrony. Ta procedura służy, by uniemożliwić oskarżanie dla żartu. Prokurator musi wykazać, że ma dość dowodów, by proces był zasadny.

Przez chwilę siedział niezwykle jak na niego cicho, potem odezwał się:

-Jaką daje mi pan jutro szansę?

- Doktorze, ostrzegałem pana, co się może zdarzyć, jeśli zacznie pan znowu interes z eutanazją, prawda? No cóż, oskarżyciele mają czek od panny Doreen. Pan utrzymuje, że to na badania, prokurator - że to honorarium za wykonaną usługę. Mają pannę Donnę, która widziała pana ze strzykawką, stojącego nad jej tatusiem na chwilę przed tym, nim wyzionął ducha. I mają też wyniki sekcji przeprowadzonej przez jednego z najlepszych patologów

296

KAKA i>MitKU

w całym stanie, który stwierdza, przynajmniej na papierze, iż było to morderstwo. Jaką zatem ma

pan szansę?

Odrobina arogancji wyciekła z niego. Ale tylko trochę, nie wszystko.

- Czy to znaczy, że nic pan jutro nie może zrobić?

- Zamierzam spróbować, doktorze.

- Czy mogą wyciągnąć... inne sprawy?

- Jeśli chodzi panu o zarzut, że tego typu przestępstwo popełnił już pan w przeszłości, i to kilkakrotnie, odpowiedź brzmi - nie. Przynajmniej formalnie. Ale jest pan słynnym człowiekiem. Każdy, kto znajdzie się jutro w sądzie, przeczyta w gazetach o pańskim hobby. Nikt nie będzie musiał nawet słowem o tym wspominać. Ciągnie pan za sobą niezły balast.

- To nieuczciwe.

- Możliwe. Uczciwość jest pojęciem względnym.

- Cholerni prawnicy.

Podniosłem się. Zadzwoiłem po Córkę Millera, żeby po mnie przyszedł.

- Niech pan postara się wyglądać jutro na pokornego. Ludzie lubią pokornych.

- Odpieprz się, Sloan! - zachnął się.

Od razu wiedziałem, że pokora nie wchodzi w rachubę.

Zwlekałem z zatelefonowaniem do biura, ponieważ bałem się wiadomości, jaka mogła tam na mnie czekać. Ale wreszcie musiałem to zrobić. Zadzwoiłem tuż przed piątą, magiczną godziną, o której pani Fenton codziennie znikwała.

To była środa. Zgodnie z założonym przeze mnie scenariuszem Sabin z policjantem powinni się tego dnia spotkać z prokuratorem generalnym, żeby zaproponować mu zgarnięcie mojej osoby. Oczywiście to był mój scenariusz, coś, czego ja się spodziewałem. Sprawy mogły jednak przyspieszyć biegu. Może już na mnie czekali. Albo zostaną aresztowani jutro rano, w chwili, gdy wkroczę do sądu.

Pani Fenton dała mi wyraźnie odczuć, że jest poirytowana, bo zadzwoniłem w ostatniej chwili. Po raz któryś z kolei pomyślałem, że wciąż zapomina, kto jest szefem, a kto podwładnym. Ale nie zwróciłem jej uwagi, tylko wysłuchałem listy pozostawionych dla mnie informacji.

Ta najważniejsza nie nadeszła. Sabin nie dzwonił. Ani policja. Ani Biskup. Odczułem ulgę, z drugiej jednak strony znaczyło to, że będę się niepokoził kolejny dzień.

KAKA ŚMIERCI

297

Mój motel pełen był dziennikarzy. W niektórych domkach już odbywały się całkiem głośne przyjęcia. Jakby banda pijanych studentów rozgrzewała się przed ważnym meczem.

To nie było miejsce dla mnie. Właściwie całe Broken Axe nie nadawało się dla mnie, w każdym razie, jeśli nie chciałem spotkać się twarzą w twarz z jakimś zaharowanym przedstawicielem prasy. Pojechałem więc do najbliższego miasteczka, jeszcze mniejszego niż Broken Axe, i zjadłem szybką kolację w niewielkiej restauracji. Posiłek był smaczny, a także obfity, w tej części kraju bowiem wierzy się, że człowiek może pracować dobrze tylko z pełnym żołądkiem.

Po kolacji zamierzałem w spokoju przygotować się do następnego dnia, lecz nie miałem gdzie tego zrobić. Wiedziałem, że dziennikarze będą na mnie czatować, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Wróciłem do Broken Axe i skręciłem w drogę nad jeziorem, która doprowadziła mnie do pałaców na Złotym Wybrzeżu. Minąłem dom Croninów. W większości okien paliły się światła. Przy bramie stał samochód szeryfa.

Jechałem dalej, aż znalazłem miejsce, gdzie mogłem zaparkować, by popatrzeć na jezioro. Było prawie zupełnie ciemno. Odległe chmury, wysoko ponad jeziorem, obmywała łagodna czerwień słońca oddającego ostatni salut, by schować się po drugiej stronie. Łagodny wiatr smagał uderzające o brzeg grzywiaste fale na ciemnej tafli jeziora, które wcale nie wyglądało jak jezioro. Raczej jak ocean. Toń wody sięgała aż po horyzont. Kanada była zbyt daleko, żeby ją widzieć. To morze słodkiej wody kryło w swych głębiach tyle sekretów, co ocean. Płynny grób, chowający w swych odmętach setki zatopionych statków, ostatnie miejsce spoczynku ich załóg.

Takie zwodnicze.

Ktoś przejeżdżający obok zobaczyłby mężczyznę siedzącego spokojnie w samochodzie,

wpatrującego się w wodę. Spokojnego mężczyznę, który cieszy się ostatnimi minutami dobrego dnia. Mężczyznę bez zmartwień.

Także zwodnicze.

Usiłowałem skoncentrować się na sprawie, która czekała mnie następnego dnia. Ale byłem jak stacja radiowa, którą zagłusza inna, silniejsza - myśli o mojej własnej sprawie nie pozwalały mi się skupić.

Doktor Miles Stewart, niezależnie od tego, czy go lubiłem, czy nie, był moim klientem i należało mu się sto procent uwagi. Winny czy niewinny, polegał całkowicie na mnie. A ja tymczasem wciąż się zastanawiałem, czy Sabin spotkał się już ze swoim szefem i co wspólnie postanowili.

Moje myśli miały się między sprawą Doktora Śmierci i losem, który mnie mógł spotkać.

Wreszcie uznałem, że dalsze rozważania na nic się nie

KAKA SMIEKW

zdadzą. Włączyłem silnik i nastawiłem taśmę z Jimmym Buffetem. Zaśpiewał melancholijną balladę o facecie, który pragnął być piratem; o facecie bez przyszłości, któremu własne życie wydawało się bez znaczenia. Ruszyłem w drogę powrotną. Pełna zadumy piosenka znakomicie pasowała do mojego nastroju.

Chyba dzięki temu, że przyjęcia toczyły się już pełną parą, udało mi się wślizgnąć do hotelu, nie zwracając niczyjej uwagi. Leżałem w ciemności, nasłuchując mieszaniny dźwięków: śmiechów, krzyków, głosów, śpiewu, połączonych w alkoholową symfonię. Od czasu do czasu ktoś puka! w moje drzwi i wykrzykiwał moje nazwisko.

Tak łatwo byłoby wyjść i przyłączyć się do nich. Ale to oznaczałoby koniec. Koniec mój i mojej kariery. Może warto było to zrobić, żeby zabić napięcie, w którym żyłem. Ale nie zrobiłem tego. Leżałem. Słuchałem. Myślałem.

Przyjęcia zamarły mniej więcej o drugiej w nocy. Chwilę później usłyszałem, jak mieszkaniac sąsiedniego domku chrapie głośno, jak to zwykle po alkoholu. Zapewne sprawi! to rytmiczny dźwięk wydawany przez jego drogi oddechowe - odpłynąłem w niebyt, jakby ukoła mnie łagodna muzyka.

Mój budzik podróżny zbudził mnie z zadziwiająco mocnego snu. Jeśli śniłem, nie zostało mi żadne wspomnienie. Przez moment leżałem, rozkoszując się cudownym uczuciem lenistwa, które niekiedy ogarnia nas rankiem, dopóki nie uświadomimy sobie, co nas tego dnia czeka.

Czwartek. Dzisiaj mam dopomóc Doktorowi Śmierci wyrwać się ze szponów prawa. Także dzisiaj, jeśli moje przewidywania są słuszne, szpony prawa zaczną zaciskać się wokół mnie.

Leniwy nastrój ulotnił się błyskawicznie. Wstałem, wykonałem akrobatyczny taniec pod potwornie gorącym prysznicem, ogoliłem się i przygotowałem na spotkanie dnia.

Gdy wyszedłem z domku, już na mnie czekali. Przywarowali cicho niczym myśliwi, ale rozgrywka się zaczęła, więc wykrzykiwali pytania, pod-tykali mi mikrofony i strzelali kamerami.

Z uśmiechem, kiwając głową, przepchnąłem się do samochodu, nie mówiąc nic więcej oprócz „dzień dobry”. Starali się mnie zatrzymać, wybiegając przed maskę, lecz udało mi się odjechać i zostawić ich z tyłu.

O śniadaniu nie było mowy. Szli moim tropem jak wilki za jeleniem, toteż pojechałem prosto do sądu, gdzie zebrała się kolejna grupa dziennikarzy. Przedstawienie powtórzyło się, z tą tylko różnicą, że pytania były bardziej napastliwe i, delikatnie mówiąc, obelżywe. O'Malley, otoczony grupą satelitów, wrzeszczał swym piskliwym głosem, zarzucając mi wszystko, z wy-

KARA ŚMIERCI

299

jątkiem kazirodstwa. Myślę, że powoli doszedłby i do tego, ale zdążyłem w porę zniknąć w sanktuarium sądu. Eskortował mnie jeden z policjantów, trzymając mych prześladowców w pewnej odległości.

- Sędzia chce się z panem widzieć, panie Sloan - powiedział, zajmując pozycję przy drzwiach niczym Horacy na moście.

Przeszedłem, przez pustą jeszcze salę rozpraw, do pokoju sędziego. Drzwi stały otworem.

- Cześć, Charley! Wchodź. - Rudy Hathaway siedział za biurkiem, z nogami na blacie. Wyglądał na

tak zrelaksowanego, jakby właśnie wybierał się na partyjkę golfa.

Skórzaną kanapę okupował Eddie Rand. Był ubrany w dobrze skrojony garnitur, a swoje długie włosy starannie zaczesał do tyłu. Wyglądał jak hipis, który stara się o pracę w banku.

- Napij się kawy, Charley. I poczęstuj pączkiem. Śniadanie zawdzięczamy Corkowi Millerowi. Ma u siebie gościa, który jest najlepszym kucharzem po tej stronie Paryża.

Nalałem sobie kawy w styropianowy kubek i z wdzięcznością wgrzyłem się w pączka. Sędzia miał rację - wprost rozpływał się w ustach. Skinąłem głową z uznaniem.

- Jak taki facet może pracować w więzieniu? Jest naprawdę dobry. Odpowiedział mi dudniący śmiech Hathaway.

- On tu nie pracuje, tylko odsiaduje. Wypuszczamy go co dziewięćdziesiąt dni. Wytrzyma jakiś tydzień, potem upija się i bije swoją starą. No i wsadzam go na kolejne dziewięćdziesiąt dni. Chłopie, kiedy go nie ma, naprawdę tęsknią za jego wypiekami. Ale nikt nie jest doskonały, prawda?

Sięgnąłem po kolejnego pączka.

- Charley, cieszę się, że cię widzę, lecz nie będę płakał, gdy odjedziesz - Hathaway uśmiechnął się szeroko. - Dziennikarze siedzą nam na głowie. Jedna grupa pojawiła się nawet wczoraj wieczorem u mnie w domu, na mojej starej farmie. Kazałem im się wynosić, ale musiałem wezwać Córka, żeby się ich pozbyć.

- Facet z Australii?

- Tak, karzeł o wielkich ustach, a z nim banda robactwa. To jak plaga stonki.

- Zjawia się jeszcze na rozprawie-wtrąci! Eddie Rand, lecz w jego głosie nie było takiej niechęci jak u sędziego.

- Nie przypominaj mi. - Hathaway spojrzał na mnie. - Posłuchaj, Charley. Jak to dzisiaj rozegrasz: prosto, czy też będę musiał cię usadzać?

300

KARA ŚMIERCI

- Moja reputacja mnie wyprzedziła?

- Coś w tym stylu.

- Rudy, możesz być spokojny. To będzie prościutka sprawa, żadnych trików, żadnego pajacowania. - Zamilkłem. - A tak przy okazji, zamierzam wygrać.

Rand roześmiał się.

- Marne szanse. Sędzia zmarszczył czoło.

- Wydawało mi się, że obiecałeś bez trików. Nie chcę wydawać przedwczesnych sądów, ale na razie wygląda, jakbyśmy mieli twój klienta na widelcu.

- Sędzio, nie proszę o żadną przysługę. Tylko o surową ocenę zgodną z prawem. Uczciwy wyrok, to wszystko, o co mi chodzi.

Zaśmiał się.

- A niech cię, przez te wszystkie lata ani razu mi się to nie zdarzyło. No dobrze, zobaczymy, co się będzie działo. Jesteś gotowy, Charley?

Skinąłem głową.

- A jak z tobą, Eddie? Są już twoi świadkowie?

- Wszyscy czekają u mnie w biurze.

Hathaway wstał i włożył togię. Uśmiechnął się kolejno do każdego z nas.

- Czas na przedstawienie - oznajmił.

Q

LJala rozpraw szybko się wypełniała. Jedna z ekip telewizyjnych umocowała kamerę w górze, tak by objąć całe pomieszczenie. Na ławkach dla widzów siedzieli dziennikarze przemieszani z miejscowymi, jedni i drudzy z niecierpliwością oczekując podniesienia kurtyny.

Sędzia Hathaway pokrótce objaśnił, dlaczego zebraliśmy się w tym miejscu, a następnie polecił zebranym zachować spokój. Potem się zaczęło.

Eddie Rand powołał na świadka policjanta, który pierwszy znalazł się na miejscu domniemanej zbrodni i aresztował doktora Milesa Stewarta. Kiedy skończył go przesłuchiwać, podniosłem się i

oznajmiłem, że nie mam do świadka żadnych pytań. Usłyszałem za sobą gniewne warknięcie mojego klienta.

Następnie składał zeznanie detektyw z policji stanowej, którego odkomenderowano do zajmowania się tą sprawą. Był to błyskotliwy młody policjant. Rand przepytął go o kolejne etapy śledztwa szybko, lecz uważnie. Wiedziałem z góry, jakie będą odpowiedzi, ponieważ Eddie dał mi wcześniej jego raport. Tym razem miałem parę pytań.

- Stwierdził pan, że doktor Stewart był już spakowany i gotowy do odjazdu, gdy przyszedł go pan aresztować, zgadza się?

-Tak.

- Czy przeszukano jego bagaż?

- Przeprowadziliśmy oficjalną rewizję, ponieważ były podstawy, by sądzić, że zostało popełnione przestępstwo...

Nie zakwestionowałem określenia „oficjalna”. Myślę, że to go zaskoczyło.

- Czy policjanci znaleźli jakieś lekarstwa, strzykawki albo inne tego typu rzeczy?

-Nie.

302

KARA ŚMIERCI

-To wszystko. Dziękuję- . . . _

. . . _-vli na mnie zdziwieni. Policjant, Rand, sędzia,

Teraz już wszyscy patrz?

a zwłaszcza mój klient. .

- Co pan, do cholery, wyprawia? " wyszeptał Stewart, kiedy usiadłem.

Zignorowałem go. ...

, .1 <.crand i lej wnuczkę, która również pracowa-

Rand wezwał panią Legl , : \

• - v*nc pomógł starej kobiecie stanąć na miejscu dla ła w domu Croninów. Ktos V & ... , ||

,
„-7ał wykrzykiwać do niej pytania. Właściwie mc świadków i prokurator zacz* ' * . . . _J KJ

.
„. . . ||, Stewart był gościem. Zeznania jej wnuczki też

nie wiedziała poza tym, że J

nie wniosły nic nowego. ,

j ł,,vi sobie zadawanie pytań, usłyszałem, że oddech Jeszcze raz darowałem 5

Stewart przyspiesza alarm^co- ,

Następnie Rand powoła' prywatną pielęgniarkę, która opiekowała się

pacjentem Powiedziała, że doktor Stewart zaproponował jej chwil? od-

v 3 , . . „biedzi przy chorym, a ona w tym czasie będzie poczynku. Obiecał, że po>,c ,

. . . cy ' „, k j . . . jv odchodziła, Sean Cronin był nieprzytomny, ale

mogła napić się kawy. Kiecry

. , . , u^ia 7 powrotem, był już martwy, zył, gdy zas zawołano ją z r '

' ° . . . f,ń na temat lekarstw, które podawała pacjentowi,

Zadałem jej parę pytan r

. . i . _ ndchodząc spojrzała na mnie z wdzięcznością, a potem podziękowałem, o" nv , .

... , v , , -^i „f}erwę. Rand i ja poszliśmy do pokoiw sędziego.

Zarządzono krotką pfp\] J / » a u .u

Napiliśmy się znowu kawy- ZJedl'smytez Par? P^czkow- Rudy Hathaway w^ glądał na bardzo z siebie ^ow0lonego.

.. , • j • • : i/i/ie, Char ey-zauważył.

- Niezbyt ci dzisiaj idz|c- '

-Oszczędzam siły na PoznieJ-

. u | „, hvć słyszany az w sali rozpraw, ego śmiech musiał W y

J f, .. _ riekawosci. Chyba już wrócimy, co?

- No coż, umieram z oczu • Doktorze...».

„...» się ponownie. Rand powołał na świadka doktora Tłum szybko usadowiła w tym.

„...» i *...» zeznał, że od dawna zajmował się Seanem Cronin-Kima. S.A. Kima. Doktorze...» • J *

„...» ^złoty, co tylko możliwe, od serca po wątrobę, niem, który cierpiał na...» > ir .

„...» (ro ranka, kiedy nastąpił zgon. Stwierdził, że chory Badał pacjenta tego samego...» n j i * •

był w bardzo złym stanie" widywał go już w gorszym. Dodał też, że na życzenie córek przychodził do starszego pana przynajmniej raz dziennie. Rand przekazał mi świadka-

„kiwa pan, że pański pacjent wyzdrowieje?

- Doktorze, czy oczekuje pan...» v r r j

Potrząsnął głową...» ^ ^ na t CQ njeuchronne. pan Cronin

- Nie. Przygotowywał...» j b , .

• i _ j, chorego. Prawdę mówiąc, dziwiło mnie, że nadszedł - był bardzo stary i bardzo...» ul y - *

człowiek trzyma się życia.

KARA ŚMIERCI

303

- Doktorze, czy podawał pan choremu lek o nazwie lasix?

- Tak, między innymi. Lasix stosuje się zazwyczaj przy tego typu schorzeniu wątroby, na jakie cierpiał mój pacjent. To lek, który pozwala usunąć nadmiar wody z organizmu.

- Zakładam, że lek ten podawała pielęgniarka, która zajmowała się chorym?

- Zgodnie z moimi zaleceniami.

- Czy zalecił pan podawać Croninowi również chlorek potasu? Zawahał się.

- Owszem. Tak zawsze się postępuje w wypadku kuracji lasixem. Chodzi o neutralizowanie jego długotrwałego działania. Wraz z płynami bowiem wypłukuje się z organizmu także potas, konieczny do jego funkcjonowania.

- Zatem chlorek potasu był w domu, w każdej chwili gotowy do podania zgodnie z pańskimi zaleceniami? A właściwie podawany codziennie przez pielęgniarkę? Czy to się zgadza?

- Tak.

- Dziękuję, doktorze.

Rand wstał, jakby zastanawiając się, czy nie zadać lekarzowi jeszcze kilku pytań, ale zrezygnował.

- Nie mam więcej pytań - oznajmił.

- Dziękuję, doktorze. - Sędzia uśmiechnął się z za swojego biurka. Temperatura jego uśmiechu świadczyła, że Kim zajmował się również jego rodziną. - Może pan odejść.

- Poproszę o złożenie zeznań, Donno Cronin - ogłosił dobitnym głosem Eddie Rand.

Podchodziła ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, jakby szła na egzekucję. Zajęła miejsce dla świadków i została zaprzysiężona. Kiedy odpowiadała prokuratorowi, ledwie było ją słychać.

Wyglądała jak stworzenie mieszkające w wiecznych ciemnościach, nagle wyciągnięte na pełne słońce. Serce ścisnęło się z żalu na jej widok. Fizycznie przypominała zapaśnika, lecz był to figiel, jaki spletała jej natura. Wewnętrznie, sądząc po naszym pierwszym spotkaniu, pozostała nieśmiałą dziewczynką, lękającą się świata, przed którym nie знаła obrony.

Eddie Rand prosił ją kilkakrotnie, żeby mówiła nieco głośniej. Wydawała z siebie coś w rodzaju zgrzytliwego szczebiotu; jej głos drżał, jakby cały czas była bliska płaczu. Rand zapytał ją o ostatnie dni jej ojca i jego chorobę. Nie ulegało wątpliwości, że starszy pan stanowił pępek świata rodziny Cronin.

304

KARA ŚMIERCI

Opowiedziała o jego okresach śpiączki i aktywności. Struga drobnych łez spływała po jej puchłokatych policzkach.

Prokurator obszedł na paluszkach pytania, które musiałyby zahaczyć o jej siostrę, ale zapytał, dlaczego została! zaproszony doktor Stewart. I znowu, podobnie jak wtedy, gdy rozmawialiśmy w domu, Donna Cronin uważała, by nie narazić swojej siostry, choć wymieniła sumę, jaką otrzymał Stewart w związku z nadziejami, na to, że - jak się wyraziła - zakończy cierpienia jej ojca. Nie wyjaśniła, w jaki sposób ten cel miał być osiągnięty, Rand zresztą wcale nie naciskał. Spytał ją

tylko, czyj to był pomysł. Odparła, że nie jej, i na tym urwała.

Kiedy identyfikowała Milesa Stewarta i opisywała, jak ujrzała go w pokoju ojca ze strzykawką w ręce, jej głos przybrał na sile. Zeznała, że pobiegła, aby przyprowadzić siostrę, lecz kiedy wróciły, doktor Stewart oznajmił, że Sean Cronin nie żyje.

- Czy uważa pani, że stojący tu przed nami Miles Stewart zabił pani ojca? - zapytał szybko Rand. Rudy Hathaway spojrział na mnie, oczekując normalnego w takiej sytuacji sprzeciwu. Domniemanie było dopuszczalne tylko ze strony ekspertów. Wzruszyłem ramionami i nic nie powiedziałem.

- Tak - odparła zdecydowanym głosem.

Rand odszedł bez słowa, pozwalając, żeby odpowiedź zawisła w powietrzu jak efekt specjalny, a potem odwrócił się do mnie.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Wstałem, lecz nie odezwałem się. Uciekła wzrokiem. Widziałem, że dłonie drżą jej ze zdenerwowania. W sali panowała martwa cisza, wszyscy oczekiwali na wybuch.

Pozwoliłem im odczekać minutę, po czym uśmiechnąłem się do Donny Cronin.

- Nie mam pytań - rzekłem i usiadłem.

- Co, do jasnej cholery, pan wyprawia?! - wysyczał mi w ucho Stewart. - Wystawia mnie pan na odstrzał!

- Niech pan zachowa wiarę - odszepnąłem. Odwróciłem się, by posiać mu uśmiech. Jego twarz była upiornie czerwona.

- Poproszę na świadka doktora Clyde' a Andersena - ogłosił Rand. Clyde Andersen - wysoki mężczyzna o eleganckiej prezencji, mniej

więcej sześćdziesięcioletni, wygląda! bardziej na dyrektora banku niż patologa. Spotkałem się już z nim przy kilku sprawach. Był doskonałym lekarzem i znakomitym świadkiem, równie dobrym w obu rolach. Tyle razy

KAKA ŚMIERCI

305

czytałem jego raport z sekcji, że teraz prawie mogłem wyrecytować ten tekst z pamięci.

- Proszę podać swoje nazwisko - polecił prokurator.

- Clyde Anderson.

- Jest pan lekarzem z prawem do prowadzenia praktyki w stanie Michigan?

Podniosłem się, zanim Anderson zdążył odpowiedzieć.

- Znam bardzo dobrze doktora Andersena. Nie widzę potrzeby potwierdzania jego kwalifikacji, Rand wyglądał na zdziwionego, ale kontynuował przesłuchanie.

- Czy przeprowadził pan sekcję zwłok świętej pamięci Seana Cronina? -Tak.

Anderson spokojnie zreferował, w jaki sposób zidentyfikował ciało, i opisał przebieg swojej przerażającej pracy, którą wykonał, korzystając ze znakomicie wyposażonego szpitala w Bay City. Szczegółowo odtworzył proces pomiaru kolejnych organów, pobierania próbek krwi i tkanki, a następnie wyraził swoją opinię.

- Sean Cronin - oświadczył - zmarł wskutek wstrzyknięcia mu chlorku potasu, który spowodował natychmiastowe zatrzymanie akcji serca, co było bezpośrednią przyczyną zgonu.

Wstałem i spojrziałem na zegarek.

- Proszę Wysokiego Sądu - powiedziałem - przypuszczam, że krzyżowy ogień pytań, jaki planuję, może potrwać dość długo. Zbliża się pora lunchu. Zastanawiam się, czy Wysoki Sąd nie zarządziłby przerwy na posiłek.

Rudy Hathaway jęknął, udając niezadowolenie.

- Czy usiłuje pan przejąć rządy na terenie tego sądu, panie Sloan?

- Nigdy bym się nie ośmielił, Wysoki Sądzie.

- A co pan na to, Rand? Ma pan jeszcze jakichś świadków, czy to wszyscy?

- Doktor Anderson jest moim ostatnim świadkiem - odparł prokurator.

- No cóż, mimo niestosowności propozycji obrońcy - sędzia obrzucił mnie płonąącym spojrzeniem, ale wiedziałem, że gra - zrobimy teraz przerwę na lunch. Wznowimy sesję dokładnie o godzinie pierwszej.

Odczekał chwilę.

- Chciałbym poprosić oskarżyciela i obrońcę do mojego gabinetu - rzucił.

Rand i ja podążyliśmy za nim.

306

KAKA SMItKU

Rudy, ściągając tokę, zwrócił się do nas:

- Co wy na to, żebym poprosił Córka o przysłanie paru kanapek? Możemy zjeść tutaj. Nie ma powodu wychodzić, zwłaszcza, że czyha na nas ta zgraja reporterów. Odpowiada ci Charley?

- Jasne.

- A panu, prokuratorze?

- Oczywiście.

Sędzia sięgnął po słuchawkę i polecił Corkowi, żeby jego wspaniały kucharz przygotował kanapki, dużo i różnych. A potem wstawił wodę na kawę.

- Co zaplanowałeś dla naszego patologa, Harley? - zapytał, syjąc kawę.

- Myślę, że lepiej będzie, jak poczekaasz na odpowiedź, sędzio. Jego wysoki chichot wprawił w drganie powietrze w całym pokoju.

- Dobra robota, Charley.

- Mam nadzieję.

- Trzymaj się za jaja, Rand - dodał Rudy. - Coś mi się wydaje, że Charley nam jeszcze pokaże, ile jest wart.

Kanapki okazały się równie smaczne jak pączki. A potem nadszedł już czas powrotu na rozprawę. Byłem gotów.

Wkroczyliśmy na salę sądową dokładnie o pierwszej. Kilka minut potrwało, zanim wszyscy się ulokowali. Doktor Andereson wróci! na miejsce dla świadków.

- Doktorze, w pańskim raporcie zauważyłem adnotację, że poziom potasu u Seana Cronina był w normie. Czy to pomyłka?

- Nie.

- Czy w jakiś inny sposób odkrył pan toksyczny poziom potasu? - Nie.

- A jednak utrzymuje pan, że zgon nastąpił w wyniku wstrzyknięcia śmiertelnej dawki potasu.

Chyba to dobrze usłyszałem, prawda?

Uśmiechnął się.

- Usłyszał pan to dobrze, panie Sloan.

- Czy stwierdził pan podczas badania ciała lub badania laboratoryjnego tkanki albo krwi jakąś substancję, o której można by powiedzieć, że była toksyczna lub osiągnęła śmiertelny poziom.

- Nie.

KAKA iMIfcKU

- Czy w czasie badań starał się pan określić, jaki środek podaniu panu Croninowi tuż przed jego śmiercią?

- Tak.

- Czy chlorek potasu był jednym z przepisanych lekarstw?

- Owszem. Doktor Kim mówił już o tym dzisiaj. Całkowicie słusznie zauważył, że podaje się go, by zniwelować skutki uboczne innego leku.

- Czy tak zwykle postępuje się w przypadkach podobnych do przypadku pana Cronina?

- Tak.. Biorąc pod uwagę stan, w jakim były jego wątroba i serce. - Jak się podaje ten lek, doktorze?

Mam na myśli potas.

- Potas jest naturalnym produktem organizmu. Koniecznym do życia. Wpływa na działanie serca, wątroby i innych organów. Kiedy organizm nie jest w stanie wyprodukować wystarczającej jego ilości, trzeba go dostarczyć w postaci leku. Zbyt duża dawka może być jednak śmiertelna.

- To rozumiem, ale jak zazwyczaj wprowadza się potas do organizmu? Doktor Andreson nie okazał żadnych oznak zdenerwowania. Przypominał nauczyciela, przemawiającego do mało pojętnego ucznia.

- Może być podawany doustnie. Ponieważ pan Cronin podłączony był na stałe do dożylniej

kroplówki, lek dostarczano tą właśnie drogą. Potasu nie wstrzykuje się domięśniowo, bo byłoby to zbyt bolesne. Nawet, gdy aplikuje się go dożylnie, niekiedy jest to bardzo nieprzyjemne. Dlatego czasami podaje się najpierw valium w płynie.

- Czy znalazł pan we krwi ślady valium?

- Nie. Poinformowano mnie, że pan Cronin przez większość czasu pozostawał w śpiączce. W związku z tym najprawdopodobniej valium nie było konieczne.

- Sądząc z przedstawionych przez pana wyników sekcji, pan Cronin był w bardzo złym stanie fizycznym, zgadza się?

Skinał głową.

- Był w bardzo podeszłym wieku. W dużym uproszczeniu można by powiedzieć, że jego serce stało się bardziej workiem niż pompą. Nerki właściwie nie pracowały. Każdy jego organ mógł być przyczyną śmiertelnego zejścia.

- W pańskim raporcie powołuje się pan na fakt, że widziano doktora Stewarta ze strzykawką w ręce, jak również na jego reputację. Czy to w jakikolwiek sposób wpłynęło na pańską konkluzję?

-Tak.

- Rozumiem, że informację tę potraktował pan jako prawdę?

308

KAKA MYIIŁKL.1

- Tak. Nie było żadnego powodu, by w nią wątpić. Gdybym badał ciało z dziurą od kuli, a oskarżony zostałby złapany na miejscu zbrodni z dymiącym jeszcze pistoletem w ręce, wziąłbym to pod uwagę, oceniając, czy chodzi o morderstwo, czy samobójstwo.

- A zatem potraktował pan strzykawkę na równi z dymiącym pistoletem?

- Myślę, że podobnie zachowałyby się większość ludzi.

- Nawet lekarze? Uśmiechnął się.

- Zwłaszcza lekarze.

- I doszedł pan do wniosku, że w strzykawce znajdował się potas?

- Tak. Zważywszy na stan chorego, nie potrzebowałby go wiele. -Ale nie odkrył pan potasu w ilości toksycznej podczas badania ciała,

zgadza się? Dlaczego wobec tego uznał pan, że przyczyną zgonu był potas?

- Drogą selekcji.

- Ach tak? Mógłby pan przedstawić tę drogę sądowi? Skinął głową.

- Gdybyśmy mieli do czynienia z jakąkolwiek inną substancją toksyczną, w czasie badań laboratoryjnych wyszłoby to na jaw. A nic nie zostało znalezione. Jak już wspomniałem, obecność potasu w organizmie jest naturalna. Poza tym jest to pierwiastek, który szybko się rozkłada, szczególnie w zamierających komórkach. Przeprowadzałem sekcję jakieś osiem godzin po zgonie. Do tego czasu nawet toksyczny poziom byłby nie do wykrycia, zwłaszcza, gdy zastosowano środek moczopędny.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - wtrąciłem się. - Doszedł pan do wniosku, że mamy do czynienia z potasem, ponieważ nie wykrył żadnej innej substancji trującej?

- Właściwie tak.

- Chociaż poziom potasu okazał się normalny?

- Coś musiało być w tej strzykawce. Biorąc wszystko pod uwagę, mógł to być jedynie potas. Obecność każdej innej substancji dałoby się wykryć.

Spojrzałem na Rudy ego Hathawaya. Przysłuchiwał się zeznaniom bardzo uważnie.

- A teraz, doktorze, chciałbym - jeśli pan pozwoli - postawić hipotetyczne pytanie.

Uśmiechnął się.

- Załóżmy, że przywieziono panu do autopsji ciało identyczne z ciałem Seana Cronina. Tym razem jednak nic pan nie wie o doktorze Milesie Ste-

KARA ŚMIERCI

309

warcie, jego wątpliwej reputacji, nie słyszał pan nic na temat strzykawki. Dymiącej strzykawki. Ale pod względem fizycznym ciało jest takie samo. Przeprowadza pan sekcję i jej wyniki są identyczne

jak w wypadku pana Cronina. Jaki wtedy podałyby pan powód śmierci?

Andersen popatrzył na mnie. Uśmiechnął się. Wiedziałem, że będzie uczciwy.

- Zatrzymanie pracy serca. Z powodu wieku starczego.

- Śmierć z przyczyn naturalnych? -Tak.

- Chyba wobec tego uczciwie byłoby przyznać, że wskazał pan na sprawcę zbrodni ze względu na jego reputację i okoliczności śmierci, a nie ze względu na stan ciała?

Przez chwilę milczał. Potem znów się uśmiechnął.

- Trudno odrzucić fakt istnienia dymiącej strzykawki, panie Sloan. Zwłaszcza w czyichś rękach.

- Może. Ale orzekając przyczynę zgonu, oparł się pan na faktach, które mu przedstawiono, sam zaś nie był pan ich świadkiem, prawda?

-Jak już powiedziałem, doszedłem do tego drogą eliminacji.

- Podczas badania ciała nie odkrył pan jednak żadnej substancji toksycznej?

- Owszem. Jeśli zamierzałby pan kogoś zabić, przynajmniej w takich okolicznościach, z jakimi tu mamy do czynienia, potas byłby najlepszą bronią, ponieważ po godzinie lub dwóch nie sposób byłoby go wykryć. Dedukcja jest metodą naukową.

- Bawimy się w Sherlocka Holmesa?

-Ale bez pomocy doktora Watsona. Chodzi o proces eliminacji, nic więcej.

- Nie mam więcej pytań - oznajmiłem.

Teraz z kolei wstał Eddie Rand. Przez dłuższą chwilę udawał, że szuka czegoś w raporcie. Czułem na karku niespokojny oddech Milesa Stewarta.

- Spieprzyłś to - wyszeptał mi w ucho.

Rand zaczął od początku wypytywać o wyniki sekcji. Wstałem.

- Sprzeciw. Wszystkie te pytania już padły i świadek udzielił na nie odpowiedzi. Prokurator nie pyta o nic nowego.

- Podtrzymuję sprzeciw - odezwał się sędzia Hathaway. Rand wzruszył ramionami.

- Nie mam pytań.

- Czy są jeszcze jacyś świadkowie? - zapytał sędzia.

310

KARA ŚMIERCI

L

- Nie, Wysoki Sądzie. Występuję z oskarżenia publicznego o postawienie Milesa Stewarta pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia.

- Czy chce pan to uzasadnić?

Eddie Rand odwrócił się w taki sposób, żeby kamera umieszczona w końcu sali uchwyciła jego profil. Pomyślałem, że może mu grozić kariera w Hollywood. Nie uchroni go nawet mieszkanie w tym zakątku, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Nie wydaje mi się, żeby konieczne było jakiegokolwiek uzasadnienia - oznajmił. - Wykazaliśmy, że zbrodnia została popełniona, i że istnieją racjonalne przesłanki do przyjęcia, iż popełnił ją oskarżony.

Usiadł. Spojrzał w moją stronę i puścił oko. Tak zachowuje się gracz, który właśnie zdobył punkt i spogląda na przeciwnika.

- Zakładam, że ma pan słówko czy dwa do dodania, panie Sloan. - Sędzia rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

- Owszem, Wysoki Sądzie - odparłem. Wstałem i podeszedłem do balustrady.

Prokurator wymienił warunki, jakie należy spełnić, żeby oskarżyć kogoś o zbrodnię. Trzeba mianowicie wykazać, że popełniono przestępstwo i że istnieją poważne przesłanki do przyjęcia, iż popełnił je właśnie oskarżony.

Z twarzy Rudyego Hathaway'a nie można było nic odczytać. Nikt nie zdołałby odgadnąć jego myśli.

-Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, chciałbym zacząć od tego drugiego elementu - kontynuowałem. -

Muszę się zgodzić z prokuratorem, iż faktycznie wykazał on istnienie racjonalnych przesłanek wskazujących, że działanie oskarżonego można uznać za przestępcze z punktu widzenia oskarżenia.

- Żądam innego adwokata! - wrzasnął Stewart, zrywając się na równe nogi. Stojący za nim policjant

położył mu dłoń na ramieniu i zmusił do ponownego zajęcia miejsca.

- Teraz już trochę na to za późno, doktorze - upomniał go sędzia. - Pańskim adwokatem jest pan Sloan, który właśnie przemawia w pańskim imieniu. Radziłbym zachować spokój. W przeciwnym razie, zgodnie z prawem, możemy zakneblować oskarżonego, który zakłóca przebieg rozprawy. Proszę to uznać za poważne ostrzeżenie, doktorze.

Obejrzałem się na Stewarta. Gdyby miał przy sobie strzykawkę napełnioną trucizną, wiadomo w kogo w tym momencie wbiłby igłę. Skinąłem mu głową z uśmiechem, a potem odwróciłem się z powrotem do Hathawaya.

- Tak więc w zasadzie nie podważam drugiej części wystąpienia prokuratora. Natomiast z jego częścią pierwszą, fundamentalną, nie mogę się

KARA ŚMIERCI

311

zgodzić. Oskarżyciel nie udowodni! bowiem, że jakiegokolwiek przestępstwo zostało popełnione. Słyszałem za sobą jakieś krzyki, ale Stewart tym razem milczał jak grób. Wyrecytowałem kilka fragmentów sentencji wyroków ze spraw, które odbyły się w Michigan. Sędzia skrupulatnie notował wszystko, co mówiłem.

- Zgodnie z decyzjami, jakie zapadły w tych oraz w wielu podobnych sprawach, wyniki autopsji nie mogą opierać się na dowodach innych niż uzyskane podczas badania ciała, choćby te inne były nie wiedzieć jak przekonujące. W sprawach dotyczących morderstwa ustalony być musi powód śmierci, nienaturalny powód śmierci. A z takim przypadkiem nie mamy tu do czynienia. Starszy pan umarł, ponieważ jego zmęczone serce przestało bić. Podkreślam, że byta to jedyna stwierdzona przyczyna zgonu. Bez względu na to, jak wiarygodny wydawałby się inny wywód, nie może on zaprzeczyć wynikom sekcji zwłok. Czy nazwiemy go procesem eliminacji, metodą dedukcji czy jeszcze inaczej, sprowadza się on do zgadywanki, niczego więcej.

- Oskarżonego widziano, jak stał przy zmarłym ze strzykawką w ręce -przypomniał mi sędzia. - To nie jest zgadywanka.

- Rzeczywiście. Być może coś oglądał. Na przykład oceniał, w jakim stanie znajduje się wyposażenie medyczne. Nie sposób sprawdzić, czy strzykawka była pusta, czy pełna, użyta czy nowa.

Spotkałem się wzrokiem z Rudym Hathawayem.

- Każdy tutaj zakłada, że mój klient przyjechał z zamiarem zabicia Seana Cronina. A przecież niczego ze sobą nie przywiózł. Niczego przy nim nie znaleziono. Nie wiemy, jakiego to potencjalnie śmiertelnego środka miałby użyć. Cała sprawa oparta jest nie na faktach, ale na domniemaniach.

Hathaway wyglądał na zakłopotanego.

- Nie można podejrzewać, że człowiek został zabity - ciągnąłem. -Trzeba to udowodnić. Ciało poddano badaniu w kilka godzin po śmierci. Nikt niczego nie usiłował ukryć. W organizmie zmarłego nie wykryto żadnej toksycznej substancji. Są tylko podejrzenia. A podejrzenia mogą zatruć umysły, lecz nie mogą zabić ciała.

Dla efektu odczekałem dobrą minutę. To była niezła mowa, ale nie liczyłem, że wygram.

Przypuszczałem, że Hathaway nakaze wdrożenie sprawy Stewarta. Wtedy mógłbym jeszcze raz spróbować. Jeśli, oczywiście, nadal byłbym adwokatem doktora. Biorąc jednak pod uwagę moją własną sytuację, należało zakładać, że wówczas nie będę już niczym adwokatem.

Spojrzałem na Rudy'ego Hathawaya.

312

KARA ŚMIERCI

- Nie zosta! wykazany nienaturalny powód śmierci - zakończyłem. - Nie dowiedziono popełnienia zbrodni. Proszę o odrzucenie oskarżenia.

Wróciłem na swoje miejsce.

-Jesteś zwolniony, ty gnojku! - wyszeptał mi w ucho Stewart.

Zignorowałem go.

Sędzia spojrzał na Eddiego Randa.

- Czy chce pan coś jeszcze dodać, panie Rand? Prokurator podniósł się.
- Nie, Wysoki Sądzie. Raport z sekcji stwierdza wszystko. Sean Cronin został zamordowany.
Potem usiadł.

Rudy Hathaway wyglądał na pogrążonego w myślach, wreszcie wstał i oznajmił:

- Chciałbym porozmawiać z obrońcą i oskarżycielem w swoim gabinecie.

Wyszedł zza stołu, a ja i Rand ruszyliśmy za nim.

Rudy zdjął togę i zajął miejsce za biurkiem. Wyciągnął z kieszeni krótkie cygaro, zapalił je i przez chwilę wydawał się zaprzątnięty wyłącznie paleniem.

- Zauważyłem, że podczas całej sprawy nawet nie wspomniałeś o panie Doreen, Charley.

Dlaczego?

- To nie miało żadnego związku z moją tezą dotyczącą wyników sekcji. Oczywiście, jeśli rozpocznie się proces, ten aspekt wypłynie. Sprawiedliwość może być ślepa, ale nie jest głupia. Ława powinna zapoznać się z tłem sprawy. Prokurator nie może kryć swoich faworytów, nawet w takim miasteczku jak to.

- Mogę zagwarantować panie Doreen nietykalność, jeśli zgodzi się zeznawać przeciwko Stewartowi - zapewnił Rand. - Nie będzie z tym żadnego problemu.

Hathaway milczał. Wyciągnął z ust cygaro i przyglądał mu się, jakby coś takiego widział po raz pierwszy w życiu.

- Sprawa nie skończy się w ciągu jednego dnia - oznajmił wreszcie. - Powtórzy się cały ten cyrk z dziennikarzami.

- Nie mamy tu za wiele rozrywki, sędzio - odrzekł Rand. - Przypuszczam, że ludziom bardzo by się to spodobało. Bardziej niż jarmark.

Hathaway nie roześmiał się.

- Myślę o dziewczętach Cronin - powiedział. - Nie sądzę, żeby im się to spodobało. Widziałeś pannę Donnę? Boże, dla niej to była tortura. Bałem

KARA ŚMIERCI

313

się, że sama dostanie ataku serca. A przecież Charley nie zada! jej ani jednego pytania.

- Nic jej nie będzie - stwierdził Rand, ale w jego głosie zabrakło pewności.

- To byłby prawdziwy cyrk - powtórzył sędzia. - Doktor Śmierć. Łaska mordowania. Złota żyła nie tylko dla dziennikarzy. Zaroiłoby się od tych wszystkich szaleńców głoszących prawo do życia, prawo do śmierci i Bóg wie co jeszcze. - Spojrzał na mnie. - Mam rację, Charley?

Przytaknąłem. Hathaway znowu zaciągnął się cygarem i po chwili wypuścił kłęb dymu.

Najwyraźniej sprawy przybrały korzystny dla mnie obrót, więc zdecydowałem, że lepiej będzie siedzieć cicho.

Zadzwoił telefon. Rudy zmarszczył brwi.

- A niech to, mówiłem, żeby z nikim mnie nie łączyć. Podniósł słuchawkę.

- Co jest? - warknął. - Jeśli nikt jeszcze tego nie zauważył, jestem tu dość zajęty. - Potem jego twarz się rozpozodziła. - A, on. Jasne, że z nim rozmawiam. Dla niego zawsze znajduję czas.

Zanim odezwał się znowu, uśmiechał się już szeroko.

- Witam, panie sędzio, co słyhać?

Nastąpiła seria chrząknięć, przytakiwań, kilka mruknięć, ale nic konkretnego. Wreszcie Hathaway rzekł:

- Tak, właściwie już kończymy. Zamierzałem zaraz wyjść i ogłosić mój salomonowy wyrok.

Znów przysłuchiwał się rozmówcy.

- Jasne - potwierdził. - Jest tutaj. Chce pan z nim pogadać? Spojrzał na mnie, uśmiechnął się od ucha do ucha i wręczył mi słuchawkę.

- Halo - bąknąłem zdziwiony.

- Charles, tu sędzia Bishop. Słuchawka o mała nie wypadła mi z rąk.

- Rudy mówi, że właściwie skończyliście rozprawę.

- Owszem.

- To bardzo dobrze się składa. Charles. Czy mógłbyś tak zaplanować sobie rozkład dnia, żeby

pojawić się w moim gabinecie jutro rano? Na przykład o ósmej?

- O co chodzi, panie sędzio?

- Porozmawiamy na miejscu. Chyba mogę na ciebie liczyć?

- Czy mam przyprowadzić ze sobą adwokata? Odpowiedział po krótkiej przerwie:

314

KARA ŚMIERCI

- Nie sądzę, żeby na razie było to konieczne, Charley. Chciałbym się z tobą spotkać sam na sam.

- W obecności Harry'ego Sabina? Jak poprzednim razem?

- Proszę, bądź o ósmej, Charley. Wtedy pogadamy.

- Boże, ależ to fantastyczny facet, nie uważasz? - Hathaway jaśniał jak księżyc w pełni. - Biskup. Kiedy jesteś w kłopotach, nigdy cię nie zawiedzie. Nie opuści przyjaciela w potrzebie. Dobrze mówię, Charley?

- Zależy od przyjaciela - rzuciłem. Serce waliło mi jak młotem. Rudy spojrzał na mnie nieco zmieszany.

- No cóż, u mnie ma wysokie notowania. I ostatni raz zaciągnął się cygarem.

Rand i ja wyszliśmy za sędzią, a następnie zajęliśmy nasze miejsca. Tłum wypełniający salę uciszył się. Stewart wpatrywał się we mnie płonąącym wzrokiem, ale nie odezwał się słowem.

- Sąd wysłuchał uważnie zeznań świadków - zaczął Rudy Hathaway swoim zawodowo sędziowskim tonem, z powagą i namaszczeniem - jak również starannie przeczytał raport z sekcji i wysłuchał argumentów obu stron.

Spojrzał prosto w oko kamery.

- Pierwszym zadaniem rozprawy wstępnej jest udowodnienie, że popełniono przestępstwo.

Oskarżenie musi to wykazać. Nie chodzi o podejrzenie, że najprawdopodobniej ono nastąpiło, lecz o bezsporne wykazanie, iż zdarzyło się naprawdę. A w sprawie, którą rozpatrujemy, nie jest to oczywiste.

Słyszałem, jak narasta szmer głosów.

- Wysłuchałem doktora Andersena. W sprawie o morderstwo trzeba jasno wykazać przyczynę śmierci. W tym wypadku, bardzo stary człowiek, bardzo schorowany stary człowiek umarł. Umarł w podejrzanych okolicznościach. Jednakże w jego ciele nie znaleziono nic, co świadczyłoby, że zgon nastąpił z nienaturalnej przyczyny. Sean Cronin mógł zostać otruty chlorkiem potasu, lecz prawo nie opiera się na faktach, które mogły zaistnieć. Morderstwo mogło być popełnione, ale znowu samo prawdopodobieństwo nie wystarcza do wniesienia oskarżenia. Czyn musi być udowodniony.

Zamilkł.

- A w tym wypadku tak się nie stało. Na tej podstawie oddalam oskarżenie.

Sędzia wstał. Sala za moimi plecami eksplodowała. Woźny usiłował, zupełnie bezskutecznie, nad nią zapanować. Policjanci siłą utrzymywali dziennikarzy w tej części pomieszczenia, którą wyznaczono dla prasy.

KARA ŚMIERCI

3/5

Obejrzałem się i spojrzałem na doktora Milesa Stewarta. Moim zdaniem był w kompletnym szoku.

- Co to znaczy? - wyszeptał.

- Oskarżenie, że zamordował pan Seana Cronina, zostało odrzucone.

- Czy jestem wolny?

- W związku z tym zarzutem, tak. Nadal jednak czeka pana wyprawa do sądu apelacyjnego w innym procesie. A ponieważ pańskie zwolnienie warunkowe anulowano, o czym wcześniej pana poinformowałem, więc teraz odeślą pana do więzienia z powodu poprzedniego oskarżenia i pozostanie pan tam tak długo, aż zostanie złożona kolejna kaucja.

-Jak długo?

- Kilka dni, może tygodni.

- Lepiej, żeby się pan pospieszył.

- Nie zamierzam już mieć z tym nic wspólnego. -Jest pan moim adwokatem!

- Pan mnie zwolnił!

Jego twarz spurpurowiała.

- W takim razie proszę mi zwrócić honorarium. Potrząsnąłem głową.

- Przykro mi. Zapłacił mi pan za obronę w tej sprawie. Wywiązałem się. Zarobiłem te pieniądze, doktorze. Jeśli idzie o apelacje, niech pański nowy adwokat skontaktuje się ze mną. Możemy się dogadać co do honorarium.

- Nie chcę innego adwokata. Nie zdoła pan tak łatwo mnie przechytryć.

Podniosłem się i spojrziałem na niego z góry.

- Tym razem udało się panu o włos. Ale jeśli powtórzy pan sztuczkę z potasem, dorwą pana jak amen w pacierzu. Jest pan spalony w swojej branży, doktorze.

- Jesteś szumowiną, Sloan, niczym innym tylko szumowiną. Uśmiechnąłem się.

- Kłaniaj się ode mnie koleśiom z celi, doktoru. I nie zapomnij powiedzieć im, że jesteś prawiczkim. Będą delikatniejsi.

Poruszył wargami, z których jednak nie wydobyło się żadne słowo. Policjanci czym prędzej go wyprowadzili.

Eddie Rand stał przed stołem sędziowskim, jakby się zgubił. Złapałem go za ramię i poprowadziłem do gabinetu sędziego. Hathaway, już bez togi, z nogami na blacie biurka, powitał nas obu szerokim uśmiechem.

- Zaskoczyłem was, co? - zapytał, spoglądając na mnie.

316

KARA ŚMIERCI

- Jak diabli! Zerknął na Randa.

- Nie rób takiej urażonej miny, Eddie - rzekł. - Zupełnie nieźle się spisałeś. To nie twoja wina. Materiał medyczny był niewystarczający. Co więcej, to ratuje nasze dziewczynki i całe miasto. Może i byłem trochę niesprawiedliwy, ale cóż z tego?

Uśmiechnął się do mnie.

- Chłopcze, teraz dobrze by mi zrobiło coś mocniejszego. Może byś jednak złamał śluby, Charley?

- Nie, sędzio.

- No cóż, w takim razie mnie też nie pozostaje nic innego. - Wyciągnął kolejne cygaro. - A wy lepiej przygotujcie się na spotkanie z prasą.

Spojrzał surowo na Eddiego.

- Bądź raczej miłosierny przy formułowaniu uwag, Eddie, przynajmniej na mój temat. Bardzo byłbym ci wdzięczny. - Zachichotał po swojemu. - Mamy sporo wspólnych interesów. Lepiej, byśmy pozostali przyjaciółmi.

Jeśli chodzi o dziennikarzy, to oczywiście się nie mylił. Już teraz dochodził nas groźny pomruk tłumu; tłumu, któremu trzeba było stawić czoło. Podniosłem się i ruszyłem do drzwi.

- Czy dobrze słyszałem, że będziesz się jutro widział z Biskupem? - zapytał mnie Hathaway.

Skinąłem głową. Rozpromienił się.

- Pozdrów go ode mnie, Charley. Nie zapomnisz, co? Oplaca się mieć po swojej stronie tak potężnego człowieka jak Biskup. Chyba się ze mną zgodzisz?

Wiedziałem, że wykonują tylko swoją pracę. To samo jednak dałoby się powiedzieć o Mongołach, którzy napadli na Europę, by palić i grabić. Była to mieszanina - reporterzy z gazet codziennych, kolumniści z kolorowych magazynów, wolni strzelcy, ekipy telewizyjne, zarówno szacowne, jak i typu O'Malleya. Wspólnie tworzyli potwora o wściekłych oczach i tysiącu ust. Każdy z nich chciał podchwycić coś niezwykłego.

A z pewnością był to temat dnia. Notoryczny morderca, Doktor Śmierć, wymknął się z uścisków sprawiedliwości. Miles Stewart, doktor medycyny, który najwyraźniej popełnił morderstwo, został zwolniony. Zasada bardzo wymownie wyłożona przez Fiodora Dostojewskiego, w wolnym przekładzie z rosyjskiego brzmiąca: „Człowieku, popełniłeś zbrodnię, przyjdzie ci zapłacić”, najwyraźniej nie miała zastosowania w Broken Axe w stanie Michigan. Chcieli dowiedzieć się, dlaczego.

Cork Miller, jak zwykle zaradny na swój prosty sposób, zorganizował natychmiast konferencję

prasową w holu więzienia. Rząd mikrofonów oddziela! nas od tłumy, który z łatwością można było uznać za żądny krwi.

Na pierwszy ogień poszedł Eddie Rand. Wygłosił gładkie oświadczenie, w którym stwierdził, że jego zdaniem wystarczająco wykazał winę Stewarta, ale nie będzie dyskutował z decyzją sędziego Hathaway'a. Dodał, że pod względem prawnym sprawa była trudna i werdykt mógł zapaść na korzyść zarówno jednej, jak i drugiej strony. Zachował się całkowicie fair, lecz napadli na niego, jakby właśnie odkryli, że ma konto w banku szwajcarskim otwarte przez Doktora Śmierć.

Nie był przygotowany na grad pytań, które wkrótce zamieniły się w zarzuty dotyczące jego męskości i uczciwości. Pocił się, im bardziej go atakowali, tym mniej był fair. Wreszcie doprowadzili do tego, że wykrzykiwał jak

J/S

KAKA iMIŁKU

szaleniec. I ten materia! pokażą w wieczornych wiadomościach, a następnie po filmie o jedenastej. Po jakimś czasie uznałem, że uczynił mi już dość uprzejmości i pora się zrewanżować. Wszedłem na trybunę i grzecznie odepchnąłem go łokciem, deklarując, że teraz kolej na mnie. Eddie był na tyle przytomny, że dotarło do niego, o co chodzi. Spojrzał na mnie wzrokiem szczeniaka, który wie, że uratowano go przed hyclem.

Uparłem się, że wygłoszę ogólne oświadczenie, które było dokładnym powtórzeniem mowy sądowej, opartej na kwestionowaniu wyników autopsji. Dla mnie brzmiało naprawdę dobrze.

Potem zgodziłem się na pytania i zachowywałem się przy tym jak ktoś, kto ubiega się o urząd.

Wszyscy wrzeszczeli jednocześnie, więc dopuszczałem ich do głosu po kolei, zupełnie jak prezydent podczas konferencji prasowej. To było coś, co rozumieli, toteż już wkrótce zapanował jaki taki spokój. Starłem się wybierać znajomych, co do których miałem pewność, że nie ukrzyżują mnie słowami.

O'Malley podskakiwał z ręką wyciągniętą w górę niczym uczeń, który koniecznie musi wyjść do ubikacji. Jego twarz stała się równie czerwona jak włosy. Kiedy go wskazałem, że zdziwienia otworzył usta, z których jednak nic się nie wydobyło. Najwyraźniej zupełnie zapomniał, o co chce zapytać. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie i wskazałem kolejnego dziennikarza. W oczach O'Malleya zauważyłem upokorzenie zmieszane z nienawiścią.

Coś tam wygrałem, coś przegrałem, ale ogólnie wyszedłem na zero. W każdym razie nie powiedziałem nic, czego mógłbym potem żałować, czytając to w gazecie lub oglądając w telewizji. Kiedy podziękowałem im za zainteresowanie, głośno protestowali. Stwierdziłem, że zrobiło się już późno i muszę wracać do biura, gdzie czekają mnie pilne sprawy. Kilku z nich towarzyszyło mi aż do samochodu. Uśmiechałem się i machałem dłonią. Biorąc przykład z Reagana, przykładalem dłoń do ucha, jakbym nie bardzo słyszał, co wykrzykują.

Wróciłem do motelu i zgarnąłem swoje rzeczy. Bałem się, że i tutaj na mnie czyhają, ale nie było nikogo.

Wyjeżdżając z miasta, czułem się jak więzień, któremu powiodła się ucieczka. Zaraz jednak przypomniałem sobie, co mnie czeka. To nie była wolność.

Trzygodzinna jazda dłużyła mi się. Ściemniło się i zaczęło padać, samochody jechały wolniej, choć nie wszystkie. Kilku idiotów gnało auto-

KARA ŚMIERCI

319

stradą, jakby chcieli popełnić samobójstwo, nie zwracając uwagi na inne pojazdy.

Zatrzymałem się w przydrożnej restauracji na hamburgera i kawę. Jedzenie było tłuste, a kawa gorzka, prawie tak gorzka jak moje myśli. Zwycięstwo w sądzie nie liczyło się. Interesowało mnie tylko to, co zgotuje mi następny dzień. W minionych latach wygrałem wiele spraw, lecz żadna z nich nie wpłynęła na to, co wydarzy się jutro, kiedy spotkam Biskupa.

Był czwartek, mój dzień spotkań w klubie, ale teraz zrobiło się już za późno, żeby jechać do Detroit, więc skręciłem od razu w drogę do Pickeral Point.

Nie poszedłem do biura. Cokolwiek tam na mnie czekało, wydawało się w tej chwili nieważne.

Pojechałem prosto do domu. Zastanawiałem się, czyby nie zadzwonić do Sue Gillis, może nawet

wpaść do niej, ale nie czułem się w nastroju do rozmowy, nawet z Sue. Usiadłem więc w pokoju, nie zapalając nawet światła, i przyglądałem się, jak deszcz jednostajnie pada na samochody. Zapadłem w rodzaj letargu. Po prostu patrzyłem na deszcz. Próbowałem odgadnąć, o czym myślą skazańcy na dzień przed egzekucją. Być może, tak jak ja, starają się nie myśleć o niczym, usiłując zabić pozostały im czas. Po prostu czekają.

Wreszcie deszcz mnie zmęczył. Nastawiłem budzik na szóstą. Do Detroit była godzina drogi, a musiałem być w gabinecie Biskupa o ósmej. Nie spodziewałem się, że zasnę, a jednak mi się udało. Obudziłem się, zanim zadzwonił budzik, jak co dzień ogoliłem się i wziąłem prysznic. Zjadłem płatki, chociaż wcale nie byłem głodny, i wypłem kawę. Ubrałem się starannie, nie wiedząc, czy przypadkiem, zanim ten dzień się skończy, nie wyląduję przed kamerami w bliżej nieokreślonej roli. Upewniłem się, że mam przy sobie numer telefonu Wallyego Figera, tak na wszelki wypadek, gdyby zezwolono mi na ten jeden telefon.

Do Mt. Clemens jechało mi się całkiem szybko, ale potem ruch się zagęścił i nagle znalazłem się w kolumnie posuwającej się w żółtym tempie.

W końcu jakoś dotarłem. Zostawiłem samochód na parkingu i poszedłem do budynku, w którym mieści się większość urzędów Detroit. Na piętro, gdzie znajduje się gabinet Biskupa, wjechałem windą.

Moje wyczucie czasu było bez zarzutu - zjawiłem się na miejscu dokładnie o ósmej. Minąłem salę rozpraw i wkroczyłem do sekretariatu. Wszędzie panowała pustka.

Drzwi do pokoju sędziego stały otworem. Zjrzałem do środka. Siedział za biurkiem w koszuli, lecz bez marynarki. Z pochyloną głową, uważnie studiował rozłożone przed nim papiery.

320

KAKA bMlhKU

- Sędzio, chciał się pan ze mną widzieć - powiedziałem.

Podniósł wzrok i spojrzał ponad szklami okularów do czytania. W kącikach jego ust pojawił się ten półuśmiech budzący skojarzenia z Moną Lisa, bardziej enigmatyczny niż zapraszający.

Zerknął na zegarek.

- Najprawdopodobniej jesteś jedynym punktualnym adwokatem, jakiego znam, Charles. Wejdz.

Wskazał na fotel przed biurkiem.

- Zaparzyłem świeżą kawę. Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

- Pozwól, że to skończę. - Wrócił do leżących przed nim papierów. Czytając robił notatki na marginesach.

Czas włókł się niemiłosiernie. Słyszałem odgłosy ulicy wsączające się do środka, przygłuszone, lecz dowodzące, że tam, poza śmiertelną pustką sądu, tętni życie.

Wreszcie skończył. Podniósł się.

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na kawę?

Pokręciłem głową.

Nalał sobie z dzbanka do filiżanki. Potem wrócił za biurko i usiadł. Napił się, oblizał wargi i odstawił naczynie koło dokumentów, które wcześniej tak uważnie studiował.

Widziałem cię w telewizji wczoraj wieczorem - oświadczył. - Jesteś niesamowity, Charley.

Wyciągnąć tego doktorka to była prawdziwie kuglarska sztuczka.

- Nie potrafili udowodnić, że śmierć nastąpiła z przyczyn nienaturalnych - odparłem. - Nie trzeba było żadnych sztuczek. Obawiam się, że po prostu bardzo mocno staliśmy na gruncie prawa.

I znowu na jego twarzy pojawił się ów lekki półuśmiech.

- Większość sędziów w takim wypadku odesłałaby sprawę przed ławę. Zwłaszcza gdyby chodziło o kogoś równie słynnego jak twój klient.

Broken Axe to miścina. Wydaje mi się, że najazd dziennikarzy wszystkich wystraszył. Przeraziła ich sama myśl, że taka inwazja mogłaby się powtórzyć. Poza tym głównym świadkiem była córka domniemanej ofiary. Najwyraźniej Rudy Hathaway uważał, że proces byłby dla rodziny zbyt silnym przeżyciem.

- Rudyard to uczciwy sędzia. Dziwię się, że coś takiego wpłynęło na jego decyzję.

- Proszę mi wierzyć, to nie był podarunek. Prokurator nie potrafił niczego udowodnić. Wiedział, że mój klient to zrobił. Ja też wiedziałem, że

KARA ŚMIERCI

321

mój klient to zrobił. Wszyscy wiedzieli, że mój klient to zrobił, lecz nikt nie zdołał tego udowodnić. Wyrok był sprawiedliwy.

- Prawo triumfuje, niezależnie od winy czy niewinności. To jest zwycięstwo procedury. A sprawiedliwość dostaje kopa w tyłek. Wszystko zależy od tego, jak na to spojrzeć.

Wypił kolejny łyk kawy.

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać, sędzio? Przyjrzał mi się.

- Czy możemy na razie zostawić to pytanie na boku?

- Dlaczego?

- Okaż cierpliwość, Charles. Miałem swój cel, zapraszając cię tutaj. Zanim ten poranek dobiegnie końca, dowiesz się, dlaczego. Do tego czasu, chyba że absolutnie się na to nie zgodzisz, proszę cię, byś tu ze mną został.

- Przecież musi być jakieś wytłumaczenie.

- Poczekaj, niedługo wszystko się wyjaśni. - Parsknął śmiechem. - Proszę, zaufaj mi, Charles.

Zastanawiałem się, czy pozostawiono mi jakiś wybór. Ale nie widziałem żadnego. Siedziałem w tym zbyt głęboko, żeby teraz się sprzeciwić. - Ale...

Podniósł palec do ust.

- Wiem, że to brzmi nieco niepoważnie, lecz porozmawiajmy o innych sprawach. Przynajmniej przez chwilę. Znowu sięgnął po filiżankę.

- Jeśli dobrze pamiętam, masz córkę. Co u niej słychać?

Rozmawialiśmy. Opowiedziałem mu o Lisie, ale wkrótce temat się wyczerpał. Potem przerzuciliśmy się na sport. Było w tej rozmowie coś surrealistycznego, jakby skazujący ucinął sobie pogawędkę ze skazańcem. Zdawało mi się, że w powietrzu wisi siekiera, tyle że niewidoczna.

- Odwołałem wszystkie spotkania aż do popołudnia, żeby nikt nam nie przeszkadzał - oznajmił.

Spojrzał na zegarek.

- Zabawne, prawda? - dodał. - Kiedy się na coś czeka, czas wlecze się niemiłosiernie. Nie widziałem w tym nic zabawnego.

Zjawili się sekretarz sędziego i kancelista. Spojrzeli na mnie jak na intruza, lecz nic nie powiedzieli.

A sędzia i ja nadal staraliśmy się prowadzić rozmowę o niczym. Miałem wrażenie, że zaraz wyskoczę ze skóry.

322

KARA ŚMIERCI

Wreszcie zadzwonił telefon i Biskup szybko sięgnął po słuchawkę. Potem rzucił:

- Połącz go.

Z uwagą słuchał swego rozmówcy, kimkolwiek on był. Od czasu do czasu potakiwał głową.

- Czy złożył oświadczenie? - zapytał wreszcie.

Oczywiście nie słyszałem odpowiedzi. Po prostu zobaczyłem, że sędzia kiwnął głową.

- Kto go bierze? - Ponownie kiwnął głową. - Wszystko idzie zgodnie z twoim planem?

Tym razem odpowiedź skwitował parsknięciem śmiechu. Zerknął na mnie.

- Tak. Jest tutaj. Siedzi po drugiej stronie biurka. - Uśmiechnął się. - Przekażę mu.

Odłożył słuchawkę, ale zanim się odezwał, przez dłuższą chwilę przyglądał mi się. Dopił kawy i znowu się uśmiechnął, teraz już odrobinę szerzej.

- Charles, najprawdopodobniej jesteś największym farciarzem na świecie.

Sędzia Bishop wstał i nalał kawy do dwóch filiżanek. Wręczył mi jedną, nie pytając, czy mam ochotę. Usiadł i spojrzał na mnie.

- To był Harry Sabin - oznajmił. - I właśnie na ten telefon czekałem.

Znów z całą wyrazistością dotarły do mnie dźwięki. Z biura obok dochodził stukot maszyny. Na dole rozdzwonił się telefon. Gdzieś w oddali zawodziła syrena. Miałem tak napięte nerwy, że przypuszczalnie usłyszałbym osiadanie kurzu, jeśli bym tylko się na tym skupił.

- Gdybyś się zgodził na zainstalowanie urządzenia rejestrującego, tak jak proponował Harry, wszystko byłoby dużo prostsze. Chociaż rozumiem twoje obiekcje, jednakże się z nimi nie zgadzam. No, ale nie warto o tym teraz dyskutować.

Popatrzył mi w oczy i oświadczył:

- Właśnie aresztowano Franka Palmera. -Co?!

- Muszę przyznać, że bardzo sprytnie go podeszli. Zatrzymali go w chwili, kiedy wychodził z biura Jeffreya Mallowa. Miał przy sobie pięćdziesiąt tysięcy dolarów w znaczonych banknotach. Frank odmówił złożenia oświadczenia, lecz sprawa jest szczelna w stu procentach. Zawiozą go teraz do Lansing, gdzie zostanie postawiony w stan oskarżenia. Wszystko jest zaplanowane. Zwolnią go za poręczeniem. Prasa nie dowie się o niczym,

KARA ŚMIERCI

323

dopóki nie będzie oskarżony. Harry Sabin zamierza zwołać konferencję prasową dzisiaj późnym popołudniem.

Znowu uśmiechnął się do mnie tym swoim uśmiechem Mony Lisy.

- Nie idąc na współpracę, podjąłeś ogromne ryzyko, Charley. Szczęśliwie dla ciebie wszystko się ułożyło, mimo twojego oporu.

- Nie rozumiem.

Wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył szufladę.

- Kiedy spotkałeś u mnie w domu Harry'ego i kapitana Hagana, podejrzewałeś, że ci nie wierzymy, prawda?

- Coś takiego przemknęło mi przez myśl.

Skinął głową i wyciągnął małą kasetę z miniaturowego magnetofonu.

- Oprócz informacji, których nam udzieliłeś, wiedzieliśmy już co nieco. Na przykład to, że zarówno Frank Palmer, jak i Jeffrey Mallow są w poważnych kłopotach finansowych. Od dłuższego czasu krążyły też plotki, że sędziowie, czy raczej sędziowie sądu apelacyjnego, są przekupni. Ale zanim do mnie przyszedłeś, nie mieliśmy nic konkretnego. Jak ci wiadomo, pracowałem w komisji sędziowskiej i nadal utrzymuję dobre stosunki zarówno z radą adwokacką, jak i wydziałem policji, który zajmuje się korupcją.

Otworzył magnetofon i wsunął kasetę.

- Bardzo mądrze postąpiłeś, przychodząc do mnie z tą sprawą. Czuję się zaszczycony twoim zaufaniem.

Podniósł w górę małego magnetofon.

- Czy grasz w pokera, Charles?

- Okazjonalnie.

- Ale tyle przynajmniej wiesz, że dobry gracz, nawet pozbawiony dobrych kart, może wygrać, jeśli przekonująco zablefuje?

- To się zdarza.

- Mogę ci opowiedzieć, co się zdarzyło, lecz sądzę, że to nagranie -Harry Sabin przyniósł je dla mnie - wyjaśni wszystko szybciej i dokładniej. Żaden pokerzysta nigdy lepiej nie zablefował. A tak przy okazji, to był pomysł oficera policji stanowej, Lucasa Hagana. Sporo mu zawdzięczasz, Charles.

Zanim zdążyłem zareagować, wdusił przycisk odtwarzania i pchnął magnetofon po blacie biurka w moją stronę. Usłyszałem głos Harry'ego Sabina.

- Dzień dobry, sędzio Mallow. - Ton powitania nie był zbyt ciepły. - To jest kapitan Lucas Hagan z policji stanowej.

Odpowiedział mu dudniący głos Jeffreya Mallowa:

- Miło mi pana poznać, kapitanie. Witam w moim biurze. A teraz, Harry, o co chodzi? Przez telefon sprawiałeś bardzo tajemnicze wrażenie.

324

KARA ŚMIERCI

Mówił jak człowiek pewny siebie, przyjacielsko, lecz z odrobiną arogancji okazywaną przez

niektórych ludzi innym, stojącym według nich nieco niżej na drabinie społecznej.

- Smutny obowiązek, sędzio. Jest pan aresztowany pod zarzutem łapownictwa i...

- Co to, do diabła, ma znaczyć?! - Głos Mallowa załamał się i przeszedł prawie w jęk.

- Moim obowiązkiem jest teraz podać panu jego prawa... - Harry wyrecytował je jak z nut, nie pozwalając, by Mallow mu przerwał.

- Znam moje cholerne prawa! - odparł sędzia z wściekłością.

- Wiedząc, że nie musi pan odpowiadać na moje pytania, czy chce pan złożyć oświadczenie?

- Tak, do diabła. Nie mam nic do ukrycia, nic. - Ton Mallowa świadczył teraz o jego oburzeniu.

- Wszystko, co pan mówi, jest rejestrowane. Czy zna pan prawnika o nazwisku Charles Sloan?

- Tego pijacznę? Jasne, że go znam. Dlaczego pytasz?

- Otóż twierdzi on, że...

- Skończmy z tym gównem! - przerwał mu opryskliwie kapitan Hagan. - Wszystko nagraliśmy na taśmie. Zasadziliśmy się na ciebie i dopadliśmy cię. - Głos policjanta był napastliwy, pełen złości.

- Gówno prawda! - odwarknął mu Mallow.

Śmiech Hagana zabrzmiał jeszcze mniej przyjemnie niż jego głos.

- Myślałeś, że jesteś taki sprytny, co? Nie wystarczy jednak spotkać się z kimś w klubie sportowym i obejrzeć jego goły tyłek, by się upewnić, że nie ma nic przy sobie. - Śmiech gliniarza przypominał smagnięcie biczem. - Otóż miał coś przy sobie, ty pompatyczny dupku. Zegarek!

- Co? - Mallow zdołał to pojedyncze słowo ledwo wyszeptać.

- A jak sądzisz, czemu nie chciał popływać? Żeby go nie zamoczyć! - Teraz śmiech kojarzył się z drutem kolczastym. - Nawet oglądałeś to nasze cacko. Kiedy słuchaliśmy tego w radiowozie, o mało nie zesraliśmy się ze strachu. Ale nie zauważyłeś, że nie działa. Bo to nie był zegarek, tylko mikrofon. O Jezus, jaki głupek z ciebie!

Głos Sabina zabrzmiał mocno, lecz spokojnie.

- To prawda, sędzio. Mamy wszystko na taśmie. Każde słowo. Przez chwilę panowała cisza.

Potem odezwał się Mallow, który stracił już całą arogancję.

- Posłuchajcie, może uda nam się pójść na kompromis.

KARA ŚMIERCI

325

- Nie ma powodu do kompromisu - odparł Sabin. - Przykro mi. Sędzia mówił teraz ledwo słyszalnie:

- Nic nie rozumiecie. Ja byłem w tej sprawie jedynie chłopcem na posyłki.

- Dla kogo? Może Franka Palmera? - zapytał Sabin. - Nie wydaje nam się, żeby Palmer miał z tym cokolwiek wspólnego. Według nas to była jednoosobowa operacja. Pańska.

- Nie, nie, wcale nie! - zaprzeczył Mallow. - Wszystko to wymyślił Palmer. Ja tylko przekazywałem informacje, nic więcej.

- Nie mamy jak przyszpilić Palmera - oznajmił ostro policjant, po czym roześmiał się. - Ale mamy ciebie, i to wystarczy.

- Mogę wam nadać Palmera - rzekł bardzo cicho Mallow. I znowu zapadła cisza.

- Jak pan to rozumie? - odezwał się równie cicho Sabin.

- Nic nie może! - zachnął się policjant. - Po prostu sam chce się urwać z haczyka.

- Mogę wam nadać Palmera - powtórzył sędzia drżącym głosem. - Jak? - W tonie Harry'ego Sabina czaiło się zwątpienie.

- Wezmę ze sobą mikrofon. To ja dostarczam pieniądze. Zrobię to, ale dajcie mi znaczone banknoty. Ponownie zapadła cisza.

- Czego oczekuje pan w zamian, sędzio? - rzucił nieobowiązująco Sabin.

- Nietykalności.

- Dobrze sobie! - prychnął Hagan.

- Posłuchajcie. - W głosie Mallowa pojawiło się błaganie. - To Palmer obmyślił całą akcję. Ja po prostu przekazywałem polecenia. Oczywiście brałem swoją dolę, lecz niewielką. Prawdziwą kasę zgarnia Palmer. Ja jestem pionkiem w tej grze. Człowiekiem, którego szukacie, jest on, Frank Palmer.

- To pański przyjaciel - zauważył Sabin.
- Łączyły nas tylko interesy - odparł łamiącym się głosem sędzia. - Wyłącznie interesy, nic więcej.
- Daj spokój, Harry, aresztujmy tego dupka i skończmy z całą sprawą raz na zawsze - rzucił szorstko policjant.

Znowu zapadło milczenie.

- Nie mogę panu obiecać zwolnienia - oświadczył Harry Sabin. - Muszę porozmawiać z prokuratorem generalnym.

- Porozmawiaj z nim! - błagał Mallow. - Będzie chciał dostać Palmera, zobaczysz.

326

KARA ŚMIERCI

- Nie mogę obiecać zwolnienia, sędzio - powtórzy! Sabin - i nie zamierzam iść do prokuratora generalnego, dopóki nie dowiem się wszystkiego po kolei. Ale proszę pamiętać: jeśli nie wyrażą zgody na nietykalność, pańskie oświadczenie może zostać wykorzystane przeciwko panu. Czy wiedząc

O tym, odpowie mi pan na pytania?

-Jezu! - jęknął Mallow. Potem usłyszałem coś jakby łkanie.

- No więc? - zapytał łagodnie Harry. - Dogadamy się?

-Jezu! - powtórzył Mallow, ale tym razem jego głos brzmiał mocniej. -W porządku. - To słowo musiało stanąć mu w gardle, po chwili jednak najwyraźniej wziął się w garść. - Posłuchajcie, to naprawdę nie był mój pomysł. Po prostu pewnego dnia rozmawialiśmy z Palmerem...

Bishop sięgnął ręką i wyłączył magnetofon.

- Wyrzucił z siebie wszystko - rzekł. - Prosto na Palmera, lecz tego można się było spodziewać.

- Czy zapewnili mu nietykalność?

- Trochę się z nim podrażnili, ale wreszcie tak, pod warunkiem pełnej współpracy. Z czego się zresztą wywiązał. Dzięki niemu można było wszcząć sprawę przeciwko Palmerowi.

Bishop upił łyk kawy.

- Oczywiście Mallow zostanie usunięty z palestry, i to dożywotnio. Wstyd, że nie spotka go cięższa kara, ale bez jego pomocy nie dałoby się położyć łapy na Palmerze.

- Mają go? Skinął głową.

Odrutowali Mallowa i wysiali go na spotkanie. Dostał dokładne instrukcje, co ma mówić. Palmer wpadł w potrzask, niczego nie podejrzewając. To było we wtorek. Na dzisiaj umówili się na kolejne spotkanie, które też zostało nagrane,

I Mallow wręczył Palmerowi znaczony pieniądze. Wszystko jest na kasetach. Palmera aresztowano, kiedy wychodził z biura Mallowa kilka minut temu.

- Mój Boże!

- To nie mogło się inaczej potoczyć, Charles. Gdyby Mallow nie dał się złapać na blef, pozostawałoby tylko twoje mało konkretne oświadczenie, nic więcej. Wtedy Mallow nadałby ciębie. I w takim wypadku byłaby zagrożona twoja licencja. O czym, rzecz jasna, wiedziałeś. Skinąłem głową.

- Ty masz nerwy, Charles. Zrobiłeś na mnie wrażenie.

- I co będzie teraz? Odchylił się na fotelu.

KARA ŚMIERCI

327

-Tak jak mówiłem, kapitan Hagan wiezie właśnie Frana Palmera do Lan-sing, gdzie zostanie sporządzony akt oskarżenia. Ale wszystko odbędzie się bez rozgłosu. Franka zwolnią za poręczeniem. Otrzyma pozwolenie powrotu do miasta. Oczywiście cała sprawa wybuchnie podczas konferencji prasowej, którą zwoła Harry Sabin.

- Kiedy?

- Dzisiaj. O trzeciej. W Lansing. Wtedy staniesz się bohaterem, Charles. -Co?!

Parsknął śmiechem.

- Gdyby nie ty, nic by z tego nie wyszło, Charles. Harry Sabin zamierza oddać ci całą sprawiedliwość.

- O Jezu!
- Wydaje mi się, że nie jesteś tym zachwycony?
- Słusznie się panu wydaje, sędzio. Proszę posłuchać, ja nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Mam swoją pracę, sprawy, które prowadzę. A ta historia przypomina raczej koszmar senny. Nagle okaże się, że jestem najdłuższym jęczorem w całej Ameryce.
- Daj spokój, Charles, ludzie rozumieją, że postąpiłeś honorowo. Będą cię za to szanować.
- Ludzie? A co pan powie o sędziach? Jezu, za każdym razem, kiedy wejdę na salę rozpraw, będą się zastanawiać, czy nie planuję ich zakapować. Stanę sięjudaszem naszej profesji. To będzie mój koniec!

Uśmiechnął się, tym razem nieco ciepłej.

- Słusznie postąpiłeś, Charles. Sędziowie, prokuratorzy, adwokaci i wielu innych naprawdę będą cię za to szanować. Mało kto zdobyłby się na to co ty. Ulec korupcji jest tak łatwo. To jej odmowa wymaga odwagi. Wierz mi, pod koniec dnia staniesz się sławny.
- A co z Palmerem i jego rodziną? Sądzi pan, że i oni zobaczą we mnie bohatera?
- Frank Palmer, człowiek, którego lubiłem, zosta! złodziejem - oświadczył Biskup. - Na własne życzenie. Znał cenę, którą mu przyjdzie zapłacić w razie wpadki. I teraz ją zapłaci.
- O mój Boże.

Bishop wstał. Obszedł biurko i wyciągnął do mnie dłoń.

- Doceniam to, co zrobiłeś, i ciebie, Charles.

Uścisnął mi prawicę, lecz nie poczułem się przez to ani odrobinę lepiej. Zastanawiałem się, o czym myśli sędzia Palmer w drodze do Lansing. Czy czasem nie o mnie?

328

KARA ŚMIERCI

- Dziennikarze pojawią się tam o trzeciej, Charles. Sugeruję, żebyś również się z nimi spotkał. Najlepiej, jeśli całą sprawę załatwi się jak najszybciej.

Podniosłem się.

Znowu parsknął śmiechem.

- A to znaczy, że zobaczę cię w telewizji drugi wieczór z rzędu. Stajesz się gwiazdą.

Choć udało mi się uniknąć zagłady, naprawdę nie odczułem ulgi. Prawdę mówiąc, czułem się gorzej.

Do Pickeral Point wracałem wolno, trzymając się przez cały czas prawego pasa. Zdawałem sobie sprawę, że poirytowani kierowcy muszą wyprzedzać mój powoli sunący pojazd, ale nie dbałem o to. Zgodnie z tym, co powiedział Bishop, Franka Palmera aresztowano w Detroit przed dziewiątą rano. Stamtąd do Lansing jechało się około dwóch godzin samochodem. Postawienie w stan oskarżenia zajmie kilka minut. Jeśli nic go po drodze nie zatrzyma, Frank Palmer powinien wrócić do Detroit między pierwszą a drugą po południu. Ciekawe, dokąd się uda. Czy będzie unikał prasy, czy też zdecyduje się odpierać zarzuty?

Spojrzałem na zegar w samochodzie. Jeśli moje wyliczenia były prawidłowe, Frank teraz właśnie wracał z Lansing.

Zastanawiałem się, czy nie sunie, podobnie jak ja, skrajem drogi. Zastanawiałem się, o czym może myśleć. Zastanawiałem się, czy nie ma ochoty zatrzymać się przy drodze na drinka. Wiedziałem, że takie byłyby moje myśli.

Burza rozpełtała się tuż przed trzecią, na kilka minut przed zaplanowaną konferencją. Siedziałem w swoim biurze, starając się uporządkować myśli, by stawić czoło nawałnicy dziennikarzy, którzy - w co nie wątpiłem - wkrótce się zjawiają. Nawet przygotowałem sobie trochę notatek.

Nie pozwoliłem pani Fenton łączyć żadnych rozmów aż do trzeciej, a i potem każdy, kto dzwonił, musiał przedrzeć się przez nią. Poprosiłem, żeby została dłużej w pracy, i ku mojemu najwyższemu zaskoczeniu wyraziła zgodę. Czuła, że szykuje się coś ważnego i ciekawość wzięła górę nad rutyną. Jeśli Frank Palmer nie przyzna się do winy, powołają mnie na świadka koronnego w sprawie przeciwko niemu. Co będę czuł, siedząc na miejscu

330

KARA ŚMIERCI

dla świadków, pod naporem jego spojrzenia, ze świadomością, że wbijam ostatni gwóźdź do jego trumny? Staralem się odepchnąć od siebie ten obraz. Biorąc wszystko pod uwagę, byłem pewny, że zostanie uznany za winnego już w czasie rozprawy wstępnej. Z pewnością czeka go więzienie, ale może uda mu się uzyskać jakiś krótszy wyrok?

- Wiem, że nie chciał pan z nikim rozmawiać - oznajmiła pani Fenton, zaglądając do mojego gabinetu - lecz dzwoni kapitan policji stanowej, który nie przyjmuje do wiadomości, że jest pan zajęty. Nazywa się Hagan.

- Porozmawiam z nim. Podniosłem słuchawkę.

- Witam, kapitanie.

- Harry Sabin prosił, żebym do pana zadzwonił. - W jego głosie nie słyhać było żadnych emocji. Dzwonił przecież w sprawie służbowej. Znałem ten ton bardzo dobrze - tak mówią zapracowani policjanci.

- Czy jest pan w Lansing? - zapytałem.

- Tak. Właśnie dostaliśmy telefon z komendy w Detroit. Frank Palmer się zastrzelił.

-Co?!

- Wszystko wskazuje na to, że prosto z tutejszego sądu pojechał na swoją łódź, którą trzymał w klubie na Pięknej Wyspie. Policjanci twierdzą, że rozmawiał tam z kilkoma osobami, lecz nikt nie zauważył nic nadzwyczajnego. Wydawał się nieco zamyślony, to wszystko. Poszedł prosto na łódź. Oprócz niego nikogo tam nie było. Chłopak pokładowy usłyszał jakiś niepokojący hałas i wszczął alarm. Znaleźli go w kabinie. Użył pistoletu kaliber trzydzieści osiem, zarejestrowanego na jego nazwisko. Włożył go do ust i pociągnął za cyngiel.

- O mój Boże!

- Policja wszystko sprawdziła. Najprawdopodobniej do nikogo nie zadzwonił. Nie zostawił żadnej wiadomości, przynajmniej nic nie znaleziono. Harry Sabin kazał, żebym natychmiast pana zawiadomił. To oczywiście kończy naszą sprawę, ale hałas będzie tym większy. Dziennikarze już wiedzą o jego śmierci. Za kilka minut Harry poda im przyczynę.

Po chwili dodał:

- Harry uważa, że powinien się pan przygotować na pytania. Sugerował pisemne oświadczenie. Twierdzi, że to ostudziłoby nieco nastroje. Może ma racje.

- Co z córką Palmera? Przypuszczam, że już ją powiadomiono?

- O ile wiem, tak. - Kiedy odezwał się znowu, w jego głosie pojawiła się cieplejsza nuta. - To nie twoja wina, Sloan. Sam to na siebie sprowadził.

KARA ŚMIERCI

331

- Za to, co zrobił, nie otrzymuje się kary śmierci.

- Był sędzią. Najwyraźniej uznał, że na to zasłużył. W każdym razie stało się. Był złodziejem, na wysokim stołku, ale jednak złodziejem. Postąpiłeś słusznie, Sloan. Szczerze podziwiam cię za to, że nie zgodziłeś się na współpracę. Cały czas wykorzystuję takie wtyczki, lecz prawdę mówiąc, nienawidzę ich. Nie lubię też specjalnie adwokatów, lecz dla ciebie mogę zrobić wyjątek. Tak czy siak - wrócił do swego zwykłego policyjnego tonu - zaoszczędził stanowi Michigan kosztów procesu. Trzymaj się, Sloan.

Kiedy wyszedłem ze swojego gabinetu, pani Fenton podniosła na mnie wzrok.

- Gdzie się pan wybiera? - zapytała. - Czy zamierza pan wrócić?

Nie odpowiedziałem. Wsiadłem do samochodu i pojechałem w kierunku gospody. Szczyt obiadowy już minął, a na kolację było jeszcze za wcześnie. Nie licząc grupki turystów, było zupełnie pusto. Podszedłem do baru. Zająłem stołek koło okna z widokiem na rzekę.

Zbliżył się do mnie uśmiechnięty barman.

- Słucham pana.

- Podwójna szkocka z lodem - rzuciłem.

- Pan jest Charles Sloan, ten adwokat, co? - Tak.

- Widziałem pana wczoraj w telewizji. Trzeba być naprawdę dobrym, żeby wyciągnąć takiego gościa.

-Jestem zwykłym wyrobnikiem odwalającym swoją robotę. - Byłem poirytowany, że nie przynosi mi mojego drinka.

- Właśnie podali wiadomość, że sędzia z Detroit się zastrzelił. Palmer, chyba tak się nazywał. Znał go pan?

Skinałem na znak potwierdzenia.

Potrząsając głową, zaczął nalewać słuszną miarkę szkockiej do zachęcająco wyglądającej szklanki.

- Czasami zastanawiam się nad ludźmi - rzekł, dodając lód. - Tylu jest chorych, którzy oddaliby wszystko za jeden czy dwa dni normalnego życia, a taki facet strzela sobie w łeb, pewnie całkiem bez powodu.

Postawił przede mną szklanekę na papierowej serwetce. Zapatrzyłem się w drinka. Miał piękny kolor jesieni.

- Ten gość zrobił to z pistoletu - ciągnął barman. - Kiedyś pracowałem w szpitalu. Panie, ludzie potrafią wymyślić najdziwniejsze sposoby, kiedy

332

KARA ŚMIERCI

postanowią ze sobą skończyć. Nie tylko gaz, powieszenie czy otrucie. Pomysłowość ludzka nie zna granic. - Jego śmiech był równie krzepiący, jak musiała być whisky czekająca na mnie w szklance. - Pewnie gdy chce się to naprawdę zrobić, zawsze znajdzie się sposób.

Spojrzałem na przepiękną szkocką, a potem na niego. Wciąż uśmiechał się szeroko.

- Tylu ich jest - stwierdził.

Wstałem i wyszedłem, zostawiając na barze dziesięć dolców.

- Panie, pański drink! - zawołał za mną.

Nie odwróciłem się. Jedno samobójstwo na dzień wystarczy.

Tak jak przypuszczałem, ich nadejście przypominało burzę - najpierw kilka kropel i prawie natychmiast oberwanie chmury.

Wszystko, co działo się potem tego dnia, pamiętam jak przez mgłę. Udzieliłem wywiadu Shermanowi Martelle'owi z „Free Press” i Danny'emu Conroyowi z „Detroit News”, a następnie jeszcze kilku innym, wliczając w to krótką wypowiedź dla „New York Timesa”. Dziennikarze czekali w poczekalni niczym pacjenci u doktora podczas epidemii grypy. Załatwiłem ich po kolei. Ale nie zgodziłem się na występ przed kamerami dla telewizji. Będą musiały im wystarczyć migawki z konferencji prasowej Harry'ego Sabina. Nawet najlepsze oświadczenie można zmienić - wystarczy odrobina obróbki. Nie chciałem ryzykować czegoś, co mogło być przedstawione zupełnie inaczej.

Tym razem dla odmiany wszyscy zachowywali się całkiem przyjaźnie. Padło kilka nieprzyjemnych pytań, ale większość reporterów najwyraźniej postanowiła traktować mnie jak bohatera narodowego, zgodnie z przewidywaniami Biskupa. Mimo to wcale nie czułem się lepiej.

Około dziewiątej udało mi się pozbyć ostatniego z dziennikarzy. Pani Fenton także wyszła, zabierając ze sobą dość opowieści i plotek by karmić nimi swoje przyjaciółki co najmniej przez najbliższe pół roku. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak ożywionej. Nie można powiedzieć żeby stała się miła, ale wyraźnie temperatura jej uczuć do mnie podniosła się o parę stopni ponad normalny chłód.

Kiedy zadzwonił telefon, byłem już sam. Nie zastanawiając się podniosłem słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. W chwili gdy usłyszałem ten głos, pożałowałem swego pośpiechu. To był Mickey Monk, chyba całkiem trzeźwy. Całkiem. Każde jego słowo zdawało się smagnięciem.

KARA ŚMIERCI

333

- Ty cholerny skurwysynu! - zaczął.. - Załatwiłeś sprawę McHugh'a. Biedny człowiek poległ na tobie. Ja poległem na tobie. Ty nieszczęsny ad-wokacino. Jedyne, co miałeś zrobić, to zapłacić te pieprzone pieniądze. Jeśli sam tego nie potrafiłeś, trzeba było mnie powiedzieć, a ja już bym znalazł sposób.

- Posłuchaj, Mickey.

- Tylko nie wciskaj mi tu kitu o uczciwości. Twoim psim obowiązkiem było bronić McHugh'a. Nie wiem, czego się spodziewałeś, odgrywając bohatera, ale przypuszczam, że chodziło o coś dużego. Na tyle dużego, byś zdołał pod tym pogrzebać świadomość, że wyrządzasz krzywdę temu biedakowi na wózku inwalidzkim. Załatwiłeś go na całe życie, ty świętoszko-waty chujku!

- Mickey, nic innego nie mogłem zrobić.

- Gówno prawda!

- Sprawa nie jest zamknięta.

-Jezu! - zachnął się - Czy naprawdę sądzisz, że jestem na tyle głupi, by ci wierzyć? Już po nas. Sprawa jeszcze raz stanie na wokandzie i wygra Ford. Wszystko bardzo cichutko. Zawsze tak się dzieje w podobnych okolicznościach. Dobiją nas jak zdychające owce. McHugh nie może zabezczyć, bo nie ma pieniędzy. Nie miał nikogo, tylko ciebie, palancie. Teraz nic mu nie zostało.

- Mickey...

- W całym moim życiu nigdy nie czułem do nikogo nienawiści. Teraz życzę ci, żeby spotkało cię coś naprawdę złego. Zasługujesz na to.

- Mickey...

Mówiłem do głuchego telefonu.

Odłożyłem słuchawkę. Prawie w tym samym momencie rozległ się kolejny dzwonek. Ale już dostałem nauczkę. Po chwili mechaniczny głos sekretarki poinformował, że po długim sygnale należy zostawić wiadomość.

Usłyszałem sygnał, a potem te słowa:

-Jesteś mordercą! - W głosie brzmiała prawdziwa furia. Nie od razu ją rozpoznałem - to była Caitlin Palmer.

- Mój ojciec ci ufał. Pomagał ci. A ty go zabiłeś. Wiem, że to zrobiłeś i ty wiesz to także. Mam nadzieję, że Bóg straci twoją potępioną duszę wprost do piekła. - Zaczęła płakać i w tym momencie zabrakł miejsca na wiadomość. Maszyna wydała ciche „bip” na znak, że gotowa jest przyjąć kolejne nagranie. Małe czerwone światełko błyskało jak oskarżycielskie oko.

Wybiegłem z biura.

Q

Lyue Gillis była w domu. Nie wydała się zdziwiona moim widokiem. Miała na sobie dzinsy i sprany podkoszulek.

- Dzwoniłam do ciebie - oznajmiła. - Kilka razy. Ale twoja sekretarka uparcie powtarzała, że nie przyjmujesz telefonów.

- Pani Fenton ma swoje zalety. W tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć jakie, lecz z pewnością ma. Muszę ją poinformować, że jesteś na liście priorytetów.

Musnęła ustami mój policzek.

- Wczoraj wieczorem też do ciebie dzwoniłam, wtedy za każdym razem odzywał się automat.

Nagle uśmiechnęła się.

- Wygrałeś, Charley. Myślałam, że cię ukrzyżują w całym majestacie prawa, ale ty wygrałeś. W radiu bez przerwy o tym mówią. W wiadomościach telewizyjnych o szóstej byłeś gwiazdą. Pokazali wszystko, co się wiąże ze sprawą, także sędziego Palmera i nawet ten jego jacht.

-To była jego ukochana zabawka.-Ta uwaga zabrzmiała jako śmiesznie, lecz świadomość ceny, jaką musiał zapłacić za utrzymanie swej łodzi i flagi komandorskiej, zasmuciła mnie. Pewne sprawy mogą wydawać się śmieszne, lecz nie wtedy, gdy ktoś ryzykuje honor i życie, żeby je utrzymać.

-Jadłeś coś?

- Nie. Zbyt byłem zajęty odgrywaniem lokalnego bohatera.

- Co byś powiedział na jajka z bekonem?

- Świetny pomysł.

Zakrzętnęła się w swej małej kuchence.

- Znakomicie wypadłeś wczoraj w telewizji. Widziałeś się? -Nie.

KARA ŚMIERCI

- Oczywiście trochę wszystko przekreśli. Dali do zrozumienia, że zastosowałeś jakiś trik, żeby wyciągnąć doktora.

- Tak to zawsze wygląda w telewizji.

- Bardzo dobrze prezentowałeś się przed tymi wszystkimi mikrofonami. Byłam dumna, Charley, mimo tego całego gadania o kruczkach prawnych.

- Dzięki.

Kiedy skończyliśmy jeść, był właśnie czas na wieczorne wiadomości. Sue włączyła telewizor i okazało się, że każda stacja - a przeczucialiśmy się z kanału na kanał - informowała głównie o sprawie Palmera. Tego zresztą można się było spodziewać. Każda ze stacji miała w swoim archiwum zdjęcia, które teraz wykorzystywała. Zobaczyłem Franka Palmera na zjeździe rady adwokackiej. Ujrzałem Jeffreya Mallowa przemawiającego do biznesmenów. Było też mnóstwo innych migawek z przeszłości. Pokazali również mnie. Nie szukali daleko. Wystarczył mój występ w Broken Axe, tyle tylko że wycięli głos i podłożyli komentarz na temat osobistych losów adwokata Charleya Sloana. Mocnego w gębie. Kontrowersyjnego. Komentator przypomniał także moje problemy zawodowe. Wprawdzie nie nazwał mnie oszustem, lecz był od tego ledwie o krok. Jego teza brzmiała mniej więcej tak, że policja wystawiła złodzieja, aby złapać złodzieja. Nie użył tych słów, ale taki był sens.

To zdjęcie trochę blichtru z mojego wizerunku. Wyobrażałem sobie, że inne media pójdą tym samym tropem.

Siedzieliśmy cicho, przełączając kanały. Teraz z kolei wszędzie pokazywano relacje z imprez sportowych.

- Dobrze wypadłeś - powiedziała cicho Sue.

- Nieco podejrzanie. Nieuczciwy człowiek, który gra uczciwego z jakiegoś sobie tylko znanego sekretnego powodu. No cóż, przynajmniej prawidłowo podali nazwisko.

- Przesadzasz, Charley. Nie było tak źle.

- Przez najbliższy tydzień o niczym innym nie będzie się mówić. Przejadą się po Mallowie, Palmerze i po mnie. Wyciągną wszystko, łącznie z tym, że o mało nie odebrano mi licencji. Nic się na to nie pomoże.

- Och, Charley...

- Następnie w gazetach pojawią się artykuły o reformie sądownictwa. A potem wiesz, co się stanie? -Nie.

- Wszystko zblednie jak na starym filmie. Ludzie zapamiętają raczej emocje niż fakty, jeśli w ogóle cokolwiek. Ze pół roku ci, którzy dziś siedzą

KARA ŚMIERCI

jak przyklejeni do foteli przed telewizorami, nie będą pamiętali ani nazwiska Palmera, ani mojego.

- Może to i lepiej.

- Może.

Zawahała się i zapytała prawie nieśmiało:

- Czy chciałbyś zostać na noc, Harley? Spojrzałem na nią.

- Czy sądzisz, że jestem taki łatwy?

- No wiesz, słyszałam plotki.

Spędziłem u niej nie tylko noc, lecz i cały weekend. Sue gotowała, a ja większość czasu przespałem. I kochaliśmy się. Wprawdzie ona wspominała o małżeństwie, aleja o nim nie myślałem. Decyzję odłożyłem jednak na spokojniejszą chwilę.

Dla mnie ten weekend był czasem lizania ran. W moich snach pojawiała się oskarżycielska twarz Franka Palmera, a na jawie dręczyło mnie poczucie winy. Ale policjant stanowy miał rację: Frank Palmer sam ściągnął na siebie nieszczęście. Powinien być mądrzejszy, znał mnie przecież. Znał prawdziwego człowieka, który krył się pod jego czasami kwestionowaną reputacją. Powinien był wiedzieć, że jestem uczciwy. Najwyraźniej jednak zapomniał o człowieku i przystał na iluzję prawdy.

W poniedziałek poszedłem do biura. Wydarzenie nieco już przycichło, ale dziennikarze wciąż dzwoniли. Teraz już miejscowi. Sprawą Doktora Śmierci prasa krajowa niespecjalnie się

interesowała. Również nieuczciwy sędzia nie podniecał nikogo poza Detroit. Może gdzie indziej takie sprawy zdarzały się na co dzień?

Tak czy siak, większość telefonów była od znanych mi dziennikarzy. Oprócz jednego, który pani Fenton odebrała tuż przed jedenastą.

Sędziowie zawsze wywierali na niej wrażenie. Kiedy weszła do mojego gabinetu, myślałem, że zaraz zemdleje.

- Prezes sądu apelacyjnego na linii - oznajmiła tonem, jakby zapowiadała, że czeka mnie rozmowa z samym Panem Bogiem.

Skinałem głową i podniosłem słuchawkę.

- Sloan - powiedziałem.

- Witam, panie Sloan. Tu sędzia Duckworth.

- Czym mogę służyć, panie sędzio?

- Z pewnością pan rozumie, że cała ta sprawa jest dla naszego sądu niesłychanie nieprzyjemna.

KARA ŚMIERCI

337

- Rozumiem.

- Czy udałoby się panu przyjechać na spotkanie ze mną o czwartej? Rozmawiałem z Craigiem Gordonem, pańskim przeciwnikiem w sprawie McHugha, i jemu ta godzina odpowiada.

Pomyślałem, że do ważniaczy Gordona zadzwonił najpierw.

- Będę - odparłem. - Jaki jest cel spotkania?

- Śmierć sędziego Palmera zakłóciła pracę sądu na kilku poziomach. Oczywiście najpierw trzeba rozwiązać sprawy, w których występował jako członek zespołu i w których decyzja nie została jeszcze podjęta. Sprawa McHugha jest jedną z nich, poza tym, że stała się katalizatorem ostatnich wydarzeń.

W jego głowie wyraźnie pobrzmiwało obrzydzenie.

- Chciałbym z panami przedyskutować dalsze losy tej sprawy.

- Będę - zapewniłem.

Biuro sędziego Duckwortha było ogromne, odpowiadające jego pozycji. On sam zaś był człowiekiem niewielkiego wzrostu i okrągławej figury. Kilka razy zdarzyło mi się przed nim występować i zawsze był niezwykle poważny. Teraz, kiedy siedział naprzeciwko mnie i Craiga Gordona, wyglądał ponuro jak karawaniarz.

Szlachetny Craig Gordon był równie pogodny jak wówczas, gdy razem stawaliśmy w sądzie.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy - uśmiech gracza, który trzyma w rękawie atutowego asa.

Duckworth pozwolił sobie na ujawnienie emocji, mówiąc, jakim szokiem była dla niego śmierć Palmera, zwłaszcza w takich okolicznościach. Oświadczył, że jego obowiązkiem jest dopilnować, by sąd nie obrzucano biotem dlatego, że jeden sędzia złamał swoją przysięgę.

Skinałem głową, Gordon się uśmiechnął.

- W interesie sądu jest doprowadzić sprawę McHugha do sprawiedliwego końca, i to jak najszybciej.

Poruszył się na krześle, jakby było mu niewygodnie.

- Zasadniczo mamy dwa wyjścia - ciągnął sędzia. - Najbardziej oczywiste jest ponowne rozpatrzenie sprawy przed całkowicie innym zespołem sędziowskim. Ale to z pewnością zabrałoby trochę czasu. Nasi sędziowie są dość zajęci. Spojrzał na nas.

- Inną drogą jest pozostawienie sprawy do decyzji dwom pozostałym sędziom.

J38

KAKA ŚMIERCI

Gordon westchnął.

- Wydaje mi się, lecz jest to tylko moje odczucie, że ich zdania są rozbieżne - powiedział. - Jeden raczej podzielał stanowisko pana Sloana, drugi moje. Innymi słowy, mamy remis. Jeśli dobrze rozumiem prawo, w takich sytuacjach wracamy do wyroku pierwszej instancji. Czy dobrze rozumię, panie sędzio?

Duckworth nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Jak zwykle, panie Gordon, ma pan całkowitą rację.

Nagle uśmiech znikł z twarzy mojego adwersarza. -Jeśli można zapytać, chciałbym wiedzieć, czy rozmawiał już pan z sędziami, o których mowa?

Duckworth nieco się zaczerwienił.

- W tej sprawie wszystko jest nietypowe. Nigdy wcześniej nie wypytywałem moich sędziów, jaka będzie ich decyzja. Ale dotychczas nic takiego się tu nie zdarzyło. Tak, rozmawiałem z nimi.

Gordon skinął głową.

- Czyli że moje założenie jest słuszne. Remis? Duckworth skinął głową.

-Tak.

Gordon wyduł wargi.

- Czegoś takiego właśnie się spodziewałem, kiedy zadzwonił pan do mnie dziś rano. Rozważaliśmy potem nasze możliwości z biurem prawnym Forda.

Zerknął na mnie, po czym przeniósł wzrok na sędziego.

- Wie pan zapewne, że w tej sprawie Ford jest całkowicie niewinny. Wszystko zaczęło się od fabryki, którą kupili, i od produktu, którego już nie wytwarzają. Ale wykorzystano nazwę firmy, niezależnie od jej winy czy niewinności.

Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

- Tłumaczyłem ludziom, z którymi się konsultowałem, że to sprawa o włos. Nie mogę zagwarantować wygranej, jeśli będzie rozpatrywana jeszcze raz. Czy zgodzi się pan ze mną, panie Sloan?

- Owszem, jest to również mój punkt widzenia. Gordon ciągnął dalej:

-Jeśli ta sprawa wróci na wokandę, zawsze będzie kojarzona z nieszczęśliwą śmiercią sędziego Palmera i skandalem, który temu towarzyszy. Stawką są spore pieniądze, lecz to kropla w morzu sum, jakie wydaje Ford dla utrzymania na rynku dobrego imienia.

KARA ŚMIERCI

339

Zamilkł na chwilę.

- Otrzymałem pełnomocnictwo, aby w razie remisu przystać na rozwiązanie sprawy w ten sposób. Nazywa się to kontaktem z klientami lub obcinaniem strat, nieważne, w każdym razie mój klient zgadza się, żeby decyzję podjęto dwóch pozostałych sędziów.

Przez moment myślałem, że się przestyszałem. Duckworth spojrzał na mnie.

- Zakładam, że się pan nie sprzeciwia?

-Jest pan pewien różnicy opinii? - zapytałem. - Jeśli tak, to oczywiście, że się zgadzam. Sędzia westchnął.

- To, o czym rozmawialiśmy, panowie, nie może wyjść poza ten gabinet. A zatem sędziowie wygłoszą rozbieżne opinie. To wyjątkowe rozstrzygnięcie w wyjątkowych warunkach. Pokładam nadzieję w Bogu, że już nigdy się one nie powtórzą.

- Przypuszczam, że chciałby pan otrzymać pisemne oświadczenie - rzekł Gordon. - Zgodę, by decyzję podjęło dwóch pozostałych sędziów.

- Tak - przytaknął Duckworth. -Jeśli pan pozwoli, zaraz je podyktuję.

- Byłbym bardzo wdzięczny - odparł sędzia.

Wciąż nie bardzo wierzyłem, że to się dzieje naprawdę. -Ja oczywiście też - dodałem.

- I zrobiliśmy to - Gordon i ja. Kiedy złożyliśmy swoje podpisy, był to koniec sprawy-jeszcze nie formalny, lecz faktyczny. Duckworth zapowiedział, że werdykt zostanie ogłoszony w ciągu kilku tygodni.

- A więc mimo wszystko wygrałem sprawę McHugha.

Craig Gordon wyszedł ze mną do windy.

- Musi się pan czuć znakomicie - oznajmił.

- Cieszę się ze względu na McHugha, choć martwi mnie, że stało się to w ten sposób.

-Jest pan interesującym człowiekiem, panie Sloan.

- Proszę mówić mi, Charley. Uśmiechnął się.

- Charley, z tego co wiem, pracujesz samotnie.

- Tak. Mam jednoosobowe biuro w Pickeral Point. Może nie robi wrażenia, ale pasuje do mnie. I

pozwała zarobić na chleb.

340

KARA ŚMIERCI

-Ja odpowiadam w mojej firmie za działkę spraw karnych - rzekł. - Zazwyczaj angażujemy się tam, gdzie chodzi o duże pieniądze. Jak się wydaje, reprezentujemy większość dużych firm w tej części stanu.

Roześmiałem się.

- To świetnie się dla was składa.

- Zatrudniam kilku prawników, lecz większość z nich ma bardzo małe doświadczenie sądowe.

Oczywiście zwykle staramy się załatwiać wszystko tak, by sprawy nie trafiały do sądu.

- I tak powinniście byli załatwić sprawę McHugha.

- Masz całkowitą rację. Jesteśmy mądrzy po szkodzie. Szczerze mówiąc, nasi ludzie nie najlepiej spisali się przed ławą. A apelacja z reguły wcale nie jest łatwiejsza niż sprawa w niższej instancji.

- Prawda.

- Muszę ci powiedzieć, Charley, że potrzebujemy kogoś, kto jest naprawdę dobry w sądzie; człowieka, który nie boi się przypiekania na wolnym ogniu i zawsze zachowuje zimną krew.

Rozmawiałem już o tym z szefami i zgadzają się ze mną.

-Jest całe mnóstwo adwokatów zaprawionych w bojach sądowych - odparłem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

-Jasne. A ty byś nie zechciał dla nas pracować?

- Słucham?

-Jesteśmy największą firmą w całym stanie, Charley. Byłbyś naszym najważniejszym adwokatem sądowym. Mam upoważnienie, by zaproponować ci partnerstwo. No i zarobki nieco większe niż tylko na sam chleb.

Czułem się, jakby mi ktoś dał w głowę.

- Nie słyszałeś o mojej reputacji?

- Postarałem się dowiedzieć o tobie wszystkiego, co było możliwe. Inaczej nie składałbym ci tej oferty.

- Nie będę pasował - powiedziałem.

- No cóż, to nie jest klub, Charley. Jeśli wykonasz swoją pracę... -Jestem naprawdę zaszczycony, proszę mi wierzyć, ale to nie dla mnie.

Lubię to, co robię teraz, i sposób, w jaki to robię. Oczywiście czuję się zobowiązany. Są jednak setki dobrych adwokatów, którzy przyjęliby waszą propozycję z pocałowaniem ręki.

- Prawda. Ale ty masz pewną cechę, która dla naszej firmy jest wprost nieoceniona.

-Jaką?

Winda zatrzymała się i Gordon wysiadł.

KARA ŚMIERCI

341

- Jesteś uczciwy, Charley. W dzisiejszych czasach to prawdziwa rzadkość.

Ponieważ się nie poruszyłem, drzwi zaczęły się zamykać.

- Pomyśl o tym - dodał.

Zdążyłem jeszcze zobaczyć słynny uśmiech Craiga Gordona.

Zadzwoiłem do Mickeya Mońka. Jego biuro znajdowało się zaledwie kilka przecznic od miejsca, w którym się znajdowałem.

- Czego, do cholery, chcesz? - rzucił krótko.

- Porozmawiać z tobą. To ważne.

- Gówno prawda. Nie mamy o czym rozmawiać.

- To dotyczy sprawy McHugha. Właśnie wyszedłem ze spotkania z głównym sędzią sądu apelacyjnego, Duckworthem.

- No i cóż niby takiego się zdarzyło? Sprzedałeś nas po raz drugi?

- Muszę z tobą pogadać w cztery oczy.

- Kiedy cię zobaczę, przyłożę ci tak, że zobaczysz wszystkie gwiazdy.

- Zaryzykuję. Po chwili rzekł:
- Dobrze. Spotkam się z tobą w barze Browna na Lafayette. Pamiętasz, gdzie to jest, ty świętoszkowaty...
- Pamiętam - przerwałem mu.
- Pięć minut! - warknął. - Będę tam za pięć minut. Odwiesiłem słuchawkę i poszedłem do Browna. Większość barów w śródmieściu musiała się zwinąć, ale temu udało się przetrwać. Kiedy jeszcze piłem, było to jedno z moich stałych miejsc. Niewielkie, z dużym barem, bez stolików, w sam raz nadawało się dla tych, którzy picie traktują poważnie. Zająłem miejsce od frontu.
- Nie poznałem barmana. Od czasu, kiedy byłem tu ostatnio, upłynęło już parę lat.
- Czego się pan napije? - zapytał. - Coli.
- I?
- Tylko cola.

Był tak zdziwiony, jakby nikt wcześniej nie zamówił u niego drinka bezalkoholowego. Wzruszył ramionami i poszedł zrealizować moje dziwaczne zamówienie.

342

KARA ŚMIERCI

Pojawił się Mickey. Wyglądał jak sztorm, który właśnie ma się rozszać. Spojrzał na mnie z urazą i zajął miejsce dwa stołki dalej, jakby się bał czymś zarazić.

- Podwójna szkocka, Fred! - krzyknął do barmana, a potem zwrócił się do mnie: - No dobra, palancie, gadaj, z czym przyszedłeś.
- Spotkałem się z Duckworthem i adwokatem Forda, Craigiem Gordonem.
- Po co? - Wziął drinka z rąk barmana i przełknął go jednym haustem, po czym od razu sięgnął po następny.
- Duckworth chce jak najszybciej mieć z głowy sprawę McHugha. I bez rozgłosu.
- Myśle! I co zrobiłeś, zatrudniłeś się u Forda?
- Już zamierzałem się roześmiać, ale zorientowałem się, że jest naprawdę wściekły, więc się powstrzymałem.
- Blisko, Mickey, lecz niezupełnie. Duckworth wskazał nam alternatywę. Albo przeprowadzić sprawę ponownie przed innym zespołem sędziowskim, albo pozwolić, by wyrok wydali dwaj pozostali sędziowie.
- Powinni byli skontaktować się ze mną. To moja sprawa.
- W sądzie apelacyjnym ja występuję.
- No i co wymyśliliście?
- Reprezentant Forda postanowi! wycofać się ze sprawy tak szybko i cicho, jak tylko się da.
- Co ich to w ogóle obchodzi? - zakpi!. - Przecież to nawet nie by! ich samochód. Przejeli go z dobrodziejstwem inwentarza wraz z inną firmą.
- Ludzie o tym nie wiedzą. A prawnicy Forda doszli do wniosku, że jeśli sprawa nabierze rozgłosu, ucierpi na tym ich reputacja.
- No i?
- Żeby więc już tego nie przedłużać, zgodzili się, by decyzję podjęło dwóch pozostałych sędziów.
- Umowa. Czuję to.
- Jeden sędzia jest po naszej stronie, drugi przeciwko. Tak twierdzi Duckworth.
- No to jest remis. Po co to całe gadanie?
- W wypadku remisu, Mickey, prawo sankcjonuje wyrok niższej instancji.
- Czyli ja... - Oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki, kiedy dotarło do niego, co właśnie mu powiedziałem. - Powtórz to jeszcze raz.
- Jeśli dwóch sędziów ma rozbieżne opinie, a tak jest w naszej sprawie, prawomocny staje się werdykt niższej instancji. Innymi słowy, pozostaje w mocy decyzja ławy.

KARA ŚMIERCI

343

- Jak Ford sobie to uświadomi, nie zgodzi się.

-Już ci mówiłem, że chcieli jak najszybciej mieć to z głowy. Od samego początku sprawa nie dotyczyła ich produktu, a teraz zapłacą, żeby tylko nikt nie kojarzył ich ze skandalem.

- Charley, jeśli to jakiś dziwny żart...

- Duckworth przewiduje, że oficjalny werdykt ogłoszą za kilka tygodni, kiedy wszystko przycichnie. Craig Gordon, adwokat strony przeciwnej, i ja wyraziliśmy zgodę pisemną...

- To znaczy, że wygraliśmy?!

- Tak, Mickey. W stu procentach.

Jakoś dziwnie się skrzywił, jakby zbierało mu się na płacz. Odwrócił się na chwilę, a potem spojrzał na mnie.

- Przykro mi, że tak ci nawrzucałem.

-Wybaczam ci, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale, Mickey, zrobiłem to, co musiałem zrobić.

Wyszło na dobre, lecz naprawdę nie miałem wyboru. Roześmiał się wręcz histerycznie.

- Hej, Fred, przynieś mi dwie podwójne i dla każdego ode mnie kolejkę! Dla siebie też. - Potem zwrócił się do mnie.

- Musisz zrozumieć, Charley. Postawiłem na tę sprawę wszystko.

- Rozumiem. Zachichotał.

-Jezu, wiesz, na co mogę sobie teraz pozwolić? Żeby rzucić ten pieprzony zawód! Jestem bogaty.

- Będziesz za kilka tygodni.

- Uratuję mój dom. I wszystko. - Wziął od Freda drinka i tego również wypił jednym haustem. - No cóż, może nie małżeństwo, ale kogo to obchodzi? Będę miał dość pieniędzy, żeby kupić każdą kobietę. Charley, napij się prawdziwego drinka. To jest okazja. Przyjęcie na cześć zwycięstwa!

- Muszę już iść. - Wstałem i uścisnęliśmy sobie ręce. - Uważaj z gorzałą, Mickey. Jaki jest pożytek z pieniędzy, którymi nie umiesz się cieszyć?

-Jezu, Charley, jak mogłem kiedykolwiek w ciebie zwątpić?! Jesteś najsprytniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek znałem. Udało ci się wygrać sprawę i uratować tę setkę, którą chcieli zgarnąć pieprzeni oszuści. Nieźle ich urządziłeś.

- Do zobaczenia, Mickey. Ruszyłem w stronę drzwi.

- Charley! Odwróciłem się.